

TED BELL



Ktoś grozi śmiercią brytyjskiej rodzinie królewskiej.
Gdzie i kiedy uderzy?



*Zwiałowa akcja,
fascynująca intryga
i zaskoczenie,
które goni zaskoczenie.*
CLIVE CUSSLER

Bestseller z Top 10 „New York Timesa”

ZAMACH

TED BELL ZAMACH

Przekład
DARIUSZ ĆWIKLAK



Korekta

Sylvia Kozak-Śmiech

Jolanta Gomółka

Zdjęcie na okładce

© Carol and Mike Werner/Alamy

Druk ABEDIK S.A.

Tytuł oryginału Warlord

Copyright © 2010 by Theodore A. Bell

By arrangement with Peter Lampack Agency, Inc.

350 Fifth Avenue, Suite 5300 New York, NY 10118 USA.

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2012 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 978-83-241-4343-6

Warszawa 2012. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp, z o.o.

02-952 Warszawa,

ul. Wiertnicza 63

tel. 620 40 13, 620 8162

www.wydawnictwoamber.pl

Zasada oko za oko uczyni tylko cały świat ślepym.
Mahatma Ghandi

1.

Bermudy

Alex Hawke przysunął wysłużoną złotą zapalniczkę Dunhilla do papierosa. Pierwszy poranny papieros zawsze smakuje najlepiej, pomyślał bezwiednie, wdychając dym i idąc boso po błyszczącej mahoniowej podłodze. Wypuścił długi, cienki błękitny obłoczek i opadł na wyblakłe od słońca poduszki ogrodowego fotelu.

Pelham, długoletni przyjaciel i służący, otworzył na oścież wychodzące na taras szklane drzwi w półokrągłym salonie willi Teakettle. Gdyby Alex Hawke zadał sobie odrobinę trudu, by dostrzec otoczenie, odkryłby gęstwinę fioletowych bugenwilli pnących się po niskim murku z wapienia, a za murkiem - turkusowe morze z białymi grzywami fal. Na Bermudach o tej porze roku było uroczo.

Ale Hawke rzadko teraz zauważał takie rzeczy.

Próbował wszelkich odtrutek na żal. Chodził bez końca po bezkresnych plażach, rzucał się na oślep w wir pijaństwa, szukając zapomnienia na dnie butelki rumu. Próbował wszystkiego, poza kobietami. Ambrose Congreve, emerytowany szef Scotland Yardu i najstarszy przyjaciel Hawke'a, bez powodzenia chwycił się różnych sposobów, by podnieść Alexa na duchu. Ostatnio próbował z kobietami.

- Kobiety? - odparł Alex, żałując, że dał się namówić na kolację, którą Ambrose i Diana wydali na cześć swojej młodej bratanicy, świeżo upieczonej rozwódki z Londynu. - Ten rozdział jest już dla

mnie zamknięty, Ambrose. Moje serce jest w grobie.

Alex trwał jakby we śnie na jawie, jak zwykle kiedy traci się energię do życia.

Mieszkał w dawno opuszczonej cukrowni. Z dachu w kształcie kopuły wznosił się zakrzywiony komin przypominający dzióbek imbryka do herbaty. Białe ściany rezydencji odcinały się od zielonej gęstwiny bananowców, zza której wyglądał Atlantyk. W domu słychać było fale rozbijające się o ostre skały dziesięć metrów niżej. W powietrzu uwijały się znajome morskie ptaki - hałasujące petrele z długimi ogonami, kormorany i fregaty.

Hawke zrobił głęboki wdech i zatrzymał dym w płucach najdłużej, jak potrafił. Boże, jak on uwielbiał papierosy. Dlaczego by nie? Żałował lat, które stracił na tytoniowej abstynencji. Pierwszy wdech nikotyny nadawał życiu intensywnej bezpośredniości, jaką ostatnio rzadko odczuwał. Cały szary świat nagle nabierał barw, jak świeżo malowany.

Papierosy to rak na raty. Może i tak, ale nikt nie żyje wiecznie, powiedział sam do siebie i zaciągnął się kolejny raz, leniwie wyciągając długie nogi.

Alex Hawke nawet przygnieciony niemocą robił wrażenie. Był wysoki, mierzył sporo ponad metr osiemdziesiąt. Miał bujne czarne włosy i wysoko osadzone, ładne brwi. Długi prosty nos i zmysłowe usta. Przy każdym efektownym uśmiechu w kącikach tych ust czaiła się tłumiona brutalność. Ale ludzie przede wszystkim zapamiętywali jego lodowato-błękitne oczy, które czasem otwierały się szeroko i miały błękitne błyskawice.

- Ranny z pana ptaszek, milordzie - odezwał się Pelham Grenville. Siwowłosy, ponad osiemdziesięcioletni lokaj Hawke'a wszedł od strony tarasu. Zapewne jak co dzień rano wracał z zagajnika bananowców, bo niósł kosz świeżo ściętych dojrzałych bananów i kierował się w stronę kuchni.

- Ranny ptaszek? - powtórzył Hawke, wdychając dym z papierosa. Spojrzał wymownie na Pelhama, mimowolnie poirytowany oczywistym sarkazmem starego służącego. - A która w ogóle jest godzina, stary śpiochu?

Już dawno przestał nosić zegarek. Zegary i zegarki to anachronizm, oznajmił swojemu przyjacielowi Ambrose'owi, który drwił z jego wiecznego spóźniałstwa. Hawke pozostawał głuchy na jego krytykę.

Po cholerę ma wiedzieć, która jest godzina? Czy omija go coś ważnego?

Doszedł do wniosku, że naprawdę kompletnie nic.

- Zbliży się południe, sir - odparł Pelham.

Hawke wcisnął papierosa w kącik ust i podniósł ręce nad głowę, ziewając głośno i od serca.

- Aha. W samo południe. Nie ma nic przyjemniejszego dla faceta niż obudzić się, kiedy słońce wisi wysoko na lazurowym niebie. Prawda, mój młody Pelhamie?

- Owszem, sir - odrzekł stary druh i odwrócił głowę, by Hawke nie widział bólu w jego oczach. Pelham Grenville, tak jak wcześniej jego ojciec i dziadek, całe życie służył rodzinie Hawke'ów. Właściwie sam wychował młodego Alexa po tragicznej śmierci rodziców. Zginęli z rąk karaibskich piratów szmuglujących narkotyki, kiedy Alex miał siedem lat.

- Poza tym - dodał Hawke - po południu mam wizytę u lekarza. Wreszcie jakaś atrakcja. Dostanę wyniki badań, na które nie mogę się doczekać. Zdrowie to chyba wystarczający powód, żeby zwlec się z łóżka. Prawda?

- O której ma pan wizytę, sir?

- O drugiej albo coś koło tego - odpowiedział, wykonując w powietrzu nieokreślony ruch papierosem.

- Jak sądzę, przyjaciel milorda, były inspektor Congreve, zawiezie go do szpitala.

- Congreve? Nie bądź śmieszny, Pelham. Nie ma sensu fatygować Ambrose'a. Nie potrzeba mi eskorty Scotland Yardu. Dostanę się do King Edward's o własnych siłach. Wezmę motocykl.

Pelham się skrzywił. Rano padało. Drogi wciąż były śliskie. Zabytkowy motocykl marki Norton stał się dla obu drażliwym tematem. Jego lordowska mość trzykrotnie był zatrzymywany za przekroczenie prędkości i za każdym razem zdołał wyłgać się od zarzutu jazdy pod wpływem alkoholu.

- Z chęcią zawiozę pana Słoneczkiem, milordzie. Znów zapowiadają deszcz. Na tych śliskich drogach Słoneczko sprawi się lepiej niż motocykl.

- Słoneczko? Chyba oszalałeś.

Słoneczkiem nazywali jaskrawożółtego małego fiata 600 bez drzwi, z poszarpanym płóciennym dachem w paski. Kiedyś był to

ukochany „cyrkowy wózek” Hawke'a. Ale widocznie przestał pasować do nastroju jego lordowskiej mości.

- Pelham, proszę, nie bądź taką zrzędliwą starą niańką. Ten motocykl to jedna z niewielu rzeczy, jakie sprawiają mi jeszcze radość. Do cholery, jadę motocyklem i koniec dyskusji.

- Oczywiście, sir - odrzekł Pelham i się odwrócił. Zrzędliva stara niańka, akurat! Nie przywykł do obelg i choć wiedział, że Hawke nie chciał go obrazić, tego rodzaju komentarze raniły go.

- Wiesz co szczególnie lubię w takie cudowne poranki?

- Nie, sir - odparł Pelham, niepewny, czy chce się przekonać. Mogło równie dobrze chodzić o dzbanek martini z dżinem Bombay Sapphire, jak o sprowadzenie na weekend gromadki tancerek z rewii w Las Vegas. Nikt już nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Willę Teakettle spowił szary całun rozpaczy i Pelham nie był pewien, ile jeszcze zniesie.

- Pyszne zmrożone daiquiri, Pelham. Z tymi smakowitymi bananami. Naszło mnie, kiedy zobaczyłem twój wspaniały kosz bananów prosto z drzewa.

- Zamierzałem upiec chlebek bananowy, sir.

- Wystarczy na jedno i drugie. Wrzucić ze dwa do blendera i zmiksuj mi coś pysznego, na lepsze krążenie. „Coś na pobudkę”, jak mawiał Bertram Wooster, twoje literackie alter ego. A przy okazji, o której wróciłem wczoraj do domu? Nie wiesz przypadkiem?

- Niestety nie, sir.

- Znowu tu był, co?

- Kto tu był, sir?

- Nocny Kamikadze. Nie tak mnie ostatnio nazwał? Gdzieś posiałem klucz, więc zdaje się, że wszedłem przez okno w kuchni.

- Tak barwne określenia są poza zasięgiem mojego słownictwa, ale sądzę, że to jest właściwe.

Pelham zanurkował za bar z samanu i wziął się do daiquiri. Jego lordowska mość ożywił się i uśmiechnął, słysząc znajomy warkot starego blendera Waring. Choć Pelhama kusilo, by nie łać do srebrnej miarki zbyt dużo rumu Goslinga, zrezygnował. Jego lordowska mość na pewno by zauważył i popadł w ponury nastrój, przekonany, że wszyscy, nawet Pelham, chcą go oszukać albo okraść.

„Nastrój pod psem”, eufemizm Hawke'a określający jego okresowe nawroty depresji, znów się pojawił i radosny niegdyś bungalow stał się terenem zazdrośnie strzeżonym przez warczącego psa.

Nieufność i paranoja często towarzyszyły Hawke'owi, odkąd wrócił na Bermudy po tragicznych wydarzeniach w Rosji i Sztokholmie. Minął już ponad rok. Pelham ze smutkiem pokręcił głową i wyłączył blender. Nic nie mógł zrobić dla tego biedaka. Nikt nie mógł nic zrobić. Już nie. A wielu próbowało.

Ku rozgoryczeniu Pelhama niczego nie wskórał Ambrose Congreve, który właściwie wychował Hawke'a, chociaż nie szczędził „rozmów od serca” o autodestrukcyjnych skłonnościach jego lordowskiej mości. Narzeczona Congreve'a, lady Mars, kilkakrotnie zabierała Hawke'a do „specjalisty od nerwów” w Hamilton, ale w gabinecie doszło do okrutnej awantury i już więcej go nie odwiedzali.

- W takim razie musiałem wrócić późno. Z pewnością bawiłem się fantastycznie, jak zawsze. Zdaje się, że mam naturalny dar do zabawy. Od urodzenia.

Roześmiał się, ale był to śmiech pusty i na szczęście krótki.

- Owszem, sir. Czy mam przygotować obiad? Skoro wasza lordowska mość umówił się na drugą, powinien wyjechać nie później niż wpół do drugiej. Żeby nie gonić na ostatnią chwilę.

- Tak, chyba powinienem coś zjeść, prawda? Nawet nie pamiętam, czy wczoraj jadłem.

- Co wasza lordowska mość sobie życzy?

- Szczerze mówiąc, wszystko mi jedno. Cokolwiek masz w lodówce i jeszcze nie spleśniało. Wezmę to cudowne daiquiri na plażę. Liznę trochę słońca. Ostatnio chyba wyglądam koszmarnie blade, nie sądzisz? Jak duch.

Istotnie, sir, pomyślał Pelham, ale trzymał buzię na kłódkę. Jeśli jeszcze nie duch, to na pewno wkrótce.

Pelham podał Hawke'owi zmrożony koktajl z rumem.

- Słońce to doskonały pomysł, sir. Proponuję też popływać. Odrobina ćwiczeń dobrze zrobi waszej lordowskiej mości. Pamiętam, jak milord przepływał każdego dnia dziesięć kilometrów. Wzdłuż wybrzeża do Krwawej Zatoki i z powrotem. Nie ma nic lepszego, niż

przepłynąć kawał otwartego oceanu. Wasza lordowska mość sam to mówił.

- Mmm, tak. No cóż. Zanurzę się, jeśli znajdę w sobie dość sił. Zawołaj mnie, jak podasz obiad, stary druhu. Może zdrzemnę się na plaży. Ostatnio jestem śmiertelnie zmęczony. Nie wiem czemu. Może szanowny doktor powie coś mądrego. Pewnie kryzys wieku średniego skrada się jak złodziej w nocy, by mnie ograbić z entuzjazmu i wigoru. Ile ja mam lat, Pelham? Ile świeczek zdmuchiwałem na ostatnich urodzinach?

- Niedawno wasza lordowska mość skończył trzydzieści trzy lata.

- Moje urodziny świętowane są z coraz mniejszą pompą i w coraz gorszych okolicznościach, zauważyłeś, Pelham?

- Wasza lordowska mość sam zażyczył sobie tortu bez świeczek.

- No proszę, o tym właśnie mówię. Rozpoczyna się nieuchronny zjazd! Boże, miejmy nadzieję, że będzie krótki i przyjemny.

Po tych słowach Alex Hawke wstał niepewnie z fotela. Pelham patrzył, jak drepcze w ślimaczym tempie na taras, w kierunku schodów na plażę. Księżycowata szklanka z daiquiri załśniła złowieszczo w południowym słońcu.

2.

Po południu, o wpół do trzeciej, spóźniony jak zawsze Alex Hawke zajechał z rykiem silnika na parking przed szpitalem im. Króla Edwarda VII. Stary motocykl nadmiernie się rozpędził i Hawke wpadł w groźny poślizg na placku nieubitego żwiru, omal nie wywracając maszyny. Wyszedł z opresji z gracją, jak mu się zdawało, zsiadł i oparł ukochanego starego nortona commando - wciąż bez jednej rysy - o pień rozłożystego mangowca. Z kieszeni na piersi wyjął paczkę papierosów Morland's special blend i zapalił jednego starą metalową zapalniczką Zippo, którą nosił od czasów służby w marynarce wojennej. Doszedł do wniosku, że jednym z uroków powrotu do palenia jest to, że stara dobra zippo znów na coś się przydaje. Podobało mu się, że znów czuje ją w kieszeni spodni. Może to niewielka pociecha, ale mimo wszystko.

Prawa ręka mocno mu drżała, ale zapalił papierosa i już spokojniej szedł przez parking w stronę głównego wejścia do szpitala. Zdecydowanie nie miał ochoty na spotkanie z dr. Nigelem Prestwickiem, internistą poleconym mu przez szefa z MI-6, sir Davida Trulove'a, znanego też jako „C”. Prestwicke, nim wyjechał na Bermudy, był osobistym lekarzem „C” w Londynie. Hawke nie miał wątpliwości, że wyniki jego badań trafiły prywatnym kanałem na biurko wzburzonego Trulove'a. Udostępnianie informacji medycznych bez zgody pacjenta stanowi naruszenie prawa, ale przecież „C” uważa, że prawo to on.

Hawke już od roku przebywał na przedłużonym zwolnieniu lekarskim ze służby. Ani razu nie był w swoim biurze w bazie królewskiej marynarki wojennej na Bermudach. Red Banner, jego własny dział wywiadu w MI-6, prowadził agentów w Moskwie, a teraz także w Hawanie i Caracas. Dochodziły go słuchy, że jego młodzi pracownicy Benji Griswold i Symington Fyfe narzekają, trzymani żelazną rączką przez pannę Pippę Guinness, z którą kiedyś romansował, ale nic z tym nie zrobił. Niedawno powiedział „C”, że potrzebuje jeszcze trochę czasu, żeby się pozbierać.

„C” nie będzie zadowolony z wyraźnego braku postępu.

- Dzień dobry, Alex - powitał go Prestwicke może nieco zbyt radośnie, zrywając się na nogi. Wyglądał jak wychudzony pułkownik Blimp* - wysoki, w nierówno wydymającym się kitlu, z dwiema kępkami białych włosów na łysinie. Wyciągnął suchą dłoń nad biurkiem. Alex uścisnął ją i usiadł na krześle.

* Pułkownik Blimp - postać stworzona przez brytyjskiego karykaturzystę Davida Lova w latach 30. Rysunki z pompatycznym, porowatym i pełnym brytyjskich stereotypów wojskowym ukazywały się na łamach londyńskiego dziennika „Evening Standard” (wszystkie przypisy tłumacza).

- Może herbaty? - zaproponował lekarz, sięgając po filiżankę. - Świeżo parzona.

- Nie, dziękuję.

Zapadła cisza. Prestwicke nalewał sobie herbatę z cytryną, zerkać na wykresy i raporty rozłożone na biurku. Widok pacjenta odebrał mu mowę. Lord Alexander Hawke był kiedyś jednym z najbardziej zjawiskowo przystojnych mężczyzn, jakich zdarzyło mu się spotkać. Teraz siedział w ostrych promieniach słońca wpadających przez okno,

z twarzą jak wykutą z kamienia i oczyma nieboszczyka.

Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ani grama tłuszczu. Jak na mężczyznę po trzydzieście był w świetnej formie. Typ myśliwego-zabójcy, zawodowiec, choć nikt na wyspie, poza Ambrose'em Congreve'em i kilkoma innymi osobami, nie znał jego korzeni. Mimo to Hawke od dawna uważany był za łakomy kąsek, nawet przez kobiety, które nie miały pojęcia o jego lordowskim tytule ani o majątku.

Ale to już przeszłość. Teraz mówił niewyraźnie i ochryple. Zwykle opalona skóra miała szarawy odcień. Oczy były mętne, a twarz o mocno zarysowanych kościach pokrywał trzydniowy zarost. Od ostatniej wizyty znacznie przytył w pasie. Zmiana rzucała się w oczy mimo granatowej guayabery, luźnej kubańskiej koszuli w kratę noszonej do białych lnianych spodni.

- Jak się czujesz, Alex?

- Ha, jak milion dolarów. W starych konfederackich banknotach zakopanych dwa metry pod ziemią.

- Humor, jak widzę, wciąż ci dopisuje. - Prestwicke się uśmiechnął.

- Czy nie ma pan nic przeciwko, że sobie zapalę? - zapytał Hawke. Podrażnione tytoniem struny głosowe wydały szorstki dźwięk, który zazgrzytał w nasłonecznionym gabinecie. Wytrząsnął nowego papierosa z paczki i wetknął w kącik ust.

- Czy mam coś przeciwko? Oczywiście, że tak. Alex, to śmierć na raty.

- Dzięki za troskę, ale mnie to nie wrusza - odparł z uśmiechem Hawke i zapalił papierosa. Jako doświadczony palacz potrafił mówić z papierosem w ustach. - Cudownie. Uważam je za coś w rodzaju środka dezynfekującego, jeśli pan wie, co mam na myśli.

- Masz jakieś problemy ze zdrowiem, o których powinienem wiedzieć, Alex?

- Jestem pewien, że pan jako ekspert zna się na tych sprawach lepiej ode mnie - odpowiedział Hawke, zrobił kolejny wdech i odchylił głowę, żeby wydmuchnąć dym w stronę sufitu. - W przeciwnym wypadku nie byłoby mnie tutaj. Byłbym zupełnie gdzie indziej. Nie wiem gdzie, ale na pewno nie tutaj.

Widać było wyraźnie, że pił, choć była dopiero druga po południu.

Prestwicke oparł się wygodnie i uważnie przyglądał pacjentowi. Znał Hawke'a jako dżentelmena, zawsze uprzejmego, w ten nieco zmanierowany sposób z dawnych czasów, kiedy nosiło się peleryny i laski. Takiego Alexa Hawke'a jeszcze nie widział. Miał oczy człowieka uwięzionego w izbie tortur, który tęskni za grobem.

Hawke wiedział, że zachowuje się jak palant, ale był w ponurym nastroju, poza tym nigdy nie przepadał za lekarzami i szpitalami. Jego zdaniem w szpitalach ludzie dopiero zaczęli chorować. To siedliska brudu pełne nieuków. Z doświadczenia wiedział, że człowiek trafia tam z zadraśnięciem, a wychodzi z sepsą. Cholerni partacze, przekłęci lekarze i ich obmierzłe szpitale. Pielęgniarka powiedziała mu kiedyś, że większość z nich nie myje rąk między badaniem pacjentów, o ile pielęgniarki nie zwrócą im uwagi.

Doktor Prestwicke, jak zwykle uprzejmy, uśmiechnął się i wyciągnął kilka kartek z niebieskiej teczki oznaczonej nazwiskiem Hawke'a.

- Może w takim razie przejdziemy do rzeczy? Twoje wyniki badań, morfologia krwi.

Hawke przytaknął, podkreślając odpowiedź niecierpliwym gestem, który sprawił, że dym z papierosa utworzył kółko w powietrzu.

- Jak u ciebie z piciem, Alex?

- Doskonale. Nigdy w życiu nie było lepiej.

- Wyniki mówią co innego. Trójglicerydy wystrzeliły ci w kosmos. Widać już poważne objawy niedoczynności wątroby. Mówię ci, musisz z tym skończyć. I to natychmiast. Konsekwencje mogą być bardzo groźne.

- Nie chcę kończyć. - Znów zaciągnął się dymem i spojrzał w stronę okna. Wpatrywał się w nie jak urzeczonego, zafascynowanego opalizującymi błyskami zielonych piór małego ptaszka, uwijającego się pośród gałęzi białych bugenwilli przytulonych do okna gabinetu dr. Prestwicke'a. - I szczerze mówiąc, nie zamierzam.

- A to czemu, jeśli wolno zapytać? - Prestwicke odrzucił fałszywą uprzejmość. Jej miejsce zajęło Bóg wie co. Zaniepokojenie? Poczucie obowiązku? Zawodowa odpowiedzialność? Strach przed gniewem sir Davida Trulove'a? Wszystko po kolei? - Dlaczego, Alex?

- Opowiedzieć panu coś, doktorze? Diana Mars zawiozła mnie raz do jakiegoś psychiatry w Hamilton. Specjalisty od czegoś freudowskiego. Miał czelność zapytać mnie, co moim zdaniem jest tajemnicą życia. Chce pan wiedzieć, co odpowiedziałem?

- Oczywiście.

- Odpowiedziałem: „To proste, doktorze. Za młodu uczymy się ciężkiej pracy i dobrych manier - a potem brniemy po tym padole łez i umieramy, nim zdążymy się obejrzeć”.

Alex zgasił papierosa, pochylił się nad biurkiem i spojrzał lekarzowi prosto w oczy. Lodowaty wzrok Hawke'a wciąż potrafił błysnąć jak lufa naładowanego pistoletu.

- Niech pan mnie uważnie posłucha, doktorze Prestwicke: nie chcę tu już dłużej być.

- Alex...

- Rozumie pan, co mówię? Nie podoba mi się tu. Cholerna butelka jest dla mnie jedyną ucieczką. Chcę uciec. Coś się nieodwracalnie zepsuło - pewnie moja wola. I to by było na tyle.

- Jeśli mnie nie posłuchasz, umrzesz.

- No i?

Prestwicke pochylił się nad biurkiem, złożył palce i oparł na nich podbródek.

- Czujesz, że nachodzą cię myśli samobójcze, Alex?

- W ogóle nic nie czuję. W tym właśnie rzecz, prawda?

- Odwiedził mnie niedawno twój drogi przyjaciel, inspektor Congreve. Ogromnie zaniepokojony. Podobnie jak jego narzeczona lady Mars, nie będę ukrywał. Wkrótce wracają do Londynu, żeby rozpocząć przygotowania do ślubu. Ale poprosili mnie, żebym zorganizował interwencję.

- No tak, pokój bez klamek. Powodzenia.

- To znaczy?

- Nie weźmiecie mnie żywcem. Mówię poważnie.

- Alex, posłuchaj mnie przez chwilę. Wiem, że przeżyłeś szok, ogromny wstrząs. Niewielu ludzi wyszłoby po czymś takim bez szwanku. Śmierć pierwszej żony. A teraz śmierć kobiety, którą kochałeś. Noszącej twoje nienarodzone dziecko. Mogę sobie tylko wyobrazić, przez co przeszedłeś... - Hawke wyłączył się, miał wrażenie, że słyszał już wszystkie te truizmy. Kiedy nie mógł ich dłużej

znieść, przerwał mu:

- Do cholery, nie masz pojęcia, co czuję, Prestwicke. Posłuchaj, nie chcę być nieprzyjemny, ale mam gdzieś twoją herbatę, współczucie i amatorską psychiatrię. Dobrze wiem, co mi dolega. To mało oryginalne. Straciłem wszystko, co w życiu kochałem. Rodzice zginęli na moich oczach, kiedy miałem siedem lat. Poznałem cudowną kobietę, pierwszą, z którą chciałem się ożenić. Zmarła na moich rękach, na schodach kaplicy, w której dopiero co wzięliśmy ślub. A potem, doktorze Prestwicke, zdarzyło się coś naprawdę niewiarygodnego. Znów się zakochałem. Mieliśmy się pobrać. Nosiła moje... moje dziecko... i wtedy...

Hawke oparł się na krzesło i zaciągnął się nerwowo papierosem. Starał się odzyskać panowanie nad sobą. Nigdy nikomu nie pozwolił tak się podejść, nawet najbliższym przyjaciółom, a ten cholerny doktorek...

- Alex, proszę. Nie krzywdź sam siebie. Na litość boską, to co stało się w Szwecji, to nie twoja wina. Wszyscy to wiedzą.

- Nie moja wina? Tak powiedziałeś? To ja ją zabiłem! Człowieku, zrobiłem to właśnie ja! Zabiłem ją i mojego syna. Własnego syna! Tego ranka miała USG i wiedzieliśmy, że to będzie syn... Po prostu... Po prostu dłużej tego nie zniosę...

Oczy Hawke'a zaszyły łzami, wiedział, że jeszcze chwila i straci samokontrolę. Wziął głęboki oddech i opanował się siłą woli. Odwrócił wzrok w stronę okna, na próżno szukając zielonego ptaszka, bo nie mógł spojrzeć w oczy lekarzowi.

Zapadła długa cisza, w czasie której Hawke próbował się uspokoić, a Prestwicke mu w tym nie przeszkadzał. W końcu Hawke spojrzął ponownie na lekarza i wzruszył ramionami. Nie miał nic więcej do powiedzenia. Czuł pustkę.

- Alex, proszę, dam ci coś na uspokojenie. Musisz się wyspać. Może powinieneś położyć się na kilka dni tu w szpitalu. Odpoczniesz trochę w łóżku i...

Hawke pochylił się, zaciągnął się głęboko dymem i zgasił papierosa w popielniczce, którą Prestwicke wyjął dla niego z szuflady. Już spokojniejszy Alex spojrzął lekarzowi w oczy i zaczął mówić:

- Proszę mi wybaczyć. Bardzo mi przykro, był pan dla mnie bardzo miły i cierpliwy. Ale muszę już iść. Nie będę pana więcej

niepokoił. Dziękuję za poświęcony czas. Na pewno jest pan świetnym fachowcem. I proszę przekazać pozdrowienia sir Davidowi, dobrze? Stary drań. Zawsze był dla mnie jak... cholera... jak ojciec. Przepraszam.

Hawke wstał i odwrócił się do drzwi. Jednak nim wyszedł, zatrzymał się na chwilę i obejrzał na Prestwicke'a.

- Cokolwiek się stanie, proszę zapamiętać. To nie była pana wina.
- Alex, proszę, pozwól sobie pomóc...
- Przyszłość jest już zapisana. Nie potrafimy jej tylko odczytać.

Wyszedł.

Wsiadł na motocykl i pojechał do domu, dodając ostro gazu na szpitalnym parkingu. Gdzieś pod warkotem Nortona, skryta głęboko pośród niekończącego się sennego monologu Prestwicke'a czaiła się jedna jasna myśl, która wciąż przedzierała się w górę.

Alex, mówi się, że każdy człowiek to samotna wyspa. Nie wierz w to. Nikt nie wie, że tuż pod powierzchnią wody wszyscy jesteśmy ze sobą połączeni.

3.

Musiał być środek nocy, ale Hawke obudził się i nie pamiętał, kiedy zasnął. Pewnie Pelham znów zaprowadził go do łóżka. I dał mu niebieską pigułkę. Otworzył ostrożnie oko. Błękitnawa poświata księżycy wpadała przez okna od strony morza, oświetlając pościel. Dziwne. Zdawało mu się, że ktoś uparcie puka do drzwi. O tej porze? Słyszał, jak w dole morze szumi i rozbija się o skały. Znów pukanie. Prawdziwe czy tylko we śnie? To sen, uznał, ale na wszelki wypadek zawołał:

- Tak? Kto tam?
- Pelham, milordzie. Telefon do pana.
- Telefon? W środku nocy? Chyba żartujesz. Chryste Panie! No trudno, wejdz.

Stary przyjaciel wszedł do malej sypialni i stanął przy łóżku Hawke'a, kiedy ten włączył nocną lampkę. Na stoliku przy łóżku

stała, niczym wyrzut sumienia, opróżniona w połowie butelka rumu Goslings Black Seal 151. Bez szklanki, bez lodu, bez wody. Tylko butelka. To nie sen, to znów ta cholerna rzeczywistość.

Hawke zamrugał, patrząc na fantom Pelhama unoszący się tuż za kręgiem światła lampy, i powiedział:

- Zanotuj, proszę, numer, Pelham. I powiedz, że oddzwonię rano. Jak tylko się obudzę. Dziękuję ci bardzo. - Przewrócił się na bok i wtulił twarz w poduszkę.

Pelham usiadł na skraju łóżka. Położył dłoń na barku Hawke'a i ścisnął go lekko.

- Sir, myślę, że ten telefon powinien pan odebrać. Gdyby było inaczej, nie śmiałybym pana niepokoić.

- Naprawdę nie mam ochoty z nikim rozmawiać. Daj mi spokój. Śpię.

- Milordzie, powinien pan odebrać. Proszę mi uwierzyć. On czeka.

- Pelham, na litość boską, kto znowu czeka?

- Księżę, milordzie.

- Księżę? Jaki księżę?

- Jego książęca mość, księżę Walii, sir.

- Karol?

- W rzeczy samej, sir. Jego książęca mość czeka właśnie na linii.

Bardzo nalega, by z milordem porozmawiać. Mówiłem, że jest pan... niedysponowany.

- Bo jestem niedysponowany jak cholera. Czeka? Na linii?

- Zdaje się, że o tym właśnie wspomniałem - odparł Pelham, naśladując perfekcyjnie intonację Hawke'a.

- To czemu od razu nie powiedziałeś? Karol, mówisz? Chryste Panie!

Pelham rzucił się do drzwi, owijając ciasniej chude ciało wełnianym szlafrokiem. Skórzane kapcie zastukały o podłogę.

- Powiem Jego Księżęcej Mości, że za chwilę pan podejdzie, sir. Tymczasem może zaparzę dzbanek kawy?

- Tak, tak, czarnej kawy. Gdzie ja, do cholery, położyłem ten szlafrok?

- Nie ma milord szlafroka.

- Nie? No to bluzę do rugby. Tę dobrą, bez dziury.
- Wisi na oparciu łóżka, sir. Proszę, pomogę milordowi.

Hawke włożył starą bluzę i ruszył za Pelhamem do salonu. Willa Teakettle miała tylko jeden przedpotopowy telefon, stary model z czarnego bakelitu stojący na barze, przy którym rządzą kiedyś Flynn, Niven, Fleming i Hemingway.

Hawke opadł na jeden z wysokich stołków barowych, podniósł słuchawkę, zakrył mikrofon dłonią i odkaslnął, po czym odezwał się najbardziej beztrząskowo, jak potrafił:

- Karol?
- Alex? To ty?
- Owszem, ja. Miło cię słyszeć.
- Przepraszam za tę nieludzką porę.
- Dopiero co zgasilem światło. Czytałem Trollope'a. Szło mi jak po grudzie.

- Alex, co u ciebie? Doszły mnie słuchy, że ostatnio nie najlepiej.
- Od razu mi lepiej, jak cię usłyszałem. Już zapomniałem, kiedy ostatnio rozmawialiśmy.

- To niestety moja wina. Utrzymywanie kontaktów ze starymi przyjaciółmi nie jest moją najmocniejszą stroną. Byłem zdruzgotany, kiedy dowiedziałem się o twojej stracie w Sztokholmie w zeszłym roku. Koszmarne wiadomości. Mam nadzieję, że kondolencje dotarły?

- Oczywiście. Dziękuję.
- Nic to, naprawdę cudownie cię znowu usłyszeć.
- I nawzajem.
- Alex, posłuchaj, przykro mi, że cię niepokoję o takiej porze, ale chyba potrzebuję twojej pomocy. I to naprawdę desperacko. Jesteś moją ostatnią deską ratunku.

Pelham podał Hawke'owi kubek gorącej kawy, a ten wychylił ją duszkiem i poprosił o dolewkę.

- Zawsze do usług. Przecież dobrze wiesz. Czym mogę służyć?
- Musisz wrócić do Anglii.
- Co, u licha, się dzieje, Karolu?
- Boję się o chłopców. Moja matka też chyba jest w niebezpieczeństwie. I to śmiertelnym. Oczywiście Scotland Yard, MI-5 i MI-6 uwijają się jak w ukropie, ale to może nie wystarczyć. Takie mam przeczucie. Głębokie przeczucie, że ktoś jest bardzo zdeterminowany,

żeby wymordować całą rodzinę królewską. Trzeba go powstrzymać.

- Czy policja kogoś obserwuje? Ma podejrzanych?

- Oczywiście.

- Ale to za mało.

- Otóż to.

- Jasne, że przyjadę, Karolu. Ale musisz mi dać jakiś tydzień, żebym się ogarnął. Szczerze mówiąc, ostatnio jestem wrakiem człowieka.

- Alex, wiem, że przechodzisz trudny okres. Nie dalej jak dziś rano rozmawiałem z sir Davidem. Wzmocnij się, oczywiście, ale postaraj się przyjechać jak najszybciej. Obawiam się, że czas działa na naszą niekorzyść.

Hawke milczał, próbując ocenić swoją zdolność myślenia. Mózg odmawiał mu posłuszeństwa, nie potrafił się skupić.

- Karolu, jedno pytanie. Rozumiem, że masz przecucie, skąd pochodzi to zagrożenie?

- Owszem. Kilka tygodni temu siedziałem u siebie w bibliotece w Highgrove, kartkując stare książki, które zostawił mi wujek Dickie, mój ojciec chrzestny, lord Mountbatten.

- I?

- Z jednej książki coś mi wypadło. To była książka jego ulubionego irlandzkiego pisarza. *Historia kłopotów*. Tomy pochodziły z jego biblioteki w zamku Classiebawn. Pamiętasz, to była jego letnia rezydencja. Zdaje się, że byliśmy tam wspólnie i to nawet kilka razy.

- Na Mullaghmore Head. Pamiętam.

- I tam zginął, w zamachu zorganizowanym przez IRA. Po śledztwie aresztowano dwóch podejrzanych, Francisa McGirla i Thomasa McMahona. Specjalistów od bomb z Tymczasowej IRA. McGirl został oczyszczony z zarzutów, bo pojawiły się poważne wątpliwości. McMahon został skazany na dożywocie. Ale w czasie wybuchu był ponad sto dziesięć kilometrów od miejsca zamachu - i to pod dozorem policji. Zresztą niedawno go wypuścili. Zwolnienie warunkowe.

- Oczywiście podejrzany.

- Jeden z wielu.

- A dlaczego uwolniono tego McGirla?

- Dobrze pytanie. Brak dowodów. Musimy się dowiedzieć, kto za tym stał.
- Co znalazłeś w książce wujka Dickiego, Karolu?
- Odręczną notatkę, bazgroty jakiegoś szaleńca. Mam ją nawet w ręku. Przeczytam ci.

„Twoja rodzina wykrwawiła nas na śmierć, nasza krew będzie zawsze na waszych rękach. Poćwiartowaliście nas. Wszyscy zginiecie. Choćby to miało trwać wieczność. Zemsta smakuje najlepiej na zimno”.

Hawke wziął głęboki oddech, próbując się skoncentrować. Po raz pierwszy od miesięcy poczuł, że krew znów krąży mu w żyłach. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał zadziwiająco mocno:

- Dobry Boże, Karolu. Czy ktoś się pod tym podpisał?
- Owszem. Jednym słowem. „PIONEK”.
- Aha. Pionek. Albo mamy do czynienia z próbą zemsty ze strony IRA, by skupić na sobie uwagę świata. Albo, być może, z jakimś działającym w pojedynkę szaleńcem. Ktoś, kto może stracił syna albo całą rodzinę w walce z brytyjskimi żołnierzami. Poczul się bezsilny, jak pionek w grze.

- Oko za oko - odparł Karol. - Jakiś samotny szaleniec zapowiedział trzydzieści parę lat temu początek vendetty wobec mojej całej rodziny.

- Ale to „wykrwawiliście nas” i „poćwiartowaliście”. Jedno i drugie to wyraźne polityczne odniesienie do podziału Irlandii, wymuszonego powstania Irlandii Północnej w 1921 roku. A to wskazuje na IRA. Nie ulega wątpliwości, że już w kilka godzin po zamachu wzięli za niego odpowiedzialność.

- Zgadza się.
- Minęło sporo czasu, nim ten „Pionek” wykonał kolejny ruch, Karolu. W końcu lord Mountbatten został zamordowany w 1979 roku.
- Zauważ, Alex, że nie wiemy, co miał na sumieniu w kolejnych dekadach ten człowiek czy jakiś odprysk IRA. Od morderstwa wujka Dickiego naszą rodzinę prześladowały najróżniejsze nieszczęścia.
- Słuszna uwaga.
- I jeszcze jedno, Alex. Właśnie dlatego zdecydowałem się do

ciebie zadzwonić. Zeszłego wieczoru otrzymałem kolejną anonimową pogrózkę. Wstrząsające było to, że wiadomość podpisano identycznie: „PIONEK”.

- Dobry Boże! Co było w tej wiadomości?

- „Pionek bije królów”.

- „Pionek bije królów”. Jest w tym drobny ślad. Autor jest inteligentny, wykształcony. To nie jakiś zwykły rzezimieszek. Rzecz jasna, szachista.

- Tak, ale napisał „królów”, Alex. W liczbie mnogiej. Chodziło mu oczywiście o mnie, ale też o wszystkich dziedziców tronu. W tym moich synów Willa i Harry'ego.

- Podpisane „Pionek”. Odręcznie?

- Nie jestem ekspertem, ale podpis wyglądał identycznie z tym pierwszym. Wysłałem już tę kartkę do wydziału szyfrów w MI-5, żeby przeanalizowali pismo.

- Karolu, wracam do Anglii najszybciej jak się da. Choćbym musiał zawrzeć pakt z diabłem.

- Dziękuję, Alex. Jesteś jedynym człowiekiem na świecie, na którego mogę liczyć w tak... podejrzanej sytuacji. Bo w głębi serca wiem, że zaangażujesz się w nią... osobiście, jeśli mogę tak powiedzieć... ze względu na więzy, jakie łączą cię z moją rodziną.

- To jak najwłaściwsze słowo, sir. Osobiście. W takim razie do zobaczenia. Nie zamartwiaj się. Znajdziemy go i powstrzymamy. Daję ci słowo.

- Przykro mi, ale mam jeszcze jedną prośbę.

- Ależ oczywiście.

- Twój błyskotliwy przyjaciel, były inspektor Scotland Yardu Ambrose Congreve, z tego co wiem, zażywa emerytury na Bermudach, a teraz wrócił na jakiś czas do Londynu. Wiem, że obaj wspólnie odnosiliście już niezwykle sukcesy. Gdyby udało ci się pozyskać go do pomocy, mógłby okazać się nieoceniony.

- Istotnie. I z całą pewnością będzie zaszczycony, mogąc ci pomóc.

- Doskonale. Może wpadniecie do Highgrove na długi weekend? Jak za starych dobrych czasów. Jutro z samego rana zadzwonię do sir Davida Trulove'a. Powiem mu, że przyjeżdżacie. Oczywiście MI-6 i

MI-5 pracują już nad tą sprawą. Ale z tobą, Alex, chciałbym współpracować najściślej. Wyjaśnię sir Davidowi, że to moje przedstawienie.

- Karolu, uważaj na siebie i na chłopców. Wszyscy uważajcie. Żałuję, że nie mogę przyjechać szybciej.

- Bóg raczy wiedzieć, czy to nie jakiś wyrafinowany podstęp. Ale nie mogę ryzykować. Zwłaszcza że zaledwie w zeszłym miesiącu jakaś odrodzona bojówka IRA zamordowała w Irlandii Północnej dwóch brytyjskich żołnierzy i miejscowego policjanta.

- Cokolwiek to jest, trzeba to natychmiast przeświecić.

- Przyjedziesz tu. To teraz najważniejsze.

- Do widzenia, Karolu.

- Do widzenia, Alex. Niech Bóg cię błogosławi.

Hawke w zamyśleniu odłożył słuchawkę i spojrzał na Pelhama, który wciąż udawał, że się krząta - przestawiał szklanki na barze, polerował srebrną tackę, poprawiał na ścianie przekrzywione stare zdjęcie jednego z gości Teakettle - Howarda Hughesa, siedzącego przy tym samym barze.

- Pelham?

- Tak, milordzie? - odezwał się, podnosząc głowę.

- Która jest godzina?

- Minęła czwarta nad ranem.

- Nastaw budzik, proszę. Na punkt szóstą.

- Tak, milordzie - odparł Pelham, nie mogąc ukryć radości w głosie. - Czy mam podać śniadanie?

- Śniadanie może poczekać. Rano zamierzam przepłynąć do Krwawej Zatoki i z powrotem. Dziesięć kilometrów. Jeśli przeżyję i nie utonę, to poproszę sok z papai i tosta bez niczego. Zrozumiałeś?

- Tak jest.

- Świetnie.

Ponad pięć i pół tysiąca kilometrów dalej dziedzic brytyjskiego tronu cicho odłożył słuchawkę i oparł się wygodnie w ulubionym głębokim fotelu obitym skórą. Od kilku tygodni dręczył go niewyobrażalny niepokój, ale teraz poczuł coś na kształt ulgi. Gdzieś czaiło się bardzo realne zagrożenie. Ale teraz będzie mógł mu stawić czoło u boku Alexa Hawke'a.

Rodziny Hawke'ów i Windsorów trzymały się blisko od pokoleń. Karol znał młodego Hawke'a od szkolnych lat. Współczuł mu, kiedy siedmiolatek stracił ukochanych rodziców. Młody Alex spędził wiele tygodni w Sandringham w hrabstwie Windsor i zawsze w sierpniu przyjeżdżał do szkockiego zamku Balmoral, gdzie królewska rodzina spędzała wakacje.

Hawke zawsze wydawał się Karolowi dość dziwnym chłopcem, samotnikiem, który nie potrzebował towarzystwa poza wiernym psem Draniem. Żył we własnym, całkiem innym świecie, wiecznie z nosem w książce czy gazecie.

Pewnego ranka mniej więcej dziesięcioletni Alex stanął w drzwiach biblioteki Karola w Balmoral, trzymając w ręku sekcję giełdową „Financial Timesa”.

- Sir, czy mógłbym się dowiedzieć, co oznacza skrót „bz”?

Karol podniósł wtedy głowę, machnął zapraszająco i wyjaśnił:

- Zdaje się, że bez zmian. To znaczy, że cena tego konkretnego papieru wartościowego była taka sama na otwarciu jak i na zamknięciu sesji danego dnia.

- Tak mi się właśnie wydawało. Dziękuję, sir.

Miał niezwykle błękitne oczy po matce i długie gęste rzęsy, szerokie i wysokie kości policzkowe. Był pięknym chłopcem, niezbyt świadomym swej urody. Kiedy jednak poszedł do szkoły Fettes w Edynburgu, jego uroda nie pozostała niezauważona.

Ładni chłopcy w szkole często bywają zarozumiali. Ale Alex zdawał się zupełnie nie przejmować wyglądem. To dodawało mu uroku i dystansu, przez co wydawał się jeszcze bardziej pociągający.

Od samego początku Karol zauważył, że Alex opierał się konwensom. Nie przyjmował na przykład do wiadomości niezmiennych zasad szkolnych gier - już samo pojęcie wygranej i przegranej obrażało go. Przegrywać? On? Nigdy. Uwielbiał grać i nigdy nie brakowało mu entuzjazmu, ale radość z wygranej była dla niego zbyt indywidualną sprawą, by potrafił się odnaleźć w grach zespołowych, w których najważniejsza była „drużyna” i trzeba było się liczyć z „przegraną”.

Już wówczas można było dostrzec niemal ciemną stronę jego poczucia własnej siły, szczególną sprawność fizyczną i umysłową, tendencję do polegania wyłącznie na sobie, wykluczającą grę w

drużynie. Być może dlatego, że we wszelkich grach zespołowych musiałby się godzić od czasu do czasu z porażką. A to wydawało mu się hipokryzją. Porażka? Nie. Wykluczone.

Hawke po prostu nie przyjmował do wiadomości pojęcia porażki i nigdy nie rezygnował. Kiedy dorósł, szybko okazało się, że to niekoniecznie złe cechy charakteru.

Okazało się, że żywiołem Alexa Hawke'a jest wojna. Dostał medal sił powietrznych królewskiej marynarki wojennej za loty na Harriarach nad Bagdadem w czasie pierwszej wojny w Zatoce. Zestrzelono go, uwięziono i brutalnie torturowano. Udało mu się uciec, na dodatek przez kilka dni niósł przez spaloną słońcem pustynię ciężko rannego towarzysza.

Ale przebieg wojskowej kariery Hawke'a wcale nie wyglądał kryształowo.

Nim minęła radość z udanej ucieczki i szczęśliwego powrotu do starego szwadronu, dowódca udzielił Hawke'owi reprimendy za „naganne zachowanie, które nie przystoi oficerowi”. To była pierwsza oficjalna „plama” w życiorysie.

Hawke, przepelniony entuzjazmem i czekający na powrót do misji bojowych, zaczął wydawać wieczorne przyjęcia z martini dla kilku bliskich towarzyszy. Oczywiście na pustyni nie można było liczyć na lód, więc Hawke wymyślił, by samolotem wynosić dzbanki z martini na duże wysokości. Chodziło o to, żeby je schłodzić, a potem pikując, błyskawicznie wrócić na lotnisko, żeby chłopcy mogli się napić, „nim się zagrzeją”.

Czytać umiał już jako czterolatek i od tego czasu pochłaniał wszystko, co miało literę. Wcześniej zaczął fascynować się średnio-wieczną historią, zamkami, architekturą i rycerzami. Miał też niezwykłą słabość do dawnych piratów - porywczych awanturników i zabijaków, takich jak jego własny przodek pirat, sir John Black Hawke albo Blackhawke, jak mówiono o nim na wybrzeżu, który robił, co mógł, żeby sterroryzować hiszpańską armadę.

Z naturalnej skłonności młody Hawke zaczął pilnie czytać wszystko o sztuce wojennej, zarówno tej współczesnej, jak i starożytniej. „C”, czyli sir David Trulove, mawiał, że najważniejszym atutem Hawke'a w MI-6 jest odczytanie w wojskowej strategii, zwłaszcza tej dotyczącej działań przeciwko powstańcom i taktyki antyterrorystycznej.

Zaradność, wiedza, świetna intuicja i niezłomna wola połączone z duchem walki - oto cały Alex Hawke. I dlatego Karol tak bardzo go potrzebował. Pocieszyła go myśl, że wkrótce się zjawi. Przygładził rzednące włosy i zamknął zmęczone oczy.

Anglia atakowana od wewnątrz czy z zewnątrz musi zmobilizować wszelkie siły. Karol był wdzięczny, że wciąż można było sięgnąć po pomoc ludzi takiego kalibru jak jego przyjaciel Hawke.

- Dzięki ci Boże za Alexa Hawke'a - szepnął książę Walii, głównie po to, by pocieszyć samego siebie.

Karol wiedział, że Hawke jest głęboko zraniony koszmarną stratą, jaka spotkała go na niebie nad Szwecją. Być może Alex potrzebował pomocy Karola równie mocno jak Karol jego. Gdyby tylko naprawdę mógł mu pomóc, wyciągnąć go z tego morza smutku i znów go poskładać. Może ta mobilizacja coś da. I z bożą pomocą może uda im się powstrzymać szaleńca, który trzydzieści lat temu prawdopodobnie zamordował ukochanego wujka Dickiego.

I który za wszelką cenę chciał dziś zniszczyć rodzinę królewską.

4.

Gloucestershire, Anglia

Być może w całej Anglii tego pięknego czerwcowego poranka znalazłby się ktoś szczęśliwszy. Może nawet więcej niż jedna osoba. Ale niezwykle trudno byłoby znaleźć kogoś bardziej przepelnionego radością niż niejaki Ambrose Congreve. Podskakiwał na skąpanej w słońcu wiejskiej drodze, siedząc za kierownicą swego roadstera - jaskrawożółtego morgana - w dziarskiej automobilowej czapce Tartan w kratkę. W zębach raźnie ścisnął fajkę. Przez wiosenną zieleń drzew przebiegały się promienie słońca, Bóg czuwał w niebie i znów świat był piękny.

Przynajmniej ten jego fragment, w którym żył inspektor.

Ambrose Congreve, emerytowany szef Scotland Yardu i błyskotliwy detektyw od dawna był najlepszym przyjacielem Alexa Hawke'a. Ambrose żył dość pocziwie, bez nadmiernych szaleństw i ekscentryczności, ale miał absolutnego fioła na punkcie mniej więcej czterech rzeczy. W kolejności znaczenia były to: po pierwsze, jego ukochana narzeczona lady Diana Mars. Po drugie, olśniewający Sherlock Holmes. Po trzecie, cotygodniowe partyjki golfa w Sunningdale ze znajomymi. Po czwarte, pedantycznie dobierana garderoba.

Congreve miał katolicki gust i przeważnie gustował w tweedach, czasami decydował się na smokingowe marynarki z zielonego aksamitu od Turnbulls. Albo „syrenie garnitury”, jakie nosił Churchill w czasie wojny. Na szczególne okazje zdarzało mu się też założyć jaskrawożółte skarpety z grubym szwem. Na przykład dzisiaj.

Skrzące się błękitne oczęta niewinnego dziecka kontrastowały z szorstkim głosem Congreve'a. Ale szorstkie obycie, wyniosłe prychnanie i nadymanie się - wszystko to była poza i nikt nie dawał się na nią nabrać. Congreve był bystry, przebiegły i nieugięty, ale też i do rany przyłóż.

Płaska droga biegła między wysokimi krzewami głogu. Dostrzegł przed sobą ostry zakręt i szybko zredukował bieg, jednocześnie wciskając prawą stopą gaz i hamulec. Tej rajdowej metody nauczył go Hawke, kiedy Congreve kupił ten wóz. Droga zaczęła bieć pod górę, wśród rozłożystych drzew rzucających głęboki cień, który rozpraszały jedynie drobnutkie sztyleciki oślepiającej jasności.

Gdyby jeszcze dwa tygodnie temu ktoś powiedział, że słynny kryminolog będzie pędził cienistą drogą do Cotswolds na wczesne śniadanie z lordem Alexandrem Hawkiem, uznano by go za wariata. I zupełnie słusznie.

Były inspektor poddał się, uznając, że przepelniona żalem, zagubiona dusza Hawke'a jest już na zawsze stracona. Kiedy Congreve i jego narzeczona lady Diana Mars wyjeżdżali z Bermudów, nie wpadli nawet do willi Teakettle, by pożegnać się z Hawkiem. Congreve ze łzami w błękitnych oczach wyznał Dianie, że nie będzie potrafił tego znieść. Powiedział jej, że widok Alexa w takim stanie i myśl, że może to... ich ostatnie pożegnanie...

Nie, dość już, skarcił się w myślach. To już minęło, a Alex Hawke, dzięki Bogu, cudem wrócił do żywych. Inspektor oparł się wygodniej i rozkoszował się jazdą po wiejskiej drodze swoją Żółtą Zarazą, jak ochrzcił starego roadstera. Polakierowane na jego ukochany maślany kolor auto było spełnieniem motoryzacyjnych marzeń Congreve'a.

To, że był to jedyny samochód, jaki miał w życiu, zupełnie nie miało znaczenia. Ilekroć usiadł za drewnianą kierownicą, przeklinał się za to, że tyle lat spędził obojętny na radości motoryzacji, zapach castrolu i gardłowy warkot z rury wydechowej. Ale przynajmniej teraz nadrabiam stracony czas, pomyślał, redukując do dwójki przed zbliżającym się ciasnym zakrętem w prawo. Po chwili dodał gazu, perfekcyjnie wyprowadzając auto z łuku.

Jechał do Hawkesmoor, rodowej siedziby Hawke'ów ukrytej na głębokiej prowincji hrabstwa Gloucestershire. Wyglądało na to, że Alex Hawke, ku zdumieniu wszystkich, wrócił do Anglii! Gdyby nie szybka jazda, Congreve na pewno by się uszczyptał, żeby sprawdzić, czy nie śni. Nie dość, że Alex wrócił do domu, to jeszcze brzmiał zupełnie jak dawniej. Dzięki tej zimnej krwi i nonszalancji był doskonałym towarzyszem, nawet w podbramkowych, a czasami groźnych sytuacjach.

Ozdrowienie Hawke'a było prawdziwym cudem. Congreve zamierzał z całą pewnością jak najszybciej zadzwonić do doktora Nigela Prestwicke'a, by pogratulować mu ze szczerego serca. Musiał być prawdziwym bogiem medycyny, uzdrowiaczem najwyższej próby. Nic dziwnego, że „C”, czyli szef MI-6, miał do niego tak ogromne zaufanie.

Wsluchany w warkot silnika przypomniał sobie chwilę sprzed tygodnia, kiedy nadeszły dobre wieści o Hawke'u.

Jako że narzeczona, Diana Mars, miała na ten wieczór inne plany, Congreve został w domu i jadł samotnie kolację w „Bratku”, przytulnym domku letnim, który odziedziczył po ciotce Agacie. Szkocka gospodyni, dobrotliwa May Purvis, wyjęła właśnie z piekarnika swoje słynne ciasto agrestowe, kiedy zadzwonił telefon w kuchni.

- To pewnie lady Mars, sir - powiedziała May, podając mu duży kawałek jeszcze gorącego ciasta. - Mam odebrać?

- Hm - odparł Congreve, pożerając ciasto póki ciepłe.

May zniknęła na dłuższą chwilę, po czym wróciła z wielkim

promiennym uśmiechem na różowej twarzy. Wyglądała na rozanieloną jak pensjonarka, która po raz pierwszy w życiu zobaczyła filmową gwiazdę.

- To on, sir - odezwała się May, promieniejąc, jakby zadzwonił do niej z nieba sam Sexy Remy Harrison.

- On?

- Jego lordowska mość.

- Która lordowska mość, moja droga pani Purvis? Tak się składa, że znam kilku.

- Lord Hawke, sir.

- Alex Hawke? Dzwoni? Chyba pani żartuje - powiedział i zerwał się z krzesła, by pobiec do spiżarki, gdzie stał telefon.

- Halo? - odezwał się, z trudem łapiąc oddech. - Alex? To ty? Wszystko w porządku? Nie rób niczego głupiego, bo życie to cenny dar, który...

- Przepraszam, że przerywam panu inspektorowi kolację. Tak, tu Alex.

- Alex?

- Zdaje się, że właśnie to powiedziałem.

- Jak się masz, chłopie?

- Dość dobrze, dziękuję za troskę. Dodam, że wracam do gry.

Hawke wydawał się całkowicie zdrowy na umyśle, ciele i duchu. Brzmiał trzeźwo, bo skoro o tym mowa, od trzech tygodni nie miał w ustach ani kropli alkoholu, ani papierosa. Zrzucił dziesięć kilo i wrócił do rygorystycznego programu ćwiczeń.

- Dlaczego? - dziwił się na głos Ambrose. Kiedy Congreve widział go ostatnio, Alex był tak mocno pograżony w rozpacz, że trudno było uwierzyć w choćby najmniejszą szansę na powrót do zdrowia.

Wtedy właśnie Congreve usłyszał od przyjaciela te trzy magiczne słowa:

- Coś się zdarzyło.

Kiedy te słowa dotarły do niego, emerytowany inspektor wiedział, że gra znów się rozpoczęła, jak określił to kiedyś trafnie jego idol Sherlock Holmes.

Alex zaprosił go na wczesne śniadanie do Hawkesmoor. Co więcej, kazał mu się spakować. Najwyraźniej szykował się długi weekend

na wsi, choć nie powiedział z kim. Wszystko brzmiało bardzo tajemniczo, co inspektorowi bardzo odpowiadało. Poza partyjkami golfa na cudownym polu w Mid-Ocean Club, Congreve na Bermudach nudził się jak mops, odkąd wraz z sir Davidem Trulove'em gładko pozbyli się zabójczego gangu rastafariańskich rzezimieszków z Nonsuch Island.

Następnego dnia rano Congreve ustawił bezpiecznie Żółtą Zarazę na wyłożonym brukiem parkingu i zadzwonił do drzwi rodowej siedziby Hawke'ów. Hawkesmoor to urocze zamczysko wybudowane w 1150 roku, rozbudowywane od XIV wieku, aż po okres panowania Elżbiety I. Często kręcono tu rozmaite filmy, ostatnio *Dumę i uprzedzenie*.

Rezydencja leżała pośród potężnych lasów bukowych, parków i ogrodów, które zaprojektował najsłynniejszy angielski ogrodnik z XVIII wieku - Capability Brown. Spod jego ręki wyszły także ogrody w pałacu Blenheim i zamku Warwick. Naprawdę miał na imię Lancelot, ale zwano go „Capability”*, bo niemal zawsze przekonywał swoich zasobnych w ziemię klientów, że ich rezydencje miały ogromny „potencjał” do poprawy krajobrazu. „Ów Lancelot - zauważył kiedyś Hawke na jakimś przyjęciu - gdyby porzucił miejsce przy Okrągłym Stole, zrobiłby zawrotną karierę w reklamie”.

* *Capability* - ang. możliwość, zdolność, potencjał.

Kiedy stareńki Pelham otworzył w końcu wielkie dębowe drzwi, miał tak nieskończenie szczęśliwą minę, że Congreve aż go objął. Uścisnęli się mocno i aż popłakali się ze szczerzej radości, jaką obu sprawiło cudowne ozdrowienie Alexa Hawke'a.

- Gdzie on jest, Pelham? - wydusił z siebie Congreve. - Muszę to zobaczyć na własne oczy i dopiero wtedy uwierzę.

- Wrócił właśnie z porannej „przebieżki”, sir. Oddaje się też popołudniowym „przebieżkom”. Dziś rano pobiegł do kiosku w Upper Slaughter i z powrotem, tylko po to, żeby przynieść poranne wydanie „Daily Telegraph”. I nie miało najmniejszego znaczenia, że świeżutki egzemplarz czekał już na niego na stoliku w holu. Znajdzie go pan w sali bilardowej, sir. Samego. Gra w coś, co Amerykanie z nieznanymi mi powodów określają jako „pool”.

- Jak się czuje?
- Jak zmartwychwstały, sir.
- Zmartwychwstały? Doskonale określenie, Pelham, nie ma co. Nigdy nie wiadomo, kiedy przypomną o sobie twoje literackie geny Wodehouse'ów.

Pelham był dalekim krewnym błyskotliwego brytyjskiego satyryka i dramaturga P.G. Wodehouse'a.

- W rzeczy samej, sir. Nie mogę się doczekać, kiedy czeki z tantiemami zapchają skrzynkę pocztową.

Congreve ruszył po wielkich schodach w Hawkesmoor i na górze skręcił w prawo. Sala bilardowa znajdowała się w wielkim zachodnim skrzydle, na samym końcu bardzo długiego korytarza. Biegiem mijał niezliczone portrety zmarłych dawno przodków Hawke'a, w tym słynnego pirata Johna Black Hawke'a, zwanego Blackhawkiem, który jako pierwszy w XVIII wieku zaczął budować rodzinną fortunę, łupiąc wyładowane złotem hiszpańskie galeony w cieśninie przy półwyspie Floryda.

Wszedł do ciemnej sali bilardowej pełnej ciężkich mebli, w której czuć było palone od kilku wieków cygara i brandy. Zobaczył niewyraźną sylwetkę Hawke'a na tle jaskrawego światła wpadającego przez wielkie okno za jego plecami. Stał na końcu wielkiego mahoniowego stołu, pochylony nad zielonym suknem, i przymierzał się do trudnego strzału.

- Alex! - wykrzyknął Congreve, nie mogąc się powstrzymać na widok przyjaciela.

- Ciiii - odparł Hawke, nie podnosząc nawet głowy. - Daj mi sekundę.

Cofnął kij umieszczony w zagłębieniu między kciukiem i palcem wskazującym, po czym stuknął bilę koloru kości słoniowej, a ta bardzo delikatnie musnęła zieloną szóstkę i posłała ją gładko do bocznej łuzi z miłym i satysfakcjonującym puknięciem.

- Doskonały strzał - przyznał szczerze Congreve. Nie znał się oczywiście na bilardzie, ale potrafił dostrzec mistrzostwo.

- Zasluga zmarnowanej młodości - odparł Hawke z uśmiechem. - To twoja wina. Ty i Pelham potrzebowaliście krótszej smyczy. Weź kij, zagramy w ósemkę.

- Ja i gra w kulki? Czy ja wyglądam na barbarzyńcę? - odparł szorstko Congreve. Nie znosił sportu ani żadnej aktywności fizycznej poza jedną. Golfem. Golf wielbił i adorował, a kije i piłki były mu pocięchą.

Hawke odłożył kij na stojak i przeszedł przez salę do przyjaciela.

- Witajcie, posterunkowy - użył określenia, które były bóg całego Scotland Yardu uważał za szczególnie irytujące.

- Mój Boże - odparł Ambrose, mierząc przyjaciela wzrokiem od stóp do głów. - Naprawdę wróciłeś.

- Na to wygląda, nieprawdaż? - rzekł Hawke, wyciągając rękę.

Congreve zignorował ją i objął przyjaciela, waląc go po plecach z czystej radości. Rzeczywiście, jak zgrabnie określił to Pelham, Alex Hawke wyglądał jak „zmartwychwstały”. Powstał z martwych, choć może niedosłownie.

Świat omal nie stracił człowieka, jakiego ze świecą szukać. Congreve nie wytrzymał:

- Co, u licha, się stało, kiedy wyjechaliśmy z Dianą z Bermudów? Szczerze mówiąc, baliśmy się, że możemy cię więcej nie zobaczyć. W życiu nie widziałem takiej niezwykłej przemiany!

- Dzwonek alarmowy. Dosłownie.

- Słucham?

- W środku nocy obudził mnie dzwonek telefonu. Postanowiłem odebrać, zamiast go zignorować, tak jak robiłem to zwykle nocami. Ale chodźmy już, porozmawiamy o tym przy śniadaniu. Pelham przygotował w oranżerii prawdziwy bufet. Tam jest miło i słonecznie, a nie tak ponuro jak w tej szulerni.

- Prowadź, jestem głodny jak wilk. Po szybkiej jeździe zawsze burczy mi w brzuchu.

- Tylko mi nie mów, że słynna Żółta Zaraza wciąż jest na chodzie.

- Na chodzie? Śmiga jak złoto! W tym roku może wystartuję na niej w rajdzie oldtimerów w Goodwood. Sir Stirling Moss i pozostali chłopcy będą mogli powąchać dym z mojej rury.

Sala śniadaniowa mieściła się w dawnej oranżerii nakrytej kopułą ze szkła i delikatnego kutego żelaza. Pod ścianami stały trzymetrowe palmy w donicach. Pod błyszczącym szkłem Ambrose Congreve i jego odrodzony przyjaciel pałaszowali zdrowe śniadanie.

Jaja po benedyktyńsku, które jadł inspektor, wyglądały naprawdę smakowicie. Z kolei kromka pełnoziarnistego chleba posmarowana cienką warstwą dżemu malinowego na talerzu Alexa sprawiała ascetyczne wrażenie. Obaj pili gorącą herbatę, tyle że Hawke wybrał ziołową.

- Widzę, że naprawdę poważnie traktujesz ten nowy reżim? - zagadnął Congreve, wycierając serwetką usta.

Hawke w milczeniu popijał herbatę, wpatrzony gdzieś w niezbyt odległą dal. Był obecny ciałem, ale myślami odpłynął.

- Śmiertelnie poważnie.

- No to powiedz mi o tym niezwykłym telefonie, który zmienił twoje życie, bo zaraz oszaleję z ciekawości. Jestem gliniarzem. Nie znoszę nierozwiązanych zagadek.

- Ten telefon naprawdę mnie obudził - zaczął Hawke, patrząc na niego oczyma błyszczącymi od słońca, które wpadało do ośmiokątnej sali. - Dosłownie i metaforycznie.

- To znaczy?

- To znaczy, że naprawdę obudził mnie w środku nocy. I zmusił mnie, bym się opamiętał. O ile to oczywiście możliwe.

- Mogę wiedzieć, kto dzwonił?

- Możesz.

Congreve zmarszczył brwi, słysząc typową przekomarzanekę przyjaciela.

- No dobrze, zapytam raz jeszcze, bardziej dokładnie. Kto...

- Jego Książęca Mość księżę Walii.

- Sam księżę Walii?

- Tak.

- Czego chciał?

- Zadzwoił, żeby zaprosić mnie i kogo tylko uznam za stosowne na długi weekend do jego wiejskiej posiadłości w Highgrove. Załapałeś się, bo masz głowę nie od parady.

- Aha. Można więc założyć, że nie będzie to jak zwykle wypad na ryby, strzelanie i polowanie?

- Zdecydowanie nie.

Congreve oparł się wygodnie i zamyślił. Szybko doszedł do właściwego wniosku:

- Królewskiej rodzinie grozi coś poważnego?

- Hm. Jestem pod wrażeniem. Powinieneś zostać detektywem.

- Będzie tam ktoś jeszcze?
- Zobaczymy, ale nie zdziwiłbym się.
- Kiedy ruszamy do Highgrove?
- Możemy nawet zaraz.
- Alex?
- Słucham?
- Posłuchaj mnie uważnie, każdego mojego słowa. Ogromnie się cieszę, że wróciłeś. Mimo że ktoś musiał mocno nastraszyć rodzinę królewską, żeby tak się stało.

- Dziękuję. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego niż Karola, to nie wiem, czy zdołałbym się zebrać z....

- Ale to był Karol. I zadzwonił do ciebie, bo zna cię od dziecka. I wierzy tylko tobie. Nikt inny w tym kraju nie potrafi tego, co ty. Nikt. I Karol o tym wie.

- Proszę, nie bądź śmieszny.
- Alex?
- Co?
- Długo się nie widzieliśmy. Mówię z ręką na sercu, okropnie za tobą tęskniłem, chłopie. Sądzę, że mogę...

- Ambrose, na litość boską, opanuj się. Nie rycz jak pensjonarka. Jeśli nie zauważyłeś, znów idziemy na akcję. Na koniu i na polu bitwy płacz jest źle widziany.

Congreve się uśmiechnął.

Alex wrócił. Jak powiedział kiedyś doktor Watson o odmłodzonym Holmesie: „Znów stanął na mostku, z kordem w ręku, oczyma wpatrzonymi w daleki horyzont, wypatrując złej pogody albo wrażych żagli”.

Hawke istotnie wrócił, i to na dobre.

5.

Gloucestershire

Alex, chyba nie chcesz powiedzieć, że nie jedziemy do Highgrove Żółtą Zarazą? - rzekł Congreve, oglądając się tęsknie za ramię, kiedy

przechodzili obok jego ulubionego wozu, maślano-żółtego Morgana, który błyszczał i lśnił w porannym słońcu.

- Przykro mi, ale nie jedziemy do Highgrove Żółtą Zarazą - odparł Hawke. Szedł żwawo po omszałym bruku i pogwizdywał, jak zauważył Ambrose.

Pogwizdywał?

- A dlaczego nie, u licha? - zapytał Ambrose, lekko zasapany, bo próbował dotrzymać kroku Hawke'owi. - Myślisz, że królewska rodzina uzna, że stara dobra Zaraza jest nieodpowiednia? Zbyt wyzywająca? *Outré*? O to chodzi?

- *Outré*? Proszę, nie próbuj używać francuskiego w mojej obecności - odparł Hawke, zatrzymując się na chwilę, by obejrzeć się przez ramię. - Powinieneś co wieczór padać na kolana i dziękować Bogu, że nie masz najuboższego słownika na świecie, bo takowy mają wyłącznie cholerni Francuzi.

- Przypominam ci, że dowiedziałeś się o tym ode mnie.

Congreve nim wstąpił do londyńskiej policji, był wyśmienitym językoznawcą na Cambridge i nie pozwalał Hawke'owi o tym zapomnieć. Ambrose posiadał niezwykły dar - kiedy tylko ktoś się odezwał, potrafił określić jego pochodzenie z dokładnością do trzydziestu kilometrów, niezależnie od zakątka świata. Wiedzę o dialektach miał zakodowaną w głowie na stałe i dzięki synaptycznej perfekcji mózgu umiał sięgnąć po nią w każdej chwili.

Congreve potrafił wyciągać wnioski na podstawie najdrobniejszych szczegółów zachowania czy ubioru, które innym całkiem umykały. Ta intuicyjna potęga szybkiej dedukcji sprawiała, że tylko nieliczni potrafili zwodzić go dłużej niż przez chwilę. Dzięki tym zdolnościom odniósł sukces jako kryminolog i czuł wręcz obsesyjną więź z ponadczasowym bohaterem Conan Doyle'a Sherlockiem Holmesem. Ambrose prywatnie uważał, że on i Holmes byli ulepieni z jednej gliny.

Po drugiej stronie szerokiego parkingu w Hawkesmoor stał spory budynek z granitu z długim rzędem błyszczących ciemnozielonych drzwi garażowych. Kiedyś mieściły się tu stajnie. Stromy dach schodził pod ostrym kątem. Na poddaszu mieściły się pokoje, w których kiedyś sypiali stajenni.

Jako ośmiolatek Hawke uznał, że o wiele bardziej podoba mu się taki pokój i towarzystwo nieokrzesanych, skorych do zabawy

chłopców stajennych niż własna narożna komnata w zachodnim skrzydle Hawkesmoor. W końcu prośbą i groźbą przekonał Pelhama, by potajemnie przeniósł cały jego dobytek do jednej z niewielkich klitek nad stajniami.

Do nowego lokum zabrał dokładnie połowę książek, połowę żołnierzyków i połowę drewnianych modeli statków. Drugą połowę ziemskiego dobytku pozostawił w starym pokoju, by zachować pozory, że wciąż tam mieszka.

Nianie, mamki i inni członkowie służby dostali polecenie od Pelhama, by trzymać w tajemnicy wyprawdzkę młodego Alexa. Pelham rządził wówczas w Hawkesmoor żelazną ręką i jego słowo było prawem. Alex zaczął nosić ubrania, które dali mu jego nowi koledzy i każdego dnia widywano go, jak czyści boksy, czesze konie i reperuje uprząże razem ze stajennymi. Popołudniami można było podziwiać, jak w naciągniętej mocno na czoło wełnianej czapce uczy się, jak pokonywać przeszkody w pełnym galopie.

Koniuszy powiedział w tajemnicy jednemu ze swoich podwładnych, że młody Hawke „ma taki dryg do jazdy konnej, jakiego w życiu nie widział”.

I tak mały Alex wraz z Pelhamem utrzymywali zmianę lokum w tajemnicy przed dziadkiem Alexa. Chłopiec szczęśliwie mieszkał nad stajniami, póki nie wysłano go do szkoły Fettes w Edynburgu, gdzie rozpoczął edukację.

- Czym zatem pojedziemy? - zapytał przygnębiony Congreve.

Za drzwiami stajni kryła się bajkowa kolekcja aut i motocykli, między innymi zielony jaguar C, który brał udział w rajdach i ku zadowoleniu królowej w 1953 roku wygrał Le Mans, pokonując Amerykanina Briggsa Cunninghama. W kolekcji znajdował się także uroczy granatowy jaguar XK-140 Drophead Coupe z 1957 roku i ferrari 250 GT SWB w kolorze czerwieni rajdowej.

- Lokomotywą oczywiście - odparł Hawke, wchodząc do stajni przez jedno z otwartych drzwi.

- Dzień dobry, sir - powitał go staruszek w białym kombinezonie.

- Właśnie zatankowałem staruszkę do pełna.

- Uroczy poranek, George. Dziękuję.

Starszy mechanik z niezwykle krzaczastymi białymi brwiami i bokobrodami kończył przecierać lakier auta, którym Hawke poruszał

się na co dzień, kiedy bawił w Hawkesmoor. „Lokomotywą” nazywał pieszczotliwie stalowoszarego bentleya R-Type Continental z 1953 roku.

Modyfikowane przez lata auto dostało silnik Mark IV o pojemności 4,9 litra, kubełkowe fotele obciągnięte nową ciemnozieloną tapicerką Connolly. Kiedy dodano jeszcze turbinę od Arnotta, wyposażony w ten sposób potwór był w stanie wyciągać dobrze ponad dwieście kilometrów na godzinę.

Minął ponad rok, od kiedy ostatnio prowadził Lokomotywę, i od rana nie mógł się doczekać, aż usiądzie za kierownicą wielkiej szarej bestii.

Kiedy ruszyli w drogę do rezydencji księcia Karola w Highgrove, mieszczącej się w Doughton pod Tetbury, Hawke odezwał się:

- Rozumiem, że jeszcze nie byłeś w Highgrove?

- Nie, nie byłem nigdy w Highgrove, Alex, o czym doskonale wiesz - odparł Ambrose nieco poirytowany, bo wciąż miał mu za złe, że zostawili Żółtą Zarazę. - Ale muszę powiedzieć, że nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę dalej jego książęcej mości.

- Dalie?

- Tak. Wyobraź sobie, że w Highgrove mieści się jeden z najznamienitszych ogrodów w tym kraju. Rzadko otwierają go dla gości z zewnątrz. Jestem pewien, że dalej rosną tam znakomite. Ostatniej wiosny moje Brązowe Adonisy zajęły trzecie miejsce na wystawie kwiatów w Chelsea, wspominałem ci? Byłem bardzo rad. W „Country Life” zamieścili nawet moje całkiem niezłe zdjęcie. Droga May kupiła dwa egzemplarze, wycięła zdjęcia. Jedno wkleiła sobie do pamiętnika, a drugie zawiesiła na drzwiach lodówki.

- Przepraszam, przegapiłem ten numer.

- Nic się nie stało. Postaram się go znaleźć i ci wysłać.

- Wierz mi, nie mogę się już doczekać.

- Wreszcie wróciła utęskniona ironia.

- Ambrose, posłuchaj - przerwał mu Hawke, podnosząc głos, by nie dać się zagłuszyć przez stłumiony ryk silnika. - Ktoś, jakaś zorganizowana grupa, niezwykle sprytna i potwornie zdeterminowana, szykuje zamach na brytyjską monarchię. I stara się najwyraźniej od lat. Mocno wątpię, czy będziemy mieli czas na leniwe przechadzki

po ogrodzie i dyskusje o daliach.

- Alex, książkę Karol to ogrodnik najwyższej klasy. Tak się składa, że Highgrove to ogrodnicza mekka dla miłośników roślin z całego świata. Jestem pewien, że Jego Książęca Mość zrozumie moją nieodpartą chęć podziwiania jego pracy.

Hawke nie był w nastroju do przekomarzanek.

- Jestem pewien, że tematów do rozmowy wam nie zabraknie. Nie wiem tylko, czy bardziej zajmą was dalje, czy poważne zagrożenie życia królowej Anglii, dziedzica tronu i jego dwóch synów.

Congreve odparł:

- Muszę przyznać, że powrót twojego zabójczego sarkazmu w równym stopniu mnie irytuje, co cieszy. To kolejny dowód, że dochodzisz do siebie. A zatem powstrzymam się od dowcipnej odpowiedzi. Albo riposty, jak mawiają *en France*.

Hawke ugryzł się w język.

- Dobrze.

- Przepiękne słowo ta „riposta”, nie sądzisz?

Hawke zmierzył go wzrokiem, ale nie odpowiedział.

Wyglądało na to, że Congreve chce za wszelką cenę milczeć do końca krótkiej podróży. Hawke nie miał nic przeciwko. Dość uważnie wsłuchiwał się w niezwykle poruszającą symfonię odgrywaną przez silnik Lokomotywy i niskie dudnienie robionego na zamówienie układu wydechowego z dwoma tłumikami.

W jego uszach brzmiało to przyjemniej niż melodie Mozarta.

Tę zadumę przerwało mu nagle pojawienie się we wstecznym lusterku ciemnozielonego jaguara sedana, jakiegoś starszego modelu. Zauważył jego maskę na małej bocznej dróżce, gdzie czekał przed znakiem stop, niespełna półtora kilometra wcześniej. Teraz jechał za nimi. To akurat nie stanowiło problemu. Sęk w tym, że Lokomotywa pędziła sto pięćdziesiąt na godzinę po prostym odcinku drogi, a mimo to jaguar szybko się do nich zbliżał.

- Ambrose?

- Tak? - odezwał się wciąż naburmuszony inspektor.

- Zerknij, proszę, na samochód, który jedzie za nami, i powiedz mi, co widzisz.

Congreve odwrócił głowę i spojrzał przez tylną szybę.

- Ciemnozielony sedan, jakiś starszy model. Zdaje się, że jaguar. W środku czterech mężczyzn, dwóch z przodu, dwóch z tyłu.

- Zauważyłeś coś jeszcze?

- Dwie rzeczy. Wszyscy mają chyba na głowach czarne kominiarki. I jadą tą wiejską drogą równie wariacko jak ty.

- No właśnie. Przytrzymaj się czegoś, dobrze? Obok schowka w desce jest uchwyt.

- Alex, jedziesz i tak już dość szybko...

Hawke dodał gazu pod górę, a wielki silnik zaryczał. Zwiększył nieco dystans od ścigającego ich auta, ale kiedy wjechał na górę, od razu dostrzegł problem. W dole droga zakręcała ostro w prawo i dalej biegła przez gęsty las. Przyhamował przed zakrętem w ostatniej chwili i zobaczył we wstecznym, że kierowca jaguara robi to samo.

Hawke zwolnił, ale tylko tyle, by bezpiecznie wyrobić się na wąskiej i krętej drodze. Jaguar dodał gazu i wsiadł mu na ogon. Wiedział, że to nie zabawa. Jaguar był mniejszy i zwrotniejszy niż wielki Bentley, lepiej brał zakręty niż Lokomotywa. Na drodze wijącej się przez las nie miał szansy go zgubić.

- Wielki Boże! - wykrzyknął Congreve.

- Co? - odezwał się Hawke wpatrzony w drogę przed sobą i wyciskający ze starego auta, ile tylko się dało. Zawsze lubił szybką jazdę, lubił sprawdzać, co mu się uda i gdzie leżą granice jego możliwości.

- Jeden z nich staje w szyberdachu. Podnosi broń, Alex. Myślę, że powinieneś...

Słyszając, jak ołowiane kule uderzają o kufer ukochanej Lokomotywy, poczuł ucisk w sercu. I kolejny, kiedy zobaczył pajęczynki na tylnej szybie.

Congreve zaczął majstrować przy pasie bezpieczeństwa i mrużyć coś niezrozumiale.

- Co robicie, posterunkowy?

- Co robię? Rzucam się na podłogę, do cholery! Może nie zauważyłeś, ale chcę nas zabić,

- Uspokój się, dobrze?

- Uspokój? Tak powiedziałeś? Całkiem ci odbiło. Strzelają do nas! Nie tylko z szyberdachu, ale też z obu tylnych okien. Z broni maszynowej!

Hawke wcisnął mały srebrny guzik po lewej od obrotomierza. Przycisk uwolnił zatrząsk blokujący prawie niewidoczny panel wbudowany w orzechową deskę rozdzielczą i wysunęła się niewielka wyłożona skórą szufladka. W środku leżał niklowany rewolwer Colt Python 357 Magnum z dziesięciocentymetrową lufą. Przytrzymały go dwa zatrząskowe skórzane paski wokół lufy i kolby. Hawke odpiął paski, ale zostawił pythona na miejscu.

- Za jakiś kilometr wyjedziemy z lasu na kolejny prosty kawałek drogi. W schowku w desce rozdzielczej leży walther PPK, jeśli masz ochotę odpowiedzieć ogniem. Ale nie radzę.

- Odpowiedzieć ogniem? Tą zabawką?

- Czy możesz wstać z podłogi? Jeśli uderzymy w drzewo, połamiesz się bardziej, niż gdybyś siedział przypięty pasami. Nie muszę ci zresztą przypominać, że jazdę w pasach nakazuje kodeks drogowy.

- W fotelu? Oszalałeś, prawda? - prychnął Ambrose i nie ruszył się z podłogi.

- Spokojnie, Ambrose. Lokomotywa to chyba najlepiej opancerzony samochód w Anglii, być może poza oficjalnym Bentleyem królowej. Odporny na wszelkie strzały. Wzmocnienia instalował ten sam człowiek, który pracuje w królewskich garażach. W każdym oknie jest też kuloodporne szkło. Trzykrotnie laminowane ze zintegrowanymi kompozytami i poliwęglanowymi substratami. Dlatego właśnie nie zginąłeś. Przynajmniej na razie.

- Mówisz, że jesteśmy kuloodporni? - odezwał się Ambrose skulony pod deską rozdzielczą.

- Tak. Cieszysz się teraz, że nie pojechaliliśmy Żółtą Zarazą? Ale szczerze.

- Kto, na Boga, mógłby chcieć nas zabić?

- Zastanówmy się - odparł Hawke, obserwując jaguara, który we wstecznym lusterku zaczął podjeżdżać go do lewej. - Rosjanie? KGB? Pewnie są na mnie wkurzeni, że zlikwidowałem ich nowo ogłoszonego cara. Chińczycy nigdy za nami nie przepadali, zwłaszcza od kiedy wysadziliśmy im część Tamy Trzech Przełomów na Jangcy. Koreańczycy z Północy też...

Congreve wgramolił się na fotel i natychmiast zobaczył czerwono-białe barierki blokujące drogę ponad kilometr przed nimi.

- Co to za barierki? - zapytał, widząc, z jaką szybkością się do nich zbliżają. - Ochrona z Highgrove?

- Nie. Ostrzeżliby mnie wcześniej. To musi być sprawka tych tutaj. Chcą nas zagonić w pułapkę. I dobić, jeśli będzie trzeba. Trzymaj się.

Jaguar zrównał się z Lokomotywą po stronie Congreve'a,

- Zsuń się poniżej okna i nie wychylaj się! - polecił mu Hawke i lewą ręką chwycił pythona z szufladki. Widząc ciężki rewolwer, Congreve zsunął się i pochylił głowę znacznie poniżej okna. Zamaskowany bandyta na tylnym siedzeniu ostrzelał okno od strony pasażera gradem kul. Żadna się nie przebiła.

Kiedy niedoszły zabójca przerwał, żeby przeładować broń, Hawke opuścił szybę od strony pasażera. Złapał pewnie kierownicę prawą ręką. Żeby się udało, bentley musiał jechać jak po sznurku.

Oba samochody pędziły ponad sto sześćdziesiąt na godzinę, przez co strzał wydawał się jeszcze bardziej interesujący. Żelaznym uściskiem na kierownicy prowadził pewnie wielki wóz. Szybko podniósł lewą rękę i namierzył strzelca. Pociągnął spust colta dwa razy. Wpakował dwie kule w czoło drania, który właśnie przymierzał się do kolejnej serii. Skończył z nim raz na zawsze. Pewnie narobił krwawego bałaganu na tapicerce jaguara.

Hawke podniósł z powrotem całkowicie popękane okno, odłożył pythona, a szufladka złożyła się i zniknęła w desce rozdzielczej.

- Trzymaj się, przebiję się przez to.
- Co? Nic nie słyszę! Popękały mi przez ciebie bębni!
- Mówiłem, że będę przyspieszał!
- Alex, jeśli jeszcze raz powiesz „trzymaj się”...

Hawke dodał gazu, patrząc, jak strzałka prędkościomierza zbliża się do stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przed sobą mieli barykadę, która szybko się zbliżała. Za nią stali dwaj zakapturzeni mężczyźni z bronią gotową do strzału. Za nimi częściowo na drodze stał jakiś stary wóz, może rover, z szeroko otwartymi drzwiami. Droga była prosta i Hawke przycisnął gaz do dechy. Lokomotywa szarpnęła do przodu, a wyjąca turbina Arnotta uniemożliwiała rozmowę. Strzałka prędkościomierza musnęła dwieście kilometrów na godzinę i pełzła dalej.

- Nie zatrzymasz się? - krzyknął Congreve.
- Nie! Przejedziemy przez nich - odkrzyknął Hawke. - Wjazd do Highgrove jest mocno obstawiony przez służby. Ci za nami nie będą chcieli się tam zbliżyć.

- Zabijesz tych dwóch ludzi!

- Z całą pewnością spróbuję - obiecał Alex solennie, zerkając na przyjaciela. Jeśli Congreve potrzebowałby kolejnego dowodu, że mówi prawdę, wystarczyło spojrzeć w jego kamienne oczy. Hawke pochował ból, pochował cierpienie, pochował dawne dni. Świat próbował zagłodzić bestię kryjącą się w tych oczach, ale mu się nie udało.

Congreve, któremu wciąż dźwięczało w uszach, zacisnął powieki i przygotował się do uderzenia.

Hawke pędził na złamanie karku, mimo że przednia szyba pokryła się siatką pęknięć od kul zza barykady. Strzelano do niego z przodu i z tyłu. Niezrażony ustawił samochód na pasie pośrodku drogi i wyceLOWAŁ prosto w dwóch napastników na drodze, czekając, aż uskoCZĄ.

Albo i nie.

W ostatniej sekundzie jeden ze strzelców rzucił się w bok.

Drugi nie ruszył się z miejsca, stojąc okrakiem na wymalowanych pasach, niezłomnie strzelał prosto w szybę pędzącego bentleya.

Jego życie zakończyło się przy dwóch niewielkich, ale wyraźnych podskokach potężnego auta, które pędząc z szybkością dwustu kilometrów na godzinę, rozjechało go najpierw przednimi, a potem tylnymi oponami.

Sekundę później lewy przedni zderzak rozpędzonej Lokomotywy zawadził o tył rovera i posłał go w przydrożne krzaki niczym zabawkę rzuconą przez dziecko. Hawke spojrział w boczne lusterko i zobaczył, że auto uderzyło w pień wielkiego dębu i stanęło w płomieniach.

Wyjął komórkę, wybrał numer z podręcznej listy i podał telefon inspektorowi:

- To ochrona przy wjeździe do Highgrove. Powiedz im dokładnie, co się stało, i poproś, żeby zawiadomili miejscową policję i MI-5. Powiedz, że dojedziemy za niespełna kwadrans. Swoją drogą, niewiele widać. Trzymaj się.

Congreve opowiedział wszystko strażnikom z Highgrove. I trzymał się ze wszystkich sił.

6.

Londyn, rok wcześniej

Dr Sahira Karim spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma w sobotę wieczorem. Zamiast być tam, gdzie powinna być, albo przynajmniej gdzie bardzo chciała być, czyli na lotnisku Heathrow, gdzie jej narzeczony Anthony oczekiwał na nocny lot do Nowego Jorku, siedziała przy swoim zagraconym biurku w Thames House*. Leżały przed nią sterty zapisów rozmów z telefonów komórkowych i raportów z obserwacji wywiadowczej.

* Thames House - budynek, w którym mieści się londyńska centrala kontrwywiadu MI-5.

Zapowiadała się długa noc.

Przynajmniej widok miała niezły - z narożnego gabinetu, do którego niedawno się przeprowadziła, roztaczał się niezwykle widok na Tamizę płynącą tuż po lewej pod zgrabnymi łukami mostu Lambeth. Dziś most iluminowały brnące w korkach samochody. Drżące aureolki białych reflektorów i błyskające od czasu do czasu światła stop krzyżowały się w powietrzu przesiąkniętym londyńską mżawką.

Ukończony w 1930 roku Thames House, szacowny kompleks budynków rządowych, gdzie dr Karim pracowała od ukończenia studiów, został zaprojektowany w „imperialnej neoklasycznej” tradycji sir Edwarda Luytensa. Ogromny kompleks zajmowany przez MI-5, czyli Piątkę, jak powszechnie nazywano brytyjski kontrwywiad, był dużo nowocześniejszy niż poprzednie siedziby tajnych służb przy Curzon Street, a później przy Gower Street 140.

Niemal dokładnie na drugim brzegu Tamizy, przy nabrzeżu Alberta 85 w Vauxhall, stała centrala siostrzanej agencji wywiadowczej - MI-6. Tamten budynek był bezwstydnie współczesny, kontrowersyjny architektonicznie. Czasami koleżeństwo z drugiej strony rzeki

nazywało go „Legolandem”.

Brytyjskie tajne służby składają się z dwóch wyraźnie oddzielonych części: MI-6, która zajmuje się wywiadem zagranicznym i sprawami bezpieczeństwa, oraz MI-5, która zajmuje się wyłącznie sprawami krajowymi, w tym Irlandią Północną. Pracę obu stron mocno skomplikował 11 września i narastająca fala islamskiego radykalizmu. Stąd nawał pracy w sobotni czwartkowy wieczór pełen deszczu.

Dr Karim była zjawiskową kobietą - wysoka, o oliwkowej skórze, błyszczących czarnych włosach opadających na ramiona, pełnych czerwonych ustach i ciemnych, wilgotnych oczach ukrytych pod długimi czarnymi rzęsami. Ubierała się tradycyjnie, jak przystało kobiecie na jej stanowisku, ale zawsze nosiła coś zaskakująco kolorowego wokół szyi - szkarłatny szal czy jaskrawożółtą jedwabną apaszkę. Urodziła się około trzydziestu lat wcześniej jako jedyne dziecko w ponurych slumsach Nowego Delhi. Kiedy miała dziesięć lat, wyjechała z rodzicami do Londynu, gdzie zamieszkali w maleńkim mieszkanku w Fulham. Pokochała Londyn od pierwszego wejścia i wtopiła się w to miasto.

Od czasów ubogiego dzieciństwa w brudnych zaułkach Sahira awansowała społecznie. Niedawno została mianowana nowym dyrektorem wywiadu krajowego w MI-5. Jej głównym zadaniem było pilnowanie grup terrorystycznych związanych z Irlandią Północną oraz ugrupowań radykalnych islamistów, których wiele namnożyło się w Londynie i całym kraju. Od czasu niedawnych zamachów w londyńskim metrze i autobusach wszyscy w budynku żyli w wiecznym napięciu, czekając na kolejny atak.

Wydział antyterrorystyczny w MI-5 pod kierownictwem Sahiry udaremnił sporo potencjalnie groźnych zamachów bombowych, ale poza Thames House nikt o tym nie wiedział i nigdy miał się nie dowiedzieć. Jednym z głównych atutów Sahiry w tej pracy było jej przygotowanie naukowe w dziedzinie broni jądrowej i konwencjonalnej.

Oprócz fakultetu ze spraw międzynarodowych dr Karim miała doświadczenie w fizyce jądrowej i inżynierii. Czasami też parała się projektowaniem broni w MI-5. Najbardziej dumna była z „roboty wojennego”, czyli Bezzałogowego Pojazdu Naziemnego, który

nazwała UGG. Powstało ich kilka i wykorzystywała je brytyjska armia w Afganistanie. Oprócz broni i kamer UGG miał czujniki do wykrywania trujących gazów, rozpylanych w powietrzu bakterii czy skażenia promieniotwórczego.

Miała właśnie na tapecie bardzo niepokojącą sprawę odłamu IRA, określającego się jako „Prawdziwa IRA”. Nie zważając na długo-trwałe zawieszenie broni po Porozumieniu Wielkopiątkowym*, nowa komórka IRA mocno burzyła spokój w Irlandii Północnej. Mieli prostą strategię: jeśli uda im się zabić dość brytyjskich żołnierzy, członków byłej Królewskiej Brygady z Ulsteru, oraz cywilów, z całą pewnością doprowadzą do zemsty lojalistów i wzniesienia na nowo krwawych zamieszek na rzecz zjednoczenia Irlandii.

* Porozumienie Wielkopiątkowe - porozumienie pokojowe między rządami Wielkiej Brytanii i Irlandii, zawarte 10 kwietnia 1998 roku, poparte przez główne partie polityczne Irlandii Północnej.

Rok wcześniej republikańscy dysydenci zamordowali dwóch brytyjskich żołnierzy. Całkiem niedawno odkryto ważącą ponad trzysta kilogramów bombę zakopaną tuż pod wioską Forkhill w południowej części hrabstwa Armagh w Irlandii Północnej. Miał od niej zginąć patrol sił policyjnych Irlandii Północnej. Dr Karim i jej oddział saperów z MI-5 zdołał ją znaleźć i rozbroić tuż przed eksplozją. Gdyby wybuchła, zabiłaby i raniła wiele osób, ale też doprowadziłaby do gwałtownego odwetu i nowej fali przemocy.

Codziennie pojawiały się nowe i coraz liczniejsze groźby z Irlandii Północnej i świsłały nad głową Sahiry niczym ostrze kosy.

Na miejscu z kolei musiała zmagać się z terrorystami z radykalnych ugrupowań islamskich, dziećmi imigrantów, urodzonych już w Wielkiej Brytanii. Od koszmarnych zamachów w londyńskim metrze i autobusach latem 2005 roku wydział Sahiry obserwował pilnie wszelkie podejrzane działania we wschodnim Londynie zamieszkałym przez wielu Pakistańczyków, a także robotnicze miasta, takie jak Leeds i Birmingham.

Po latach doświadczeń wiedziała, że ta niezwykle zmienna populacja krajowych muzułmanów wymagała stałej czujności i niekończącej się obserwacji. Wielka Brytania stała się domem dla

największej w Europie populacji arabskich imigrantów, wiecznie w stanie wrzenia. I wiecznie grożącej wybuchem.

Dlatego właśnie siedziała tu dziś wieczorem, zamiast żegnać Tony'ego na Heathrow. Z narzeczonym zdołali zjeść szybki poze-gnalny obiad w Ivy, a Tony obdarował ją uroczym naszyjnikiem ze starych pereł, kupionym w Asprey's, ale mimo wszystko... Już za nim tęskniła. Mieli się pobrać za niecały miesiąc.

Anthony Soames-Taylor, wysoki rangą minister w rządzie, zwykle urzędował przy Downing Street. Ale teraz wyjeżdżał do Waszyngtonu na całe trzy tygodnie. Miał wziąć udział w serii tajnych spotkań z CIA na temat wspólnych angielskich i amerykańskich działań zapobiega-jących użyciu broni masowego rażenia w warunkach miejskich. Te nadzwyczajne posiedzenia zwołano po tym, jak z Pakistanu i Afga-nistanu nadeszły najnowsze informacje wywiadowcze.

Głównym źródłem niepokoju zachodnich wywiadów była moż-liwość przejęcia władzy w niestabilnym Pakistanie przez radykalnych islamistów. Radykalne ugrupowania zyskałyby bezpieczną bazę, ponadto w ręce zaprzysięgłych wrogów Zachodu wpadłoby co naj-mniej sto ładunków nuklearnych.

Skutki byłyby oczywiście opłakane. Nie dość, że powstałby ko-lejny zbuntowany reżim z bronią atomową, to terroryści w Ameryce i Wielkiej Brytanii dostaliby sygnał zachęcający do zwiększenia przemocy.

Sahira wczytywała się w zapis rozmów, kiedy jeden z dwóch te-lefonów na jej biurku zaczął migać na czerwono. Cholera. Dzwonił dyrektor generalny MI-5 lord Malmsey. O tej porze w sobotę nie mógł dzwonić z dobrymi wieściami.

- Dr Karim - odezwała się radośnie, podniósłszy słuchawkę.
- Sahiro, dobrze, że cię złapałem. Mamy problem. Jeszcze nie wiem jak poważny, ale potencjalnie groźny. Musisz się natychmiast włączyć. Jesteś zajęta?
- Nie, sir, absolutnie. Czym mogę służyć?
- Już mówię, o co chodzi. Z jednego ze stanowisk do odprawy bagażowej British Airways w terminalu czwartym na Heathrow do-staliśmy krótki sygnał alarmowy. Ale oglądam właśnie film na żywo z kamer przemysłowych i nie widzę niczego nadzwyczajnego.
- Ktoś wcisnął guzik przypadkowo?

- Być może. Mimo wszystko rozmawiałem już z szefem ochrony na Heathrow i nakazałem naszej ekipie z lotniska zwiększyć poziom gotowości do jedyńki. Mają czekać, póki nie dowiemy się, co się dzieje. Oczywiście to może być fałszywy alarm. Stała ochrona na Heathrow także została postawiona w stan gotowości. Nikt nie wchodzi do akcji, póki nie ocenimy poziomu zagrożenia.

- W czym mogę pomóc, sir?

- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. O ile pamiętam, na porannym spotkaniu mówiłaś, że twój narzeczony leci dziś do Waszyngtonu o wpół do dziesiątej wieczorem. Zgadza się?

- Tak, sir. Teraz Anthony pewnie przechodzi odprawę w terminalu czwartym.

- Jak rozumiem, leci pierwszą klasą?

- Nie, sir. Tony zawsze lata ekonomiczną. Twierdzi, że tolerowanie płaczących dzieci wzmacnia charakter. Na pewno jest w głównej hali odlotów.

- Zadzwoń na jego komórkę. Porozmawiajcie sobie, pożegnajcie się. Ale zapytaj go, czy nie widzi wokół czegoś podejrzanego. Czegokolwiek, na co powinniśmy zwrócić uwagę. Nie przeraż go, nie wzbudź paniki. Powiedz tylko, że dostaliśmy dziwne zgłoszenie i sprawdzamy je, choć pewnie to nic takiego. Sama wiesz najlepiej. Oddzwoń, jak tylko z nim porozmawiasz.

- Oczywiście - odpowiedziała. Odłożyła słuchawkę i chwyciła torebkę, by wytrząsnąć z niej komórkę. Po chwili już pędziła do drzwi. Jej czarny mini stał na podziemnym parkingu w Thames House. Miała zamiar zadzwonić do Anthony'ego, już jadąc na Heathrow. O tej porze w weekend może tam dotrzeć w niecałe pół godziny. W samochodzie nastawi sobie stację BBC World News i będzie monitorować sytuację.

Z piskiem opon pokonywała kolejne kondygnacje niekończącego się podziemnego parkingu. Wykręciła numer do Anthony'ego za pomocą zestawu głośnomówiącego bluetooth.

- Hallo?

- Anthony, kochanie, to ja. Już za tobą tęsknię, jeśli to nic zdrożnego. Wszystko w porządku?

- Tak, tak. Ja też właśnie za tobą zatęskniłem, jeśli nie zabrzmi to żałośnie.

- Nie, nie. Dobrze. Tęsknota to dobra rzecz. Słuchaj, kilka minut temu dostaliśmy sygnał, że w terminalu czwartym może coś się dziać. Nic podejrzanego nie zwróciło twojej uwagi?

- Nie. Widzę tylko uroki współczesnych podróży lotniczych i tych parę osób, które mają szczęście stać w kolejce. Wiję się w ludzkim węzlu, który w końcu rzuci mnie w paszczę tak zwanej kontroli bezpieczeństwa, gdzie będę musiał posłusznie zdjąć buty i przejść na paluszkach po kwiatowym dywanie. Myślę, że zaoszczędzilibyśmy mnóstwo czasu, gdyby każdy od razu szedł przez te bramki nago i ubierał się po drugiej stronie, nie sądzisz?

- OK, świetnie. W takim razie nie ma powodów do niepokoju. Ale, kochanie, jeśli zauważysz cokolwiek, choćby tylko trochę dziwnego, zadzwoń od razu na moją komórkę, dobrze?

- Tak, oczywiście. Jeśli się nie odezwę, to zadzwonię już rano, po wylądowaniu na JFK. Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Sahira zredukowała bieg i szybko wyjechała z parkingu, biorąc zakręt prawie na dwóch kołach.

Pan i pani H.D. Boothby, lecący pierwszą klasą do Nowego Jorku lotem 44 linii British Airways, byli następnymi w kolejce do odprawy. Przyjechali do Londynu na tydzień, zatrzymali się w hotelu Claridge, zwiedzali, chodzili na zakupy i do teatru. Dziś wracali do domu, bo Henry następnego dnia o pierwszej po południu był umówiony na partyjkę golfa na Long Island.

- Henry - szepnęła Dottie Boothby do męża. - Zauważyłeś, że ten człowiek za nami jest jakiś dziwny? Nie oglądaj się teraz...

Henry Boothby niby przypadkowo obejrzał się przez prawe ramię i zobaczył najzwyczajszego pod słońcem młodego chłopaka, jeszcze przed trzydziestką, nieźle ubranego - ciemny garnitur, biała koszula, granatowy krawat. W uchu miał słuchawkę - jak to się mówi? - bluetooth - i mówił do małego mikrofonu sięgającego w pobliże ust. Chłopak dostrzegł wzrok Henry'ego i uśmiechnął się, całkiem przyjaźnie. Nie przerywał cichej rozmowy przez komórkę.

Henry odwrócił się do żony:

- Nie. Wygląda na przyzwoitego młodzieńca.

- Pachnie.

- Jak to pachnie?
- To znaczy śmierdzi. Henry, wygląda, jakby nie kąpał się od miesiąca. O to mi chodzi.

Mąż pochylił się do niej i uśmiechnął.

- Dottie, ja nic nie czuję. Masz po prostu zbyt wrażliwy nos i tyle...

- Wiesz, co to jest? Powiem ci. Oblewa go pot ze strachu i to dlatego.

- Dottie, gdybym nie znał cię lepiej, posądziłbym cię o rasizm. A przecież wiem, skarbie, jak bardzo jesteś na tym punkcie...

- Następna osoba, proszę - odezwała się atrakcyjna przedstawicielka BA. Na plakietce z nazwiskiem miała napisane „Rosetree”.

Idealna angielska róża, pomyślała Dottie Boothby - złote włosy upięte elegancko na czubku głowy, słodkie niebieskie oczy, różowe rumieńce na świeżych policzkach. Szukała wzrokiem obrączki i ze zdumieniem stwierdziła, że żaden zuchwały młodzieniec nie zdobył jeszcze tego trofeum.

Państwo Boothby podeszli do stanowiska i pokazali paszporty. Świetnie wyszkolona dziewczyna obsłużyła ich szybko i przyjaźnie. Minutę czy dwie później, ściskając w rękę karty pokładowe, szli, by stawić czoło współczesnemu koszmarowi lotniskowej kontroli bezpieczeństwa.

- Zaraz poszukam ochroniarza - powiedziała pani Boothby, kiedy odeszli od stanowiska.

- Po co?
- Powinno się zgłaszać wszelkie podejrzone sprawy.
- Dottie, nie bądź śmieszna. Możesz zgłosić, że ktoś się podejrzenie zachowuje, ale nie możesz donieść, że ktoś podejrzenie pachnie.

- Następną osobę poproszę - odezwała się Allison Rosetree, kiedy przekomarzający się państwo Boothby wtopili się już w tłum w hali odlotów.

- Dobry wieczór - powiedział młody człowiek, kładąc przed nią brytyjski paszport. Zobaczyła, że ma ze sobą średniej wielkości aluminiową walizkę na kółkach i z rączką. Ona również poczuła silny zapach ciała i dostrzegła delikatną warstwę potu na twarzy. To na pewno strach przed lataniem - wyjaśniła sobie.

Panna Rosetree rutynowo przeciągnęła paszport przez skaner, uśmiechnęła się, widząc wynik, i powiedziała:

- Ma pan miejsce 3A, przy oknie, panie Mahmood. Pokład będzie otwarty dopiero o dwudziestej pierwszej, więc kiedy przejdzie pan przez kontrolę bezpieczeństwa, zapraszamy do saloniku Speedwing dla pasażerów pierwszej klasy. Wygląda na to, że lot przez Atlantyk odbędzie się bez przeszkód i samolot wyląduje w Nowym Jorku o ósmej rano czasu Wschodniego Wybrzeża. Chce pan nadać bagaż czy zabiera go pan na pokład?

- To nie bagaż - odparł Mahmood, a skromny uśmiech nagle zniknął mu z twarzy.

- Słucham?

- To nie bagaż.

- Dałabym słowo, że to bagaż - odezwała się z zawodową ostrożnością. Zaczęła mieć poważne wątpliwości co do tego pasażera. Pochylił się do niej i odezwał się prawie szeptem:

- Tak naprawdę to bomba.

- Proszę?

- Słyszałaś.

- Proszę powtórzyć. Chyba musiałam źle zrozumieć.

- Słuchaj uważnie. To bomba. Dwadzieścia pięć kilo bardzo silnego ładunku wybuchowego. Zamknij natychmiast to stanowisko. Powiedz ludziom za mną, że właśnie kończysz odprawę.

Popatrzyła mu w oczy, zamilkła na chwilę, po czym odezwała się do pasażerów czekających w kolejce:

- Przepraszam państwa, to stanowisko zostaje tymczasowo zamknięte. Moi koledzy po lewej z radością się państwem zajmą.

Rozległo się narzekanie, ale pasażerowie niczym wyszkolone stado owiec, którym się stali, przeszli do innych stanowisk.

Rosetree pochyliła się nad blatem i szepnęła mocno do pasażera:

- Panie Mahmood, muszę panu powiedzieć, że za takie dowcipy, bo mam nadzieję, że to dowcip, można z miejsca trafić za kratki. Czy pan jest trzeźwy? A może bierze pan narkotyki na receptę? Jest pan całkowicie świadom tego, co pan przed chwilą powiedział?

- Panno Rosetree, proszę uważnie słuchać. Jest nas siedmiu na terenie terminalu czwartego. Dwóch w części odpraw pierwszej klasy

i pięciu w głównej hali. Każdy z moich braci ma ze sobą identyczne urządzenie jak to, które pani widzi tutaj. Jesteśmy nie do wykrycia. Mamy legalne paszporty. Stale rozmawiamy przez słuchawki bluetooth. Całej naszej rozmowy słucha pozostałych sześciu braci-mężczynek.

- Cóż... - Opuściła lewą rękę i przesunęła palec w stronę guzika alarmowego pod terminalem komputerowym.

- Ręce na klawiaturę. Natychmiast. Wiem, że macie też możliwość włączenia alarmu stopą. Jeśli ja lub któryś z kolegów zauważymy jakiegokolwiek agresywne działania ochrony lotniska albo brytyjskich sił bezpieczeństwa, natychmiast zdetonujemy nasze ładunki za pomocą guzika, takiego jak ten w wyciąganej ręczce mojej walizki. To detonatory. Widzi pani?

- Tak.

- Świetnie. A teraz proszę zachować spokój i robić to, co mówię. Jeśli pani posłucha, nikt nie zginie. Zrozumiano?

- Tak.

- Proszę zadzwonić pod ten numer w centrali telewizji BBC. Odbierze Simon McCoy, główny wydawca BBC World News. Jeden z moich kolegów już z nim rozmawiał i czeka na pani telefon. Proszę się przedstawić i powiedzieć, że ma pani pasażera, który chce, żeby go natychmiast przełączono na antenę na żywo, do prezenterki Gail Sherrington. Mam przesłanie dla Brytyjczyków. Jeśli pan McCoy nie zgodzi się na współpracę, terminal czwarty na Heathrow przestanie istnieć. Rozumiemy się?

Kiwnęła głową. W tej surrealistycznej chwili zmaterializowały się wszystkie jej najgorsze koszmary.

Podał jej złożoną karteczkę z wypisanym numerem telefonu. Panna Rosetree podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Natychmiast odebrał jakiś mężczyzna.

- Mówi Simon McCoy.

- Panie McCoy, podobno czeka pan na telefon. Jestem przedstawicielką British Airways, nazywam się Rosetree. Mam tu pasażera, który chce wygłosić mowę za pośrednictwem państwa prezenterki Gail Sherrington. Jest pan świadom, co się stanie, jeśli pan odmówi?

- Tak. Proszę go przełączyć. Panna Sherrington jest w studio, na żywo, i czeka na ten telefon. Rozumie całą sytuację.

Podawała słuchawkę blademu terrorysty. Wziął telefon w lewą rękę, a prawą trzymał na ręczce walizki, z palcem wskazującym tuż nad guzikiem.

- Panno Sherrington, czy rozmawiamy na antenie? Na żywo?
- Tak.
- Macie moje zbliżenie z kamer przemysłowych?
- Tak.
- Co mam na sobie?
- Ciemny garnitur, białą koszulę i ciemny krawat.
- Dobrze. Przejdźmy do rzeczy.
- Proszę nikomu nie robić krzywdy. Damy panu tyle czasu antenowego, ile pan sobie życzy.
- Chcę się zwrócić do narodu brytyjskiego w imieniu moich rodaków zarówno tutaj, jak i w naszej ukochanej ojczyźnie, Pakistanie. Przybyliśmy do was z wielkimi nadziejami i otwartymi sercami. Spotkało nas jedynie upokorzenie i krytyka. Nasze nadzieje zgasły, a serca się zamknęły przez waszą okrutną obojętność na nasze marzenia o lepszym życiu. W naszej ojczyźnie wasi żołnierze zabijają naszych braci i siostry, codziennie ostrzeliwiają niewinnych mieszkańców Afganistanu i Pakistanu. Nasze dzieci umierają codziennie w pożarach po waszych bombach.

W naszym rodzinnym Pakistanie godzimy się tylko na rządy talibów i prawo szariat. A dopóki nie zginie ostatni niewierny, dopóki wszyscy brytyjcy żołnierze nie wyjadą z naszej przesiąkniętej krwią ziemi, my, Miecz Allacha, będziemy prowadzili nasz dżihad przeciw ciemności tu w Wielkiej Brytanii i w naszej ojczyźnie. Potraktujcie to jako pierwsze ostrzeżenie. To dopiero początek. Nie ma Boga ponad Boga. Jesteśmy Mieczem Allacha! Allahu Akhbar! Allahu Akhbar! Allahu...

Sahira pędziła właśnie po krętej rampie prowadzącej do hali odlotów terminalu, czwartego, kiedy niezmierny wybuch wstrząsnął ziemią, a niebo wokół zapłonęło ogniem - oślepiła ją jaskrawa pomarańczowa kula. Szarpnęła mocno kierownicą, by uciec przed londyńskim autobusem, który miotał się gwałtownie, bo kierowca stracił nad nim panowanie.

Odbiła się od barierki, otarła bokiem o zaparkowaną czarną takówkę, obróciła się, uderzyła w betonową zaporę i znów trafiła na

drogę, a kierownica boleśnie uderzyła ją w piersi. Ślizgiem szła na zderzenie z autobusem, który nagle wyniosło w powietrze i leciał na nią całkowicie ogarnięty płomieniami. Uwięziona za kierownicą mogła tylko patrzeć z przerażeniem.

Ku jej zdumieniu czas nagle drastycznie zwolnił. Wszystko działo się wolniej niż w filmach przy zwolnionym tempie, niemal zamarło w bezruchu. Sahira widziała wyraźnie pasażerów autobusu. Część mężczyzn, kobiet i dzieci płonęła, przewracała się w środku. Wyglądali jak płonące szmaciane lalki uwięzione w wirującym samochodzie rzuconym w powietrze. Autobus zmierzał prosto w stronę jej samochodu.

Nigdy nie czuła się tak bardzo w rękach Boga jak w tamtej chwili.

7.

Gloucestershire

Rezydencję Highgrove, której książe Karol był właścicielem od 1980 roku, kupiło mu Księstwo Kornwalii. Ta nieoczekiwana transakcja podsycała narodowe spekulacje, że książe Walii naprawdę poważnie rozważa ślub z uroczą Dianą Spencer. Przystojny książe i jego zarumieniona narzeczona nie schodzili z pierwszych stron gazet rozpisujących się o ewentualnym małżeństwie. Wszystko wydawało się na jak najlepszej drodze, a jednak...

Być może rzeczywiście byli dla siebie stworzeni, jak z góry uznał rozgorączkowany naród. Oczy całego świata znów skierowały się na Wielką Brytanię, tak jak na to zasługiwała. Ludzie mieli serca przepełnione dumą i żyli pełni optymizmu jak nigdy wcześniej, a już na pewno nie od koronacji Elżbiety II w 1953 roku Dla Anglii był to dar z niebios.

Prawdziwa bajka.

Dziś rezydencja Highgrove to czynne gospodarstwo. Składa się z położonego na wzgórzach parku otoczonego gęstym lasem. Na obszarze około trzystu sześćdziesięciu hektarów ziemi ornej stało wiele

budynków gospodarskich. Bydło hodowane w Highgrove należy do rasy Aberdeen-Angus i dzieli pastwiska ze stadem owiec rasy Masham i Mule. Ogrody, które tak zainteresowały inspektora Congreve'a, dzieliły się na część dziką, część pielęgowaną i otoczony murem ogród przydomowy. Wszystkie zaprojektował sam książę Walii.

Karol powiedział kiedyś, że ten dom ma „karmić ziemię, ogrzewać serce, cieszyć oko”. Z całą pewnością udało mu się to osiągnąć, a nawet znacznie więcej - pomyślał Ambrose, rozglądając się wokół, nie mogąc się doczekać bliższych oględzin.

Dom wybudowany w 1798 roku był klasyczną trzykondygnacyjną rezydencją w stylu regencji, ani trochę spektakularną. Raczej prosta elewacja została odnowiona przez Karola, który dodał nową balustradę, nowy fronton i klasyczne kolumny zaprojektowane dla samego księcia.

Alex Hawke podjechał bentleyem pod porte-cochere przy frontowym wejściu i wysiadł, żeby ocenić stan ukochanego auta. „Znaczne uszkodzenie” byłoby sporym niedopowiedzeniem. Przeciągnął dłonią po jeszcze ciepłej masce, jakby pocieszał rannego towarzysza broni.

Detektyw z sekcji specjalnej, członek S014, czyli specjalnego oddziału Scotland Yardu przydzielonego do ochrony rodziny królewskiej, zerknął na poważnie zniszczony samochód i podbiegł natychmiast do Hawke'a.

- Sir! Słyszałem o ataku na drodze. Nic się panom nie stało?
- Nie, raczej nic. Dzięki Bogu ten staruszek jest mocno opancerzony. Zawiadomiliście już MI-5?
- Tak się składa, sir, że dyrektor wydziału antyterrorystycznego MI-5 jechała do Highgrove tą samą drogą, dosłownie kilka kilometrów za wami. Pani Sahira Karim jest już na miejscu zdarzenia, a połowa policjantów z Gloucestershire jest w drodze. Z tego co wiem, znaleziono zwłoki jednego niezidentyfikowanego mężczyzny, pięciu innych uciekło samochodem. Drugi wóz stoi spalony na miejscu. Przekazaliśmy policji pańskie opisy, już ich szukają.
- Ogłosiliście tutaj alarm? Wątpię, by w okolicy kręcili się jeszcze jacyś inni, ale całkowicie bym tego nie wykluczał.

- Oczywiście, sir. Zaalarmowaliśmy wszystkich, kiedy tylko inspektor Congreve zadzwonił z pańskiego samochodu. Czy domyśla się pan, kto to zrobił?

- Tak. Ktoś, kto nie chciał, żebyśmy z inspektorem Congreve'm dotarli do Highgrove żywi.

Hawke odwrócił się i podszedł, by pomóc Congreve'owi, który miał problem z otwarciem drzwi. Hawke szarpnął za pociętą klamkę, kopnął kilka razy w drzwi i w końcu ustąpiły.

Ambrose Congreve, nieco roztrzęsiony wysiadł z poobijanej, ale niepokonanej Lokomotywy w cieniu porte-cochere i się otrząsnął. W końcu przeżył i czekał go weekend z księciem Walii. Wziął głęboki oddech i rozejrzał się po zapierających dech w piersi ogrodach.

Choć otarł się o śmierć i miał ostatnio zszargane nerwy, cała ta przygoda była zbyt cudowna, by opisać ją słowami.

- Nic ci nie jest? - zapytał Hawke zaniepokojony.

- Nie. Ale to było bardzo nieprzyjemne.

- Nawet więcej niż nieprzyjemne. Niepokojące.

- To znaczy?

- Ktokolwiek zaplanował ten atak, wiedział, że mieliśmy dziś spotkać się w Highgrove. Prywatnie, z księciem Walii. Prowadzą tu dwie drogi. Zamachowcy wyraźnie wiedzieli wcześniej, którą pojedziemy.

Congreve pokręcił głową.

- To znaczy, że mają wtyczki i sojuszników w naszych siłach bezpieczeństwa. Że jest przeciek. Gdzieś na szczycie albo w jego pobliżu.

- Niekoniecznie. To może być opłacany przez kogoś ogrodnik czy stajenny. Już się to zdarzało.

- To prawda.

- I nie chcieli, żebyśmy dotarli na spotkanie. Czy to nie interesujące?

- Bardzo - odparł Congreve.

- Ale dojechaliśmy cali i zdrowi, więc pora się odprężyć i cieszyć weekendem na wsi, prawda?

- Z ust mi to wyjąłeś.

Ambrose nigdy nie uważał się za tak nieokrzesanego, by zapierało mu dech na widok rodziny królewskiej, ale nie mógł powstrzymać

drzenia serca, kiedy odzwierny w liberii wziął jego torbę i powiedział:

- Tędy proszę, sir, Jego Książęca Wysokość oczekuje panów w bibliotece. Bagaż zostanie rozpakowany w pokojach gościnnych na trzecim piętrze. Jeden z lokajów panów zaprowadzi.

Ambrose zerknął na Hawke'a i mruknął pod nosem:

- Jego Książęca Wysokość mnie oczekuje. Słyszałeś to?

- Oczywiście, że was oczekuje, posterunkowy. W końcu nas zaprosił, pamiętasz? Tylko proszę, powstrzymaj się od łaszenia się u jego stóp. To uroczy gość, bardzo bystry i bardzo rozsądny. Zresztą, nadskakiwanie ci nie przystoi.

- Ale nie zaprzeczysz, że to nieco emocjonujące.

- Proszę cię, uspokój się. Ochrona na pewno zawiadomiła go o ataku na drodze. Jestem pewien, że się o nas martwi. Nie każmy mu czekać.

Zostali wprowadzeni do biblioteki. Książę Walii siedział przy swoim biurku, koło łokcia miał bukiet białych tulipanów w skrzącym się wazonie z ciętego kryształu. Z wiecznym piórem w dłoni pochylał się nad notesem. Najwyraźniej załatwiał służbowe sprawy. Kiedy podniósł wzrok i zobaczył w drzwiach całego i zdrowego Alexa Hawke'a, uśmiechnął się szeroko, dostrzegając także Congreve'a.

- Wasza Książęca Mość - odezwał się Hawke z szerokim uśmiechem. - Miło, że zaprosiłeś nas do Highgrove. To rzadki przywilej. W podróży też nie brakowało nam emocji.

- Mówiono mi.

Książę Karol odłożył pióro, odsunął fotel i wstał. Congreve od dawna wiedział, że obaj się przyjaźnili, ale ich miny zdradzały znacznie głębszą i starszą więź.

- Alex, ten atak jest wstrząsający, choć to najłagodniejsze określenie, jakie przychodzi mi do głowy. Nie wiem, co powiedzieć.

- Na razie niewiele w ogóle da się powiedzieć, sir. Dopóki nie dowiemy się, kto za tym stoi. Ale zapewniam cię, że nie po raz pierwszy ktoś mierzył do mnie z naładowanej broni. Jak mawiał stary drogi Winston: „Nie ma nic zabawniejszego, niż gdy ktoś do ciebie strzela i pudłuje”.

- Alex, podziwiam twoją zimną krew, ale musisz zrozumieć, że próba morderstwa zaproszonych gości może być irytująca.

Hawke uśmiechnął się i powiedział:

- Wyglądasz świetnie, sir. Szczęśliwy. Zdrowy. Cudownie znowu cię zobaczyć.

Karol zmierzył wzrokiem starego przyjaciela i odparł:

- Mimo niepokojących plotek z Bermudów, muszę powiedzieć, że ty też wyglądasz jak okaz zdrowia.

- Cud słońca. - Hawke się uśmiechnął. - Dobra opalenizna kryje sporo grzechów. Do tego ostra dieta, nie wolno mi nawet polizać znaczka pocztowego.

Książę uśmiechnął się i spojrzął na Congreve'a.

- A to, jak mniemam, legendarny były szef Scotland Yardu inspektor Ambrose Congreve? Współczesne wcielenie Sherlocka Holmesa, jak nazywa pana pański przyjaciel Hawke. Szalenie się cieszę, że przyjechał pan do Highgrove, cały i zdrowy.

- Wasza wysokość - odezwał się Congreve wyraźnie oszołomiony komplementem - to wielki zaszczyt, że zostałem zaproszony.

- Wkrótce powinniśmy otrzymać raport MI-5 na temat tego incydentu. Okazuje się, że jednym z zaproszonych gości jest szefowa wydziału antyterrorystycznego w Piątce. Jest na miejscu zdarzenia i powinna wkrótce do nas dołączyć. Proszę, usiądźcie - powiedział książę Karol, wychodząc zza prostego orzechowego biurka. - Może napijecie się czegoś po podróży? Herbaty? Kawy? Czegoś mocniejszego? Czego tylko sobie zażyczycie.

- Herbata! Doskonały pomysł! - wymknęło się Congreve'owi bez wymaganej grzecznościowej formy. Karol uśmiechnął się w duchu. W ciągu swego publicznego życia widział, jaki wpływ wywiera na „normalnych” ludzi. Niekiedy, jak w przypadku Congreve'a, nawet go to rozczulało.

Książę spojrzął na lokaja stojącego przy drzwiach.

- Możemy prosić o herbatę, Williamie? - odezwał się.

- Wasza wysokość - odparł służący, skłonił się, zrobił kilka kroków do tyłu i wymknął się zwinnie przez lekko uchylone drzwi. Przyszły król Anglii przeszedł przez wysoką komnatę obstawioną książkami i odsunął sobie wytarty fotel z wysokim oparciem. Obok na rachitycznym stoliku stał niebezpiecznie pochylony stos książek. Hawke i Congreve zajęli dwa inne fotele naprzeciw kominka. Herbatę przyniesiono po minucie czy dwóch, czemu Congreve nie mógł się nadziwić.

Wszystko tu działało jak na dobrze dowodzonym okręcie, zauważył Ambrose i ta obserwacja sprawiła mu przyjemność. Choć większość ludzi drwiła sobie z rodziny królewskiej, nabijała się z ich pałaców czy dzwonienia na służących, tu w Highgrove nie było widać niczego takiego. Ten okręt miał dobre, inspirujące dowództwo i wyglądał skromnie, ale działał skutecznie.

Karol przyglądał się uważnie swojemu staremu druhowi Hawke'owi, zastanawiając się, czy podoła czekającym go zadaniom.

Alex był w dobrej formie, mocno opalony i, zważywszy na niedawny incydent, wręcz odprężony. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, patrząc na świat, jak to miał w zwyczaju - jak szlachcic z urodzenia, ale w środku twardy, niczym kamień prosto z pola.

Inspektor Congreve wyglądał zgoła inaczej - lekko zaokrąglony, ubrany w tweedowy garnitur, z dość ekstrawaganckimi skarpetkami, rzędnącymi orzechowymi włosami i starannie wypielęgnowanym wąsem. Ręce drżały mu tak bardzo, że Hawke musiał mu podnieść filiżankę i nalać herbaty. Karol nie potrafił rozstrzygnąć, czy wpłynęły tak na niego niedawne wydarzenia, czy po prostu bliskość członka rodziny królewskiej.

Hawke nalał sobie gorącej wody, bez cytryny i cukru.

- Prawdziwy wzór abstynencji - zauważył ksiązę Wali z uśmiechem. - Odmawiasz sobie nawet herbaty?

- Muszę doprowadzić się do porządku i traktuję to poważnie. Przez jakiś czas ani grama kofeiny.

Nie pije już nawet herbaty? - pomyślał Congreve, któremu wydawało się, że zna Hawke'a lepiej niż ktokolwiek inny. Najwyraźniej tak nie było.

Ksiązę Wali pochylił się i powiedział:

- Alex, poprosiłem, żebyście przyjechali z inspektorem Congreve'm jako pierwsi, bo chciałbym omówić z wami pewne sprawy na osobności. Kiedy skończę swoją mowę, może znajdziemy chwilę na krótki spacer po ogrodach. Sporo się zmieniło, od kiedy byłeś tu ostatnio, i nie mogę się doczekać, co na to powiesz. Czy możemy tak zrobić?

- Oczywiście, sir - odparł Hawke i zerknął, jak Congreve zareagował na wzmiankę o ogrodach.

- To będzie zaszczyt i przyjemność, Wasza Wysokość - dorzucił Congreve, rzucając Hawke'owi ukradkowe mrugnięcie w stylu „a nie mówilem”. - Sam jestem zapalonym ogrodnikiem i nie mogę się doczekać, by podziwiać cuda, które wyszły spod ręki waszej wysokości.

- Uwielbiam je - powiedział Karol, wstał i podszedł do werandowych okien wychodzących na ogrody.

Hawke spojrzał w jego stronę:

- Wasza wysokość, czy mogę zapytać, kogo jeszcze zaprosiłeś?

- Oczywiście. Chciałem, żeby nie była to wielka grupa. Obaj znacie większość zaproszonych. Szef MI-5 lord Malmsey. Sahira Karim, która jechała niedaleko za wami. Sir David Trulove z MI-6, rzecz jasna, i jeszcze ktoś z Szóstki. Cudowny człowiek pochodzenia hinduskiego, który zasiada w radzie mojego trustu, jeden z moich najstarszych i najbardziej zaufanych przyjaciół. Nazywa się Montague Thorne, choć to oczywiście nie jego prawdziwe nazwisko. Monty został sierotą, kiedy wychodziliśmy z Indii, i jako jeszcze chłopca adoptowała go lady Thorne, moja tutejsza sąsiadka. To prawdziwy maniak ogrodnictwa, nawet teraz siedzi na dworze i dłubie w ziemi. Zdaje się, że znacie się z Montagiem, prawda Alex?

- O tyle o ile, widujemy się czasem w windzie. Błyskotliwy, pracowity i wielce szanowany. Plotka głosi, że ma objąć fotel po sir Davidzie - wyjaśnił Hawke, a Karol skinął głową.

- Proszę, oto i Monty we własnej osobie - powiedział Karol, otwierając szeroko podwójne okno i wychylając się na słońce, by pomachać do przyjaciela. - Alex, Ambrose, przywitajcie się, proszę, z moim droгим przyjacielem.

Hawke i Congreve wstali, podeszli do okna i stanęli po obu stronach księcia Walii. Poniżej na żwirowej ścieżce stał wysoki, przystojny mężczyzna z taczka pełną ściętych gałązek. Musiał mieć pod siedemdziesiątkę, ale wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat.

- Monty, przywitaj się, proszę, z Alexem Hawkiem i Ambrose'em Congreve'm. Właśnie przyjechali.

- Dzień dobry! - odezwał się Thorne z olśniewająco białym uśmiechem. - Witamy w Highgrove, panowie. - Odstawił ciężką taczka i podszedł bliżej, by stanąć tuż pod oknem biblioteki. Otrzeptał szorstkie, brudne dłonie i podparł się nimi pod boki. Miał na sobie

spodnie w waniliową kratkę i przepoconą białą koszulę z lnu rozchyloną w kołnierzu. Zdjął białą bandanę z szyi i otarł nią czoło.

- Widzę, że nie próżnujesz, Monty. - Karol uśmiechnął się. - Świetna robota.

- Krzewy ligustru wokół dalii w ogrodzie z zegarem słonecznym trochę się rozrosły, więc uznałem, że zacznę od nich.

- Dalie?! - wykrzyknął Congreve, jakby dźgnięto go kablem pod napięciem pięciu tysięcy volt. - Jakie gatunki uprawia Wasza Księżca Mość?

- Głównie hybrydy. Zna pan „Pocałunek Jutrzenki”?

- Oczywiście, sir! Na ostatnich wiosennych targach w Chelsea...

Podczas gdy Karol, Ambrose i stojący poniżej Thorne gawędzili wesoło o ogrodnictwie, które Hawke'a kompletnie nie interesowało, Alex przyjrzał się bliżej Thorne'owi, uśmiechającemu się do trzech mężczyzn w oknie.

Alex był, rzecz jasna, ciekaw człowieka, który pewnego dnia może zostać jego zwierzchnikiem w MI-6. Choć nie raz podsłuchiwał, jak sir David Trulove mówi o Montym jako o „cierniu* w jego boku”. Hawke często zastanawiał się, jakimi przekleństwami mógł go obzierać „C”, kiedy nikt nie podsłuchiwał.

* Nazwisko Thorne brzmi tak samo jak *thorn* - cień.

Thorne był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, szeroki w barkach, ale szczupły w pasie. Miał płaskie policzki z ostro zarysowanymi kośćmi poniżej oczu, a na jednym oku nosił czarną jedwabną opaskę. Ta opaska oraz swobodny olśniewający uśmiech sprawiały, że Montague Thorne wyglądał zawadiacko, prawie jak pirat. Przypominał mu aktora Errola Flynna.

Czysta skóra o kolorze ciemnego miodu zdradzała, że często przebywał na dworze - miał głęboką, zdrową opaleniznę. Wciąż mógł poszczycić się gęstymi czarnymi włosami zaczesanymi do tyłu i przyciętymi krótko po bokach jak u pruskiego generała. Na skroniach przyprószyła je nieco siwizna. Długi orli nos i wąskie usta sprawiały, że wyglądał trochę jak drapieznik. Hawke uznał, że z miejsca go polubił, ale dlaczego?

Swobodny uśmiech, śmiałość, błysk w jednym brązowym oku. Cechy te zdradzały dystans do szaleństw tego świata, ale bez najmniejszego śladu samozadowolenia.

Hawke wychylił się przez okno i krzyknął:

- Miło, że w końcu mogę osobiście poznać legendarnego pana Thorne'a.

- Cała przyjemność po mojej stronie, sir - odparł Thorne i zdjął poplamiony potem biały ogrodniczy kapelusz, by wykonać nim głęboki pokłon. - Słynny „pan wojny”. Zaiste, ogromna to przyjemność.

- Pan wojny? - powtórzył zaskoczony Hawke.

Thorne wybuchnął śmiechem.

- Nie obrażaj się, proszę, Alex. Tak cię nazywają urzędaszy w moim wydziale. Pan wojny.

- Chyba nie rozumiem dowcipu.

Thorne uśmiechnął się i wyjaśnił:

- Przecież jesteś panem, czyli lordem, Alex. I to lordem, który zawsze jest gdzieś na wojnie. - Złożył ręce na brzuchu, odchylił głowę i wybuchnął donośnym śmiechem. Zabawny gość, pomyślał Hawke, mimo że przystojniak i taki dystyngowany.

Hawke się uśmiechnął.

- Rozumiem. Muszę zapamiętać to określenie. Przyda się, kiedy będę zamawiał nowe wizytówki.

- Muszę iść się trochę obmyć - powiedział Thorne - bo spóźnię się na przedstawienie. - Chwycił drewniane rączki taczki i zniknął za rogami domu.

Kiedy cała trójka wróciła na fotele, Karol podjął opowieść tam, gdzie ją przerwał.

- Wspomniałem wam o nowej dyrektor wydziału wywiadu krajowego w MI-5 Sahirze Karim, która teraz jest na miejscu zdarzenia. Muszę powiedzieć, że nic o niej nie wiem. Czy któryś z was coś słyszał?

- Jest błyskotliwa - odparł Congreve. - I podobno niezwykle piękna. Wychowała się w slumsach Delhi, jej rodzina wyemigrowała do Anglii. Skończyła filologię dalekowschodnią na Oxfordzie, a potem ukończyła studia doktoranckie z fizyki i inżynierii jądrowej. Z oczywistych powodów szybko zwerbowało ją MI-5.

- Ile ten zespół wie o tym, co się stało, Wasza Wysokość? - zapytał Hawke, zmieniając temat.

- Tylko tyle, że pojawiło się poważne zagrożenie dla rodziny królewskiej, a wręcz dla samej monarchii. Wiedzą, że poprosiłem o pomoc ciebie, Alex, i inspektora. Od samego początku chcę jedną sprawę postawić jasno: obaj pracujecie bezpośrednio dla Korony. Nie chcę, żeby wasze dochodzenie napotykało na jakiegokolwiek problemy ze strony tajnych służb czy biurokracji rządu Jej Królewskiej Mości. Rozumiecie?

Patrzył na obu, czekając na odpowiedź.

- Jak najbardziej, Wasza Wysokość - odpowiedział Hawke za siebie i przyjaciela. Znalazł się w trudnym położeniu. „C” skróciłby go o głowę, gdyby się dowiedział. Ale księżę Karol mógłby ściąć Trulove'a, gdyby MI-6 wyrzuciło Hawke'a.

- Czy Wasza Wysokość ma wstępne przemyślenia co do motywu? - zapytał Congreve.

- Alex i ja długo o tym rozmawialiśmy. Albo robi to IRA dla rozgłosu, i z tą teorią zgadza się większość. Albo to jakaś osobista zemsta wobec całej mojej rodziny. Vendetta, która rozpoczęła się ponad trzydzieści lat temu. Motywem jest zemsta. Jako pierwszy zginął mój ojciec chrzestny, drogi wujek Dickie, jak wiesz, zamordowany w letniej rezydencji pod Sligo w Irlandii. Proszę, spójrzcie na to.

Podał Hawke'owi cienką czerwoną teczkę. Widać było na niej pieczęć księcia Walii - trzy pióra wystające z korony i motto „*Ich dien*”. Hawke wiedział, że po niemiecku znaczy to „służyć”.

Hawke uważnie przejrzał pogróżki, po czym bez słów podał teczkę Congreve'owi.

- Ambrose, księżę Karol opowiedział mi już o tym. Jeśli pozwolisz, chciałbym poznać twoją pierwszą reakcję.

Congreve przyjrzał się zawartości teczki i zwrócił ją księciu.

- Wasza wysokość powinien wiedzieć, że należałem do zespołu w Scotland Yardzie, który badał sprawę morderstwa ojca chrzestnego waszej wysokości, lorda Mountbattena. Już kilka godzin po zamachu IRA przyznała się do niego w pisemnym oświadczeniu. Dwaj mężczyźni zostali oskarżeni, ale o ile pamiętam, winę udowodniono tylko jednemu - McMahonowi, i tylko on poszedł do więzienia. Dziś jest wolny. Czy mogę zapytać, gdzie Wasza Wysokość znalazł tę pierwszą odręczną notatkę?

- Oczywiście. Wypadła spomiędzy kartek książki, którą przeglądałem dość przypadkiem. Tomik znajdował się kiedyś w bibliotece lorda Mountbattena na zamku w Murraghmore. Wujek Dickie najwyraźniej dostał ostrzeżenie, ale się nim nie przejął, wcisnął je w książkę, którą wtedy czytał, i zapomniał o wszystkim. Pewnie nawet nie wspomniał o nim nikomu ze swojej czteroosobowej ochrony.

- A ta najnowsza pogróżka wobec waszej wysokości i synów? - ciągnął Ambrose. - „Pionek bije królów”? Gdzie została znaleziona?

- Tutaj. Znalazłem ją w Highgrove. Wierzcie lub nie, w tym pokoju.

- Dobry Boże - powiedział wstrząśnięty Congreve.

- Gdzie dokładnie Wasza Wysokość ją znalazł? - dopytał Hawke.

- Była przyklejona do szachownicy na stoliku pod oknem. Jak widzicie, stolik się obraca. Po jednej stronie szachy, po drugiej warcaby. Od czasu do czasu gramy jeszcze z chłopcami w warcaby. Kiedy ostatnio usiedliśmy z żoną, żeby zagrać partyjkę po kolacji, przekręciłem szachownicę - i znalazłem przyklejoną do niej kartkę.

- „Pionek” zostawia swoją wizytówkę przyklejoną na szachownicy - powiedział Hawke, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

Congreve pytał dalej:

- A więc kartkę zostawił ktoś, kto ma bezpośredni dostęp do tego domu. A nawet do tego konkretnego pokoju.

- Na to wygląda, inspektorze. Niepokojące, prawda?

- Niepokojące to mało powiedziane, Wasza Wysokość - rzekł poważnie Congreve. - Zakładam, że detektywi z sekcji specjalnej przesłuchali już każdego członka służby? Ogrodników, rolników, łowczych?

- Oczywiście. I nic. Wszyscy są sprawdzeni na wylot. Inaczej nie mogliby tu pracować.

- Wysłał to ktoś, kto sam postrzega siebie jako pionka - odezwał się Hawke zamyślony.

Karol wstał i podszedł do okna w drugim końcu pokoju. Z rękoma założonymi na plecach, zatopiony w myślach, patrzył na swój ogród.

Hawke pochylił się i szepnął do Congreve'a:

- Jak się dobrze spiszecie, posterunkowy, to kto wie, czy nie możecie liczyć na tytuł szlachecki.

Ambrose zrobił dokładnie taką wstrząśniętą i przerażoną minę, na jaką liczył Hawke, po czym odszepnął gniewnie:

- Twoje nieokrzesianie przekracza wszelkie granice, Alex. Powinieneś się wstydić. Naprawdę.

- Mój drogi Ambrose, chcę ci tylko powiedzieć, że jeśli dysponujesz urokiem osobistym, to nie zawahaj się go użyć.

8.

Miami

Heather, kochanie, wszystko w porządku?

Tom siedział w swoim pokoju na końcu korytarza, oglądając sobotnie popołudniowe wiadomości w stacji Five Metro Miami. Heather była zdumiona, że mąż w ogóle usłyszał jej okrzyk zdziwienia mimo hałasu z telewizora. Wydarzyło się coś ważnego, nie miała pojęcia co, ale Tom siedział przykuty do wielkiego Samsunga na ścianie już od obiadu.

Uzależnienie od wiadomości, tak Heather nazywała ten chroniczny całodobowy potok złych informacji zniewalający kraj. Z powodu tego nałogu cierpiało wielu Amerykanów. Nancy Grace mówi w CNN: „Minęły dwadzieścia dwa miesiące, odkąd zaginęła mała Tracey Childers mieszkająca tu na osiedlu przyczep kempingowych w Ocala na Florydzie. Czy miejscowa policja ma nowe informacje na jej temat? Dowiedzą się państwo za minutę?”

To wyjaśniało wszystko.

Nie jest to zdrowy nałóg, Heather powtarzała to w biurze każdemu, kto chciał słuchać. Stała dieta ze złych informacji źle wpływa na duszę. I pewnie na serce.

- Kochanie, dobrze się czujesz? - krzyknął mąż.

- Nie, Tom, nie za dobrze - odkrzyknęła z kuchni i usłyszała, że mąż ścisza telewizor.

- Co? Co się dzieje, skarbie? - krzyknął od drzwi swojego sanktuarium. - Tylko mi nie mów, że... no wiesz. Że to już. Kochanie? Musimy już pędzić?

- Wody mi właśnie odeszły. Tak, czas się zbierać.

Słyszała jego ciężkie kroki coraz bliżej kuchni.

- O Jezu, kochanie, musimy lecieć! Gdzie spakowana torba? Wiem, że gdzieś ją schowałem. W szafie w sypialni? Tak! Zaczekaj, skoczę tylko na górę do sypialni i...

Wiedziała, że tak właśnie będzie. Zrobili mnóstwo prób na sucho, zmierzili nawet, ile dokładnie czasu potrzebują, żeby dojechać spod drzwi domu przy Bayshore Boulevard 2509 w Coconut Grove do wjazdu dla karettek w szpitalu Jackson Memorial - wyszło osiemnaście minut. Podczas jednej z takich prób Tom nawet wszystko sfilmował, jakby to działa się naprawdę. A kto to sprawdzi? - stwierdził.

I niezależnie od tego, ile razy nie omawialiby z najdrobniejszymi szczegółami, co robić, kiedy nadejdzie czas, była pewna, że Tom zapomni, że spakowana walizka stoi w szafie w korytarzu, żeby można ją było zabrać po drodze do wyjścia.

Tom i Heather Hendricksonowie oczekiwali pierwszego dziecka. Nie była więc zdziwiona, że jej mąż całkowicie się pogubił. Ona czuła niezwykle spokój. Tom był certyfikowanym księgowym, wiceprezesem dużej firmy obrachunkowej w Miami i zwykle nad wszystkim panował. Panował nad liczbami. Ale natura to co innego. Zupełnie inna para kaloszy. Jak brzmiało to przysłowie? Jeśli chcesz rozśmieszyć Pana Boga, zdradź mu swoje plany.

Tak, Bóg pewnie zanosił się teraz od śmiechu, może nawet histerycznie. Termin porodu przypadał za dwa tygodnie. Zeszłego wieczoru skończyli składać łóżeczko. Nie zdążyli nawet pomalować pokoiku dla dziecka. Dziś miała się odbyć impreza na cześć maleństwa! Wyjęła komórkę, wybrała numer siostry w Homestead i powiedziała, żeby wszystko odwołała.

- Tu jej nie ma - powiedział mąż głosem na skraju paniki, zbiegając na łeb, na szyję po schodach. - Cholera jasna, dałbym głowę, że wstawiliśmy ją...

- Tom. Posłuchaj. To czerwona walizka Samsonite w szafie w korytarzu. Idę na górę się przebrać. Weź walizkę, zanieś ją do

samochodu, wycofaj wóz z podjazdu i czekaj z włączonym silnikiem na ulicy. Co ty na to?

- Doskonale! Idź się przebierz. Ja wezmę walizkę i będę czekał w wozie, z włączonym silnikiem. Pospiesz się, dobrze? - Zerknął na zegarek. - Jesteśmy już spóźnieni o sześć i pół minuty.

- Tom, zwolnij, proszę. Niczego nie przyspieszysz, jak nas złapią za przekroczenie prędkości.

Jechali prawie sto trzydzieści na godzinę autostradą 1-95 na północ, wymijając kolejne samochody na niezbyt zatłoczonej drodze. Tom pochylił się nad kierownicą, wypatrując zjazdu oznaczonego South Dixie Highway.

- Tak, masz rację. To by była katastrofa - odpowiedział.

- Kochanie, policjanci często przyjmują porody w samochodach. Nie byłoby żadnej katastrofy.

- Urodzić w samochodzie? Oszalałaś? Boże, Heather, myśl rozsądnie.

- Słonko, nie mam zbyt dużego rozwarcia, więc postaraj się uspokoić. Skup się na drodze.

- Okay, racja. Dobrze, jest. South Dixie do Lejeune Road. Jesteśmy prawie na miejscu.

- Co takiego fascynującego było w wiadomościach?

- Nic nie wiesz?

- A niby skąd? Całe popołudnie siedziałam w kuchni, robiąc gulasz dla mojego słomianego wdowca. Do zamrażarki. Więc co się stało? Zaraz, wiem. Delfiny grają jutro z jakąś drużyną, którą mogą pokonać, tak?

- Kochanie, nie. To coś poważnego. Słyszałaś o więzieniu o zastrzonym rygorze w Everglades? Nazywają je „Glades”. Dziś rano uciekło stamtąd siedmiu więźniów. Zabili dwóch strażników, trzech innych ranili. W całym stanie odbywa się teraz obława.

- W którą stronę uciekli?

- Nikt nie wie. Zniknęli w trzcinie cukrowej. Tropią ich z pomocą psów, z helikoptera i tak dalej - i nadal ani śladu. Szeryf policji z Belle Glade uważa, że na jednej z polnych dróg, po których jeżdżą ciężarówki wożące trzcinę do cukrowni, musiał czekać na nich wspólnik. Te pola są jak wielki labirynt. Nic dziwnego, że nie są w stanie ich złapać.

- Złapią ich, Tom. Nie martw się.
- Skąd wiesz?
- Bo zawsze ich łapią. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek w końcu nie złapano zbiegłego więźnia.
- Racja. Przynajmniej jeśli chodzi o tych, o których jest głośno. O tych, którzy uciekli, media nie mówią. O nie. Ci dzisiejsi byli też kiepskimi aktorami. Przynajmniej dwóch z nich trzymano w Guantanamo, aż jakiś geniusz z Waszyngtonu postanowił ich stamtąd wypuścić. Cholerni terroryści na wolności. Jeszcze tego nam brakowało. Mówię ci, ciesz się, że na razie nigdzie nie musimy latać.
- Dlaczego?
- Jak to dlaczego? Bo wśród tych, co uciekli, jest ten cholerny zamachowiec od bomby w bucie. Ten brytol, który próbował wysadzić samolot American Airlines z Paryża. Pamiętasz?
- Richarda Reida nie trzymano w Glades, Tom. Siedzi w superstrzeżonym zakładzie karnym w Kolorado. Nie zapominaj, że jestem prokuratorem federalnym. Znam się na tym.
- No tak, ale wspominali o nim. W więzieniu terroryści rekrutują innych terrorystów. Więzienia są jak obozy szkoleniowe terrorystów, świetnie, co? Ten kraj zmierza ku upadkowi. Zaraz się dowiemy, że zaczną ostrzeliwać z Predatorów więzienie w Miami, żeby wyeliminować jakiegoś watażkę z Al-Kaidy. Kochanie, jesteśmy w Lejeune. Jeszcze dwie minuty. Wytrzymaj.
- Ze mną wszystko w porządku. To ty się trzymaj.

Oddział położniczy mieści się na siódmym piętrze Jackson Memorial. Heather była zaskoczona, kiedy Tom po przyjeździe do szpitala oznajmił, że jednak nie wejdzie z nią na salę porodową. Wprawdzie ledwo przetrwał trzy miesiące zajęć w szkole rodzenia, ale przecież tak bardzo się ekscytował tą chwilą, tym, że będzie pomagał jej oddychać, będzie nagrywał scenę finałową planowanego filmu. Dlatego była nieco zdziwiona tym komunikatem.

Ale Tom to Tom - słodki ukochany Tom bał się krwi jak diabeł święconej wody, więc mu odpuściła. Brutalnie stwierdziła, że przy jego obecnym stanie pobudzenia i tak lepiej poradzi sobie sama. Nie był w stanie kogokolwiek pocieszyć ani wesprzeć, nie mówiąc o pilnowaniu oddychania.

Niech więc lepiej chodzi w tę i we w tę po korytarzu, przegląda stare numery „GQ” i „Sports Illustrated”, tak jak inni przyszli ojcowie w poczekalni położniczej. Można sobie tylko wyobrazić, jaki tam panuje teraz nastrój. Panika w oczach maskowana przez radosną męską rubasznosc. Chłopak czy dziewczyna? Stary, a co za różnica, byle miało po dziesięć palców u rąk i nóg!

Inną dobrą wiadomością było to, że poród rozpoczął się dwa tygodnie przed terminem, więc miał szansę być krótki. Tak przynajmniej mówiła jej mama w Cincinnati. Na to też Heather liczyła, kiedy zaczęły się mocne i szybkie skurcze i zaczęto ją szybko wieźć na salę porodową długim sterylnym korytarzem wykładanym zielonymi kafelkami. Nagle - łup - przebili się przez uchylne drzwi niczym pijany kowboj wychodzący z saloonu.

Miała wrażenie, że wózek się zatacza, ale może to po prostu valium podawane przez kroplówkę - w każdym razie nie licząc naprawdę okropnych skurczy, cały ten poród nie wyglądał na razie tak źle. Na sali było niewiarygodnie jasno, czuła się, jakby wyszła zza kurtyny na scenę zalaną światłem wszystkich reflektorów. Ale przecież tak miało być, prawda?

Bolało naprawdę mocno i zastanawiała się, czy nie popełniła błędu, rezygnując ze znieczulenia zewnątrzoponowego czy jak je tam zwano, ale była zdeterminowana, by wytrwać, jak zawsze, już od dziecka. Heather Hintzpeter to twarda babka, mawiano o niej - i słusznie. Weźcie sobie to znieczulenie i wsadźcie...

Nagle otoczyły ją twarze w maskach. Przy głowie stanął anestezjolog, szepecząc coś do niej, by ją rozbawić i odprężyć, ale nie miała pojęcia, co mówi. Po drugiej stronie stał jej lekarz. Młody, początkującym, ale naprawdę go polubiła i zaufała mu od początku, więc wszystko będzie dobrze...

- Przyj!

- Dobrze, świetnie... przyj na trzy... raz, dwa, trzy - PRZYJ!
Heather wzięła kolejny głęboki oddech. Boże, jak bolało.

Miała właśnie wykonać kolejne pchnięcie, kiedy... kiedy...

Cała sala się zatrzęsła i rozległ się ogłuszający, koszmarny huk, jakby tuż pod porodówką nastąpił wybuch. Zobaczyła, że lekarz spogląda znad maski na swoich ludzi, bez słów każąc im zachować spokój w tej krytycznej chwili...

- Co to było, do cholery? - zapytała jedna z pielęgniarek, wyraźnie zaniepokojona.

- Rura z gazem - odpowiedziała inna - albo kocioł w piwnicy. Spokojnie.

Gdzieś w ścianach rozległo się elektryczne iskrzenie... zzzzz-tttt... zzzzz-tttt.

Nagle zgasły światła. Zgromadzeni wokół stołu westchnęli głęboko jak na komendę i wstrzymali oddech, póki światło nie błysnęło kilka razy i nie włączyło się ponownie.

- Generator? - odezwał się ktoś. - Wysiadło główne zasilanie?

- Zaraz, czy ten wybuch nie doszedł jakoś z góry? - zapytała kolejna pielęgniarka. Przez świeże szczeliny w suficie spadał chyba pył z tynku... widziała to, czuła na policzkach.

- Przyj! - polecił dr Sabatini, i na Boga, parła jak nigdy wcześniej, choć był to już chyba trzydziesty raz...

Pielęgniarka przy jej prawej nodze krzyknęła.

Dziecko? Coś bardzo złego z dzieckiem?

Nie. Ktoś wszedł na salę porodową.

Próbowała unieść głowę, żeby zobaczyć kto to, ale anestezjolog położył jej rękę na czole i przycisnął do łóżka. Ale widziała go - widziała człowieka ubranego całkiem na czarno. Twarz schował pod maską z wycięciami na oczy.

U pasa miał wielki czarny karabin. Krzyknął coś niezrozumiałego i zaczął strzelać. W rytm koszmarnego staccato ludzie otaczający ją przy stole porodowym zostali poszarpani na strzępy. Z każdej dziury w ciele na wszystkie strony tryskała krew. Padali albo na ziemię albo na nią.

Potem zapadła cisza.

Wspierając się na łokciach, uniosła z trudem tułów, próbując zobaczyć, kto to zrobił, kto wszedł do uświęconego miejsca, jakim jest porodówka i dokonał rzezi, kto miał... spojrzała w czarne oczy pod kominiarką i natychmiast zrozumiała, że straciła wszystko, co kochała.

Zobaczył ją, dostrzegł głowę unoszącą się ze stołu i wpatrujące się w niego oczy. Podniósł broń, chcąc ją zabić - była o tym przekonana - ale nawet nie mrugnęła, nie protestowała przeciw losowi. Chciała umrzeć. Wymierzył w jej twarz. Koszmar miał się za chwilę skończyć. Ale dziecko wciąż rwało się na świat, więc parła, parła ze

wszystkich sił, krzycząc z bólu. Prawie nie widziała, jak zabójca opuszcza broń i sięga po sznurek prowadzący do dziwnego ładunku, który miał umocowany wokół pasa. Ubrany na czarno człowiek szarpnął za sznurek i sala oraz wszyscy zmarli, którzy leżeli wokół: na jej nogach, brzuchu i na podłodze, nagle po prostu zniknęli w oślepiającym białym błysku. Wszystko zostało wykasowane, a ona uderzyła w wielką ścianę bólu, a potem runęła w mrok. Potężny wstrząs wywołany bombą sprawił, że wypchnęła dziecko do nowego świata.

„Oprócz niezliczonych ofiar i ciał siedmiu poszukiwanych terrorystów, należących do radykalnego islamskiego gangu o nazwie »Miecz Allacha«, policjanci i psy tropiące znaleźli pośród gruzów szpitala Jackson Memorial kobietę, która jako jedyna przeżyła zamach. Odnaleźli ją dzięki płaczowi jej dopiero co narodzonego dziecka”.

- MIAMI HERALD

9.

Miami

Marry, mówię poważnie. Wierchuszka z Langley chyba ma nierówno pod sufitem, żeby marnować takiego agenta jak ja. No i ciebie oczywiście - mówił Stokely Jones do Harry'ego Brocka. - Bomby w całym mieście, a my co dzień musimy łązić na tę pieprzoną obserwację. Za dobrzy jesteśmy na taką robotę, stary. Do zamachu w szpitalu Memorial sprowadzili już chyba ze dwudziestu federalnych ze stolicy.

- Raczej czterdziestu - odparł Harry. Dobrze znał prezydenta.

Ameryka miała nowego prezydenta, byłego wiceprezydenta Toma McCloskey, wysokiego ogorzałego hodowcę bydła z Kolorado. McCloskey wygrał o włos z długoletnim senatorem Larrym Reedem. Reed, z przyczyn znanych tylko sobie i jego doradcom z Kapitolu, którzy teraz pochowali głowy w piasek, chciał wyrwać Ameryce kły.

Chciał wstrzymać finansowanie raketowych systemów obronnych w kraju i zagranicą. Chciał obciążyć budżet Pentagonowi i sprowadzić do kraju amerykańskich żołnierzy z całego świata. Chciał też zamknąć Guantanamo i odesłać terrorystów tam, skąd przyszli, żeby mogli płodzić nowych terrorystów, którzy potem przyjadą do Ameryki.

Głównym hasłem kampanii jego rywala Toma McCloskeya i jego kandydata na wiceprezydenta, byłego szefa marynarki wojennej Davida Rosowa, było przeciwdziałanie rosnącemu zagrożeniu terrorystycznemu wewnątrz Ameryki i spoza jej granic. McCloskey był przekonany, że krajowi terroryści są teraz największym zagrożeniem dla Ameryki. I że jedynie stała czujność i potęga militarna w kraju i za granicą mogą ocalić coraz bardziej kruchą republikę.

Ameryka, twierdził prezydent McCloskey w swych krótkich przemówieniach, przeżywa, jak to określił, „trzecią falę” wewnętrznego terroryzmu. Pierwsza fala rozpoczęła się 11 września 2001 roku, kiedy to nastąpiła kulminacja wieloletnich ataków na Amerykę i Zachód ze strony Al-Kaidy, grupy składającej się z Saudyjczyków, Jemeńczyków i innych osób pochodzenia arabskiego. Bin Laden szybko zdał sobie sprawę, że USA postawią tamę takim obcokrajowcom. Nowych zamachów trzeba było dokonywać, sięgając po nowe kadry.

Aby obejść środki bezpieczeństwa, bin Laden rekrutował terrorystów z paszportami francuskimi, brytyjskimi i innych krajów. Ludzi takich jak Richard Reid, ten od bomby w bucie, jak Umar Farouk Abdulmutallab, słynny zamachowiec z bombą ukrytą w bieliźnie, albo psycholog wojskowy z Ft. Hood, który zamordował amerykańskich żołnierzy. McCloskey podkreślał, że to „druga fala” terroryzmu. „Trzecią falę” mieli stworzyć amerykańscy obywatele i rezydenci, legalni i nielegalni, którzy przejdą przez nowe sito bezpieczeństwa, mające wykryć zamachowców z pierwszej i drugiej fali.

Jako przykład podawał bezpośrednio związki między znanym radykałem z lat sześćdziesiątych H. Rap Brownem i dwunastoma mężczyznami oskarżonymi o przestępstwa w związku ze śmiertelną strzelaniną między imamem z Detroit i agentami FBI. Brown nawrócił się na islam w więzieniu Attica i podobno z celi w Kolorado kierował

siatką terrorystyczną. Przestępcy - twierdził McCloskey - nawracają się w więzieniach na islam w tempie trzydzieści pięć tysięcy osób rocznie. Wszyscy są potencjalnymi „terenowymi agentami”, którzy mogą zaangażować się w działalność terrorystyczną. Fundamentalistyczna ideologia zapuściła po prostu głębokie korzenie w amerykańskim społeczeństwie.

Prezydencki wyścig łeb w łeb zakończył się nagle w dniu, kiedy w telewizji transmitowano ostatnią debatę między kandydatami. Odpowiadając na kolejne sarkastyczne pytanie senatora Reeda o „kowbojskie kwalifikacje”, McCloskey wyprostował szerokie barki, spojrział bezpośrednio w kamerę i powiedział:

- Mówiąc szczerze, senatorze Reed, sądzę, że Amerykanie głosujący na pana są jak kurczaki głosujące na pułkownika Sandersa*.

* Pułkownik Sanders - założyciel sieci fast foodów Kentucky Fried Chicken.

Senator Reed nie podniósł się po tym ciosie. A po wydarzeniach w Jackson Memorial dwa tygodnie temu w Miami, zaczynało się wydawać, że McCloskey miał rację.

- Racja, Harry, czterdziestu federalnych. Jesteśmy przydzieleni do tego zespołu? Do sprawy największego zamachu w Ameryce po 11 września? Nie, siedzimy tutaj dzień i noc na jakiejś pieprzonej obserwacji.

Harry, który od tygodnia co jakiś czas słuchał tych narzekań, nawet nie oderwał wzroku od półnagiej blondynki paradującej po chodniku z miniaturowym pieskiem na różowej smyczy i w obroży wysadzanej cyrkoniami wielkości jagód.

Brick zastanawiał się, jakim cudem pies i kobieta mogli normalnie chodzić z takim obciążeniem z przodu.

- Mógłbym zamieszkać w tym biustonoszu - mruknął Harry. - Byłbym szczęśliwy. Mówię zupełnie poważnie. Nie znoszę swojego mieszkania.

- Co? - zdziwił się Stoke.

- Chodnik, ślepoto, spójrz na chodnik.

Stoke, który według ich wspólnego kumpla Alexa Hawke'a, miał rozmiary przeciętnej kasy pancernej, siedział wtłoczony za kierownicę. Pochylił się do przodu i zerknął na kobietę przez brudną szybę

suburbana, dojadając resztki whoppera. Pewny sposób, by popełnić samobójstwo? Stanąć pomiędzy ladą w Burger Kingu a Stokelyem Jonesem Juniorem.

- Harry, mówię poważnie. Robota na mnie czeka - powiedział Stoke, wycierając usta serwetką i obserwując przechodzącą blondynkę.

- Jaka znowu robota? - zdziwił się Harry.

- Na przykład remont mojego GTO*. Muszę dbać o jego współczynnik LTB.

* Sportowy pontiac GTO.

- LTB? Co to, do cholery, jest LTB?

- Laski To Bierze. Najważniejszy parametr.

- Śmieszne. I co jeszcze?

- A bo ja wiem? Tajski masaż. Nauka hiszpańskiego. Dokończenie *Shoguna*. I takie tam różne.

- *Shoguna*? A kiedy go zacząłeś czytać?

- Kurde, nie wiem. Kiedy to wydali?

Harry spojrział na niego i westchnął.

- Wiesz co, powinienem był zostać w marines. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby odejść.

- Kto raz zostanie marine, zostaje nim na zawsze. Czemu się wymiksowałeś?

- Sam nie wiem. Stałem sobie kiedyś wieczorem na skrzyżowaniu w Bagdadzie i paliłem zioło. Wydawało mi się, że trzymam świat za jaja. Spojrzałem w dół i okazało się, że to moje własne jaja.

Stoke i Harry parkowali na Ocean Drive w South Beach. Po prawej mieli ładny widok na szeroką piaszczystą plażę, kołyszącą się na wietrze palmy i falujący błękitny ocean. Po lewej rozciągał się nieprzerwany mur hoteli, sklepów i restauracji w stylu art déco. Było jeszcze dość wcześnie i większość mieszkańców South Beach odpłynęła noc.

Miami zdecydowanie nie zasługiwało na miano „miasta, które nigdy nie śpi”. Ba, to miasto nigdy się nie budziło, chyba że około północy. Albo gdy ktoś wysadził wielki budynek w samym środku miasta. To potrafiło przykuć uwagę.

Zamach na Jackson Memorial musiał wszystkim otworzyć oczy, pomyślał Stoke. Według najnowszych doniesień wywiadu Miecz Allacha połączył siły z talibami i Al-Kaidą z Afganistanu i północnego Pakistanu, tworząc najpotężniejszą sieć terrorystyczną na świecie. A teraz udowodnili dobitnie, że ich macki sięgały głęboko na teren Stanów Zjednoczonych. Co przerażało najbardziej? Że zamieniali amerykańskie więzienia w obozy szkoleniowe dla terrorystów.

Stoke sądził, że wyprowadzając się z Manhattanu, usuwa się terrorystom z celownika.

W końcu pożegnał się z rodzinnym Nowym Jorkiem i porzucił go na rzecz tego pięknego nadmorskiego miasta, którym nie mógł się nacieszyć. Kiedy zmarła jego święta mama, sprzedał ich stary dom w Bayside na Queens oraz mieszkanie w LeFrak City. Wystarczyło na penthouse w apartamentowcu na Brickell Key. Uwielbiał nowy widok z okna na Atlantycką zatokę Biscayne.

Jego narzeczona Fancha, znana pieśniarka i niezła kompozytorka pochodząca z Wysp Zielonego Przylądka, mówiła, że uwielbia ocean, bo woda, wszelka woda - nawet ta, którą pijemy - stanowi naturalny sposób na „oczyszczenie duszy”, cokolwiek to miało znaczyć. Nie podobał mu się znak równości między duszą a kranową. Możesz manipulować moją głową, zapowiedział jej, ale duszę masz szanować.

Stoke wyłączył się, ale najwyraźniej Harry perorował już dłuższą chwilę, bo teraz agent CIA mówił:

- ...zresztą i tak nie mogę spać, więc skaczę po kanałach w telewizji. W kablówce trafiłem na program *Czarni geje mają głos*. W sumie w porządku, nic do nich nie mam. Niech ich Bóg błogosławi. Ale tak sobie myślę, dlaczego nikt nigdy, ale to przenigdy, nie nakręcił programu *Biali heteroseksualni faceci mają głos*. Rozumiesz, o co mi chodzi, Stoke? Zastanów się. Cholera, może skrzyknę paru moich kumpli i nakręcimy jakiś pilotażowy odcinek. Zobaczymy, co się stanie.

- Mogę wystąpić? Nie jestem biały, ale jestem hetero. To już coś. Tylko na planie kręć mnie od pasa w górę.

Harry popatrzył na niego i pokręcił głową.

- A czemu nie wymyślisz własnego programu, Stokely? Co? Zły pomysł?

- Ja już mam pomysł na własny program, ale wierz mi, ciebie w nim nie będzie.

- Zadam ci poważne pytanie. Jeśli uprawiasz seks z prostytutką wbrew jej woli, to czy należy to traktować jako gwałt czy kradzież?

Stokely spojrzał na Brocka i zastanowił się: w Wietnamie, w zapomnianej przez Boga delcie z brązową wodą, na polu walki i poza nim takich facetów jak Harry Stoke i inni czarnoskórzy żołnierze z jego jednostki starali się unikać za wszelką cenę.

Dobry żołnierz, ale o jeden odcień za bardzo biały jak na gust braci. Biały z hrabstwa Orange, tak postrzegał Harry'ego Stoke. Z jakiegoś miasta o nazwie Santa Rosita, o ile dobrze pamiętał. „Z miasta, o którym Bóg zapomniał” - powtarzał Harry i wiecznie z niego żartował.

Nie można było zaufać do końca komuś, kto wychował się na zamkniętym osiedlu.

Pracowali razem od lat i czasami Stoke miał wrażenie, że Brock tylko marnuje powietrze, które przydałoby się komuś innemu. Ale Brock był prawdziwym patriotą i twardzielem. No i kiedyś w amazońskiej dżungli uratował życie najlepszemu przyjacielowi Stoke'a, Alexowi Hawke'owi. Za to był gotów wybaczyć Harry'emu długą listę wad.

10.

Mówię poważnie, Harry - Stoke wrócił do głównego tematu rozmowy. - Siedzimy tu już parę dni i nocy i nic z tego. Co to w ogóle za program?

- Mnie pytasz? - zdziwił się Harry, wycierając kroplę majonezu z podbródka.

- Nie, tego drugiego gościa w naszym samochodzie.

Brock siedział na fotelu pasażera. Wyjął małą lornetkę z wyposażenia CIA, żeby przyjrzeć się lepiej ich celowi. Wielkiemu celowi. Wymiętoszony grubas, którego zidentyfikowali jako Hamida Kassara czy jak się tam po hindusku albo pakistańsku nazywał, siedział za

kierownicą kabrioletu Chevrolet bel air z 1958 w kolorze niebieski metalik. Na taki wózek poleci każda pipka, pomyślał Brock. Kassar opuścił dach, oparł łusą głowę o zagłówek obity pikowaną białą skórą i w ciemnych okularach Chrome Heart napawał się słońcem.

Hamid Kassar był prawnikiem dwóch Pakistańczyków, których wypuszczono z Guantanamo i trafili prosto do Miami. Szybko dali się przymknąć za przestępstwo na tyle poważne, że wysłano ich do więzienia Glades. Tam skumali się z grupą Miecz Allacha. Sześć miesięcy później uciekli z pięcioma innymi więźniami i wysadzili w cholerę szpital Jackson Memorial.

Harry przeklinał geniuszy z Kapitolu, którzy głosowali za uwolnieniem więźniów z Guantanamo. Oznaczało to po prostu wypuszczenie na wolność zahartowanych terrorystów. Albo, co gorsze, przeniesienie ich do amerykańskich więzień, gdzie mogli rekrutować naiwnych niedouczonek gangsterów i wszczepiać im te islamskie bzdury o nienawiści do Ameryki.

Tak jakby w Waszyngtonie uznali, że nie jesteśmy już w stanie zaimportować albo, co gorsza, wpuścić dość terrorystów przez nasze niestrzeżone granice, więc teraz postanowili hodować ich na miejscu! A kiedy nas zaczną zabijać, damy im najlepszych obrońców, zupełnie jakby byli obywatelami Stanów Zjednoczonych.

Szaleństwo? No sam nie wiem. Może.

W fotelu pasażera w bel air siedział starszy gość, bardziej wyrafinowany, o wyglądzie żigolaka. Miał na sobie niebieski blezer, słomiany kapelusz w stylu Binga Crosby'ego z pstrokatą wstążką. Jeśli ten wielki złoty rolex był prawdziwy, to może i facet był nadziany, ale i tak trudno było go zidentyfikować. Wyglądał na naćpanego. Może był otumaniony po nieprzespanej nocy w Country Clubie, ale z całą pewnością nie był całkiem przytomny. W notatkach Stoke zamiast nazwiska wpisał mu BM. Białe mężczyzna, niewiele więcej dało się o nim powiedzieć.

Brock nadal obserwował teren przez lornetkę.

- Wbrew temu, co możesz sądzić, ważniaki z Waszyngtonu nie konsultują się ze mną w tych istotnych sprawach, Stoke. Wiem, że naprawdę trudno w to uwierzyć. Ale wiesz, jak jest, ktoś w Pentagonie, Białym Domu czy na siódmym piętrze w Langley wydaje mi

rozkaz, a ja go wykonuję. Albo płacę tobie czy komuś innemu, żeby zrobił to za mnie. Kapujesz?

- Jasne - mruknął Stoke, pozwalając się drażnić Harry'emu, co było głupie.

- Dobrze. Myślę, że jesteś na tyle dorosły i doświadczony w tej robocie, że już kumas, na czym polega podstawowy układ.

Harry Brock, przystojny tak, jak przystojny jest Bruce Willis i inni faceci o mocnych szczękach, był steranym, doświadczonym przez życie oficerem CIA działającym w strukturach armii, a teraz agentem terenowym. Nie mówił zbyt wiele o swoich zadaniach, ale Stoke zawsze uważał Harry'ego za faceta, który zabił więcej ludzi niż nie-jeden batalion.

Brock i zwalisty Stokely Jones, były komandos z Navy SEAL, były futbolista z New York Jets i były policjant z Nowego Jorku, współpracowali owocnie od wielu lat. Najpierw pracowali razem z najbliższym przyjacielem Stoke'a, oficerem brytyjskiego wywiadu MI-6 Alexem Hawkiem. Od niedawna Harry zatrudnił niewielką firmę wywiadowczą Stoke'a Tactics z siedzibą w Miami, kiedy miał sprawę na Florydzie czy na Karaibach.

Tactics International, którą zarządzali wspólnie Stokely Jones i Alex Hawke, pracowała teraz na zlecenie rządu i organizowała dla CIA tajne operacje na terenie południowej Florydy. Ponieważ agencja była na razie największym klientem Tactics, Stoke był dla Harry'ego miły, choć jego przemyślane kalifornijskie dowcipy czasami grały mu na nerwach. Alex Hawke nazwał kiedyś Harry'ego Brocka mistrzem we wkurzaniu ludzi. Trafił w dziesiątkę.

Gdyby Harry chciał być naprawdę szczery ze swoim obserwacyjnym partnerem, przyznałby, że ma takie same wątpliwości co do najnowszego zadania. Dlaczego szefowa wydziału agentów terenowych Karen Riggio wysyłała ich codziennie, żeby pilnowali tego pakistańskiego grubasa wysiadującego w błyszczącym chevy bel air i ucinającego sobie w ostrym słońcu długie pogawędki z całą paradą dupków? Nie miał bladego pojęcia.

- Oczy mnie boją - powiedział Brock. - Weź na chwilę lornetkę, dobrze?

Stoke podniósł dłoń wielkości bochna chleba i wziął małą lornetkę. Brock otworzył schowek i wyjął wielką lornetkę z optyką Zeissa. Może i mniej dyskretna, ale na pewno mniej męczy oczy.

Gruby Pakistańczyk, w o wiele większej skali, natychmiast wydał się bardziej interesujący. Ciemne oczy miał stale rozbiegane - patrzył to w lusterko wsteczne, to rozglądał się na boki. Rozgląda się czy czeka na kogoś? Harry czuł, że adrenalina z poziomu bulgotania przechodzi mu do lekkiego wrzenia. Pakistan, z niestabilnym rządem, słabo pilnowaną bronią jądrową i powiązaniem z talibami i Al-Kaidą zdeklasował około dwóch lat temu Iran na liście najpoważniejszych zagrożeń dostrzeganych przez CIA.

Obserwacją objęto wielu pakistańskich emigrantów, jak ten otyły orzeł Temidy, przebywających w USA legalnie albo nie - to było jeszcze do ustalenia. Sytuacja stała się pilna, zwłaszcza po tragedii w Jackson Memorial, której przewodzili dwaj klienci tego śmiecia należącego do Miecza Allacha, niedawno zwolnieni z Guantanamo.

Imigranci-terrorysty odsiadujący kary w zakładach o zaostrzonym rygorze przyłączali się albo zakładali muzułmańskie bractwa w rodzaju Miecza Allacha, a potem w pierdłu rekrutowali do nich niemuzułmanów i radykalizowali ich przekonania. Potem ci wychodzili na wolność, albo jak dwa tygodnie temu - uciekali z więzienia - i zabijali setki niewinnych cywilów.

Jedyny pracownik Stoke'a, jednoręki Kubańczyk Luis Gonzales-Gonzales o ksywce Sharkey, czyli Rekin, został właśnie wysłany incognito do więzień stanowych, takich jak Glades, czyli Zakład Karny stanu Floryda, by próbować przeniknąć w szeregi Miecza Allacha.

Miecz był jednym z nowszych muzułmańskich ugrupowań, które rosło w siłę w amerykańskim systemie więziennym. Istniało w USA od dwóch, może trzech lat. Ale już dowiodło, że jest w stanie dopuścić się każdego okrucieństwa. Najbardziej przeraził się, kiedy Harry powiedział, że CIA ocenia, iż do Miecza Allacha należy w amerykańskich więzieniach ponad pięć tysięcy osób i liczba ta rośnie. To pięć tysięcy zamachowców-samobójców obmyślających każdego dnia nowe sposoby zabijania Amerykanów.

Kiedy Stoke powiedział Rekinowi, że to główniana robota, ale ktoś ją musi wykonać, nie żartował ani trochę. Amerykańskie więzienia szybko przerodziły się w amerykańskie medresy, finansowane przez podatników szkoły, gdzie świeżo nawróceni na islam fanatycy uczyli się tajników terrorystycznego rzemiosła, na przykład wysadzania szpitali.

„Widzisz, dziś żeby być terrorystą, wcale nie trzeba mieć zatan-
kowanego do pełna Boeinga 767” - powiedział Rekinkowi po wy-
buchu w Jackson Memorial. Aby rozwalić cały szpital wystarczy
banda naszprycowanych metamfetaminą i religią samobójców z plec-
cakami pełnymi środków wybuchowych. Wystarczyło, że uśpiony
zamachowiec pracujący jako kierowca szkolnego autobusu w
Poughkeepsie przyniósł pewnego dnia do pracy AK-47 w powłoczce
na poduszkę. I tak dalej.

Czego dziś uczył się za kratami więzienny narybek? Wcale nie
tego, jak fałszować tablice rejestracyjne. Nie. Uczyli się fanatycznej
religii, uczyli się, jak nienawidzić Ameryki, jak zabijać cywilów. Tak
właśnie było, niestety. Trudno było ufać, że były więzień nadal jest
patriotą.

Weźmy choćby tych dwóch pajaców nawijających w chevym bel
air. Prawnik i ten nadziany. Jeśli Riggio uważa, że prawnik tych z
Guantanamo wiedział wcześniej o zamachu w Jackson Memorial, to
dlaczego nie kazała go zatrzymać, choćby za brak światła stop, i
doprowadzić na przesłuchanie? A ten żigolak? Handluje bronią? Też
należałoby go zapuszkować i potem zadawać pytania.

- Co tam widzisz, Stoke? Coś podejrzanego? Te kutasy coś
knują?

Stoke pokręcił lekko głową i nie odrywał oczu od małej lornetki.
Nic. Ale wszystko to dziwnie wyglądało. Nie mógł się pozbyć prze-
czucia, że dzieje się coś więcej niż to, co widzą.

Tak.

Nagle zrobiło się nerwowo.

Ale dlaczego?

11.

Złe przecucie sprawiło, że Stokely Jones kilka razy omiatał wzro-
kiem okolice plaży w pobliżu niebieskiego chevroleta, ale poza chu-
dym jamajskim rastafarianinem w obcisłych spodenkach i z burzą
matowych dredów, który ćwiczył stanie na jednej ręce na desce do

skateboardu, nie zauważył nic szczególnego.

Otrząsnął się, wziął do ręki małą krótkofalówkę leżącą na desce rozdzielczej i wywołał agenta CIA z Miami siedzącego dwie przecznice na północ.

- Armando, widzisz wokół coś podejrzanego, *hombre*?

W głośniku odezwał się szorstki głos o tytoniowym odcieniu:

- Nie. Muszę wam powiedzieć, chłopaki, że jak na handel bronią to chyba dziwniejszej okolicy nie można było sobie wybrać. Ci dwaj mają zamiar kończyć?

- Nie, tylko sprawdzam, czy wszystko OK. - Stoke wiedział, że Armando Hernandez, starszy Latynos, siedzący w niepozornym jee-pie cherokee, pewnie cieszył się, że ma wreszcie czas, żeby pogłować się nad sudoku, które uwielbiał. Wypełniać małe kratki liczbami przez całe godziny? Co w tym fajnego? Stoke tego nie pojmował, ale co tam, cały świat aż kipiał od rzeczy, których on nie rozumiał.

Od kiedy zmarł Redd Foxx i z anteny zdjęli *Sanforda i syna*, nie zainteresował go nawet żaden serial w telewizji.

Uświadomił sobie, ilu cholernych imigrantów z Trzeciego Świata obsiadło Miami i okolice. Jako policjant w Nowym Jorku patrolował okręg Bed-Stuy na Brooklynie, gdzie łatwo było o kulkę. Tyle czasu poświęcił gangom Latynosów i czarnych, że nie zwracał uwagi na inne grupy, takie jak radykalni muzułmanie. Dlaczego doszło do tego pierwszego zamachu na World Trade Center w 1993 roku?

Bo wszyscy mieli to w dupie.

Teraz wyglądało na to, że wywiad wziął pod lupę cały Pakistan. Ten wkurzający arogancki kraj, gdzie panował wieczny bajzel, był pełen radykałów, którzy chcieli zabijać Amerykanów. Na północy talibowie i Al-Kaida bardzo się do siebie zbliżyli. Nie było dnia, żeby gdzieś nie podkładali bomby. Do tego jest to piąty najludniejszy kraj na świecie, z bardzo niestabilnym rządem pod kierownictwem dwulicowego prezydenta, na którego głosowano ze współczucia, kiedy w zamachu zginęła mu żona.

Jakby tego było mało, Pakistańczycy mieli całą górę kiepsko strzeżonych ładunków jądrowych niecałe dwa kilometry od lotniska w Islamabadzie. Wyobraź sobie tylko - mówił mu Harry - co by się stało,

gdyby koalicja talibów i Al-Kaidy zdołała wywołać wojnę między Pakistanem i Indiami. Zmiotłoby to na pewno chwiejny pakistański rząd, a kraj wpadłby w ręce radykalnych islamistów z pakistańskiej armii. I w ten sposób mielibyśmy pierwszy niekontrolowany islamski reżim z bronią jądrową.

To wystarczyło, by Stoke zainteresował się sprawą.

Zważywszy na to wszystko, potrafił zrozumieć rasową klasyfikację w obecnym zadaniu. Może ten Hassan był pakistańskim specjalistą od broni jądrowej, diabli wiedzą. Może wymieniał broń za narkotyki z tym facetem, co wyglądał jak bywalec Country Clubu. Bez dodatkowych informacji trudno było podniecać się, patrząc codziennie na tłusty tyłek Pakistańczyka.

Brock sam był już bliski łez, więc zaczął z innej beczki:

- A jak się miewa Fancha?
- W porządku. Ma zły humor od czasu, kiedy wyszła jej pierwsza solowa płyta.

- Dlaczego?

- Bo nie zdobyła tytułu platynowej.

- Tak? A jaki zdobyła?

- Plastikowy.

- Niedobrze.

- Ano nie. A teraz chce, żebym sprzedał mój piękny penthouse na Brickell Key i żebym wprowadził się do niej na Key Biscayne. Ożenił się czy coś.

- No i?

Weszli na drażliwy dla Stoke'a temat. Temat małżeństwa zaczynał go nieco przerażać. W normalnej sytuacji zadzwoniłby do Hawke'a po przyjacielską poradę. Ale Hawke ostatnio nie udzielał porad. Wciąż cierpiał po utracie narzeczonej i wspólnego dziecka. Stoke zaniepokoił się tak bardzo, że poleciał na Bermudy, by zrobić mu niespodziankę. Chciał sprawdzić, czy uda mu się wyciągnąć przyjaciela z dołka. Ale Hawke się załamał. I wpadł w dół po same uszy. Po kilku bolesnych dniach Stoke wrócił do domu pewien, że nie zobaczy już więcej przyjaciela żywego.

Stoke odsunął lornetkę. Przez chwilę trzymał ją w powietrzu, po czym oparł o kierownicę i spojrzał na Harry'ego.

- O rany, widzisz to?

Brock cały czas patrzył na dwóch mężczyzn gadających w starym niebieskim chevroletcie.

- Co takiego?

- Laska na Alton, idzie prosto na nas. Gdyby dziwki wyglądały tak jak ona, to trzeba by wprowadzić w konstytucji zapis o obowiązkowej prostytucji.

Brock lekko przesunął mocniejszą lornetkę, żeby zobaczyć zjawisko, o którym mówi partner.

Miała obcisłe białe dzinsy i długie blond włosy, ale ciemną skórę. Głęboko wycięty top odsłaniał sporo biustu. Poruszała się i była umięśniona jak sportowiec. Z jakiegoś powodu nie przypominała Harry'emu prostytutki. Pracujące dziewczyny nie zapuszczały się w te okolice w środku dnia. Nie miała żadnego związku z transakcją, którą polecono im obserwować, ale nie mógł oderwać od niej wzroku.

Stoke wrócił do obserwacji dwóch facetów w chevroletcie. Rozmowa stała się teraz bardziej ożywiona i gwałtowna. Pakistańczyk wyglądający jak Sokół Maltański zaczął mocno gestykulować. Biuściasta laleczka była o pół przecznicy od nich, kiedy zaczął się zastanawiać, dlaczego uskakuje przed samochodami i idzie środkiem ulicy zamiast po chodniku.

Brock z lornetką przy oczach powiedział:

- Gdyby dziwki były jak konie, to ta wygrałaby w cuglach Wielką Pardubicką.

- Tak, a gdyby wszystkie kobiety w Teksasie były tak brzydkie jak twoja matka, Chuck Norris byłby na zawsze singlem.

Zapewne Harry zsalutował mu środkowym palcem. Kiedy Stoke podniósł swoją małą lornetkę, Harry skulił się na swoim fotelu i krzyknął:

- Kurwa mać!

Stoke usłyszał strzały. Ułamek sekundy później zobaczył obraz przez lornetkę. Długonoga kobieta wycelowała w niebieskiego belaira z małego karabinu maszynowego i strzelała do dwóch facetów, których mieli obserwować.

Strzelała krótkimi seriami, panując nad bronią i pilnując, by pociski trafiały dokładnie w cel. Wiedziała, co robi.

Stoke otworzył drzwi suburbana od strony pasażera i wymknął się z wozu, polecając Harry'emu, by zgłosił zdarzenie do Manuelo, który stał kawalek dalej. Po czym dodał:

- I zadzwoń też na policję.

Wyciągnął glocka kaliber 40 z kabury na biodrze i z bronią w rękę puścił się biegiem w stronę chevroleta. Strzelanina ucichła, a na drzwiach od strony kierowcy zobaczył krew.

Blondynka podniosła wzrok i się rozglądała. Dostrzegła Stoke'a i automatycznie wycelowała karabin w jego stronę.

Rzucił się w bok i przycupnął za zaparkowanym volvo kombi. Usłyszał grad ośmiu szybkich strzałów. Opona tuż obok jego głowy pękła i syknęła powietrzem pod ciśnieniem.

Stoke zerwał się, żeby namierzyć cel. Obrócił się w stronę miejsca, gdzie stała. Ale nie było tam nikogo. Tylko podziurawiony chevy z dwoma jeszcze ciepłymi trupami na przednich siedzeniach. Omiałał ulicę wzrokiem i lufą glocka, skulony podszedł do kolejnego samochodu.

Ulica była pusta.

Wstał i zaczął iść. Kobieta zatrzymała się na rogu przy recepcji zniszczonego motelu.

Stoke pobiegł w stronę motelu, ale wtedy nieznajoma odwróciła się i znów strzeliła w jego kierunku, zmuszając go, by schował się za Chevroletem i jego milczącymi pasażerami.

Harry podjechał niebieskim suburbanem. Zapiszczały hamulce i wielki SUV gwałtownie zatrzymał się obok Stoke'a.

- Wskakuj, pojechała na zachód - ryknął Harry.

Stoke zawahał się, ale uznał, że pościg na piechotę nie może się udać. Kuląc się, obiegł maskę suburbana i wskoczył do szoferki. Za kilka sekund powinni być przy kolejnej przecznicy od zachodu, przy dziesiątej, pomyślał.

- Co się, do cholery, dzieje? - zapytał Harry, dysząc.

- Nie mam pojęcia, ale to nie był zwykły biznes.

Stoke usłyszał w oddali syreny. Kiedy z piskiem opon wyjechali za róg, zobaczyli, jak z miejsca rusza nowy czarny dodge charger.

Harry wcisnął gaz i ciężki suburban zaczął zmniejszać dystans. Kiedy byli tuż za mniejszym autem, z okna od strony kierowcy wysunęła się mocno umięśniona ręka z pistoletem maszynowym, w którym Stoke rozpoznał teraz starego maca-10. Facet siał seriami, nie

wystawiając głowy. Mniej więcej połowa kul odbiła się od wielkiego suburbana, a Harry szarpał mocno kierownicą.

Stoke sięgnął po pas, chcąc się zabezpieczyć, bo furgonetkajechała zygzakiem, chwiała się, a w końcu wypadła z drogi, obróciła się i uderzyła o słup. Suburban spoczął na boku od strony pasażera, a jego koła kręciły się bezużytecznie w powietrzu. Harry także nie zapiął pasów. Stoke zobaczył, jak Brock wypada zza kierownicy i przez chwilę płynie w powietrzu, a w końcu spada prosto na niego.

Zrobiło mu się ciemno przed oczyma, zaczęło śmierdzieć jak spod pachy. Jaka szkoda, że Harry nie używa dezodorantu. Jaka szkoda, że mało kto ich używa.

- Harry?
- No?
- Mógłbyś zdjąć lewy łokieć z mojego prawego oka?
- O, przepraszam.
- Nie chciałbym ci przeszkadzać, bracie, ale muszę wyjść.

12.

Miami

Stoke jakoś wydobył swoje zwaliste ciało spod Harry'ego Bracka, który też nie należał do wagi piórkowej, i przecisnął się delikatnie przez rozbitą przednią szybę. Odwrócił się i spróbował pomóc Brockowi wyjść z samochodu. Chwycił go za nadgarstki i pociągnął. Ale coś go trzymało. Może pas zawinięty wokół nogi?

- Nic ci nie jest? - zapytał Stoke. Harry miał sporą ranę nad oczami, przez co wyglądał jak wzięty żywcem z planu horroru. Tyle że ta krew była prawdziwa.

- Nie, głupio mi tylko z powodu tego słupa, dzięki, że pytasz - odparł Brock, ocierając oczy ze świeżej krwi.

- No tak, wydawało mi się, że pościgów uczą już w liceum.

Obaj odwrócili głowy, kiedy Manuelo w białym jeepie Cherokee zahamował z piskiem opon obok suburbana owiniętego wokół słupa.

Starszy chudy jak szczapa agent wyskoczył z auta z przerażoną miną.

- Jezu, chłopaki, nic wam nie jest?

Stoke już pędził do jeepa stojącego z włączonym silnikiem.

- Manuelo, pomóż Brockowi wyjść z tego złomu i powiedz komuś, że ścigam czarnego dodge'a chargera, nowy model. Jadę na zachód MacArthur Causeway. Muszą jechać w tamtą stronę.

Nie czekając na odpowiedź, wskoczył do jeepa i od razu wycisnął wszystkie konie z takiego sobie silnika V-6 o pojemności 3,7 litra. Poczuł, że auto z wysoko położonym środkiem ciężkości nieco przechyliło się przy ostrym skręceniu w prawo. CIA kupiła ten samochód do obserwacji, nie do pościgów. Stoke czuł, że cherokee znów zadrżał i zachwiał się, kiedy skręcił i wjechał na most, nie zważając na znaki ani na inne samochody. Pędził, jakby miał przed sobą ostatnie okrążenie w wyścigu w Hialeah.

Rozległy się klaksony, zdawał sobie sprawę z tego, co myślą o nim inni kierowcy, ale przynajmniej wjechał tam, gdzie chciał.

Pochylił się do przodu i wpatrywał się w drogę przed sobą, licząc, że wpadnie mu w oko czarny charger z groźną blondynką w środku. Po prawej mignęła mu Star Island, potem Palm Island. Nie zwracał uwagi na zatokę, podobnie jak na wiele innych szczegółów. Skupił się na manewrowaniu między sznurami samochodów. Omal nie otarł się o furgonetkę jakiegoś kosiarza trawników wypakowaną nielegalnymi imigrantami z Gwatemali.

Nie zdejmował ręki z klaksonu, żeby zwrócić uwagę innych. W końcu zobaczył przed sobą kawałek pustej drogi. Trasa wpadała na maleńką wysepkę, gdzie mieściła się Papuzia Dżungla. Kiedy wszedł ostro w długi zakręt, serce zabiło mu mocniej. Zobaczył chargera. Oprócz blondynki siedziało w nim jeszcze trzech albo czterech facetów. Jechali spokojnie, jak gdyby nigdy nic, nie przekraczając dozwolonej prędkości.

Stoke opanował się na tyle, by uspokoić się, schować się w sznurze aut za nimi i zgłosić swoją pozycję policji okręgu Miami Dade. Sięgnął do kieszeni. Pusta. Poklepał się po kieszeniach i zrozumiał, że telefon leży we wraku suburbana w pobliżu plaży.

Klepnął się po biodrze i z ulgą poczuł, że pistolet wciąż tkwi w kaburze. Próbował obliczyć, ile zostało mu pocisków. Uznał, że dość, jeśli doliczyć dodatkowy magazynek przypięty do paska na drugim

boku, schowany pod rozpiętą luźną hawajską koszulą. Pod spodem miał na sobie T-shirt z herbem drużyny Delfinów z Miami, całkiem przesiąknięty potem.

Czekał, aż czarny samochód zjechał z mostu do Miami. To dobry znak. Jeśli mieliby się ścigać, to nikt nie znał lepiej tego miasta niż on. Od trzech lat jeździł na najrozmaitsze patrole i obserwacje w każdy zakątek tego tropikalnego raj.

Ale na tym dobre wieści się skończyły.

Kierowca chargeera go zauważył. Stoke zobaczył, że wszyscy pasażerowie się odwracają, a samochód ostro skręca na sąsiedni pas, zmuszając do nagłego hamowania jakąś taksówkę. Chcieli zjechać do Biscayne. Charger gwałtownie przyspieszał.

Szarpnął ostro kierownicą i pojechał za dodge'em, który przejechał na czerwonym świetle przy zjeździe z mostu i zakręcił ostro na południe do Biscayne. Dwa nadjeżdżające samochody musiały hamować z piskiem opon na zielonym świetle. Stoke wykorzystał przerwę w ruchu i przejechał też na tym świetle, musiał tylko szarpnąć ostro w bok, żeby nie rozjechać robotnika drogowego, który krzyczał i środkowym palcem pokazywał, co myśli o kierowcy chargeera oddalającym się błyskawicznie na południe.

Kiedy charger zbliżał się do przejazdu kolejowego, zamigły wielkie czerwone światła i szlabany zaczęły się opuszczać. Kierowca dodał gazu, zmieścił się pod szlabanami i niemal w powietrzu przeleciał przez tory. Stoke kątem oka zobaczył pędzący towarowy skład Atlantic Coastline. Nie miał wyboru. Wcisnął gaz do dechy, rozbił szlabany, wyskoczył w powietrze i spadł po drugiej stronie torów, nim pociąg zdołał musnąć tylny zderzak jeepa.

Przy parku Dwustulecia charger nagle skręcił ostro w prawo, na zachód. Stoke miał już pewność, że kierowca nie jest stąd, bo pchał się w sam środek dzielnicy. A gdyby kiedykolwiek tu był, wiedziałby, że nie ma stąd zbyt wielu wyjazdów. Na dodatek autostrada 1-95 nie pozwoli mu jechać dalej na zachód. Stoke zmniejszył dystans, a kierowca dodge'a czuł się coraz mniej pewnie.

Nagle charger przy zbyt ciasnym zakręcie otarł się o zaparkowany samochód. Kierowca obrócił dodge'a i dymiąc oponami, wjechał na parking opuszczonego biurowca.

Stoke podszedł do sprawy taktycznie. Zablockował wyjazd z parkingu i zatrzymał jeepa. Otworzył drzwi i wytoczył się na bok,

sprawdzając, gdzie są pasażerowie charge'a, a zwłaszcza zabójcza blondynka.

Pierwsza seria zdradziła mu, że jeden z pasażerów dodge'a ma coś znacznie cięższego niż mac-10. Strzelba pokiereszowała cienką blachę jeepa i zmusiła Stoke'a do przytulenia się do furgonetki zaparkowanej na ulicy.

Strzelali cały czas jego śladem. Cofnął się bardziej, czując od razu, że to był durny pomysł. Czuł się jak szczeniak, który w końcu dopadł samochód i nie miał pojęcia, co z nim zrobić. Miał naprzeciw siebie co najmniej czwórkę uzbrojonych po zęby napastników, którzy mieli nad nim ogromną przewagę. W żargonie policyjnym nazywało się to sytuacją asymetryczną. Oznaczało to w istocie, że ma się przerąbane. Ten dzień nie potoczył się zgodnie z planem.

Skulił się i czekał. Wsunął nowy magazynek do glocka, licząc w duszy, że policja z Miami-Dade szybko zareaguje. Potrzebował pomocy i to natychmiast. Czy ktoś mnie słyszy? Boże, jesteś tam? Pomóż mi.

Nagle dobiegł go strzał z boku zaparkowanej furgonetki i zrozumiał, że został otoczony. Obrócił się i zobaczył młodego umięśnionego chłopaka w dżinsach i T-shircie, który wymierzył do niego z pistoletu i strzelił trzy razy.

Wpadł po samą szyję i nie miał wsparcia. Zrobili go w trąbę i to parę razy. Wiedziałem, że tak będzie, wiedziałem, myślał. Mieli przewagę, dupki. Strzelił dwa razy w stronę chłopaka, głównie po to, żeby się schylił i dał mu czas na znalezienie jakiejś bezpieczniejszej kryjówki.

Blond królowa Amazonek stała przy charge'ze z mac-10 wycelowanym w niego. Dwaj pozostali skuleni szybko biegli w jego stronę od prawej.

Tak ma się zakończyć jego kariera?

Może, ale nie bez walki.

Stokely nastawiał ucha, czy nie słysząc syren radiowozów, ale przez huk z tych wszystkich luf wycelowanych w niego nie sposób było niczego usłyszeć. To, że jeszcze żył, zawdzięczał tylko temu, że w takich sytuacjach jak ta był naprawdę dobry. Pocieszyła go ta myśl. Przestał użalać się nad sobą i zaczął myśleć i działać instynktownie.

Czas zrobić piekło, Stoke.

Postanowił, że podpuści ich bliżej i użyje krótkiej broni w naj-sensowniejszy sposób - z bliska.

Jego życzenie się spełniło, bo napakowany chłopak wyrósł tuż obok jak spod ziemi. Skąd się wziął tak nagle?

Stoke odwrócił się, uniósł pistolet i strzelił, nim zdążył go podnieść całkowicie. Pierwszy pocisk trafił napastnika w kolano, oszłamiając go na sekundę. Kolejny wyrwał mu biodro i posłał na szorstki asfalt. Pistolet upadł obok.

Stoke kopnął nieznaną mu półautomat, by wijący się z bólu chłopak nie mógł po niego sięgnąć. Nim zdążył ocenić jego rany, o blachę furgonetki tuż przy jego głowie zagrzecgotały kolejne pociski. Skulił się. Nadal mieli nad nim poważną przewagę liczebną i w sile ognia.

Szybko wyjrzał zza tyłu furgonetki i zobaczył długowłosego mężczyznę z ciężką strzelbą. Szedł szybko w jego stronę. Cholera. Ale nagle stała się rzecz dziwna. Bez udziału Stoke'a rozległy się kolejne strzały i zbliżający się facet z końskim ogonem padł jak długi na asfalt na parking. Strzelba ze szczękiem upadła obok, a pod ciałem zaczęła się tworzyć kałuża krwi.

Co jest, do cholery?

Z samochodu za plecami Stoke'a, nieco po prawej, padły kolejne strzały. Nagle wyskoczył facet z zakrwawioną twarzą i zaczął strzelać do blondynki z mac-10. Był na tyle dobry, że musiała szukać osłony. Zadowolony wybawca schował się za furgonetką tuż obok Stoke'a.

- Wszystko w porządku, mały? - odezwał się spokojnie Harry Brock.

Stoke popatrzył na niego w milczeniu i kiwnął głową.

- Jak do diaska...?

- Zarekwirowałem samochód jakiemuś cywilowi, policja z Miami-Dade poinformowała mnie, gdzie jesteś. Wziąłem nowiutką corvette kabriolet. Wystraszyłem sukinsyna na śmierć, kiedy sięgnąłem i wyciągnąłem mu kluczyki. Przepraszam za spóźnienie, ale utknąłem na tym przejeździe, na którym o mały włos cię nie rozwalił pociąg. Najdłuższy, jaki w życiu widziałem. Mówię ci, miałeś szczęście, partnerze.

- Jezu, Harry.

- Spokojnie, dobrze?

Następnie bez słowa Brock odskoczył, schylił się nad rannym chłopakiem leżącym na ziemi, zarzucił go sobie na barki, a następnie wybiegł na parking i używając rannego jako prowizorycznej tarczy, zaczął iść i strzelać metodycznie do pozostałych zbirów.

Stoke, rzecz jasna, uznał, że Harry oszalał, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie wykonałby takiego numeru. Ale Harry potrafił strzelać, z tym nikt nie dyskutował. Stoke wyjrzał ukradkiem i zobaczył, że brodac z chargera mierzy tam, gdzie Brock rzucił zwłoki chłopaka i zniknął za odpicowanym fordem pikapem 150 z chromowanymi zderzakami błyszczącymi w słońcu.

Blondynka też osłaniała oczy i mierzyła w stronę, gdzie przykucnął Harry.

Stoke przez sekundę spokojnie przymierzał się do dalekiego strzału z pistoletu. Wypalił trzy razy w stronę blondynki. Skuliła się, krzyknęła coś do ostatniego pomagiera i wciąż pochylona zaczęła iść w stronę chargera. Za to brodaty dupek rzucił się najpierw po swego leżącego bez życia kamrata.

Stoke podszedł do drugiego końca furgonetki i zobaczył, że Harry Brock staje za pikapem i mierzy prosto w chargera, w którym właśnie zaryczał silnik. Strzelił dwa razy, dwiema długimi seriami, po czym zanurkował, by uniknąć gradu pocisków z mac-10. Kilka sekund później wychylił się ponownie, spojrzął na Stoke'a i z uśmiechem uniósł kciuk do góry. Potem znów schował się za fordem.

Czarny charger paląc gumę, wyjechał z parkingu i zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Stoke zobaczył, jak na tylne siedzenie ładują drugiego rannego i błyskawicznie odjeżdżają.

Wtedy usłyszał syreny.

W końcu.

Kochanie, minął właśnie kolejny idealny dzień w raj, pomyślał z ironią.

A jak tobie minął dzień, skarbie?

13.

Highgrove

Dwa detektywi z sekcji specjalnej stali po obu stronach zamkniętych drzwi do jadalni. Oficerowie S015, czyli brygady ochrony królewskiej, mieli za zadanie zapewnić jak najlepszą ochronę co najmniej dwudziestu członkom rodziny królewskiej. Dwaj kolejni czuwali na zewnątrz, pracując między krzewami pod oknami w przebraniu ogrodników. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni, choć nie ostentacyjnie.

Highgrove było zawsze dobrze strzeżone, ale po tym, co przydarzyło się rano lordowi Hawke, sekcja specjalna wprowadziła zupełnie nowy poziom zabezpieczeń. Blisko połowa ludzi obecnych na terenie rezydencji należała do sekcji specjalnej. Wielu pracowało w przebraniu rolników na polu, ogrodników, myśliwych czy koniuszych.

- Powinienem zacząć nasze spotkanie od powitania wszystkich państwa jeszcze raz w progach Highgrove - zaczął książe Karol.

Wszyscy siedzieli wygodnie przy okrągłym stole w przestronnym kącie sali z dużymi oknami. To była mała jadalnia z widokiem na przydomowy ogród. Sprawnie podano obiad i posprzątano naczynia. Na rzeźbionym mahoniowym stole zostało kilka talerzy, ale ich miejsce szybko zajęły notesy i długopisy leżące przed każdym z zebranych, kryształowe karafki z wodą z lodem, szklanki dla siedmiu osób i czerwona skórzana teczka z dwiema kartkami z pogrózkami, jakie znalazł książe Walii.

Przy małym biurku w pewnej odległości za księciem usiadł jego prywatny sekretarz sir Hugh Raleigh, szczupły łysiejący mężczyzna w bezkształtnej tweedowej marynarce, notując w ciszy. Hawke obserwował go i zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości to ten niepozorny urzędnik trzyma klucze do wszystkiego. I dlatego to on ma w rękę ogromną władzę.

Rozmowa przy obiedzie naturalnie toczyła się wokół pułapki zastawionej na drodze na Hawke'a i Congreve'a. Nie powiedziano prawie nic na temat, który ich tu wszystkich sprowadził. W sali zapadła

cisza, kiedy lokaj otworzył drzwi i ukazała się w nich piękna czar-
nowłosa kobieta w świetnie skrojonej różowej garsonce od Chanel.
Pewnym krokiem podeszła do stołu.

- Przepraszam za spóźnienie, sir - odezwała się z nieśmiałym
uśmiechem, pochylając głowę w stronę księcia Walii.

Karol wstał i podszedł, by się z nią przywitać.

- Sahira Karim - przedstawił ją. - Bardzo się cieszymy, że pani
dotarła, doktor Karim. Witamy w Highgrove.

Pochyliła lekko głowę i powiedziała:

- To wielki zaszczyt poznać Waszą Księżęcą Mość.

- Proszę usiąść i coś przekąsić. Wcale się pani nie spóźniła, a na
pewno jest pani głodna. Zakładam, że zna pani większość zebranych.
Czy poznała pani mojego drogiego przyjaciela lorda Hawke'a i in-
spektora Ambrose'a Congreve'a?

- Z lordem Hawkiem przyjaźnimy się od lat - odparła Sahira i
podeszła, by uścisnąć mu dłoni. - Ale nie miałam przyjemności poznać
słynnego inspektora Congreve'a. To wielki zaszczyt, sir - powiedziała
i wyciągnęła rękę, uśmiechając się ciepło.

Bez pytania kelner w liberii położył na stole czyste nakrycie dla
nowego gościa. Hawke nagle przekonał się, że siedzi obok zastęp-
czyni lorda Malmsey'a z MI-5, młodej, niezwykle atrakcyjnej Hin-
duski zaręczonyj z jednym z najbliższych przyjaciół Hawke'a.

Anthony Soames-Taylor chodził z Hawkiem do szkoły Fettes, od
tamtego czasu lubili razem strzelać i polować na lisy. Tony zginął
tragicznie przed rokiem w koszmarnym zamachu na Heathrow.
Hawke od tamtego czasu nie widział jego narzeczonej.

Zapomniał już, jak pięknie wygląda.

- Panno Karim - odezwał się książę Karol - może podzieli się pani
swoimi informacjami o tym, co wydarzyło się dzisiejszego ranka?

- Oczywiście, sir. Pięciu z sześciu napastników uciekło jaguarem
sedanem. Rozstawiliśmy policyjne patrole na wszystkich drogach z
Gloucestershire, ale nietrudno sobie wyobrazić, że zmienili ubranie,
samochód i poruszają się skradzionym autem, a może i dwoma. Nie-
stety, sądzę, że mogli się nam wymknąć. W przeciwnym wypadku już
byśmy ich mieli.

- Przepraszam, że się wtrącam - odezwał się Hawke. - Ale po-
winniście ograniczyć liczbę poszukiwanych z pięciu do czterech. W
czasie pościgu strzelałem do jednego z jadących jaguarem.

- Zginął?
- Bez dwóch zdań.
- Dziękuję, to nam nieco ułatwi zadanie. Mamy też bardzo dobre wieści. Udało nam się odczytać numer nadwozia ze spalonego rovera. Sprawdziliśmy go już w krajowej bazie antyterrorystycznej MI-5. Należy do niejakiego Seana Faheya, jednego z zabójców powiązanych z niedawnymi zamachami na dwóch brytyjskich żołnierzach w Irlandii Północnej.

- Wiemy teraz z całą pewnością, że atak na lorda Hawke'a i inspektora Congreve'a był dziełem IRA. Nie mamy pojęcia, jak się dowiedzieli o tym spotkaniu, ale ewidentnie zamach miał nam pokrzyżować szyki. Z radością mogę powiedzieć, że już wiemy, kim byli zamachowcy i śledztwo może ruszyć pełną parą.

Hawke i Congreve spojrzeli na siebie ponad stołem. Hawke zdumiony wymówił bezgłośnie „IRA?”, a Congreve przytaknął. Jeśli IRA wiedziała o najtajniejszym ze spotkań, to można się było tylko domyślać, jak wysoko na drabinie politycznej są zdrajcy. Z drugiej strony przypomniał sam sobie, że równie dobrze sympatykiem i płatnym informatorem IRA może być stajenny albo inny służący z Highgrove. Na razie niczego nie można było wykluczyć.

- Doskonale, Sahiro - rzekł Karol. - Świetna robota! A teraz proszę, nie chcę, żebyś przez savoir-vivre jadła zimny obiad. Przekonasz się, że jagnięcina jest naprawdę wyborna.

Przy stole powrócono do rozmów na ogólne tematy. Hawke szepciem podziękował pięknej Hindusce z MI-5 i zaczęli szczegółowo rozmawiać o zamachu na drodze. To była pierwsza prawdziwa rozmowa z piękną kobietą od ponad roku, i ze zdziwieniem stwierdził, że się peszy.

- Alex - rzekła cicho Sahira - nie zdążyłam ci podziękować za niewiarygodnie miłą rozmowę przez telefon po tym, jak Tony zginął na Heathrow. Twoje anegdoty i wspomnienia z waszej szkoły naprawdę mnie wzruszyły.

- Cały czas mi przykro, że go straciłaś, Sahiro. Obawiam się, że takich rzeczy się nie zapomina.

Spojrziała na niego i położyła dłoń na jego ręce.

- Alex, nie pisałam do ciebie po twojej tragedii. Chyba nie mogłam znaleźć słów, by wyrazić współczucie. Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz.

Alex nie wiedział, co odpowiedzieć.

Nigdy nie jest łatwo rozmawiać z piękną kobietą, ale zauważył, że Sahira wpatruje się w niego o kilka sekund za długo, i to go peszyło. Na szczęście rozmowę wkrótce im przerwano.

Patrząc na napiętą twarz księcia Karola, Hawke uznał, że za chwilę zaczną. Karol wstał.

- Czas przystąpić do rzeczy, proszę państwa. Proszę o jedno. Rozmawiajmy nieformalnie. Teraz jesteśmy po prostu kolegami, nie rodziną królewską i poddanymi. Potraktujcie mnie jak członka zespołu i nie wahajcie się zadawać żadnych pytań. Ja będę postępował tak samo. Czy wszyscy się zgadzają?

Zebrani po kolei kiwnęli głowami.

- Rzecz jasna - ciągnął Karol - moja rodzina stawiała już czoło znacznie większym zagrożeniom. We wrześniu 1940 roku niemiecki bombowiec Dornier był zaledwie o kilka chwil od zrzucenia ładunku na pałac Buckingham. Pilotowi myśliwca RAF Rayowi Holmesowi właśnie skończyły się naboje w ośmiu działkach Hurricane'a, ale się nie poddał.

Świadomie staranował niemiecki bombowiec z szybkością ponad sześciuset kilometrów na godzinę, odcinając mu cały ogon. Holmes bezpiecznie się katapultował. Zaskoczony pilot nazistowskiego bombowca zupełnie nie trafił w pałac i rozbił się o ziemię w pobliżu Victoria Station z taką siłą, że samolot wrył się w grunt.

Karol przerwał na chwilę, rozejrzał się po twarzach zebranych i dodał:

- Moja niezłomna babcia, która nie ruszyła się z Londynu przez cały okres nalotów, była, co zrozumiałe, zmieszana, ale nie wstrząśnięta.

Parę osób przy stole uprzejmie parsknęło śmiechem. Księżę mówił dalej:

- Mogę was jednak zapewnić, że obecną sytuację moja rodzina traktuje jako naprawdę przykrą. Sama królowa zachowuje zimną krew. Ale ja nie. Jestem przekonany, że te dawne i ostatnie pogroźki wobec monarchii są prawdziwe. I że stojący za nimi zamachowcy z IRA są pełni entuzjazmu, zdeterminowani i zdolni osiągnąć swój cel. Wystarczy przypomnieć choćby poranne próby zamachu na drodze do Tetbury. Mamy niezwykle szczęście, że inspektor Congreve i lord Alex Hawke są tu z nami.

Przy stole rozległy się ciche mruknięcia aprobaty.

- Z pierwszym pytaniem zwrócę się do pana, inspektorze Congreve. Był pan w zespole, który badał miejsce zamachu na lorda Mountbattena w Irlandii, prawda?

- Zgadza się, sir.

- Był pan zadowolony z efektów śledztwa? To była operacja IRA?

- Wtedy powiedziałbym zapewne, że tak, sir. Wszyscy byliśmy zadowoleni. Ale późniejsze wydarzenia, takie jak notatka znaleziona w książce lorda Mountbattena, każą mi ponownie przemyśleć tamte wnioski.

Karol mówił dalej:

- Dwaj oskarżeni o ten zamach należeli do Tymczasowej IRA.

- Tak, sir.

- Ale do więzienia trafił tylko jeden. McMahon. Dziwne, prawda?

- Thomas McMahon, zgadza się.

- A drugi podejrzany?

- Prokuratura nie była w stanie zebrać wystarczająco obciążających dowodów wobec drugiego mężczyzny, Wasza Wysokość. Miał na nazwisko McGirl.

Karol uśmiechnął się, słysząc odruchowo przytoczony swój tytuł. Przywykł do tego.

- Ale mimo wszystko, wasz zespół ostatecznie był przekonany o winie McMahona, zgadza się, inspektorze Congreve?

- Wówczas z całą pewnością, sir. Mój irlandzki kolega, posturkowy Drummond, dowiedział się, że McMahon szkolił się w robieniu bomb w Libii. Kiedy go aresztowano, okazało się, że na ubraniu miał ślady nitrogliceryny. Ta bomba z całą pewnością wyszła spod jego ręki. Lubił używać plastycznego materiału wybuchowego Geligite.

- Mimo to, inspektorze, pozwoliłem sobie przestudiować uważnie akta śledztwa. Wynika z nich wyraźnie, że McMahon był prawie sto kilometrów od miejsca, gdzie doszło do wybuchu bomby, która zabiła wujka Dickiego. Zdaje się, że jest możliwy udział strony trzeciej?

- Tak, sir. Musieliśmy dojść do wniosku, że bombę odpalono zdalnie, drogą radiową. Zrobił to ktoś inny niż McMahon, obserwując

jacht z brzegu. Ukrył się w lesie nad zatoką, ale mógł stamtąd upewnić się naocznie, że lord Mountbatten jest na pokładzie Shadow V.

- Innymi słowy, dopuszcza pan możliwość, że człowiek, który wykonał bombę, był z IRA, ale ten, kto wcisnął guzik, mógł nie mieć nic wspólnego z IRA?

- Jak najbardziej, sir. Ale muszę zaznaczyć, że zebrane dowody nie pozwalały nam wątpić, że było to dzieło IRA. IRA wzięła na siebie odpowiedzialność za to zabójstwo już kilka godzin po wybuchu. I na tym się skończyło.

- Sir Davidzie, a co pan o tym sądzi?

- Muszę się zgodzić z pańskim tokiem rozumowania, sir. Ta odnaleziona kartka z pogroźką to wystarczający powód, by spekulować, że w morderstwie lorda Mountbattena mógł brać udział ktoś inny, może w ogóle niezwiązany z IRA. Może sympatyzował z ich walką, ale nie miał z nimi bezpośrednich związków. Strona trzecia. Ktoś głęboko rozżalony, kto wydał osobistą wojnę Mountbattenowi.

- A zatem trzeci podejrzany. Był zamieszany w zamach, ale z chęcią pozwolił, by to członkowie Tymczasowej IRA wzięli na siebie całą odpowiedzialność, czy tak, sir Davidzie? - zapytał Hawke swojego zwierzchnika.

- Tak, coś w tym stylu. Rzucił podejrzenia na kogoś innego, by móc przeprowadzić osobiste porachunki.

- Ale dlaczego? Po co popełniać morderstwo stulecia, przynajmniej na owe czasy, i się tym nie chwalić?

Księżę Walii odezwał się po dłuższej chwili zastanowienia:

- W rzeczy samej, Alex. Ktoś z zupełnie innym, niepolitycznym motywem jak najbardziej wchodzi w grę. Ktoś z apolityczną, głęboką osobistą zadrą wobec lorda Mountbattena. Rozczarowany pracownik, na przykład koniuszy. To się zdarza. Oczywiście wszystkie te spekulacje nie wykluczają możliwości, że sprawca mógł być po prostu trzecim członkiem IRA?

- Oczywiście, że nie, sir - odezwał się cicho Congreve. - Z całym szacunkiem, czasami cygaro to tylko cygaro.

Karol zwrócił się do Thorne'a:

- Monty, prowadziłeś prywatne śledztwo w sprawie zabójstwa wujka Dickiego. Co o tym sądzisz?

Hawke spojrział na Thorne'a. Na obiedzie pojawił się w oszalałym, świetnie skrojonym trzyczęściowym białym garniturze, w błękitnej jedwabnej koszuli i butach, na które nawet Congreve musiał patrzeć z zazdrością. Tradycyjne mokasyny, ale ze śnieżnobiałego zamszu. W szarym świetle MI-6 Thorne był jak paw pierwszego sortu.

Montague Thorne delikatnie odchrząknął, rozejrział się wśród zebranych i odezwał się, kiedy miał już pewność, że wszyscy na niego patrzą:

- Na pewno wszyscy już wiecie, że mimo swej odrażającej zbrodni McMahon zdążył już wyjść na wolność, na mocy Porozumień Wielkopiątkowych. To oburzające, ale tak się stało. I tuż po jego wyjściu z więzienia księżę Karol otrzymuje kolejną pogroźkę z identycznym podpisem jak na notatce wysłanej do Mountbattena. Czy to tylko przypadek? Być może. Ale jak ujął to elokwentnie inspektor Congreve, „czasami cygaro to tylko cygaro”. A zatem postaramy się go odszukać, bezzwłocznie. Moim zdaniem Thomas McMahon to największy podejrzany w sprawie owych pogroźek.

- Czy ktoś wie, gdzie ostatnio widziano McMahona? - zapytał Congreve.

- Po wyjściu z więzienia mieszkał w lokalu komunalnym w Belfaście - odpowiedział Thorne.

- Myślę, że przejadę się tam i utnę sobie pogawędkę z sąsiadami, i popytam, gdzie może teraz być - zadeklarował Ambrose. - I to jak najszybciej.

- Świetny pomysł - rzekł Thorne i pochylił się nad stołem. - Choć sprawę zamknięto ponad trzydzieści lat temu, z chęcią porozmawiam o ewentualnych innych podejrzanych. Ale proszę, nie podważajmy oczywistych faktów. Znamy przecież motyw, prawda? Ktokolwiek wykonał pierwszy wyrok śmierci, musiał obwiniać osobiście Mountbattena i rodzinę królewską o straszną tragedię, do jakiej doszło w jego ojczyźnie.

- W Irlandii? - wtrącił się sir David. - Czy może w Indiach?

Montague Thorne nie zdołał ukryć znużonego westchnienia.

- Ależ oczywiście, że w Irlandii, sir Davidzie. Poćwiartowanie? Wykrwawienie na śmierć? Pionki w grze? To mantra, jaką Irlandczycy powtarzają od wieków. Ale z akt wynika, że w śledztwie nie

pominięto żadnego wątku. MI-6 sprawdzało, czy to nie sprawka Rosjan, konkretnie KGB. Przyglądano się także Libijczykom, bo tam McMahon uczył się robić bomby. Ale bez wątplenia należał do IRA, więc to z całą pewnością była akcja IRA. Sir David, ożywiony, wyrzucił z siebie grad pytań:

- Ale dlaczego zabójca nie działał sam? A może w ogóle nie należał do IRA? Samotny zamachowiec z własnymi motywami?

To z pewnością możliwe. W takim razie po co w ogóle angażował w to IRA? Z sympatii do ich sprawy? A może po to, żeby po prostu oddalić podejrzenia od siebie i prawdziwych motywów?

Hawke podniósł wzrok i zaczął pocierać brodę.

- Może chodziło o jedno i drugie, sir Davidzie. Ale morderca potrzebował też bomby i Bóg jeden tylko wie, ile tego powstawało wtedy w Belfaście. Mieli więcej fabryczek bomb niż pubów. Najlepiej byłoby, gdyby znaleźli specja od bomb stosunkowo niedaleko rezydencji Mountbattena w Irlandii Północnej.

Congreve wpadł mu w słowo:

- Otóż to. Kogoś takiego jak Tom McMahon, główny ekspert IRA od bomb w hrabstwie Sligo. I powiedzmy to głośno, kogoś, komu bardzo zależało na tym, żeby pomóc prawdziwemu mordercy. To możliwe, prawda?

- Jak najbardziej możliwe, czyż nie, lordzie Malmsey? - rzekł Hawke, patrząc na szefa MI-5, do którego zadań należała obserwacja niespokojnych grup imigranckich w Anglii i Irlandii Północnej.

Malmsey, zmieszany, poprawił się na krześle.

- Oczywiście wszystko jest możliwe. Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

Hawke się uśmiechnął:

- Lordzie Malmsey, zadam teoretyczne pytanie. Sądząc z języka, jakim sporządzono pierwszą notatkę, którą znalazł książę Karol, nasz zabójca żywił trwałą, głęboką, osobistą nienawiść do swej ofiary, czyli lorda Mountbattena. Zgodzi się pan? Załóżmy na razie, że z powodu motywacji o wiele mniej politycznej niż IRA temu hipotetycznemu mordercy znacznie mniej zależało na przyznawaniu się do tego zabójstwa. Prawda?

- Tak można przypuszczać - odparł Malmsey bez przekonania.

Hawke mówił dalej:

- I teraz pojawia się nowa pogróżka, którą otrzymał Jego Księżę Wysokość, z identycznym podpisem. Z pewnością się pan zgodzi, że można na tej podstawie sądzić, że ta osobista vendetta wciąż trwa, trzydzieści lat od tamtego zamachu. Tak czy nie?

- Tak, myślę, że to możliwe.

- A zatem, jaki jest obecny poziom zagrożenia dla rodziny królewskiej? Czy miał miejsce jakiś skok, o który powinniśmy wiedzieć? A jeśli tak, to skąd owe groźby nadchodzą?

- Skok to bardzo łagodne określenie - stwierdził lord Malmsey.

14.

Lord Malmsey zmrużył oczy. Zagrożenie wzrosło drastycznie w ciągu ostatnich kilku lat, kiedy nowe pokolenie młodych członków rodziny królewskiej zaczęło jeździć w niebezpieczne miejsca, prowadzić normalne życie w społeczeństwie. Wymagało to od Scotland Yardu i MI-5 ogromnego budżetu i mnóstwa ludzi. Nie było tu łatwych rozwiązań.

Na dodatek w Wielkiej Brytanii rosła coraz bardziej buzująca populacja muzułmańskich imigrantów, z którymi państwo sobie nie radziło. To wszystko było oczywiste. Robił, co mógł przy ograniczonych możliwościach, z napiętym budżetem. Ale mówiąc szczerze, ostatnio Malmsey obawiał się o posadę.

Minister spraw wewnętrznych naciskał na niego, by awansował pannę Karim na nowe stanowisko, choć dał mu jasno do zrozumienia, że to przedwczesny awans, a nawet całkowicie nieuzasadniony. Kobieta była zjawiskowa, inteligentna, jego zdaniem zbyt jednak zainteresowana tym, by znaleźć własne nazwisko w gazetach. On należał do starej gwardii. Ale nie zamierzał jeszcze kończyć.

Spojrzał na nią i pomyślał: „Masz bystre oczka, kochana. Ale poczekaj, aż zobaczysz moje zęby”.

- Na to pytanie niech odpowie może panna Karim - odezwał się lord Malmsey. - Non stop zajmuje się zagrożeniem ze strony krajowych radykałów islamskich. Panno Karim?

- W rzeczywistości sprawy wyglądają następująco - zaczęła Sahira, wstając z krzesła. Hawke uświadomił sobie, że patrzy na nią z nieskrywanym zainteresowaniem. Nie była piękna w klasycznym sensie, ale była niezwykle urodziwą kobietą. Miała atrakcyjną sylwetkę i błyszczała intelektem. Przypomniał sobie teraz, dlaczego uważał zmarłego przyjaciela Tony'ego Soamesa-Taylora za takiego szczęściarza. - Owszem, pojawia się coraz więcej pogrozek wobec rodziny królewskiej - mówiła. - I mogę bezsprzecznie stwierdzić, że zdecydowana większość z nich pochodzi ze społeczności muzułmańskiej. Sprawdzamy każdy sygnał. Ale na razie nie trafiliśmy na naprawdę poważne zagrożenie dla rodziny królewskiej. Zwykle są to żartownisie, wariaci, pozerzy itd.

- Czy może pani sprecyzować poziom zagrożenia, panno Karim? - zapytał Hawke.

- Moim zdaniem, tygodniowo możemy się teraz doliczyć pięciu do sześciu pogrozek wobec samej tylko Jej Królewskiej Mości i dwóch do trzech wobec dziedzica tronu. Dzięki Bogu, większość po sprawdzeniu okazuje się humbugami. Autorzy tych poważniejszych są aresztowani i przesłuchiwani.

- Jaki jest profil podejrzanych? - zapytał Trulove.

- Młodzi, sir Davidzie. Rozczarowani młodzi obywatele pochodzenia muzułmańskiego, zamieszkujący hinduskie i pakistańskie dzielnice londyńskiego East Endu. Prawdę mówiąc, Londyn stał się inkubatorem agresywnego islamskiego ekstremizmu. Wściekłość podsyca rozczarowanie sytuacją w kraju i coraz większe oburzenie wobec wojen w Iraku, północnym Pakistanie i Afganistanie.

Sahira Karim mówiła dalej :

- Nasza długoletnia tradycja tolerancji sprawiła, że staliśmy się oazą dla imigrantów i politycznych wyrzutków z całego świata. Ogromny napływ Pakistańczyków i innych muzułmanów w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych sprawił, że powstało nawet określenie „Londonistan”. Wielka Brytania jest dziś siedzibą największej w Europie społeczności muzułmańskiej.

- Co nie daje pani zasnąć, panno Karim? - zapytał nagle książe Karol.

- Poza sąsiadami z góry? Pakistańczycy, sir. Teraz skupiam na nich całą swoją uwagę. Ich internetowa komunikacja budzi ostatnio

mój ogromny niepokój. I podobnie jak w Ameryce nasze więzienia stały się ośrodkami do rekrutacji i szkolenia bojowników i zamachowców-samobójców. Jestem pewna, że czekają nas kolejne zamachy terrorystyczne z rąk krajowych sprawców.

- Pakistan - wtrącił Hawke. - Ten kraj i mnie nie daje spokojnie spać.

- I słusznie, Alex - powiedział „C”. - Obecny tu pan Thorne leci jutro do Afganistanu i Pakistanu na regularne spotkanie z sympatyzującymi z nami dowódcami i watażkami z prowincji północnych. Wspólnie omówimy sytuację w Pakistanie w przyszłym tygodniu, po jego powrocie.

- Czy możemy wrócić do konkretnych zagrożeń dla korony? - poprosił Ambrose.

- Oczywiście - odparł „C”.

Congreve odkaszlnął dyskretnie w zaciśniętą dłoń i się odezwał:

- Rzecz jasna, jestem głęboko zaniepokojony tym, że Wasza Książęca Mość znalazł kartkę z pogrózkami w tej sali. Przyklejoną od spodu do obrotowej szachownicy. To oburzające. Będę musiał przejrzeć księgę gości w Highgrove co najmniej z ostatniego miesiąca. Muszę sprawdzić, kto miał dostęp do tej sali. A sekcja specjalna musi chyba gruntownie przesłuchać wszystkich pracowników posiadłości.

- Zgoda - odparł Karol. - To istotnie niepokojące. Radzono mi, bym wrócił z rodziną do Clarence House w Londynie, ale szczerze mówiąc, wolałbym zostać tutaj.

- Potroiliśmy już ochronę na terenie posiadłości - odezwał się znad notatek osobisty sekretarz księcia. - Może na jakiś czas powinniśmy ją zwiększyć czterokrotnie? Póki zagadka nie zostanie rozwiązana?

- Tak, z całą pewnością zamierzam to zrobić we wszystkich rezydencjach i pałacach królewskich, póki wszystkiego dogłębnie nie wyjaśnimy - zapewnił lord Malmsey. - I to natychmiast.

Książę Karol nagle wstał i rozejrzał się po twarzach zebranych. Spotkanie miało się ku końcowi.

Ma łagodny wzrok, pomyślał Hawke, patrząc na niego. Delikatny, rozważny mężczyzna, który starał się ze wszystkich sił służyć ukochanej Anglii. Pewnego dnia zostanie królem, i to świetnym, myślał

Hawke. Nagle przypomniał sobie, co ich zbliżyło do siebie w ciągu tych lat. Wspólne poczucie obowiązku. I brak poczucia uprzywilejowania.

- Bardzo wszystkim dziękuję za przybycie - powiedział Karol. - Po tej niezwykle drobiazgowej i ogromnie pomocnej dyskusji proponuję szklaneczkę lub dwie clareta do kolacji. Inaczej nikt z nas nie zmrúży oka. Kolację podajemy punktualnie o ósmej. Do zobaczenia państwu. Na tym skończymy.

Hawke wziął do ręki długopis i napisał notatkę dla Ambrose'a. Zgiął ją starannie i podał najdyskretniej, jak mógł. Detektyw trzymając kartkę w ukryciu, rozłożył ją i przeczytał, co następuje:

„Ambrose, Mountbatten. To od niego wszystko się zaczęło. Dowiedzmy się, kto go naprawdę zabił i znajdziemy naszego podejrzanego. H”.

Hawke przebierał się do kolacji, kiedy usłyszał ciche pukanie do drzwi pokoju gościnnego

Otworzył, wciąż walcząc z niesforną muszką. W drzwiach zobaczył Ambrose'a Congreve'a, który zapalał fajkę.

- Witaj, Alex. Jeszcze niegotowy?

- Dobrze, że jesteś, staruszk. Możesz mi pomóc z tą piekielną muchą? Kto wymyślił, żeby się w to ubierać? Nie mam pojęcia, jak Churchill mógł je nosić codziennie, zwłaszcza kiedy miał na karku Hitlera.

- Podejdz do lustra. Muszę stanąć za tobą i wiązać tak, jakbym wiązał sobie. I jeszcze chusteczka w butonierce. Źle ją włożyłeś.

Kiedy Congreve poprawiał mu szczegóły garderoby, Hawke zapytał:

- Coś cię gryzie. Czuję to. Chyba że to twoja woda kolońska.

- Chodzi o tę starą sprawę Mountbattena.

- Mów, Matuzalemie.

- Nie chciałem o tym wspominać w obecności jego książęcej mości ani pozostałych zebranych. Nie chciałem rozbudzać fałszywych nadziei. Bo możemy się zapędzić w ślepią uliczkę.

- Może być i ślepa, szukamy jakiegokolwiek drogi. Mówże.

- W naszym śledztwie początkowo był też trzeci podejrzany. Nazwaliśmy go „trzecim człowiekiem”.

- Naprawdę?
- Nie zdradzaliśmy nazwiska prasie. Wtedy dało się tak robić. Nie mogliśmy go znaleźć. Próbowaliśmy przez całe lata. Ale to jakiś duch. Trop się urwał.
- Mówisz o tym, który wcisnął guzik od bomby na jachcie Mountbattena?
- Hm. Możliwe. Szukaliśmy go z całkiem innego powodu, ale tak, równie dobrze mógł to być ten „Pionek”, jak sam siebie opisuje.
- Irlandczyk?
- Zapewne tak. Dotarliśmy do niego przez płatnego informatora w Tymczasowej IRA. Ten tajemniczy gość spędzał dużo czasu w Irlandii Północnej. Doszły nas słuchy, że przed zabójstwem Mountbattena kilka razy potajemnie spotykał się z McGirlem i McMahanem, tym od bomb.
- W takim razie z jakiego powodu go szukaliście?
- Tamtego lata w Irlandii Północnej doszło do serii zabójstw. Dokonał ich brutalny seryjny morderca. Miał swój styl. Wszystkie ofiary były młodymi kobietami. Ładnymi. O jasnej skórze, blond włosach, niebieskich oczach. To były przypadkowe dziewczyny porywane w lesie i nad morzem w okolicach Belfastu i Sligo. Na spacerach, piknikach. To było jedyne, co je łączyło. Tamtego lata cała północna Irlandia była przerażona. Naszemu trzeciemu mężczyźnie nadano nawet pseudonim. Mówiono o nim „Maniak”.
- I?
- Morderstwa skończyły się po śmierci lorda Mountbattena. Zabójca więcej nie dał o sobie znać. Przynajmniej o ile mi wiadomo. Wraz z kolegami tropiliśmy go jeszcze długo po zakończeniu procesu. Dawaliśmy nawet wysoką nagrodę za informacje mogące doprowadzić do jego aresztowania. I nic. Do dziś jestem przekonany, że był to zabójca Mountbattena. Albo już dawno nie żyje, albo doskonale się ukrywa. Nie ma czegoś takiego jak terapia dla anonimowych seryjnych zabójców. Seryjni mordercy nie przestają zabijać. Albo wpadają, albo umierają. Zatem najprawdopodobniejszym wyjaśnieniem jest samobójstwo albo przypadkowa śmierć.
- Fascynujące. Poznaliście jego nazwisko?
- Tak. Smith.

- Smith i nic więcej?
- Tak, Alex.
- Myślę, że czas przejechać się do Irlandii Północnej. Trzeba poszukać tego Smitha. Jak dobrze wiecie, posterunkowy, seryjni zabójcy cierpią na niedostatek zainteresowania. Pragną rozgłosu, rozpoznawalności. Wszystko jedno z jakiego powodu. Nasz Smith może być „Pionkiem”, który zamordował lorda Mountbattena, jak i te biedne dziewczyny. Choć Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego.
- Znajdźmy go, to dowiemy się dlaczego - odparł Congreve. - O ile jeszcze żyje.
- A co z rosnącą liczbą pogroźek wobec Karola i jego rodziny, o których wspominała panna Karim?
- Trudno mi na razie stwierdzić. Nie lekceważyłbym pogroźek z żadnej strony. Zbrodnie Smitha mogły się tylko przypadkowo zbiegać z politycznym zabójstwem członka rodu królewskiego w Mullaghmore. Mimo to, Alex, wierzę w to, co napisałeś mi na tej karteczce. Wszystko zaczęło się od Mountbattena.
- Modłę się, żebym miał rację. Mamy niewiele czasu.
- Obawiam się, że jesteś bliżej prawdy, niż sądzisz, Alex.
- Dlaczego?
- Pseudonim „Pionek” nie został nigdy upubliczniony. To się wydarzyło wieki temu, w 1979 roku.
- A Smith? To nazwisko podawaliście publicznie?
- Nie.
- Kiedy się przebierałem, przyszło mi coś do głowy - powiedział Hawke. - Nie chcę cię niepokoić.
- Tak?
- Jechałem środkiem drogi, kiedy jaguar zrównał się z Lokomotywą.
- I?
- Mógł bez trudu podjechać od strony kierowcy, ale tego nie zrobił. Podjechał od twojej strony.
- Ja byłem celem?
- Być może. A skoro teraz wiemy, że to było zabójstwo IRA... cóż...
- Smith ściga także mnie. Wie, jaką rolę odgrywałem w śledztwie w sprawie Mountbattena. Wie, że go ścigałem. I nie chce, żebym znów zaczął drążyć tę sprawę.

- O tym samym pomyślałem. I ma kogoś wewnątrz. Albo tu w Highgrove, albo w pałacu Buckingham. Koniuszego, sekretarkę, kogoś, kto zna osobisty rozkład dnia Jego Księżęcej Mości.

- Jakie macie stosunki z nową władzą w Scotland Yardzie, posterunkowy?

- Jestem tam Bogiem. I zawsze będę.

- Bardzo śmieszne. Zamówiłem już kierowcę, który zaraz po obiedzie w niedzielę zawiezie nas do Londynu. Przekaż więc Dianie, że zdążysz ją zabrać jak zwykle na kolację w Connaught Grill.

- Przejdiesz się z nami? Będzie zachwycona.

- Nie, dziękuję. W poniedziałek rano mam spotkanie z „C”, więc planuję spokojny wieczór w domu i kapkę snu. Ale może uciąłbyś sobie w poniedziałek rano pogawędkę z brygadą ochrony królewskiej w Scotland Yardzie? Wyjaśnij S014 całą sytuację i opowiedz o moich podejrzeniach, że komando śmierci IRA być może poluje na ciebie i na Karola. Przydałaby się nam pomoc.

- Załatwione.

- Rozmawiałem z moimi pilotami. W poniedziałek po południu polecimy moim samolotem do Sligo w Irlandii Północnej. Odlatujemy o trzeciej. Stamtąd jest już tylko kawałek do Mullaghmore. Wynajmiemy samochód na miejscu.

15.

Londyn

Niewiele rzeczy w życiu Alex Hawke cenił bardziej niż samotność w domu w deszczową niedzielą noc. Jego wielki dom w dzielnicy Belgravia miał wiele zakątków, gdzie można się było zaszyć z dobrą książką. Ale najbardziej uwielbiał miejsce przy oknie na trzecim piętrze, w bawialni z widokiem na Belgrave Square. Ulewny deszcz zaciął o szyby, a Alex przerzucał poźółkle karty książki, którą dostał w Highgrove od księcia Karola.

Pierwszego wieczoru po kolacji zaszedł do biblioteki Karola, szukając czegoś do poczytania przed snem. Karol wszedł akurat po

jakieś dokumenty z biurka i polecił mu *Naszego człowieka w Hawanie* Grahama Greene'a.

Książka opowiadała o Angliku nazwiskiem Wormold, rozwiedzionym sprzedawcy odkurzaczy z Hawany. Wormold z niejasnych przyczyn zostaje pozyskany przez brytyjskie tajne służby jako szpieg. Hawke śmiał się przy niektórych fragmentach i szybko zdał sobie sprawę, że Karol nie wybrał tej książki przypadkowo. Zrobił mu branzowy żart, ale też wiedział, że książka bardzo się Hawke'owi spodoba. Najbardziej chodliwym odkurzaczem było urządzenie o nazwie „Stos atomowy”.

Świetny wybór. Choć książka była wciągająca, co jakiś czas drzemał, po czym budził się wpatrzony w mdło oświetlony obraz nad kominkiem. Matka siedziała w uroczej białej sukni z satyny, a ojciec stał u jej boku w mundurze marynarki wojennej, wyprężony jak struna - prawdziwy skromny bohater. Tak właśnie zapamiętał go Hawke. Portret namalowano kilka tygodni po ich ślubie.

Wyglądają na takich szczęśliwych i tak bardzo zakochanych, pomyślał. I tak zupełnie nieświadomych niewiarygodnie okrutnego losu, jaki ich czeka po niespełna dziesięciu latach wspólnego życia.

Z dołu dobiegł go stłumiony dźwięk dzwonka do drzwi. Spojrzał na zegarek. Było po jedenastej. Kto to może być, u licha? Odłożył książkę i wstał. Przy odrobinie gimnastyki z okna można było zobaczyć frontowe wejście.

Spojrzał w dół, ale przy drzwiach dojrzał jedynie wielki, błyszczący czarny parasol. Pelham bez wątpienia szedł już do drzwi. Kilka chwil później zobaczył, jak parasol przechodzi między czterema wielkimi filarami z białego marmuru i znika w środku domu przy Blegrave Square.

Zerknął na telefon na biurku i czekał, aż zacznie migać przycisk interkomu.

Stało się, jak oczekiwał. Podniósł słuchawkę.

- Ktoś do pana, milordzie - odezwał się Pelham ze swej służbówki.

- Tego się obawiałem. Może wystarczy twoje towarzystwo?

- Gość dopytuje się właśnie o pana, sir. Przepraszam, że zakłócam samotność.

- Kto to?

- Niejaka panna Sahira Karim, sir. Wracła do domu z przyjęcia u ambasadora Indii i postanowiła wpaść się przywitać.
- No cóż, chyba mogło być gorzej.
- W rzeczy samej, sir. Naprawdę urocza kobieta. Ale podejrzewam, że madame została nadmiernie ugoszczona na tym przyjęciu i stąd ta późna pora.
- Gdzie teraz jest?
- Przy barku w salonie. Jeśli mogę być niedyskretny, wlała sobie dość dużą szkocką.
- Jestem w piżamie i szlafroku. Myślisz, że to wystarczy?
- Mocno doradzałbym zmianę garderoby, sir.
- No dobrze. Włożę coś na siebie i zejdę za pięć minut.
- Poinformuję ją o pańskich planach, sir. Czy mam rozpalić w kominku? W pokoju jest dość chłodno, a panna Karim jest przemoknięta do suchej nitki.
- Tak, tak, oczywiście. Dziękuję ci, Pelham.
- Nie ma za co, sir.

Hawke zastał Sahirę siedzącą po turecku, niczym Budda, na podłodze przed trzaskającym ogniem w kominku. Siedziała do niego plecami, ale widział, że sący whiskey z kryształowej szklanki. Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, przyglądał się długim czarnym włosom, wciąż mokrym i lśniącym w blasku ognia. Miała na sobie eleganckie jedwabne sari. Zwoje tkaniny miały srebrno-złoty kolor z akwamarynowymi pasemkami. Choć sari było całe mokre, wciąż lśniło. Hawke domyślił się, że na szyję Sahira włożyła coś bardzo jaskrawego i kolorowego, być może rubinowy naszyjnik.

- Sahiro - odezwał się cicho Hawke, stojąc w drzwiach. Nie chciał jej przestraszyć.

Odwróciła się do niego i uśmiechnęła:

- Alex, skarbie, pewnie sądzisz, że mi odbiło.
- Wcale nie. Bardzo się cieszę z ponownego spotkania.

Miał rację co do naszyjnika. I co do rubinów.

- Jak to się mówi, przechodziłam właśnie w pobliżu - powiedziała. - Postanowiłam wrócić do domu piechotą. Byłam na kolacji niedaleko stąd, w Eaton Place. Zanosiło się na deszcz, ale ja lubię burze.

Hawke wiedział, co czuje Sahira. Też zawsze wołał kiepską pogodę od bezchmurnego nieba. Burze zawsze go cieszyły.

- Dobrze, że miałaś parasol - zauważył Hawke. Przeszedł przez pokój i usiadł w wygodnym klubowym fotelu z wytartym obiciem. Miał na sobie wypłowiałą flanelową koszulę siwego koloru i szare spodnie z zaszewkami. Na stopy włożył mokasyny z szorstkiej skóry, które kupił w jakiejś hurtowni na Key West.

- Prawda? - zachichotała, dotykając mokrego sari.

- Wyglądasz, jakby udało ci się uratować od utonięcia na ulicy.

- No tak. Właściwie to miałam parasol, ale jakoś zapomniałam z niego skorzystać. Aż nagle znalazłam się przed twoimi drzwiami i nacisnęłam dzwonek.

- To wiele wyjaśnia - odparł Hawke i uśmiechnął się, choć oczywiście nic nie było jasne.

- Przepraszam za to najście, Alex. Naprawdę nie potrafię tego wyjaśnić, ale poczułam przemożną potrzebę, by się z tobą dzisiaj spotkać.

- Pokaż mi faceta, któremu to by nie pochlebiało.

- Napijesz się ze mną?

- Nie, dziękuję. Odstawiłem.

- Dobrze ci. Żałuję, że ja tego nie potrafię.

- Potrafisz.

- W każdym razie nie dzisiaj... Myślałam o tobie, wiesz? To głupie, bo przecież o tym nie wiesz. Ale myślałam. Od kiedy spotkałiśmy się ponownie w Highgrove. - Patrzyła w ogień przez dłuższą chwilę i w końcu mówiła dalej: - Ciągnęło mnie do ciebie. Kiedy tylko cię zobaczyłam i kiedy znów usłyszałam twój głos.

- Cóż, coś nas łączy, prawda?

Westchnęła i znów spojrzała w trzaskający ogień.

- Owszem, Alex.

- Oboje, niestety, kogoś straciliśmy.

- Wierzysz w to, co mówią? Że czas leczy rany?

- Nie, matka i ojciec zostali zamordowani, kiedy miałem siedem lat. To wydarzenie odcisnęło na mnie piętro. Dusi mnie jak stalowa kula leżąca na piersiach. Czasami rozżarzona do czerwoności.

Hawke ujrzał pojedynczą łzę spływającą po jej policzku. Nawet nie próbowała jej otrzeć.

- Czuję się taka zagubiona bez Tony'ego. Wszystko straciło sens. Wszystkie moje plany, marzenia. Dzieci. Mały domek. Czujesz czasem to samo, myśląc o niej, o...

- Anastazji.

- Tak, Anastazji. Przepraszam, to piękne imię.

- Tak, bardzo długo. Samo wstawanie i przeżycie kolejnego dnia wydawało mi się kompletnym szaleństwem. Ale teraz myślę, że utrata matki, obojga rodziców w ten sposób, jaki mnie się przydarzył... zahartowała mnie. Wewnątrz. Stałem się nieco silniejszy. Po ich śmierci miałem taki sam stosunek do życia. Patrzyłem na chłopców, którzy mają matki, rodziny. Ja nie miałem nikogo. Nikogo oprócz siebie. Mogłem zaufać tylko sobie.

- Brak zaufania do kogokolwiek. Albo czegokolwiek innego.

- Tak, to też. I koszmarnie oburzenie na Boga.

- O, tak.

- Sahiro, drzysz. Ależ jestem niegościnnie. Chcesz koc?

- Byłoby miło, dziękuję.

- Może jeszcze kropelkę szkockiej?

- Boże, nie. Mogę cię zapewnić, że rzadko bywam aż tak wstawiona.

- Zaraz wracam.

Kiedy Hawke wrócił z kocem, Sahira siedziała tak, jak siedziała, gdy wychodził. Pochyliła się w stronę ognia, obejmując nagimi rękoma kolana.

- To powinno pomóc - powiedział i otulił jej ramiona wełnianym kocem. Usiadł z powrotem w fotelu i obserwował jej profil w migoczącym ogniu z kominka. - Lepiej? - zapytał.

- Hm. Dzięki. O wiele lepiej.

- Znajdziemy ich. Tych cholernych drani, którzy zabili Tony'ego. Miecz Allacha, na litość boską. Przygwoździmy ich prędzej czy później i nadziejemy ich na ten ich miecz. Obiecuję ci.

- Tak. Dobrze, że to mówisz. Teraz mamy wspólnego wroga, prawda?

- Kolejna okropna rzecz, która nas łączy - uśmiechnął się Hawke.

- Alex, czy mogę cię o coś poprosić?

- O cokolwiek.

- Czy mogę tu zostać na noc?
- Tutaj?
- Tak.
- Boisz się burzy? Mogę cię odwieźć do domu.
- Nie. Nie o to chodzi. Nie... nie chcę dziś być sama.
- Z całą pewnością jakiś pokój gościnny się znajdzie. Zawołam Pelhama. Dopilnuje, żeby...

Hawke sięgnął po telefon, ale Sahira złapała go za rękę.

- Nie chcę pokoju gościnnego, Alex. Chcę spać z tobą, w twoim łóżku. Chcę się obudzić w twoich ramionach. Nie martw się. Nie musimy niczego robić. Mam tylko nieodpartą potrzebę bliskości.

- W czasie burzy każdy port kusi, że tak powiem.

- Nie, Alex, nie zrozum mnie źle. Chcę być blisko ciebie. Chciałam tego od dawna. Od tego pierwszego popołudnia, kiedy się wszyscy poznaliśmy, kiedy ty i Tony zdjęliście koszule i graliście w piłkę w Hyde Parku. Oczywiście nigdy ci tego nie powiedziałam z powodu Tony'ego.

- Czego mi nie powiedziałaś?

- Że to z tobą zawsze chciałam być. Od tego pierwszego dnia. Wiem, to okropne. Nie patrz tak na mnie. Kochałam go bardzo. Uwielbiałam. Miał cudowny umysł i gołębie serce. Po tych wszystkich sztywnych kretynach z City wreszcie znalazłam kogoś, kto potrafił mnie rozbawić. Wybacz mi, ale musiałam ci to powiedzieć. Nie musisz nic mówić, nawet wołałabym, żebyś nie mówił, więc proszę, nie bądź speszony.

- Wiesz, Sahiro, nie...

- A teraz, kiedy wyrzuciłam to z siebie i powiedziałam ci prawdę, możesz mnie odwieźć do domu, jeśli chcesz. Zrozumiem to doskonale, pewnie sama bym tak zrobiła na twoim miejscu. Ale oddałabym wszystko, byle tylko móc się do ciebie przytulić przez tę jedną noc. Tylko tę jedną noc. Proste pytanie: tak czy nie?

Hawke patrzył w jej ciemnobrązowe oczy przez całą wieczność, jak jej się zdawało. Mógł znaleźć tysiące powodów, dla których był to idiotyzm. Ale prosta jak drut prawda była taka, że siedząc i patrząc na tę piękną kobietę, zrozumiał, że on też chce się do kogoś przytulić. Uśmiechnął się i odpowiedział:

- Tak.

Wyciągnęła rękę i położyła mu dłoń na kolanie, szepcząc:

- Modliłam się, żebyś to powiedział.

Siedzieli tak długo, z ręką na kolanie, wpatrzni w ogień. Żadne nie czuło potrzeby, by przerwać milczenie. Hawke położył rękę na jej dłoni i delikatnie ją ścisnął. Wciąż potrzebuję nawet takich drobnych gestów pocieszenia, pomyślał Hawke. Takich chwil. Anastazja na pewno by tego chciała. Wiem, że tak.

- Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli zrzucę to przemoknięte sari? - odezwała się nagle. - Nawet pod kocem wygląda żałośnie.

- Przypomniał mi się stary dowcip: „Zmokłeś? Napij się, będzie cię suszyć”.

Wstała z podłogi i podała mu koc.

- Możesz potrzymać na chwilę?

- Oczywiście. Łazienkę znajdziesz po prawej... Położyła palec na ustach i powiedziała:

- Ciii. To zajmie mi tylko chwilę.

A potem, stojąc przed kominkiem i cały czas uśmiechając się do Hawke'a, zaczęła się rozbierać, odwijać metry lśniącego jedwabiu z cudownego ciała.

- Sahiro, naprawdę sądzisz, że to dobry pomysł?

- Naprawdę.

Kiedy już była naga i stanęła w blasku dogasającego ognia z pięknym sari u stóp, pochyliła się i podała mu rękę. Jej wielkie piersi z ciemnymi sutkami zakołysały się niebezpiecznie blisko ust Hawke'a i Alex poczuł ukłucie dawnego wspomnienia, jakby coś w nim rozgorzało na nowo, po raz pierwszy od wieczności.

- Zabierze mnie pan do łóżka, lordzie Hawke? Już dawno powinienam się położyć.

Deszcz dzwonił miarowo o szyby sypialni. Burza nie ucichła, a teraz towarzyszyły jej dudniące grzmoty i nagle zrygaski bliskich błyskawic, od których w wysokim pokoju robiło się jasno jak w dzień. Burza budziła go kilka razy w ciągu nocy i za każdym razem dziwił się, że Sahira leży obok, z głową na jego lewym ramieniu, włosami rozrzuconymi na jego piersi, i pochrapuje cicho, trzymając go za rękę.

Po chwili zasypiał, zadowolony, a nawet szczęśliwy z jej obecności.

Jakiś czas później, bliżej świtu, obudził się, czując, jak jej dłoń zsuwa się na jego brzuch. Gładziła go lekko, wokół żołądka wykonywała koliste ruchy, które robiły się coraz szersze. Koniuszkami palców musnęła jego pobudzony członek i szybko się cofnęła.

- Przepraszam - szepnęła mu do ucha.
- Nie przepraszaj.

Zsunęła dłoń po brzuchu i wzięła członek w rękę. Zaczęła go masować, najpierw powoli, a kiedy stwardniał, przyspieszyła ruchy.

- Tak jest dobrze? - zapytała, kiedy piorun uderzył w pobliskie drzewo i na moment rozświetlił cały pokój.

- Tak.

Chwilę później przesunęła się i oparła głowę o jego brzuch. Musnęła koniuszkiem członka o swoje usta, kilka razy lekko nimi ssąc.

- A teraz?
- Tak.

Wzięła go głęboko w usta i zacisnęła je. Hawke wygiął grzbiet i mimowolnie jęknął. Jeśli miał jeszcze jakieś wątpliwości, czy brakowało mu tej sfery życia, to porzucił je jak wąż starą skórę. Będzie tęsknił za ukochaną Anastazją do śmierci. Ale czy żywi mają czić swoich zmarłych abstynencją aż do grobu?

To nie zdrada.

- Alex - odezwała się, podnosząc głowę i oddychając ciężko i nieco chrapliwie. - Wiem, że to wbrew wszelkim naszym zasadom.

- Owszem.
- Ale chcę cię w sobie. Czekałam całe życie.
- A życie jest takie krótkie.
- Mam cię błagać?
- Nie.
- Proszę - rzekła. - Proszę. Teraz.

Hawke patrzył na jej twarz, na te wielkie ciemne oczy, błyszczące nawet w ciemnym pokoju, i powiedział słowa, jakie pierwsze przyszły mu do głowy:

- Będę zaszczycony.

Wszedł w nią powoli i delikatnie. Dwoje ludzi o złamanych sercach kochało się, póki nie zasnęli ze zmęczenia.

Wczesnym rankiem obudził się i zobaczył, że Sahira leży obok i wpatruje się w niego.

- Dobry dzionek - powiedział zaspanym głosem.
- Dobry dzionek.
- Zostaniesz na śniadanie?
- Nie mogę. Anglia i lord Malmsey czekają. I nie mogą się do-czekać.
- Znam to uczucie.
- Alex?
- Tak?
- Nim sobie pójdę, muszę ci zadać ostatnie pytanie. Dobrze?
- Strzelaj.
- Czy wiesz może, dlaczego oboje musieliśmy przeżyć tak okrutną stratę? Anastazja, Tony, twoi kochani rodzice?
- Tak, chyba wiem.
- Powiedz, czemu.
- To dość proste.
- Powiedz, proszę.
- Bóg zgrzeszył.

16.

Irlandia Północna, lipiec 1979

Urocze miejsce, panie Smith - przyznała Faith McGuire, obracając się na bok i opierając zadarty podbródek na drobnej dłoni. W cętko-wanym cieniu drzew było chłodno. Przedwieczne słońce sączyło się na zieloną trawę, ale nie rozgrzewało. Smith patrzył w morze, demon-strując jej lepszy profil, a ona gapiała się nań bezwstydnie. Był przystojny jak diabli, choć niewiele pamiętała z poprzedniej nocy.

Siedzieli na niewielkim ocienionym klifie z widokiem na leniwie rozkołysany błękitny Atlantyk, podziwiając pobliską wyspę. Przy-niósł koc i karafkę wina. Moje mistrzowskie narzędzia, pomyślał Smith, uśmiechając się w duchu. Brakowało tylko bochenka chleba.

„Dzban wina, bochen chleba i ty”. I nie zapomnij o nożu. Czyż nie tak pisał poeta?

- Co Bard powiedział o letnim dniu? - zapytał.

- Głuptasie, nie mam bladego pojęcia, co powiedział, a czego nie powiedział. W życiu o nim nie słyszałam ani go nie poznałam. I proszę zabrać tę rękę, sir.

- Bard był poetą. Moim ulubionym - odparł, gładząc jej krągłe udo przez cieniątką spódniczkę z białej bawełny w różowe kropki. Nie wystroiła się tak na żadne święto. Wystroiła się dla niego.

- Poeta, tak? Więc znasz jakiegoś? Taki świetny z ciebie nauczyciel. Znasz jakiś jego wiersz?

- Co za pytanie, znam je wszystkie. Przynajmniej sonety. Chciałabyś posłuchać? - Przesunął rękę wyżej i wziął w dłoń jej pierś.

- Z dziką rozkoszą. Nikt mi jeszcze nie recytował wiersza.

- Zacytuj ci kawałek, ale najpierw się odsunę i chwilę na ciebie popatrę.

Kosmyk ciemnozłotych włosów zsunął się jej na czoło, zasłaniając oko. Delikatnie go odsunął. Spojrzał jej głęboko w jasnoniebieskie oczy. Gdyby wiedziała, czego szuka Smith, na pewno uciekłaby gdzie pieprz rośnie.

Patrząc na nią, wsunął rękę pod bluzkę i zaczął pieścić piersi.

- Widzisz to co ja?

- Widzę, że ktoś tu zaczyna sięgać trochę za głęboko, sir. A ja nie jestem taką dziewczyną, więc podziękuję panu bardzo uprzejmie...

- Ale mówiłaś, że mnie kochasz.

- Racja. Miłość, mówi pan. Nie wiem, czy pan pamięta, żeśmy wypili wcześniej po dwa czy trzy kufle.

- Pamiętam wszystko, kochana. To moje prywatne piekło.

- Może pan sobie iść do piekła. Ja chcę iść do nieba, więc proszę sobie za dużo nie wyobrażać. Jestem katoliczką. Najpierw ślub, potem siup, jak mówi moja święta mamusia.

- Wiem o tym. Ale kocham cię, Faith McGuire. Na swój sposób.

- Ale kto tu w ogóle mówił o miłości?

- Ty. Wczoraj wieczorem w Belfaście, w Bittles Bar.

- To nie ja, to Arthur.

- Arthur?
- Arthur Guinness - zachichotała. - Rozumiesz? Guinness rozwiązuje język. To popularny dowcip w pubach.
- Dowcipna z ciebie panna, kochanie.
- Och, daj spokój.
- Naprawdę.
- Na twoim miejscu trzymałabym ręce przy sobie. Słyszałeś o Billym McGuire? To mój starszy brat. Strzela z obrzyna jak mało kto. Lepiej z nim nie zadzierać, mówię ci.
- Ilu ludzi zabił? W Londonderry? Wydawało mi się wczoraj, że mówiłaś, że jego garnizon jest w Londonderry?
- Billy nie mówi o swoim regimencie. Mówi, że to wbrew przepisom.
- Regiment. Chodzi o regiment z Yorkshire księcia Walii? To chyba piechota, prawda?
- Mówiłam, że on nie chce puścić pary z ust.
- Szkoda tego osiemnastoletniego żołnierza z Wielkiej Brytanii, który dostał w zeszłym tygodniu od snajpera. Szedł w pieszym patrolu przez osiedle Creggan. Brat chyba ci o tym mówił, co?
- Zadajesz dużo pytań jak na faceta, który zabrał dziewczynę na piknik. Skąd mam wiedzieć, czy nie jesteś z IRA? Cholerny Provo, tak? Należysz do nich?
- Nie bądź głupia. To chyba po prostu ciekawość. Akurat byłem w pobliżu, kiedy zastrzelono tego chłopaka. Byłem jedynym świadkiem strzelaniny. Wiem dokładnie, kto go zabił. Właściwie dość dobrze go znałem.
- Słuchaj, my w rodzinie nie rozmawiamy o takich rzeczach. To niebezpieczne. A już na pewno nie rozmawiamy o takich rzeczach z nieznanymi.
- Chcę ci zadać bardzo poważne pytanie.
- To zadawaj.
- Wyjdiesz za mnie?
- Ja? Za ciebie za męża? Oszalałeś.
- Zrobisz to?
- Nigdy.
- Dlaczego?
- Pochodzimy z dwóch różnych światów. Nic nas nie łączy.

- Dwa różne światy - powtórzył, a w ciemnych oczach błysnął mu rozpalony do czerwoności gniew. W porę odwrócił wzrok. Nie zauważyła tego.

- Zupełnie różne. Wiesz, nie pomyśl, że mam coś do takich jak wy. Ale to po prostu niemożliwe. Jesteś jednym z najprzystojniejszych facetów, jakich spotkałam, ale...

- Ale co?

- Chyba trochę dla mnie za starym, panie Smith. Może gdybyś był bardzo, bardzo bogaty... Ale jesteś tylko biednym nauczycielem. Tak przynajmniej mówisz.

- Chciałabyś się przepłynąć na Baranią Wyspę? To niedaleko.

- Jasne, mówiłam przecież. Z takim wielkim silnym facetem, czemu nie? Wiesz, że na tej wyspie straszy? Bestie, gobliny i strzygi. Kiedy jeszcze siusiałam w majtki, słyszałam opowieści o ludziach, którzy tam popłynęli. I już nie wrócili.

- Zaopiekuję się tobą, nie martw się.

- Tak obiecałeś. Chciałeś, żebym pokazała ci ruiny. Starą normandzką wieżę i porzuconą szkołę. No i cmentarz.

- Oczywiście. Wezmę wino, a ty owiń się kocem. Robi się chłodno. Chyba idzie burza. Moja łódka leży tam na plaży, ta mała niebieska.

- Jesteś pewien, że nie za mocno kołyszysz na wodzie? W ogóle nie potrafisz pływać.

- To tylko pół kilometra przez cieśninę. Dam jakoś radę. Chodźmy.

Barania Wyspa wystawała z morza na trzysta trzydzieści metrów. Porastały ją targane wiatrem trawy, nad którymi górowały ruiny starożytnego siedliska, które wciąż stało na zachodnim krańcu. Od czasów prehistorycznych od czasu do czasu je zamieszkiwano. A legendarne „Dzieci Lira”^{*} spędziły tu swoje ostatnie trzysta lat. Teraz miały spędzić wieczność na tutejszym starym cmentarzu.

^{*} Dzieci Lira - jedna z najważniejszych irlandzkich opowieści mitologicznych, uznawana za alegorię zniewolenia przez okupację brytyjską.

Krążyły najrozmaitsze mity o tym miejscu, powstałe głównie z powodu stojącego tu pogańskiego, prawie dwumetrowego nagrobka z jakimiś hieroglificznymi inskrypcjami. Stał pośrodku cmentarza i

mimo niezliczonych stuleci sztormowej nadmorskiej pogody wyglądał tak, jakby czas się go nie miał.

Wiosłując ostro pod prąd w wąskiej cieśninie, przypomniał sobie, jak po raz pierwszy ujrzał ten pusty, niezamieszkały skrawek lądu. Ciągnęło go tu z licznych powodów. Jednym z nich były wypadki takie jak ten, kiedy piękne dziewczę o jasnej cerze siedziało na dziobie łodzi, licząc na przygodę z przystojnym nieznajomym.

Odczekał chwilę i trafił na falę, która wyrzuciła ich daleko na kamienistą plażę. Zaparł się wiosłami i czekał, aż fala ustąpi, by mogli zejść na ląd suchą stopą. Kiedy wysiedli z łodzi, przywiązał ją do dużego kamienia. Następnie wziął dziewczynę za rękę i zaprowadził po śliskich kamieniach na ścieżkę, z której często korzystał. Prowadziła na cmentarz. W czasie wspinaczki zaczął się pocić.

Doszli na szczyt.

- Pięknie tu. Aż dziw, że nikt tu nie przyjeżdża. Mieszkam całe życie w pobliżu, a nigdy tu nie byłam.

- Uważaj, nie potknij się - ostrzegł ją. Zniszczone przez wiatry i deszcze starożytne nagrobki poprzekrzywiały się, jakby sama ziemia je wypluwała. Gęste pasma mgły spowiły ruiny i cmentarz nagle stał się jeszcze bardziej groźny. Dziewczyna drżała. Nie ubrała się na zimną sztormową pogodę.

- Kto tu jest pochowany? Tyle grobów.

- Dzieci. Sprzed wieków.

- Smutne.

- Tak. Śmierć przychodzi, my odchodzimy.

- A to co? - zapytała, wskazując na blisko dwumetrowy obelisk i okrywając się ciaśniej zniszczonym wełnianym kocem. - Pewnie grób jakiegoś paniska?

- Z całą pewnością pogański nagrobek. Grób niewiernego. Kafira.

- Kto to jest kafir?

- Ktoś, kto nie wierzy w Boga.

- Kto nie wierzy w Boga?

- Zdziwiłabyś się.

- Tu jest coś napisane.

- Te hieroglify są znacznie trudniejsze do odszyfrowania, niż mi się wydawało. Ale pracuję nad tym.

- Jesteś jakimś... archeologiem... tak?
- Tak, coś w tym rodzaju - odparł i podszedł do starego kamiennego budynku. - Badam groby.
- A ten budynek? Tylko on tu jeszcze stoi, o ile można nazwać to staniem.
- Nazwałem go szkółką. Pewnie mieścił się tu kościół, bo stoi przy cmentarzu. Ale wolę traktować go jak miejsce, gdzie pracuję. Gdzie uczę.

- Aha. Jak na kogoś nie stąd, dużo wiesz o tym dziwnym miejscu.
Nad głowami przetoczył im się grzmot, a gdzieś w pobliżu niebo rozdarła oślepiająca błyskawica. Powietrze nagle się naelektryzowało. Grube krople deszczu zaczęły uderzać o leżące kamienne pamiątki śmierci. W ciągu pięciu minut temperatura spadła o dobre kilka stopni.

- Jak tu będziesz stać, jeszcze piorun w ciebie uderzy - powiedział. - Chodź do szkółki. Szybko. Chcę ci coś pokazać. Właściwie to chcę cię czegoś nauczyć. O życiu i...

- Nauczyć mnie czegoś, tak? To teraz tak to się nazywa?
- Takie mam poczucie humoru. Po prostu nie mogłem się powstrzymać.

Spojrzała na niego pytająco, ale weszła przez niskie wejście, wpatrując się w mrok.

Wszedł za nią do kamiennego pomieszczenia. Podłogę pokrywał drobny biały żwir. Nie było tu okien, tylko jedne ciężkie drzwi z drewna. Faith uznała, że to dziwne, że drzwi wyglądają na nowe i mają zasuwę, ale nic nie powiedziała. Patrzyła na gruby snop światła wpadający przez szczelinę w dachu.

Poszarpany promień słońca, które przebiło się zza chmur, padał prosto na z gruba ciosany kamienny stół pośrodku pomieszczenia. Pod stołem zobaczyła duży drewniany właz, który mógł skrywać schody prowadzące do...? Do piwnicy?

- Patrz, jakie piękne światło - powiedziała i odwróciła się, by uśmiechnąć się do niego przez ramię. Stał tyłem do niej i majstrował przy drzwiach. Odwrócił się i uśmiechnął.

Uśmiech wyglądał dziwnie, nieszczerze, zupełnie nie tak jak wtedy na klifie nad morzem. Poczowała się nieswojo i coś ją ścisnęło w dołku.

- Dlaczego zamknąłeś drzwi? - zapytała, kiedy podszedł.

Kątem oka chłonęła wszystko. Prycza. Książki rozrzucone na podłodze. Gnijące jedzenie i puste butelki na kamiennej posadzce. W pobliżu uderzył piorun i całe pomieszczenie rozbłysło białym światłem.

Mieszkał tu.

Zaczęło ją ogarniać przerażenie, gorąca krew uderzyła jej do głowy, skronie pulsowały. Uśmiechnął się.

- Gdybyś mogła mieć jedno życzenie, Faith McGuire, to co by to było?

Starła się roześmiać.

- Przestać pić z nieznajomymi.

- Faith, obiecuję ci, że od dzisiaj przestaniesz pić z nieznajomymi.

Przesuwała się w stronę drzwi i nie patrząc, próbowała wymacać klamkę.

- Nawet nie próbuj, Faith. Zamknąłem na klucz.

- Na klucz! Po diabła zamknąłeś je na klucz?

- Żebyś nie uciekła. Póki nie odpowiesz na wszystkie moje pytania o regiment twojego brata. Widzisz, potrzebuję tych informacji. Taki mam zawód. Coś w rodzaju szpiega. Wymieniam informacje za przysługę. Proste, prawda?

- Wiesz, pieprzysz jak potłuczony. Próbujesz w ten sposób nastraszyć biedną młodą dziewczynę, tak? Znam takich jak ty. Otwórz drzwi, to dam ci buziaka, ale tylko jednego. Wcale się ciebie nie boję.

- A powinnaś, moja droga - powiedział, zbliżając się do niej. Wyciągnął coś z kieszeni kurtki i podniósł do światła.

- O mój Boże.

- Jeśli masz jakiegoś Boga, skarbie, to najwyższy czas, żebyś zamieniła z nim słówko.

- Co to jest? Co ty robisz? Chcesz mnie wziąć siłą? Nie musisz, nie jestem już dziewczicą. Lubię tę zabawę i nie mam nigdy dość. Zrobię, co zechcesz. Tylko nie rób mi krzywdy.

- Och, bez wątplenia zrobisz to, co zechcę. Ale teraz czas na sesję pytań, kochanie.

Przycisnął czubek noża do jej policzka.

Krzyknęła krótko. Cofnęła się i uderzyła mocno biodrem o krawędź kamiennego stołu. Musiała się go przytrzymać, żeby nie stracić równowagi. Na stole leżały płatki jakiejś wyschniętej substancji, które rozpadały się w rękę na proszek. Gdzieś w zakamarkach mózgu natchmiaszt znalazła odpowiedź: to zaschnięta krew.

- Na stole jest...

- To ołtarz rytualny - powiedział cicho. - Do pogańskich rytuałów. Sprzed wieków.

- Proszę, nie krzywdź mnie. Wiem, jak zadowolić mężczyznę. Zrobię to dla ciebie. Wszystko. Przysięgam! Przysięgnę na kolanach, tylko nie...

- Och, nie myśl o tych świństwach. Nie jestem z tych. Szczerze mówiąc, te bzdury uważam za dość kłopotliwe i obrzydliwe.

Przysunął się. Miał coś w rękę. Szpikulec do lodu. Nie. Jakiś bardzo cienki nóż, długi i... Otworzyła usta, by krzyknąć.

Wcisnął jej palce w usta, lewym kciukiem nacisnął na podniebienie i pchnął ją na stół. Jej wielkie piersi unosiły się pod białą prostą bluzką z dużym dekoltem. Ręką trzymającą nóż szarpnął za bluzkę pod szyją i rozdarł ją na ramionach.

- Będziesz mówić, Faith? Powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć?

Nie zauważył jej ręki, którą chciała wbić mu w oczy. Krzyknęła, szarpiąc się i zamierzając go oślepić. Dała mu w ten sposób czas, by nadstawił drugi policzek. Udało jej się tylko zrobić trzy płytkie ranki na jego policzku.

Dziabnął ją sztyletem. Szarpała się panicznie, a rana była jedynie powierzchowna.

- Faith. Jednostka twojego brata ma chronić lorda Mountbattena. Chcę wiedzieć, ilu jest w niej ludzi i jak się zmieniają!

- Nie!

Dźgnął ją znowu, tym razem ostrze trafiło na kość, na żebro, ale krew zaczęła buchać intensywniej. Ścisnął mocniej jej szczękę i uderzył jej głową o kamienny blat aż huknęło.

Zamroczone, trochę się uspokoiła.

- A teraz mów - polecił, ale był przekonany, że nic już z niej nie wyciśnie.

Odczekał chwilę, żeby się uspokoić, i popatrzył na nią. Wciąż wierciła się za bardzo jak na jego gust, więc jeszcze raz gruchnął jej czaszką o kamienny ołtarz.

- Odpowiesz na pytania o regiment twojego brata czy nie?

- Tak! Tak, odpowiem! Tylko przestań. Nie...

Wezbrała w nim żądza krwi. Z tej dziewczyny można wydobyć już tylko same kłamstwa. Z całą pewnością nie mógł jej teraz puścić wolno.

Szkoda.

Zamachnął się nożem i opuszczył go szerokim łukiem. Okrutnym ciosem rozszarpał jej gardło.

Cofnął się o krok, żeby nie ochlapała go buchająca krew.

- Przepraszam, Faith. To było nie fair. Nie powinnaś mi być zaufać. Nikt nie powinien. Tyle że wszyscy się o tym przekonują za późno.

Dziewczyna zamilkła.

Podszedł do nędznej pryczy, położył się, dysząc. Robiło mu się niedobrze na myśl o tym, co właśnie zrobił. Z trudem powstrzymywał wymioty. W końcu ugasił buzujący w nim gniew i palącą żądzę zabicia kogoś. Leżał zdegustowany. Dyszał i czuł do siebie nienawiść. Był przesiąknięty gorącą krwią Faith McGuire. Znalazł pustą do połowy butelkę wina i wychylił ją duszkiem.

Rano Faith dołączy do reszty w katakumbach. Ale przynajmniej na razie można się zdrzemnąć. Spojrzał na starą okładkę jakiegoś czasopisma ze zdjęciem Mountbattena, którą powiesił na ścianie. Na jego twarzy widniały rzymskie cyfry, które zapisywał tu co wieczór, odliczając dni do ataku. Na sznurku obok wisiał ołówek kopiowy. Odkreślił nim kolejny dzień i kolejny tydzień.

A teraz spać.

Może jeśli będzie miał szczęście, coś mu się przyśni.

17.

Lotnisko Northolt, Anglia, 1947

Lord Louis Mountbatten stał na lśniącym asfalcie w wilgotnym świetle poranka. Tęsknie patrzył na srebrny kadłub znajomego ciężkiego bombowca Lancaster. Ten konkretny samolot York MW-102

z czterema silnikami rolls-royce merlin V-12 woził Mountbattena na niezliczone misje w czasie, kiedy był głównodowodzącym brytyjskiej armii w Azji Południowo-Wschodniej. Na początku wojny kazał go dostosować do własnych wymagań. Teraz przebudował go ponownie, wstawiając prycze dla drugiej załogi. W ten sposób mógł skrócić czas czekającej go podróży.

Lord Mountbatten miał misję do spełnienia, niezwykle ważną misję, i dosłownie nie miał chwili do stracenia. Zależał od niego los milionów ludzi. Król i premier wbrew jego woli wyznaczili go na zbawcę tych wzburzonych mas.

Bohater wojny w Birmie nie pałał szczególną chęcią, by przejść do historii jako zbawca. Całe życie był wojownikiem, a wręcz zwycięzcą, a nie cholernym dyplomatą czy politykiem. Wystarczyło tylko spojrzeć na odznaczenia, które dumnie nosił na piersi, by przekonać się z miejsca, kim jest. Jedyną formą negocjacji, jaką dopuszczał, była walka do upadłego. Nie miał też ochoty przejść do podręczników historii jako człowiek, który rozpoczął ten żalosny proces rozpadu imperium brytyjskiego. Churchill uważał, że pomysł porzucenia imperium to świętokradztwo. Choć raz Mountbatten zgadzał się ze swoim nemezis o twarzy buldoga.

Jeśli to nie był koniec imperium, to z całą pewnością początek owego końca. Niemordowanie spierał się z królem, sprzeciwiając się decyzji, by wysłać go do Indii. Nie chciał, żeby Korona poddała bastion swego imperium. Nie chciał też za żadne skarby firmować tego posunięcia.

Ale los tak chciał.

Służący wniósł już na pokład osobisty bagaż lorda i lady Mountbattenów, wszystkie sześćdziesiąt sześć pakunków. Wieźli ze sobą wszystko, nawet srebrne popielniczki z rodowym herbem. Na pokładzie, w starym kartonowym pudełku po butach upchniętym w schowku nad głową, leżał też rodowy klejnot - wysadzana diamentami tiara, którą Edwina miała nosić, kiedy jej mąż zostanie ogłoszony nowym wicekrólem Indii.

W czerwonym świetle kokpitu pilot i drugi pilot maszyny York MW-102 wykonywali ostatni przegląd przed startem. Mountbatten i jego dwóch towarzyszy walki obeszlą samolot dookoła. Lecieli z nim pułkownik Ronald Brockman, szef jego personelu, i porucznik Peter

Howes, osobisty adiutant. Ileż to razy lataliśmy tym staruszkim, pomyślał lord Louis. Boże, ileż to razy, od frontowych przyczółków w birmańskiej dżungli po każdą większą konferencję wojenną.

Dwaj przyjaciele zauważyli, że zwykle tryskającą energią Mountbatten wygląda na przygnębionego i zamyślonego. Ten nastrój pasował jak ulał do pogody. Zachowuje się zupełnie jak nie on, myśleli w duchu. Zwykle był nieco wyniosłym, ale jednak radosnym człowiekiem.

Drugi pilot wychylił się z okna kokpitu i oznajmił głośno, że samolot jest gotowy do startu.

- No cóż - odezwał się Mountbatten do przyjaciół, wzruszając ramionami i wzdychając. - Lecimy do Indii. Największej beczki prochu na świecie. Nie chcę tam jechać. Tam też mnie nie chcą. Wrócimy pewnie z kulkami w plecach.

Dom wicekróla w Nowym Delhi był pałacem o tak gargantuicznej skali, że mogły się z nim równać tylko Wersal czy carski pałac w Petersburgu. Za niekończącym się rzędem wielkich kolumn z białego marmuru okalających elewację kryły się ściany i podłogi pokryte białym, żółtym, zielonym i czarnym marmurem wydobywanym z tych samych pokładów, z których czerpano budulec do mozaik w świątyni Tadž Mahal.

Pałacowe korytarze były tak długie, że w piwnicy służący z jednego końca budynku na drugi jeździli na rowerach. Tego szczególnie pamiętnego poranka pięć tysięcy służących polerowało marmury, szkło, drewno i mosiądz w trzydziestu siedmiu wielkich salach i trzystu czterdziestu pokojach pałacu. Kiedy krzątali się, doglądając ostatnich przygotowań, na ich głowach mieniły się złoto-szkarłatne turbany. Na białych tunikach mieli już ponaszywane herby nowego wicekróla.

Na dworze w wypielęgnowanych ogrodach Mogula ponad czterystu ogrodników uwijało się w słońcu, doprowadzając do perfekcji zawity labirynt kwadratowych trawników, prostokątnych rabat kwiatowych i tryskające wodą fontanny. W ogrodach pracowało aż pięćdziesięciu chłopców, których jedynym zadaniem było odstraszanie niechcianych ptaków.

W stajniach pięciuset jeźdźców z osobistej konnej straży wicekróla poprawiało szkarłatno-złote tuniki, by wsiąść na kruczoczarne rumaki.

Cała rezydencja aż buzowała. I wszyscy - jeźdźcy, szambelanowie, kucharze, lokaje i ogrodnicy - szykowali się na koronację jednego z wybranych, dla których wzniesiono ten wspaniały pałac, człowieka, który czekał na tę chwilę - ostatniego wicekróla Indii.

Tysiące ludzi tłoczących się na ulicach Delhi, wymachujących flagami, bijących w bębny i dmących w trąbki, zobaczyło nagle oddział straży przybocznej wicekróla na kruczo czarnych koniach. Nowy wicekról odwrócił się do żony Edwiny i z trudem się uśmiechnął. W końcu dotarliśmy, kochanie - mówił ten uśmiech.

Do domu.

Ludzie mówili później, że wyglądał jak olśniewający gwiazdor filmowy, w nieskazitelnie białym marynarskim mundurze galowym. Spokojny, uśmiechnięty, z kochającą żoną u boku, Louis Mountbatten podjechał do wielkich pałacowych schodów, by objąć rezydencję wicekróla. Jechał w zdobionym powozie zbudowanym pół wieku wcześniej na królewski przejazd przez Delhi dla jego kuzyna Jerzego V

Kiedy powóz się zatrzymał, dudy królewskich szkockich muszkieterów zaczęły grać zawodzącą powitalną melodię na cześć nowego wicekróla Indii. Mountbatten wyszedł z powozu, odwrócił się i wyciągnął rękę do przepięknej lady Mountbatten. Ryk tłumu dosłownie go ogłuszył. To on miał utrzymać pokój i ocalić ten smutny, zagubiony kraj.

Minęło pięć długich miesięcy i Mountbatten był już zmęczony przepychankami. Niezliczone spotkania z Ghandim, Nehru i Jinnahem. Klócili się i knuli, a sytuacja polityczna pogarszała się niemal z dnia na dzień. Przybywało ofiar śmiertelnych. Mnożyły się prowokacje obu stron. Zaszlachtowano świętą krowę, która zabłąkała się do małej mużułmańskiej wioski w Pendżabie, a jej zakrwawione zwłoki odstawiono wozem do hinduskiej wioski po drugiej stronie doliny. Zamieszki, jakie wywołał ten bluźnierczy czyn, zakończyły się śmiercią setek, a może i tysięcy ludzi.

Indie były teraz jak beczka prochu z bardzo krótkim lontem.

Mountbatten wiedział już, że może odwlec to, co nieuchronne, ale tylko na trochę. Mógł jedynie demonstrować najwyższą pewność siebie aż do chwili, kiedy Anglia nie będzie miała wyboru i będzie zmuszona zrzucić z siebie odpowiedzialność i wyjść po angielsku.

Doszło do tego, jak zwierzył się któregoś wieczoru żonie w łóżku, że mógł już tylko obserwować, jak kipi w hinduskim kotle, ale nie był w stanie ugasić buzującego pod nim ognia.

Delhi już czuło przedsmak pory upałów. Rano, za otwartymi oknami gabinetu wietrzyk gotował się w gałęziach butei w ogrodach Mogula, a z drzew skąpanych w fosforyzującym białym blasku aż leciały iskry.

Z każdym dniem pojawiały się nowe doniesienia o narastającej przemocy i rozlewie krwi. Zaledwie pięć dni po przyjeździe Mountbattena incydent między muzułmanami i Hindusami w Kalkucie pochłonął życie dziewięćdziesięciu dziewięciu osób. Niedawno zamieszki w Bombaju kosztowały życie czterdzieści jeden osób, których okaleczone ciała leżały potem na chodnikach. Teraz fala przemocy rozlała się na cały kraj.

Mountbatten, nie mając innych pomysłów, wezwał zwierzchnika hinduskiej policji i zadał mu proste pytanie:

- Proszę powiedzieć mi prawdę, naczelniku. Czy hinduska policja jest w stanie utrzymać prawo i porządek w Indiach, czy nie?

- Nie, wasza ekscelencjo. Nie potrafimy już utrzymać prawa i porządku.

Tamtego wieczoru lord Mountbatten zadzwonił do pałacu Buckingham.

Oznajmił swemu królowi, że nadszedł czas.

Anglia musi się natychmiast przygotować do porzucenia Indii.

Straty w ludziach i straty materialne będą nie do oszacowania. Dawne wielkie terytorium stanowiące perłę w angielskiej koronie zostanie oderwane od imperium na zawsze. Dla niegdysiejszego imperium to był początek końca.

18.

Hrabstwo Sligo, Irlandia Północna, czerwiec 1979

Pięciu zamaskowanych mężczyzn siedziało przy odrapanym kuchennym stole i patrzyło na siebie przez szparki w czarnych

kominiarkach. To trochę dziwne, pomyślał Smith, że siedzą wszyscy w tych cholernych maskach i popijają z jednej butelki irlandzką whiskey. Dom nie był ogrzewany, ale rozgrzewali się zawartością butelki.

Dwaj, którzy przywieźli go z pubu IRA w Belfaście do tego bezpiecznego domu gdzieś w hrabstwie Sligo, zostali wysłani na zewnątrz z butelką Tullamore Dew i dwoma automatycznymi karabinami. Przypadła na nich wachta. Ale Smith wątpił, by ktoś im mógł przeszkodzić.

Bezpieczny dom był stary i dawno opuszczony. Nad drzwiami wisiał przekrzywiony szyld z wyblakłą, łuszczącą się farbą. Gospoda pod Szczekającym Psem. Budynek stał w gęstym lesie w zakolu rzeki. Mimo okiennic wszystkie okna w małej kuchence zaklejono czarnym papierem. Zaklejono je także w sali, gdzie stały spleśniałe meble. Więcej pomieszczeń nie widział. Schody prowadziły w całkowitą ciemność na górze.

- Jak cię zwą? - zapytał w końcu największy z czwórki uzbrojonych po zęby mężczyzn.

- Smith - odpowiedział automatycznie. Tylko tym nazwiskiem się teraz posługiwał.

- Smith?

- Tak. Po prostu Smith.

- No dobra, Smith. A w takim razie jak masz na imię?

- Pan.

- Pan, mówisz? Wesoly koleś, co chłopaki? Podaj mi imię i nazwisko, do kurwy nędzy, panie Smith. Bardzo nam na takich szczegółach zależy, pewnie sam się domyślasz.

- John - podał pierwsze imię, jakie mu przyszło do głowy. Gotowało się w nim i chciał zabić tego cholernego sarkastycznego brudasa. Ale bardzo go potrzebował. Wszystkich ich bardzo potrzebował.

- Jasna cholera, John Smith. Skąd jesteś?

- Z Baraniej Wyspy. Pewnie o niej nie słyszeliście.

- To pustkowie? Gdzie grasują strzygi?

- Potrzebuję odrobiny prywatności.

- Módl się, żeby się nie okazało, że zmarnowałeś nasz czas - odezwała się jedna z anonimowych głów w czarnej wełnianej masce, wpatrując się w niego. - Inaczej nie wyjdiesz stąd żywy.

Smith poczuł lekkie zdenerwowanie. Dziwne. Nigdy niczym się nie denerwował. Ale to, że znalazł się sam w porzuconym starym domu naprzeciw czwórki uzbrojonych po zęby zabójców mogło mieć swój wpływ. Z psychologicznej perspektywy uznał to za dość interesujące przeżycie. Odezwał się zdecydowanym i spokojnym głosem:

- Nie macie oporów przed zabijaniem. Ja też. Pokrewne z nas dusze.

Nastąpiła cisza, w czasie której czterej członkowie Tymczasowej IRA w myślach decydowali o jego losie. W końcu odezwał się ten zwalisty.

- Masz coś dla mnie?

Smith wyjął zwykłą kopertę, przesunął ją po stole, a bojownik IRA ochoczo zajrzał do niej. Uważnie czytał kilka kartek, a potem, najwyraźniej zadowolony, spojrział hardo na Smitha.

- Świetne informacje wywiadowcze, panie Smith. I wyglądają na prawdziwe. Jak je zebrałeś?

- Wyszukuję ludzi, którzy je mają, a potem wszelkimi środkami zmuszam ich, żeby mi wszystko wyśpiewali.

- Brytyjskich żołnierzy?

- Jasne, że nie. To by było samobójstwo. Moi informatorzy wywodzą się spośród osób bliskich brytyjskim żołnierzom. Ludzi, z którymi czasami dzielą się oni cennymi informacjami.

- A jak ich zmuszasz do mówienia?

- Bólem nie do zniesienia.

- Zimny drań, co chłopaki?

- Pan się nazywa Billy McKee? - zapytał Smith.

- Może tak. A może nie. W tej naszej biednej ojczyźnie Billych McKee jest jak psów.

- Załóżmy, że to pan. W takim razie, panie McKee, sądzę, że pański kolega z Dublina wyjaśnił panu, dlaczego chciałem się spotkać. Te wojskowe informacje, i nie tylko te, mogą być pańskie.

- Za ile?

- Nie chcę pieniędzy, panie McKee. Potrzebuję waszej pomocy.

- To może powiedz mi i moim kolegom, o co ci konkretnie chodzi, Smith.

Smith odchrząknął i położył dłonie na szorstkim drewnianym stole.

- A może najpierw skosztujemy tej whiskey. Droga była długa. Zaszło mi w gardle..

McKee wlał whiskey do popękanej szklanki. Smith wypił i poczuł pieczenie w gardle.

- Jeszcze jedną mogę prosić?

- Sean, nalej mu jeszcze jednego szczeniaka.

- Szczeniaka? - zaniepokoił się Smith.

- Nie bój się, facet. Po irlandzku to mała whiskey.

- Dzięki - odparł Smith i wychylił drugą szklankę. Po kolei spojrzął w oczy czterem dość groźnie wyglądającym bojownikom IRA. Nadeszła właściwa chwila.

- No i jak, panie Smith? - odezwał się Billy McKee. - Dowiemy się czegoś przed świtem?

- Przepraszam - zaskrzeczał. Whiskey wypaliła mu gardło. Próbował zdusić napad kaszlu w zaciśniętej pięści. - Chcę nie tylko przekazać IRA dane dotyczące wojska. Chcę też... kogoś zabić.

- A kto by nie chciał - odezwał się jeden z zamaskowanych, wzbudzając ogólną wesołość.

- Otóż to - rzekł Smith. - Wy, panowie, opanowaliście sztukę zabójstw politycznych. Podziwiam wasze zdolności, waszą taktykę. Sam tego zabójstwa nie będę w stanie wykonać. Ryzyko porażki jest zbyt duże. Przyszedłem tu, bo chcę was prosić o pomoc.

- Smith, nie sądziłem, że pustelnik z wyspy może mieć tylu groźnych wrogów. Zresztą, dlaczego mielibyśmy pomagać kogoś zabić?

- To proste. Ja biorę na siebie całe ryzyko. A wy, panowie, będziecie mogli sobie przypisać sukces.

- Dobra, skończmy z tą gadką szmatką. Szkoda mi czasu, Smith. Ktoś, kogo ty chcesz zabić, nas pewnie zupełnie nie będzie obchodził. Więc wszelkie bajania o pomocy możesz sobie...

- Wręcz przeciwnie, wydaje mi się, że moja potencjalna ofiara może was bardzo zainteresować. Nie przychodziłbym tu, gdybym nie był o tym przekonany.

- Na litość boską, kto to taki? - zapytał Billy, wychyliwszy szklankę whiskey. Dowódca oddziału IRA zaczynał wierzyć, że kumpel z Dublina podesłał mu kogoś naprawdę przydatnego.

To, co Smith powiedział po chwili, tylko potwierdziło te przypuszczenia:

- Zamierzam zamordować lorda Louisa Mountbattena.

Na chwilę zapadła grobowa cisza, a potem Billy i trzej pozostali bojownicy IRA wybuchnęli długim i głośnym śmiechem. Billy odsunął się od stołu i rzekł:

- Ty? Ty zamierzasz zabić Mountbattena? Ty durniu. Chyba ci odbiło. Nikt nie może się zbliżyć do tego imperialnego sztywniaka na mniej niż tysiąc kilometrów. Sprawdzaliśmy to, możesz mi wierzyć.

- To się da zrobić.

- Bardzoś pewny siebie.

- Od kilku miesięcy spędzam sporo czasu tu w Irlandii Północnej. Zbieram informacje na temat brytyjskiej armii i zarazem planuję, jak najlepiej wyeliminować tego drania. A właściwie to wiem już dokładnie, jak to zrobić.

- Dlaczego, na Boga, chcesz go zabić?

Irlandczycy tego nie zobaczyli, ale pod kominiarką twarz Smitha poczerwieniała. Zaczął płytko oddychać. Krew w skroniach mu pulsowała, a serce waliło jak oszalałe z gniewu i nienawiści pielęgnowanej od dzieciństwa, która z czasem przerodziła się w niekontrolowaną pasję.

Ale Smith zdołał się opanować. Lepiej, żeby ci ludzie nie wiedzieli, jak głęboko sięga jego szaleństwo ani jak bardzo jest zdeterminowany, żeby zabić każdego, kto mu stanie na drodze. Za bardzo ich potrzebował.

- Z powodów osobistych - odparł Smith. - Niech wam wystarczy, że nienawidzę tych angoli tak samo jak wy, jeśli nie bardziej.

- Posłuchaj mnie, Smith, sympatyku IRA ze szlacheckim angielskim akcentem. Myślisz, że sami już dawno byśmy nie załatwili lorda Louisa, gdyby to było możliwe? To niewykonalne, uwierz mi. Nie ma jak zbliżyć się do kogokolwiek z rodziny królewskiej, by na nich splunąć.

- Ale to jeszcze nie powód, żeby nie próbować, jeśli ktoś bardzo czegoś chce. A ja na przykład chcę tego bardzo, wierzcie mi.

- To co, panowie, załatwimy tego wariata i napijemy się? Czy ma dalej mówić? Informacje i tak już nam dał - zapytał Billy McKee.

- Niech mówi, byle rozsądnie - odparł Sean, siedzący obok Smitha. - Skoro i tak przejechaliśmy tu kawał drogi po nocy, to niech mówi. Najwyżej się pośmiejemy.

Pozostali przytaknęli i McKee pochylił się nad stołem. Umieśnioną ręką odsunął butelkę whiskey.

- Powtórzę, żebyśmy się dobrze zrozumieli. - Billy uśmiechnął się. - Chcesz sam to zrobić? Osobiście.

- Zgadza się.

- Ale to my przypisujemy sobie całą chwałę. Irlandzka Armia Republikańska bierze wyłączną odpowiedzialność za tę egzekucję. O ile, rzecz jasna, w ogóle ci się uda.

- Owszem.

- Ale czym sobie zasłużył na śmierć? Poza tym, że jest arogantym, wyniosłym, arystokratycznym draniem, który narobił bałaganu w twoim kraju, a teraz wziął się za nasz?

Smith opuścił wzrok, zwiesił barki.

Po raz pierwszy bojownicy IRA mogli wyczuć buzującą nienawiść i ogromną potrzebę zemsty, która nim kierowała. Widać to było w języku jego ciała. Mordercza nienawiść aż biła od niego jak fale gorąca.

- Zemszczę się! - krzyknął. Podniósł wzrok i wałnął pięścią w stół tak mocno, że aż podskoczyły szklanki do whiskey. - Rozumiecie mnie? Posłuchaj uważnie, McKee. Chcę wymordować całą tę królewską bandę. Każdego po kolei. Gdybym mógł, przejechałbym się po grobach wszystkich brytyjskich monarchów i rozdeptał ich kości na proch. A potem rozbiłbym każdą czaszkę o nagrobek!

Czterej Irlandczycy patrzyli na niego oszołomieni.

- Mnie to pasuje - odezwał się w końcu McKee, zdumiony siłą uczuć tego człowieka. - A wam, panowie?

- Jasne - mruzcili po kolei i kiwali głowami, tak jak Smith się spodziewał. Wiedzieli, że mają niewiele do stracenia, a zyskać mogą mnóstwo.

- W takim razie czego od nas potrzebujesz? - zapytał McKee.

- Na początek, ładunku wybuchowego - odparł Smith, odzyskując panowanie nad emocjami.

- Jakiego ładunku wybuchowego?

- Nie do wysłedzenia. Małego. Łatwego w transporcie. Wodoodpornego. Stuprocentowo pewnego. Co byście polecili?

- Jak blisko możesz do gościa podejść?

- Bardzo blisko.

- Na pięćset metrów?

- Bliżej. Ale wolę się pomylić w drugą stronę. Nie chcę zostawiać niczego przypadkowi.

- Dwadzieścia kilo żelatyny wybuchowej powinno wystarczyć.

- Słyszałem o żelatynie. Ale nigdy nie miałem z nią do czynienia.

- My jej używamy cały czas. Łatwo się formuje, rozpuszcza w nitroglicerynie i miesza z trocinami i saletrą potasową. Bardzo stabilna. Bardzo tania. I bardzo, kurwa, skuteczna.

- Będzie mi potrzebny zdalny detonator.

- Jasne jak słońce, chyba że zamierzasz się przenieść z jego lordowską kurewskością do piekła - odparł bojownik, wzbudzając wesołość zebranych przy stole.

- A więc umowa stoi? Tak? Pomożecie mi? - upewnił się Smith.

- Kiedy będziemy całkowicie pewni, że ty to ty, wtedy owszem. Ta koperta wygląda zupełnie nieźle. Ale każdy z nas jeszcze żyje tylko dlatego, że bardzo dokładnie wszystko sprawdzamy. Na razie zamknijemy cię w małej klitce na górze. Pip i Scottie McBain, ci co stoją na zewnątrz, będą cię na zmianę pilnować. Nakarmią cię i dopilnują, żebyś się stąd nie oddalił. Zrozumiano?

- Jak najbardziej. Sam bym tak zrobił.

- W takim razie w porządku.

Smith odetchnął głęboko i powiedział:

- Świetnie. Dobrze. Dziękuję.

- Zdaje się, że to na razie wszystko, chłopaki. Tak czy siak się odezwiemy, panie Smith. Miejmy nadzieję, że jesteś uczciwym człowiekiem. Jeśli nie, nie wyjdiesz stąd żywy.

- Sir, nigdy nie twierdziłem, że jestem uczciwy, tylko że mówię prawdę.

- Gada jak sakramencki Mahatma Ghandi, co nie, chłopaki?

- Mahatma nigdy nie zabił nawet muchy - powiedział jeden z bojowników, kiedy wstali od stołu. - Nie mówiąc o ostatnim

wicekrólu Indii. A tu proszę, jeden śniady gość bardzo chce to zrobić!

- Trudno w to uwierzyć, co Paddy?

- Sam nie wiem. Ten gość ma w oku coś takiego, czego jeszcze nie widziałem. Może to zrobić. Jak cholera, może mu się ten numer udać.

19.

**Mullaghmore, Irlandia Północna,
sierpień 1979**

Miesiące mijały szybko. Nic dziwnego, myślał Smith. Oprócz wykonania normalnych obowiązków odbywał dodatkowe podróże, snuł drobiazgowo plany i zbierał informacje. Do tego dochodziła jeszcze pewna „pozaplanowa” działalność na wyspie. W weekendy wypuszczał się na swą wysepkę, przyplływał do zatoki Mullaghmore na wieczór, by szybko się rozejrzeć, po czym znikał i wracał łodzią do swojej doskonałej kryjówki.

Małeńka wyspa na północno-zachodnim wybrzeżu Irlandii. Nazywano ją Wyspą Baranią. Wystarczyło się dobrze rozpędzić, żeby do niej doskoczyć z niewielkiej wioski Mullaghmore. Szybko stąd można było wyskoczyć wynajętym samochodem do pubów w Belfaście.

Wioska rybacka Mullaghmore leżała nad niewielką zatoką. W ciepłe letnie dni na falach w porcie kołysało się kilka łodzi rybackich i rekreacyjnych. Niecałe dwadzieścia kilometrów dalej leżała granica Irlandii Północnej, więc nic dziwnego, że na wakacje przyjeżdżało tu wielu chętnych do walki terrorystycznej w szeregach IRA.

Wakacje lubił tu spędzać także jeden z najbardziej szanowanych i popularnych członków rodziny królewskiej, lord Louis Mountbatten. Miał ogromne wpływy w królewskim klanie, to on wyswatał swego bratanka księcia Filipa i ówczesną księżniczkę Elżbietę, dziś królową.

Mountbatten zwracał baczną uwagę na własne bezpieczeństwo, i nie bez powodu. Nigdy jeszcze nie doszło do zamachu na jego życie. Jedyne ataku terrorystycznego dokonało tylko raz kilku podpitych młodzieńców po wyjściu z pubu. Przemknęli do portu i wywiercili dziury w dnie „Shadow V” - ulubionego jachtu Mountbattena, z pokładu którego uwielbiał łowić ryby. Liczyli, że łódź zatonie wraz z porannym przyplływem.

Nie zatonęła.

Nieco ponad kilometr od wioski, na szczycie o nazwie Fairy Rock z widokiem na zatokę, stał zamek Classiebawn. W Classiebawn mieścił się letni dom lorda Mountbattena, gdzie w ciągu ostatnich trzydziestu lat rodzina spędziła niejedne radosne wakacje. Tak naprawdę nie był to zamek, tylko spora wiktoriańska rezydencja. Ale miała wieżę i że mieszkał tu król półkwi, więc historycznie zwano to miejsce zamkiem.

Classiebawn wybudowany w 1874 roku stał frontem do groźnych klifów i zalewanych przez morze plaż zatoki Donegal. Niedaleko widać było smaganą wiatrem wyspę Inishmurray, a dalej - otwarte morze.

Przez całe lato lało jak z cebra. Ale dziś na niebie pojawiły się gwiazdy i wydawało się, że wreszcie chmury się rozstąpią. W ciemnych wodach zatoki błysnął żółty sierp księżyca. Na następny dzień prognozowano słońce. Jeśli dobrze pójdzie, to będzie świetna pogoda na ryby, pomyślał Mountbatten, zamykając przed snem okna sypialni wychodzące na morze. Czas już najwyższy.

Smith stał na rufie niewielkiej łódki rybackiej i z ulgą wsłuchiwał się w miarową pracę silnika. Nazywała się „Róża z Tralee”. Dostarczali mu ją bez żadnych pytań dwaj ludzie z IRA - Tom McMahon i Francie McGirl.

Smith z naciągniętą na twarz kominiarką podniósł do oczu silną lornetkę. Skierował soczewki na wielką posiadłość na szczycie Fairy Rock. Choć było już dość późno, w kilku oknach na piętrze świeciło się jeszcze światło. Na szczycie masztu dostrzegł proporzec Mountbattena. Flagę wciągano jedynie wtedy, kiedy właściciel był w rezydencji.

Z najnowszych informacji wywiadowczych Smith dowiedział się, że oprócz samego Mountbattena w posiadłości przebywa też wielu innych członków rodziny królewskiej. Jego wnuk Nicholas, lady

Brabourne, lady Patricia z mężem i synem, Timothy Knatchbull. Byli też inni, ale nie znał ich nazwisk.

Nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko jedno.

McGirl stał za sterem i płynął prawie na biegu jałowym. Po krótkiej dyskusji zostawili włączone światła nawigacyjne, bo szanse, że ktoś zauważy „Różę z Tralee”, były znikome. Mimo to poczynił pewne przygotowania. Plecak z dwudziestoma kilogramami silnych materiałów wybuchowych obciążyli ołowiem. Leżał przywiązany do rufy, skąd w razie czego można było go po cichu spuścić do wody i zatopić, na wypadek gdyby trafiła się łódź patrolowa miejscowej Gardai. Tutejsza policja wodna potrafiła zaskakiwać.

Żaden z nich nie miał broni.

Obaj członkowie IRA byli ubrani tak, jakby wracali z całodniowej wyprawy na łososie. Pamiętali nawet, żeby wrzucić do łodzi trochę świeżych ryb. Sieci złożyli na rufie, za niewielką sterówką. Na sterburcie łódź miała wymalowany port macierzysty Sligo. Gdyby trzeba było się tłumaczyć, mieli mówić, że wypłynęli na ryby, mieli problem z silnikiem i zawinęli na noc do Mullaghmore w nadziei, że następnego ranka naprawią co trzeba i wrócą do zatoki Sligo jeszcze przed południem.

McMahon działał bardzo profesjonalnie, za co Smith go podziwiał. Co jakiś czas spryskiwał olejem gorący korpus silnika, żeby się ładnie i wiarygodnie dymił. Na wypadek gdyby ktoś podpłynął i zaczął zadawać pytania.

- Jest - odezwał się cicho Smith, wskazując zielony jacht zacumowany na końcu portu. Było już dobrze po północy i wszelkie życie zamarło. Małe domki na wzgórzu wyglądały na pogrążone głęboko we śnie. W żadnym oknie nie widać było światła. Tylko pub na drugim końcu portu dawał jakieś ślady życia. Ale przecież to Irlandia, pomyślał Smith.

Na końcu nabrzeża stała migocząca lampa rzucająca snop żółtego światła na „Shadow V”. Nie był to arystokratyczny jacht, ot, zwykła ośmiometrowa jednostka z otwartą rufą i zaokrągloną kabiną na dziobie. Nadawała się na rodzinne wycieczki i połowy krabów i właśnie do tych celów wykorzystywał ją Mountbatten.

- Tom - odezwał się cicho Smith, porównując malejącą odległość i szybkość łodzi. Wiedział, że to najbardziej ryzykowny element całej

akcji. - Opłyn go dookoła i zbliż się powoli od tyłu. Podpłyniemy do niego od naszej sterburty. Tom, delikatnie, jak najdelikatniej.

- Jasne - odparł Tom przez ramię.

McMahon znacznie zmniejszył gaz, jak prosił zabójca. Zwolnił niemal do zera, kiedy podpłynęli prosto od rufy do jachtu Mountbattena. Otarli się o jego burtę niemal bezgłośnie. Smith sięgnął i uczepił się jachtu Mountbattena, zatrzymując ich łódkę.

- Świetnie, panowie - powiedział Smith. Szybko i po cichu wyjął z wody i zgrabnie położył na tekowym pokładzie „Shadow V” dwudziestokilogramowy plecak. Dwaj bojownicy IRA spojrzeli po sobie. Smith był zadziwiająco silny. Był wysoki i szczupły, wydawał się nawet chłopięcy. Ale widać, że dbał o kondycję.

McMahon wyszedł ze sterówki, uścisnął mu rękę i powiedział:

- No cóż. Powodzenia, panie Smith. Może pewnego dnia postawimy panu jakiś pomnik na Belfast Square. Ale nie będzie pana przypominał, niech się pan nie martwi.

- I mam nadzieję, że nie będzie na nim mojego nazwiska - uśmiechnął się Smith.

McGill ścisnął Smitha za ramię i powiedział:

- Najlepszego, brachu. Bądź czujny i nie daj się złapać. Módl się o słońce na jutro. Jeśli rano nadal będzie lać, to na pewno nie ruszą w morze.

- Całe życie modliłem się o słońce o poranku - odparł Smith, przyciągając do jachtu łódkę, która zdążyła nieco odpłynąć.

- Jasne. Modlitwa nie zaszkodzi.

- Jutro woda spłynie krwią, nieważne, po czyjej stronie stoi Bóg, McGill - rzekł Smith, lekko przeskakując przez burtę „Róży z Tralee” na pokład „Shadow V”. Cały czas był nisko pochylony.

Całe zdarzenie trwało nie więcej niż minutę. Słyszał, jak McMahon dodaje gazu i „Róża” odpływa na wody cichej zatoki. W zasięgu wzroku nie widać było żadnego patrolu Gardai. Tak jak się spodziewał, IRA pomogła mu z ochotą. Swoje role odegrali perfekcyjnie. Teraz los diabłów, którzy zniszczyli jego świat, leżał tylko w jego rękach.

20.

Na rufie „Shadow V” znajdował się głęboki basen na żywą przy-
nęę. Kiedy basen był pusty, składowano tam kosze do łowienia ho-
marów. Basen zamykany był od góry, a pokrywa służyła za siedzisko
dla sternika. Zabójca podszedł do niego na czworakach, ciągnąc obok
ciężki plecak. Znał każdy centymetr łodzi, dokładnie przestudiował
jej plany konstrukcyjne.

Wiedział nawet, dlaczego pomalowano ją na szmaragdo-
wo-zielono - to ulubiony kolor lady Mountbatten.

Kiedy więc podniósł pokrywę basenu i odłożył ją delikatnie na
pokład, znał już dokładne wewnętrzne wymiary zbiornika. Tam chciał
umieścić bombę. Zaprojektował ją tak, by pasowała dobrze do dna
basenu, ale najpierw trzeba było wyjąć kosze na homary.

Zrobił to cierpliwie i po cichu. Wyjmował je po kolei, klęcząc przy
zbiorniku, i układał starannie na pokładzie. Na końcu nabrzeża znaj-
dował się pub i nie wiadomo było, czy jakiś facet nie wyjdzie, by
zataczając się, wrócić do żony do domu. Lepiej było się nie wychylać.
Stos śmierdzących koszy rósł, aż w końcu stwierdził, że w basenie jest
już dość miejsca na plecak.

Ostrożnie podniósł bombę i wpasował ją w miejsce w zbiorniku.
Doskonale. Otworzył klapę plecaka i włożył detonator, tak jak po-
kazał mu twórca bomby McMahon. Zauważył, że trzęsą mu się nieco
ręce, ale to zrozumiałe. Nieczęsto robił takie rzeczy.

Otarł kropelkę potu z nosa i kciukiem przesunął włącznik uzbra-
jający bombę. Niewielki radiowy detonator starannie wszyty w szew
jego sztormowej kurtki stał się teraz zabójczą bronią.

W ciemności zbiornika zaczęła migać czerwona lampka. Serce
zabiło mu szybciej.

Nad bombą została przestrzeń wysoka mniej więcej na metr i
dwadzieścia centymetrów. Wypełnił ją koszami na homary. Weszła
większość, a pozostałe wyrzucił za burtę. Wiedział, że odpływ za-
bierze je przed świtem. Zamknął pokrywę basenu, na której lord
Mountbatten zawsze siadał podczas rejsu. Smith wiedział, że Mo-
untbatten uwielbia tę łódź.

To tylko kwestia czasu, nim...

Usłyszał, że z pubu wychodzą, coś mamrocząc, dwaj mężczyźni. Głosy stawały się coraz wyraźniejsze, bo postanowili przejść się na koniec nabrzeża. Byli już blisko i Smith nie miał czasu, żeby schować się w kabinie. Położył się płasko na pokładzie jak najbliżej burty od strony nabrzeża. Cholera jasna, zaklął pod nosem. Nikt nie może go nakryć na pokładzie łodzi lorda Mountbattena. Jeśli będzie trzeba, zabije tych dwóch nieszczęśników, poderżnie im gardła nożem do ryb. Ale to wywoła niezliczone komplikacje. Nie miał wyjścia, musiał leżeć bez ruchu i liczyć na to, że są zbyt zawiani, by go zauważyć.

- Paddy O'Reilly, wiesz, co mówią o piwie?
- Że się go nie kupuje tylko wypożycza.
- Otóż to - odparł pierwszy.
- Nie wiem jak ty, ale ja mogę już je oddać.
- Czas odcedzić kartofelki, Bucko...

Wiedział, co się za chwilę stanie. Usłyszał, jak bzykają dwa rozpinane rozporoki, a mężczyźni na nabrzeżu przestępują z nogi na nogę. Stali dokładnie nad jego głową. Dwa strumienie moczu uderzyły o pokład „Shadow V” niespełna pół metra od jego twarzy. Oczywiście trochę go opryskały, ale miał na sobie sztormiak, a poza tym w dzieciństwie przeszedł o wiele gorsze upokorzenia.

Leżąc w ciemności nieruchomo jak kamień, obserwował czarną kałużę uryny rozlewającą się po pokładzie i się uśmiechnął. Spodobało mu się, że dwaj faceci przespacerowali się na koniec nabrzeża tylko po to, żeby odlać się na łódź będącą oczkiem w głowie Mountbattena.

- Ołać cię, lordzie Kibel - powiedział jeden z nich, zapinając rozporok. Zarechotali i wrócili do pubu.

Nazywają go lord Kibel - pomyślał Smith z uśmiechem na twarzy. Miejscowe przezwisko dobrze pasowało do starego drania.

Wspinając się pod górę, zobaczył błyski latarek między drzewami. Strażnicy ze służby ochrony królewskiej. Pozbył się czarnego sztormiaka i kominiarki. Teraz miał na sobie czarny pulower z golfem i czarne spodnie. Na uszy naciągnął czarną wełnianą czapkę. Szedł skrajem lasu od strony drogi.

Na górze ominął mocno strzeżoną posiadłość Classiebawn i szybko, po cichu, bez żadnych przeszkód wrócił do swojej kryjówki.

Zbliżał się koniec lata i słusznie zakładał, że irlandzka Garda i funkcjonariusze sekcji specjalnej przydzieleni do ochrony wnuka królowej Wiktorii będą mieli większą ochotę na ostatni kufel guinnessa czy łyk tullamore niż szukanie śniadego intruza o morderczych zamiarach.

Spał tego dnia niespokojnie w wilgotnej, sypiącej się normańskiej wieży. Woda spływała z omszałych kamieni jak łyzy. Tysiącletnia wieża strażnicza stała pośród skrawka zielonego lasu z widokiem na skąpaną w księżycowej poświacie zatokę Donegal. Próbował spać, ale przez całą noc męczyły go koszmary. W jednym z nich był małym chłopcem wysłanym, by zabić zięjącego ogniem wielkiego smoka. Musiał to zrobić sam, by ochronić rodzinę.

W przeciwieństwie do św. Jerzego, wielkiego rycerza, on był tylko bezbronnym chłopcem i smok bez trudu palił ognistym oddechem jego i jego rodzinę. Kiedy smok odleciał, ujrzał wszystkich: ojca, matkę i siostrę jakby z góry - poskręcanych i osmalonych niby gałązki, porzrzucanych na marmurowych stopniach prowadzących do płonącego zgłiszczy domu.

W innym koszmarze, który często mu się śnił, zięjąca ogniem lokomotywa wjechała na wielką i ciemną stację, ciągnąc za sobą długi rząd wagonów towarowych. Kiedy otwarto drzwi, z wagonów buchnęły hektolitry gęstej czerwonej krwi, zalewając peron. Każdy bydlęcy wagon był wypełniony po brzegi zakrwawionymi, koszmarnie okaleczonymi ciałami.

Normańska wieża stanowiła przyzwoite schronienie. Odkrył ją kilka lat wcześniej podczas jednego z pierwszych wypadów obserwacyjnych do Mullaghmore. Od razu wiedział, że pewnego pięknego dnia będzie doskonałym punktem. W końcu, na kilka godzin przed świtem, udało mu się zasnąć. Kiedy otworzył oczy i spojrzął w górę przez poszarpane miejsca po brakujących kamieniach, wiedział, że doskonale wybrał czas.

Bóg mu sprzyjał.

Poranek przywitał go błękitnym i bezchmurnym niebem. Po tygodniach ulewnego deszczu zapowiadał się surrealistycznie piękny dzień. Nie wiał nawet najmniejszy wiaterek. Zesztywniał, śpiąc na gołej wilgotnej ziemi, ale po dziesięciu minutach energicznego

rozciągania i ćwiczeń z oddychania obudził się na dobre. Krew krążyła mu żywo w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić.

Ze spiralnych kamiennych schodów w wieży zostało niewiele, ale dość, by wspiąć się na górę. Z tego wspaniałego punktu widokowego mógł podziwiać zamek Classiebawn, jego okolice, zielone wzgórza za nim, wąską drogę prowadzącą w dół, do Mullaghmore, port i spokojne błękitne wody zatoki połyskujące w porannym słońcu.

Z kieszeni spodni wyjął nóż do ryb, który ukradł z łodzi w Sligo, i szybko rozciął szew kurtki. Tam, w wodoodpornym pokrowcu, leżał detonator. Wysunął go z nawoskowanej torebki, odwinął tkaninę, w którą był zawinięty, i spojrzął na urządzenie niemal z miłością.

Było to proste pudełko z aluminium, nie większe niż paczka papierosów. Miało wskaźnik mocy baterii (pełna) lampkę ostrzegawczą i srebrny przełącznik, teraz w pozycji „wył”.

Ustawił detonator na szerokiej kamiennej balustradzie biegnącej wokół łukowatej ściany i podniósł lornetkę do oczu. Przez kilka godzin w posiadłości nic się nie działo. Trudno było zachować cierpliwość. W końcu około jedenastej w zamku i wokół niego zaczął się ruch. Dzieci i psy wbiegały i wybiegały z domu, trzaskały drzwi, nianie uwijały się w tę i w tę z wózkami, ogrodnicy ścinali świeże kwiaty w ogrodach.

Wyglądało to jak pierwszy dzień lata, nie ostatni.

Pół godziny później ujrzał, jak Mountbatten wychodzi przez główne drzwi zamku. Otaczała go rodzina, podskakujące roześmiane dzieci. Wszyscy rozkoszowali się słońcem, które w końcu zaświeciło. Stary lord miał na sobie wypłowiałe zamszowe spodnie i szorstki pulower. Wszyscy członkowie rodziny, młodzi i starzy, coś nieśli - kosz piknikowy, termos, dzbanek wina.

Obserwował, jak lord Mountbatten maszeruje ze swoją małą armią drogą prowadzącą do posiadłości. Tak jak przewidywał, i o co się modlił, skręcili w prawo i zaczęli schodzić z góry w stronę Mulla-ghmore.

„Shadow V”, skrząca się zielono w południowym słońcu, czekała na końcu nabrzeża. Wszyscy szybko wsiedli na pokład. I dzieci, i

dorośli wyraźnie cieszyli się na myśl o dniu spędzonym na morzu. Młody chłopak, może piętnastoletni i najwyraźniej tutejszy, rzucił cumy. Pojawił się obłok błękitnego dymu - to Mountbatten uruchomił trzycylindrowy silnik Diesla.

Lord Louis zajął następnie swoje zwyczajowe miejsce po lewej na pokrywie basenu, gdzie składowano nieużywane kosze do homarów.

Pochylił się, dodał gazu i niewielka łódź zaczęła odpływać od nabrzeża. Sunąc statecznie, „Shadow V” wypłynęła za falochron. Rozbawione towarzystwo przez kilkaset metrów płynęło wzdłuż wybrzeża, rzut kamieniem od stałego lądu. W końcu zatrzymali się, żeby Mountbatten mógł sprawdzić kosze na homary.

Czas najwyższy. Smith zmówił cichą modlitwę do nieba i nacisnął przełącznik detonatora. Przez chwilę nic się nie działo. Patrzył z niedowierzaniem na niewielką zieloną łódź kołyszącą się pośród koszy na homary.

Nagły wybuch rozbił letnią ciszę na tysiące kawałków. Wysoko w niebo buchnął wielki gejzer drzazg, krwi i poszarpanych ciał. Od wstrząsu wywołanego wybuchem zdrząły wiekowe fundamenty normańskiej wieży. Siłę detonacji odczuto wiele kilometrów od wioski rybackiej Mullaghmore. W kipiącej wodzie po „Shadow V” pozostały jedynie zielone drzazgi kołyszące się na falach, jak wzrokiem sięgnąć.

Stało się.

Człowiek, który zamordował jednego z największych bohaterów Anglii, stał niewzruszenie na swoim stanowisku, obserwując przez lornetkę kolejne zwłoki, za wszelką cenę chciał zobaczyć, jak wyciągają z wody okaleczone ciało Mountbattena. Miejscowi natychmiast rzucili się na ratunek w niewielkich łódeczkach. Po wodzie rozlała się potężna plama pozostałości po łodzi, śliska od dieslowskiego paliwa. Tu i ówdzie na wodzie unosiły się ciała dzieci twarzami do dołu.

Nie przejmował się przypadkowymi ofiarami, w najmniejszym stopniu. Ogromu krwi, jaki ten angielski drań miał na swoich rękach, nie zmyją nawet dziesiątki tysięcy ofiar. Niewielki niebieski kuter rybacki podpłynął do jednego z większych ciał unoszących się na wodzie.

Wstrzymał oddech, celując lornetką w to miejsce. Tak. To on. Dwaj mężczyźni wyciągnęli z wody to, co zostało z lorda Mountbattena. Mimo ogromnych obrażeń, chyba jeszcze żył, choć ledwo. Smith czekał na szczycie wieży, póki lord Louis Mountbatten nie wyzionie ducha. Nie trwało to długo.

Człowiek, który zdradził jego naród, zmarł niemal od razu na pokładzie niewielkiego niebieskiego kutra. Wybuch urwał mu prawie całkiem obie nogi.

Bogu niech będą dzięki.

Wielki Mountbatten w końcu pożegnał się ze światem.

Smith mógł w końcu odtrąbić triumf swojej zemsty na brytyjskiej monarchii. Schodząc po spiralnych schodach wieży, uświadomił sobie, że nie musi się spieszyć ze swoim dziełem zniszczenia. Ma całe życie, by perfekcyjnie zaplanować każdy akt tej zemsty i bezbłędnie go wykonać. Będzie cierpliwy aż do bólu. Będzie uderzał tylko w idealnych warunkach.

Każda zadana rana będzie chwilą rozkoszy, którą będzie potem wspominał.

Święcie wierzył i był całkowicie pewien, że nigdy go nie złapią.

Nigdy.

W najgłębszych i najbardziej mrocznych zakamarkach duszy Smith uznał, że przyszedł na świat tylko w jednym celu: jest bojową maczugą, która ma skruszyć zepsutą i rdzewiejącą Koronę.

Kilka godzin po koszmarze w Mullaghmore, który do głębi wstrząsnął Anglią i całym cywilizowanym światem, Tymczasowe Skrzydło Irlandzkiej Armii Republikańskiej w Belfaście wydało następujące oświadczenie:

„IRA bierze odpowiedzialność za zamach na lorda Louisa Mountbattena. Ta operacja to nasz donośny sposób, by zwrócić uwagę mieszkańców Anglii na trwającą okupację naszego kraju”.

21.

Miami Beach

Chandra czuła nieodpartą chęć, by wyciągnąć automatyczny sztylet i zatopić ostrą jak brzytwa broń w szczękę szefa. Przebić język i miękką tkankę w podniebieniu. Wiedziała, że ostry czubek zatrzymałby się u podstawy mózgu, tuż za jamą nosową. Do takich właśnie pchnięć stworzono tę broń. Przekłuwała nim regularnie także nerki, serce i miejsce za uchem.

Spóźniła się. To dlatego była właśnie „karana” przez tego dupka. Wysłano ją na lotnisko Miami International, skąd miała zabrać nowych „studentów” przylatujących z Islamabadu w Pakistanie przez Dubaj i Caracas. Samoloty z Wenezueli zawsze się spóźniały, ale on i tak obwiniał ją.

Zawiozła „studentów” do bezpiecznego domu, który prowadzili dla nowo przybyłych. Był to zniszczony piętrowy bungalow w pobliżu Calle Ocho w Małej Hawanie. Studencki dom dla terrorystów nazywali „akademikiem dla bombiarzy”. Co miesiąc przez tę rudere przewijała się setka dzieciaków. A Bashi dostawał sporą działkę za każdego, którego bezpiecznie wprowadził do systemu.

Jutro „studenci” rozproszą się i zaczną własną działalność przestępczą. Chodziło o przestępstwa na tyle poważne, by zwrócić na siebie uwagę policji, sądów, a w końcu systemu penitencjarnego. Wtedy zaczynała się ich prawdziwa misja. Głoszenie słowa proroka we wszelkich zakładach, do jakich trafią.

Wraz z codzienną porcją religijnych zaleceń więźniowie dostawali też informacje na temat budowania bomb, taktyki terrorystycznej - wszystko to, by przygotować się na nadejście Kalifatu, „Wielkiego Dnia”. Sama nie mogła się go doczekać. Nie znosiła swojej pracy, Miami i tej obrzydliwej świni, która często traktowała ją jak złego psa. Ale sukinsyn był bogaty i niezwykle hojny. Przypominał jej o tym zawsze przepiękny nowy Bentley Arnage w garażu.

Dziś kazał jej czekać, co najmniej pół godziny i stać przed biurkiem,

bez słowa, podczas gdy on z szyfrującego telefonu satelitarnego dzwonił do rozmaitych mułłów i watażków kryjących się gdzieś w afgańskich górach.

Przed zabiciem go powstrzymywała ją jedynie świadomość, że jest jej winien pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Dość, by mogła żyć jak księżniczka do końca swoich dni. Gdyby zabiła tego tłuszciocha, nie zobaczyłaby z nich ani grosza. Musiała go ścierpieć przez jakiś czas i tyle.

Otyły, nieogolony mężczyzna po pięćdziesiątce w końcu odłożył słuchawkę, pokręcił głową i odezwał się gardłowym urdu z afgańskim akcentem:

- Rozumiem, że wykonałaś zadanie, moje drogie dziecko. Martwi mnie tylko to znaczne zainteresowanie mediów, jakie wywołałaś. Patrz na mnie.

Oderwała wzrok od wielkiej plazmy na ścianie nad kominkiem...
NA ŻYWO WIADOMOŚCI NA KANALE PIĄTYM... Najnowszy problem Bashiego opisano w pasku na dole ekranu: MORDERSTWO NA PLAŻY!

- Suko! Widzisz, o czym mówię?
- Wykonuję pańskie rozkazy.
- Tak. Ale mimo wszystko.
- Przepraszam. Chciał pan, żeby ci dwaj zginęli. To ostatnia dwójka żywych, która mogła nas powiązać z Jackson Memorial. Sądził pan, że podwójne zabójstwo w biały dzień nie zwróci uwagi mediów?

- Zastrzelenie dwóch facetów w samochodzie to jedno, ale regularna strzelanina z agentami rządowymi to zupełnie inna sprawa. Ile ofiar ponieśliście?

Milczała, patrząc w drugi koniec pokoju pełnego zdobionych mebli. Nowo urządzone apartament na najwyższym piętrze odświeżonego niedawno hotelu Fontainbleau, z widokiem na Atlantyk. Wynajmowany na miesiąc z góry. Dwadzieścia kawalków miesięcznie.

Okropna blond peruka, którą nosiła w czasie akcji, leżała na stole z alkoholami. Na jednej z artystycznie wystylizowanych głów ze styropianu. Cztery kolory. Kolejny z jego wielu fetyszy, pomyślała. Peruki. W przeciwnym wypadku, czemu by je tak starannie rozstawiał w salonie? A w górnej szufladzie biurka reszta jego...

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Dwie ofiary. Al-Rashad został poważnie zraniony przez

czarnego agenta, który nas ścigał, musiałam więc oszczędzić mu cierpień. Drugi, biały, który zjawił się pod koniec, nie wiem kto to, zabił Machmuda dwoma niezwykle celnymi strzałami w głowę. W biegu.

- I ten drugi, ten, który przyjechał później, twoim zdaniem też należy do CIA? Nie do lokalnej żandarmerii?

Pokręciła głową, nie odrywając wzroku od siedzącego przed nią mężczyzny. Była zniesmaczona sama sobą - ta świnia jest przecież jej kochankiem. Zniesmaczona tym, co robiła. Z własnej woli i wbrew woli. Wiedziała, skąd pochodzi i do jakiego perwersyjnego zła jest gotów się posunąć.

Do 1999 roku, kiedy to po cichu usunięto go z laboratorium jądrowego dr. Khana w Islamabadzie, Bashi był jednym z naukowców pracujących nad programem wirówek gazowych, którego plany dr Khan wykrał z Holandii i sprowadził do Pakistanu. Następnie zaprojektował reaktor w Kushab, w którym produkowano paliwo nuklearne, by przejść do kolejnego etapu - bomby plutonowej. Okrzyknięto go geniuszem, bohaterem Pakistanu.

Z czasem ludzie zaczęli się zastanawiać, czy wszystko z nim w porządku. Wciąż mówił o plamach na słońcu. Napisał nawet obszerny traktat w urdu na temat wpływu plam słonecznych na wybuch Rewolucji Francuskiej, drugiej wojny światowej i powstań przeciw kolonialnym ciemiężcom na całym świecie. Plamy na słońcu. Nie przestawał o nich mówić. W końcu wysłano go na północ, by nawiązywał sojusze z talibami.

Nazywał się Sultan Bashiruddin Mahmood. Bashi, bo był bliskim kumplem nowego prezydenta, wciąż miał dostęp do całego pakistańskiego programu jądrowego. Uśpieni agenci Miecza Allacha, którzy przeniknęli do magazynów broni jądrowej, znajdowali się pod kontrolą Bashiego. A temu grubemu sukinsynowi kompletnie odbiło. Nikt nie wiedział tego lepiej niż ona.

Patrzyła mu w oczy.

- Mówiłam już, że nie wiem, kim był ten biały. Poruszał się tak szybko i tak dobrze strzelał, że żadne z nas nie miało czasu, żeby mu się przyjrzeć. Pojawił się dopiero, kiedy dojechaliśmy do Miami. Myślałam, że już załatwiliśmy tego wielkiego czarnego i mamy go z głowy. A wtedy... resztę pan już zna.

Gruby mężczyzna demonstracyjnie robił sobie manicure małym złotym obcinaczem do paznokci. Przycinał je to tu, to tam. Delikatnie, jakby robił operację mózgu. Specjalnie nie podnosił na nią wzroku. To było najgroźniejsze. Czy próbował uspić jej czujność, wzbudzając fałszywe poczucie bezpieczeństwa? Tak robili starzy dowódcy talibów. Zanim żywcem obdarli człowieka ze skóry, starali się uspić jego czujność.

Wiedziała, że Bashi zapracował na swą reputację dawno temu w Islamabadzie i później, dostarczając wyrafinowaną broń jądrową Iranowi i Korei Północnej. Dziś wciąż byłby niezwykle wpływowym człowiekiem, gdyby nie stracił piątej klepki. Dawno już by nie żył, gdyby Sowietci, którzy najechali na Afganistan, nie zrobili mu metalowych wstawek w kręgosłupie. I gdyby nie znalazł się pod skuteczną ochroną Miecza Allacha.

W końcu na nią spojrział. Zimne szare oczy wciąż miały dość mocy, by poczuła delikatne ciarki na plecach.

- Jesteś gotowa, żeby załatwić tę drugą sprawę?

Kiwnęła głową.

- Kiedy? - zapytał.

- Wkrótce.

- Zamierzasz załatwić to z rozgłosem czy po cichu?

Podniosła wzrok i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Sytuacja jest zmienna. Straciłam dwóch najlepszych ludzi, więc może zdecyduję się zrobić to po cichu. A pan jak woli?

- Ludzie zadają ludziom za dużo pytań. Nie wiem dokładnie, ile wiedzą o działaniach pakistańskiego wywiadu wojskowego, ale na wszelki wypadek trzeba go wyeliminować. Wszystko jedno jak.

- A co z tymi dwoma z CIA, którzy nas ścigali? Nimi też się mamy zająć?

- Czy któryś z nich miał szansę ci się przyjrzeć?

- Ten czarny widział mnie w peruce i z dużym dekoltem. Amerykanie zwykle wiele więcej nie dostrzegają. Ale widzieliśmy się nad muszkami naszych pistoletów. Spojrzał mi w oczy.

- W takim razie może powinnaś się bliżej zainteresować tymi dociekliwymi agentami. Wiesz, jak się nazywali?

- Tylko ten wielki czarny. Ze zdobyciem nazwiska tego drugiego nie powinno być większych problemów.

- Grzeczna dziewczynka. Porozmawiamy, jak ten cholerny generał zdrajca zostanie wyeliminowany. Znasz pełne nazwisko tego amerykańskiego agenta? Tego czarnego, który cię widział?
- Tak.
- Skąd?
- Prowadzi firmę pod nazwą Tactics International. Niedaleko, w Grove. Kilka miesięcy temu przepytawał mnie o wizę. Miał jakąś listę i myślał, że mam nielegalną wizę. Kiedy przekonał się, że wszystko jest OK, skreślił mnie z listy, przeprosił i poszedł sobie. To było jeszcze przed moją operacją plastyczną. Nie będzie pamiętał.
- Co to za jeden?
- Nazywa się Stokely Jones. Szkoda, że nie załatwisz go osobiście, Bashi. Trafiłbyś na pewno. To bardzo, ale to bardzo wielki cel.

22.

Miami

Stokely Jones zredukował bieg, a potem przyspieszył, podjeżdżając pod górkę garbatym mostem. Jechał z centrum Miami do swojej magicznej kryjówki na wyspie Brickell Key. Co za życie, pomyślał, słuchając rozkosznego warkotu GTO cabrio w kolorze malinowy metalic z podkreślonym rajdowo silnikiem. Niskie wibracje podwójnej rury wydechowej czuł aż w kościach. Rozkosz prawie jak w seksie.

Czasami musiał się mocno zastanawiać: czy seks z Fanchą, jego cudowną narzeczoną, w ogóle może się równać z jazdą tym pontiakiem, który naprawdę urywał dupę?

I zawsze jednoznacznie odpowiadał: nie. Nic nigdy nie było w stanie dorównać miłości do Fanchy. Koniec i kropka. Mimo to Stoke znów z lubością ścisnął wykonaną z kości słoniowej gałkę dźwigni czteroprzekładniowej skrzyni biegów Hursta. Gdyby takie samochody jeździły w niebie, to z całą pewnością wszyscy anieli w rajach paradowałiby w takich GTO po wysadzanych złotem ulicach.

Po prawej minął wejście do groteskowo drogiego i pięknego hotelu Mandarin. Jechał z opuszczonym dachem, czuł na twarzy słoń bryzę, a z głośników leciało *Let's stay together*, jeden z nieśmiertelnych przebojów Ala Greena. Stoke znów poczuł, że sam nie może uwierzyć w to, jak luksusowo mu się żyje w tropikach. Były chłopak z gangu w Harlemie się dorobił? I to jak. Życie nie umierać.

Bóg był dobry. Ameryka była dobra. Boże, proszę, miej w opiece Amerykę. Bardzo by nam się to teraz przydało.

Cholera, chyba naprawdę jestem w dobrym nastroju, myślał, zbliżając się do Brickell Towers, wysokich budynków ze szkła i stali po prawej. Zwolnił przed zakrętem, podśpiewując piosenkę:

„O, tak, pniemy się w górę, w górę, do luksusowego apartamentu w niebie... czuję się doooobrze, da-da-da-dum...”

Kołysał się do słów i rytmu w głowie, wybijał rytm na kierownicy. I w końcu dojechał do domu.

Skreślił w prawo i wjechał w wygiętą w delikatny łuk i wysadzaną palmami uliczkę prowadzącą do osobistego raję, do apartamentu pod niebem, rozświetlonego penthouse'u z widokiem na zatokę Biscayne. Do domu. Zapłacił za niego pieniędzmi, jakie dostał za sześciokondygnacyjny apartament ukochanej mamy w okolicy Bayside w Queens. Mieszkał w Miami dopiero dwa lata. A teraz nie mógł już sobie wyobrazić, by mógł się przeprowadzić gdziekolwiek indziej. Do Nowego Jorku?

Nie ma mowy.

Wypatrywał starzejącego się ochroniarza, Szybkiego Eddiego Falco, który zwykle o tej porze objeżdżał teren w swoim wózku golfowym z emblematem Rolls-Royce'a. Stoke zatrzymał się w księgarni Books & Books w Grove i wybrał kilka książek, które w tym tygodniu mieli z Eddiem czytać w ich dwuosobowym klubie czytelniczym. Męskie Towarzystwo Czytelnicze pod wezwaniem Johna D. MacDonalda wkrótce zacznie wgrzyzać się w *Long Lavender Lament*.

Eddie, były dżokej, całe zawodowe życie spędził na torze wyścigowym w Hialeah. Przed emeryturą nie czytał niczego, co nie miałyby związku z ulubionymi końmi i dżokejami. Aż pewnego dnia Stoke podsunął mu kryminały z Travisem McGee, mieszkającym na łodzi

o nazwie „Busted Flush”. I trach! Eddie Falco odkrył, że poza koźmi i futbolem jest jeszcze coś innego, dla czego warto żyć.

Tuż przed zjazdem do podziemnego garażu wydawało mu się, że mignął mu mocno podrasowany wózek Eddiego w kolorze wozu straży pożarnej. Zdaje się, że zaparkował pod palmą. Cholera, wyglądało, jakby czołowo rąbnał w tę palmę. Stoke pomyślał, że to zawał. Zahamował, przeskoczył przez drzwi od strony pasażera i pobiegł przez gęstą zieloną trawę. Eddie leżał na kierownicy. Cholera! O ile nie rąbnał go w głowę kokos, to pewnie pękła mu tętnica.

- Eddie! Wszystko w porządku? - krzyknął, pędząc w stronę przyjaciela.

Eddie zdecydowanie nie czuł się dobrze. Ale to nie kokos ani nie zawał był przyczyną. Wyglądało, jakby miał głęboką ranę w prawej nodze, tuż nad kolaniem. Krew zaplamiła mu całą nogawkę spodni khaki i rozlała się w kałużę wokół butów. Co się stało, do cholery? Może i przywalił w palmę, ale przecież od tego nie powinien mieć nawet zadraśnięcia.

Stoke pochylił się pod białym baldachimem i przyjrzał się dziurze w kolanie kumpla.

- Eddie, co jest, do cholery? Co sobie zrobiłeś w nogę?

- Auuu!

- Przepraszam. - Stoke dotknął rany palcem wskazującym. Wąska, ale głęboka, do samej kości.

- Znaczek. Jak wygląda? - wycedził Eddie przez zaciśnięte zęby.

- Co?

- Znaczek!

- Jaki znaczek?

- Cholerny znaczek Rolls-Royce'a! Wgiąłem go? Zadrasnałem? Mów, Stoke. Zniosę wszystko.

- Eddie, na litość boską, daj sobie spokój ze znaczkiem. Co ci się stało w nogę?

- Cholera jasna, Stoke. Ktoś mnie dźgnął.

- Dźgnął?

- Tak. Wykrwawię się tu na śmierć, cholera jasna - dyszał Eddie. Wyglądało, jakby rzeczywiście się dusił. Staruszek był w szoku, pobladł jak ściana, źrenice mu się rozszerzyły. A krew buchała z niego, kapiała z wózka na trawę.

Stoke wyjął komórkę, wstukał 911 i wyciągnął pasek ze spodni, przyciskając telefon ramieniem do ucha. Czekając na dyżurnego, zacisnął Eddiemu pasek na udzie powyżej rany.

- No niech ktoś odbierze, do cholery...
- Numer 911. O jakie zgłoszenie chodzi?
- Proszę uważnie posłuchać. Nazywam się...

Eddie patrzył na niego zamglonym wzrokiem.

- Wkurzyć się można, kiedy słyhać: „*Por Espagnol*, wciśnij jeden”, co?

- Nazywam się Stokely Jones junior. Mieszkam w Icon Brickell Towers przy Brickell Avenue 495. Wyspa Brickell Key, środkowe Miami. Mam tu ofiarę z raną od noża. Głębokie pchnięcie w udo, stracił dużo krwi. Potrzebuję natychmiast karetki i radiowozu policji hrabstwa Miami-Dade.

- Tak, proszę pana. Czy mógłby pan powtórzyć...

- Słyszałeś. Ten człowiek potrzebuje pomocy. Zróbcie coś. - Zamknął telefon i zacisnął mocniej pasek. Krew nie buchała już tak mocno.

- Stoke, czy ja umrę? - jęknął Eddie, patrząc na niego.

- Umrę? A skąd, nawet jeszcze nie stoisz nad grobem. Zacisnąłem ci pasek nad kolanem. Powstrzymałem krwawienie. Karetka jest w drodze. Będziesz jak nowy. Ed, co się tu stało, do cholery? Weź głęboki oddech i mów.

- Chłopie, jakaś dzika babka. Wlazała na teren prywatny. Przyuważyłem jej tyłek tam, w ogrodzie. Próbowwała się schować za Ptasim Rajem i przyglądała się budynkowi przez lornetkę. Zapytałem, czego tu szuka, a ona mówi, że uniwersalnego klucza. Pieprznięta dziwka. Au! Cholera!

- Przepraszam, ale musiałem mocno ścisnąć. Wiem, boli jak cholera. Nic na to nie poradzę.

- Tak, ale Jezu, Stokely...

- Co było dalej?

- Podwiozłem ją tutaj i kazałem spadać. A ona mówi, żebym się gonił. Wyciąga, kurde, diamentowy sztylet z torebki i wbija mi go w kolano. Dlatego przyrąbałem w tę palmę. Mówi, żebym jej dał klucz, bo jak nie, to załatwi mi drugie kolano. Moje kolana, do jasnej

cholery! Co miałem zrobić? Oddałem jej. Zabrała mi główny klucz i się zmyła... cholera, sam nie wiem, chyba musiałem zemdleć.

- Diamentowy sztylet?

- Tak, cała rękojeść była ze złota, wysadzana diamentami.

- Jak wyglądała, Eddie?

- Piękna jak jasna cholera. Jakaś blondynka z cynamonem na wierzchu. Tyle pamiętam. Cholera! Ale boli!

Stoke w oddali usłyszał syreny. Spojrzał na Eddiego. Krwawienie ustało. Wracały mu kolory. Będzie żył.

- Trzymaj się, Ed.

Pobiegł do wejścia do swego luksusowego apartamentowca.

- Stoke! Zaczekaj! - zaskrzeczał mu Eddie za plecami.

Zatrzymał się i obrócił.

- Co?

- Kupiłeś książki? *Dreadful Lemon Sky*?

- Jezu, Ed. Tak, kupiłem książki.

Eddie uśmiechnął się i zarazem wykrzywił twarz w grymasie. Stoke pobiegł do wind.

23.

Mierzyła do niego z giewery atrakcyjna blondynka? Świetnie. Myślał o tej lasce z plaży z mac-10 i czarnym chargerem. Zastanawiał się, czy jeszcze się pojawi. Wiedziała, że zobaczył jej twarz, a wyglądała na kobietę, która nie lubi poznawać nowych ludzi. Podał policji i federalnym jej rysopis. Od czasu tej strzelaniny w South Beach cztery dni temu sam też jej wypatrywał.

Teraz żałował, że nie powiedział Eddiemu, by też jej wypatrywał. Ale nie miał dość oleju w głowie i Eddie musiał zapłacić za jego głupotę. Przeklinał się w duchu za to.

Laska z plaży czeka teraz na niego w mieszkaniu. Na pewno. Bo po co by raniła starego ochroniarza i zabierała mu uniwersalny klucz? Wcisnął przycisk PH - penthouse - i oparł się o marmurową ścianę

windy. Próbował sobie wyobrazić możliwy przebieg wydarzeń. Nakreślić plan w głowie.

W salonie stał wielki czarny skórzany fotel. Jego osobisty. Fotel Eamesa, jak przekonywała go chuda dekoratorka wnętrz. Fotel stał zwrócony na południe, w stronę zatoki Biscayne i wysp Key. Miał podnózek obity skórą w tym samym kolorze. Nazywał go fotelem „do oglądania kolejnych porażek Delfinów”. No i się obracał.

Najprawdopodobniej tam będzie na niego czekała. Usiądzie w fotelu, obróci się w stronę drzwi, trzymając na kolanach wredny mały czarny automat. Palec położy na spuście, a przełącznik ustawi na serie po trzy strzały. Tak. Może nawet będzie się chciała zabawić. Naleje sobie szklankę wina z karafki stojącej w chłodziarce Almaden, będzie siedziała całe popołudnie i czekała, aż wielki Murzyn wróci do domu. Tak sobie to przynajmniej wyobrażał, a był w te klocki całkiem niezły.

Winda zatrzymała się na sześćdziesiątym piętrze i drzwi się rozsunęły.

Po lewej znajdował się korytarz prowadzący do jego apartamentu. Po prawej - drzwi do klatki schodowej prowadzącej na dach. Stoke wiedział, że nie są zamknięte, bo od kilku dni urzędowali tam malarze zabezpieczający klimatyzatory i elementy ogrzewania jakimś środkiem przeciw rdzy. W Miami rdza żarła wszystko szybko jak diabli - tego dowiedział się od Eddiego.

Szybko wszedł po schodach na dach. Próbował sobie przypomnieć, czy drzwi na taras zostawił otwarte, czy zamknięte. Otwarte, pomyślał. Ale z drugiej strony dzisiaj jest upał jak w piekle, więc równie dobrze mógł je zamknąć i włączyć klimę, żeby trochę się schłodziło. Jeśli są otwarte, to miał pewien pomysł.

Cały dach, wielki jak boisko futbolowe, posypany był białym żwirkiem. Blask słońca był tu oślepiający. Przeszedł na wschodnią stronę budynku i wyliczył, gdzie dokładnie powinien być jego taras, tuż pod południowo-wschodnim skrajem dachu. Przykucnął, spojrział w dół i nagle dotarło do niego z całą siłą, na jakiej mieszka wysokości. Sześćdziesiąt kondygnacji to nie przelewki.

Klęknął i ostrożnie rozłożył ręce na szerokość barków. Chwytał dziesięciocentymetrowej szerokości stalowy gzyms pokryty aluminium, który biegł wokół całego budynku. Wziął głęboki oddech.

Położył się płasko na dachu i zaparł stopami o kamień, po czym wysunął się poza skraj dachu prawie do pasa. Teraz mógł się pochylić i spojrzeć na drzwi na tarasie.

Niech będą otwarte.

Zamknięte.

O ile pamiętał, także zaryglowane. Cholera. Zawsze ryglował te przesuwane szklane drzwi, choć tu pod samym niebem wydawało się to idiotyczne. Ale przyzwyczajenie drugą naturą.

Podniósł się z powrotem na dach, wstał i zaczął myśleć. Nie może wejść od frontu, a taras jest zaryglowany.

*Es un grande probléma, nombre**, jak by powiedziała Fancha. Ale wielcy faceci rozwiązują wielkie problemy. Podniósł koszulę, wyciągnął z kabury na plecach SIG-a 9 mm i sprawdził broń. Jedna kula w komorze i pełny magazynek.

I co dalej?

* *Es un grande probléma, hombre* - hiszp. Facet, masz poważny problem.

Taras. Tak. Taras to jedyna droga. Siedzi tyłem do niego, wpatruje się w klamkę w drzwiach wejściowych. Dobra wiadomość: taras za plecami to ostatnie miejsce, od strony którego spodziewałaby się kogokolwiek.

Ale kiedy już zeskoczę na taras, to co dalej? Jak przejść przez te szklane przesuwne drzwi? Zapukać dwa razy i się uśmiechnąć? Powiedzieć bezgłośnie „Pizza”, trzymając ręce za plecami?

Rozejrzał się po dachu i zaczął szarpać płatek prawego ucha. Stary zwyczaj. Dawno temu, zastanawiając się, jak wyprowadzić swój pluton SEAL z zasadzki cholernych Wietnamców tak, by nikt nie zginął, zaczął się szarpać za ucho. Taki tik nerwowy.

Drzwi stanowiły problem. Szyby są za grube, a taras za wąski, żeby się rozpędzić i rozbić je zmienacka kopniakiem. A więc jestem na dole, ona słyszy lupnięcie, obraca się w fotelu, widzi mój tyłek, wali krótką serią i jestem za barierką, lecę w powietrzu, już martwy jak najbardziej martwy trup na zapomnianym cmentarzu.

Rozejrzał się po dachu, szukając natchnienia.

Puszki farby. Wszędzie było mnóstwo puszek z farbą zabezpieczającą przed rdzą. Część pustych, część pełnych. Leżały porozrzucane na wielkiej płachcie, którą malarze rozłożyli wokół wentylacji.

Pędzle w starych puszkach z rozpuszczalnikiem. A więc masz puszkę, Stoke. Wymyśl coś z puszkami, dobrze? Tylko co?

Podniósł długi kawałek sznura. Jeden koniec przywiązano do nieużywanego rusztowania. Na ziemi leżało zwinięte jakieś piętnaście metrów. Dobra, półtoracentymetrowa nylonowa linka. Lina. I pięcio-litrowa puszka z farbą na jej końcu. To mogło zadziałać.

Uśmiechnął się. To zabawne, jak czasami pracuje umysł. Przycho- dzą wtedy człowiekowi do głowy szalone pomysły, na jakie w życiu by nie wpadł. Z czasem nauczył się z tym żyć, poddawał się biegowi myśli i patrzył, dokąd prowadzi. Instynkt. To dlatego wciąż żył. Szybkie decyzje podejmowane w biegu: tak lub nie. Ufaj samemu sobie, powtarzała mu zawsze mama.

Ufaj samemu sobie, Stokely Jones. Słyszysz? Ufaj tylko sobie. Masz tylko siebie.

Tajemnica życia.

Przywiązał koniec linki do rury od wentylacji w pobliżu południowo-wschodniego krańca dachu, podwójnym węzłem. Na drugim końcu zawiesił wielką puszkę farby odrdzewiającej. Ciężką jak cholera jak na farbę. Pewnie ma ołów w środku.

Zaczął nią machać, stopniowo zwiększając łuk, żeby wyczuć jej ciężar. Machało się nią bardzo dobrze. Chyba mogło się udać.

A więc...

Jak to leciało?

Dziewczyna siedzi na dole w jego apartamencie, cierpliwie, może nawet popija schłodzone wino, czeka na niego w wygodnym czarnym fotelu Eamesa, muska palcem spust mac-10 leżącego na kolanach, wpatruje się w drzwi i myśli, chodź do mamusi, panie Jones.

Tymczasem potencjalna ofiara stoi na górze, na tym cholernym dachu nad jej głową, na sześćdziesiątym piętrze, pod samym niebem, na wpół oślepiąca, i o mało nie zesra się w portki na myśl o akroba- tycznym wyczynie, jakiego musi dokonać. Zastanawia się, jak tu zaatakować z zaskoczenia i nie spaść sześćdziesiąt pięter w dół albo nie dać się postrzelić w dupsko.

Zamachnął się ciężką puszką i wykonał niewielkie kółko, potem jeszcze kilka, coraz mocniej, stopniowo popuszczając linę, aż w końcu wypuścił puszkę wysoko w górę i ściągnął na taras, by zato- czyła łuk pod dachem i z całą siłą uderzyła w szklane drzwi. Usłyszał,

jak je rozbija z hukiem. Wtedy szybko chwycił za krawędź dachu i niczym Tarzan wykonał przewrót, modląc się, żeby trafić nogami przed barierką, a nie za.

Kiedy tylko dotknął stopami tarasu, usłyszał stłumione puknięcia automatycznej broni z tłumikiem. Pociski rozbijały resztki szkła. Skulił się, chwycił SIG-a i zanurkował przez rozbite szklane drzwi, przetaczając się od razu za ciężką obitą skórą sofę po prawej. Ciche pociski raz za razem wbijały się w sofę, za którą się skulił. Starał się przeanalizować szybko, co zobaczył w te kilka sekund, nim rzucił się na podłogę.

W fotelu nie siedziała wcale blondynka.

Siedział w nim jakiś łysy grubas bez gaci i strzelał do niego. A blondynka? Klęczała na podłodze, z gołymi cyckami, między nogami grubasa. Kiedy Stoke padał na ziemię, widział, jak czółgała się z gołym tyłkiem w stronę frontowych drzwi i sięgała do klamki. Nie-trudno było wyobrazić sobie, co tu się działo. Czekali na początek strzelaniny i w międzyczasie babka zrobiła facetowi laskę.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi i wiedział, że wyszła.

Przeczołgał się do skraju sofy i wyjrzał szybko. Fotel był pusty. Facet cofał się w stronę drzwi, co nie było łatwe, bo wciąż miał spodnie wokół kostek. Pistoletem na wysokości pasa omiatał teren na wszystkie strony. Nie tak to miało wyglądać, mówiła jego mina. Dojrzał twarz Stoke'a przez ułamek sekundy i wpakował kolejną serię w sofę, szarpiąc piękny skórzany mebel na strzępy.

Możesz się bić ze mną, ale meble zostaw w spokoju, pomyślał Stoke. To mnie naprawdę wkurza. Krzyknął do faceta zza sofy:

- Podciągnij sobie portki, kretynie, i powiedz, dlaczego kazałeś sobie zrobić laskę w moim ulubionym fotelu, choć nawet cię do siebie nie zaprosiłem.

Kolejna seria, wysoko, w sufit. Stoke wyjrzał z boku. Zobaczył, jak spocony, stu pięćdziesięciokilogramowy grubas gorączkowo szuka za plecami klamki, choć jego grube dupsko dzieliło od drzwi co najmniej półtora metra. Cofał się niezdarnie ze spodniami u kostek jak kaczka. Nie wyglądało to ładnie.

Stoke krzyknął:

- Ty, gruby, nadchodzę. Mam gdzieś, czy jesteś gotowy.

Wysunął się z drugiej strony sofy i wpakował dwie kulki w faceta, po jednej w każde kolano. Kiedy Stoke usłyszał, jak mac-10 upada

ze szczękiem na piękny parkiet, poważnie się wkurzył. Szarpnął za zniszczoną sofę i przeskoczył nad nią. W niespełna dwie sekundy siedział już facetowi na brzuchu i przystawiał mu lufę do twarzy.

W tej chwili drzwi do mieszkania wyważyli dwaj policjanci w kevlarowych kamizelkach i wycelowali broń w Stoke'a:

- Policja! Łapy do góry, dupku! Rzuć broń! Już!

Stoke odruchowo upuścił SIG-a na twarz grubasa i się cofnął. Policjanci spojrzeli na leżącego na podłodze półnagiego białego ze sflaczałym fiutkiem, a potem na wielkiego Murzyna w koszulce z logo nowojorskich Jetsów.

- Zdaję sobie sprawę, jak to wygląda, panowie oficerowie, ale... - powiedział Stoke, podnosząc ręce do góry.

- Jesteśmy w Miami, dupku - przerwał mu starszy policjant. - Tu zawsze wszystko tak wygląda.

24.

Mullaghmore, Irlandia Północna

Alex Hawke i Ambrose Congreve przelecieli samolotem Hawke'a przez Morze Irlandzkie i wylądowali w Irlandii Północnej na małym lotnisku w Sligo. Bardzo małym. Samoloty latały tu dwa razy dziennie: raz do Dublina, raz z Dublina. Wynajęli samochód i pojechali prosto na północ, do niewielkiej wioski rybackiej Mullaghmore. Po drodze zatrzymali się tylko na krótko w małej gospodzie na wiejski obiad. Ambrose skorzystał z okazji i zadzwonił, by umówić na wieczór spotkanie w pubie.

Teraz szli w ulewnym deszczu na koniec drewnianego nabrzeża w Mullaghmore.

Tam stanęli, patrząc na wzburzone czarne morze. Noc była ciemna i wietrzna. Rozproszone światła małej wioski rybackiej wyglądały we mgle niczym aureole. Za nimi, na szczycie wzgórza, wznosił się w mroku zamek Classiebawn lorda Mountbattena.

- A więc to tu - odezwał się Congreve, świecąc latarką w ciemną wodę. - W noc przed zamachem „Shadow V” cumowała tutaj. Zwykle przywiązywano ją do jednej z boi tam przy brzegu, ale tamtego wieczoru Mountbatten kazał ją przeprowadzić właśnie tutaj.

- Żeby rano mogli szybko ruszyć do wyciągania pułapek na homary - powiedział Hawke.

- Otóż to.

Hawke obejrzał się przez ramię, mierząc wzrokiem odległość do pubu Lion & Lamb w porcie.

- A więc zamachowiec przeniósł dwudziestokilogramową bombę przez całe to nabrzeże? Obok pubu? Nawet w ciemną noc byłoby to duże ryzyko.

- Właśnie. Dlatego założyliśmy, że na miejsce zbrodni przyplynał wynajętą łodzią. Zapewne ze Sligo, czyli najbliższego portu. Łódź mniej rzucałaby się w oczy, zwłaszcza nocą. Mógł po prostu odpłynąć do „Shadow V”, jego wspólnicy go wysadzili na pokład łodzi Mountbattena razem z pakunkiem, a potem odpłynęli i zapadli się pod ziemię. Zabójca umieszcza bombę w basenie na przynętę, maskuje ją klatkami na homary, odchodzi nabrzeżem i znika w lesie - wyjaśniał Congreve. - Tam na górze jest stara normańska wieża strażnicza. Rozciąga się z niej piękny widok na całą zatokę. Pokażę ci rano. Mamy powody przypuszczać, że tam nocował. Znaleźliśmy świeże resztki jedzenia, niedopałki, pudełko zapalek. Spał na ziemi, obudził się o świcie i wszedł na górę. Przez cały poranek ze szczytu wieży śledził ruchy Mountbattena przez lornetkę. I moim zdaniem właśnie stamtąd zabójca, ktokolwiek nim był, zdetonował bombę.

- Napisałeś to w oficjalnym raporcie?

- Owszem. Napatrzyłeś się już? - zapytał Ambrose. Po twarzy sływał mu deszcz.

- Tak. Chodźmy na piwo i sprawdźmy, czy twój stary znajomy zdecydował się nam pomóc.

Ambrose wszedł do baru i otrząpał płaszcz z deszczu. Od razu zobaczył swojego człowieka na końcu długiego baru. Patrzył w brudne lustro i podniósł szklankę whiskey do ust.

- Tam jest - powiedział Congreve do Hawke'a. - Na końcu baru. Ten siwowłoso.

Hawke skinął głową i popatrzył na wskazanego mężczyznę. Nie spodziewał się, że przyjdzie.

- Posterunkowy, nie przestajecie mnie zadziwiać.
- Mam swoje sposoby perswazji. Noszę je zawsze przy sobie, a dostaję je prosto z Banku Anglii. Proponuję, żebyś usiadł przy stoliku w kącie przy oknie. Najpierw zamienię z nim słowo sam na sam. Sfinalizujemy naszą transakcję tak, żeby go nie speszzyć. A potem do ciebie dołączymy.

Hawke usiadł i patrzył na krople deszczu spływające po szybie i rozmyte światła za oknem. Przyjaciel tymczasem na osobności dokańczył interesy z informatorem. Ładna barmanka przyniosła Alexowi kufel Guinnessa i Hawke popijał go wolno, nie wiedząc, ile to może jeszcze potrwać.

Dziesięć minut później Congreve podszedł do stolika ze szczerpłym siwowłosym mężczyzną. Był wysoki i zgarbiony, miał bardzo smutne oczy.

- Alex, to Thomas McMahon.

Hawke wstał i uściśnął kościstą dłoń McMahon, patrząc mu w oczy.

- Panie McMahon, dziękuję za przybycie. Z pewnością nie jest to dla pana miłe spotkanie. Proszę, niech pan usiądzie. Jeszcze jedną whiskey?

Mężczyzna skazany za morderstwo lorda Mountbattena kiwnął głową i usiadł, patrząc w grobowym milczeniu na zniszczony blat stołu. Miał osiemdziesiąt kilka lat i widać było po nim każdy dzień życia. Popękane naczynka tworzyły na policzkach całą mapę. Po obu stronach długiego, cienkiego nosa miał bladoniebieskie, wodniste oczy. Ręce mu drżały. Ten człowiek przeszedł w życiu swoje i niejedno widział.

Ambrose zajął drugie krzesło i zawołał barmankę.

- Trzy whiskey proszę - powiedział, a potem odsunął krzesło, by zmieścić swój wydatny brzuch, i powiedział do McMahon: - Tom, Alex i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Nie ma do ciebie urazy o to, co stało się w przeszłości. Przyjechaliśmy do Irlandii, żeby znaleźć odpowiedź na pewne stare pytania, to wszystko. Będziemy niezmiernie wdzięczni za wszelką pomoc.

- Powiem, co wiem. Nic więcej. Nie rozpowiadam plotek.

- O nic więcej nie prosimy - rzekł uprzejmie Hawke.

- Poszedłem do pierdła za coś, czego żem nie zrobił.
- Tom, ława przysięgłych uznała inaczej - odparł Ambrose, kładąc dłoń na drżącym ramieniu starszego człowieka. - W oparciu o przedstawione dowody.

- Przysięgli się pomylili. I wy też, cholera jasna! - powiedział podniesionym głosem, wpatrując się przenikliwie w oczy Congreve'a.

Najwyraźniej McMahon wypił trochę już wcześniej. Congreve nie dal się wyprowadzić z równowagi.

- To zupełnie możliwe. Zrobiłem tyle, ile mogłem. Moi ludzie zrobili, co mogli.

- Aha! Czyli pan inspektor przyznaje, że mógł się pomylić?

- Przyznaję, że w czasie śledztwa i procesu mogło dojść do pomyłek. Więcej nie mam nic do powiedzenia.

- Byłem sto kilometrów od miejsca zbrodni, kiedy wybuchła ta cholerna bomba! Wiedzieliście o tym. Powiedziano to w sądzie!

- Tom, to ty zbudowałeś tę bombę. Zrobiona była z żelatyny wybuchowej, twojego ulubionego materiału. Kiedy cię aresztowano, na ubraniu miałeś jej ślady.

- Bo robiłem bomby, do jasnej ciasnej. Codziennie miałem na ubraniu ślady żelatyny wybuchowej. Jaki to dowód? Że moja bomba zabiła Mountbattena? Nie. To niczego nie dowodzi.

- Tom, posłuchaj mnie - odezwał się Congreve po cichu. - Pan Hawke i ja przyjechaliśmy do Irlandii w poszukiwaniu innego podejrzanego. Kogoś, kim wówczas się interesowałem, ale nie potrafiłem zebrać przeciw niemu dowodów. Jeśli znajdziemy tego człowieka i połączymy go jakoś z tym morderstwem, to niczego nie gwarantuję, ale może uda się oczyścić twoje imię. W najgorszym wypadku zredukują ci wyrok do pomocnictwa w morderstwie.

- Karę też mi zredukują? Dostanę z powrotem dwadzieścia lat życia?

Hawke skinął na barmankę, żeby przyniosła następną kolejkę, i dziewczyna uwinęła się migiem.

Hawke spojrział na terrorystę z IRA, czekając, aż ten skupi uwagę tylko na nim.

- Panie McMahon. Inspektor Congreve przyjechał tu, bo sądzi, że istnieje możliwość, że część zarzutów postawiono panu niesłusznie. Na pańskim miejscu traktowałbym go z nieco większym szacunkiem.

To jedyny człowiek na ziemi, który chce i może naprawić wszelkie krzywdy, które być może panu wyrządzono. Jeśli nadal będzie pan obrażał w ten sposób mojego przyjaciela, to sobie po prostu pójdziemy i zostawimy pana samemu sobie. Rozumiemy się?

McMahon spiorunował na chwilę Hawke'a wzrokiem, ale zobaczył w oku Anglika czerwony błysk gniewu, który widziało już wielu.

- Jasne - powiedział w końcu.

- To dobrze. Latem, nim lord Mountbatten został zamordowany, na północy Irlandii doszło do serii brutalnych morderstw młodych kobiet. Słyszał pan o tym?

- A kto by nie słyszał.

- Znał pan którąś z ofiar?

- Nie. Wszystkie to były młode ślicznotki. Ja byłem już wtedy szczęśliwym żonkosiem i nie w głowie mi były takie rzeczy. Nawet wtedy nie piłem i nie laziłem do pubu.

- Czemu pan wspominał o pubie?

- Przecież on je wrywał w pubach, nie?

- Tak było?

- Tak wszyscy mówili. A co ja mogę wiedzieć, przecież mnie tam nie było, nie?

- Czy słyszał pan, żeby ktokolwiek wymieniał mordercę z nazwiska albo imienia?

- Nie, nie przypominam sobie.

- Obcy. Kręcili się tu jacyś inni obcy tamtego lata?

- Tak, był taki jeden. Wariat po prostu.

- Jak to wariat?

- Powiedział moim kumplom, że chce zabić Mountbattena.

Hawke spojrzał na Congreve'a.

- Inspektorze, czy mówiono o tym podczas procesu?

- Tak. Oczywiście wszystko to były plotki, tak jak i teraz. Obrona nigdy nie dowiodła, że ów „obcy” w ogóle istniał. Nie było żadnych dowodów.

- Ten wariat, jak pan go nazywa, McMahon, czego konkretnie chciał od pańskich kumpi? - zapytał Hawke.

- Chciał bomby.

- I tyle?

- Nie. Mówił też, że chce łodzi.
- Łodzi? Po co?
- Po co? Żeby wśliznąć się do portu po ciemku i podłożyć bombę na „Shadow V”. Po to była mu potrzebna. I w końcu to zrobił. Sprawdźcie zeznania, sami się przekonacie.

- Skąd zdobył bombę?
- Od moich kumpi. Wtedy nazywaliśmy się bombową ekipą. Dostarczyliśmy mu bombę. I na tym koniec.

- Czy to była jedna z pana bomb, McMahon?
- Panie Hawke, a skąd, do diaska, mam to wiedzieć? Mówiłem już przecież, że nie tylko ja w IRA budowałem wtedy urządzenia wybuchowe. Mieliliśmy właściwie fabrykę bomb pracującą pełną parą. Pije pan tę whiskey czy czeka, aż wyparuje?

Hawke przesunął mu po stole nietkniętą szklankę. McMahon podniósł ją i wychylił.

- Wie pan może, jak wyglądał ten tak zwany obcy?
- A niby skąd? Nigdy przecież nie widziałem jego twarzy. Nawet na naszych spotkaniach. Nikt nie widział.

- Jak to?
- Przecież zawsze nosił kominiarkę. Widać było tylko oczy. Lewe trochę mu zezowało, jakby było lekko znieruchomiałe. Skryty drań, tak wszyscy mówili. Nie podał też żadnego adresu. Mówili, że mieszka sam na jakiejś cholernej wyspie.

- Irlandczyk?
- Trudno powiedzieć, ale tak sędzę. A może Anglik?
- A skąd pan wie, że to Anglik, skoro jak pan twierdzi, nie widział pan jego twarzy?

- Przez ten jego pieprzony akcent. Mówił jak pan, panie Hawke. Pieprzony arystokrata.

Irlandzka whiskey zaczęła przeszkadzać w przesłuchaniu McMahona i Hawke spojrzął na Ambrose'a. Obaj uznali, że czas kończyć.

- Czy ten arystokratyczny drań miał jakieś nazwisko, panie McMahon? - zapytał Hawke obojętnym tonem.
- Każdy jakieś ma.
- A tak z ciekawości, jakie miał ten?
- Smith.
- Smith. Jest pan tego pewien?

- Przecież powiedziałem, że Smith.

- Dziękujemy za poświęcony czas, panie McMahon. Jeśli będziemy mieli jeszcze jakieś pytania, odezwiemy się do pana. Gdyby przypomniał pan sobie cokolwiek, co mogłoby pomóc w śledztwie, oto numer mojej komórki i komórki inspektora Congreve'a. A teraz do widzenia.

- Może jeszcze rozchodniaka?

- Dostał pan pieniądze. Może pan pić, ile chce.

Hawke odsunął krzesło i wstał od stołu, zawiązując wełniany szal na szyi.

- Ambrose? - powiedział.

Congreve nie zważał na niego. Wpatrywał się nadal w McMahona.

- Panie McMahon, jeszcze jedno pytanie, jeśli łaska. Przed chwilą wspomniał pan o jakiejś wyspie.

- Naprawdę?

- Tak, mówił pan, cytując: „mówili, że mieszka sam na jakiejś cholernej wyspie”.

- No tak, tak widocznie powiedziałem. I co z tego?

- A nie pamięta pan przypadkiem nazwy tej wyspy?

McMahon uśmiechnął się, odsłaniając poźółkłe zęby.

- To było tak dawno, inspektorze. Zaraz minie czterdzieści lat.

Pamięć już nie dopisuje.

- Niech się pan skupi.

- To by pana kosztowało butelkę Jamesona.

Congreve skinął na barmankę i zamówił kolejną butelkę whiskey.

25.

Poproszę o nazwę wyspy, panie McMahon.

- Jasne. Chyba Wyspa Jagnięca. A może to była Wyspa Owcza? Cholera, panowie, nie wiem. Coś w tym guście.

- Skup się, McMahon. Potrzebuję dokładnej nazwy tej wyspy - nie odpuszczaj Congreve.

- Barania. Tak, to była ta nazwa - Wyspa Barania. Niedaleko Sligo.

Congreve wstał i zapłacił barmance za butelkę whiskey, którą postawił przed starcem z IRA.

- Tak jak mówił Hawke, jeśli coś się panu przypomniało, proszę dzwonić. Zapewniam, że się opłaci. Dobranoc, panie McMahon.

- Wybieracie się tam może? Na tę Baranią Wyspę?

- Chcemy za wszelką cenę odnaleźć Smitha, żywego lub martwego. Jeśli rzeczywiście mieszkał na Wyspie Baraniej w czasie, kiedy dokonywano morderstw, podejrzewam, że zaczniemy właśnie tam. Dobranoc panu. - Ambrose zaczął wstawać od stołu. Irlandczyk spojrział na niego.

- Zaczekajcie - odezwał się McMahon. - Siadajcie. Ambrose usiadł.

- O co chodzi?

- Nie miałem zamiaru o tym mówić. Ale widzę, że to moja jedyna szansa. Za poważną sumkę mógłbym się podzielić z wami poważnymi informacjami.

- Zamieniamy się w słuch, panie McMahon - rzekł Hawke.

- Słyszeliście może o tak zwanej Prawdziwej IRA?

- Nie żartuj pan sobie - obruszył się Ambrose. - W marcu 2009 roku złapali w zasadzkę i zabili dwóch brytyjskich policjantów pod koszarami w Masereene. Nie uznają Porozumień Wielkopiątkowych z 1998 roku i trwającego od tamtego czasu pokoju. Obawiam się, że ci ludzie chcą za wszelką cenę doprowadzić do kolejnego rozlewu krwi. To obrzydliwe.

- I słusznie się pan boisz - powiedział McMahon i wychylił szklankę whiskey, a potem wlał sobie kolejną. - Znowu coś kombinują, wiecie? Dopracowują ostatnie szczegóły. I...

- Panie McMahon, z całym szacunkiem - przerwał mu Hawke. - Skąd pan niby wie, co ci ludzie planują? Od zamachu bombowego w Omagh, w którym zginęło dwadzieścia dziewięć osób, a dwieście dwadzieścia innych zostało rannych, zostali uznani za wiarygodną organizację terrorystyczną w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych. Proszę mi wierzyć, śledzimy uważnie każdy ich ruch.

- Ale nie wiecie, co się dzieje u nich w środku, co, panie Hawke?

- A pan wie?

- Ano. Wróciłem do starego rzemiosła. Robię dla nich fajerwerki. Rozumiecie, przyzwyczajenie drugą naturą. Używają min lądowych, moździerz domowej roboty i samochodów-pułapek. Wiem teraz o wielu rzeczach, o których nie powinienem wiedzieć, bo mam uszy szeroko otwarte.

- I chce pan zdradzić to zaufanie za pieniądze, panie McMahon. Można się tylko zastanawiać, na ile wiarygodne będą takie informacje, bo przecież gdyby były prawdziwe, ściągnęłyby na pana ogromne niebezpieczeństwo. Sam pan dobrze wie, co IRA robi ze zdrajcami. Ciekawe, po co miałby pan to robić.

- A powiem wam! Bo te dranie mnie zdradziły. Wszystkich nas zdradziły! Wykorzystują moją smykałkę, ale nie mają szacunku do nikogo. Nadstawiłem karku za lorda Louisa, pół życia przesiedziałem w pierdlu. A teraz traktują mnie jak powietrze. Zresztą, teraz sprzedają broń od obcokrajowców. Moje dni tam są już policzone.

- Obcokrajowcy? Współpracują z IRA? - powiedział Hawke i się pochylił. - Obcokrajowcy skąd?

- Zapomniałem.

- Dobrze, McMahon. Ile chcesz pieniędzy? - zapytał Hawke prosto z mostu. Miał już dość tego człowieka.

- Tyle, żeby wyjechać z Irlandii na dobre i zacząć nowe życie. Przynajmniej tyle, ile mi zostało. Chcę umrzeć w ładnym łóżku, z chłodną ręką jakiejś ślicznotki na czole. - Wychylił szklanę, oblizał się i nalał sobie jeszcze.

- Mów, co wiesz. Potargujemy się później. Ale jeśli uznamy, że przekazałeś nam cenne i wiarygodne informacje, dostaniesz dość pieniędzy, żeby wyjechać z Irlandii. Zgoda?

- Ano.

- No więc? \

- Jest taki bezpieczny dom. Chodzę tam co jakiś czas z dostawą, rozumiecie, o co chodzi. W piwnicy leży masa broni. To ich arsenał. Dość, żeby wysadzić w powietrze pół Irlandii. Mniej więcej od miesiąca ruch jest tam jak na dworcu. Ludzie wchodzą i wychodzą o dowolnych porach, dniem i nocą, większość w maskach. Wielu wysoko postawionych koleśki gada do późna w nocy. Planują.

- Co planują?

- Tego nie wiem. Musielibyście sami zapytać dowodzącego.
Akcją kieruje Smith.

Smith?

Hawke i Congreve zdumieni spojrzeli po sobie.

- Smith? - powtórzył Hawke opanowanym głosem.

- Przecież powiedziałem, nie? Może i podpisuję na siebie wyrok, ale co tam, powiedziałem i chrzanić to wszystko.

Congreve odezwał się ostrożnie:

- Smith wciąż bierze w tym udział? Mieliśmy wrażenie, że wycofał się trzydzieści lat temu, po morderstwie Mountbattena.

- Wycofał się? A skąd ten pomysł? Kiedy mu się udał ten numer z Mountbattenem, prawie go obwołali cholernym królem Irlandii. Mountbatten to był początek dla naszego pana Smitha. Od zawsze planował daleko naprzód.

- Daleko naprzód? - powtórzył Hawke.

- Tak powiedziałem.

Hawke pochylił się, by Irlandczyk skupił na nim uwagę.

- Panie McMahan, chodzi o bardzo poważną sprawę. Niech się pan skupi. W jakich innych aktach terrorystycznych przeciw Wielkiej Brytanii i Koronie brał udział Smith?

- Szczerze mówiąc, było tego tyle, że trudno spamiętać. Ale kilka mogę wymienić z całą pewnością.

- Proszę.

- Zamach bombowy w londyńskim Harrodsie w Boże Narodzenie, gdzie zginęło pięć osób i prawie sto zostało rannych. Chyba w 1983 roku. To sprawka Smitha. W kolejnym roku, omal nie wysadził lady Thatcher i całego jej rządu w hotelu w Brighton. I wiele innych. Pocisk z moździerza odpalony w stronę Downing Street w 1991 roku.

- Wielki Boże! - wykrzyknął Congreve i oparł się wygodniej o krzesło, by przeanalizować dokładniej to, co właśnie usłyszał. Smith wciąż działa? Wciąż atakuje Wielką Brytanię? Wydawało się niemal niewiarygodne, że przez tak długi czas nie zwrócił uwagi tajnych służb czy Scotland Yardu.

- Coś jeszcze? - zapytał Hawke McMahona.

- Jest też jeszcze sprawa tego podejrzanego pożaru w zamku Windsor w 1992 roku.

- To byt Smith? - rzekł Congreve z niedowierzaniem. Policja po miesiącach śledztwa nie wykryła nawet śladu podpalenia.

- Smith w najlepszej formie. Z tego numeru jest szczególnie dumny.

- Mówił pan, że właśnie planuje kolejną akcję - powiedział Hawke. - Co pan o niej wie?

- Jak mówiłem - tylko tyle, że to coś wielkiego.

- Mówił pan o jakiejś bombie.

- Ano. Ale bomba, jakiej jeszcze tu nie widziano. Wielka Berta, która zniszczy więcej i pozabija więcej ludzi niż w ciągu tych wszystkich lat, od kiedy zaczęły się „kłopoty”. Tak przynajmniej słyszałem.

- Broń konwencjonalna? - zapytał Hawke, patrząc gniewnie na Irlandczyka.

- Tego nie wiem. Powiedziałbym, gdybym wiedział. Słowo. Może sam Smith ją przywiózł. Cały czas podróżuje. I to nie tylko do Brighton, żeby się nawdychać morskiego powietrza.

- Na kiedy planowana jest ta akcja?

- Wkrótce. Słyszałem, że za miesiąc, dwa, ale może być i wcześniej.

Congreve się odezwał:

- A ten bezpieczny dom. Żeby dostać pieniądze, musi pan wiedzieć, gdzie dokładnie się znajduje. Kiedy to potwierdzimy, dostanie pan pieniądze. Ile pan chce?

- Tak se myślałem, że dwadzieścia kawalków w funtach szterlingach bardzo by mi odpowiadało.

- Niech pan pomyśli o piętnastu tysiącach funtów i umowa stoi.

- Zgoda - odparł McMahon z uśmiechem, w którym odsłonił brudne i powykrzywiane zęby. A potem nalał sobie kolejną whiskey.

- Gdzie dokładnie stoi ten dom?

- Słyszeliście o Psiance, niewielkiej rzeczce w hrabstwie Sligo?

- Nie.

- Właściwie to nawet nie rzeczka tylko taki strumyk. Smródka odchodząca od rzeki Mourne. Trzeba iść z biegiem Psianki do miasteczka Plumbridge. Dom stoi niecałe pięć kilometrów od centrum miasteczka. To takie dziwne miejsce o nazwie Gospoda pod

Szczekającym Psem. Pewnej nocy w rzeczce utonął pies pasterski jednego z okolicznych gospodarzy. Ludzie mówią, że podczas pełni księżyca do dzisiaj szczeka pod tym starym drewnianym mostem. Dom stoi w lesie, niedaleko zakola rzeczki. Na wschód od jedyne go mostu na Psiance w promieniu kilkunastu kilometrów. Drewnianego mostu.

- Odezwiemy się, panie McMahon - powiedział Congreve, kończąc spotkanie.

Słynny kryminolog wstał i poszedł za swoim przyjacielem, przepychając się przez zadymiony i zatłoczony bar. Stojąc ponownie na wilgotnym powietrzu, Ambrose poczuł ogromne podniecenie. McMahon był do cna zepsutym człowiekiem, ale niewykluczone, że dostarczył im właśnie niewiarygodnie cennych informacji.

Potwierdził ni mniej ni więcej, że istotnie był „ktoś trzeci”, jak od samego początku do samego końca upierali się obaj z Bullingtonem. Nie dość, że w ogóle istniał, to wciąż żył i działał. Jeśli wierzyć McMahonowi, uczestniczył w tym nowym powstaniu IRA. Na do datek działał o kilka kilometrów od pubu, przed którym właśnie stali.

Stojąc przed pubem, Congreve powiedział:

- Mamy naszego „Pionka”, Alex. To Smith! Nie ma innej możliwości. Wciąż żyje po tylu latach? Zdziwiająca. Wciąż działa? W głowie się nie mieści.

- Jeszcze go nie złapaliśmy, ale, na niebiosa, być może bardzo się do tego zbliżyliśmy. To co opowiada McMahon, to oczywiście wszystko plotki. Nie ma żadnych dowodów, ale gdybyśmy znaleźli ślady morderstwa na Wyspie Baraniej i powiązali z nim Smitha, to...

- O tym samym właśnie myślę. Nie wiem, od czego zacząć. Jak sądzisz, Alex? Od Wyspy Baraniej? Czy może potwierdzić ten bezpieczny dom IRA? Gospodę pod Szczekającym Psem.

Mżyło, lecz oni, nie zważając na to, szli w stronę wynajętego samochodu - dość niezgrabnej małej bestii o nazwie ford mondeo. Z całą pewnością daleko mu było do Lokomotywy. Hawke zaczął wręcz mówić na niego „drezyna”.

- Wyspa Barania jest zaledwie o godzinę drogi stąd - powiedział Hawke. - I niezbyt daleko od brzegu. Zabierajmy się tam od razu. Wynajmijmy jakąś łódkę. Zobaczymy, co tam jest, jeśli coś w ogóle

jest. A potem możemy się skupić na tej cholernej Gospodzie pod Szczekającym Psem. Żeby przygotować się do tej akcji porządnie, potrzebujemy czasu, ludzi i broni. Muszę uzgodnić wszystko z brytyjskimi komandosami, na wypadek gdyby trzeba było dokonać prawdziwego szturm na ten bezpieczny dom.

- Słusznie. Ale i tak musisz przyznać, że to przełom. Smith wciąż działa i to w Irlandii Północnej. Co ty na to, Alex? - zapytał Congreve.

- Myślę, że przekonamy się, kiedy zajrzemy do tej Gospody pod Szczekającym Psem. Jeśli Smith będzie wtedy wśród spiskowców i jeśli zdołamy go pojąć żywcem, będziemy mieli niezwykle dobre wieści dla księcia Walii.

- Nie zadzwonisz do niego od razu? Trochę przecież usłyszeliśmy.

- Raczej nie.

- Dlaczego? Ucieszy się.

- Po prostu nie ufam temu McMahanowi. Za pieniądze i wodę powie ci to, co chcesz usłyszeć. To może być szukanie wiatru w polu. I to ogromnym.

- Nie wydaje mi się, Alex. Znasz to uczucie, kiedy w końcu złapiesz kość w zęby?

- Nie powiedziałbym.

- A ja znam. I właśnie tak się czuję.

- To dobre czy złe uczucie?

- Dla gliniarza? Najlepsze na świecie.

- Dasz radę wytrzymać, póki nie dopłyniemy na Wyspę Baranią?

- Dam, i wytrzymam.

26.

Wyspa Barania, Irlandia

Alex, naprawdę zaraz zwymiotuję - powiedział Congreve. Był późny wieczór, ten sam, kiedy odbyli nieprzyjemne, choć wielce

intrygujące spotkanie z producentem bomb McMahonem. - A jeśli wydaje ci się, że żartuję, to za chwilę zaprezentuję naoczny dowód, że się mylisz.

Jego przyjaciel Hawke stał za sterem śmiesznie małej i dziko podskakującej łódki. Całkowite szaleństwo. Nocna przeprawa na Wyspę Baranią w niespełna sześciometrowej łupince. Rzecz jasna, że fanfaronada, ale Alex Hawke nigdy nie przejmował się pogodą na morzu. Ulewny deszcz, potężne fale, wyjący wiatr. Idealna noc na wyprawę na jakąś wyspę zapomnianą przez Boga. Tak przynajmniej uważał Ambrose.

Przecież można by było poczekać z tym do rana.

Hawke*. Już samo nazwisko dawało do myślenia. Facet był opętany i widział o wiele więcej niż inni, a przede wszystkim potrafił wszędzie dostrzec okazję, by nabić sobie guza albo spojrzeć śmierci w oczy. Cechowała go niezłomna odwaga, często granicząca z brawurą, zwłaszcza w takich chwilach jak ta. Hawke często przypominał Ambrose'owi Winstona Churchilla podczas pierwszej wojny, kiedy wychodził rankiem na przechadzkę po polu bitwy, nonszalancko paląc cygaro na ziemi niczyjej, nie zważając na niemieckie kule, które świsnęły mu nad głową.

* Hawke - gra słów, *hawk* to po angielsku jastrząb.

Obaj oczywiście byli śmiertelnikami, ale zachowali się zgoła inaczej. Zupełnie inaczej.

- Tylko nie na moje buty! - krzyknął Hawke. Trzeba było krzyczeć, żeby być słyszonym przy ogłuszającym wyciu wichru i ryku fal. Trzeba się nieźle nagimnastykować, żeby się utrzymać na nogach, pomyślał Congreve załamany.

Hawke zerknął na przyjaciela. W mdłym świetle małej sterówki twarz Congreve'a, zwykle różowa jak u cherubinka, mieniła się niesmacznymi odcieniami wstrętnego siniaka. Miał chorobę morską jak się patrzy, ale za chwilę mieli stanąć na lądzie. Hawke pomyślał, że jego przyjaciel przynajmniej trzy razy objechał wkoło Ziemię, ale jakoś nigdy nie nauczył się znosić podróży morskich.

Ambrose jęknął:

- Nie bądź ordynarny. Po diabła w ogóle wypływaliśmy w taką noc, Alex? Na tej okropnej łajbie, gdzie każdy skrawek śmierdzi rybimi wnętrznościami i nie tylko.

- Bo to łódź rybacka.
- No tak. Ale czy ci rybacy nie zmywają ich szlauchem choćby raz na dekadę?

- Nie zawsze. Właściwie nie muszą. Ten smród to urok tego zawodu. Trzymaj się, szcurze lądowy, idzie spora fala. Uwaga, jedziemy!

Przecieli wielką falę, tuż zanim się załamała. Czarno-biała ściana wody przetoczyła się przez dziób, uderzyła w sterówkę i zalała całą łódź. Cud, że szyba w sterówce nie pękła i nie pocięła ich na plasterki. Congreve wypluł słoną wodę i krzyknął Hawke'owi do ucha:

- Możesz przyhamować? Albo gdzieś się zatrzymać?
- Posterunkowy, łodzi nie da się tak po prostu zatrzymać.
- Do diabła, przecież wiesz, o co mi chodzi. Po prostu zakotwicz gdzieś tę łupinę, póki nie minie sztorm.

- Marynarze nazywają to „bujaniem”. Zapewniam cię, że byłoby to znacznie gorsze. Zamiast przebijać się przez te fale, musielibyśmy znieść ich uderzenia.

- A teraz tego nie robimy? Dlaczego, u licha, nie mogliśmy poczekać do rana? - zapytał Congreve, zataczając się na bujającym się pokładzie. Próbował utrzymać się na nogach i nie wypuścić z żołądka tego, co tam powinno zostać.

- Około północy zrobi się znacznie gorzej. To dopiero początek frontu z niskim ciśnieniem. Jutro będzie tu wiało ósemką.

- Ile jeszcze mamy do tej przeklętej wyspy?
- Wyspy przeklętych, z tego co czytałem.
- Alex, proszę. To wcale nie jest śmieszne.
- Tak się składa, że Wyspę Baranią mamy już za bąkburką. Przy następnej błyskawicy powinieneś zobaczyć klify po lewej. Zerknąłem na mapę i znalazłem bezpieczne miejsce, gdzie będzie można wylądować. Na szczęście jest osłonięte od wiatru.

- Dziękuję Bogu.
- Nie, to mnie podziękuj. Bóg nie miał z tym nic wspólnego. Z doświadczenia wiem, że Bóg przesadnie się mną nie przejmuje. Rzekłbym nawet, że lubi mi dowalić.

Ambrose miał dość oleju w głowie, by się nie odzywać. W końcu Hawke powiedział:

- Zastanawiałem się nad czymś, co powiedział McMahon. To dziwne.
- Co takiego?
- Wspomniał, że Smith mówił z akcentem. Cytując dokładnie: „Mówił jak pan, panie Hawke. Pieprzony arystokrata”.
- Anglik. Boże drogi, jakoś mi to umknęło. Pewnie pomyślałem, że to jakieś pijackie majaczenia.
- Tak. A jeśli to nie majaczenia?
- Smith Anglikiem? Pewnie mógłby sprzyjać tej sprawie.

Dwadzieścia minut później Hawke posadził łódź na płytkiej plaży i przywiązał liną do skały, która pewnie trwała tutaj od tysięcy, jeśli nie milionów lat. Ambrose natychmiast wygramolił się na ląd. Jeszcze nigdy nie cieszył się tak jak teraz, że może stanąć pewnie na ziemi. Kiedy Hawke upewnił się, że łódź jest dobrze przycumowana, wyszedł za Congreve'em na skalisty brzeg.

- Spójrzmy na mapę - rzekł Hawke, wyciągając żółtą latarkę pokrytą gumą. Omiotła cienkim białym snopem skały i trawiasty brzeg za nimi. Obaj mieli na sobie czarne płaszcze i staromodne czapki rybackie.

Congreve wyjął mapę z wewnętrznej kieszeni.

- No dobrze - zaczął Hawke, wskazując latarką. - Tu mamy normańską wieżę. Tu, na zachód od wieży, stoi kilka kamiennych chat. Ruiny starego kościoła i plebanii.

- Nie mówiąc o cmentarzu - rzekł Congreve, przyglądając się mapie.

- No to w drogę! - rzekł Hawke radośnie i pomaszerował w stronę wierzy krokiem człowieka, który prowadzi zastęp morskich wilczków na fascynującą wyprawę. Szybko zniknął za ścianą deszczu i Ambrose, któremu żołądek zdążył się nieco uspokoić, włączył własną latarkę i podążył za migoczącym światłem niesionym przez przyjaciela. Podłoże było kamieniste i trzeba było patrzeć pod nogi. Na tę wyprawę kupił parę kaloszy sięgających do kolana i bardzo był rad z tego zakupu.

Po dwudziestu minutach marszu po nierównym terenie odnaleźli ruiny starożytnej osady. Deszcz nieco ustał i widoczność znacząco się

poprawiła. Popatrzyli na rozsypującą się wieżę i hieroglify na dziwnym obelisku pośrodku cmentarza. Pracowali w milczeniu, szukając wszelkich śladów lub sugestii, że ktoś mógł tu mieszkać albo coś robić.

Congreve, który karierę w Scotland Yardzie zaczął od patrolowania londyńskich ulic, by dochrapać się stopnia detektywa śledczego, od dawna trzymał się zasady Locarda, która stała się podstawą wszelkich nauk kryminalistycznych. Sformułował ją Edmund Locard, zwany „francuskim Sherlockiem Holmesem”. Jako że Congreve był zagorzałym wielbicielem Sherlocka, podwójnie cenił tego Francuza.

Zasada monsieur Locarda mówiła po prostu, że „każdy kontakt zostawia ślad”. Choć pan Smith ostatni kontakt z Wyspą Baranią miał zapewne przed trzydziestoma laty, istniała możliwość, że wciąż można będzie znaleźć dowody jego obecności tutaj. I Ambrose Congreve zamierzał je znaleźć.

Wskazał palcem i powiedział:

- Tamten budynek na samym końcu cmentarza wygląda, jakby miał jeszcze cały dach, jako jedyny tutaj. Więc zapewne nadaje się do mieszkania. Proponuję, żebyśmy tam zaczęli poszukiwania, Alex.

- Zgoda. Zauważyłeś różną gęstość roślin porastających tę część cmentarza?

- Tak. Większość tych grobów liczy setki lat. Ale najwyraźniej nie wszystkie. Pogrzebane ciała sprawiły, że roślinność stała się tu gęstsza i bujniejsza. Może jesteśmy na jakimś tropie. Zajrzyjmy do tego budynku, cmentarz zostawimy sobie na później.

Budynek z białego kamienia nie miał okien. Tylko pojedyncze, wąskie i niskie drzwi. Kiedy budowano go wieki temu, ludzie byli znacznie mniejsi. Efekt złej diety. Hawke wszedł pierwszy, by oszczędzić Ambrose'owi zażenowania, kiedy musiałby się przeciskać przez wąskie wejście na oczach przyjaciela.

Obaj mężczyźni omiatali latarkami cztery ściany i podłogę. Klepisko wysypane było drobnym białym żwirem, tak jak niektóre ścieżki na cmentarzu. Pośrodku pomieszczenia, tuż pod przeciekającą szczeliną w dachu stał duży prosty stół z kamienia. Wyglądał bardziej jak ołtarz niż miejsce do jedzenia. Ambrose, rozejrzawszy się wokół, uznał, że tak właśnie jest. Znajdowali się w pogańskiej świątyni.

Nad ich głowami wciąż przetaczały się grzmoty. Od czasu do czasu małą świątynię rozświetlały oślepiające błyskawice. Jedynym dowodem, że pada, była woda kapiąca z dziury w dachu na kamienny ołtarz.

- Spójrz tutaj, stary druhu - odezwał się Hawke, oświetlając spróchniałe kawałki drewna i fragmenty spleśniałego materiału rzuconego w kąt.

Congreve pochylił się, żeby przyjrzeć się bliżej. Założył lateksowe rękawiczki i za pomocą szczypców podniósł tkaninę, po czym porzekał w cienkich kawałkach drewna.

- Prycza - powiedział, wstając. W ręku trzymał zardzewiały metalowy zawias. - Miejsce do spania. Ktoś tu spał przez jakiś czas. I jadał. Tam leżą mocno porzewiałe puszki po fasolce Heinza. Oczywiście to mógł być ktokolwiek: letnicy, ornitolodzy i tak dalej.

- Ale równie dobrze mógł to być nasz przyjaciel Smith. Te śmieci mają co najmniej trzydzieści czy czterdzieści lat. Jeśli ten zakątek rzeczywiście byłby rajem dla turystów albo obserwatorów przyrody, to znaleźlibyśmy dowody ich niedawnej bytności. A nie znaleźliśmy.

- Całkowicie się zgadzam. Teraz musimy tylko znaleźć dowody zbrodni.

- Słusznie. Poproszę Yard, żeby zbadali to, co tu leży. Może na pryczy zachowały się ślady DNA. Albo odciski palców na puszkach.

Hawke się odezwał:

- Myślę, że Smith zwabiał swoje ofiary na tę wyspę i mordował je w tym pomieszczeniu. Miejsce jest odległe, odizolowane, niezamieszkałe. Doskonałe do jego celów. I na dodatek tuż za drzwiami miał cmentarz.

Congreve oglądał już powierzchnię kamiennego blatu przez szkło powiększające, świecąc sobie latarką. Stół jest niezwykle czysty, pomyślał. Zakurzony, ale warstewka brudu jest stosunkowo niewielka. Jakby ktoś kiedyś wyczyścił wszystko dokładnie.

- Alex, na tym kamieniu widać jakieś niewyraźne ślady. Nie układają się w nic. Przypadkowe cięcia, niektóre dość głębokie, jak od noża... chwileczkę... co to? - Przesuwając but po posadzce, zaczął mocno o coś ukrytego pod żwirkiem.

Przyklęknął i odgarnął biały żwirek pod blatem. Zobaczył tylko zbitą ziemię. Ale kiedy przyjrzał się uważniej, zobaczył, o co zawadził stopą. Z ziemi wystawało zardzewiałe półkole z żelaza.

- Alex, możesz tu podejść na chwilę? Zdaje się, że dosłownie na coś się natknąłem pod ołtarzem. Musisz mi poświecić, żebym mógł odgarnąć trochę ziemi.

Hawke potrzymał latarkę, a Congreve małą saperką ostrożnie zdejmował ziemię. Szybko odkopał nietknięte żelazne kółko średnicy około dziesięciu centymetrów.

- Jak sądzisz, jakaś piwnica pod spodem? - zapytał podekscytowany Ambrose i zaczął odgarniać wilgotną ziemię wokół kółka. Niecałe dziesięć centymetrów głębiej trafił na drewno.

- Albo trumna? - rzucił Hawke.

Nagle obaj obrócili głowy w stronę wejścia, skąd dobiegło niskie złe warczenie.

Do środka zaglądał chudy i umięśniony pies. Dziki pies, sądząc po wyglądzie i obnażonych śnieżnobiałych kłach, którymi bez trudu byłby w stanie zmiażdżyć człowiekowi nadgarstek albo łydkę. Zwierzę patrzyło na obu mężczyzn zupełnie bez strachu. Alexowi nie podobało się, że pies naprężył przednie łapy i zjeżył sierść na grzbiecie. Wszystko to sygnalizowało gotowość do ataku. Nie podobały mu się też czarne oczy zwierzęcia. Widać w nich było czysty głód. Z dolnej szczęki pełnej zębów zwisały mu nitki śliny.

Pies zaczął skradać się w ich stronę, powoli i bez strachu.

27.

Zadnych gwałtownych ruchów - powiedział Alex do Congreve'a ledwie słyszalnym szeptem. - To oznaka słabości. Jeśli to zobaczy, natychmiast zaatakuj.

Mówiąc to, Hawke powoli wsunął rękę pod płaszcz, chwycił rękojeść SIG-Sauera P-230 spoczywającego w kaburze pod ręką i położył palec na spuście. Stosunkowo niewielki pistolet nie odznaczał się pod ubraniem, ale magazynek mieścił jedynie siedem pocisków kaliber 380.

Wydawało się, że na niezamieszkałej wyspie nie będzie to stanowić problemu. Ale teraz okazało się, że może być inaczej.

- Zastrzel go, Alex. Zobacz, szykuje się do skoku!
- Zrobię to, tylko jeśli będę musiał - powiedział Hawke, mierząc już z pistoletu między oczy psa. - Podnieś latarkę powoli nad głowę i rzuć nią prosto w niego. Jeśli to go nie wystraszy, zastrzelę go.
- Wielki Boże - westchnął Congreve i drżącą ręką uniósł ciężką latarkę, po czym rzucił ją w dzikiego psa. Spudłował dosłownie o centymetry, ale pies nawet nie drgnął. Warknął wściekle i nagle rzucił się do skoku. Alex Hawke zdjął go w powietrzu, szybkim strzałem w głowę. Pies spadł na ziemię bez jednego dźwięku, zdechł na samym progu drzwi do kościoła.
- Wracamy do roboty - powiedział Hawke, chowając broń.
- Wielki Boże - powtórzył Congreve, patrząc na nieżywe zwierzę, kiedy schylał się po latarkę. Pies postury tego potwora był w stanie rozszarpać człowieka w parę sekund. Sztormowe fale, które niedawno musiał znosić, zaczynały nabierać pewnego uroku.

Dziesięć minut później za pomocą dwóch saperek usunęli całą ziemię. Pod ołtarzem zagrzebano drewnianą klapę. Starą, ale nie wiekową. Ktoś rzucił na nią i starannie ubił czarną ziemię. Hawke chwycił żelazne kółko i pociągnął.

Kłapa głośno zaskrzypiała na porzewiałych zawiasach, ale otworzyła się zaskakująco łatwo jak na tyle lat bezczynności. Ze środka tej wiekowej dziury buchnęło zatęchłe powietrze, od którego obaj mężczyźni zaczęli się krztusić i dusić.

Congreve zatoczył się do tyłu. Oczy zaszyły mu łzami, zaczął kopać ziemię i żwir w ziejącą czarną czeluść. Hawke pochylił się i oświetlił dziurę w posadzce latarką.

- Co tam jest? - wykrztusił z siebie Congreve.
- Nie mam pojęcia. Ale przybyliśmy tu po to, żeby zbadać, co się tam kryje.

Hawke pochylił się głębiej w dziurę i poświecił latarką. Jediną interesującą rzeczą były kamienne schody prowadzące w mrok i Bóg wie gdzie dalej.

- Schodzę tam - powiedział do Ambrose'a. - Dołączysz?

Congreve wyjął z jakiejś kieszeni płaszcz białą lnianą chusteczkę i przytknął ją sobie do nosa i ust. Najwyraźniej nie mógł mówić, ale kiwnął głową, że tak. Kiedy Hawke zaczął schodzić do środka, pochylił się nad śmierdzącą dziurą. Z nosa mu ciekło, a oczy łzawiły tak, że niewiele widział.

- Posterunkowy, musicie tu zejść i osobiście to zobaczyć - krzyknął z dołu Hawke.

Congreve, mimo obfitych nieszczęść, zszedł po kamiennych schodach i przekonał się, że Hawke na dole nie ruszył się od nich nawet na krok.

- Spójrz na to - powiedział.

Congreve, który patrzył pod nogi, żeby nie spaść ze zdradzieckich schodków, podniósł wzrok i popatrzył wzdłuż snopu światła z latarki Hawke'a.

- Aha - rzekł tylko.

Pomieszczenie na dole było spore i kwadratowe, z dziurą w ścianie naprzeciwko. Wyglądało to na tunel prowadzący dalej w ciemność.

- Co „aha”? - zapytał Hawke.

- Krypta. - Ambrose oświetlił latarką cztery ściany. Każda ozdobiona była po sufityt pozółkłymi ludzkimi czaszkami, które ciasno poukładane tworzyły wzór rodem z koszmaru.

- Wiem, że to krypta, Ambrose. Mówię o tym tunelu, który prowadzi Bóg wie gdzie.

- Tunele mnie intrygują - odparł Congreve. - Od zawsze.

- Mnie również.

- Pomieszczenie pochodzi z czasów pogańskich albo wczesnego chrześcijaństwa, nie jestem pewien. Może przekonamy się na końcu tunelu.

- W takim razie spieszmy tam - powiedział Hawke i ruszył.

Tunel był dość szeroki, ale miał niecałe półtora metra wysokości, więc obaj musieli się mocno schylić, żeby wejść do środka.

Hawke oszacował, że przeszli około trzydziestu metrów, kiedy trafili na kolejne pomieszczenie.

Pomieszczenie było okrągłe, z kopułowym sufitem. Podobnie jak poprzednie, zdobiły je poustawiane gęsto czaszki, od podłogi do sufitu. Na samym środku, pod kopułą, widać było coś dużego i okrągłego.

- A cóż to może być? - zdziwił się Hawke, oświetlając konstrukcję latarką. Był to kamienny krąg średnicy ponad trzech metrów wznoszący się na nieco ponad metr nad klepisko pokryte drobnym białym żwirem. Z miejsca, gdzie stał Ambrose, wyglądało, że krąg jest pusty.

- Z całą pewnością nie jest to basen dla dzieci - odparł Congreve, podchodząc powoli do kamiennej konstrukcji. Była zbudowana z bardzo, bardzo starych głazów i ozdobiona rysami i hieroglifami podobnymi do tych, które widział na obelisku na cmentarzu. Ambrose przyklęknął i zaczął uważnie oglądać symbole pod swym wiernym szkłem powiększającym.

- Byłeś kiedyś w rzymskich katakumbach? - zapytał Hawke'a.

- Nie.

- Tam można spotkać podobne konstrukcje. Wierz mi lub nie, ale to fontanna. Kiedyś to pomieszczenie i fontanna wypełnione były setkami, a może i tysiącami ludzkich ciał.

- To z fontanny dochodzi ten smród.

- Też to zauważyłem - rzekł Congreve. - Zajrzyj, proszę, do środka.

Hawke wstrzymał oddech, położył rękę na krawędzi i zajrzał do fontanny, czy jak tam to zwał. Zapach pochodził z substancji leżącej na dnie, koszarnej szarej brei, która śmierdziała tak, że czuć ją było chyba na drugim końcu świata.

- Obrzydlistwo - stwierdził Hawke. - Sam zobacz. Congreve wstał i zajrzał do środka.

- Tak, tak jak sądziłem.

Nie mówiąc nic więcej, znów włożył lateksowe rękawiczki.

Następnie pochylił się nad krawędzią fontanny i zanurzył czubek prawego palca wskazującego w śmierdzącej brei. Szybko go wyciągnął i na ułamek sekundy podsunął sobie pod nos.

- Hm.

- Nie znoszę, kiedy tak mówisz. Co tak śmierdzi, do diaska?

- Kwas siarkowy. Kiedyś ta fontanna była nim wypełniona po brzegi.

- Ale kto...?

- Nasz tajemniczy pan Smith. Tu się pozbywał swych ofiar. Likwidował ciała w tej pogańskiej fontannie. Zanurzał je w kwasie,

miejmy nadzieję, że już po śmierci. Całkowicie zniszczył wszelkie fizyczne dowody. Mamy pecha.

- Żadnych szczątków?

- Nie. Obawiam się, że przejechaliśmy kawał drogi na marne, Alex. Wszelki ślad po ciałach tych biednych kobiet zaginał. Słyszałem o przypadkach procesów, kiedy nie znaleziono śladu zwłok. Ale to niezwykle rzadkość. Jedynie w drobnym ułamku takich spraw dochodzi do procesu.

- W takim razie wynośmy się stąd, Ambrose. Ten smród jest nie do zniesienia.

- Zgadzam się. Myślę, że możemy... auuu! Cholera jasna! Congreve wstał, masując prawe kolano.

- Co się stało? - zapytał Hawke.

- Cholerny żwirek. Wbił mi się prosto w kolano. Pochylił się, żeby strzepać kamyczek z nogawki. Zawahał się, po czym zdjął go z flanelowych spodni i obejrzał pod światło.

- Może mamy jednak szczęście - mruknął i wyjął szkło powiększające, by przyjrzeć się bliżej kamyczkowi żwiru.

- Przez ten przeklęty żwirek?

- To nie żwirek, Alex. To kamień żółciowy. Bynajmniej nie zwierzęcy, tylko ludzki kamień żółciowy.

- A to czegoś dowodzi?

- A i owszem. Pod mikroskopem molekularnym możemy określić szczegóły czegoś o nazwie Helicobacter.

- I co to może być?

- DNA. Ludzkie DNA.

Wyjął z płaszcza niewielką zamykaną foliową torebkę i włożył cenny kamień do środka. Hawke już był w połowie drogi powrotnej przez tunel i Congreve szybko podążył jego śladem.

Zważywszy na koszmarny smród w piwnicy, zdziwił się, że Alex Hawke czeka na niego cierpliwie u stóp schodów.

- Co się stało, Alex? - zapytał, podchodząc bliżej.

- Tam - wskazał Hawke latarką. - Na szczycie schodów.

Kolejny dziki pies, jeszcze większy i ciemniejszy niż poprzedni, spoglądał na dwóch mężczyzn w piwnicy. Oczy błyszczały mu czerwono w świetle latarki Hawke'a. Ostry pysk zwierzęcia wysmarowany był krwią. Krew kapłała z niego na schody.

- Kain pożywił się Ablem - stwierdził Hawke.

- Co? - zapytał Congreve skupiony na czerwonych ślepiach błyszczących w górze.

- Ten przyjemniaczek zeżarł zdechłego brata, który leżał w drzwiach - wyjaśnił Hawke. - Musiał go zwabić zapach krwi.

- Alex, pomyślmy. Sądziś, że na tej wyspie może być więcej takich dzikich psów?

- Tak. Mnożą się bez kontroli i biegają całymi stadami.

- Jak sądziś, ile ich może tutaj jeszcze być?

- Nie mam pojęcia - odparł Hawke, wyciągając broń.

- Ile masz jeszcze kul w pistolecie?

- Jedną dla tego bydlaka na górze. I pięć na resztę.

- Myślę, że czas się pożegnać z Wyspą Baranią.

- Zgoda - odparł Hawke. Podniósł pistolet i zastrzelił potwora strzegącego wyjścia z piwnicy.

Szli po kamieniach w pobliżu łodzi, kiedy zaczęła się pojawiać wataha dzikich psów. Pierwszy wypadł zza ruin niewielkiej kamiennej chaty. Szedł za nimi, trzymając się na dystans. Chwilę później dołączyły do niego biegiem dwa kolejne. Hawke trzymał w prawej dłoni SIG-Sauera z pociskiem w komorze. Jako wytrawny snajper nie obawiał się, że nie trafi w cel. Obawiał się, że celów jest więcej niż kul w pistolecie.

- Alex?

- Wiem. Widziałem je. Skucha. Idź szybciej, ale przyspieszaj stopniowo. Już niedaleko.

- Skucha?

- To slangowe określenie. Harry Brock tak mówi o pechu. Powtarza to cały czas. Wiesz, to taki kalifornijski styl.

- Ach, nasz stary druh pan Brock.

Alex dostrzegał ruchy po obu stronach. Ruchome cienie zbliżały się coraz bardziej, osaczały ich.

- Zwolnij - polecił Congreve'owi. - Jeśli zobaczą, że biegniesz, zaatakują.

- Sam sobie zwolnij. Nie sądzę, byśmy mogli im uciec.

- Nie chcę im uciekać. Chcę tylko wyprzedzić ciebie.

- Alex, jeśli sądziś, że to jest choć trochę śmieszne...

Z mgły wyskoczył pies, prosto na nich. Rzucił się na Ambrose'a, prosto do gardła. Hawke strzelił bez wahania i pies padł ciężko na

ziemię, jęcząc z bólu. Padł dosłownie niecałe pół metra od kaloszy Congreve'a.

- Biegnij do łodzi, szybko - polecił Ambrose'owi. - Już. Ja będę szedł wolniej. Psy rzuca się najpierw na łatwą zdobycz, ale długo tu nie zabawią. Przetnij nożem cumę i zepchnij łódź na wodę. Jeśli rzuci się na ciebie któryś z nich, celuj nożem w gardło. Najpierw dziabnij, a potem rozszarp mu tą stroną, która wygląda jak brzeszczot piłki. Po to właśnie jest. Ale na litość boską, celuj tak, żeby zabić. Krzyknij, kiedy już będziesz bezpieczny na wodzie.

Congreve spojrział na nóż i powiedział:

- Alex, nie najlepiej posługuję się nożem. Nigdy mi to nie szło.

- Jest jeszcze jeden sposób. Kiedy pies rzuci się na ciebie, złap go w powietrzu za przednie łapy, ściśnij mocno i rozszarp mu klatkę piersiową. To działa, kilka razy załatwiłem tak chińskie psy policyjne.

- Wezmę jednak nóż.

- Tak myślałem. Idź już!

Congreve'a nie trzeba było szczególnie zachęcać. Pognał przed siebie z nożem bojowym w rękę i natychmiast zniknął w ścielącej się nisko mgle. Szybko dotarł do kamienistej plaży i zaczął schodzić na nią po śliskich skałach. Łódź leżała tam, gdzie ją zostawili, choć przyływ sprawił, że prawie pływała już w wodzie. Dzięki temu łatwiej będzie ją zepchnąć i czekać na Hawke'a.

Już miał odciąć cumę nożem, który dostał od Hawke'a, kiedy usłyszał z góry niskie warczenie. Obrócił się i zobaczył, że ze skał rzuca się na niego bestia, warcząc jak sam szatan z piekła rodem. Congreve stęzał, instynktownie podniósł nóż w samoobronie i widząc odsłonięte podczas ataku gardło, pchnął nożem skaczące zwierzę. Zamiast cofnąć nóż, zrobił tak, jak poradził mu Hawke, niemal odcinając głowę wściekłej bestii.

Martwy pies padł na ziemię u jego stóp.

Ambrose, ciężko dysząc, wstał i popatrzył na zwłoki. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zrobił, i to samym nożem. Nigdy nie mógł się nadziwić, do czego był zdolny człowiek w ekstremalnych okolicznościach. Czysty instynkt i wola życia sprawiły, że nawet otyły detektyw w średnim wieku, który za dużo palił i pił, stał się groźnym przeciwnikiem dla wściekłego psa.

Hawke modlił się, żeby to, co jeszcze pamiętał na temat zachowań psów, okazało się prawdą. Przebiegł sto metrów, obrócił się i przyklęknął na jedno kolano. Trzymając pistolet oburącz, omiatał nim teren od lewa do prawa. Zastrzyk adrenaliny wyostrzył mu wszystkie zmysły.

Psy zebrały się nad rannym zwierzęciem, warcząc i ujadając wściekle. Zaczęły się wzajemnie odganiać. Każdy walczył o kawałek świeżego mięsa i smak ciepłej krwi. Nie był w stanie ich wszystkich zliczyć. Dziesięć? Piętnaście? Może i więcej.

Mniej więcej po minucie pierwszy pies odwrócił się od poszarpanego towarzysza na ziemi i spojrzął na Hawke'a. Zbliżał się najpierw ostrożnie, a potem puścił się biegiem. Hawke odczekał, aż bestia podbiegnie na dwadzieścia metrów, i dopiero wtedy ją zabił.

Wstał i przebiegł kolejne sto kilka metrów, znów obrócił się i przyklęknął na jedno kolano z pistoletem w obu rękach. Tak jak go szkolono, zamienił się w słuch, wzrok i węch, wypatrując wroga. Czekał. Połowa stada szybko się odłączyła i rzuciła na świeże zwłoki. Nie zważając na człowieka we mgle, psy rzuciły się na łatwą zdobycz.

Hawke podjął natychmiastową decyzję: w pistolecie zostały mu cztery kule. Nie miał już noża, dzięki któremu mógłby przeżyć. Cokolwiek by się nie stało, zabije trzy psy, kiedy tylko się odwrócą i rzucą na niego. Ostatni nabój zachowa w komorze. Na wszelki wypadek. A potem popędzi ile sił w nogach do łodzi, kiedy tylko usłyszy wezwanie Ambrose'a.

Nie musiał długo czekać.

Pożarłszy ostatniego martwego psa, wataha odwróciła się, zaczęła węszyć i rzuciła się w stronę Alexa Hawke'a. Bestie zachowywały się ostrożnie, bo poprzednie doświadczenia nauczyły je czegoś o tej ludzkiej zdobyczy. Rozproszyły się, co bardzo utrudniało mu zadanie. Ścieląca się po ziemi mgła też mu nie pomagała. Włączył latarkę. Błysnęły w niej wszystkie czerwone ślepie.

Te koszmarne czerwone ślepie symbolizujące śmierć sprawiły, że nie czuł się równie żywy od... od Sztokholmu. Od Anastazji Korsakowej. Od kiedy ją stracił. Od kiedy stracił chęć życia. Od kiedy stracił wszystko.

- Chodźcie tu, cholerne dranie - wycodził Hawke przez zaciśnięte zęby. - Podejdźcie bliżej. Mam coś dla was.

Zamglone psy kształty zmieniły się w wyraźne czarne sylwetki z mrugającymi czerwonymi rubinami na głowach, a w końcu w złowieszco warczące zwierzęta, które za wszelką cenę chciały go zabić i zjeść. Namierzył trzy. Jednego pośrodku watahy i dwa po bokach. Wycelował i strzelił: jedna kula, druga, trzecia. Wszystkie trzy zwierzęta padły na ziemię.

Stado się zawahało. Psy dostrzegły, co się stało, i znów rzuciły się do gorączkowego żarcia, które przypominało mu trochę zachowanie rekinów. Brutalny i fascynujący dziki taniec życia i śmierci niemal go zahipnotyzował. Oderwał wzrok od krwawej uczty, kiedy z mgły dobiegł go stłumiony głos Congreve'a:

- Jestem na łodzi! Słyszysz?

Hawke zerwał się na równe nogi i popędził tak szybko jak jeszcze nigdy w życiu. Jeden z cholernych psów postanowił go śledzić dalej, prawie skrobiąc mu pięty. W końcu obrócił się i zastrzelił bestię, pozbywając się ostatniej kuli już na plaży. Rzucił się do wody i wskoczył przez burtę do małej łodzi. Padając na pokład, uderzył się mocno w ramię.

Zerwał się na równe nogi, wycierając z oczu szczypiącą słońską wodę, i uśmiechnął się do Ambrose'a.

- Ahoj, kapitanie. Chorąży Hawke melduje się na służbie.

- Bogu dzięki. Odpalaj motor i zabierz nas z tego przeklętego miejsca.

- Jakies problemy po drodze, posterunkowy? - zainteresował się Hawke, uruchamiając silnik.

- Nie, żadnych, dziękuję za troskę.

- A te zwłoki psa na plaży?

- Ach, to? To żaden problem. Poderżnąłem mu gardło od ucha do ucha.

- W takim razie odpływamy, zgadza się?

- W rzeczy samej. Marzy mi się przed snem spora whiskey w Księciu i Żebraku. Przyłączysz się?

- Z największą przyjemnością.

- A więc jesteśmy umówieni.

- W takim razie w drogę, posterunkowy - rzekł Hawke i przesunął przepustnicę do końca. Zaczęli oddalać się od Wyspy Baraniej, a

Alex był rad, że jego towarzysz odpływa z niej w jednym kawałku.

Wyspa Barania to mimo wszystko łatwizna.

Coś mu mówiło, że Gospoda pod Szczekającym Psem będzie zupełnie innym zadaniem.

Congreve podniósł kołnierz, by osłonić się przed zimnym, wilgotnym wiatrem, i powiedział:

- Alex, czy wspominałem ci o moim starym znajomym? Facet nazywa się Bull-Dog Drummond.

- Nie. Choć oczywiście słyszałem to nazwisko. Tak nazywał się bohater kilku powieści kryminalnych, które czytałem w dzieciństwie. Napisał je ktoś, kto używał pseudonimu „Saper”.

- Zapewniam cię, że ta postać jest jak najbardziej prawdziwa. I myślę, że bardzo by nam pomógł w kolejnej misji. Wspólnie pracowaliśmy nad sprawą zabójstwa Mountbattena. Teraz jest na emeryturze.

- Świetnie. Gdzie go znaleźć?

- Mieszka na rzece Shannon.

28.

Windsor, Anglia, listopad 1992

Kolejka zaczęła się w końcu przesuwac. Smith naciągnął sfatygowany kapelusz typu fedora na uszy i podsunął wyżej na nosie grube tanie okulary. Zastanawiał się, czy nie przykleić sobie jeszcze brody, ale uznał, że obfity wąs wystarczy. Spojrzał na długi, workowaty płaszcz, pilnując, by nie wystawały spod niego za bardzo nogawki spodni.

To by było bardzo niepożądane, uśmiechnął się w duchu.

Przesuwając się powoli, znudzony, wyjął z kieszeni wytartą broszurkę i czytał ją po raz setny. Cieszył się na tę wyprawę z wielu powodów.

Potężny kompleks był stale użytkowany, od kiedy Wilhelm Zdobywca wybrał to miejsce na budowę fortecy po podbiciu Anglii w

1066 roku. Smith często czytał, jak bardzo królowa uwielbiała tę rezydencję. Jak często spędzała tu weekendy. Organizowała tu imprezy państwowe i prywatne, jeździła konno po rozległych parkach i polach.

W istocie, było gdzie rozprostować tutaj kości, zachichotał pod nosem, przypominając sobie, że dane statystyczne mówiły, iż ta mieszanka budynków z różnych stuleci zajmuje aż czterdzieści sześć i pół tysiąca metrów kwadratowych.

- Ach, ta rodzina królewska, mieszkają rzeczywiście jak królowie - powiedział przez ramię do irytującej, hałaśliwej Amerykanki za plecami. Wiedział, że to błąd, ale nudziło mu się i żał mu było jej męża. Non stop trajkotała do milczącego i cierpiącego ewidentnie od dawna małżonka, od kiedy tylko stanęli w kolejce. Głośno pouczała biedaka o każdym szczególe, jaki miał zobaczyć, kiedy już wejdą w te święte mury.

- Prawda? - odrzekła hałaśliwa kobieta, obracając się do niego. Tygryś poczuła właśnie świeże mięso.

- Hm - mruknął, marząc o tym, by wbić jej nóż w rozpaplany język.

- Ale chyba na to zasługują. W końcu to naprawdę królowie i królowe - powiedziała.

- W rzeczy samej, proszę pani. Jakoś mi to nie przyszło do głowy.

Jak na swój głos, była zadziwiająco niska, z zakrzywionym nosem, podobna do ptaka. Wyglądała jak ktoś, kto nie marzy o niczym innym tylko o tym, by usiąść mu na ramieniu i zacząć skrzeczeć do ucha. Gdyby nie miał ważniejszych rzeczy na głowie, mógłby zadać sobie trud i śledzić tego małego wygadanego potwora. Poszedłby za nią do jej pieczary i wyfiletował jej ptasi korpus.

- A pan to skąd jest? - zapytała, uważając go za egzotyczną postać.

- Ach, cóż za docieklive pytanie. Jestem londyńczykiem, proszę pani.

- Z Londynu? Naprawdę? - mówiła, jakby to było jakieś odległe miejsce, a nie miasto o pół godziny drogi pociągiem stąd. - Właśnie stamtąd przyjechaliśmy.

- Fascynujące.

- A co pan robi?
- Podpalam.
- Interesujące. A na co najbardziej pan dziś liczy, jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko takiemu babskiemu wścibstwu? - zaszczębiotała. Ku jego zdziwieniu mrugnęła do niego!

- No cóż, oczywiście na prywatne apartamenty królewskie. Wie pani, wyposażenie, bezcenne antyki i tak dalej. A pani?

- Oczywiście na domek dla lalek królowej Marii! Sama zbieram lalki i miniaturki i nigdy jeszcze nie byłam taka podniecona. A przy okazji, nazywamy się Harvey. Herman i Marva Harvey. Mieszkamy w Celebration. Nie słyszał pan? A Disney World? Też nie? Nie jeździł pan zbyt dużo po świecie, co? To w pobliżu Orlando na Florydzie. A pan jest...?

- Następny w kolejce, proszę pani.

- Och. - Wyglądała na zdruzgotaną.

- No cóż, miło było państwa poznać - powiedział i wsunął opłacony z góry bilet do jednego z okienek, za którym siedziały same różowolice angielskie róże w wykrochmalonych białych kołnierzykach. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

- Kiedy pan wejdzie do środka, proszę przejść w prawo, pańska grupa właśnie zaczyna wycieczkę, sir. Jest pan ostatni, więc nie zatrzymuję pana.

Oznaczało to, że będzie szedł na samym końcu grupy, tak jak planował, odliczając kolejne dwudziestoosobowe grupki, nim stanął w kolejce.

- Przepraszam panią. A prywatna kaplica królowej? - zapytał, uśmiechając się do ślicznej dziewczyny olśniewająco białymi zębami.
- Jest dzisiaj otwarta?

- Bardzo mi przykro, sir. Zamknięta. Trwają prace konserwacyjne.

- Jaka szkoda. Może następnym razem.

Wszedł do środka i dołączył do grupy.

- To co, zaczynamy? - zapytał chudy jak szczapa przewodnik pasującym do jego wyglądu cienkim głosem. - Pierwszy przystanek, apartamenty służbowe. Jeśli nie będą się państwo rozpraszać, nasza wycieczka będzie miała przyjemniejszy przebieg, bo nie będę musiał

przerywać w pół zdania i szukać zagubionych owieczek, dobrze? Jeśli mają państwo jakiegokolwiek pytania, proszę się nie krępować. Mam na imię Colin.

Przez chwilę uczestnicy grupy wymieniali między sobą pochlebne uwagi na temat przewodnika, po czym ruszyli jak posłuszne stado owiec, którym mieli być.

Smith nie zwracał uwagi na pouczenia nieopierzonego przewodnika, po prostu snuł się na końcu, czasami odłączając się od grupy, by przyjrzeć się obrazowi van Dycka czy Rubensa, których zawsze podziwiał. Potem szybko dołączał do grupy, by przewodnik miał pewność, że ma do czynienia z posłusznym żołnierzem, który stara się trzymać szwadronu. Wkrótce będzie musiał poprosić tego kolesia o przysługę.

Kwadrans później mieli skrócić w prawo i wejść do apartamentów prywatnych z widokiem na wschodni taras. Od tej chwili zaczął się przesuwać w stronę czoła grupy. Zrównał się z chudym przewodnikiem i szepnął:

- Colin, wiesz, jest taka sprawa. Widziałem tam po lewej toaletę i obawiam się, że będę musiał z niej pilnie skorzystać.

Rozległy się niechętnie pomruki, a w końcu przewodnik, wyraźnie niezadowolony z tej awarii, spojrzał na niego z góry i rzekł:

- Nie możemy tu czekać. Będziesz musiał nas dogonić.

- Dosłownie minutka. Dziękuję bardzo - powiedział, precyzyjnie się przez grupę i ruszył w stronę męskiej toalety, którą minęli kilka minut wcześniej.

Wszedł do środka i szybko wskoczył do jednej z czterech kabin. Zrzucił płaszcz, zwinął go ciasno jak parasol i wcisnął w jedną z obszernych kieszeni spodni malarskich. Pod obszernym płaszczem miał bowiem na sobie pochłapany farbą roboczy kombinezon. W środku, pod pachami, zawiesił sobie dwa pojemniki z aerozolem. Podłączył do nich plastikowe rurki, które owinął sobie wokół żeber. Były niewidoczne.

Powiesił fedorę na haczyku, spuścił wodę i wyszedł z kabiny.

Tak jak się spodziewał, w wyłożonej zielonymi kafelkami toalecie było pusto. Uczestniczył w tych wycieczkach na tyle często, że wiedział, jak przewodnicy nie znoszą, gdy ktoś próbuje skorzystać z tej łazienki, wstrzymując całą grupę. Wrócił na korytarz. Musiał przejść

zaledwie metr czy dwa do drzwi wychodzących na zewnątrz na górny dziedziniec, albo czworobok, jak go popularnie zwano.

Idąc szybko przez wypielegnowany trawnik, dotarł do kolejnych drzwi, które prowadziły do prywatnej kaplicy królowej. Dotarł tam w chwili, kiedy obok przechodziła akurat jego grupa. Oczywiście nikt nie zwrócił na niego uwagi, a zwłaszcza przewodnik, który na pewno nie zapamiętał jednego z wielu malarzy restaurujących właśnie kaplicę.

Spojrzał na zegarek. Jedenasta dwadzieścia. Mnóstwo czasu do powrotu malarzy z przerwy na herbatę o jedenastej. Przeszedł nad liną z czerwonego aksamitu i pchnął rzeźbione dębowe drzwi z tabliczką „Zakaz wstępu! Remont”. W środku szybko się rozejrzał.

Prywatna kaplica była niewielkim pomieszczeniem. Jego zdaniem najpiękniejszym, ze zdobionym drewnianym sufitem z błękitnymi romańskimi łukami o połączonych krawędziach. Osiem krzesel obitych czerwonym jedwabiem, zwykle stojących przed ołtarzem, ustawiono w kącie i przykryto grubym płótnem. Podłogę też zabezpieczono płótnem, na którym stały tu i ówdzie puszki z farbą, rozpuszczalniki, rozmaitej wysokości drabiny i wysokie reflektory na trójnogach z silnymi tysiaccwatomowymi halogenami.

Spojrzał na jeden z reflektorów. Nie wyłączył go. Zdążył się niezle rozgrzać. Doskonale. Stał na mocnym trójnogu, niebezpiecznie blisko uroczej zasłony z niebieskiej satyny, która zwisała z sufitu. Blisko, pomyślał, uśmiechając się, ale jeszcze nie dość blisko.

Szybko przesunął wysoką drabinę obok reflektora i wspiął się na samą górę. Wtedy sięgnął pod kombinezon po elastyczną rurkę podłączoną do zbiornika z aerozolem pod pachą.

Nacisnął przycisk uruchamiający dyszę i z rurki trysnął mocny strumień łatwopalnego środka, spryskując zasłonę. Przesuwał końcówką rurki w górę i w dół, nasączając materiał. Kiedy pierwsza pushka się opróżniła, sięgnął po drugą i nasaczył także drugą zasłonę odległą o zaledwie metr. W końcu zszedł na podłogę i podziwiał swoje dzieło. Zasłony nadawały się idealnie. Chwycił wysoki reflektor i przesunął go tak, że gorąca żarówka znajdowała się zaledwie o kilka centymetrów od pierwszej kurtyny.

Wystarczyła sekunda.

Piękne draperie z niebieskiego jedwabiu dosłownie eksplodowały gwałtownymi płomieniami, które natychmiast zaczęły lizać piękny sufit. Potem zapaliła się druga zasłona, a ogień zaczął gwałtownie pochłaniać kolejną część sufitu.

Włączyły się syreny alarmowe.

Kiedy wymknął się z kaplicy i szedł z powrotem przez trawiasty czworobok do toalety, we wszystkich apartamentach rozległy się ogłuszające komunikaty ostrzegawcze. W kabinie znów włożył długi płaszcz i fedorę. W końcu wyszedł na korytarz, na którym zapanował hałas. Krzyki zagłuszały syreny alarmowe. Z pobliskiego miasteczka Windsor krętymi uliczkami już pędziły wozy pożarowe. Szybko wyszedł znów na czworobok, spokojnym krokiem oddalając się od tego zamieszania.

Przez całe miesiące przygotowywał się na ten dzień. Początkowo sama myśl o czymś takim wydawała się niewiarygodna. Nikt nie mógł zrobić tego, co mu chodziło po głowie. Bariery były nie do pokonania, a szanse na sukces właściwie zerowe. Nikomu nie wystarczyło sprytu ani odwagi, by to zrobić.

A jednak... Smith znowu tego dokonał, zadał kolejny cios swemu nemezis. Nie był to, rzecz jasna, cios śmiertelny, ale i tak psychologicznie bolesny dla monarchii. Zamierzał działać dalej, póki nie zada ostatniego, śmiertelnego pchnięcia. W międzyczasie będzie jednak smakował te drobne triumfy, ciesząc się każdym z nich.

Oddalając się z zamku szybko, ale tak, by nie zwracać na siebie uwagi, zobaczył, że ogień wymknął się całkowicie spod kontroli. Strażacy lali wodę wszędzie, gdzie się dało. Można było odnieść wrażenie, że Smith zdołał spalić sporą część jednego z najpotężniejszych i najtrwalszych symboli brytyjskiego imperializmu.

Tak. Praktycznie spalił ulubiony zamek królowej. Biedna starszuszka będzie załamana, wyobrażał sobie. Jeszcze tego nie wiedział, ale jego sukces tego dnia był naprawdę ogromny: z dymem poszło ponad sto komnat. Ponad dwustu pięćdziesięciu strażaków przez ponad piętnaście godzin walczyło z ogniem, zużywając do tego celu ponad pięć i pół miliona litrów wody. Renowacja po pożarze trwała pięć długich lat i pochłonęła aż trzydzieści siedem milionów funtów ze skarbcza królowej.

Nieźle jak na jeden dzień, pomyślał Smith, schodząc po ruchomych schodach do metra. Całkiem nieźle. Stojąc na brudnym peronie w oczekiwaniu na pociąg, aż drżał z rozkoszy.

Kolejny dzień zemsty, który choć na chwilę uśmierzy ból w sercu pełnym gniewu, w umęczonej duszy i rozgorączkowanej głowie.

29.

Glin, hrabstwo Limerick, Irlandia

Jack Bullington Drummond był znany w całej Anglii, Szkocji i Walii jako autor jednej z najbardziej ukochanych książek w historii branży wydawniczej. Nosiła tytuł *Pielęgnacja i nawożenie tradycyjnego angielskiego ogrodu różanego*. Jack Drummond przez większość życia pisał to kwieciste arcydzieło, choć nie był z zawodu ani pisarzem, ani ogrodnikiem. Do niedawna był policjantem.

Drummond odszedł na emeryturę po długiej, zaszczytnej karierze w policyjnej służbie i zamieszkał na uroczym brzegu słynnej rzeki. Można by rzec, że odszedł w wielkim stylu. Mieszkał w zamku jak z bajki, jednym z najbardziej urodziwych w całej Irlandii. Zamek Glin z olśniewająco białą fasadą miał urok zabawkowej fortecy. Wybudowano go pod koniec XVIII wieku. Roztaczał się z niego widok na szeroką i spokojną rzekę Shannon, na której aż roiło się od łysek i dzikich kaczek.

Tak naprawdę Drummond mieszkał obok zamku, w willi ogrodnika, która sąsiadowała ze stajniami. Mimo wszystko był to jednak uroczy domek z kamienia porośnięty aż po dach różanymi krzewami. Była to jedna z trzech budowli z blankami rozstawionych na ponad dwóch kilometrach kwadratowych zalesionych okolic zamku, których rodzina FitzGeraldów zazdrośnie broniła przez ponad siedemset lat.

Jack codziennie rano budził się z myślą, jak bardzo kocha życie. Złote lata, o których tyle się nasłuchał, w końcu nabrały dla niego realnego znaczenia.

Przed emeryturą mieszkał na naznaczonej zamieszkami północy Irlandii, w małym komunalnym mieszkaniu w miejscowości Sligo. Przez blisko cztery dekady był szefem miejskiego posterunku policji w Sligo i pomagał rozwiązywać wiele zagadek kryminalnych, w tym jedno z najbardziej koszmarnych zabójstw w Irlandii - zamach na lorda Louisa Mountbattena.

Drummond, pełniący rolę stróża prawa w dzień, a potem nocami cyzelując swoje arcydzieło, teraz odsunął się w cień. Został głównym ogrodnikiem rycerza Glin. Uważał, że ten tytuł brzmi całkiem niezłe.

Rycerz, najbardziej uroczy człowiek pod słońcem, powszechnie znany jako Desmond FitzGerald, zatrudnił Drummonda z rekomendacji własnej żony, która sama pasjonowała się ogrodnictwem. Jak wszyscy, przeczytała *Pielęgnację i nawożenie...* i natychmiast dołączyła do niezliczonych legionów ogrodników uważających Jacka Drummonda za geniusza. Pewnego dnia zaprosiła go na herbatę oraz podpisywanie książki w zamku Glin i z miejsca zaproponowała mu pracę.

Drummond był zachwycony pracą dla jednej z najstarszych i najbardziej szanowanych rodzin w Irlandii. Obecny rycerz był już dwudziestym dziewiątym posiadaczem tego szaczonego tytułu, co Drummond uznawał za niezwykle osiągnięcie.

Rycerze Glin wywodzili się z wielkiej normańskiej rodziny FitzGeraldów, hrabiów Desmond. W XIV wieku panowie z Desmond przyznali rodzinie ogromne połacie ziemi w hrabstwie Limerick. Cała rodzina wywodziła się od Normana Maurices FitzGeralda, towarzysza broni legendarnego „Łuczniczki”, słynnego wojownika z XII wieku, który zyskał swój przydomek dzięki biegłości w posługiwaniu się łukiem.

Tego ranka Drummond zajęty był wrywaniem odmiany Floribunda i chirurgicznym przycinaniem Podwójnej Rozkoszy, na jednym z licznych stanowisk róż herbacianych w ogrodach rycerza. Nagle usłyszał wołający go znajomy głos:

- Bull-Dog! Bull-Dog, gdzie jesteś, do diaska? Przez te cholerne róże nic tu nie widać!

Oczywiście spodziewał się Ambrose'a Congreve'a i kogoś o nazwisku Hawke, bo Congreve zapowiedział się z wizytą. Nigdy nie wpadał bez zapowiedzi, był na to zbyt dobrze wychowany. I tylko

jemu jednemu na świecie Drummond pozwalał mówić do siebie „Bull-Dog”.

Kryła się za tym pewna historia. Jak zawsze zresztą. Pewnego późnego i suto zakrapianego wieczoru w pubie Congreve wstał, wyjął czarny kołnотatnik z wewnętrznej kieszeni stylowej marynarki z Norfolk, otworzył go z namaszczeniem i odchrząknął. Następnie zaczął czytać na głos „hołd” dla swego nowego kolegi, z którym prowadził śledztwo w sprawie morderstwa Mountbattena.

- Ehm... „Drummond... ma wygląd angielskiego dżentelmena: mężczyzny, który twardo walczy, twardo gra i żyje w czystości... Najlepsi przyjaciele nie nazwaliby go przystojniakiem, ale ma ten uroczy typ brzydoty, która natychmiast budzi ufność... Tylko oczy ratują tę twarz. Głęboko osadzone, nieruchome, z rzęsami, których zazdrości mu wiele kobiet. Widać po nich, że jest sportowcem i amatorem przygód. Drummond przekracza granice prawa tylko wtedy, kiedy czuje, że cel uświęca środki”.

- Bzdury - odparł Drummond.

- Nie przypomina ci to kogoś? - zapytał Congreve, kiedy Drummond patrzył na niego w grobowej ciszy.

- Gdzie, u licha, znalazłeś te bzdury?

- Przepisałem je. Z książki. Książki Sopera. Czytam ją raz jeszcze, bo nie mam pod ręką żadnej z moich ulubionych powieści o Sherlocku.

- Literacki śmieć.

- Literacka prawda, Bull-Dog - odparł Congreve.

I od tamtego czasu inaczej go już nie nazywał.

Drummond rozmyślał o tym, przycinając róże. Ze wspomnień wyrwało go ponowne głośne wołanie:

- Bull-Dog! No gdzie się, do diabła, ukrywasz, krasnalu jeden? Nie widzę cię przez te cholerne róże.

- Tutaj!

- Gdzie?

- Tutaj, stara pierdoło - powiedział i podniósł do góry pusty kosz, żeby najbardziej błyskotliwy detektyw świata mógł wydedukować, gdzie się znajduje.

- Ach, tam. To czemu nie mówisz od razu?

Chwilę później Drummond usłyszał ciężkie kroki przyjaciela na zwirowej alejce. Nie był sam. Podążał za nim ktoś o wiele bardziej wysportowany.

- Witaj, Bull-Dog.

- Witaj, Congreve. A to kto?

- Pozwól, że ci przedstawię mojego drogiego przyjaciela lorda Alexandra Hawke'a.

Hawke uściśnął szorstką, czerwoną dłoń ogrodnika.

- Wystarczy Alex, panie Drummond. - Ale Drummond go nie słuchał. Mierzył Congreve'a zmrożonymi oczami. Ambrose wyjaśnił Hawke'owi, że Drummond to trudny człowiek, więc im mniej będzie mówił, tym lepiej. Alex przystał na to z radością, zrzucając ciężar konwersacji w całości na Congreve'a.

Patrzyli na siebie w grobowej ciszy.

- Nie zmieniłeś się za bardzo - uznał w końcu Ambrose.

- Ani ty.

- Brzydki jak zawsze.

- A ty wciąż tłusty jak wieprz z Yorkshire.

- Napijemy się?

- Nie za wcześnie?

- Nigdy nie jest za wcześnie.

Wszyscy trzej ruszyli wijącymi się ogrodowymi ścieżkami przez niekończące się ogrody wielokolorowych róż w stronę willi Drummonda. W kuchni usiedli po przeciwnych stronach drewnianego stołu. Drummond postawił na nim karafkę z irlandzką whiskey. Ostre słońce błyszczało na nacięciach rżniętego kryształu z Waterford. Karafkę dostał w prezencie emerytalnym.

- Częstujcie się, panowie - powiedział Drummond i podsunął im dwie niewielkie szklanki. Kiedy wychylili po jednej i uzupełnili trunek, Congreve zrobił bardzo poważną minę i spojrzął na starego kolegę.

- Chodzi o sprawę policyjną.

- Jestem na emeryturze. Teraz robię w różach.

- Chodzi o sprawę Mountbattena.

- Sprawa jest zamknięta.

- Znowu ją otwarto.

- Co ty, do cholery, pleciesz?

- Myślę, że wypłynął nasz „trzeci człowiek”.

- A skąd to przypuszczenie?
- Książę Walii znalazł list z pogróżkami w jednej z książek Mountbattena. Podpisał się na nim jakiś „Pionek”.
- No i?
- Książę Karol niedawno otrzymał kolejne groźby od „Pionka”. „Śmierć królom”. Wyraźne odniesienie do jego książęcej wysokości i jego dwóch synów.
- Ten sam podpis? Tą samą ręką?
- Identyczny.
- Świeży?
- Jak jajko prosto od kury.
- Coś jeszcze?
- Rozmawialiśmy z Alexem z McMahonem. Wyszedł z więzienia, ale pewnie o tym wiesz. Wypuścił go jakiś wariat w ramach amnestii wielkopiątkowej. Ucieliśmy sobie z nim miłą pogawędkę dwa dni temu w Mullaghmore.
- Powiedział coś nowego?
- Pytałem go o te zaginione dziewczęta. Czy coś wie na ten temat.
- I wiedział?
- Sądzę, że więcej niż nam powiedział.
- Zna nazwisko tego trzeciego człowieka?
- Takie samo, jakie mieliśmy. Smith.
- I co w tym wszystkim nowego, na Boga?
- Cierpliwości, dobrze? Powiedział, że słyszał pogłoski, jakoby Smith mieszkał na wyspie niedaleko wybrzeża. Nazywa się Wyspą Baranią. Popłynęliśmy tam z Alexem. Pośród ruin starożytnej osady znaleźliśmy dowód bytności tego tajemniczego Smitha. I na Boga, znaleźliśmy też dowód morderstwa. Oraz ludzkie szczątki.
- Jezusie Nazarejski.
- Bull-Dog, znaleźliśmy świeże ślady DNA. Wracamy do gry. W końcu dokopujemy się do prawdy w tej zagadce sprzed trzydziestu lat!
- My? Czego chcesz ode mnie?
- Pomocy. Mimo wielu swoich wad, wciąż jesteś najlepszym gliniarzem, z jakim miałem okazję pracować. To ty jako pierwszy zacytowałeś mi Sherlocka Holmesa i za samo to będę ci dozgonnie wdzięczny.

- Naprawdę? A co to był za cytat?
- „Kiedy wyeliminuje się rzeczy niemożliwe, to co pozostaje, musi być prawdą, jakkolwiek nieprawdopodobne by się wydawało”.
- Aha, *Znak Czterech*. Jedna z moich ulubionych powieści. Czego konkretnie ode mnie chcesz? Jak widzisz, jestem dość zajęty.
- Przede wszystkim, żebyś zajrzał do naszych starych akt. Zdobądź nazwiska i adresy wszystkich dziewczyn, które zaginęły. Poproś kryminologów, żeby sprawdzili ich próbki DNA z nową próbką, którą znaleźliśmy. Jeśli uda nam się dopasować którąś z nich, otworzą się nowe możliwości. Z tymi nowymi dowodami w ręku powinno nam się udać coś odkryć. Bull-Dog, z twoją pomocą może nam się uda to rozwiązać. Oczywiście jeśli zechcesz nam pomóc. W końcu masz te swoje piękne róże.

Drummond wyjrzał za okno, gdzie słońce oświetlało jego piękne róże. Czy było na ziemi piękniejsze miejsce niż ten zamek i jego ogrody? Czy mógłby się od niego oddalić, choćby na chwilę? Spojrzał na Congreve'a i przypomniał sobie, jaki świetny zespół kiedyś stworzyli, jak obaj komplementowali nawzajem swoje mocne i słabe strony. Jedyną plamką na idealnej, ponad czterdziestoletniej karierze Drummonda było to, że nie udało mu się odnaleźć i skazać „trzeciego człowieka”.

Popatrzył na Ambrose'a i się odezwał:

- Znajdziemy tego cholernego Smitha. Rozwiązemy obie sprawy. Do końca. I na zawsze.

- Otóż to.

Drummond spojrzał na Alexa.

- Panie Hawke, poznał pan McMahona. Uwierzył pan mu? Bo ja nigdy. Moim zdaniem to zakłamany pijaczyna.

Hawke ocknął się z zamyślenia i odparł:

- Panie Drummond, McMahon nie jest nam już potrzebny. Mamy fizyczny dowód morderstwa. Wręcz seryjnych zabójstw.

- Hm. Mam tydzień wakacji. Ale powiedziałem już właścicielce, że nie będę z niego korzystał.

- Potrzebna nam jakaś dobra przykrywka. Słuchaj, a czy twoja szanowna matka jeszcze żyje? - zapytał Congreve.

- No niestety już nie. Zmarła w Dublinie w zeszłym roku, Panie świeć nad jej świętą duszą. Dożyła dziewięćdziesięciu siedmiu lat. Teraz spoczywa na cmentarzu świętego Stefana.

- W takim razie musi wrócić, Bull-Dog.
- Wrócić?
- Tak, wrócić. Ale, przykro mi to stwierdzić, nie czuje się najlepiej, niestety. Gaśnie w oczach. Może nas opuścić lada chwila.
- Mówisz o mojej ukochanej matce.
- A i owszem.
- Zimny z ciebie drań, co?
- W takich sprawach niestety tak.
- W sprawach życia i śmierci.
- Właśnie.
- Niedokończonych.
- Tak jest.
- Niech cię diabli, wchodzę w to - warknął Bull-Dog.

30.

Miami

I mówisz, że robiła laskę temu grubemu, który siedział w twoim ulubionym fotelu i czekał, aż wejdiesz do mieszkania? - dopytywał Harry Brock Stokely'ego.

- Tak jest.
- Ale ty się przedarłeś przez zamknięte szklane drzwi, spuszcza-
jąc się na linie z dachu?
- Otóż to.
- I to była ta sama blondyna, która rozwaliła tych dwóch, których
śledziliśmy na plaży?
- Tak.
- Ale uciekła. To znaczy uciekła z twojego mieszkania.
- Owszem.
- A ten gruby próbował cię rozwalić z mac-10?
- Próbował.
- I twoja skórzana sofa nadaje się na śmietnik.
- Nawet mi nie przypominaj.
- Może się uda jakoś pocerować? Jakieś łaty naszyć.

- Harry, odbiło ci? Łaty? Na oryginalnej korynckiej skórce?
- No to do dupy. Ciekawe, czy za coś takiego możesz dostać odszkodowanie.

- Bardzo dobre pytanie, Harry.

- Jesteś na mnie wkurzony? Wskoczyłem na Bahamy tylko na dwa dni. Należało mi się. Jezu, poznałem kogoś.

- Nie, nie jestem wkurzony. Próbuję się skupić na tym cholernym meczu Delfinów. Trzeci gol. Może uda się coś wygrać. Rozumiesz? Opowiadałem ci już przecież to wszystko.

- To tylko mecz towarzyski.

- I tylko w takich wygrywamy.

- Wiedzą już, kim jest ten grubas?

- Bashi? Tak. Bashir al Mahmoud. Pakistańczyk. Wcześniej wczasował się w Gitmo*, teraz jest pełnoprawnym obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki dzięki nowej i ulepszonej polityce imigracyjnej Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

* Gitmo - popularne określenie więzienia w bazie Guantanamo.

- Bashi. Cholera. To jego mieliśmy dopaść.

- Zgadza się.

- A więc nie musimy już wysiadywać całe dni w palącym słońcu i go wypatrywać, bo przylazł do ciebie do mieszkania. I usiadł w twoim ulubionym fotelu.

- Na to wygląda. Cholera! Przejęcie.

- I co teraz?

- Wypuszczenie piłki.

- Co teraz ze sprawą, baranie.

- A ty o tym. Wynajmiemy pokój w Fontainebleau.

- Kto wynajmie?

- Ty i ja.

- Razem?

- Oczywiście. Jesteśmy partnerami, partnerze.

- Słuchaj, Stoke. Jeśli zamierzasz zrobić coming out, to kurwa, nie ze mną, ogierze. Nie jestem zainteresowany.

- To dobre. Zaczekaj. Cholera jasna, znów przejęcie! Widziałeś to? Jasna cholera! Jeszcze jest szansa. Zęby w trawę, Delfiny. Sprężcie się i zagrajcie w końcu jak faceci.

- Więc mówisz Fontainebleau.

Nie odrywając wzroku od telewizora Stoke odezwał się:

- Bashi wynajął tam na dłużej apartament prezydencki. Przeszukaliśmy go dokładnie. W komputerach pełno obciążających dowodów. Białe niewolnictwo, pornografia, niewykluczona działalność terrorystyczna, pranie na masową skalę gotówki z Pakistanu i Afganistanu.

- Gotówki za co?

- Za usługi wykonane na terenie Stanów Zjednoczonych.

- Jakie usługi?

- To właśnie musimy ustalić, Harry.

- Nie sądzę, żeby to była praca w zakładach rehabilitacyjnych prowadzonych przez fundację Jimmy'ego Cartera.

- Pewnie nie. A teraz się zamknij. Długie podanie. I... kolejne przejęcie. Co za drużyna, jak pragnę zdrowia. - Stoke wycelował pilota w telewizor i wyciszył mecz.

- Nieźle się spisałeś, Stoke. Muszę to przyznać. Podałeś tego grubasa na srebrnej tacy. Pewnie w Langley na wyścigi chcą cię całować w dupę.

- Twoja biała dupa też nie wygląda teraz najgorzej. Przecież to ty mnie zatrudniłeś.

- A co z tą blond cizią?

- Wcześniej czy później musi wrócić do apartamentu Bashiego.

- Niby dlaczego?

- Bo tam jest sejf. Za sztuczną ścianą w garderobie, która skrywa kolejną sztuczną ścianę. Jest w nim dwadzieścia baniek i jakies drobne w nieoznaczonych banknotach o niewielkich nominałach.

- Dwadzieścia milionów pierdolonych dolarów?

- Coś koło tego.

- I wy to tak zostawiliście?

- Tak.

- Dlaczego?

- A jak ci się wydaje?

- Bo cizia wie o tej forsie w sejfie i liczy, a nawet wierzy, że uda jej się ją znaleźć. Więc na pewno nie może wytrzymać i musi wrócić do apartamentu, żeby włamać się do sejfu, choćby nie wiem jak niewiarygodnie głupi i niebezpieczny to był pomysł.

- To byłby niewiarygodnie głupi ruch z jej strony.

- Ale i tak to zrobi.

- Zrobi to.
- Hotel wie o wszystkim? Dadzą nam znać, kiedy będzie się próbowała zameldować?
- Nie. Musielibyśmy mieć cały czas kogoś w recepcji. Lepiej niech to będą naturszczycy, na wypadek gdyby pojawił się ktoś, kto będzie chciał zapłacić dziesięć kawałków za pokój.
- Dawałeś kiedyś komuś w hotelu pięćdziesiątkę i prosiłeś o lepszy pokój? Wiesz, że biorą?
- Słuszna uwaga, Harry. Wtajemniczymy kierownika hotelu. Pokażemy mu legitymacje CIA.
- Właśnie. Czterdzieści osiem godzin. I przyjdzie. Mówię ci.
- Harry, niezły jesteś. Staraj się, to kiedyś zostaniesz zawodowcem. Cholera jasna, Pennington, nie rzucaj tej piłki, biegnij! W lewo, w lewo, przecież tam nikogo nie ma!
- Stoke?
- Co?
- Ta nasza robota, o ile dobrze rozumiem, nie polega na wysiadaniu w gównianym suburbanie ani w przerdzewiałym fordzie taurusie z twardymi siedzeniami?
- Nie. Bynajmniej.
- To królewski apartament w hotelu Fontainebleau w Miami Beach.
- Tak, Harry. Nasz pokój mieści się dokładnie naprzeciwko apartamentu Bashiego. Na tym piętrze są tylko dwa pokoje. Zarząd hotelu zamontuje monitoring przy drzwiach wejściowych do apartamentu Bashiego. Będziemy w stanie monitorować go przez całą dobę. I polecimy kierownikowi, żeby z recepcji zadzwonili do nas, kiedy tylko ktoś będzie chciał się zameldować albo wejść.
- To może być niezła zabawa, Stoke. Obserwacja w penthousie w Fontainebleau? Podoba mi się.
- Tak sobie pomyślałem. Trochę lepiej niż zimna kawa i suche Krispy Kremes w gównianym SUV-ie.
- Byłeś już w naszym pokoju?
- Tak.
- Ma widok na ocean?
- Na basen.
- Może być. Musimy dostać mocne służbowe lornetki. Będziemy wiedzieli, co słychać w modzie kąpielowej.

- Mowa.
- No i room service. I pornosy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.
- Aha.
- Podoba mi się.
- Wiedziałem, że ci się spodoba, Harry.
- Kiedy się wprowadzamy, Stoke? Nie mogę się doczekać. Możemy zamówić karafkę wytrawnego martini i pizzę z pepperoni, pieczarkami, cebulą i dodatkowym serem. A potem, jeśli chcesz, zwiniemy się pod kołdrą i obejrzymy wspólnie *Tajemnicę Brokeback Mountain*.

Panie i panowie, oto cały Harry Brock, pomyślał sobie Stoke. Co za typ.

Czterdzieści osiem godzin później Stoke i Harry mieli już dość: jedzenia z room service, popcornu, słodyczy i whiskey z minibaru, lekkich pornosów z płatnego hotelowego kanału, długonogich lasek przy basenie, kanału meteo, nie mówiąc już o CNN, a także dość siebie nawzajem.

Dochodziła północ i w końcu Stoke postanowił się zdrzemnąć. Stoke porozdzielał warty - cztery sześciogodzinne dyżury przed monitorem pokazującym obraz z kamery przed drzwiami. Sześć słodkich godzin w wyrku, podczas gdy drugi z nich podpierał oczy zapalkami, byle nie usnąć, oglądając przez bite sześć godzin główniany czarno-biały film o drzwiach.

Harry Brock stał w drzwiach w koszulce i bokserkach. Popijał ciepłą kawę i pożerał obrzydliwie wyglądający kawałek zimnej pizzy.

- Dzień dobry - odezwał się zaspanym głosem. Też nie był najszczęśliwszy z powodu dyżuru.

- Tak. Bonzo idzie spać, Harry - ziewnął Stoke i wstał z fotela, który ustawili przed monitorem. Przeciągnął się. Starzejesz się, Stoke, pomyślał. Łupie cię w krzyżu i w ogóle. Zaczął rozumieć, dlaczego mówiło się, że starość jest dla twardzieli. Czas pochodzić ze trzy, cztery razy w tygodniu na siłownię, trochę pobiegać, ustabilizować rytm, potrenować trochę na ringu.

- Że co? Kto to jest Bonzo?

- To z filmu, Harry. O Ronaldzie Reaganiu i jakimś szympansem o imieniu Bonzo. Jezu, niczego w ogóle nie oglądasz?
- A co dzisiaj dają w telewizorze? Coś dobrego?
- Tak. Film pod tytułem *Drzwi*. Straszne dłużyzny i nic się nie dzieje.
- Brzmi nieźle. Kto w nim gra?
- Nikt. Ale to niezła komedia. Uśmiejesz się za wszystkie czasy, Harry, przysięgam. Siadaj, póki masz wygrzany fotel.
- Bardzo śmieszne.
- Dobranoc, Harry. Nie zapomnij o zapałkach pod oczy.
- Ja pierniczę - powiedział niepokieszony Harry. Psia wachta, od północy do szóstej rano, najbardziej dawała w kość.

31.

Harry opadł na fotel, umościł się i wpatrzył w monitor z miną skażca. Nie miał bladego pojęcia, dlaczego w ogóle mu się wydawało, że ta akcja to będzie kilka szalonych dni spędzonych w luksusie na plaży. Było do dupy. Jak jasna cholera.

Stoke podreptał do swojej sypialni, jednej z czterech w długim korytarzu, rzucił się na niebiańskie wielkie łóżko i od razu zasnął. Dwie sekundy później zadzwonił telefon przy łóżku. Spojrzał na rozmyte zielone cyfry na budziku. Dziwnym trafem dochodziła szósta rano.

- Słucham? - odezwał się.
- Stoke, to ja, Rekin.
- Rekin, mów zaraz, skąd masz ten numer.
- Zadzwoniłem do Fanchy, ona mi podała.
- Nie wierzę ci.
- Chłopie, powiedziałem, że to sytuacja awaryjna. Podała mi go.
- Jaka sytuacja awaryjna?
- Sprawa życia i śmierci. Muszę wyjść z pierdła. I to już. Mówię naprawdę poważnie.
- Mów, o co chodzi.

- Problem w tym, że nie wiem, od czego zacząć. W moim bloku w Glades siedzi jeden taki oszust. Indianin z plemienia Seminoli. Sam siebie nazywa wódz Johnny Dwie-Giwery. Były bokser, zamordował własną matkę - i to, kurde, tomahawkiem kupionym w sklepie z pamiątkami dla turystów przy alei Aligatorów. Wiesz, co mi wczoraj powiedział?

- Nie.

- No to mówi mi: „Mam dla ciebie dobrą i złą wiadomość, Re-kiniątko. Re-kiniątko, rozumiesz? Śmieszne, co? Dobra wiadomość jest taka, że ty i ja bierzemy jutro ślub. Zła wiadomość - ty jesteś squaw.

- Niedobrze - powiedział Stoke.

- Co ty nie powiesz. No więc teraz chodzi codziennie po dziedzińcu i mówi, że jestem jego dziwką. Kiedy jestem w celi, muszę malować usta błyszczkiem Revlonu i nosić blond perukę. Stoke, on mnie nazywa swoją małą „kubańską podfruwajką”. Mówię ci, tylko patrzeć, kiedy ktoś mnie posunie od tyłu. Zawału serca tu dostaję. Kurde, nie pisałem się na nic takiego.

Luis Gonzales-Gonzales mówił jak nakręcony, jakby zaraz miał się rozsypać.

- Rekin, naćpałeś się? Brałeś coś?

- Cholera jasna, nic. Jestem czysty jak dupcia niemowlaka. Zapytaj mnie o coś.

- Stolica Idaho? - zapytał Stoke. Rekin, nie wiadomo zupełnie po co, postanowił już dawno, że nauczy się na pamięć stolic wszystkich stanów USA.

- Boise.

- Alaska.

- Juneau. W porządku? Zadowolony? Nie naprałem się. A teraz wyciągnij mnie stąd, szefie.

- Ktoś jeszcze cię męczy?

- Niech pomyślę. Bractwo Aryjskie? Tak, są męczący. Wielki skinhead-kretyn ze swastyką na czole. Każę mówić na siebie „Łamacz kości”. Jest też taki jeden w tej islamskiej komórce, do której miałem się wkręcić. Czarny muzułmanin, nazywa się Ishtar. Wielki sukinsyn, ze sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi. Wyłupiaste oczy wielkości kurzych jaj. Mówi, że jak mnie przyłapie na jakichś świństwach z

wodzem, to mi obetnie wacka brzytwą. I będzie ciął małymi plasterkami.

- To nie potrwa długo.

- Stoke, nie wkurzaj mnie. Poważnie mówię. Nie mogę tu siedzieć ani chwili dłużej.

- Rekinek, przecież wiesz, jak się bronić w takich sytuacjach. Masz przecież kosę.

- I w tym właśnie sęk. Przetrzepali mi celę i znaleźli kosę w materacu. Nie mam nic, absolutnie nic. Wiesz, jak to jest być jednorękim Kubańczykiem ważącym z pięćdziesiąt kilo w pierdlu pełnym walniętych morderców, takim jak Glades?

- A spenetrowałeś już tę komórkę radykalnych muzułmanów? Możesz podać jakieś nazwiska poza tym Ishtarom? Powiedz tak i możesz wyjść.

- Spentrować ich komórkę? W tym problem. Spentrowałem tę cholerną komórkę, a teraz oni próbują mnie spentrować. O tym cały czas mówię, Stoke. Chcą spentrować mi tyłek! Nawet jeśli nie będę się schylał po mydło, to i tak mnie zerzną. Stoke, muszę wyjść. Proszę, wyciągnij mnie. Błagam. Nie zniosę kolejnego dnia w tym pierdlu.

- Rekinek, posłuchaj, rozumiem. Ale musimy się dowiedzieć, co siedzi we łbach tych zbirów, i dowiedzieć się, co szykują, kiedy już wyjdą z pierdla.

- Znalazłem coś dzisiaj, zaglądając do laptopa Czarodzieja, kiedy nikt nie widział.

- Czarodzieja?

- Taki mały Pakistańczyk, który chyba tu rządzi. Wygląda jak Yoda z *Gwiezdnych Wojen*. Ma długą spiczastą białą brodę. Cały czas chodzi w szacie w takie arabskie napisy. I mówi jak Yoda. Myślę, że robi to specjalnie, wiesz, żeby się wyróżniać.

- Ma komputer? Przecież w mamrze nie można mieć komputera.

- A on ma, Stoke, mówię ci. Może przeszmygłował mu go strażnik, którego ten mały ma w kieszeni? Skąd ja mam wiedzieć? Ma też taką wkładaną antenkę z bezprzewodowym internetem.

- Gdzie go chowa?

- Nie wiem. Usłyszałem o tym i zapłaciłem Figgowi tysiąka, żeby mi pozwolił zajrzeć, kiedy wszyscy będą na dziedzińcu.

- Możesz jeszcze raz się dostać do tego komputera? Ukraść go? Wtedy będziesz mógł wyjść.

- Człowieku, muszę wyjść teraz. Poważnie. Jak Ishtar przyłapie mnie, że próbuję zarząbać coś Czarodziejowi, to jestem martwy.

- Uspokój się, Rekin. Mam pomysł. Nie podoba mi się, ale chyba nie mam innego wyjścia.

- Mów.

- Wchodzę do pierdla razem z tobą.

- Co?

- Mogę dać się zamknąć w Glades razem z tobą. Każę, żeby nas zamknęli razem w celi i zadbam o twoje chude dupsko. Nie pozwolę, żebyś wyszedł za kogoś, kogo nie kochasz. Rąbnij ten komputer Czarodzieja.

- Dobra, dobra. To brzmi naprawdę nieźle. Ale kiedy?

- Powiedz mi, gdzie Czarodziej trzyma laptopa i jak to możliwe, że więzień w ogóle ma coś takiego w pierdлу.

- Przeszmuglował sobie. Ma ładowarkę do baterii i jakąś antenkę, którą wkłada i łapie sygnał komórkowy. A co ja mogę wiedzieć. Nie mam pojęcia, gdzie go chowa, ale chyba w jakimś dobrym miejscu, bo psy codziennie trzepią mu celę i nie mogą niczego znaleźć. To co, kiedy? Na przykład jutro?

- Jak tylko skończę z jedną suką, która próbowała mnie zabić i omal nie zabiła mojego dobrego znajomego Szybkiego Ediego Falco.

- A jak myślisz, ile ci to zajmie?

- Niedługo. Pilnuję dwudziestu milionów dolców. Żeby je zdobyć, laska musi przejść koło mnie.

- A Harry nie może tego zrobić? Przecież jest z CIA, do cholery.

- Harry jest cienki w obserwacji. Brak mu cierpliwości. Ma ADHD.

- Co?

- Nieważne. Po prostu wytrzymaj jeszcze, dobra? Przestań chodzić pod prysznic przez kilka dni. Może jak zaczniesz śmierdieć, to się odczepią. Przyjdę i się tobą zaopiekuję, Rekin. Obiecuję.

- Dobra. Ale co mam robić do tego czasu?

- Zjedz żarówkę i niech cię położą w lazarecie.
- Mam zjeść żarówkę?
- Rekin, nikt nie mówił, że będzie łatwo.

Stoke się rozłączył. Dałby wszystko, żeby jeszcze pospać, ale była szósta rano i musiał zmienić partnera.

Zrobił sobie kawę w kuchni i poszedł do salonu. Harry robił pompki na podłodze, najważniejsze, że nie spuszczał oka z monitora.

- Siusiu, paciorek i spać, kolego - powiedział do niego Stoke, sadowiac się w fotelu i popijając gorącą kawę. - Co ty w ogóle wyrabiasz?

- Próbuję się zmęczyć, żeby szybko zasnąć - odpowiedział Harry, cedząc śmiesznie słowa z powodu pompek. - Chyba za dużo kawy.

- Zegar bije, partnerze.
- Jeszcze dwadzieścia.
- Coś ciekawego w telewizorze?
- Tak, chyba tak. Ktoś się zameldował.
- Co?

- Tak. Około trzeciej nad ranem dzwonił z recepcji kierownik nocnej zmiany. Jakiś szejk z rodziną. Właśnie przylecieli z Dubaju. Wiesz, ile sobie liczą za ten apartament naprzeciwko? Dziesięć kawalków za noc.

- Harry, powiedz mi, że sprawdziłeś tego gościa.
- Oczywiście. Przecież dlatego siedzimy w tej norze.
- I?

- Rzeczywiście szejk z rodziną, tak jak mówił ten z recepcji. Żona, pies, pięć małych brzdąców, wszystkie poniżej dziesięciu lat. I bagaż. Dwóch portierów przywiozło wózki wypchane po brzegi wielkimi walizkami, takimi całymi w brązowe literki LV. Rozumiesz?

- Louis Vuitton.

- No właśnie. I to wszystko. Dobra, idę do wyra. Miej oczy otwarte.

- Harry, stój.
- Co?
- Wracaj. Opisz żonę. Powiedz dokładnie, jak wyglądała.

- Żona? Kurde, Stoke, to była cała rodzinka. Siedmioro ich było, mówiłem ci. I jeszcze mały biały piesek na smyczy wysadzanej diamentami.

- Jak wyglądała żona, Harry?

- Cholera, Stoke, nie przyjrzałem się jej aż tak.

- Dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że miała na sobie czarną burkę. Taką cudaczną. Jaką noszą bogate Arabki.

- Więc chcesz powiedzieć, że jej nie widziałeś?

- Oczywiście, że ją widziałem. Widziałem jej pieprzonego męża. Widziałem pieprzone dzieci. I widziałem jej bagaż i cholernego pieska. Daj mi spokój, facet. Całą noc żarłem cukierki, żeby nie zasnąć i mam już dość.

- Ty masz dość? Harry, nie jestem w nastroju do żartów. Poważnie mówię. Właśnie rozmawiałem z Reinkiem. Niedługo idę do mamra, Harry, bardzo ciężkiego mamra.

- Co? Dlaczego?

- Potem ci opowiem. A teraz powiedz mi, że wszyscy ci ludzie nadal są w tym pokoju. Że nikt nie wychodził. Ani jedna osoba. Ani na chwilę.

- Nikt nie wychodził. Przysięgam. Obserwowałem drzwi, człowieka. Nie spuszczałem z nich wzroku.

- Zamawiali coś z room service? Była pokojówka? Portier? Hydraulik? Elektryk?

- Nie. Żywej duszy. Słowo.

- A nie przyszło ci do głowy, żeby mnie obudzić, Harry?

- Wydawało mi się, że to nic...

- Nie przyszło ci do głowy, żeby kierownik zmiany przyniósł nam tu ich paszporty? Żeby, wiesz, sprawdzić ich dokładnie?

- Nie. To znaczy tak, jasne że o tym pomyślałem. Ale...

- Przyszło ci do głowy, jakim dobrym przebraniem może być burka dla kobiety, która nie chce być rozpoznana?

- Ale...

- Bierz giwerę, Harry. Idziemy naprzeciwko odwiedzić naszego szejka. Jakby coś, jesteśmy hotelowymi detektywami i sprawdzamy systemy zabezpieczeń. Jasne?

- Świetny pomysł.

- Módl się, żeby tam byli, Harry.

- Mówię ci, że są. Chyba że potrafią latać z balkonu. Jeśli nie, to muszą tam być.

Prezydencki apartament był pusty. Stoke przejrzał każdy jego centymetr kwadratowy. Można było pomyśleć, że niczyja noga tam nie powstała. Oczywiście póki nie weszło się do garderoby w głównej sypialni, gdzie kawałki gipsu i pył na całej podłodze zdradzały miejsce po fałszywej ścianie. A wielka dziura w prawdziwej ścianie sugerowała, że ktoś tu był i się napracował. W ścianie stał sporych rozmiarów sejf otwarty na oścież. I pusty. Kto by pomyślał.

- Kurwa - zaklął Harry Brock. - Kurwa, kurwa, kurwa.

- Właśnie - warknął Stoke, za bardzo wściekły na partnera, by powiedzieć cokolwiek więcej.

- Jak oni wyszli, Stoke? Jezu.

- Zdaje się, że w spiżarce jest mała kuchenna winda. Za szafką z porcelaną, którą można odsunąć od ściany. W ten sposób hotelowa obsługa na przyjęciach może przywozić przystawki bezpośrednio na górę i tu je podgrzewać.

- Aha.

- Tak.

- Nasi ludzie nie wiedzieli o tej kuchennej windzie?

- Nie, Harry, nie wiedzieli. Ja też nie wiedziałem. A powinienem.

Mój błąd. Lepiej ci teraz?

- Jak, do cholery, wywieźć dwadzieścia baniek w setkach z tego pieprzonego apartamentu? Z hotelu?

- Nie wiem. Może w wielkich walizach z małymi brązowymi literkami LV? Co? Jak sądzisz?

- Racja. Ale te wszystkie dzieci. Pies. Szejk.

- Krewni. Kuzyni, pociotki, diabli wiedzą kto jeszcze.

- Tak, krewni. Poza psem.

- Harry, zabiję cię.

- Wiesz co? Nie obwiniam cię. Zostaw mnie na pięć minut samego w łazience, a sam się zabiję.

- Nie mam aż tyle czasu. Zresztą, Harry, wolałbym to zrobić własnoręcznie - odparł Stoke.

32.

Palm Beach, Floryda

Wystarczy przejechać sześćdziesiąt trzy i dziewięć dziesiątych kilometra na zachód od Palm Beach, by znaleźć się na zupełnie innej planecie. Leży tam zbudowane wzdłuż jednej ulicy miasteczko Belle Glade, zagubione pośród ogromnych pól trzciny cukrowej. BeeGee, jak nazywał je Stoke, leżało tak daleko od pieniędzy, tropikalnych luksusów i blichtru Palm Beach, jak Ziemia od Słońca.

Poza wielkimi, buchającymi dymem cukrowniami Big Sugar rozrzuconymi po polach trzciny, stacją benzynową i obskurnym Burger Kingiem, w BeeGee mieściła się też słynna kolonia karna z piekła rodem o oficjalnej nazwie Zakład Karny Glades.

W skrócie Glades. Skrzyżujcie sobie w myślach *Nieugiętego Luke'a z Wyspą skazańców*, a będziecie mieli dość dobry obraz tego miejsca. Powstało w 1932 roku jako Farma Więzienna nr 2 stanu Floryda, a skazani pierwotnie mieli za zadanie uprawiać warzywa dla innych instytucji państwowych. Teraz jest to po prostu ZKG, albo jak mawia okoliczna ludność - Glades.

Stoke, który za kilka godzin miał się znaleźć za drutem kolczastym okalającym Glades, o trzeciej po południu powiedział Harry'emu Brockowi, że chce zjeść „ostatni posiłek” w Palm Beach. Palm Beach? - zdziwił się Brock. - To nie tam, gdzie mieszkał Bernie Madoff? Tyle Harry wiedział o Palm Beach.

Stoke był głodny jak wilk. Wiedział dokładnie, na co ma ochotę. Miskę zupy z czarnej fasoli, cheeseburgera z mało wysmażonym bekonem, pieczarkami, smażoną cebulką, sałatą i dodatkowym majonezem z restauracji o nazwie Taboo przy Worth Avenue. A może nawet dwa cheeseburgery z bekonem. A co tam. Bóg jeden wie, ile będzie musiał przesiedzieć w pierdlu.

Pędzili 1-95 od strony Miami w GTO Stoke'a, z opuszczonym dachem. Z płyty leciał Barry White wyciągający, ile się dało basów z głośników Bose. Leciał właśnie ulubiony kawałek Stoke'a z albumu *Staying Power* Barry'ego White'a, tego z sześciominutowym duetem z

Lisą Stansfield i z piosenką *The Longer We Make Love*. Stoke siedząc za kółkiem, śpiewał razem z Barrym:

Im ciemniejszy owoc, tym słodszy sok,
Im dłużej to robimy, tym lepiej nam idzie...

Kiedy dotarli do zjazdu z 1-95 na Southern Boulevard, Stoke pojechał na wschód, w stronę Atlantyku. Chwilę później pędzili po czymś, co w Palm Beach nazywano mostem Południowym. Ludzie stali po obu stronach mostu, łowiąc ryby w upalnym słońcu. Przy stopach poustawiali styropianowe lodówki z lodem i piwem. Po prostu sielanka. A piękne słońce jak gdyby nigdy nic wędruje po niebie przez calutki dzień.

- Wyglądasz na przygnębionego - powiedział Harry, obrzucając go wzrokiem.

- Ja? Skądże. Stary, mam przecież wszystko. Widzisz ten wielki różowawy dom tam po lewej? Z wielkim zielonym trawnikiem schodzącym do morza. Wiesz, co to jest?

- Tak. Wielki różowy dom.

- Tak się składa, że to Mar-A-Lago, Harry. Należy ni mniej ni więcej tylko do samego Donalda Trumpa. Kurczę, jesteśmy z Donaldem praktycznie sąsiadami. Do Glades jest stąd jakieś sześćdziesiąt parę kilometrów. Wystarczyłoby teraz zawrócić i pomknąć prosto na zachód Southern Boulevard. Jak dla mnie, mieszkamy z Donaldem przy jednej ulicy. Oczywiście ja nie mam basenu ani dziewięciodłukowego pola golfowego, ale mimo wszystko.

- Jednak jesteś przygnębiony.

Stoke, wciąż wkurzony na Harry'ego za wpadkę w Fountainebleu, sięgnął do radia i podkręcił muzykę. Barry'emu przygrywała teraz pełna orkiestra i Love Unlimited wykonywali temat miłosny. Skupił się na muzyce i napawał się przejażdżką nadmorskim bulwarem. Wdychał słone powietrze, cieszył oko wielkim błękitnym Atlantykiem połyskującym po prawej i pięknymi rezydencjami tonącymi w kwiatach po lewej. Pięknie. Popełnił wiele grzechów, ale nigdy grzechu chciwości. Doceniał wszystko, co miał.

Kiedy dojechali do Worth Avenue, skręcił w lewo, przejechał County Road i zajechał prosto pod Taboo.

Bezpretensjonalna restauracja położona była pośrodku najdroższej dzielnicy handlowej zaraz po Fifth Avenue w Nowym Jorku czy

Rodeo Drive w Hollywood. Stoke kupował tu zawsze jedynie bardzo drogie cheeseburgery z bekonem. Kiedyś kupił białe bokserki na wyprzedzący w Brooks Brothers, parę kroków dalej przy Worth Avenue. Ale był przekonany, że nie mógłby z czystym sercem powiedzieć, że był na zakupach w Palm Beach.

Parkingowy podszedł do GTO z szeroko otwartymi ustami. Dudnienie basu brzmiało szczególnie mocno w tej wąskiej uliczce. Stoke wysiadając z auta, czuł, że ludzie mu się przyglądają. To dobrze. Niech się gapią i zazdroszczą. Wysiadł i podał kluczyki chłopakowi.

- Co to za kolor? - zapytał parkingowy, głaszcząc wypolerowany zderzak.

- Jeżyna. Metalik.

- Tuningowany?

- A jak myślisz?

- Ile ma koni?

- Nie potrafisz do tyłu liczyć, synku. A teraz zadbaj o niego, to ja zadbam o ciebie.

- Tak jest, sir. Postawię go tutaj, z przodu, żeby mieć na niego oko.

- Bardzo dobrze. Od razu się zrobiło jakoś tak wytwornie, co? Co tam te wszystkie tandetne rolls-royce'y phantomy, ferrari, lamborghini i inny szajs. Teraz masz prawdziwego twardziela z Detroit. Zobaczysz, że zaraz zaczną się zlatywać klienci. Pewne jak w banku.

Weszli do środka i natychmiast zderzyli się ze ścianą lodowatego powietrza. Niskawy, inteligentnie wyglądający mężczyzna w garniturze z krawatem i niskich okularach na czubku nosa podbiegł i uściskał Stoke'owi dłoń.

- Panie Jones, dawno pana u nas nie było. Co pana sprowadza do Palm Beach?

- Wpadłem na zakupy. A tak naprawdę umówiłem się tu na obiad z detektyw Garcją. Aha, Franklin. To mój kierowca, Harry Brock.

- Franklin de Marco, miło mi, Harry - przywitał się restaurator. Ścisnął mu dłoń, ale patrzył ponad ramionami Brocka na dwie obwieszone błyskotkami i opalone blondynki na wysokich obcasach, które właśnie wślizgiwały się głównym wejściem. Kuguarzyce skierowały się w stronę baru. Na szczęście przyciągały klientów. Franklin

na boku żartował, że większość z nich jest niskiego wzrostu, póki nie staną na własnym portfelu.

Franklin oderwał wzrok od dwóch żywych reklamówek firm odzieżowych i kosmetycznych i spojrzał na Harry'ego:

- Jestem właścicielem Taboo. Pan Jones to jeden z moich ulubionych klientów. Nigdy nie zamawia tylko jednej porcji. Detektyw Garcia już jest, panie Jones. Usadziłem ją przy naszym najlepszym bankietowym stoliku w Dżungli. Proszę za mną.

- Kierowca? - syknął Harry do Stoke'a, kiedy szli za Franklinem wzdłuż długiego baru. Na każdym stołku siedziała piękna kobieta z ogromnym spienionym koktajlem i obfitym biustem.

- Co?

- Przedstawiłeś mnie właścicielowi jako swego kierowcę?

- Tak, i co z tego? - odparł Stoke.

- Zaraz, czy to jest kominek?

- Tak.

- W lipcu? Co do...?

- Cześć, Michelle - powiedział Stoke, całując w policzek kobietę przy jednym ze stolików. Usiadł obok niej. Harry przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko nich. Nie mógł ukryć zaskoczenia widokiem detektyw Garcii. Była szalową laską. Jedwabiste czarne włosy do ramion, piękna twarz i ciało, które...

- Harry, pani, na którą tak się gapisz, to moja stara przyjaciółka detektyw Michelle Garcia, detektyw z policji w Palm Beach. Michelle, to Harry Brock, szpieg z CIA w Waszyngtonie.

Wyciągnęła rękę nad stołem, uściśniła dłoń Harry'ego i obdarzyła go miłym uśmiechem. O rany, i jeszcze miła, pomyślał Harry, a w myślach był już w porośniętej różami willi pełnej różowych tłusciutkich bobasów ze związku z detektyw Garcia. Nigdy nic nie wiadomo. Nie takie rzeczy się zdarzały.

Podeszła kelnerka, uśmiechnęła się znacząco do Stoke'a i przyjęła zamówienia.

- Zaraz wracam - powiedziała.

- Pani detektyw. Bardzo miło panią poznać - odezwał się Harry.

- Proszę mówić mi Michelle, dobrze? Ciebie też miło poznać, Harry.

- I wzajemnie. Posterunek w Palm Beach. Ciężki kawałek chleba, co? Jak się poznaliście ze Stokelym?

Stoke spojrział na Michelle i przewrócił oczyma. Mina mówiła: to nie moja wina, że ten gość jest taki, a nie inny.

- No cóż. W ciągu kilku lat pracowaliśmy razem przy różnych sprawach. Po Quantico zaczęłam w Agencji do spraw Narkotyków w Key West, a w końcu wylądowałam w tym raj. To ja załatwiłam Stokely'emu przytulny pokój w motelu Glades. Zawiozę go do Belle Glade i oficjalnie go tam wprowadzę o trzeciej.

- Miło, bardzo miło - powiedział Harry ni z gruchy, ni z pietruchy.

Spojrzała na Stoke'a, który nie palił się do pomocy, i powiedziała:

- Wiesz, jesteśmy starymi przyjaciółmi i...

Elitarne towarzystwo. Wszyscy w tej knajpie gadali jak najęci, a Stoke myślał jedynie o Rekinu i niebezpieczeństwie, na jakie go naraził. Nie spuszczał oka z zegara nad barem. Spojrział na Brocka siedzącego po drugiej stronie stołu i zobaczył, jak stara się opromienić Michelle swoim słonecznym urokiem i aurą surfera z Kalifornii.

- Harry, posłuchaj. Pamiętasz tego grubasa, który chciał mnie zabić w moim własnym mieszkaniu? Sultan Bashiruddin Mahmood coś tam? Okazuje się, że Bashi był kiedyś właścicielem jednego z największych domów nad morzem tu w Palm Beach. Przy alei Miliarderów, jak ją tu nazywają. Sąsiadował z Rodem Stewartem. Sprawdziłem jego nazwisko w bazie policyjnej, sprawdziłem poprzedni adres, odezwałem się do Michelle i okazało się, że kiedyś go przyskrzyniła. Kilka lat temu. Niczego nie udało mu się udowodnić, ale sporo się o nim dowiedziała.

- Za co go wsadziłaś, Michelle? - zapytał Harry z szerokim uśmiechem. Naprawdę starał się ze wszystkich sił grać rolę uroczego, przystojnego faceta, który całkowitym przypadkiem interesuje się sprawami policyjnymi.

- Za prochy. Białe niewolnictwo, dziecięcą prostytutkę. I stręczenie nieletnich. Bashi, bo tak sam siebie nazywał, miał jakąś kobietę, która rekrutowała dla niego młode dziewczynki. Jeździła po biedniejszych dzielnicach w West Palm, po parkach, placach zabaw,

zaczepiała ładne dziewczęta na chodniku i przekonywała, jak łatwo zarobić kilka stówek. W godzinę. Wystarczyło pojechać z nią do Palm Beach, do nadmorskiej rezydencji pewnego bogatego faceta i zrobić mu masaż. Nie seks, po prostu zwykły masaż. Oczywiście zawsze chodziło o coś więcej.

- Co za kutas. Jak wyglądała ta babka? Ta stręczycielka?

- Laska. Typowa jak na tutejsze warunki. Blondynka. Jak by to określić przyzwoitym słowem? Posągowa?

- Opowiedz mu resztę, Michelle.

- No więc Mike, czyli Mike Reiter, nasz były szeryf, teraz dyrektor FBI, kazał nam śledzić tę kobietę pracującą dla Bashiego. Co tydzień jeździła na lotnisko w West Palm, czasami nawet do Orlando albo do Lauderdale, i czekała na samoloty lecące przez Nowy Jork z Maroka, Arabii Saudyjskiej czy Caracas.

- Sprawdzaliśmy je, zawiadamialiśmy urząd imigracyjny. Młodzi faceci, wszyscy czyści, z ważnymi wizami, bez żadnych uwag Interpolu, nic z tych rzeczy. Zabierała ich do Marriotta w Jupiter, meldowała ich tam, a potem wracała do Bashiego opalać się i balować w nadmorskiej willi, póki nie przyleciała kolejna grupa.

- Jak wyglądała ta kobieta? - zainteresował się Harry.

- No wiesz. Blondynka, w typie modelki Victoria's Secret. Wysoka.

- Znamy ją - stwierdził Stoke do Michelle. - Teraz pracuje w South Beach. A przynajmniej pracowała. Prawda, Harry?

- Michelle, zatrzymaliśmy Bashiego - powiedział Harry nieco obronnym tonem. - Nielegalne przekroczenie granicy, próba morderstwa.

- Kogo, u diabła, próbował sprzątnąć? - zapytała Michelle.

- Mnie - wyjaśnił Stoke.

- Dlaczego?

- Wiem, jak wygląda jego dziewczyna.

- I co teraz?

- Nie chce mówić.

- Trzeba podtopić drania wodą - wtrącił się Brock.

- Nie można. Podtapianie więźniów jest nielegalne. Mogą się przeziębnić. I trafić do szpitala. Wiesz, ile rząd musiałby wtedy zabuścić? Nie mówiąc o służbie zdrowia.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece - mruknął Brock - bo sami się już pogubiliśmy,

- Ja bym go przewietrzył z samolotu - odezwał się nagle Stoke.

- Co?

- Nieważne. A ci goście, których Bashi sprowadzał z Bliskiego Wschodu - mówił dalej Stoke - przyjeżdżają, rozpraszają się, znikają na miesiąc czy dwa. Od Maine po Kalifornię. Ale łączy ich jedno. Wiecie, gdzie wszyscy kończą? W tym samym miejscu. W kiciu. Popełniają jakieś przestępstwo: napad z bronią w rękę, napaść, cokolwiek, za co mogą wylądować w pudle. Trzeba sobie zadać pytanie: po co?

- Misjonarze - wyjaśniła Michelle Garcia. - Tak ich nazywamy.

- Ale o co chodzi? - dziwił się Harry.

- W więzieniu stają się misjonarzami - kontynuowała detektyw Garcia. - Szerzą nauki radykalnego islamu w naszym kraju. I mówią nowo nawróconym, jak mają spożytkować zdobytą wiedzę. Ci młodzi mężczyźni sprowadzani są do Ameryki głównie po to, by głosić nauki. To tak oczywiste, że aż śmieszne. Ale myślicie, że ktokolwiek w Waszyngtonie się tym przejmuje? Masy imigrantów przybywają, żeby rekrutować naiwnych amerykańskich więźniów, zyskując uważnych słuchaczy gotowych zrobić doktorat z islamskiego terroryzmu. Doktorat z nienawiści do amerykańskich niewiernych. Nikt się nie zajmuje tą sprawą, nikt nawet o niej nie mówi. To będzie ogromny problem dla kraju, kiedy ci więźniowie zaczną wychodzić i głosić swoje prawdy. Jeszcze zobaczycie.

- Wierzę ci, Michelle - zapewnił ją Stoke.

- Świetnie. Znalazł się jeden facet, który uznał, że to poważna sprawa.

- A więc wygląda to tak - odezwał się Harry. - Coś przeskrobują, wychodzą na wolność, idą na dworzec autobusowy Greyhounda, zatrudniają się gdzieś w kraju, a potem...

Stoke westchnął i potarł palcami zaczerwienione oczy.

- A potem wszystko rozpieprzą. Wystraszą nas. Od środka. Najtańsza forma walki w historii ludzkości. Wystarczy rozesłać dość tych pacanów po całym kraju, rozpętać zamieszki w każdym zakątku, a prędzej czy później nas załatwią. Cały kraj. Faszystom się to nie

udało. Japończykom się nie udało. Nawet Rusczy poległ. Ale ci koleś? Cholera jasna.

- Popieram cię, Stoke. W każdym najdrobniejszym szczególe. I naprawdę szacunek za to, co dzisiaj robisz. Że idziesz tam do środka. - Stoke posłał mu tak piorunujące spojrzenie, że Harry odwrócił wzrok.

- W Glades działa wielki gang czarnych muzułmanów - odezwała się Garcia. - Rekrutują robotników imigrantów, zatwardziały skazańców i każdego, kogo tylko dopadną. To jeden z pierwszych w pełni wykształconych gangów, jaki zauważyliśmy w systemie. Teraz można ich liczyć w tysiącach. Miecz Allacha. Werbują zbieraczy trzciny, miejscowe dzieciaki ze wsi, czarne i białe, które trafiają za kratki za drobniejsze występki. Takim dzieciakom, które nie mają jeszcze dobrze poukładane w głowie, łatwo wmówić, jak to Ameryka wszystkich ich zniewala, i że trzeba coś z tym zrobić. Trzeba się odwinąć Wielkiemu Szatanowi.

Kelnerka przyniosła jedzenie i Stoke ucieszył się na ten widok. Przestał gadać, myślał nie o tym cudownym cheeseburgerze ani nie o następnym, tylko o jeszcze kolejnym. Kiedy już wyjdzie. Kiedy dowie się, czego trzeba w Glades, i kiedy wyprowadzi stamtąd żywego swego przyjaciela Rekinka, wciąż w stanie dziewictwa. Ale najpierw musi się dowiedzieć, kto stoi za tymi gangami radykałów w systemie więziennym.

Gangi działały nie tylko na Florydzie i w Kalifornii, lecz wszędzie, w końcu zaczną więc zagrażać całemu krajowi, do cholery. Już tylko kwestią czasu było, kiedy ci popaprańcy zaczną tu się wysadzać jak ci turbaniarze z Bagdadu. Wkurzało go, że te skubańce zaczęły zagrażać Amerykanom na ich własnej ziemi.

Dupki z tak zwanego Miecza Allacha miały tylko jeden cel: wystraszyć jak najbardziej cywilów, onieśmielić ludzi, by przekazać swoje polityczne przesłanie i sparaliżować amerykańskie władze i handel. Stoke miał też tylko jeden cel: skopać im tyłki i wysłać ich do raju, gdzie było ich miejsce.

Nie po to spędził najlepsze lata życia w Wietnamie. Nie po to stracił tylu dzielnych chłopaków, swoich kumpli z plutonu SEAL, chłopaków, którymi dowodził i których kochał z całego serca. Umierając, te dzieciaki wzywały swoje matki, a kiedy Wietnamcy

rozwalali im brzuchy seriami, Stoke własnymi rękami próbował im wypchać flaki z powrotem.

Tak czy inaczej, ten nowy wróg zapłaci mu za wszystko, tak jak zapłacił Vietcong. Można słuchać mediów. Albo słuchać głosu własnego serca. To jest najwspanialszy kraj, jaki powstał na ziemi. I każdy, kto chce go obalić, musi drogo za to zapłacić.

Znał mnóstwo ludzi, którzy czuli to samo. Trzeba się dobrać do dupy tym sukinsynom, gdziekolwiek się chowają. I walczyć, dopóki ostatni z nich nie zacznie gryźć piachu.

Włożył krążek cebuli do burgera i ugryzł wielki kęs. Poczul się o wiele lepiej przed tym, co go czekało w Glades. Niedługo miał wypełnić swój obowiązek i tylko to się naprawdę liczyło. Jedno było pewne. Zamierzał przeniknąć do tych radykalnych islamskich sukinsynów, poznać ich plany i połamać im gnaty kołem amerykańskiej sprawiedliwości.

A jeśli nie można ich podtopić, to ich zdrowo przewietrzy. Nocą. O, tak. Zagrozi im zrzczeniem z Blackhawka prosto w bagna Everglades. Albo gadasz, albo idziesz na karmę dla aligatorów. Kongres chyba jeszcze tego nie zabronił, co? Przewietrzania? Zawsze trzeba być o krok przed tymi waszyngtońskimi niańkami kryminalistów. Inaczej te sukinsyny wykończą Amerykę.

- Stoke? - odezwała się Michelle. - Przykro mi. Musimy jechać.

- No tak - stwierdził Stoke, patrząc na zegarek. - Zawsze żal kończyć, prawda? Harry?

- Tak?

- Do Miami wracasz przez Turnpike. Nie 1-95, rozumiesz? Tak będzie bezpieczniej. Tam nie ma ciężarówek. Nie przekraczaj dziewięćdziesiątki. Poniżej dziewięćdziesięciu, pamiętaj. I nie gadaj z nikim przez komórkę, nie pisz SMS-ów, nie włączaj nawet radia. Po prostu skup się na prowadzeniu. Dobrze? Oczy na drodze, ręce na kierownicy. Pilnuj, żeby nie stało się nic złego, rozumiesz? Jesteś moim kumplem, prawda? Jesteśmy partnerami? I mamy się nawzajem pilnować.

- I to wszystko nie ma w ogóle nic wspólnego z GTO, co Stoke?

- GTO? Cholera, obrażasz mnie. Tym GTO na parkingu, na widok którego blokuje się ruch na Worth Avenue? Bracie, to tylko

metalowa maszyna. Metal, guma i plastik. A ty? Ty jesteś człowiekiem, Harry. Darem od Boga.

- O rany, Stoke, dzięki. Ja też cię kocham, stary.

- Ale przysięgam, Harry, jeśli znajdę choćby rysę na tym samochodzie, oberwę ci własnoręcznie twoje orzeszki i wsadzę ci je głęboko w gardło, po jednym. Potem wepchnę ci tyle bawełny w gardło, że ci wyjdzie dupą i będziesz wyglądał jak króliczek Playboya. Rozumiemy się?

- Chłopaki, macie jakiś problem? - zapytała niewinnie Michelle.

- Problem? Ależ skąd - odparł Stoke. - Luzak Brock odprowadzi mojego GTO do Miami. Pewnie z otwartym dachem. A ja pojedę sobie prosto do cholernego mamra. Gdzie tu widzisz jakiś problem?

33.

Londyn

Biurowo „C” mieściło się na najwyższym piętrze centrali MI-6, dziwnego architektonicznego melanzu nowego, nowszego i najnowszego, który mieścił się pod numerem 85 przy nabrzeżu Alberta w dzielnicy Vauxhall, tuż nad Tamizą. Budynek w niczym nie przypominał dawnej dość podłej siedziby służb w pobliżu Regent's Park, ale jeśli chodziło o architekturę, Hawke zawsze wolał to, co stare, niż to, co nowe.

Prywatne sanktuarium sir Davida Trulove'a na szczęście przypominało kapitańską kabinę z epoki admirała lorda Nelsona. Ściany obite polakierowaną boazerią, przerobione na elektryczne lampy naftowe na wysięgnikach, mahoniowe meble z epoki, cenne obrazy marynistyczne na ścianach, zaś na rzeźbionej półce nad kominkiem - mosiężny chronometr i barometr, a między nimi model okrętu „Victory” admirała lorda Nelsona

Hawke zwierzył się kiedyś Congreve'owi, że w uroczym gabinecie „C” brakowało jedynie bulajów.

Był poniedziałkowy poranek. Od męczącej, choć owocnej wyprawy na Wyspę Baranią, jaką odbyli z Congreve'em, minęło już kilka dni. Hawke odbył kilka spotkań z oficerami wywiadu brytyjskiej armii odpowiedzialnymi za Irlandię Północną. Ambrose został w Irlandii. Wraz z Drummondem wrócili na wyspę razem z chłopakami z laboratorium kryminalistycznego Scotland Yardu, by dokładnie wszystko przebadać. Wyniki testów ludzkiego kamienia żółciowego, który tam znaleźli, nie zostały jeszcze ujawnione.

Hawke, który nie znosił zebrzań wszelkiego rodzaju, znalazł się właśnie na jednej z nasiadówek, co wcale go nie cieszyło, mimo w sumie przyjemnego miejsca. Poza Hawkiem „C” zaprosił na nie swojego protegowanego Montague'a Thorne'a. Thorne'a, jako głównego eksperta od wszelkich spraw dotyczących Pakistanu, Indii i Afganistanu, oraz jakiegoś Amerykanina z CIA, który przedstawił się jako Abdul Dakkon.

Dakkon był wysokim szczupłym mężczyzną o czarnych oczach, piekielnie przystojnym i ze starannie przystrzyżoną czarną brodą. Hawke dał mu na oko niecałą czterdziestkę. Jak sam powiedział, był Marokańczykiem urodzonym w Tangerze. Mimo granatowego garnituru, białej koszuli i czerwonego krawata wyglądał zdecydowanie na agenta, który większość służby spędził w terenie. I to w mocno nieprzyjaznym terenie, wywnioskował Hawke, patrząc na niego. Gdzieś stracił prawą rękę. Pusty rękaw marynarki przyszyto mu na piersi. Tak samo ten problem rozwiązywał admirał lord Nelson.

Na spotkaniu była obecna także jego stara przyjaciółka i nowa kochanka, specjalistka od fizyki jądrowej i walki z terroryzmem z MI-5. Sahira ubierając się, chyba wiedziała, że na spotkaniu będzie Hawke. Założyła krótką niebieską spódniczkę i ciasno dopasowaną białą jedwabną bluzkę, która nie pozostawiała zbyt dużego pola wyobraźni. Na nosie miała okulary i przeglądała niemożliwie grubą teczkę, zapewne pełną planów budowy broni termojądrowej. Sądząc po tym, jak intensywnie wczytywała się w kolejne strony, musiał to być fascynujący materiał, wyobrażał sobie Hawke. Nie mógł się doczekać, kiedy sam będzie mógł to przeczytać.

Chciał robić cokolwiek, byle nie gapić się na Sahirę.

Hawke przeczytał kiedyś, że objawem geniuszu jest zdolność prowadzenia w mózgu jednocześnie dwóch różnych procesów myślowych. Panna Karim studiowała materiały ze swojej teczki i jednocześnie toczyła bardzo ożywioną rozmowę z Montagiem Thorne'em na temat powstania talibów w afgańskiej prowincji Helmand.

W pokoju brakowało jedynie samego sir Davida, który ewidentnie się spóźniał. Hawke zadowolala się sączeniem koszmarnej firmowej kawy i ukradkowymi spojrzeciami na pannę Karim, która gawędziła z Montagiem Thorne'em o szybko pogarszającej się sytuacji w północnym Pakistanie i górach Hindukusz na granicy z Afganistanem.

Sojusz miał już powoli dość tej wojny nie do wygrania, choć konsekwencje przegranej mogły być isticie apokaliptyczne.

„C” wpadł nagle, przeprosił jak zwykle zdawkowo i usadowił się w skórzanym fotelu po prawej stronie od kominka. Jak na tę nieludzką wczesną porę w poniedziałek wyglądał niepokojąco radośnie. Hawke'owi natychmiast rozdzwoniły się wszystkie dzwonki alarmowe.

Sir David zapalił fajkę, uśmiechnął się do Hawke'a i zapytał:

- Jak tam twój krótki wypad do Irlandii Północnej, Alex?
- Rzekłbym, że pełen adrenaliny, sir.
- Tak słyszałem. Ale zdaje się, że poczyniliście postępy?
- Owszem.
- Jeśli byłbyś łaskaw poświęcić mi kilka minut po tym spotkaniu, z chęcią posłucham o szczegółach. Masz chwilę?

Zawsze trzeba było mieć chwilę.

- Oczywiście, sir - odparł Hawke.
- W takim razie przejdźmy do tematu zebrania. W świetle bieżących wydarzeń w regionie, który nas szczególnie interesuje, pan Thorne zgodził się przedstawić nam krótki przegląd obecnej sytuacji politycznej w Pakistanie. Monty?

Thorne wstał i zaczął rozdawać cienkie czerwone teczki MI-6 z napisem „ŚCIŚLE TAJNE”. Hawke zauważył, że Montague nawet ruchy ma pełne oglady, zarazem oszczędne i eleganckie. Spojrzał, czy Sahira go obserwuje. Nie patrzyła.

Thorne usiadł i zaczął mówić:

- Dziękuję, sir. W tych teczkach znajdziecie państwo podsumowanie tego, co moja sekcja zaczęła nazywać „Drugą epoką jądrową”. Nazwanie informacji, które udało nam się pozyskać, „niepokojąco-mi”, byłoby ogromnym niedopowiedzeniem. Oceniamy, że Pakistan ma na swoim terenie ukrytych co najmniej sto rakiet z głowicami jądrowymi. Wiadomo, że część z nich rozmieszczono tuż za granicami lotniska w Islamabadzie. Słynny dr Khan również odbudował swoją fabrykę broni jądrowej.

Nie mamy oczywiście pojęcia gdzie, a ich rząd nie chce nam tego zdradzić mimo naszych wyraźnych zastrzeżeń co do bezpieczeństwa tej broni. Jakby tego było mało, Pakistańczycy budują kolejne głowice w laboratoriach na skraju lotniska w Islamabadzie. W rozdziale drugim znajdziecie satelitarne zdjęcia zwiadowcze wspomnianej okolicy.

To, co stanie się albo nie stanie w tych dwóch zakładach, jest o wiele istotniejsze dla bezpieczeństwa brytyjskich czy amerykańskich miast niż miliardy, które oba nasze kraje wydają co roku na utrzymanie naszych arsenałów jądrowych. Opracowane z myślą o innej epoce wspólne arsenały jądrowe Ameryki i Wielkiej Brytanii są, moim zdaniem, Linią Maginota nowej epoki terroryzmu: potężne, przerażające i - obawiam się - że kompletnie bezużyteczne.

Większość państw ma swoje armie. Pakistańska armia ma swoje państwo. Przywódcy tego kraju robią wszystko, żeby przypodobać się armii. Ich zdolność do panowania nad własnym arsenałem jądrowym to najgroźniejsze wyzwanie, jakie stoi dziś przed Zachodem.

Pakistan to jedyne nuklearne mocarstwo na ziemi, w którego środku trwa potężne zbrojne powstanie. Wiemy na pewno, że połączone siły talibów i Al-Kaidy urosły mocno w siłę pod wspólnym przywództwem i teraz, jako Miecz Allacha, zdecydowanie mają środki, żeby przejąć cały ten kraj siłą albo szantażem, a powstańcy z całą pewnością chcą wejść w posiadanie bomby jądrowej.

Thorne przerwał na chwilę i spoglądał po kolei po twarzach zebranych, by mieć pewność, że słuchają go w skupieniu.

- Trudno się też nie niepokoić, słysząc, że pakistański rząd lawiruje między dyktaturą, która wspiera zarówno Stany Zjednoczone, jak i talibów, a obecnym demokratycznym przywództwem słynącym głównie z korupcji i nieudolności.

Między MI-6, MI-5, CIA i Pentagonem krąży nowa fala pilnych informacji wywiadowczych. Siły talibów i Al-Kaidy na północy, przy granicy pakistańsko-afgańskiej, znów skupiają się na Świętym Graalu terroryzmu, który umknął im przed 11 września. Są coraz bardziej zdeterminowani, żeby albo dotrzeć do sekretów budowy pakistańskich bomb... albo do samych bomb.

Hawke podniósł rękę.

- Minął ponad rok, od kiedy Miecz Allacha dokonał zamachu na Heathrow. Może amerykańskie Predatory zdążyły już skrócić o głowę ich przywódców, Monty? - zapytał Alex.

Thorne zamilkł na chwilę, po czym odparł:

- Owszem, samoloty bezzałogowe osiągają niezwykle sukcesy. Wielu znaczących przywódców zginęło. Ale moim zdaniem są dziś silniejsi niż kiedykolwiek. Myślę, że rosną ich wpływy na całym świecie. Mają pieniądze z Iranu, z Rosji, komórki terrorystyczne na całym świecie. A teraz dowodzi nimi ktoś, kto ma tęższą głowę niż Osama bin Laden. Szejk Abu al-Rashad.

- Mimo to, Monty, Alex ma rację - zauważył „C”. — Przynajmniej tu, w Wielkiej Brytanii, udało się nam, to znaczy Piątce i Szóstce, zagonić ten Miecz Allacha do podziemia.

- Być może to prawda - odparł Thorne, ale Hawke miał niejasne wrażenie, że Monty miał na myśli coś zupełnie innego.

- A więc na czym stoimy? - zapytał „C”.

- Muszę się przyznać, że spokoju w nocy nie dają mi dwie rzeczy. Jedna to niedawne informacje wywiadowcze na temat stałych prób infiltracji pakistańskich laboratoriów i prób umieszczenia „spiochów” w magazynach jądrowych w Islamabadzie.

- A druga rzecz? - dopytywał „C”, któremu kończyła się cierpliwość.

- Druga to coraz większy poziom zagrożenia dla naszego narodu i infrastruktury. No i wreszcie ta nowa Prawdziwa IRA, która podnosi łeb w Irlandii Północnej. Teraz jeszcze te niedawne pogroźki wobec księcia Walii i w ogóle rodziny królewskiej.

- Wielki Boże - mruknął Trulove. - Wszystko naraz.

- Tak. A kiedy największym zagrożeniem dla świata jest to, że ktoś wykradnie broń jądrową z Pakistanu, a nie to, że ktoś odpali

rakiety atomowe z Rosji, to o wszelkich dotychczasowych sztuczках pozwalających uniknąć Armagedonu możemy dzisiaj zapomnieć. Obawiam się, że świat nagle stał się o wiele groźniejszym miejscem. Nikt nie zaprzeczył.

34.

Zdaje się, że Alex Hawke ma jakieś pytanie - powiedział sir David.

- Monty - odezwał się Hawke w zamyśleniu. Splótł palce i oparł na nich brodę. - Może dobrze byłoby wyraźnie zarysować scenariusz „dzień po”. Innymi słowy, czy mógłbyś nam opowiedzieć dokładnie, co się wydarzy, jeśli w jakimś dużym brytyjskim czy amerykańskim mieście wybuchnie bomba jądrowa?

- Bardzo dobre pytanie, Alex. Istnieje dziewięćdziesięcioprocentowa szansa, że owa bomba będzie pochodzić z Korei Północnej, dawnego arsenału sowieckiego albo pakistańskiego. Gdybym miał zgadywać, wskazałbym zdecydowanie na Pakistan. Ale kiedy już określimy winnego, to co? Rozpocząć atak nuklearny przeciw naszemu quasi-sojusznikowi za coś, o czym prezydent tego kraju pewnie nie miał nawet pojęcia? I to w chwili, kiedy ma pod ręką jeszcze tonę podobnych pocisków jądrowych? To nie do przyjęcia, Alex. Zostaje nam jedyna możliwość: znaleźć sposób, by zabezpieczyć zakłady jądrowe w Pakistanie. Wyszukać dziury i je pozamykać. I lepiej zrobić to teraz, nim będzie za późno.

„C” popatrzył swoimi przebiegłymi niebieskimi oczami na Alexa.

- I to właśnie będzie twoja kolejna misja, lordzie Hawke.

- Kiedy wyjeżdżam?

- Najszybciej jak się da. Potrzebuję odrobinę czasu, żeby zorganizować logistykę na miejscu. Najwyżej tydzień. Wiem, że chcesz popracować jeszcze nad śledztwem w Irlandii Północnej. Masz tydzień, może mniej, jeśli uda mi się przyspieszyć sprawy w Islambadzie.

Hawke oparł się wygodniej i patrzył w milczeniu na szefa. Czuł w sobie głęboki konflikt po tym, co właśnie usłyszał. Nie mógł się doczekać tej nowej misji, czuł wręcz głód przygody w Pakistanie i Afganistanie, gdzie toczyła się teraz najważniejsza gra.

Mimo to złożył przecież przysięgę Karolowi i był przekonany, że po Wyspie Baraniej wpadli na właściwy trop. Nie mówiąc o rozmowie z McMahonem. Porzucenie teraz tego wszystkiego równałoby się Z...

- Alex? Słyszałeś, co powiedziałem? Masz jakiś tydzień do wyjazdu.

- Tak, sir. Wiem. Tyle tylko, że niepokoję się o moje zadanie dla księcia Walii, sir. Congreve i ja jesteśmy właściwie pewni, że udało nam się poczynić znaczne postępy... ale tydzień może nam nie wystarczyć.

- Alex, z całym szacunkiem, nie pracujesz dla księcia Walii. Pracujesz dla MI-6. Czyli dla mnie. A to znaczy, że najważniejsze są dla ciebie wewnętrzne i zewnętrzne zagrożenia dla całego kraju, takie jak Miecz Allacha, którym słusznie martwi się Montague. Dosłownie setki ludzi odpowiadają tylko i wyłącznie za bezpieczeństwo rodziny królewskiej. Przez wieki zdołali udowodnić, że są w stanie podołać temu zadaniu. Nie sądzisz?

- Tak, sir. Rozumiem to wszystko. Ale obiecałem jego książęcej wysokości, że...

- Alex. Przepraszam, ale myślę, że powinniśmy przerwać tę dyskusję i dokończyć ją na osobności, nie sądzisz?

- Przepraszam, sir.

- Alex, poznałeś już pana Dakkona?

- Tak. Rozmawialiśmy przez chwilę, czekając na pana, sir.

„C” spiorunował go wzrokiem za tę szpilę, ale mówił dalej:

- Pan Dakkon to doświadczony pracownik CIA, językowy specjalista od arabskiego i agent terenowy, którego oddelegował do nas Waszyngton. Przez ostatnie dziesięć lat działał pod przykryciem zarówno w Pakistanie, jak i w górach Hindukusz w Afganistanie. Będzie ci pomagał w tym zadaniu. Jeśli masz jakieś pytania co do kwalifikacji wywiadowczych pana Dakkona, możesz zadzwonić do swojego znajomego, dyrektora Delly w Langley.

- Dziękuję, tak zrobię.
- Zapewne zastanawiasz się, jak stracił prawą rękę. Pan Dakkon sam ci tego nie powie, ale ja to zrobię. Został porwany przez bojowników Al-Kaidy w Kabulu. Poddano go surowym torturom. Wróg domagał się, by wydał położenie amerykańskiego przyczółku wojskowego w prowincji Helmand. Pan Dakkon nie chciał mówić i jakiś cholerny rzeźnik odciął mu rękę mieczem. Zostawili go na pustyni, żeby zmarł. A potem tego pożałowali.

- Podziwiam pańską odwagę, sir - powiedział Hawke, patrząc Amerykaninowi prosto w oczy.

- Alex, pan Dakkon od pięciu lat infiltruje armię kontrolowaną przez najbardziej wpływowego przywódcę w północnym Pakistanie. Szejk Abu al-Rashada. Al-Rashad, zatwardziały wróg Al-Kaidy, powszechnie uważany jest za mózg, który stoi za działaniami terrorystycznymi Miecza Allacha na całym świecie. Obecny tu Abdul urósł bardzo wysoko w oczach szejka al-Rashada i zdobył jego pełne zaufanie. Czy mam rację, Abdul?

- Traktuje mnie jak syna, którego nigdy nie miał, sir - odparł dumnie, ale skromnie Dakkon.

- Dzięki temu związkowi otrzymujemy ostatnio sporo bardzo ważnych informacji wywiadowczych, wszystkie macie w swoich raportach. Chodzi o najważniejszy plan szejka al-Rashada, jak pokonać ochronę zakładów jądrowych przy lotnisku w Islamabadzie i zdobyć dla siebie pakistańską broń masowego rażenia. Słowem, jak zapanować nad krajem. To złe wieści.

- A te dobre? - zapytał Hawke ożywiony nagle perspektywą nowej misji. Do tej pory tylko lekko się gotował. Teraz w nim zawrzało.

Odezwał się Dakkon:

- Szejk ma wielu rywali w wyścigu po pakistański arsenał jądrowy. Zarówno w walczących ze sobą odłamach talibów, Al-Kaidy, jak i w pakistańskim wywiadzie ISI. Rywale wielokrotnie próbowali go zabić. W pewnym sensie ten zestaw wrogów go ogranicza.

- Nowy prezydent Ameryki Tom McCloskey i Pentagon bardzo by chcieli, żeby szejk al-Rashad nie wygrał tego wyścigu, Alex - odezwał się „C”.

- A to dlaczego? - zapytał Hawke.

- Bo wiemy, że szejek to bardzo przebiegły człowiek dysponujący znacznymi środkami - odparł Trulove. - Jest na sprzedaż, podobnie jak wielu rządowych oficjeli odpowiedzialnych za jądrowy arsenał. Dakkon poinformował mnie właśnie, że plotka głosi, iż wielu strażników mających dostęp do głowic i detonatorów otrzymuje potężne sumy od al-Rashada. Albo że szejek trzyma ich rodziny jako zakładników. Można założyć, że pod groźbą śmierci strażnicy spełnią jego życzenia. Nie możemy wykluczyć, że szejek już ma albo będzie miał dostęp do broni jądrowej. Te głowice mogą po prostu zniknąć, kiedy strażnik opłacany przez szejka odwróci wzrok. Nie mamy wpływu na politykę tego kraju. Ale możemy mocno utrudnić życie szejkowi al-Rashadowi.

- Czy są na to jakieś twarde dowody, panie Dakkon? - zapytał Hawke.

- To tylko plotki, ale w Pakistanie plotka to waluta obiegowa w polityce. Nic nam nie wiadomo, by broń wpadła w jego ręce. Ale nie mamy też pewności, że tak się nie stało. Musimy to sprawdzić.

Thorne dorzucił:

- Jeśli wasz zespół odkryje, że szejek potajemnie szabruje arsenał jądrowy, zarówno rząd brytyjski, jak i amerykański gotowe są wkroczyć i odebrać nad nim kontrolę skorumpowanemu rządowi Pakistanu.

- I wtedy planeta będzie nieco bezpieczniejszym miejscem - dodał „C” pykając leniwie z fajki.

Montague Thorne dodał:

- Przyda się wam również doświadczenie panny Karim w dziedzinie broni jądrowej, Alex. Pojedzie wraz z tobą i panem Dakkonem do Islamabadu, by sprawdzić pakistańskie magazyny jądrowe. Będzie ci także towarzyszyć w wyprawie do Hindukuszu, gdzie zmierzysz się z szejkiem al-Rashadem. Będzie miała za zadanie dopilnować, by skradzione ewentualnie głowice wróciły bezpiecznie do naszych rąk. Kiedy już postanowimy, co z nimi zrobić, będzie nadzorować ten proces.

- Mam pytanie, panie Dakkon - powiedział Hawke.

- Mów mi Abdul, proszę.

- Abdul, gdzie przebywa szejek?

- Przemieszcza się. Stale prowadzi potyczki zarówno z paki-
stańskimi milicjami, które walczą z talibami, jak i z rywalizującym
odłamami talibów i Al-Kaidy. Ale ma silnie umocnioną główną bazę
operacyjną ukrytą głęboko pośród jednej z gór wysoko w łańcuchu
Hindukusz. Tam właśnie pojedziemy, kiedy skończymy w Islama-
badzie.

- Jak wysoko w góry jedziemy? - zapytał Hawke.

- Wiem, o czym myślisz, Alex - odezwała się Sahira. - Chodzi o
wielbłądy, prawda?

- Jak na to wpadłeś?

- Nikt nie lubi wielbłądów. A zwłaszcza ty. Masz to wypisane na
twarzy.

- Ja lubię wielbłądy - powiedział Abdul Dakkon z wielkim bia-
łym uśmiechem.

- Dlaczego? - dociekał Hawke, który nie mógł pojąć, jak ktoś
mógł znosić te wredne hałaśliwe bestie.

- Podoba mi się ich zapach - wyjaśnił Abdul.

Hawke parsknął śmiechem.

- No cóż, chyba będę musiał dać im jeszcze jedną szansę, panie
Dakkon.

- W górach będziemy szli ścieżkami, które mają gdzieś tam
pół metra szerokości. Jeden niewłaściwy krok i człowiek leci w kil-
kusetmetrową przepaść. Wielbłądy nie robią niewłaściwych kroków. I
dlatego je lubię. Będziemy też mieli wiele mułów, które będą niosły
prowiant, wodę i broń.

„C” wstał, dając do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

- Dziękuję wszystkim za przybycie. W najbliższych dniach bę-
dziemy się często widywać. Alex? Zostań na herbacie, opowiesz mi o
Irlandii, dobrze?

- Z przyjemnością - odparł Hawke, myśląc o czymś zupełnie
innym.

- Najpierw spójrz na to - powiedział „C” podając mu zwiniętą
kartkę. - Wczoraj wieczorem ktoś dostarczył to anonimowo do Win-
field House, do jednego z ambasadorów przy dworze Jej Królewskiej
Mości. Amerykański ambasador osobiście przyniósł mi to dziś rano.
To dlatego odrobinę się spóźniłem.

Hawke rozwinął kartkę i serce zamarło mu na chwilę, kiedy zobaczył znajomy odręczny podpis pod jednozdaniową wiadomością:

„Dzieci umrą najpierw.
Pionek”.

- Wielki Boże. Will i Harry. Czy księżę Walii już o tym wie?

- Oczywiście. Posłuchaj, Alex, cenię twoje odczucia w kwestii gróźb pod adresem księcia Karola. Ale długo z nim rozmawiałem o tym, że musisz jak najszybciej wyruszyć do Pakistanu. Twoja misja ma wyeliminować bardzo realne zagrożenie dla całego narodu. Księżę doskonale to rozumie. Zapewniłem go, że Ambrose Congreve będzie się zajmował sprawą, póki szczęśliwie nie wrócisz do kraju. A wtedy, jeśli będzie to konieczne, znów się w nią zaangażujesz. Czy wyraziłem się jasno i dobitnie?

- Jak najbardziej.

- Doskonale. A teraz opowiedz mi o Irlandii Północnej. Rozumiem, że poczyniliście postępy.

- Znaleźliśmy ludzkie szczątki. Być może dziewcząt, które zaginęły tamtego lata, zapewne ofiar Smitha. Ambrose został tam i bada to miejsce wraz ze swoim byłym partnerem w tym śledztwie, Drummondem. Obaj są zdeterminowani, żeby ostatecznie zamknąć tę sprawę, jeśli im się uda, zrobimy pierwszy krok w stronę identyfikacji zabójcy. Mamy też zaskakujące nowe informacje o trzecim podejrzanym w sprawie morderstwa Mountbattena, niejakiego Smitha, które mogą się potwierdzić albo nie. Tak czy inaczej, mamy jakiś trop. Może uda się nim gdzieś dojść. Być może do „Pionka”.

- Świetna robota - powiedział „C” w zamyśleniu.

- Dziękuję, sir - odparł Hawke zdumiony, że chyba po raz pierwszy i jedyny szef powiedział komplement pod jego adresem.

35.

Paryż, sierpień 1997

Smith siedział nieruchomo w półmroku, nie mogąc oderwać wzroku od monitora z migoczącym czarno-białym obrazem słynnej kobiety. Minęło wiele lat od jego triumfu w zamku Windsor. Miał też kilka drobniejszych sposobności, by zadać kolejny cios w serce brytyjskiej monarchii, nawet z kilku skorzystał. Ale dzisiaj?

Dziś wieczorem odbierze nagrodę za cierpliwość i niewiarygodnie drobiazgowo planowanie. I będzie to wstrząsające, przełomowe dla świata wydarzenie, które zatrzęsie fundamentami rodziny królewskiej tak mocno, jak zamach na Mountbattena. Wstrząśnie nimi i całym tym cholernym narodem do głębi.

Najlepsze jest to, że będzie to doskonały pierwszy akt prowadzący do zaplanowanego przezeń wielkiego finału. Dnia ostatecznego rozrachunku z nieprzejednanym wrogiem. Kulminacją heroicznego wysiłku całego życia, spełnieniem dziecięcych marzeń o zemście totalnej.

Okno za okno.

Zobaczył, że właśnie skończyła się ubierać, odpowiednio szykownie jak na wieczorną randkę w Paryżu. Teraz pochyliła się do lustra nad toaletką, żeby nałożyć szminkę. Zaciśnęła usta kilka razy i wypróbowała uśmiech. Niezadowolona z efektu podniosła kryształowy kieliszek z szampanem.

Z błyszczącymi oczyma wzniosła toast do lustra.

Dawno tak dobrze nie wyglądała, pomyślał, już od lat. Ale w oczach wciąż malowały jej się ból i zaszczucie, jakie widział w złych czasach. Wyglądała jak wiecznie uciekająca kobieta. I taką była w istocie.

Na podrabianym biurku w stylu Ludwika XIV stały cztery płaskie monitory, od których maleńki pokój skąpany był w chłodnym fluorescencyjnym błękitcie. Godzinę wcześniej Smith podłączył się do hotelowego systemu monitoringu: na trzech wyświetlaczach zmieniały się transmisje z kilku różnych kamer zamontowanych wewnątrz

budynku: frontowe i tylne wejścia, windy dla gości i dla obsługi, wejście dla pracowników i foyer bezpośrednio za biało-złotymi podwójnymi drzwiami do apartamentu właściciela hotelu piętro wyżej.

Nie bez kozery nazywano go apartamentem królewskim. Stanowił dokładną replikę pokoiów Ludwika XIV w Wersalu i był najdroższym pokojem hotelowym w całym Paryżu.

Na czwartym ekranie również wyświetlał się obraz na żywo, ale pochodzący z wewnątrz apartamentu królewskiego. Mógł przełączać się między dwiema ukrytymi kamerami. Jego inżynier dobrze się spisał. Jedna kamera zamontowana była w czujniku przeciwpożarowym na suficie w salonie, druga miała obiektyw obracający się w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni i została umieszczona w żyrandolu głównej sypialni. Jego uwagę przykuwał teraz obraz dochodzący z urządzonej z przepychem sypialni.

Na głowie miał słuchawkę z mikrofonem, za pomocą której mógł po cichu i błyskawicznie komunikować się z kolegą czekającym właśnie na placu Vendome, tuż pod tym groteskowo drogim hotelem.

- Lada chwila - powiedział Smith cicho do mikrofonu. - Właśnie skończyła się ubierać.

- Niedobrze. Ile jeszcze? - zapytał motocyklista. - Miejscowi zaczynają się tu niepokoić.

- Dziesięć, góra piętnaście minut. Widzę, że samochody czekają już pod głównym wejściem do hotelu.

- Właśnie podjechały. Jego czarny range rover HSE i czarna hotelowa limuzyna, mercedes jego ojca.

- To się jeszcze może zmienić. Miej oczy otwarte.

- Czekam na sygnał, sir.

- Bądź w pogotowiu.

Podglądacz wrócił do swojej pracy. Nie mógł się nie uśmiechnąć, czując przewidywalną reakcję na widok częściowo ubranej kobiety na ekranie: wilgotne czoło, żywsze bicie serca, niewielka erekcja.

Był doskonale wyszkolony w obserwacji ludzkich zachowań, więc powinien się spodziewać własnych odruchowych reakcji na ten widok. Zawsze tak na niego wpływała. Na każdego tak wpływała. Miała u stóp cały cholerny świat, więc dlaczego on miałby być nieczuły na jej uroki? Mimo to w obecnych okolicznościach takie uczucia trochę go rozpraszały.

W wieku trzydziestu sześciu lat wciąż wyglądała pięknie i świeżo, a teraz miała jeszcze zdrową opaleniznę po tygodniu spędzonym na jachcie w okolicy Sardynii. Patrzyła na swoje ciało w lusterku nad toaletką. Zadowolona zarzuciła na szczupłe opalone ramiona krótką czarną luźną marynarkę. Wygładziła ją na biodrach opiętych w białe dzinsy od Versace, jeszcze raz pochyliła się do lusterka, żeby sprawdzić makijaż i wydać usta. Na szyi miała nowy sznur pereł...

Smith przesunął do oporu suwak dający zbliżenie, żeby jak najlepiej przyjrzeć się tej słynnej twarzy.

Błyszczała po dwóch czy trzech kieliszkach szampana, które wypili w pięknym apartamencie hotelu Ritz wraz z jej nowym kochankiem. Księżna wyglądała jak kobieta, która znalazła chwilową ucieczkę od koszmarów swego życia. Wyglądała jak rozbitek, wyczerpany zgiełkiem, ale chcący za wszelką cenę znaleźć wyjście z podglądanego przez wszystkich labiryntu niekończącego się żalu. Wyjście z labiryntu, bezpieczny port w czasie burzy - tak właśnie postrzegała swego najnowszego kochanka.

Mężczyzna był jej w stanie zapewnić to wszystko i nie tylko to. Szczęśliwym zrzędzeniem losu udało jej się wbić ostry jak brzytwa polityczny nóż w plecy tych, którzy przysporzyli jej ogromnych cierpień.

Widował ją w rozmaitych nastrojach, na żywo, jak i w mediach. Ale był przekonany, że dziś wyglądała pięknie i była niezwykle odprężona. Czy tak jest naprawdę? - zastanawiał się - czy to jedynie posunięta do mistrzostwa sztuka uwodzenia, którą tak wytrwale praktykowała?

Oto i kochanek. Smith zamrugał i pochylił się do przodu. Zdał sobie sprawę, że wpatruje się z zaciekawieniem w dość nieopierzonego jeszcze chłopaka, który pojawił się właśnie w kadrze, kołysząc się nieatrakcyjnie. Przybysz zyskał już światowy rozgłos i aurę celebryty, ale świecił jedynie odbitym światłem księżnej, która zezwalała mu skosztować tej odrobiny sławy.

Kochanek podszedł do niej od tyłu, objął ją w pasie, musnął jej kark i pocałował w ucho, wpatrując się w ich wspólne odbicie w lustrze.

- Jesteś szczęśliwa, kochanie? - zamruczał.
- Tęsknię za chłopcami. Ale tak.

- Chyba nieźle się z nimi dogaduję, nie sądzisz?

Pochyliła się do przodu, żeby nałożyć błyszczący na usta.

- Will będzie kiedyś królem Anglii. Biedulek. Wszyscy ci wredni krewni będą go całować w królewski tyłek.

Rozwiedziony egipski playboy roześmiał się na tę wyborną ironię. Od kiedy poznał tę zjawiskową kobietę, jego życie nagle, cudownie odmieniło się na lepsze. Kto by pomyślał. Ojczym króla Anglii. Pokazałby w ten sposób staremu, jakiego ma syna.

Hotel, najstynniejszy i najdroższy na świecie, należał do jego ojca. Ukradł go jakiemuś saudyjskiemu księciu, o którym wiadomo było, że nigdy nie czyta tego, co jest drobnym drukiem. Paryski Ritz był jeszcze jedną perłą w ojcowskiej koronie, obok domu towarowego Harrods w Londynie.

Ojciec jednak cierpiał. Ku swemu wiecznemu rozgoryczeniu próbował wkupić się w londyńską socjetę, ale bez powodzenia. Liczył na szlachecki tytuł, tymczasem od lat był ignorowany i upokarzany przez brytyjską rodzinę królewską i arystokrację. W końcu jednak był o krok od cudownej zemsty.

Jego syn miał wkrótce ożenić się z matką przyszłego króla Anglii.

Dodi prawie słyszał, jak papa oblizuje palce gdzieś za kulisami i przegląda magazyn „Hello” strona po stronie w poszukiwaniu zdjęć syna i księżnej pływających się w luksusach na Riwierze. Zemsta na srebrnej tacy. Takie danie najlepiej smakuje powoli. Być może teraz ojciec zacznie go traktować poważniej. Może nawet szanse zaczęły przechylać się na korzyść. Z całą pewnością uwaga mediów skupiła się tylko na nim i to on kąpał się w tym blasku.

- Mam coś dla ciebie, wiesz - mruknął Dodi, pieszcząc jej szyję.

- Hm. Chyba nie coś w małym czarnym pudełeczku obitym aksamitem?

- Może tak, może nie - powiedział, nie zważając na drobną sugestię. Drażniła się z nim? Podpowiadała mu? Z kobietami nigdy nie było wiadomo, a z tą szczególnie. Po wszystkich swoich romansach, które skończyły się niczym, trafił oto na kobietę, która uświadomiła mu, co to znaczy „droga w utrzymaniu”. Ale na Boga, była tego warta. Kiedy po raz pierwszy na nią spojrział, nie wiedział, jak zareagować

na to, co mówiła i robiła. Ale teraz było inaczej.

Teraz powoli zaczynał rozumieć radę swego o wiele mądrzejszego ojca, której ten udzielił mu, kiedy zaczynał zabiegać o względy księżnej. Ojciec mówił o niej: „Posłuchaj, synu. Jej myśli nie biegną prostym racjonalnym torem. Ma aktywny, ale niespokojny i kapryśny umysł, który często wyciąga nagle i drastyczne wnioski. Umysł, który cechuje pewien rodzaj błyskotliwości, ale takiej, która miga to tu, to tam, równie bezużytecznie jak błyskawica”.

Wtedy nie rozumiał tej lekcji. Teraz zaczynał ją pojmować i czuł się coraz pewniej.

Odsunęła się od niego, wzięła torebkę i obdarzyła nieśmiałym uśmiechem spod rzęs.

- Na razie żadnych błyskotek. Może później. W twoim mieszkaniu. Chcę stąd uciec. Z dala od tych strasznych ludzi.

Nie odpowiedział, w milczeniu schował małe aksamitne pudełko do kieszeni skórzanej kurtki. Pół godziny wcześniej przeszedł na drugą stronę placu Vendome, żeby wpaść do swego przyjaciela, słynnego jubilera Alberto Repossiego. Alberto miał na sprzedaż pierścionek w kształcie gwiazdki z pięcioma brylantami, za ćwierć miliona dolarów. Należał do kolekcji „Dis-Moi Oui”: Powiedz tak.

Dodi kupił go bez namysłu, wiedząc, że ojciec z chęcią pokryje rachunek.

Na monitorze Smith zobaczył, że fałszywy szlachcic w fałszywej lśniącej zbroi wyraźnie się ożywił. Zadzwoił jego telefon komórkowy. Odwrócił się od księżnej, marszcząc gniewnie czoło. Zaczął szybko chodzić w tę i we w tę, niczym głodny tygrys w złotej klatce. Z komórką przy uchu beształ któregoś z dwóch osobistych ochroniarzy, Trevora lub Keza. Mówił szeptem, ale silny mikrofon nad głową łowił każde słowo.

Dodi wziął kieliszek z szampanem i podszedł do najbliższego okna w sypialni. Zerknął w dół na migoczącą ciemność na placu Vendome, gniewnie kręcąc głową na widok groźnego stada paparazzich, czekających niczym głodne wilki na kawałek świeżego mięsa.

Smith pochylił się do przodu ze wzrokiem wbitym w monitor. Podkreślił głośność w słuchawkach i chłonął każde słowo młodego człowieka. Historia niczym z opery rozwijała się szybciej z każdą chwilą i miała wszystkie elementy wielkiego dramatu. Gruba solistka miała za chwilę wyjść z cienia, gotowa zaśpiewać arię dla uroczej labędzicy spoglądającej po raz ostatni w ukochane lustro.

- Słuchaj, Trevor - mówił rozgniewany Dodi do swego głównego ochroniarza. - Gównu mnie obchodzą teraz twoje protokoły bezpieczeństwa, rozumiesz? Wyjeżdżamy stąd i prowadzi Henri. Dotarło? Wracamy do mojego mieszkania przy rue Arsene Houssaye, rozumiesz? Przed hotelem szykuje się jakieś cholerne polowanie. Co najmniej setka paparazzich i turystów! Na litość boską, właśnie patrzę na to kłębowisko i nie zamierzam księżnej znowu na to narażać. Dwa samochody przed wejściem posłużą za przynętę. Dzwoni natychmiast do Henriego i podstawcie jeszcze jednego mercedesa od tyłu. Powiedz ochronie z Ritza, że mają tam natychmiast podstawić samochód! Wejście od rue Cambon, *tout suite!*

Słuchał jeszcze przez kilka chwil, skrzywił się i powiedział:

- Mój ojciec już się na to zgodził, więc przestań mi już chrzanić. Jeśli ty albo Kez chcecie jechać z przodu z Henrim, to proszę bardzo. Ale tylko jeden z was. Rozumiesz? I niech żaden samochód nie jedzie za nami. Do mojego mieszkania jest raptem półtora kilometra, na litość boską. Co za problem. Zrozumiałeś? Świetnie.

Dodi zamknął telefon na udzie i wsunął do kieszeni zamszowej kurtki. Uchwycił spojrzenie Diany w lustrze, uśmiechnął się swobodnie i powiedział:

- Wszystko przygotowane, kochanie. Możemy jechać w każdej chwili.

- Dwie sekundy - powiedziała Diana.

Podniósł jej błyszczący kieliszek szampana i wychylił duszkiem. Wyciągnął z chłodzonego srebrnego kubelka butelkę markowego Roederer Cristal i zobaczył, że jest pusta. Zamówić kolejną? Nie. Robiło się późno. W mieszkaniu czekały schłodzone białe wino i kawior. Czas jechać.

Dodi odwrócił się z powrotem do okna i uśmiechnął na myśl, jak skończy się ten magiczny wieczór. Spędzili kilka cudownych dni na

jachcie ojca, „Jonikal”, pływając w pobliżu francuskiej i włoskiej Riwiery. Dianą wyglądała na naprawdę szczęśliwą, choć Trevor i Kez całkowicie spieprzyli ich wcześniejszy przyjazd do Ritza. Obiektywy wbijały jej się prawie w twarz, zewsząd wykrzykiwano obcesowe pytania. Diana uciekła do hotelu zapłakana.

Wyraźnie też nie zrobiła na niej wrażenia Villa Windsor, uroczą paryską rezydencją, w której niegdyś mieszkali książę i księżna Windsor. Ojciec wyraźnie dawał do zrozumienia, że ten dom będzie należał do niego, jeśli wezmą ślub z Dianą. Po raz pierwszy w życiu Dodi poczuł, że jego potężny ojciec jest zadowolony z tego, co robi jego syn.

„Mój przystojny synu, zostaniesz ojczymem dwóch dziedziców tronu Anglii... i wtedy będziemy rządzić”.

Takie właśnie słowa wyszeptał mu ojciec, kiedy stali na rufie „Jonikal”, obserwując, jak Diana i jej dwaj synowie ścigają się wokół jachtu na skuterach wodnych Kawasaki.

Dodi poklepał się po kieszeni. Chciał jej dać pierścionek dzisiaj. Ale miała rację. Nie w tym hotelowym apartamencie, który jak wszystko należał do ojca, tylko w jego własnym luksusowym paryskim apartamencie. Teraz jest już samodzielny, albo wkrótce będzie.

Smith zauważył, że Dodi spogląda na zegarek i sam zerknął na swój.

Była dokładnie 23.37.

35a.

Paryż, sierpień 1997

Dopiero rano Smith wynajął ten mały pokoik od podwórza na piątym piętrze Ritza. W normalnych warunkach uznałby go za norę, ale teraz nadawał się doskonale do jego potrzeb. Dowiedziawszy się o planach Dodiego od swoich agentów na lotnisku Le Bourget w

Paryżu, kazał rano swojemu inżynierowi Amirowi zamontować sprzęt podsłuchowy. Najpierw podłączył się do hotelowego systemu monitoringu liczącego czterdzieści trzy kamery. Dzięki temu miał widok na wnętrza hotelu, jak i na wejścia od frontu i od tyłu.

Następnie włączył starannie ukryte minikamery i mikrofony, które jego człowiek zainstalował w apartamencie królewskim. Opłacał prywatnie bardzo drogiego inżyniera z Ritza, który zapewnił mu pełną widoczność wewnątrz apartamentu i w całym hotelu.

Sięgnął i przełączył klawisz, szybko zmieniając widoki z kamer, póki nie znalazł tego, czego szukał. Widział teraz, co tak zdenerwowało Dodiego - frontowe wejście do hotelu. Czekają tam rozgorączkowane stado paparazzich. Co najmniej setka fotografów bez przerwy przepychała się, by zająć jak najlepsze miejsce.

Kiedy kilka dni wcześniej pojawiły się plotki o romansie Dodiego z Dianą, dziennikarze i fotografowie zjechali do Paryża z całej Europy. Każdy liczył na „zdjęcie roku”, które mogło przynieść nawet ponad milion funtów. Widział ich krwiożerczy nastrój, byli niczym wściekłe psy idące na żer.

Owszem, to mogło się skończyć źle, kiedy słynna twarz pojawiłaby się przed hotelem.

Krążyły pogłoski, że Diana jest w ciąży. Gdyby któryś z tych zbirów zdołał zrobić zdjęcie małego wybrzuszenia tej doskonałej sylwetki - ciężowego brzuszka - mógłby zarobić miliony.

Przed wejściem stały dwa samochody - czarna limuzyna mercedes z Ritza i prywatny czarny range rover Dodiego. Kierowcy już siedzieli za kółkiem. Henri Paul, szef ochrony Ritza, wychodził co chwila z holu i krzychał do paparazzich:

- Już niedługo, chłopaki! Wyjdzie za minutę czy dwie, więc grzejdzie migawki, panowie!

Smith, z oczami błyszczącymi od migającego błękitnego światła jak dwa kawalki marmuru, poprawił mikrofon. Patrzył na stado warczących motocykli. Fotografowie zasiadali już na tylnych siedzeniach za kierowcami. Na obrzeżu tego tłumu, w cieniu kolumny Napoleona, stał biało-niebieski motocykl BMW K1300S.

Dzisiejszej nocy był to niezbędny sprzęt, najpotężniejszy i najszybszy seryjnie produkowany motocykl na świecie.

- Abdul - odezwał się Smith do mikrofonu, a mężczyzna na motocyklu bmw instynktownie obrócił głowę w stronę najwyższego piętra hotelu.

- Sir?

- Zmiana planów.

- Tak, sir?

- Wyjadą tylnym wyjściem. Od rue Cambon.

- Kiedy?

- Już. Hotelowy mercedes, standardowy. Czyli bez opancerzenia, bez przyciemnianych szyb.

- Doskonale. Już jadę.

Zobaczył, jak bmw rusza, powoli, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, i znika z placu.

Smith przełączył się z powrotem na widok z apartamentu królewskiego. Dodi, ubrany już w dżinsy, skórzaną koszulę noszoną na zewnątrz i kowbojskie buty, czekał na Dianę przy drzwiach sypialni.

- Wyglądasz dziś przepięknie. Jestem szczęściarzem.

- Nie bądź śmieszny - roześmiała się Diana. - Co wieczór pięknie wyglądam. Tak mi wszyscy mówią, nie słyszałeś?

Zachichotała i wzięła go za rękę. Wyszli do salonu. Diana potrząsnęła blond włosami, zostawiając za sobą wszelkie troski. Zamierzała się dobrze bawić.

Smith wyłączył sprzęt wideo i zdjął słuchawkę. Wstał, wziął czarną nylonową torbę fotograficzną i przełożył ją sobie przez ramię. Następnie wyszedł. Specjalnie nie zamykał drzwi, bo jego inżynier miał za chwilę przyjść i wszystko usunąć, likwidując wszelkie ślady jego obecności.

Pokój, który wynajął, jeden z najtańszych w hotelu, był położony obok wyjścia ewakuacyjnego. Błyskawicznie zszedł na parter i wyszedł tylnym wyjściem.

Diana i Dodi wyszli z apartamentu królewskiego czternaście minut po północy. Zeszli po schodach do tylnego wyjścia z Ritza i czekali na mercedesa w wąskim korytarzyku ewakuacyjnym. Dodi wysłał Trevora na zewnątrz, by wypatrywał hotelowej limuzyny i rozmawiał z tymczasowym szefem ochrony, Henrim Paulem, który miał ich zawieźć do mieszkania.

- Samochód już jest - powiedział Trevor pięć minut później, zaglądając do korytarzyka.

Ochroniarz wyraźnie nie był szczęśliwy. Cholerny zastępczy samochód, mercedes S280, nie był opancerzony. Co gorsza, nie miał przyciemnianych szyb. Na dodatek wybrany przez Dodiego kierowca, szef ochrony Ritza Henri Paul, chyba trochę zasiedział się w barze.

Wszystko to razem było całkowicie nieprofesjonalne i groziło monstrualną wpadką. A najgorsze, że właściwie nic nie mógł z tym zrobić. Nie po raz pierwszy postanowił, że wkrótce powie panu Dodiemu Fayedowi, żeby go pocałował w dupę. Nigdy nie był hojnym szefem, nie powiedział miłego słowa, nie uśmiechnął się z wdzięczności. A teraz, kiedy w jego życiu pojawiła się ona...

Dodi położył delikatnie rękę na plecach Diany i popchnął ją w stronę czekającej limuzyny. Henri wziął kluczyki od hotelowego kierowcy i wsiadł za kółko. Kilku podejrzliwych paparazzich, którzy wyczuli fortel, wyszło z cienia i ciemność rozświetliły błyski fleszy. Diana opuściła wzrok i osłoniła twarz prawą ręką, zaś Trevor szybko wpełchnął oboje na tylne siedzenie i usiadł z przodu obok Henriego Paula.

Nim Henri uruchomił silnik, odwrócił się i uśmiechnął do Dodi.

- Tym razem udało się wykiwać większość tych cholernych fotopstryków, co, szefie?

Szefie? Dodi patrzył tylko na niego, próbując powstrzymać gniew. W ten sposób pracownicy nie mieli prawa się do niego zwracać, a już na pewno nie w obecności księżnej Walii. Po raz pierwszy zauważył, że Henri jest chyba na lekkim rauszu. Spojrzał na Trevora i zrobił gest przechylania butelki, kiwając głową w stronę Henriego.

Trevor przytaknął, ale z pewnością nie był tego pewien. Był jednak wściekły, wściekły na wszystkich. Dodi łamał wszelkie zasady i chroniąca go ekipa nie cieszyła się z tego powodu. Po raz pierwszy od tygodni Dodi poczuł, że ogarnia go obawa.

- Henri, jesteś pewien, że możesz prowadzić? - zapytał kierowcę.

- Oczywiście, sir. Nie ma żadnego problemu. Za pięć minut będziemy w domu.

Dodi oparł się wygodniej, wziął Dianę za rękę i przysunął do siebie. Był otoczony idiotami, ale nie czas, by kolejna kłótnia ze służbą zepsuła mu bodaj najważniejszy wieczór w życiu.

Trevor natychmiast wyjął krótkofalówkę i dał Kezowi, siedzącemu w pierwotnie zarezerwowanym mercedesie przed frontowym wejściem, znak, że właśnie ruszają. Dwie minuty później mercedes Keza i range rover ruszyły sprzed wejścia od strony placach Vendome. Podstęp Dodiego szybko się wydał. Większość paparazzich była już w drodze do wejścia od rue Cambon, gdzie dwadzieścia minut po północy Henri Paul zostawił za sobą pstrykające flesze i ruszył spod hotelu, szybko przyspieszając.

- Proszę zapiąć pasy - rzucił Trevor przez ramię. Żadne z nich nie zwróciło na niego uwagi. Chrzanić to, pomyślał Trevor i sam też nie zapiął pasa. W końcu to raptem niecałe trzy kilometry. Pięć minut góra.

I tak wszyscy mają gdzieś wszelkie procedury, zżymał się w duchu. Już wystarczająco długo wystawiano na próbę jego profesjonalizm. Ma już dość tych ludzi.

Ani Trevor, ani nikt inny nie zauważył dużego niebiesko-białego motocykla bmw, który śledził ich, trzymając się kilkaset metrów z tyłu.

W mroku, z tyłu mercedesa Dodi pocałował Dianę w głowę i powiedział:

- Jeszcze kilka minut, kochanie, i będziemy w domu.

Henri Paul przyspieszył na jednokierunkowej rue Cambon, a następnie skręcił wielkim wozem w prawo, w rue de Rivoli, w kierunku placu Zgody. Jechał na południe zachodnią stroną placu, mijając iglicę Kleopatry, aż dojechał prawie do Sekwany. Nie zważając na czerwone światła, skręcił w prawo, na podwójną drogę ekspresową o nazwie Cours la Reine biegnącą równolegle do Sekwany. Niemal natychmiast wjechali w ciąg tuneli i Henri przyspieszył - wskazówka prędkościomierza przekroczyła sto kilometrów.

- Dlaczego, do diabła, jedziesz tędy? - zapytał go rozdrażniony Trevor. To była znacznie dłuższa trasa niż bezpośrednia droga przez Pola Elizejskie. Nie chciał, żeby jego podopieczni spędzali w tym

cholernym samochodzie choćby sekundę dłużej niż to absolutnie niezbędne.

- W ten sposób wymkniemy się tym draniom - mruknął Henri, spoglądając w lusterko wsteczne. - Żaden z nich nie będzie się spodziewał, że pojedziemy tędy.

- Chryste - szepnął Trevor. Teraz to już naprawdę przegięliśmy, pomyślał. A skoro nikt się tym w ogóle nie przejmuje, to ja też nie zamierzam.

Wtem dostrzegł we wstecznym lusterku wielki motocykl, który nagle zaczął przyspieszać. Henri Paul też go dojrzał i dodał gazu. Przynajmniej drań z tylnego siedzenia nie zdoła zrobić dobrego zdjęcia, pomyślał Trevor. W tunelach było ciemno, a brak oświetlenia we wnętrzu samochodu sprawi, że zewnętrzne światła będą odbijać się od szyb. Refleksów będzie tyle, że nie sposób będzie zrobić przyzwoitego zdjęcia pasażerów chichoczących właśnie z tyłu Bóg wie z czego.

Kiedy wpadli z dużą prędkością w tunel Pont d'Alma, w samochodzie zapanował półmrok.

- Jezu Chryste, człowieku! Uważaj! - krzyknął Trevor i chwycił obiema rękami za deskę rozdzielczą.

Diana chwyciła przedni fotel od tyłu i pochyliła się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nagle krzyknęła.

- O Boże, uderzymy go!

Zbliżali się o wiele za szybko do białego fiata uno, a samochód zjeżdżał prosto na ich pas. Henri odbił mocno w lewo, żeby uniknąć zderzenia. Udało mu się, ale nie do końca. Przytarli lewy bok fiata prawym lusterkiem i przednimi drzwiami.

- Dodi! - krzyknęła Diana, machając do niego pięścią. - Zrób coś!

Potężne betonowe filary podpierające tunel zlewały się przy tej szybkości w jeden i były niebezpiecznie blisko.

- Henri, co się, do cholery, dzieje? - ryknął Dodi, pochylając się do przodu. - Odbiło ci, kurwa? Zwolnij, na litość boską!

Henri Paul zredukował bieg i przyhamował, by odzyskać panowanie nad pędzącym wozem.

Diana, przerażona, że Henri przestał panować nad sytuacją i jedzie niebezpiecznie, zerkała nad ramieniem Trevora, bojąc się o własne życie.

Jej uwagę zwróciło coś po prawej stronie mercedesa.

Duży niebiesko-biały motocykl z dwoma mężczyznami: krępym kierowcą i wyższym pasażerem na tylnym siedzeniu. Kiedy wielki motocykl ich wyprzedził, zobaczyła, że mężczyzna z tylnego siedzenia sięga do torby fotograficznej przewieszanej przez ramię. Na twarzy miał czarną kominiarkę, co wydało jej się dziwne jak na parazyciego.

- Zgubię cię, cholerny fotopstryku, uważaj tylko - powiedział Henri Paul i znów dodał gazu.

- Nie! - krzyknął Trevor. - Zwolnij, Henri, do cholery jasnej! Kolejne głupie zdjęcie nie ma znaczenia. Reszta stada jest prawie kilometr za nami.

Henri Paul zignorował słowa ochroniarza, zmienił bieg i wcisnął gaz, zamierzając nie dopuścić, by te łajzy wyprzedziły jego i jego cennych pasażerów. Wstrząśnięty zobaczył, że mimo to motocykl bez trudu przyspiesza.

Nagle motocykl zakręcił ostro przed mercedesem, błyskając światłami stop.

Co jest?

- Pasy! - krzyknął znowu Trevor, desperacko chwytając swój pas. Diana wychyliła się między dwoma przednimi fotelami, patrząc na motocykl jadący bezpośrednio przed nimi. Migał światłami stop, ewidentnie hamując, by zrobić ujęcie ich przerażonych twarzy zza przedniej szyby.

- Cholerni natręci! - krzyknęła i łzy pociekły jej po policzkach. Z frustracji uderzyła pięścią w potężny bark Trevora.

Czy już nigdy nie zazna spokoju? Nigdy?

Zobaczyła, że mężczyzna z tylnego siedzenia obraca się do nich, podnosi aparat... nie, to nie aparat... coś innego, jakby dziwny pistolet, i...

Oślepiający błysk światła eksplodował Henriemu Paulowi i Trevorowi prosto w oczy. Potężny wojskowy laser firmy Northrop o mocy dziesięciu tysięcy watów poczynił spustoszenie wewnątrz mercedesa.

Kierowca Henri Paul, w jednej chwili oślepiony potężnym bliskim, ogłuszony i kompletnie zdezorientowany, puścił kierownicę i zakrył podrażnione oczy. Dodi i Diana zamarli. Samochód wpadł w poślizg i pędził prosto na potężne filary pośrodku tunelu.

- O Boże! - krzyknęła Diana. Była oślepią, ale jej mózg natychmiast został sparaliżowany świadomością pewnej śmierci.

- O Boże drogi, zaraz...

W ułamku sekundy ciężki mercedes uderzył czołowo z pełną szybkością w trzydziesty betonowy filar. Henri nie miał nawet szansy wcisnąć hamulca. Przy zderzeniu uruchomiły się poduszki powietrzne, ale ponieważ żaden z pasażerów siedzących w samochodzie nie zapiął pasów, nie na wiele się zdały.

Dodi i Henri Paul zginęli na miejscu. Trevor uderzył głową w szybę i stracił przytomność. Szkło zdarło mu całą twarz.

Księżna Walii przeżyła.

Ale odniosła potężne obrażenia wewnętrzne, kiedy pęd rzucił ją gwałtownie o przedni fotel. Krwawiła z nosa i uszu, wciśnięta między tylną kanapę i fotel Trevora. Serce wciąż biło jej mocno.

Pompowo krew powoli, ale pewnie przez niewielkie pęknięcie tętnicy. Czerwona ciecz wypełniała stale jej klatkę piersiową. Powoli przez niewidzialną ranę uciekały z niej resztki życia.

W rozbitym doszczętnie mercedesie wył klakson, a z roztrzaskanego silnika leciały woda, para i dym. Diana, księżna Walii, leżała w mrocznym, pociętym samochodzie i cicho jęczała:

- O mój Boże, o mój kochany Boże.

W gęsto porośniętym drzewami Lasku Bulońskim Smith polecił swemu kierowcy Abdulowi, by zatrzymał się na ciemnej i pustej ulicy. Powiedział, że musi rozprostować nogi. Zsiadł z tylnego siedzenia i podszedł do bmw od przodu.

- Martwi niczego nie mówią - powiedział Smith i odwróciwszy się, zatopił sztylet prosto w sercu kierowcy.

36.

Hrabstwo Sligo, Irlandia

Trzej mężczyźni stali w gęstym lesie na wzgórzu w szarówce chylącego się ku końcowi letniego dnia. Patrzyli na dom u stóp wzgórza.

Ponad okrutne wycie wiatru przebijały się tylko od czasu do czasu krzyki mew. Zaczął się przypyływ, a wraz z nim napłynęła wilgotna, przesiąknięta jodem mgła. Na zachodzie od czasu do czasu grzmiało, pewnie od morza szła jakaś burza.

Stary trzykondygnacyjny dom nosił nazwę Gospody pod Szczekającym Psem. Wyglądał na opuszczony i wręcz złowieszczy. Wszystkie okna miały pozamykane okiennice. W ogrodzie, o który nikt nie dbał, między przerośniętymi rabatami wiły się chwasty. Niepomalowana brama wychodząca na polną drogę, niegdyś gościniec, wymagała naprawy górnego zawiasu. Bujała się na wietrze jak pijana, ledwo trzymając się niepomalowanego płotu.

Przez lornetkę Hawke zobaczył, że budynek powoli się sypie z braku konserwacji. Znajdował się tak daleko od wszelkich ubitych dróg, że pewnie nikt już się nim nie zainteresuje. Krótko mówiąc, pod każdym względem idealnie nadawał się na bezpieczny dom IRA. Wątpił w to, ale może jednak McMahon powiedział im prawdę.

- Niezwykłe - zauważył Ambrose Congreve. - Bezpieczny dom w takim miejscu to dar od Boga dla każdego, kto pragnie prywatności.

- Ano - przyznał Drummond. - Mieszkałem w okolicy przez prawie sześćdziesiąt lat i nie słyszałem o tym miejscu z piekła rodem. Od lat nikt tu nie zaglądał i nikt nie jeździł tą drogą.

- McMahon ręczy, że to tu - rzekł Congreve głosem człowieka nie do końca przekonanego, że ów dom jest tym, czym miał się okazać.

- Jakoś nie widać, żeby terroryści uwijali się tu jak w ulu, jak to opisywał nasz sówicie opłacany informator - zauważył z przekąsem Alex Hawke. - Może zejdziemy i przyjrzymy się bliżej?

Kiedy zaczęli schodzić stromym i błotnistym zboczem, czując wilgotne gałęzie na twarzach, wszyscy postawili kołnierze, bo wieczór był chłodny. Ścieżka była śliska i musieli stawiać uważnie kroki, by się nie przewrócić.

Hawke szedł na czele i lekko irytowała go opieszałość towarzyszy. Przecież zaraz zapadnie noc, myślał, zatrzymując się, by poczekać na Congreve'a i Drummonda. Nie miał zamiaru spędzić całej nocy na czatach w tym koszmarnym miejscu - zwłaszcza że za chwilę miało lunąć. Oczywiście lekkomyślnie nie przygotowali się na taką ewentualność.

- Co to było? - zapytał nagle Ambrose, chwytając Drummonda za ramię i rozglądając się.

- Nic - odparł poirytowany Hawke. - A jak ci się wydaje?

Congreve obejrzał się ze strachem w mrok i rzekł:

- Wydaje mi się, że usłyszałem tam jakiś trzask... jakby coś albo ktoś szedł przez krzaki. Ale to pewnie wiatr.

- Oczywiście, że wiatr - uspokoił go Drummond. - A co ty się taki zrobiłeś strachliwy?

- Strachliwy? Powiem ci, czego się boję. I szczerze mówiąc, dziwię się, że tobie też to nie przyszło do głowy.

- Co takiego?

- Pułapka, Bull-Dog. Nie wierzę temu McMahonowi ani za grosz. To dwulicowy pijak. A jeśli zmienił zdanie? Obudził się przerażony? Powiedział swoim kumplom z IRA o swojej rozmowie ze mną i Hawkiem Pod Lwem i Owcą?

- Na pewno jest do tego zdolny - wtrącił Hawke. - To znaczy do paniki.

- Albo zrobił to z premedytacją - rozważał Ambrose. - Zdradził nam tę „tajną” Gospodę pod Szczekającym Psem. Twierdził, że to bezpieczny dom IRA. A tymczasem mogą na nas zastawić pułapkę. Tutaj. Dzisiaj.

- I odpuściłby pieniądze? Przecież to niezła sumka. A jeszcze jej nie dostał.

- Bull-Dog, wsadziliśmy go do więzienia na dwadzieścia lat. Jak sam mówi, za niewinność. Chce się zemścić. A to miejsce wydaje mi się za bardzo... spokojne... coś mi tu nie pasuje.

Hawke zaskoczył Congreve'a, przyznając mu szybko rację. Sięgnął do plecaka i wyciągnął lekki karabin maszynowy Heckler & Koch kaliber 9 mm ze składaną kolbą. Wyjął też noktowizor i zawiesił go sobie na pasku na szyi.

- Myślę, że macie sporo racji, posterunkowy. To idealne miejsce na zasadzkę. Odizolowane. Niewykłuczone, że pozakładali tu bomby domowej roboty. Proponuję się schować w krzakach na tej półce z widokiem na dom. Za chwilę się rozpada, a pod drzewami trochę mniej nas zmoczy. Posiedźmy tam cicho z godzinę lub coś koło tego. Jeśli nic się nie będzie działo, wracamy na górę do land rovera.

- A jeśli coś się stanie? - zapytał Drummond.

- Siedzimy spokojnie. Obserwujemy. Oceniamy sytuację. Potem wrócimy z większą liczbą ludzi i lepiej uzbrojeni. Mogę załatwić asystę jednostki brytyjskich komandosów.

- Świetny pomysł - przyklasnął Congreve z ulgą. Otulił się mocno impregnowaną kurtką Barbour. - Idzie deszcz. Ruszmy się.

Blisko godzinę później, mokrzy i głodni, usłyszeli warkot pracującego silnika. Spomiędzy drzew przy starym gościńcu błysnęła para reflektorów w strugach deszczu. Kilka chwil później stara ciężarówka zatrzymała się przed bramą Gospody pod Szczekającym Psem. Zgasł silnik, potem reflektory.

Z pojazdu wysiedli dwaj mężczyźni, jeden przysadzisty, uzbrojeni w krótkie karabiny maszynowe. Rozejrzeli się szybko po drodze i najbliższej okolicy budynku. Na głowach mieli czarne kominiarki. Zadowoleni, że nikt ich nie śledzi, wzięli się do roboty. Jeden z nich poszedł na tył ciężarówki, gdzie odsznurował i podniósł plandekę.

Drugi wszedł do domu i po chwili przez szczeliny w okiennicach można było dostrzec światło, na dole i na piętrze.

Spod plandeki wyskoczyło sześciu kolejnych mężczyzn. Wszyscy byli uzbrojeni i ubrani od stóp do głów w strój z kamuflażem. Zaczęli wyładowywać drewniane skrzynie na tyle ciężkie, że musiało je nieść po dwóch mężczyzn. Łało jak z cebra. Zamaskowani przybysze uwiłali się, żeby znieść sprzęt do budynku.

Kiedy wszystko rozpakowali, dwaj ubrani na czarno zostawili pozostałych sześciu w domu i wsiedli do ciężarówki. Silnik starego auta zaskoczył i ciężarówka, warcząc, zaczęła się oddalać w stronę rzeki i mostu. To była jakaś ważna dostawa, uznał Hawke, ale co takiego przywieźli?

- Napatrzyliście się, panowie? - zapytał Hawke, podnosząc noktowizor na czoło.

- Owszem - odparł Congreve. - Wracajmy na górę jak najszybciej. Mogą zaraz rozesłać patrole. Ja bym tak zrobił.

Jakby na potwierdzenie jego słów z cienia na tyłach gospody wychynęło dwóch mężczyzn. Widać było, że obaj mają broń automatyczną. Natychmiast się rozdzielili. Jeden poszedł w stronę rzeki, drugi w stronę wzgórza, gdzie trzydzieści metrów wyżej przycupnęli w krzewach trzej szpiedzy.

- Spadamy - szepnął Hawke.

Pół godziny później cała trójka siedziała bezpiecznie w ciepłym wnętrzu najnowszego czarnego range rovera. Drummond był kierowcą. „Zarekwirował” auto z garażu rycerza Glin. Pędzili wijącą się wąską drogą otoczoną wysokimi żywopłotami. Wrócili w stronę miasteczka i niewielkiego pensjonatu, gdzie się zatrzymali.

- Niezły wóz - przyznał Congreve, kiedy pędzili wiejską drogą. - Jak długo możemy z niego korzystać?

- Rycerz ma ich całą flotę - wyjaśnił Drummond. - Nawet nie zauważy, że jednego nie będzie przez kilka dni.

- Bull-Dog, kiedy dojedziemy do miasta, podrzuc mnie, proszę, do jednostki wojskowej. Muszę zamienić słowo z moim człowiekiem, ale najpierw muszę porozmawiać z Sahirą Karim z MI-5. Trzeba im opowiedzieć, co zobaczyliśmy. Przygotować jakiś plan działań. O dziewiątej wpadnę do pubu na jakieś piwo i coś na ząb.

Brytyjska armia jeszcze tej samej nocy wysłała do bezpiecznego domu trzech zwiadowców i snajpera. Po mokrej bezsennej nocy spędzili cały dzień, leżąc w ukryciu w lesie. Żołnierze IRA w kamuflażu i kominiarkach chodzili w tę i we w tę od samego świtu. Przyjechały kolejne ciężarówki, które dostarczyły coś, co wyglądało na ciężką broń.

W jednostce wojskowej oddział komandosów przez cały dzień zbroił się i opracowywał plany ataku na bezpieczny dom. Miał nastąpić następnego ranka przed świtem. Regiment odbył już sześć zmian w Irlandii Północnej, ponosząc ogromne straty w Derry i na opanowanych przez terrorystów wiejskich terenach południowego Armagh.

W końcu zawarto wielkopiątkowe porozumienie pokojowe i przemoc w końcu wygasła.

Ale nowy wróg zmęczył się pokojem i chciał wojny. Zaprawieni w boju żołnierze byli gotowi się z nim zmierzyć. Mieli za zadanie zlikwidować przywódców Ugrupowania Prawdziwa IRA, nim zdołają nakręcić nową spiralę przemocy.

Dochodziła trzecia nad ranem. Ciemno choć oko wykol, ani śladu księżycy, ni gwiazd. Pogrążony w ciemności dom został całkowicie otoczony przez oddział elitarnych żołnierzy. Kiedy Hawke przybył na miejsce, dowiedział się, że na wzgórzu nad domem umieszczono moździerz. Hawke przy wsparciu MI-5 przekonał dowódcę oddziału, żeby ich nie używano. Wyjaśniał, że w domu mogą się znajdować cenne dane wywiadowcze: laptopy, mapy itd. i nierozsądnie byłoby ryzykować ich zniszczenie.

Godzinę przed świtem, o 4.57, miał się zacząć atak brytyjskich komandosów. Żołnierze mieli uderzyć na dom. Oceniano, że w środku znajduje się co najmniej dwudziestu uzbrojonych po zęby ludzi. Część skrzyń wyładowywanych z ciężarówek miała zawierać rosyjskie ręczne wyrzutnie raketowe.

Hawke nie mógł się dogadać z Congreve'em i Drummondem. Oba trzeba było mocno przekonywać, żeby zostali na tej samej półce z widokiem na dom, na której spędzili godzinę w deszczu poprzedniej nocy. Domagali się miejsc w pierwszym rzędzie i gotowi byli je zająć siłą.

- Wiedziałem, że powinienem był was zostawić w mieście - rzekł w końcu sfrustrowany Hawke. - Cholera jasna, obaj jesteście całkowicie lekkomyślni. I szczerze mówiąc, zachowujecie się nieprofesjonalnie.

- To także nasza walka - upierał się Congreve z ręką w kieszeni tweedowej marynarki, w której pieścił rękojeść małego walthera 380. - Nie chcemy siedzieć tam na górze na tanim balkonie. Zwłaszcza że ty będziesz na dole w samym ogniu walki.

- Ambrose, to w ogóle nie jest twoja walka - protestował Hawke. - I szczerze mówiąc, wierzyć mi się nie chce, że w ogóle o tym dyskutujemy. To zadanie dla oddziału komandosów. Doskonale wyszkolonych zawodowców. Ludzi, którzy w ten sposób zarabiają na życie. Idą tam ubrani w kevlarowe kamizelki, a nie tweedowe marynarki. Używają broni, której ty nie potrafiłbyś nawet załadować, nie mówiąc o celowaniu czy strzelaniu. Wielu tych chłopców to zaprawieni w bojach weterani z Iraku, którzy zdobywali dom po domu w Basrze czy Faludży, w najgorszych warunkach, jakie możesz sobie wyobrazić.

Congreve milczał, żując fajkę i się zastanawiając. W końcu spojrział na Hawke'a i powiedział:

- Ale ty i tak weźmiesz w tym udział.
- Nie, najprawdopodobniej nie. W każdym razie na pewno nie teraz.

- Ubrałeś się i uzbroiłeś, jakbyś miał to zrobić.

- Po prostu się przygotowałem na wszelki wypadek. Mnie do tego szkolono. Jeśli będę się mógł przydać, wejdę do akcji. Może pamiętasz moją solenną obietnicę złożoną księciu Walii, że znajdę mordercę jego ojca chrzestnego. Otóż może ukrywa się w tym właśnie domu.

- Przepraszam, Alex. To był głupi pomysł. Nikt nie zna się lepiej od ciebie na tego typu walce. Na pewno nie powinieneś marnować czasu, siedząc tu na górze i obserwując tę strzelaninę ze mną i z Bull-Dogiem.

- Nie, nie powinienem. Ale o ile ktoś nie wpadnie na to, żeby poprosić mnie o pomoc, to niestety będę siedział w transporterze opancerzonym razem z dowódcą. Słyszałem trochę o facecie i szczerze mówiąc, wolałbym szczeznąć.

- Co to za jeden? - zapytał Drummond. - Przez te wszystkie lata trochę ich tu poznałem.

- Masterman - wyjaśnił Hawke.

- Major Milo Masterman?

- Ten sam.

- Niech cię Bóg ma w opiece, Alex. Lepiej wejść prosto pod świszczące kule, niż siedzieć z tym wrednym dupkiem. Powinni go już dawno postawić przed plutonem egzekucyjnym za to, że jest palantem do potęgi.

- Bez wątpienia. Na pierwszym spotkaniu po pięciu minutach zaczął mi cytować Wellesleya, księcia Wellington. O ile pamiętam, to rekordowe osiągnięcie.

- Jaki konkretnie cytat?

- „Cała sztuka wojny polega na tym, by zgadnąć, co się znajduje po drugiej stronie wzgórza”.

- No, niezły. Co mu odpowiedziałeś?

- Powiedziałem: „Majorze, gdyby znajdował się pan pod górą, za którą leży bastion wroga, nie musiałby pan niczego zgadywać”.

- Roześmiał się?

- Nie.
- Zły znak.
- Właśnie. No nic, życzenie mi szczęścia.

Z tymi słowami Hawke wstał i zniknął w ciemności. Szedł zwinnie przez las w stronę gościńca po drugiej stronie wzgórza. To tam Masterman kazał rozstawić swoje ruchome centrum dowodzenia w transporterze opancerzonym ukrytym głęboko w zaroślach.

Biegając, Hawke starał się wymyślać wszelkie argumenty za tym, by szef komandosów pozwolił mu wziąć udział w walce. Krew mu się gotowała. A wtedy nie było najmniejszego sensu, by go powstrzymać. Ale tam, gdzie chodziło o życie innych ludzi, wołał nie nadeptywać nikomu na odciski. Nie chciał, żeby ktoś zrobił to jemu, więc starał się nie robić tego także innym.

W Gospodzie pod Szczekającym Psem na pewno było mnóstwo cennych informacji wywiadowczych. Był tego teraz pewien. Broń od wrogów z zagranicy. Ale co to za broń i co za wrogowie?

Czuł też, że wszystko to ma związek z „Pionkiem”. Ze Smithem. Człowiekiem, który zdaniem Congreve'a odpowiada za odrażające morderstwo sprzed trzydziestu lat. Człowiekiem, który być może nawet przebywa w tym domu. Nie potrafił wyjaśnić nawet sobie samemu, skąd to przekonanie, bo jego źródłem były opowieści podpitego wariata McMahona.

Ale miał to przeczucie i to silne.

Zawsze ufał instynktowi.

I zawsze dobrze na tym wychodził.

Złożył szczerą obietnicę Karolowi. I koniec. Musi coś wymyślić, znaleźć jakiś sposób, żeby włączyć się w tę cholerną walkę. Wyjął komórkę i wystukał numer.

37.

Belle Glade, Floryda

Dzień dobry, sierzancie. Jestem detektyw Michelle Garcia z policji w Palm Beach.

- Dzień dobry pani detektyw - powitał ją niski pulchny pracownik zakładu karnego i demonstracyjnie spojrzął na zegarek. - Kwadrans po trzeciej. Spodziewaliśmy się pani nieco wcześniej. To jest ten pani więzień, John T. Smoke, ksywa Ali Baba?

- Tak, to pan Smoke. Oddaję go w pańskie ręce.

- Te, Ali Baba, gdzie zgubiłeś czterdziestu rozbójników? W dupie?

- Przyjaciele mówią na mnie Smokehouse - odezwał się Stoke do strażnika głosem, który dochodził z samych trzewi. - Nie radzę ci więcej używać tego przezwiska.

- Papierki tego chłoptasia w porządku? - zapytał strażnik, nie zwracając uwagi na Stoke'a. Więźniowie cały czas obrzucali go bluźgami. Spływało to po nim jak woda po kacze.

Pracownik więzienia miał mundur khaki pękający od wielkiego brzucha wylewającego mu się nad czarny skórzany pas. Mówił z wyraźnym prowincjonalnym akcentem i Stoke zniecierpliwiał go od pierwszego wejrzenia. Z taniej plastikowej plakietki można było wyczytać, że nazywa się J.T. Swoon. Co to, do cholery, za nazwisko Swoon? Przypomnieli mu się tacy, którzy wżenili się w rodzinę jego kuzynów, a pochodzili z Hollers.

- Papierki są tutaj - powiedziała Michelle i podała mu szarą kopertę z komendy policji w Palm Beach z dużym napisem „John T. Smoke”. Swoon wyjął plik kartek, szybko je przejrzał i skinął głową.

- Widzi mi się, że wszystko jest w porządku, pani detektyw. Jakbym chciał się o nim dowiedzieć czegoś więcej, to go wezmę na przesłuchanie i tyle. Może pani wracać na plażę. Trzeba dbać o taką opaleniznę.

Michelle przewróciła oczyma i spojrzała ciepło na Stoke'a. To spojrzenie mówiło: przepraszam cię za tego kretyna, mną się nie przejmuj, co chwila ktoś mi wrzuca takie aluzje. Uśmiechnęła się ukradkiem, odwróciła na pięcie i wyszła, by nie zdradzić się z niczym przed strażnikiem.

- Diabli wiedzą czemu - odezwał się sierżant, kiedy skończył papierkową robotę. - Ale nie mogę cię na razie zamknąć. Jakiś urzędas z administracji chce się z tobą zobaczyć. Chodzi o jakieś morderstwo, które ponoć popełniłeś w Statesville w Georgii. Podobno załatwiłeś

policjanta stanowego? Coś ci się przypomina, chłoptasiu? Co?

- Nie mam ci nic do powiedzenia, dziadek. Miejmy to już za sobą.
- Powiedziałeś do mnie „dziadek”?
- A ty powiedziałeś do mnie „chłoptaś”?

- Czekaj tu ciężkie życie, koleś, gwarantuję ci to. Chłopaki tutaj nie lubią takich wyszczekanych. Posadź dupsko na ławce. Strażnik zaraz cię zaprowadzi, o, już jest. Cześć, Wiewiór.

- Cześć, J.T. Tego mam zaprowadzić do administracji?

- Ano tego. Mówi, że wołają na niego Smokehouse. Kawał chłopa, co Wiewiór? Lepiej uważaj na niego, synu. Wyszczekany jak baba na targu.

- Idziemy, koleś - powiedział Wiewiór i Stoke wstał.

Gorące wilgotne powietrze na dworze było jak uderzenie żaru z pieca. W porównaniu z podmokłymi Everglades w Miami jest jak w Juneau w styczniu. Do budynku administracji szli całe dziesięć minut i kiedy dotarli na miejsce, Stoke był cały mokry. Zdumiewały go rozmiary całego więzienia. Miało kształt koła, w którym na końcu każdej szprychy mieściły się cele. W miejscu ośki znajdował się trzykondygnacyjny budynek, do którego właśnie wchodził.

Przeszli przez mały hol i windą pojechali na drugie piętro. Strażnik, niski, okrągły, z wąsami niczym mors, zasłaniającymi mu dolną połowę twarzy, nie odezwał się ani słowem, co Stoke'owi zupełnie nie przeszkadzało. Kiedy drzwi się otworzyły na górze, stał w nich brzuchaty mężczyzna w białej koszuli z krótkim rękawem i w krzykliwym krawacie.

- Teraz ja go przejmuję, Wiewiór.

Wiewiór uśmiechnął się do administratora więzienia najbardziej unieźlenie, jak potrafił, i rzekł:

- Świetnie pan wygląda, sir. Podoba mi się pana krawat. Wyrazisty. - Widać było, że Wiewiór nie był zbyt często w administracji. Kiedy drzwi się zamknęły, jeszcze się uśmiechał.

Naczelnik Robb miał śliczną ciemnowłosą sekretarkę w obcisłym różowym swetrze, która stuknęła w klawiaturę komputera tuż przed jego gabinetem, ale naczelnik sam stanął w otwartych drzwiach i zaprosił Stoke'a do środka, kiedy tylko się pojawił.

- Proszę do środka - powiedział i wrócił do gabinetu. Sekretarka obróciła się na krzesło i spojrzała na przechodzącego Stoke'a. Wyglądała jak turystka w Nowym Jorku, która po raz pierwszy widzi Empire State Building. Odchyła wtedy głowę do tyłu dopóty, dopóki nie zobaczy samego czubka wieżowca.

- Może pan zamknąć drzwi, panie Jones?

- Jasne - odparł Stoke i zamknął je.

- Cóż, głupio mi mówić „witamy w Glades”, ale cóż, witamy w Glades, sir.

- Miło mi.

- Obawiam się jednak, że mam złe wieści.

- Coś z Rekinkiem?

- Tak, sir.

- Ranny? Nie żyje?

- Żyje. Ale niewiele brakowało. Leży w więziennym szpitalu. Niech pan usiądzie. Proszę sobie przysunąć krzesło.

- Co się stało, naczelniku? - zapytał Stoke, siadając. W duchu przeklinał się, że nie zjawił się tu wcześniej.

- Panie Jones, martwiłem się o tego chłopaka od samego początku. Miły Kubańczyk z wielkim uśmiechem. Kazałem jednemu z najbardziej zaufanych strażników mieć na niego oko. Nazywa się Figg. Orson Figg. Niech pan zapamięta to nazwisko w razie jakichś poważnych kłopotów. To jedyny strażnik, któremu można zaufać. I wie, że pan tu jest.

- A mój przyjaciel? Co z nim?

- Wczoraj banda Aryjczyków przyłapała go samego na dziedzińcu. Zanim zdążyliśmy ich rozdzielić, dziabnęli go dwadzieścia dwa razy. Głównie szpikulcem do lodu, parę ran od brzytwy.

- Jezu.

- Niezwykłe, co? Kiedy go wyrwaliśmy z łap tych Aryjczyków, nadal trzymał się na nogach. Chłopak nie odpuszcza. Jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

- Rekiniek?

- Zadziorny kogucik z niego. Nie pozwolił, żeby ktoś go podtrzymywał, kiedy schodził z dziedzińca. Wszystkich odganiał. Szedł noga za nogą, krew tryskała mu ze wszystkich dziur. A kiedy wszedł do środka i nikt go już nie widział, padł jak długi na podłogę, nieprzytomny.

- Mogę się z nim zobaczyć?

- Oczywiście, ale trochę bym się z tym wstrzymał. Jeśli pan najpierw go odwiedzi, więźniowie zaczną coś podejrzewać. Tu plotki szerzą się jak pożar po suchej trawie. Teraz pewnie wszyscy gadają o tym policjancie ze stanówki, którego pan ponoć zabił w Georgii. Dam panu znać, kiedy będzie można zajrzeć do niego. Proszę się o niego nie martwić, panie Jones. Wyliże się z tego. Stracił tylko dużo krwi na dziedzińcu, ale nie uszkodzono żadnych organów ani dużych naczyń krwionośnych.

- Dziękuję, że się nim zaopiekowaliście.

- Panie Jones, to są moi ludzie. Może zachowują się nie najlepiej, ale to moi ludzie. A swoją drogą, wiem, po co pan tu się zjawił i powiem panu, że w samą porę.

- Jak to?

- Słyszał pan o Mieczu Allacha? O tych, co miesiąc temu wysadzili szpital Jackson Memorial? O tych, co stąd uciekli? Szykują coś dużego. Tak się przynajmniej tutaj gada.

- Coś większego niż Jackson?

- Z tego co słyszałem, Jackson Memorial miał być tylko wprawką. Coś wielkiego, tylko tyle wiem. Coś na masową skalę. Jeszcze pół roku temu miałem płatnego informatora u tych z Miecza, ale ktoś go załatwił. Szkoda, że nie wiem nic więcej. Może pan się dowie, panie Jones. Nikt inny nie ma szans.

- Po to tu jestem.

- Wygląda pan na kogoś, kto potrafi o siebie zadbać.

- Tak czy siak, jeszcze żyję. Czyli coś jest na rzeczy. Muszę się dostać do tego Miecza. Blisko ich wierchuszki.

- Tak, ale to oni muszą przyjść do pana. Jeśli pan zacznie za nimi chodzić, zrobią się podejrzliwi.

- Robiłem już podobne rzeczy, ale dzięki za radę.

- Oby się przydała. A teraz niech pan słucha. Jest tu jeden więzień, na którego trzeba szczególnie uważać. Facet kontroluje organizację Białych Aryjczyków na terenie Florydy. Chłopak ma sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi, wygląda jak goryl. Trenuje kick-boxing, tai-chi, karate i tak dalej. Prawie cały czas siedzi na siłowni. Cwany psychopata, który sam siebie nazywa Łamignat.

- Był wśród tych, którzy zranili mojego przyjaciela? Naczelnik się roześmiał.

- Łamignat? Nie. On nie działa w ten sposób. To specjalista. Lubi złamać kręgosłup, skrócić kark czy połamać obie nogi, albo wszystko razem, a potem podpalić człowieka i patrzeć, jak skwierczy. Wie, że nie wyjdzie stąd żywy i już mu na niczym nie zależy, więc zachowuje się tak, a nie inaczej.

Stoke się uśmiechnął.

- Panie naczelniku, nie interesują mnie Aryjczycy. Muszę się dowiedzieć, do kogo mam się zbliżyć, żeby wejść do Miecza Allacha. Kto siedzi na szczycie ich piramidy? Kto może mi opowiedzieć to, czego chcę się dowiedzieć, i kto może być tu wiarygodny?

- Dobre pytanie. Wszyscy są przekonani, że Mieczem kieruje wielki zły sukinsyn o ksywie „Ishtar”. Ale prawdziwym mózgiem organizacji jest jeden z naszych ukochanych gości z Gitmo, niejaki szejek Shiraz. Pakistańczyk. W 2002 roku wysadził izraelską ambasadę. Przebiegły mały drań, wszyscy nazywają go imamem. Mówi jak Yoda z *Gwiazdnych Wojen*, wie pan, o co mi chodzi? Mówi zagadkami. Bardzo uprzejmy. Ma wszelkie stopnie naukowe z islamskich szkół, czy co tam oni mają. Skumpluj się pan z nim, zdobądź jego zaufanie, a rząd zwiększy panu pensję dziesięć razy, niech mi pan wierzy.

- Jeszcze jedno pytanie, naczelniku, i już sobie idę rozsiać się wygodnie w celi. Tak w skrócie, czego, do licha, ci ludzie tutaj chcą? Ci islamscy fanatycy? Zwrócić uwagę na swoją sprawę? Sterroryzować i onieśmielić naszych obywateli? O co chodzi? Jaki ostateczny cel ma Miecz Allacha?

- E, to akurat proste. Zabijać Amerykanów, panie Jones. Zabijać nas, tak jak to zrobili w Jackson Memorial. Zabijać naszych sojuszników brytoli, tak jak zrobili na lotnisku Heathrow jakiś rok temu. Nienawidzą naszego kraju, naszego narodu, naszego sposobu życia i wszystkiego, co symbolizuje. To czysta nienawiść podszyta pasją, którą trudno nawet sobie wyobrazić takim ludziom jak pan czy ja. Chcą nas rzucić na kolana, panie Jones.

- I są wszędzie.

- Właśnie. I chcą nam obciąć głowy Mieczem Allacha. Jakby tego było mało, chcą przy tym zginąć.

- To może zaczniemy od ostatniego punktu na ich liście życzeń, panie naczelniku? Niech zginą przy pracy. To mi pasuje. A potem

zaczniemy iść dalej. Zacząłbym od tego dupka z Ft. Hood. Tego z syndromem masowego morderstwa dlatego, że nikt go nie lubił. Zacznijmy od niego. Naczelnik się roześmiał.

- Nie znam pana, ale na Boga, cieszę się, że pan tu przyjechał. Nie wiem, jakie ma pan powody osobiste, żeby się tego podjąć, ale mogę tylko podziwiać pańską...

- To obowiązek, panie naczelniku. Jedyna rzecz, dla której warto żyć. Albo zginąć. Dawno, dawno temu nauczył mnie tego mój przyjaciel Alex Hawke.

Stoke trafił do bloku D, najpilniej strzeżonego spośród wszystkich pilnie strzeżonych miejsc w Glades. W tym samym bloku siedzieli także członkowie Miecza Allacha. Chodziło o to, żeby zdusić raka w miarę możliwości w jednym miejscu. Szedł do swojej celi bardzo długo, szurając stopami zakutymi w łańcuchy i pobrzękując łańcuchami na rękach. Wraz z nowym więziennym kombinezonem dostał też kaptcie.

- Otworzyć ósemkę! - krzyknął jeden z dwóch strażników i drzwi celi odsunęły się z hukiem. Posadzili go na pryczy i zdjęli łańcuchy z kostek. Kajdany na rękach miał nadal, a ręce miał wykręcone do tyłu. Strażnicy cofnęli się za kratę i czekali, aż drzwi się zamkną. Stoke zauważył, że strażnicy rządzą tu z piracką swadą i dobrze wiedzieli, jak zastraszać więźniów.

- Zamknąć ósemkę! - krzyknął jeden z nich i polecił Stoke'owi, żeby wystawił ręce przez otwór do wydawania jedzenia. Kiedy to zrobił, oswobodzono go z łańcuchów na rękach. Kiedy strażnicy sobie poszli, Stoke usiadł na pryczy i rozcierając nadgarstki, rozejrzał się po celi. Miał ją dzielić z Rekinem. Ale się spóźnił i jakieś sukinsyny go dopadły. Położył się na cienkim materacu z rękoma pod głową i zaczął rozmyślać.

W pierdłu ma się tyle roboty.

Tyle roboty, że ho, ho.

Sięgnął do małego chlebaka pod pryczą. W wydrążonym egzemplarzu *Tęczy grawitacji* - najgrubszej książki, jaką udało mu się znaleźć w antykwariacie - leżała kosa wykonana z zeszlifowanej łyżki i stopionego plastiku z siedmiu szczoteczek do zębów. Taka sama, jaką zrobił dla Rekinia. W innej wielkiej, wydrążonej książce - *Zębach*

tygrysa Toma Clancy'ego - leżało tysiąc dolarów w dwudziestkach i setkach.

Pomacał jeszcze w torbie i wyciągnął egzemplarz Koranu z pozaginanymi kartkami. Od kiedy postanowił dać się zamknąć w Glades, czytał go nabożnie co wieczór. Zielonym markerem zaznaczał frazy, które mógłby wtrącać w rozmowie z Ishtarem albo którymś z jego uczniów, gdyby nadarzyła się okazja.

Koran był w porządku, choć trochę trudniej się go czytało i zapamiętywało niż Biblię. Pan jest mym pasterzem i nie brak mi niczego. Znał ten psalm na pamięć, od kiedy wyuczył się go jako sześciolatek. Często go powtarzał, kiedy się bał, a nawet kiedy czuł się smutny albo samotny. Zawsze pomagało. Wydawało mu się, że wszystkie religie mają taki wpływ na ludzi i naprawdę ciężko było mu znaleźć w Koranie miejsce, gdzie przekonywano: słuchajcie, jest taki pomysł: żeby dostać bilet do raju, trzeba iść i mordować niewinnych mężczyzn, kobiety i dzieci.

Dziś zamiast czytać w ciszy samemu sobie, spróbował czegoś innego. Na wszelki wypadek gdyby ktoś podsłuchiwał, zaczął recytować głośnym szeptem modlitwę:

„Bóg jest wielki.

Zaświadczam, że nie ma boga prócz Allacha.

Zaświadczam, że Muhammadan jest Wysłannikiem Allacha.

Spieszcie do modlitwy.

Spieszcie do sukcesu.

Bóg jest wielki.

Nie ma boga prócz Allacha”.

Powtórzył to kilka razy, żeby wczuć się w rytm i żeby słowa odbiły się echem po bloku. Po chwili zmęczyła go ta religia, więc wyciągnął egzemplarz *The Dreadful Lemon Sky*. To był odcinek przygód Tralisa McGee, który mieli czytać w tym tygodniu w dwuosobowym klubie książki z Eddiem. W *Lemon Sky* najbardziej podobało mu się to, że w przeciwieństwie do Koranu nie trzeba było niczego zaznaczać ani podkreślać.

Wystarczyło poddać się potokowi słów samego mistrza. Proszę bardzo, stary Trav znów zamyka swoją Busted Flush, włącza alarm i żegna się ze swoim kumplem Tygrysem z Alabamy. A potem idzie na

całonocną wyprawę z Meyerem, żeby znaleźć zabójcę jakiejś biednej kobiety, która pewnej nocy zjawiała się z dziewięćdziesięcioma kawałkami dalców i dała je Travowi na przechowanie. Jak Koran może się w ogóle równać z taką literaturą? Czy nawet Biblia? Święci Łukasz, Mateusz czy Jan, wszyscy razem mogą co najwyżej buty czyścić Johnowi D. MacDonaldowni.

Dotarł do strony pięćdziesiątej pierwszej, ale oczy mu się zaczęły zamykać. Skupiał się na radach, jakich ci fanatyczni Arabowie udzielali wszystkim wokół. Owszem, miał otwarty umysł, był w stanie tolerować wiele. Ale nie rozumiał, co ci ludzie, ci radykalni muzułmanie, ci popieprzeni samobójcy z bombami w portkach z Al-Kaidy czy od talibów, co oni takiego kiedykolwiek zrobili, żeby ktoś zwrócił na nich uwagę, nie mówiąc o darzeniu szacunkiem.

Zastanówmy się, rozmyślał i podniósł rękę z pięcioma rozprostowanymi palcami. Czy kiedykolwiek zbudowali jakąś drogę, postawili tamę na rzece albo wykopali studnię, z której wyciągnęliby chociaż wiadro wody? Nie. Czy wygenerowali chociaż wat elektryczności, zbudowali choć jeden samochód, samolot, łódź, pociąg, rower czy deskę do skateboardu? Nie. Dwa palce zagięte. No dobrze, a czy założyli chociaż jeden bank, zbudowali jeden dom, wyprodukowali jeden lek ratujący życie, albo czy w ogóle cokolwiek wyprodukowali? Napisali artykuł, który zdobył Pulitzera? A może napisali powieść? Nie. Trzy palce w dół. A może skomponowali chociaż jedną cholerną piosenkę, ułożyli jeden, kurde, taniec, wygrali chociaż jedne wybory albo czy dali choć jeden recital pianistyczny w całej swej długiej i krwawej historii?

Nie. Pięć palców zagiętych.

Zabijają tylko ludzi. I tyle.

Stoke obiecał sobie coś solennie, leżąc w celi. Jeśli tylko będzie mógł i będzie miał dość sił, zacznie ich zabijać pierwszy. Odszuka ich serce i je wyrwie. Zanim zdążą zabić kolejnych jego rodaków.

Pamiętacie Amerykanów? Ludzie już zaczynają zapominać.

A to naród, który ma uzasadnione powody do dumy. To naród, który przetrzącił kręgosłup Hitlerowi. Uwolnił niezliczone miliony ludzi spod władzy Sowietów. Kazał Gorbi zburzyć ten cholerny mur. Naród, który próbował naprawić świat. Rozdawał miliardy

głodującym ludziom na całym świecie. Budował domy tym, którzy stracili dach nad głową w powodziach czy pożarach. Rozsyłał na cały świat prowiant i leki warte grube miliardy dolarów, porywał się na dyktatorów żądnych władzy. Walczył o słuszną sprawę. Walczył o wolność. O prawo każdego mężczyzny, kobiety i dziecka do wolności.

O niepodległość.

O takich rzeczach mówimy.

Nie o religijnych i politycznych szajbusach, którzy chcieli wysadzić samoloty w trakcie lotu, wsadzić osiem milionów Żydów do pieców czy zagazować wszystkich Kurdów tylko dlatego, że są Kurdami. Nie. Mówimy o zwykłych amerykańskich patriotach. Tylko tyle.

Zajęty tymi pseudogłębokimi myślami Stokely Jones zaczął powoli zasypiać.

Pierwszą noc w Glades Stoke przespał jak niemowlę w ramionach mamusi.

Drugą i trzecią już niekoniecznie.

38.

Belle Glade, Floryda

Pierwsze dni Stoke'a w mamrze przeszły bez większych wydarzeń poza tym, że wódz Johnny Dwie Giwery źle się wyraził o ukochanej matce Stoke'a, więc skończył w więziennym szpitalu. Tak dokładnie to w szpitalu wylądowały tego dnia dwie osoby: wódz Dwie Giwery i pewien biały z kretyńskiego gangu Aryjczyków, który sam siebie nazywał Łamignatem.

Tego dnia Stoke miał się przekonać, że „impresowanie” z więźniami nie było już takie jak kiedyś. Zwłaszcza gdy chodziło o takiego kogoś jak ten, którego ochrzcił mianem Pana Propera.

Łamignat wyglądał jak pieprznęty koleś wyciągnięty żywcem z lat pięćdziesiątych, zupełnie jak Pan Proper z dawnych reklam telewizyjnych, tyle że jeszcze bardziej napakowany sterydami i ze

złotym kółkiem w lewym uchu. Stoke wciąż miał w uszach to hasło reklamowe: „Pan Proper usuwa brud i tłuszcz w niecałą minutę”.

Facet był wyraźnie naszprycowany i agresywny. I nie trzeba było mieć doktoratu z psychiatrii, żeby stwierdzić, że już nie myje okien, tylko ma coś z głową.

Wyglądało też na to, że Łamignat z jakiegoś powodu po prostu nie lubi ciemnoskórych. Może przeżył jakąś traumę w dzieciństwie. Może sikał w piżamkę, kiedy mamusia układała go do snu i wyłączała światło. Pstryk. Ciemno. Strach. A może po prostu urodził się już takim kretynem. Tak czy siak, Stoke widywał go na dziedzińcu z wianuszkami jego gangu, Białych Aryjczyków. Nie wyglądał na takiego, do którego można było podejść i powiedzieć: „Można na sekundkę, panie Łamignat? Rozumiem, że nie możemy się zakumulować”.

Tamtego dnia Stoke zajmował się własnymi sprawami w wydzielonej części dziedzińca, gdzie zorganizowano siłownię. Podszedł do niego Indianin z plemienia Seminoli i oznajmił, że jego czas na ławeczce się skończył, więc ma spadać w podskokach tam gdzie reszta cholernych czarnuchów.

Stoke oczywiście nie zwrócił na niego uwagi i nadal spokojnie wyciskał sztangę, czując żar lejący się z nieba. Słońce świeciło jak oszalałe i na betonowym dziedzińcu musiało być pod czterdzieści stopni. Nie przeszkadzało mu to. Postanowił, że w wolnym czasie w Glades wróci do formy. I to jakiej.

W celi co wieczór odbywał regularny zestaw ćwiczeń, jakie przechodzą komandosi z SEAL, i czuł, że starzejące się ciało znów zaczyna lepiej funkcjonować. Nazywano to formą SEAL. Stoke miał w marynarce wojennej instruktora, pod którego okiem odbywali szkolenie specjalne na wyspach Keys. Pewnego dnia facet powiedział coś, co Stoke będzie pamiętał do końca życia: „Różnica między walką a sportem jest taka, że w walce zdobywca drugiego miejsca idzie do piachu”.

- Ogłuchłeś, koleś? - powiedział do niego wódz, pochylając się, żeby podnieść dziesięciokilowy obciążnik prawą ręką.

- Spokojnie, chłopie, po co te nerwy. Kończę za pięć minut, może szybciej. Potem masz ławeczkę dla siebie.

Wódz popatrzył na Stoke'a, jakby zobaczył gościa z Marsa.

- Te! Czarnuch, czasami można się na własne życzenie wpięprzyć w niezłe kłopoty - odparł, przerzucając obciążnik z jednej ręki do drugiej, jakby to była piłka do tenisa.

- Prawda. Czasami tak bywa.

- Tak jak ty teraz.

- Ja? Naprawdę? Nie wydaje mi się.

- Nie wydaje ci się?

- Nie.

- Nie wydaje ci się, że mógłbym upuścić to żelastwo na twój wstrętny łeb, tak żeby ci mózg wylazł uszami?

- Ty chyba jesteś Johnny Dwie Giwery, co? - powiedział Stoke, podnosząc sztangę trzy razy tak szybko, że trudno było nadażyć wzrokiem.

- Zgadłeś, kolego. - Ostatnie słowo zaakcentował specjalnie, żeby zabrzmiało bardziej wyrafinowanie. I robił to człowiek, który zabił własną matkę turystyczną podróbką tomahawka.

- A skąd ta ksywa Dwie Giwery? - zapytał Stoke z pewnym wysiłkiem między kolejnymi ruchami sztangi.

- Popatrz se na moje bary, ty wypierdku. A co sobie myślałeś? Wódz Johnny Dwie Giwery. Tak się nazywałem na ringu. To ja rozwalilem Trevora „Zwierzaka” Garcię w pierwszej rundzie w Hard Rock Casino w Vegas. Chłopie, telewizja to pokazywała, w HD.

- Naprawdę? To byłeś ty?

- A co, jakieś waty?

- Dziwię się.

- Ta? A czemu?

- Sam nie wiem. Bo wydawało mi się chyba, że zmieniłeś front. No wiesz, zacząłeś walić kijem w innej drużynie. Rozumiesz?

- Co ty, kurwa, pierdolisz? Że niby bejsbol? W życiu nie grałem w bejsbol! Przecież ci mówiłem, że się boksowałem.

- Mimo wszystko.

- Co mimo wszystko?

- Znasz tego klawiszka, tego niskiego z wąsem jak mors i wielkim brzuchem? No wiesz, tego, na którego mówią Wiewiór?

- A, Wiewióra znam. Co z nim?

- A tak któregoś dnia gadaliśmy i... chwila. Wycisnę jeszcze szybko te kilka ostatnich machów, OK?

Stoke szybko podniósł dziesięć raz sztangę, jakby ważyła tyle co piórko.

- No dobra, minęło chyba z pięć minut. Wodzu, możesz napierać.

- Chrzanić sztangę, mów co z tym Wiewiorem. Co ten psi bobek o mnie naopowiadał?

- Tak jak mówię, stoimy sobie z Wiewiorem, pieprzymy o pierdołach, taka tam gadka szmatka i nawet nie pamiętam, jak to się stało, że zaczęliśmy mówić o tobie.

- O mnie?

- Tak, o tobie.

- I?

- I Wiewiór mówi, że jesteś cwelem.

- Kurwa! Wiewiór ci tak powiedział?

- Tak powiedział - stwierdził Stoke, opuszczając sztangę nad głową na metalowe podpórki. Usiadł na ławeczce, dysząc. Był cały przepocony. Otarł sobie twarz ręcznikiem i zobaczył, że seminolski wódz podchodzi z dziesięciokilowymi ciężarami w każdej dłoni i uderza nimi przed sobą jak wielkimi cymbałami.

- Wydaje wam się, że jestem cwelem, co? Tobie i temu Wiewiórowi, tak? Pytałem się o coś. Uważasz, że jestem cwelem?

- Posłuchaj, wodzu, a skąd niby mam wiedzieć, czy jesteś cwelem, czy nie? Dopiero tu przyszedłem. Powtarzam tylko to, co mówił Wiewiór. On uważa, że jesteś cwelem. Wiem, że Wiewiór nie ma pod kopułą jakiegoś mózgu elektronowego, ale mimo wszystko. Facet ma prawo do swojej opinii, prawda?

- To ja mam inną opinię, ty śmierząca kupo psiego gówna. Twój tatuś ssał fiuty kumplom, a twoja czarna mamuśka obciągała osłom w Tijuanie po dwa dolce za numer. Może być? Taką mam opinię.

Stoke wstał, powoli i dokładnie wytarł suche ręce ręcznikiem. Robił to starannie, nie pomijając żadnego palca.

Ten Murzyn był o wiele większy, niż wydawało się wodzowi Dwie Giwery, kiedy leżał na ławeczce. Znacznie większy.

- Powtórz to, wodzu. To o mojej matce. Słowo w słowo.

- Powiedziałem, że twoja czarna mamuśka ob...

- Chwila moment - zadudnił jakiś głos zza ich pleców. - Idźcie, złamane fiuty, pokłócić się gdzie indziej. Chcę poćwiczyć.

Głos należał do podrasowanego Pana Propera, czyli Łamignata - białego rasisty, przed którym ostrzegał go Rekin.

Stoke się uśmiechnął. Los sam dał mu szansę, a on zamierzał ją jak najlepiej wykorzystać. Życie płatało czasami dziwne figle. Dlatego nie sposób było się nudzić. Nie mógł się doczekać, co się stanie dalej.

- A ty kim, kurwa, jesteś? - zapytał Stoke nowo przybyłego. Facet właśnie ścigał podarty więzienny T-shirt przez krótko ostrzyżoną głowę pokrytą wyblakłą blond szczecinią. Miał sylwetkę kulturysty i wylupiaste niebieskie oczy rozwyrzonego dzieciaka. Na czole wytatuował sobie wielką czerwoną swastykę.

Bez dwóch zdań, niezły oryginał.

Napiął biceps, wskazał palcem i powiedział:

- Tym jestem, cwelu jeden. Popatrz se.

Stoke spojrział na wodza Johnny'ego Dwie Giwery i uśmiechnął się.

- Wiesz co, wodzu? Gdyby to były cycki a nie mięśnie to bym powiedział, że kupił je sobie w sklepie.

Łamignat był tak zaskoczony tym, co usłyszał, że na chwilę go sparaliżowało.

- Panowie, rzecz w tym - odezwał się Stoke, wykorzystując chwilę ciszy; wszedł między nich zupełnie bez agresywnych ruchów - że jeden z was obraził właśnie moją matkę, a drugi właśnie nazwał mnie pedziem. Kurde, a jestem tu dopiero od tygodnia. To tak się tu traktuje nowych? Musicie, kurwa, trochę popracować nad uprzejmością, rozumiecie? Inaczej nie odpowiadam za siebie, kapewu?

Łamignat wybuchnął głośnym śmiechem.

- Uprzejmością? Kurwa, ty chyba jeszcze nie widziałeś, jacy potrafimy być uprzejmi, co, wodzu?

Dwie Giwery rozplątał się w uśmiechu, wyraźnie zadowolony, że się w porę wycofał, zwłaszcza przy kimś pokroju Łamignata.

- Kurwa, ten czarnuch z getta aż się prosi, żeby mu skopać afrykańskie dupsko. Dobrze, że na nas trafiło, co? - zaczął kozakować Indianin.

- Obiecuję, że rozbiję mu czachę, dopiero jak ty rozpieprzysz mu wątrobę - zapowiedział Łamignat.

Zaczęli szykować się do ataku.

Stoke dał im obu sekundę na przygotowanie. Następnie rozprostował błyskawicznie obie ręce i chwycił obu za gardła w żelaznym uścisku. Ścisnął, póki obaj nie zaczęli czerwienieć na twarzy. Kiedy byli już bliscy omdlenia, podniósł ich prawie pół metra w górę, jakby podnosił dwójkę dzieci z kołyski.

- Nigdy, ale to przenigdy nie podchodźcie do mnie bliżej niż pięćdziesiąt kroków, zrozumiano? - Stoke nie zauważył nawet, że na dziedzińcu zebrała się już grupka gapiów obserwująca ten więzienny cud.

Obaj wiszący nad ziemią mężczyźni, dusząc się, potakiwali.

- Rozumiem, że przyjęliście to do wiadomości - powiedział Stoke.

A potem zderzył ich czołem o czoło z taką siłą, że obaj stracili przytomność.

Rozluźnił uchwyt i obaj padli na ziemię jak zwłoki. Rozłożyli się na rozgrzanym jak patelnia betonie i ani drgnęli.

- Widzicie? - mówił Stoke do dwóch nieruchomych ciał na ziemi. - Ostrzegałem was, panowie, że kontakt ze mną bywa szkodliwy dla zdrowia. Teraz już wiecie.

Nagle rozległ się trzydziestosekundowy głośny dźwięk syreny i Stoke wiedział, że czas wrócić do celi. Przetruchał przez dziedziniec, czując się doskonale. Zostawił sobie na deser ostatnie trzy rozdziały *Dreadful Lemon Sky* i nie mógł się doczekać, by poczytać jeszcze przed kolacją. Travis McGee i jego kumpel Meyer właśnie mieli rozbić gang narkomanów.

Stoke zawsze jadł sam w stołówce. Nazywano ją tu kafeterią, zupełnie jak w liceum. Nikt nigdy nie zaprosił go do swojego stolika, a jemu wcale to nie przeszkadzało. Czasami trafiał na stolik, przy którym siedział tylko jeden więzień, albo na całkiem pustym, jak teraz. Postawił tacę, wyciągnął spod pachy Koran i położył z namaszczeniem na stole. W końcu usiadł na stalowej ławce.

Ależ zgłodniał.

Musiał przyznać, że więzienne żarcie było całkiem niezłe. Nic wyśmienitego, ale na pewno nie gorsze niż w niejednym szpitalu. Dziś na przykład na kolację podali pieczoną pierś kurczaka, pilaw z ryżu i marchewkę. Do tego budyń czekoladowy na deser. Niezłe, pomyślał,

biorąc kęs kurczaka i otwierając Koran na stronie z zagiętym rogiem.

Nosił Koran ze sobą na każdy posiłek. Nie dlatego, że tak go wciągnął i nie mógł oderwać się od lektury. Po prostu uznał, że to będzie dobra reklama. Uczył się też wielu interesujących rzeczy. Tyle razy słyszał, jak ludzie opowiadają, co mówi Koran. Ale czytając tę księgę, zaczął podejrzewać, że większość ludzi, którzy tak mówią, nigdy w życiu nie przeczytała chyba Koranu.

Koran mówi na przykład o niewiernych i co należy z nimi zrobić - mówiąc w skrócie, należy ich pozabijać. Stoke, który kochał Boga całym sercem, nigdy nie uważał się za niewiernego. Ale był baptystą, czyli chrześcijaninem, a więc znajdował się wysoko na liście do odstrzału. Były w Koranie również bardzo nieprzyjemne fragmenty na temat kobiet. Gdyby kobiety miały czas to przeczytać, wściekłyby się pewnie do białości. W muzułmańskiej księdze nie najlepiej wypadali też Żydzi. To byli główni wrogowie muzułmanów: Żydzi, baptysci i kobiety. Naprawdę groźna trójka, pomyślał.

Skończył kolację, ale siedział jeszcze przy stoliku i czytał Koran, podkreślając niektóre fragmenty zielonym markerem.

- Dobry wieczór, bracie - powitał go cicho ktoś zza pleców. - Pozwolisz, że się dosiądę?

Odwrócił się i zobaczył miło wyglądającego młodego ciemnoskórego, na oko dwudziestotrzylatka. Chudy jak szczapa. Na czubku nosa miał okrągłe okulary w drucianej oprawie. Wyglądał jak student. Gładko ogolony, ostrzyżona głowa, żadnych ozdób w stylu gangsta. Ot, młody czarny Ghandi. Spodobał się Stoke'owi.

- Oczywiście, synu. Siadaj.

- Dzięki - odparł chłopak i postawił tacę naprzeciwko Stokely'ego. Położył papierową serwetkę na kolanach i zaczął jeść kurczaka. Nie podniósł wzroku na Stoke'a, póki nie wyczyścił całego talerza łącznie z budyniowym deserem. Stoke przeglądał więc dalej Koran, podkreślał to i owo, uznawszy, że jeśli dzieciak ma coś do powiedzenia, to w końcu się odezwie. Albo i nie.

- Przesłano mnie, bym wyraził naszą wdzięczność - odezwał się bardzo cicho chłopak.

Stoke podniósł głowę.

- Mnie? A za co?

- Za to co pan dzisiaj zrobił.

- A co ja zrobiłem?
- Nasi dwaj najgroźniejsi wrogowie teraz się pana boją. Wszyscy nasi wrogowie się pana boją. Wróg mojego wroga to mój przyjaciel.
- To dobre. Gdzie się tego nauczyłeś?
- To stare arabskie przysłowie.
- Jesteś studentem?
- Byłem. Teraz jestem mordercą, jak pan.
- Kogo zabiłeś?
- Niewiernych. Innowierców. Agresorów. Wysadziłem punkt rekrutacyjny amerykańskiej armii w Atlancie.
- Pamiętam to. A ja kogo zamordowałem twoim zdaniem?
- Białego policjanta stanowego w Georgii. Zatrzymał pana na 1-84 za zepsute światło stopu.
- Ano zabiłem go. Zgadza się.
- Tych dwóch na dziedzińcu może też.
- E tam, próbowałem tylko wbić im trochę rozsądku do łbów i tyle.
- Sądźmy, że mogło się panu udać. Przekonamy się, kiedy wyjdą ze szpitala. Na pewno będą się od pana trzymać z daleka.
- Są w szpitalu?
- Wstrząs mózgu. U obu.
- Cholera, nie miałem zamiaru aż tak mocno im tego wbijać.
- Przepraszam, muszę już iść. Ale mam jeszcze przekazać, że dostał pan zaproszenie na zebranie. Moi przyjaciele chcieliby pana poznać.
- Zebranie? Jakie zebranie?
- Raz w tygodniu spotykamy się w więziennej bibliotece. Dokładnie jutro wieczorem o szóstej. Rozmawiamy o dobrych księgach. Zwłaszcza jednej. Mogę przekazać przyjacielom, że pan się pojawi?
- Jak się nazywasz, synu?
- Jestem Ali. A pan?
- Ali Baba - odparł szybko Stoke, podając pierwsze imię, które przyszło mu do głowy.
- Witaj, bracie.
- No dobra, Ali, powiedz swoim kumplom, że będę wdzięczny za włączenie do tej czytelniczej grupy.

- Inshallah - powiedział chłopak.
- Inshallah - odrzekł Stoke bez wahania, rad, że nauczył się tego najważniejszego zwrotu. Niech się stanie wola Boga. W każdej religii tak się mówiło.

Chłopak skinął głową i bez słowa wstał od stołu. Wyglądał na zadowolonego. Powie wielkiemu imamowi, że mają nowego ucznia. Najpotężniejszego żołnierza wyraźnie gotowego, by dołączyć do armii Boga.

A Stoke będzie mógł porozmawiać z Czarodziejem.

Przyszli po niego o drugiej nad ranem. Klawisz otworzył celę, wszedł i obudził go.

- Chodź ze mną - polecił strażnik.
- Dokąd? - zapytał Stoke, budząc się natychmiast. Ciemno było, choć oko wykol. Ledwo widział sylwetkę człowieka stojącego tuż obok.

- Zobaczysz.

Zaprowadzili go do więziennego szpitala. Że to prywatna wizyta u Rekinca w izolatce, Stoke zorientował się dopiero, kiedy klawisz powiedział „dwadzieścia minut” i zamknął drzwi.

- Sie masz, Stoke - dobiegł go cieniutki głos ze szpitalnego łóżka. Stoke przeszedł przez małą salkę i położył rękę na ramieniu Rekinca.

- Rekin. Stary, tak mi przykro.
- Kurde, no co ty. Ważne, że przyjechałeś do Glade, tylko to się liczy. Jutro przewożą mnie do Dobrego Samarytanina w West Palm. Powiedziałem naczelnikowi, że muszę się dziś z tobą spotkać.

- Super. Jak się czujesz?

- Jak takie coś, w czym się odsącza spaghetti.

- Durszlak.

- *Si, es un colodor en Espagnol.*

Stoke parsknął śmiechem.

- Świetnie wyglądasz, mój dziurkowany brachu. Póki mamy jeszcze trochę czasu, opowiedz mi, co widziałeś w komputerze Czarodzieja.

- Stoke, oni mają zamiar zabijać dzieci.

- Co?

- Powaga. Widziałem jakieś teksty o wysadzaniu szkół pełnych dzieci. Jakieś liceum w Chicago. Do tego gimbusy i tak dalej.
- Jezu.
- Tak. Ci faceci z Miecza Allacha szkolą tylko domorosłych zamachowców-samobójców. Uczą ich, jak nie rzucić się w oczy. Biorą na cel biedne dzieciaki zbierające trzcinę, nastolatków, napychają im głowy religią i pokazują im, jak wysadzać różne rzeczy, łącznie z samym sobą.
- Ale żeby dzieci? Szkoły? Nie żartujesz?
- Miałem czas, żeby zerknąć tylko na kilka e-maili, ale jeden z nich mnie przeraził.
- Co w nim pisało?
- Dzieci zginą pierwsze.
- Ktoś się podpisał? Kto wysłał tego e-maila, Rekin? Pamiętasz?
- Tak, pamiętam. Podpisywał się na wielu e-mailach. To chyba jakiś pseudonim. Smith.
- Tylko tyle? Smith?
- Smith.

39.

Belle Glade, Floryda

Muzułmańskie Towarzystwo Czytelnicze spotykało się na końcu więziennej biblioteki, za półkami. Stało tam około trzydziestu twardej drewnianych krzeseł, takich jakie Stoke pamiętał jeszcze z podstawówki. Ustawiano je w półokrąg wokół zniszczonego drewnianego pulpitu. Za pulpitem stawał imam, przypominający Yodę niski mężczyzna, którego Rekinek nazywał Czarodziejem. Ubrany w białą szatę czytał Koran. Obok stał jego obrońca, czarny goliat imieniem Ishtar. Skrzyżował ręce na piersiach i trwał niczym posąg z oczyma płonącymi od nienawiści.

Widownię stanowiła dziwna mieszanka młodych, gładko ogolonych mułmanów, nowo przybyłych, bez bród, którzy wpatrywali

się w imama jakby zstąpił do nich prosto z raju. Pozostałą część stanowili młodzi czarni mężczyźni i chłopcy, biedne dzieci z pól trzcinowych tuż za płotem. Przyszli posłuchać o religii, która obiecywała im uzasadnienie i wyjaśnienie nienawiści, którą czuli do własnego kraju, jego białego rządu, jego wojen z biednymi i poniżonymi z całego świata. Stoke zobaczył Alego, który zaprosił go na to spotkanie. Siedział rząd dalej i pozdrowił go skinieniem głowy.

Czarodziej skończył czytanie, zamknął Koran i popatrzył prosto na Stokely'ego.

- Niech Ali Baba wstanie - powiedział dziwnym głosem.

Stoke wstał.

- Witamy dziś nowego brata - oznajmił imam - nowego żołnierza naszego światowego dżihadu przeciw niewiernym. Bracie Ali Baba, czy chcesz nam coś powiedzieć?

- Dostałem powołanie, by walczyć, dopóki ludzie nie będą mówić, że nie ma boga nad Allacha, którego prorokiem jest Muhammad, pokój z nim.

Stoke usiadł, a imam mówił dalej:

- Wszyscy jesteście sługami Allacha. Wypełniamy nasz obowiązek walki o religię Allacha. Naszym obowiązkiem jest też wzywać wszystkich ludzi całego świata, by cieszyli się tym wielkim światłem i przyjęli islam oraz cieszyli się jego szczęściem.

Publiczność odpowiedziała jakimś zdaniem po arabsku, którego Stoke nie znał, więc tylko poruszył ustami razem z nimi. Imam wziął Koran i opuścił pulpit.

- Teraz wzywam brata Ishtara, żeby zakończył ten wieczór chwały i oświecenia. Poznajcie prawdę.

Ishtar wszedł za pulpit i nie owijał niczego w bawełnę. Wyraźnie mówił do młodych czarnych braci na widowni:

- Uważajcie, o czym kłapiecie dziobami,

Bo jak nie, to porwę samolot i rozwalę wam dom,

Spalę mieszkanie z waszą rodziną przywiązaną do łóżek,

Poderżnę wam gardło i zamiast krzyku będzie z niego buchać krew,

Widzę świat taki, jaki jest, nie tylko czarny i biały,

Widzę, jak rząd przemilcza historyczne fakty,

Takie że to CIA szkoli terrorystów, jak walczyć,

Budować bomby i przemycać noże do samolotów,
Kiedy byłem mały, sam diabeł dał mi mikrofon,
Ale odrzuciłem tę propozycję, bo Bóg zesłał mnie, żebym
walczył,
Wy nie rozróznicie prawdy od fałszu, więc mnie nie słyszycie,
Myślicie, że to tylko pieprzona spiskowa teoria,
To dlatego konserwatywni rasiści wszystkim rządzą,
A wasze iPhone'y podsłuchuje rząd federalny,
Kiedy ze mną rozmawiacie, zakłócam wam częstotliwości
w mózgu,
Technika wszystko w was rozwali na kawałki,
Noście nielegalną broń, bo my nigdy się nie zawahamy,
Wystrzelamy facetów w czerni wokół prezydenta.

Godzinę później Stoke, wysłuchawszy głównego poety w Glade - Ishtara, i poznawszy prawdę, siedział po jednej stronie pięciocentymetrowej taflki pleksi, patrząc na swą piękną Fanchę siedzącą po drugiej stronie. Oboje rozmawiali przez więzienne słuchawki. Po obu stronach miał długie rzędy więźniów rozmawiających z matkami, żonami czy dziewczynami.

- Jak się masz, kochanie? - zapytał, kładąc dłoń na pleksi. Podniosła rękę i przyłożyła dłoń po drugiej stronie.

- Tęsknię za tobą. Powiedz, że zaraz wyjdiesz.

- Tak, tak. Już niedługo tu kończę. Muszę się zbliżyć do jednego z wrednych typów, po to tu jestem.

- Ile jeszcze, skarbie?

- Kilka dni, góra tydzień.

- Byłam dziś u ginekologa.

- Wszystko w porządku?

- Tak, w porządku, Stokely. Ważne, żeby tobie nic się nie stało.

- Kochanie, wiesz dobrze, że nic mi nie będzie.

- Skąd mam to wiedzieć?

- Bo ja ci mówię, że tak będzie... chwileczkę.

Pięć miejsc w prawo od Fanchy przed szybą z pleksi usiadła kobieta. Ta sama, która dwa razy próbowała go zabić - raz na ulicy i raz w jego własnym mieszkaniu. Teraz nie była blondynką, miała ognistorude krótkie włosy, ale jej twarz rozpoznałby wszędzie. Nie spojrzała w jego stronę. Stoke się tego domyślił, bo rozmawiała intensywnie przez

słuchawkę i patrzyła na kogoś po drugiej stronie szyby. Tylko dlatego jeszcze go nie rozpoznała. Ale mogła zerknąć w tę stronę w każdej chwili. Obrócił powoli głowę w lewo, żeby zobaczyć, z kim rozmawia. Ishtar.

- Kochanie, muszę lecieć. I to już.
- Dopiero przyjechałam. Jechałam całą drogę z Miami, żeby się z tobą zobaczyć, a ty musisz lecieć? Cholera jasna!
- Obiecuję, wszystko ci wytłumaczę. Ale teraz... o kurwa.

Zobaczyła go. Otworzyła szeroko oczy i patrzyła prosto na niego. Zaczęła mówić gorączkowo do słuchawki, wskazując głową Stoke'a kilka razy. Ishtar pochylił się i popatrzył wzdłuż rzędu więźniów, aż zobaczył Stokely'ego.

Jego mina powiedziała Stoke'owi wszystko. Wpadł. Po uszy. Miał tylko kilka minut, żeby zrobić to, co powinien.

- Kocham cię - powiedział do swej narzeczonej i odwiesił słuchawkę. Powoli wstał i próbował niespiesznie iść w stronę strażnika przy drzwiach, ale czuł, jak oczy Ishtara wypalają mu z każdym krokiem dziurę w plecach. Klawisz otworzył drzwi, a Stoke szepnął mu do ucha:

- Biała kobieta z rudymi włosami. Rozmawia z tym wielkim czarnym więźniem. Policja w Miami wydała za nią list gończy. Za morderstwo i usiłowanie morderstwa. Aresztujcie ją, kiedy tylko stąd wyjdzie. Zgłoś to, żeby wam nie uciekła.

I wyszedł na korytarz z pomalowanego na zielono betonu. Jeden ze strażników miał go odprowadzić do celi.

- Posłuchaj mnie - odezwał się po cichu Stoke, kiedy szli korytarzem. - Jestem agentem federalnym, którego umieszczono tu z powodu spraw dotyczących bezpieczeństwa narodowego. Właśnie rozpoznał mnie jeden z więźniów, muszę natychmiast porozmawiać ze strażnikiem o nazwisku Figg. Jasne?

- Kurwa, co ty wygadujesz, Smokehouse?
- Zadzwoń do naczelnika, jak chcesz. Powiedz mu, że pan Jones ma kłopoty. Powiedz, że Figg ma się ze mną spotkać w celi szejka najdalej za dwie minuty. Wezwij go przez krótkofalówkę, bo jak nie, to możesz się pożegnać z pracą tutaj.

Stoke spojrział klawiszowi w oczy, a ten w końcu wziął krótkofalówkę i poprosił o połączenie z biurem naczelnika. Stoke przyspieszył

mocno kroku i strażnik musiał się nieźle napocić, żeby dotrzymać mu tempa.

- W porządku - powiedział w końcu. - Przepraszam. Figg będzie na pana czekał.

- Dzięki. Mogę porozmawiać z Figgiem?

- Tak jest - odparł klawisz i podał mu walkie-talkie.

- Sierzancie Figg, tego małego szejka trzeba natychmiast wyprowadzić z celi. Wejdźcie tam natychmiast, zanim ktokolwiek się do niego zbliży. Gdzieś ma schowanego laptopa, na którym są ważne informacje dotyczące bezpieczeństwa narodowego. Wyczyści je, jeśli nie dopadniecie go natychmiast. Zrozumiano?

Kiedy dwie minuty później dotarł do celi imama, drzwi były otwarte. Trzej strażnicy przetrząsali ją dokładnie.

- Mam! - krzyknął jeden z nich, trzymając w rękę małego czarnego Della. Komputer był zabezpieczony trzema wodoodpornymi workami i ukryty w rezerwarze nad sedesem. Mało kto wpadłby na pomysł, żeby szukać komputera w wodzie.

- Dziękuję - powiedział Stoke, biorąc komputer do ręki. - A teraz wyprowadźcie mnie stąd jak najszybciej. Niech naczelnik z miejsca zadzwoni do szefa placówki CIA w Miami i opowie, co się stało. Będę wdzięczny. Potrzebuję też podwózki do Miami.

- Samochód będzie czekał przed bramą, panie Jones.

- Złapaliście tę rudą, jak wychodziła?

- Tak. Właśnie wysłuchuje zarzutów.

- O rany, co za piękny dzień się zapowiada - powiedział Stoke i puścił się biegiem, a za nim strażnik, który miał go wypuścić z więzienia.

40.

Hrabstwo Sligo, Irlandia Północna

Sam komandor Hawke - powitał go dowódca jednostki brytyjskich sił specjalnych, bez większego wysiłku zmieniając te na pozór

niewinne słowa w coś ewidentnie nieprzyjaznego. Alex zignorował go i wszedł przez tylny właz do czarnego transportera saxon AT 105C. W tych opancerzonych taksówkach nie było zbyt wiele miejsca, więc Alex Hawke i major Masterman musieli siedzieć niewygodnie skuleni.

Na dachu transportera znajdowała się wieżyczka z karabinem maszynowym 7,62 mm, na wypadek gdyby bojownicy z bezpiecznego domu jakimś cudem zdołali się przedrzeć na bliżej niż kilometr do opancerzonej kryjówki majora.

Hawke uśmiechnął się do wojskowego, wciąż nie mogąc się zdecydować, jak to rozegrać. Masterman odwzajemnił uśmiech. Pewność siebie z niego aż biła. Był niski, napakowany, miał wąskie oczy koloru ołowiu, uparty kwadratowy podbródek i wąsy, jakie dawniej nosili wojskowi.

Uśmiechy obu mężczyzn maskowały ogromne napięcie. Hawke pozwolił, by doszło ono do poziomu nie do zniesienia, zmuszając Mastermana, by odezwał się pierwszy:

- Rozumiem, że na górze wszystko załatwione? Przemówił pan do rozsądku temu pyszałkowi ze Scotland Yardu? - zapytał major. - I temu gnojce z irlandzkiej policji, no, Drummondowi? Kiedyś z nim pracowałem. Nie gadał o niczym innym tylko o różach herbacianych. Ukryty pedzio moim zdaniem. Pytałem pana o coś.

Hawke patrzył na niego beznamiętnie.

- Przepraszam. Mówił pan coś? - odezwał się.
- Pytałem, czy wyjaśnił pan wszystko tym dwóm kretynom na górze.
- Nie byli specjalnie zadowoleni, ale zrozumieli.
- A pan? Też rozumie?
- Majorze Masterman, wiem, że to pana akcja. I że MI-6 nie ma żadnego prawa, żeby się wtrącać czy naciskać w moim imieniu.
- Zgadza się.
- Ale muszę powiedzieć, majorze, że zdecydowanie naciskam, żeby wejść do tego bezpiecznego domu razem z chłopakami.
- A ja mówiłem już panu godzinę temu, że zdecydowanie naciskam, żeby siedział pan tu ze mną w transporterze dowództwa, póki nie zrealizujemy zadania. Póki nie zabezpieczymy domu.

Hawke rzucił mu gniewne spojrzenie. Wzrok miał zimny jak zimowy wiatr i żadnej nadziei na ogień w kominku. Kiedy w końcu się odezwał, mówił głosem ostrym i twardym jak stal z Sheffield:

- Majorze, nie lubię odwoływać się do szarży, ale obawiam się, że w tej sytuacji nie daje mi pan wyboru.

- Odwoływać się do szarży? - warknął Masterman. - Dobrze usłyszałem? Za krótki pan jest na to, sir.

- Obawiam się, że jednak nie. Sądząc po insygniach, służy pan w regimencie z Yorkshire podlegającym księciu Walii.

- I co z tego?

- Jestem tutaj na wyraźne życzenie starego przyjaciela. Powierzył mi zadanie znalezienia człowieka lub ludzi, którzy grożą nie tylko jemu, lecz także całej jego rodzinie. Jeden z ludzi w tym domu być może zamordował ojca chrzestnego mojego przyjaciela. Przysiągłem, że go odszukam. I za punkt honoru stawiam sobie to, żeby ścigać go osobiście. Nie po walce. Teraz.

- Bzdury. W życiu nie słyszałem takiej durnej bajki.

- Majorze, ostrzegam pana, żeby więcej pan mnie nie obrażał. Nazwał mnie pan teraz kłamcą. Cała pańska kariera zawisła właśnie na włosku. Daję panu ostatnią szansę, żeby ją ocalić. Decyzja należy do pana.

- Akurat.

- Jak pan sobie życzy. Niespełna pół godziny temu rozmawiałem bezpośrednio z moim przyjacielem o tej sytuacji. Powiedział mi, że jeśli napotkam dalsze utrudnienia w wypełnianiu jego wyraźnych poleceń, mam natychmiast zadzwonić na jego prywatny numer. Mam ten numer wpisany w komórce. Mam zadzwonić?

- Pewnie, czemu nie? To czyste szaleństwo.

Alex wyjął komórkę i wybrał prywatny numer Karola. Masterman syczał i prychał, jakby miał za chwilę spłonąć od wewnętrznego żaru.

- Halo, sir, z tej strony Hawke. Nadał mam tu problem, przykro mi... tak, sir, major Masterman jest tu obok.

Hawke słuchał przez chwilę swojego rozmówcy, a w końcu się odezwał:

- Majorze, proszę porozmawiać.

Masterman wyrwał Hawke'owi komórkę z ręki i warknął do mikrofonu:

- Mówi major Milo Masterman z regimentu z Yorkshire księcia Walii. Z kim rozmawiam, do jasnej cholery?

Hawke obserwował, jak wojskowy słucha znajomego głosu w słuchawce z coraz szerszymi oczyma. Nie panował nad drżeniem ręki, a twarz zapłonęła mu najgłębszym odcieniem szkarłatu, jaki Alex miał okazję kiedykolwiek widzieć.

Hawke nie chciał jeszcze bardziej upokarzać Mastermana, więc szybko wyszedł z transportera i poszedł do młodego dowódcy plutonu porucznika Sebastiana Bolta, który miał poprowadzić atak na bezpieczny dom.

Hawke znalazł Bolta wśród trzech czy czterech komandosów, dowódców grupy szturmowej. Przycupnęli za gęstymi krzewami i każdy z nich robił ostatni przegląd sprzętu i broni. Szturm miał się rozpocząć dokładnie za dwadzieścia pięć minut. Na ziemi leżał zgrubny plan Gospody pod Szczekającym Psem. Jeden z żołnierzy oświetlał go punktową latarką, a porucznik Bolt prowadził ostatnią odprawę.

- Dwie grupy, Jankesi idą na górę, Zulu na dół. Wszyscy zapamiętaliście rozkład pomieszczeń w obiekcie? Trzy kondygnacje, centralne schody. Na dwóch piętrach dwa pokoje po prawej i dwa po lewej - tu i tu. Na parterze jedno pomieszczenie po lewej i jedno po prawej. Wyjścia od frontu i od tyłu. Strzelacie chirurgicznie, kiedy namierzycie cel i upewnicie się, że jest uzbrojony.

Spojrzał po twarzach żołnierzy, nawiązując z każdym kontakt wzrokowy, czekając na skinienie głową.

- Gogle noktowizyjne dają wam ogromną przewagę, załóżcie je. Wróg może być zdezorientowany, ale są to świetnie wyszkoleni i mocno zmotywowani bojownicy i terroryści. Zabijają niewinne kobiety i dzieci, więc was też zabiją z przyjemnością. Wszyscy wiedzą, co robić, więc do dzieła! Wchodzimy za dwadzieścia minut. Powodzenia na polowaniu.

- Porucznik Sebastian Bolt? - zapytał Hawke, klękając obok niego. Porucznik był blondynem o rumianych policzkach, zaskakująco młodym. Hawke nagle poczuł się staro.

- Tak, sir, to ja. Pan komandor Hawke, z MI-6, prawda? Chłopaki robiły zakłady, czy pan zdąży. I czy w ogóle pana puszcza.

- No więc zdążyłem.

- Cieszę się, sir. To dla mnie zaszczyt. Krążą plotki, że wymyślił pan i przeprowadził akcję odbijania zakładników na tym rosyjskim lotniskowcu na środku Atlantyku. I to z okrętu podwodnego. To prawda?

- Tak, byłem tam. Jak mogę wam pomóc?

- Może pan pomóc zidentyfikować przywódcę terrorystów, znanego tylko jako Smith?

- Nie mogę. I zdaje się, że nikt na świecie nie może. To człowiek-duch.

- W takim razie może nam pan pomóc zabić albo złapać jak najwięcej tych drani. Proste, sir?

Hawke uśmiechnął się do młodego porucznika, który rwał się do walki.

- Lubię takich dowódców.

- Na naszą korzyść działa element zaskoczenia. W ciągu ostatniej godziny zdjeliśmy po cichu czterech strażników w lesie. Żaden nie miał szansy użyć krótkofalówki.

- Na dachu nie ma nikogo?

- Obserwowaliśmy. W sumie można by się tam kogoś spodziewać. Ale nie. Za to wystawili uzbrojonego strażnika przed drzwiami. Stał trochę, spalił ze dwa pety i poszedł spać jakieś pół godziny temu. Wszystkie światła pogaszone. Od tamtego czasu w środku nic się nie dzieje: żadnego szmeru, światła, żadnego ruchu.

- Poruczniku, jeśli Smith tam jest, to bardzo chciałbym go dopaść żywcem. Innymi słowy, wolę jeńców niż trupy.

- Rozumiem. Powiem zaraz chłopakom. Strzelamy z dużego kalibru, więc wystarczy trafić gdziekolwiek, żeby człowieka powalić, a nie zabić.

Bolt, jak pozostali żołnierze, miał pod hełmem bojowy zestaw komunikacyjny. Na hełmie miał przymocowany noktowizor. Odwrócił się i powiedział coś szybko do mikrofonu, przekazując nowe rozkazy swemu zastępcy.

Podał podobny kevlarowy hełm z komunikatorem Hawke'owi. Ten go założył i opuścił zamontowany na nim noktowizor, żeby sprawdzić, czy działa. Na czarnych hełmach wokół zauważył namalowane białe kółka. Przez noktowizor w ciemności widać je było wyraźnie. Zapytał o nie Bolta.

- Najnowszy pomysł. Farba refleksyjna, którą widać przez noktowizor. Bardzo się przyda, kiedy będziemy w ciemnym pomieszczeniu.

Hawke się uśmiechnął:

- Żołnierze wyglądają jak anioły z aureolkami.

- I o to właśnie chodzi - odparł Bolt, spoglądając na cyfrowy stoper odliczający czas do ataku. - W ten sposób można się zorientować, z kim mamy do czynienia.

- Z aniołami.

- Otóż to, komandorze.

- Wchodzimy za dwadzieścia minut. Szacuję, że w środku mamy piętnastu do dwudziestu pięciu mocno uzbrojonych bojowników IRA. Wszyscy mają AK-47. Rozstawiliśmy mikrofony pod domem. Słychać tylko chrapanie. Bezpiecznie można powiedzieć, że będziemy mieli element zaskoczenia.

- Jaką bronią dysponujecie? - zainteresował się Hawke, sprawdzając własny M8 z tłumikiem. Nastawił go na trzypociskowe serie i wsunął pierwszy nabój do komory. Na prawym udzie w kaburze na rzepy miał też pistolet kahr kaliber dziewięć milimetrów.

- Mam dwie sekcje po dwunastu ludzi, wszyscy wyposażeni w karabinki IW-SA80 z tłumikami, no i mamy kilku z lekkimi karabinami maszynowymi. Każdy ma też dwa granaty odpalane z lufy, tak zwane „łapacze kul”.

- Nie słyszałem o czymś takim.

- Zakłada się granat na lufę broni i strzela do niego ze zwykłego pocisku pięć i pięćdziesiąt sześć setnych milimetra. Granat pochłania pocisk i leci dalej w stronę celu nawet na sto pięćdziesiąt metrów.

- Świetne. Rozumie pan, dlaczego nie chciałem, żeby strzelano z moździerzy na wzgórzu.

- Tak, sir. Mówili mi i zgadzam się z pana decyzją. Z przechwyconych map, dokumentów i laptopów dowiemy się więcej niż od martwych bojowników. Ciekaw jestem, czy major Masterman zgodził się z pana decyzją o wyłączeniu moździerzy. Nie dostałem od niego bezpośredniego rozkazu w tej sprawie.

- Nie pytałem go o zdanie.

- Zdaje się, że radio nie działa. Nie mogę go wywołać.

Hawke się nie odezwał.

- Coś nie tak, sir?

- Poruczniku Bolt, myślę, że bezpieczeństwo pańskich ludzi i powodzenie tej misji wymagają, by przejął pan natychmiast całkowite dowodzenie.

Porucznik Bolt spojrział uważnie na Hawke'a, zamyślił się na chwilę i włączył mały mikrofon przy hełmie.

- Moździerze, moździerze. Mówi Bolt. Wstrzymać ogień, powtarzam, wstrzymać ogień, póki nie wydam wam osobiście rozkazu, zrozumiano? Łączność radiowa ze stanowiskiem dowodzenia padła, wszystkie rozkazy w czasie akcji wydają tylko ja. Bez odbioru.

- Dzięki - powiedział Hawke i powiesił sobie na pasku jeszcze kilka granatów dymnych i ogłuszających.

- Piętnaście minut - rzekł Bolt. - Sir, proponuję, żeby trzymał się pan mnie i grupy Jankesów. Po wejściu natychmiast wpadamy po schodach zabezpieczyć dwie górne kondygnacje. Zulu, pod dowództwem podporucznika Huntera Foremana, zajmie się parterem. Trzech jego ludzi z lekkimi karabinami maszynowymi zajmie też pozycje na zewnątrz, z tyłu i po dwóch stronach budynku.

- Wchodzę z panem, poruczniku. Rozumiem, że najpierw wrzucamy granaty ogłuszające i dymne?

- Tak, ogłuszamy i dymimy, wrzucamy je przez każde okno na górze i na dole. Maksymalna dezorientacja. Wystarczy im co najwyżej czasu, żeby naciągnąć kominiarki i chwycić AK-47, ale wtedy my już będziemy strzelać.

- Świetnie - powiedział Hawke.

Ukryci w lesie wokół gospody komandosi Bolta emanowali taką energią bitewną, że powietrze aż od niej kipiało. To była dobra energia. Zabójcza. Alex przypomniał sobie, że w takich chwilach znów nabierał pewności, że warto żyć. To było coś nowego, zważywszy na niedawny stan jego umysłu. Ale poczuł tę energię w żyłach.

Hawke zamierzał odnaleźć tego cholernego Smitha, jeśli nie tej nocy, to następnej albo jeszcze później. Ale odnajdzie go i sprzątnie. Zrobi to dla przyszłego króla i dla kraju.

41.

Hrabstwo Sligo, Irlandia Północna

Zulu, czekajcie, Jankesi - zielone światło za dwadzieścia sekund - powiedział porucznik Bolt i podniósł płasko rozłożoną dłoń, dając żołnierzom znak, żeby się zatrzymali. Wraz z Hawkiem patrzyli, jak cyfrowe stopery w zegarkach odliczają czas... cztery... trzy... dwa... jeden! Nagle rozległ się stłumiony, ale ogłuszający dźwięk niezliczonych granatów hukowych wrzuconych przez okna gospody. Oślepiające światło i boleśnie wysoki poziom decybeli ogłuszy wszystkich w środku i da szturmującym żołnierzom cenne sekundy.

Bolt i Hawke biegli pochyleni w stronę głównego wejścia do gospody.

Stanęli po obu stronach popękanych drzwi z łuszczącą się farbą. Bolt spojrział na Hawke'a i przygotował się do kopnięcia drzwi. Hawke skinął i Bolt stwierdził, że komandor jest całkowicie gotów. Lodowata hardość w oczach wręcz zaniepokoiła młodego porucznika. Widział już ludzi gotowych do walki, ale nigdy gotowych z aż taką intensywnością.

Hawke syknął przez zaciśnięte zęby:

- Do roboty.

Kopniakiem wielkiego buta Bolt roztrzaskał drewniane drzwi i wyrwał je z zawiasów. Porucznik natychmiast zerwał zawleczkę dwóch granatów dymnych i wrzucił je do korytarza wejściowego. Wpadł do zadymionego pomieszczenia i pędem pobiegł na schody. Hawke i reszta Jankesów deptali mu po piętach.

Po prawej i po lewej Hawke zobaczył dwa duże pomieszczenia. W obu z podłogi zrywało się wielu zakapturzonych mężczyzn z AK-47 w dłoniach.

Odgłos granatów hukowych w całym domu i wybicie wejściowych drzwi pobudziły wrogów, ale nim się na dobre obudzili, zorientowali i zaczęli strzelać, cała sekcja Jankesów zdążyła już przebiec dwa piętra po trzeszczących drewnianych schodach i dotarła na samą górę.

- Zulu, idziecie, już! - polecił Bolt.

Żołnierze z grupy Zulu zaczęli wchodzić do środka i kilka sekund później po obu stronach schodów wywiązała się zacięta strzelanina. Hawke spojrział w dół na parter, gdzie widać było tylko kłęby dymu, jarzące się białe aureole i rozbłyski z luf. Na razie, na szczęście, żaden z aniołów nie upadł.

Tak jak uzgodniono, na szczycie schodów Bolt poszedł w lewo, a Hawke w prawo. Każdy z nich miał za sobą sześciu komandosów. W niskim korytarzu były dwie pary zamkniętych drzwi i otwarte okno na samym końcu. Kiedy Hawke podszedł, wleciał przez nie granat dymny. Wyciągnął rękę, złapał go w locie i wyrzucił na zewnątrz. W korytarzu miał już dość dymu, potrzebny był tylko w pokojach, które miał sprawdzić.

Obejrzał się w stronę schodów. Połowa jego ludzi zajęła stanowiska przed pierwszymi drzwiami, gotowa wkroczyć do pomieszczenia. Z bronią gotową do strzału czekali na jego sygnał. Druga połowa stała tuż za nim, przy drzwiach bliżej okna.

Dał znak jednemu z żołnierzy, żeby wyłamał drzwi, kiedy po drugiej stronie korytarza usłyszał wielokrotne staccato z automatycznej broni wroga. Ludzie Bolta już czyścili dwa z czterech pokoiów na najwyższym piętrze.

Wiedział, że wystrzały sprawią, że za jego drzwiami terroryści bardziej ochoczo będą pociągać za spust. Jego ludzie mieli broń z tłumikami. To dawało nieco przewagi czasowej, bo atakowani próbowali się domyślić „co to, u licha, było i skąd dobiegło?”. Tłumiki ograniczały też rozbłyski z lufy, dzięki czemu trudniej było określić położenie szturmujących żołnierzy.

Zespół Jankeś był wyszkolony tak, że żołnierze reagowali automatycznie. Automatycznie podnosili broń w pozycję gotową do strzału. Niekończące się szkolenia podstaw celowania i panowania nad spustem sprawiły, że teraz odruchowo sięgali do pamięci mięśniowej w ogniu walki. Brytyjscy komandosi stanowili prawdziwą ludzką maszynę do zabijania, wyszkoloną do neutralizacji wroga tak, by nie stanowił zagrożenia.

- Jankesi, ruszamy - powiedział do mikrofonu, dając drugiej ekipie sygnał do wejścia w tej samej chwili, kiedy jego komandos przyłożył bark do drzwi i wepchnął je do środka. Żołnierz natychmiast przetoczył się w prawo, a za nim Hawke i reszta ekipy. Zasada

numer jeden mówiła, że nigdy nie wchodzi się do pomieszczenia przez środek drzwi. To była tak zwana strefa śmierci.

Wchodzi się z prawej albo z lewej, nisko i szybko. Namierza się cele i strzela.

Tak właśnie postąpił Hawke z człowiekiem strzelającym do niego z AK-47 z podłogi. Kule świsnęły Hawke'owi nad głową, wyrwijąc tynk ze ściany, kiedy próbował opuścić broń i zabić napastnika. Błyskawicznie wyciągnął pistolet P-9 i jednym płynnym ruchem strzelił napastnikowi w czoło. Nie było czasu, żeby mierzyć w ciało.

- Komandorze, za panem! - usłyszał jednego ze swoich ludzi.

Obrócił się i zobaczył, że jeden z bojowników celuje do niego z niespełna metra. Instynkt Hawke'a działał na takich obrotach, że widział dosłownie, jak palec przeciwnika zaczyna naciskać na spust. Patrzył śmierci prosto w oczy, ale nagle te oczy przestały istnieć. Głowa napastnika po prostu zniknęła. Aureolka z drugiego końca pokoju zdjęła go strzałem w głowę.

Hawke oszacował, że w pokoju zostało jakichś dziesięciu uzbrojonych ludzi. Połowa zdołała strzelić, nim zginęła. Żołnierze IRA, zdeorganizowani i dezorientowani siłą nagłego ataku, strzelali na oślep i niecelnie. Trzech kolejnych padło i było jasne, że Jankesi zyskali w pokoju przewagę.

- Ej, wy, reszta - krzyknął Hawke, omiatając teren swoim M-8. - Rzucić broń! Ale już.

Widząc, że opór jest bezcelowy, bojownicy natychmiast posłuchali. AK padały ze szcękaniem na podłogę.

- Łapy do góry, tak żebym widział. Wszyscy pod tamtą ścianę. Dobrze. Teraz odwrócić się twarzą do ściany i ręce do góry, nad głowę.

Miał siedmiu jeńców. Myślał tylko o jednym: czy jest wśród nich Smith. Sięgnął ręką i zdarł kominiarkę z głowy najbliższego. Mrużąc niebieskimi oczyma, patrzył na niego rudowłosy dzieciak, nie więcej niż dwudziestolatek.

- Sierżancie, skuć ich. Dwóch zostaje tutaj i pilnuje więźniów, reszta za mną - polecił Hawke i ruszył do drzwi. W korytarzu usłyszał kilka wystrzałów i krzyk porucznika Bolta:

- Na glebę! Na glebę, kurwa, albo rozwalę wam łby!

Tu też wszystko pod kontrolą, pomyślał, zaglądając do przyległego pokoju. Strzelanina ucichła, ale dwie aureolki leżały na podłodze obok martwych ludzi z IRA. Więźniowie stali już z rękoma skutymi kajdankami na plecach.

- Dopadli dwóch naszych, sir.
- Ciężko ranni, sierżancie?
- Onslow, sir. Chyba nie żyje. Dostał w brzuch. Wykrwawił się podczas strzelaniny. Nie zdążyłem mu pomóc.
- Nie obwiniaj się, byłeś zajęty. Co z tym drugim?
- Briggs, sir. Będzie żył. Dostał kulkę w ramię.
- Więźniowie zabezpieczeni?
- Tak, sir. Mamy pięciu żywych. I pięciu martwych.
- Zabierzcie ich do pokoju obok. Postawcie pod ścianą z tamtymi.

Żeby przejść na drugi koniec korytarza, Hawke musiał zrobić krok nad ciałem młodego brytyjskiego żołnierza, który zginął na szczycie schodów. W najdalej położonym pokoju znalazł Bolta. Klęczał obok jednego ze swoich ludzi. Trzymał ciężko rannego chłopaka za rękę.

Spojrzał na Hawke'a i zapytał:

- Ofiary?
- Dwóch nie żyje, jeden ranny.
- Jeńcy?
- Dwunastu.
- Niech się pan rozejrzy, komandorze - powiedział Bolt, wskazując zamknięte drzwi. - Tak kończą zdrajcy IRA.

Hawke otworzył drzwi kopniakiem. W pokoju było pusto, jeśli nie liczyć człowieka przywiązanego do krzesła i zmienionego nie do poznania. Nie żył, bez wątpienia. Każdy skrawek nagiego ciała miał pocięty, przypalony albo pobity. Hawke podszedł bliżej i przyjrzał się uważnie zwłokom, potwierdzając swe podejrzenia. Mimo zapuchniętych oczu, zmiażdżonego nosa i powybijanych zębów, wciąż dało się rozpoznać tę twarz.

Był to specjalista IRA od bomb, Thomas McMahon, który wskazał im drogę do Gospody pod Szczekającym Psem za trzydzieści srebrników.

- Zulu, Zulu, tu Janke - mówił Bolt do mikrofonu, kiedy Hawke wrócił. - Co u was, poruczniku Foreman?

- Budynek zabezpieczony, sir. Wszyscy zneutralizowani. Czterech naszych dostało, tylko ranni, żadnego zabitego. Znaleźliśmy też dwa laptopy i trochę dokumentów.

- Świetna robota. Co z sanitariuszami?

- Właśnie wchodzą.

- Przyślijcie tu jednego do mnie w podskokach. Chłopak wykrwawi mi się na śmierć.

- Tak jest, sir, już idzie.

- Ilu macie jeńców na dole, na parterze i piętrze?

- Piętnastu, sir.

- Dobrze. Zebrać wszystkich w jednym pomieszczeniu. Macie tam coś wolnego na dole?

- Kuchnia, sir. Czyściuteńka.

- Wszyscy słyszeli? Zebrać wszystkich jeńców w kuchni. Już. Spróbujcie wywołać majora Mastermana w centrum dowodzenia. Powiedzcie mu, że dom jest zabezpieczony.

- Nie ma go w centrum dowodzenia, sir. Wysłałem przed chwilą Nicholasa, żeby mu powiedział.

- To gdzie jest, u licha?

- Właściwie to nikt nie wie, sir.

W tej samej chwili na górę wbiegł młody sanitariusz, krzycząc do Bolta. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

- Poruczniku! Musimy się natychmiast ewakuować!

- Co? - zdziwił się Bolt.

- Sir! Opatrywałem jednego z rannych ludzi z IRA, który za wszelką cenę chciał, żeby go wynieść na zewnątrz. Mówi, że w piwnicy jest skład broni. Mają tam podłączony zapalnik czasowy. Widział, jak jeden z bojowników go uruchamia tuż przed śmiercią!

- Ruchy! - krzyknął Bolt ile sił w płucach. - Wszyscy natychmiast wypad z obiektu! Zabrać rannych, zostawić martwych. W piwnicy jest bomba, która lada chwila może wybuchnąć. Macie góra dwadzieścia sekund, żeby wyjść na zewnątrz!

Powstał chaos. Ranni krzyczeli, kiedy ciągnięto ich po schodach i wnoszono od frontu i tyłem. Żołnierze wyskakiwali oknami z drugiego piętra, ryzykując połamaniem nóg albo i czymś gorszym. Hawke popędził do schodów, znalazł dwóch rannych żołnierzy i jakimś cudem zdołał zarzucić ich sobie na ramiona. Popędził ile sił

w nogach do głównego wejścia, przeskakując nad zwłokami. Słyszał krzyki dwóch rannych, których niósł, i modlił się, żeby nie zrobić im większej krzywdy.

- Odsunąć się od budynku jak najszybciej - usłyszał Hawke w słuchawkach krzyk Bolta. - Tu jest pewnie z parę ton materiałów wybuchowych!

Hawke dobiegł z dwoma rannymi między drzewa. Położył ich na ziemi najdelikatniej, jak potrafił, i obrócił się, by spojrzeć na Gospodę pod Szczekającym Psem.

Młody brytyjski żołnierz z ręką ledwo trzymającą się ciała wychodził właśnie głównym wejściem, kiedy zadrżała ziemia, a budynek zmienił się w gejzer płomieni, szczątków i dymu, który wzbił się w niebo na kilkadziesiąt metrów. Kiedy dym się rozwiął, Hawke zobaczył gigantyczny krater w ziemi, blisko trzydziestometrowej średnicy.

Gospoda pod Szczekającym Psem wyparowała.

A wraz z nią dość broni i środków wybuchowych, by zniszczyć spore miasto.

Dwadzieścia minut później ranni żołnierze i bojownicy IRA otrzymali pierwszą pomoc i byli już w drodze do szpitala w jednostce w Sligo. Pozostałych jeńców umieszczono pod strażą na polanie w lesie, za gościńcem. Zamaskowanych terrorystów oświetlono reflektorami pojazdów wojskowych, wszędzie kręcili się żołnierze z latarkami.

Hawke i Bolt weszli na polanę. Zawieziono ich na drugi kraniec zbocza do wozu dowództwa, ale nie zastali tam oficera, któremu mogliby złożyć raport. Nie mieli więc wyjścia i musieli wrócić do lasu, by przesłuchać pojmanych.

- Komandorze - powiedział Bolt. - Myślę, że powinniśmy im się najpierw przyjrzeć. Przesłuchamy ich po kolei już w bazie. Kiedy sprawdzimy te laptopy.

Hawke przytaknął i podszedł do pierwszego jeńca w rzędzie. Wszystkich skuto kajdankami.

Sięgnął i zerwał bojownikowi czarną kominiarkę.

Mężczyzna miał ciemną skórę i czarną rozwichrzoną brodę. Jeśli to był zabójca z IRA, to z pewnością na takiego nie wyglądał. Bolt obejrzał go pobieżnie i poszedł dalej. Zdarł kominiarkę drugiemu

w rzędzie. I znów miał przed sobą twarz kolejnego Araba.

- Co jest, do cholery? - powiedział zdumiony Bolt do Hawke'a. - Al-Kaida w Irlandii Północnej czy co?

- Przekonajmy się. Mówisz po angielsku? - zapytał Hawke. Aby podkreślić wagę pytania, wyjął nóż z pochwy na udzie i przyłożył czubek do podbródka więźnia.

Ten mruknął, że tak.

- Nazwisko?

- Yusef Najeeb.

- Aha, zapewne z czcigodnych Najeebów z Londonderry?

- Nie. Z północnego Waziristanu, w Pakistanie.

- Co, u licha, tu robisz?

Mężczyzna się uśmiechnął.

- Przyjechaliśmy do Irlandii Północnej, żeby walczyć z ciemiężcami ramię w ramię z naszymi braćmi.

- Aha, z katolickimi braćmi. Gdzie jest Smith?

- Nie znam żadnego Smitha.

Hawke spojrział na Bolta. Porucznik był równie zdumiony jak on sam.

Zamiast zadawać kolejne pytania, Hawke po prostu przespacerował się wzdłuż zebranych i po kolei ściągał im maski, aż w końcu trafił na żołnierza IRA. Przystawił mu nóż do gardła.

- Szukam faceta o nazwisku Smith. Był tutaj?

Zduszonym głosem terrorysta odpowiedział:

- Był. Ale wyjechał, zanim przyszliśmy.

- A więc go znasz.

- Tak, słyszałem o nim.

- Jak wygląda?

- Nikt go nigdy nie widział.

- Pytam, jak wygląda. Ktoś go musiał widzieć. - Hawke przycisnął mocniej nóż.

- Ci, którzy go widzieli, nie ujawnią jego tożsamości.

- A to dlaczego?

- Bardziej boją się jego niż was.

Kiedy wszystkim zdjęto kominiarki, okazało się, że dwunastu należy do IRA, a ośmiu to bliskowschodni terroryści. To odkrycie miało ogromne konsekwencje.

Hawke chwycił błyskawicznie za kark ostatniego Pakistańczyka, aż wyskoczył z luźnych sandałów.

- Kto przyjeżdża do Irlandii walczyć ramię w ramię z braćmi? Talibowie? Al-Kaida?

- Miecz Allacha, chwała niech będzie Panu.

Hawke wciąż lustrował twarze zebranych.

- Smith? - zapytał ponownie. - Który z was widział Smitha? - zadawał pytanie drugiemu, trzeciemu i czwartemu.

Poddał się po szóstym czy siódmym. Smith musiał mieć już koło siedemdziesiątki. Ci tutaj to sami chłopcy i mężczyźni w średnim wieku.

Jeśli Smith w ogóle tu był, to dawno zniknął.

Godzinę później Hawke i Sebastian Bolt siedzieli w porzuconym transporterze majora Milo Mastermana. Słońce weszło wysoko, a wraz z nim pojawiły się czarne chmury i zacinający ostro deszcz, który bębnił o stalowy dach nad ich głowami. Major po prostu zniknął. Żołnierze rozproszyli się po gęstym lesie, żeby go znaleźć, ale na razie żadnemu się nie udało.

Ambrose Congreve i Bull-Dog Drummond mieli dość Gospody pod Szczekającym Psem i wrócili do pensjonatu Pod Łabędziem, żeby przespać się kilka godzin i zająć się dokładnym przesłuchaniem pojmanych terrorystów. Obaj pogratulowali porucznikowi i Hawke'owi udanej akcji i pojechali wojskowym transportem z powrotem do Sligo. Bolt i Hawke siedzieli teraz w transporterze i popijali gorącą kawę.

- Miecz Allacha - odezwał się Bolt. - Z czymś mi się kojarzy ta nazwa. Chyba Heathrow, co? Terminal czwarty jakiś rok temu? Ta koszmarna bomba?

- Tak.

- Stali też chyba za tym ohydny zamachem w Stanach. Szpital w Miami, jeśli dobrze pamiętam.

- Zgadza się - odparł Hawke.

- Wciąż mam to samo pytanie, komandorze Hawke. Co, u licha, robią talibowie w Irlandii Północnej? Walczą razem z Nową IRA? Przecież to jakiś żart.

- Myślę, że wszyscy ci dranie połączyli siły. I będą to robić na całym świecie, poruczniku. Będą walczyć wspólnie z każdym, kto

nienawidzi Wielkiej Brytanii, Ameryki czy w ogóle Zachodu.

- Mają środki i ludzi, żeby robić to na całym świecie? Już samo to może przerazić.

- Wygląda na to, że mają, prawda? Można by rzec, że to pierwsze ponadnarodowe islamskie supermocarstwo.

- I tkwi pan w tym po uszy, co, komandorze?

- Ano tkwię.

- I co teraz?

- Będziemy się bronić, rzecz jasna.

42.

Londyn

Świt. Pływająca od lat po Tamizie barka „Pudge” - wąska, ale z długim na dwadzieścia pięć metrów czarnym lśniącym kadłubem - stała zacumowana przy nabrzeżu w Greenwich. Jej kapitan Terrence Spencer był prawdziwym wilkiem morskim o szerokiej klatce piersiowej, mocno umięśnionych barkach i wielkiej rudej brodzie. Stał przed niską sterówką i popijał gorącą kawę z kubka. Terry i jego młody klient obserwowali wyładunek towaru z wynajętej ciężarówki.

Terry, tak jak jego ojciec i dziadkowie, pływał po Tamizie od dziecka. Patrzył na brodatych chłopaków wyładowujących pudła sprzętu z ciężarówki i pokręcił głową. Co za czasy. Wydawało mu się, że widział już wszystko. Wynajmował swoją barkę wiele razy - na rocznice, śluby, imprezy dla emerytów, ale musiał przyznać, że czegoś takiego jeszcze nie widział.

Kapela rockowa. Nazywali się Sunni i Bułaty.

Cwana nazwa.

- Długo jeszcze? - zapytał kierownika zespołu i głównego wokalisty, Sunniego, który wymawiał swoje imię jak „Sonny”. Pełne nazwisko brzmiało Sunni Khan. Kiedyś może taki klient wynajmujący „Pudge” byłby czymś niezwykłym, rozmyślał Terry. Ale teraz blisko

osiemdziesiąt tysięcy Brytyjczyków miało na nazwisko Khan. Naprawdę, czytał o tym w „Daily Mirror”. Khan było osiemdziesiątym najpopularniejszym nazwiskiem w Wielkiej Brytanii. Sprawdził dla zabawy własne nazwisko - Spencer. Numer sto czterdziesty siódmy na liście. Kto by pomyślał.

Sunni był miłym młodym chłopakiem - gładko ogolonym, w drogiej skórzanej kurtce, nawet w krawacie. Powiedział, że studiuje na LSE, a potem dodał: London School of Economics, ewidentnie po to, żeby dotarło do krzepkiego i ograniczonego kapitana barki.

- Aha, więc to oznacza LSE? - powiedział do chłopaka. - Zawsze się nad tym głowiłem. Moja córka tam studiuje.

- Przepraszam. Nie chciałem pana obrazić, sir.

- Jeśli mamy być na czas, to musimy ruszać.

- Ciężarówka już prawie wyladowana, sir. Myślę, że może pan zaplanować rzucenie cum za jakieś dwadzieścia minut. Przepraszam za spóźnienie. Jakies drobne problemy z wynajmem ciężarówki.

Ciężarówka podjechała prawie na skraj nabrzeża. Młode brodate osiłki z długimi włosami wciąż zsuwały z niej wielkie czarne pudła. Na każdym z nich wielkimi białymi literami wymalowano nazwę: Sunni i Bułaty. Terry nigdy nie słyszał o tej kapeli, ale też i nie słuchał muzyki, od kiedy zmarł Sinatra.

Część chłopaków zeszła pod pokład i rozpakowywała sprzęt elektroniczny, wzmacniacze, instrumenty i inne rzeczy na popołudniowy rejs po rzece. Koncert miał się odbyć na trawniku naprzeciw Hampton Court. Sunni zapowiedział, że chcą rozstawić instrumenty na dużej klapie załadunkowej pośrodku barki. Koncert grany z wody to nowe podejście, przekonywał go Sunni. Wyprzedali się wszystkie bilety.

Koncert na wodzie, akurat, pomyślał Terry.

Ci spryciarze, którzy zarezerwowali „Pudge” na całodzienny rejs, nie mieli pojęcia o roli, jaką odegrała w historii. A nawet gdyby wiedzieli, to pewnie guzik by ich to obchodziło. Przecież to obco-krajowcy. Nie mają pojęcia o brytyjskiej historii. Mają ją gdzieś. Z tego co czytał w „Daily Mirror”, nie znosili tego kraju, ludzi, rządu.

Terry miał pomysł: skoro, do cholery, nie podoba im się tu, nie podoba im się nasza flaga, nasza religia, nasz sposób życia, to niech

się pakują i wracają do domu! Nigdy oczywiście nie powiedział tego na głos, bo byłoby to bardzo niepoprawne politycznie, jakby stwierdziła żona. Miał wątpliwości co do tego ruchu politycznej poprawności. Przez to wszystko się zaczynało sypać.

W czasie drugiej wojny światowej „Pudge” odegrała historyczną, a nawet bohaterską rolę w ewakuacji brytyjskich żołnierzy spod Dunkierki. Ciągnięte przez holowniki barki ratunkowe wyposażono w żagle, by po przepłynięciu kanału La Manche mogły wrócić do kraju. Załoga „Pudge” postawiła żagle tuż przed brzegiem i zaliczyła twarde lądowanie na plaży. Barka zabrała na pokład blisko trzystu żołnierzy. Kilku chłopaków pod ciężkim ostrzałem zdołało zepchnąć barkę z powrotem do morza i wrócić o żaglach do macierzystego portu.

Mimo ciągłych ataków niemieckich bombowców, min morskich, od których roilo się w wodzie, mimo że brytyjskie niszczyciele po prawej i po lewej zatoneły pod ciężkim ostrzałem z niemieckich dział na klifach, stara „Pudge” jakoś zdołała przetrwać. Doczłapała się jakoś do Ramsgate i wysadziła bezpiecznie na brzeg swój cenny ludzki ładunek. Kapitanem był wtedy dziadek Terry'ego. Dziś już nikt nie pamięta takich aktów bohaterstwa.

A ci obcokrajowcy, jego „klienci”, ciekawe czy wiedzą cokolwiek o jego dziadku? Akurat. Urodził się w Bedford w 1918 roku, w czasie kiedy rozbił się zeppelin. I dramatyczne wydarzenia nie opuszczały go aż do śmierci. W lotniczej bitwie o Wielką Brytanię stał się legendą. Przydzielono go do amerykańskiego szwadronu latającego na mustangach P-51. Słynął z tego, że latał zaledwie trzy metry nad ziemią, by nie dać się namierzyć niemieckim radarom. Ostrzeliwał wrogie pociągi, łodzie i konwoje wojskowe, wszystko co zdołał wypatrzeć.

Ale najbardziej niesamowite było to, że wykombinował, jak unieszkodliwiać niemieckie rakiety V-1. Niszczył je w locie, muskając czubkiem skrzydła! To było coś. Zyskał przez to przydomek „Terry Wywrotka” i narodową sławę jako jeden z najodważniejszych brytyjskich lotników.

Może Sunni i Bułaty zaśpiewaliby o tym piosenkę.

Godzinę później, po spokojnym rejsie, „Pudge” zbliżała się do mostu Lambeth. Przez całą podróż Sunni stał w sterówce z Terrym,

cały czas szepcząc coś w kącie przez komórkę. Członkowie zespołu wyszli na pokład, gdzie opalali się i rozmawiali po cichu.

- Kapitanie - odezwał się Sunni - mamy nieplanowany przystanek. Zdaje się, że mój perkusista zaspał i nie zdążył na ciężarówkę. Czeka na nas na nabrzeżu Lambeth, tuż za mostem.

Terry spojrzął przed siebie i ocenił czas potrzebny do wyhamowania wielkiej barki. Jakimś zbiegiem okoliczności zauważył, że członkowie zespołu otworzyli wielki luk załadunkowy i zniknęli w przepastnych czeluściach barki.

- Szkoda, że wcześniej nie powiedziałeś - rzekł Terry, wrzucając całą wstecz, by wyhamować barkę, której dziób właśnie przepływał pod ruchliwym mostem. Woda za rufą się zagotowała, a Terry przesunął ster w prawo, by zbliżyć się do nabrzeża.

Faktycznie, czekał tam kolejny brodaty muzyk.

Jedyny członek załogi „Pudge” przygotował dwie cumy. Jedną zarzucił wcześniej zgrabnie na słupek, teraz ściągał już drugą. Terry zbliżał barkę do nabrzeża. Zważywszy na okoliczności, całkiem zgrabny pokaz marynarskiej sztuki. Perkusista wskoczył na pokład i pomógł marynarzowi zdjąć cumy. Terry otworzył przepustnicę wielkich dieslowskich silników i odbił od nabrzeża. Na razie nic nie płynęło rzeką w żadną stronę, więc skierował barkę na sam środek na ostatni etap podróży. Nie mógł się doczekać końca. Od początku cały ten wynajem mu się nie podobał.

Kapitan poczuł zimną stal na potylicy i od razu zrozumiał, że popełnił ogromny błąd. Usłyszał szczęk odciąganego zamka pistoletu i zgrzyt naboju wchodzącego do komory.

- Cała stop, kapitanie - polecił Sunni Khan. - Albo z radością rozwalę ci łeb.

- Coście, do cholery, za jedni? - ryknął Terry. Wylał z siebie cały tłumiony gniew na to, co dzieje się z jego krajem.

- Miecz Allacha.

- Miecz Allacha. Jasne. Ci sami, którzy zabili setki ludzi na Heathrow w zeszłym roku.

- Zrobili to dla wielkiej sprawy.

- Gówno prawda.

Sunni wcisnął mu mocniej pistolet w czaszkę.

- Kapitanie, zatrzymaj barkę, ale już!

Terry zdjął gaz i barka szybko się zatrzymała.

- A teraz dodaj tyle gazu, żeby nie płynęła z prądem. Rób, co mówię, to może przeżyjesz, kapitanie.

Terry wykonał polecenie. Chciał zjeść kolację ze swoją panią, a potem skoczyć na kilka kufli z kumplami w pobliskim pubie Pod Workiem Gwoździ.

Spojrzał na dziób, szukając wzrokiem Tima, swojego marynarza. Wtedy zobaczył nieruchome ciało na pokładzie, tuż za lukiem załadunkowym. Wokół głowy rozlewała się kałuża krwi. Marynarz nie żył. Główny luk był już otwarty. Z ładowni szybko podawano sprzęt, który terroryści ustawiali na górze. Wyglądało to jak cholerna płåtounina rur na trójnogu.

- Nie wygląda mi to na instrumenty muzyczne - mruknął.

- Moździerze - odezwał się Sunni. - Rosyjskie moździerze Podność kaliber osiemdziesiąt dwa milimetry - wyjaśnił mu swobodnie. - Tanie nie są, ale doskonałe do tego rodzaju ataku z bliska. Każdy moździerz wyrzuca trzykilogramową bombę odłamkową na tysiąc metrów, w tempie dwudziestu ładunków na minutę. Miej oczy otwarte, to sam zobaczysz efekt.

Terry spojrzał w prawo, by zobaczyć, w co celują moździerze. Cholera jasna. Zamierzali wysadzić Thames House. Centralę MI-5. Ludzi, którzy mieli za zadanie chronić naród przed takimi bestiami.

Sześć moździerzy zaczęło jednocześnie oddawać szybkie wystrzały. Każdy mierzył w inną część budynku i bezpośrednie efekty były katastrofalne. Odpadały potężne fragmenty betonu i szkła, zapadały się całe fragmenty ścian i dachu, wszędzie zaczynało się palić i z okien buchały płomienie. Zabitych i rannych musi chyba być mnóstwo, pomyślał Terry.

Ale los szybko obrócił się przeciw ludziom z Miecza Allacha. Thames House nie był tak bezbronny, jak wyglądał na pierwszy rzut oka. Z dachu ogromnego budynku zaczęło odpowiadać ogniem. Choć cenną barkę zalała fala ołowiu, Terry głośno krzyknął z radości do strzelców z dachu.

Na Thames House mieściły się działka M61 Vulcan kaliber 20 milimetrów. Swoją śmiercionośny ogień skierowały na stojącą w miejscu barkę. Te współczesne wersje starych ckm-ów to

sześcioletnie obrotowe działka zdolne wystrzelić ponad sześć tysięcy pocisków na minutę.

„Pudge” była rozrywana na strzępy. Podobnie jak terroryści ukryci za moździerzami na głównym łuku załadunkowym. Ich ciała dosłownie rozpadły się na strzępy na oczach Terry'ego, a to co z nich zostało, serie z vulcanów zmiotły przez burty do rzeki.

W sterówce nie został nawet kawałek szkła, dach nad głową został zerwany, a Terry dziwił się, że wciąż jeszcze żyje. „Pudge” wykonano z grubej stali, nie tylko burty, lecz także sterówkę, więc kule odbijały się od jej ścianek.

- Uciekaj spod ognia! - krzyknął Sunni. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu wierzył, że uda mu się jeszcze uciec spod morderczego gradu ołowiu posyłanego z dachu Thames House.

- Cała wstecz! - Sunni starał się przekrzyczeć dudniącą kanonadę.
- Wycofaj się pod most i zostań tam!

Terry obejrzał się przez ramię. O dziwo, ludzie na moście pozatrzymywali samochody i wysiadali, by lepiej się przyjrzeć. Szaleństwo rodzi szaleństwo.

- To już koniec, śmierdzący szczurze! Nie uciekniesz - krzyknął Terry.

- Nie tak szybko, kapitanie. W ładowni są trzy stukilogramowe bomby z nadtlenku azotu. Zaraz wysadzę most Lambeth i wszystkich, którzy na nim są.

- Zapalnik czasowy czy detonator? - zapytał Terry odruchowo. Naoglądał się trochę w telewizji *Szpiegów*. Gdzieś podświadomie wiedział, że jeśli padnie odpowiedź „detonator”, będzie musiał urwać łeb temu draniowi, nie zważając na pistolet, a potem wyrzucić ten cholerny detonator za burzę.

- Detonator - odparł Sunni i poklepał się po kieszeni koszuli. - Mam go tu... cholera! Dałem go Rashidowi na wypadek... cholera! - Jak obaj wiedzieli, Rashid przestał istnieć.

W tej samej chwili dwa myśliwce Tornado F-3 przeleciały im nad głową, nie wyżej niż sześć metrów nad mostem Lambeth i „Pudge”. Pod skrzydłami widać było śmiercionośne rakiety powietrze-ziemia.

Tornada przyleciały ze szwadronu „Skrzydło obronne” w bazie RAF w Marham. Marham było jedną z dziesiątek baz RAF-u z czasów drugiej wojny światowej rozrzuconych wokół Londynu. Myśliwce

krażące w powietrzu dwadzieścia cztery godziny na dobę dawały niemal natychmiastową możliwość reakcji na wszelkie zamachy w mieście.

Terry od razu wiedział, co musi zrobić. Dał całą wstecz i zaczął cofać się z prądem rzeki, wprowadzając barkę pod most Lambeth.

Daleko przed sobą, na niewiarygodnie małej wysokości zobaczył przyspieszające F-3. Odłączyły się od siebie, wykonały ciasny zakręt, by wrócić nad rzekę i do celu, który powoli chował się w cieniu mostu.

- Wprowadź ją pod ten pieprzony most! - krzyczał mu Sunni do ucha.

Sunni wypadł ze sterówki, pobiegł w stronę dziobu i wskoczył do ładowni, z której wydobywał się dym. Zamierzał ręcznie zdetonować bomby, kiedy barka stanie tuż pod mostem, pomyślał Terry i sięgnął do dźwigni przepustnicy.

W słuchawkach dowódcy eskadry odezwał się głos:

- Blackstar, tu Crackerjack... nic z tego, sir. Nie ma możliwości strzału. Cel stoi bezpośrednio pod mostem... trzeba się liczyć ze sporymi przypadkowymi zniszczeniami...

- Potwierdzam. Czekaj.

Terrence Spencer zablokował koło sterowe, ustawił stery w pozycji neutralnej i ustawił przepustnicę na całą wstecz. Potężne silniki „Pudge” go nie zawiodły. Szybko wycofały barkę spod mostu i pchały ją tyłem z prądem rzeki z szybkością około pięciu węzłów.

- Cel wysuwa się spod mostu... proszę o rozkaz, odbiór.

- Czekaj trzydzieści sekund - polecił Blackstar. Chciał dać celowi dość czasu, żeby odpłynął od zatłoczonego mostu.

- Trzydzieści sekund, potwierdzam.

Cracker jack namierzył cel. W kokpicie rozległo się pikanie sygnału ostrzegawczego. Uzbroił rakiety.

- Zdejmij go, Cracker. Jest twój.

- Zrozumiałem.

Rakiety dowódcy eskadry namierzyły starą barkę ogarniętą płomieniami i niestanowiącą już zagrożenia dla mostu. Pilot podniósł zabezpieczającą czerwoną klapkę i wcisnął włącznik, który spod prawego skrzydła wyrzucił rakietę powietrze-ziemia typu Sea Eagle. Niemal natychmiast poniżej rozległ się stłumiony wybuch i Crackerjack położył

samolot na lewe skrzydło, żeby zobaczyć zniszczony cel.

Chwilę przed tym, nim barka zmieniła się w wielką płonącą kulę, obaj piloci zobaczyli, jak jakiś płonący mężczyzna wybiega z zady-mionej sterówki i skacze przez burtę do rzeki.

Kiedy go wyciągnęli, miał ciało poparzone w trzydziestu procentach i stracił przytomność. Podeszwy butów spłonęły, a skóra na stopach odchodziła mu całymi płatami. W karetce jadącej do szpitala św. Tomasza odkryto też, że ma siedem ran od kul w rękach, nogach i tułowiu.

Kiedy wiele godzin później Terrence Spencer obudził się w szpitalnym łóżku, zobaczył twarz swojej ukochanej, z którą był od trzydziestu lat. Stała nad nim, gładząc go po czole drobną dłonią, a drugą ręką dotykając obandażowanej piersi.

- Jak się pan czuje, kapitanie Spencer?

- Witaj, kochanie - zaskrzeczał, podnosząc głowę z poduszki. Gardło miał poranione od rurek, które mu przez nie wciskali. - Jeśli nie jesteś jakimś aniołem, to chyba wciąż żyję. To cud, prawda?

- Powiedzieli, że za jakiś miesiąc wyjdiesz do domu. Będziesz jak nowy.

- Naprawdę?

- Wiesz, nazywają cię bohaterem. W telewizji i we wszystkich gazetach.

- Mnie? Bohaterem? Co za bzdury. A za co?

- I ten się pyta za co. Wycofałeś „Pudge” spod mostu w samą porę, nim wybuchła ta wielka bomba w ładowni. Za to właśnie.

- To rakieta zatopiła starą „Pudge”. Widziałem na własne oczy, skarbie.

- Ci z RAF-u mówili co innego wczoraj wieczorem w BBC World News. Twierdzą, że to wyłącznie twoja zasługa, że wszyscy ci ludzie na moście nie zginęli.

- Niemożliwe.

- Tak.

- Ale ja nie miałem z tym nic wspólnego, skarbie. To wszystko zasługa „Pudge”. Tylko i wyłącznie. Ale to przecież nic dziwnego. Staruszka zawsze robiła swoje, prawda? Choćby pod Dunkierką. I przez te wszystkie lata.

- Co robiła?
- Spełniała swój obowiązek, kochanie. Stara „Pudge” spełniła swój święty obowiązek.

43.

Washington's Crossing, Delaware

Był pierwszy dzień szkoły i nikt w domu się z tego nie cieszył poza mamą. Dzieciaki spędziły cudowne wakacje, może najlepsze w życiu. Pływały wprawdzie i na kajakach po rzece Delaware, chodziły po lesie, zbudowały na drzewie prawdziwy fort, który był w stanie przetrwać najbrutalniejszy atak Indian, za domem łapały świetliki do słoika i przez całe trzy miesiące nie miały ani razu pracy domowej. Przeczytały też trzy książki, ale tylko dlatego, że matka kazała im słuchać książek czytanych przez nią na głos przed snem.

Uwielbiała czytać na głos. Tego lata Trevor, jego młodsza siostra Margaret i jej ukochana córeczka, sześćioletnia Barclay, wysłuchali, jak mama deklamuje *Przygody Tomka Sawy era, Rocznika i O czym szumią wierzby*, w tej właśnie kolejności. Dwunastoletni Trevor sam przeczytał *Na zachodzie bez zmian*. Nocne czytanie na głos miało oczywiście trwać przez całą zimę i wiosnę.

Ale wakacje już minęły. Dom, wielki piękny dom na wzgórzu, należał teraz tylko do niej! Mąż Jay, profesor ze szkoły Woodrowa Wilsona przy Uniwersytecie Princeton po drugiej stronie rzeki, wychodził do pracy codziennie o szóstej. Alice Milne odzyskała dom i swoje życie. Malowanie w plenerze. Ukochane książki. Godziny na telefonie z przyjaciółkami i matką. Długie spacerunki po lesie z owczarkiem niemieckim Skautem - tylko we dwójkę obserwowali, jak na przełomie października i listopada liście zmieniają kolory i opadają. A potem spadał śnieg, piękny śnieg.

- Wstajemy! - krzyknęła ze szczytu schodów kwadrans po siódmej tego ranka. - Śniadanie za dziesięć minut. Nie spóźniajcie się!

Z korytarza dobiegł ją chór jęknięć, a z pokoju małej Barclay tylko okrzyk: „Tylko nie szkoła! Za żadne skarby!” Zajrzała do pokoju córki i oznajmiła:

- Szkoła. Dzisiaj. To pierwsza klasa. Pierwsza klasa jest najważniejsza. I jest o wieceele lepiej niż w przedszkolu, mówię ci, Barclay. A teraz ubieraj się i przyjdź na śniadanie, dobrze?

- No dobra - odparła Barclay, zwlekając się z łóżka i drepzcząc do łazienki w różowej koszulce nocnej.

Jedno z głowy, powiedziała sama do siebie i poszła dalej do pokoju ośmioletniej Margaret. Córka już wstała, ubrała się i siedziała przed toaletką, czesząc długie blond włosy.

- Dzień dobry, Margaret. Miło, że już wstałaś i się ubrałaś.

- Mamo, czy twoim zdaniem wyładniałam przez wakacje, czy zbrzydłam? - pochyliła się do lustra i zrobiła minę.

- A ty jak sądzisz?

- Zbrzydłam.

- Błąd. Jesteś najpiękniejszą dziewczynką na całym świecie. I nigdy o tym nie zapominaj. - Zamknęła drzwi i poszła zerknąć do Trevora.

Trevor też już się ubrał, ale nie czesał włosów, bo ich nie miał. Zgolił je całkiem na początku wakacji. Oglądał latem tyle razy film *Jarhead*, że znał prawie na pamięć wszystkie dialogi. Zaczął nawet używać gwary marines. Trevor Milne dosłownie zmienił się w Swofforda, bohatera granego przez Jake'a Gyllenhaala. Kiedy zobaczył w drzwiach matkę, stanął na baczność, zasalutował i zanucił *Reveille*, zupełnie jak w filmie.

Zakończył piosenkę, znów zasalutował i stał na baczność ze wzrokiem wbitym przed siebie. Narzuta na łóżku była równiutko ułożona i tak napięta, że dwudziestopięciocentówka odbiłaby się, gdyby na nią upadła. To była jedna z korzyści tej przemiany - dwunastolatek nie tylko słał własne łóżko i co wieczór czyścił buty, lecz także w ogóle utrzymywał nieskazitelny porządek w pokoju.

- Śniadanie za pięć minut, kapralu. Nie spóźnij się.

- Śniadanie za pięć minut, sir! - powtórzył Trevor i zrobił spocznij. - Hura!

- To pierwszy dzień w szkole, Trevor. Może darowałbyś sobie moro i wojskowe buty? Wiesz, może zaczniesz je nosić jakoś w ciągu semestru? Co ty na to?

- Witamy w cywilu - odpowiedział, a po chwili dorzucił: - Sir!
- Bardzo dobrze, żołnierzu - powiedziała i uśmiechnęła się, zamykając drzwi. To niesamowite. Naprawdę przywykła do tego, że jej dwunastoletni syn zwraca się do niej „sir”.

W weekend 4 lipca wraz z Jayem wyjechali jak co roku na romantyczny wypad do hotelu Greenbrier w White Sulphur Springs w zachodniej Virginii. Dzieci zostawili pod okiem niani, siedemnastoletniej studentki Lawrenceville School tuż za rzeką. Trevor wyraźnie owinął sobie biedną Annie wokół małego palca. Kiedy wrócili dwadzieścia cztery godziny wcześniej, niż planowali, z powodu choroby Jaya, przekonali się, że Trevor powystawiał wszystkie meble z pokoju. Wyniósł je na strych.

Następnie wysypał na gołą podłogę prawie trzy centymetry piasku (kupił go w Home Depot, dokąd musiała zawieźć go Annie) i rozbił pośrodku pokoju namiot. Obok namiotu stał stojak do choinki z wbitym węń odpiłowanym kijem od szczotki. Na kiju powiesił amerykańską flagę. Na żyłce wędkarskiej zwisały z sufitu modele samolotów z kolekcji Trevora, w tym bombowce B-1B, B-52, myśliwce F-16 i śmigłowce Blackhawk.

Trevor oczywiście pojawił się w „mesie” jako pierwszy i Alice z zadowoleniem zobaczyła, że ma na sobie wyprasowane zwykłe spodnie i wykrochmaloną koszulę khaki. Mogłoby być lepiej, ale to i tak bardziej odpowiednie niż moro. Margaret i Barclay zeszły po chwili, nie dość, że pogodzone z myślą o szkole, to prawie aż podskakujące z podniecenia z tego powodu. Każde z nich połknęło śniadanie i nie mogło się już doczekać długiego spaceru przez las, do wąskiej wiejskiej drogi, skąd miał ich zabrać szkolny autobus.

Spacer zajmował mniej więcej dziesięć minut i Alice musiała prawie biec, żeby dotrzymać tempa dzieciom.

Kiedy dotarli do drogi, w oddali widać już było wielkiego żółtego gimbusa, który wjechał właśnie na wzgórze niecały kilometr dalej.

- Transporter opancerzony na dziewiątej, sir - powiedział Trevor zupełnie poważnie.
 - Nasz czy wroga? - zapytała Alice.
- Trevor uśmiechnął się i odparł:
- Bardzo dobre pytanie, mamó.

Gimbus w końcu dotoczył się do nich. Ponieważ był to ostatni przystanek przed szkołą, w autobusie pełno było rozkrzyczanych i roześmianych dzieciaków. Wiele z nich przyciskało twarze do okien, kilkoro wystawiało języki, zapewne do Trevora, bo on też pokazywał im język.

- No dobra, dzieciaki - powiedziała, zaganiając ich do drzwi. - Macie się porządnie zachowywać, nie spać na lekcjach i nie obrzucać się jedzeniem. I tak mam już dość prania.

- Tak, mamu - powiedziała Margaret, mały aniołek mamusi. Barclay powiedziała to samo, nawet nie zdrobniając jej do „mamusiu”. Ucisnęła je po raz ostatni, nim drzwi gimbusa otworzyły się z sykem.

- No, lećcie już - powiedziała Alice i spojrzała po raz pierwszy na kierowcę. - Gdzie jest pani Henderson? - zapytała ciemnowłosego chłopaka za kółkiem.

- Zachorowała. Ja ją zastępuję.

- Zachorowała? Jeździ tym autobusem, od kiedy poszłam do szóstej klasy. Nigdy nie zdarzyło jej się wziąć zwolnienia.

- Kiedyś musi być pierwszy raz - odparł młody człowiek i zamknął drzwi.

Autobus ruszył i zaczął długą wspinaczkę pod Potter's Hill, najwyższy punkt w Washington's Crossing.

Z coraz większym niepokojem obserwowała oddalający się autobus. Instynkt macierzyński. Nie podobał jej się ten młody kierowca. Zupełnie jej się nie podobał. Nie podobało się jej, jak mówił, jak się ubierał (na głowie miał małą czapkę), nie podobało jej się też, że nie przywitał się, o czym pani Henderson nigdy nie zapomniała. Niepokoił ją ten uśmiech, jaki zobaczyła u niego, kiedy zamykał drzwi. Coś było nie tak z tym uśmiechem, myślała, coś bardzo nie w porządku.

Stała w miejscu z założonymi na piersi rękoma i obserwowała, jak gimbus przyspiesza, podjeżdżając pod stromą górę. Czy mi już odbiło? Mam zwidy? Paranoję? - zastanawiała się.

Nie.

- O Boże! - usłyszała własny głośny okrzyk.

Zacząła biec za autobusem, krzycząc jak najgłośniej, żeby się zatrzymał.

Mniej więcej w jednej trzeciej wzniesienia zabrakło jej tchu. Biegła tak szybko jak nigdy w życiu, ale góra była zbyt stroma. Autobus zbliżał się już do szczytu i wiedziała, że już go nie dogoni. Mogła tylko stać bezradnie i patrzeć, modląc się, by okazało się, że to tylko jej głupota, że udzieliła jej się paranoja, tak jak ostatnio wszystkim w kraju.

Kiedy autobus dojechał na szczyt, mignęły światła stop i gimbus chyba na chwilę się zatrzymał.

Wybuch posłał w dół wzniesienia falę uderzeniową, która omal nie przewróciła Alice Milne. Podniosła wzrok i zobaczyła potężną kulę ognia i słup czarnego dymu w miejscu, gdzie zaledwie ułamek sekundy wcześniej stał żółty gimbus.

Alice Milne zaczęła biec pod górę.

Żar płonącego autobusu smagał ją po oczach, kiedy dobiegła na szczyt wzniesienia, do stosu pogrzebowego, na którym jej dzieci i całe życie obróciły się w proch.

44.

Islamabad, Pakistan

Karetka Stowarzyszenia Czerwonego Półksiężycy jechała po Peshawar Road w Islamabadzie, zbliżając się do Golra Morr i otwartego niedawno szpitala. Minęła północ. Po dziesiątej wieczorem uporządkowane, wysadzone drzewami ulice Islamabadu pustoszały, nie licząc spotykanych od czasu do czasu białych taksówek. Nie było to miasto dla amatorów nocnego życia. Jediną restauracją czynną o tej porze była budząca niezwykle kontrowersje Pizza Hut, którą otwarto w pobliskim centrum handlowym.

Z przodu siedzieli kierowca karetki Imran i towarzyszący mu sanitariusz Ali. Obaj palili papierosy i rozmawiali - o czym by innym - o polityce. W zaciemnionej tylnej części pojazdu jechał wytrzymały ciemnozielony worek na zwłoki z milczącą jak grób zawartością.

Imran skręcił w prawo w szeroki podjazd do nowego Międzynarodowego Szpitala Quaid-e-Azam. Supernowoczesna instytucja na czterysta łóżek otwarta została niedawno po niekończących się opóźnieniach budowlanych, przepychankach politycznych i problemach z infrastrukturą. W mieście mówiło się, że chodziło o jakies problemy z podziemnym parkingiem. Ale większość ludzi uważała, że warto było czekać. Awangardowy budynek z błękitnego szkła wyglądał jakby go żywcem przeniesiono z centrum Dubaju i w niczym nie przypominał innych budowli w pakistańskiej stolicy.

Szpital był prezentem od narodowego bohatera. Walecznego watażki szejka al-Rashada.

Karetka zatrzymała się pod zadaszonym wejściem na izbę przyjęć. Dwaj mężczyźni wbiegli szybko do środka. Przytrzymano ich dwie godziny na punkcie kontrolnym i obaj spieszyli się już do domu. Kierowca powitał uzbrojonego ochroniarza i otworzył tylne drzwi karetki.

Strażnik, Muhammad, był starym znajomym agenta ISI Imrana. Sam także był agentem ISI, ale został zdegradowany i stracił pracę. Biedny sukinsyn skończył jako ochroniarz. Jeżdżenie karetką było głównianą robotą. Ale nocna wachta w szpitalu to już samo dno. Sanitariusz pomógł kierowcy zsunąć zwłoki na jaskrawożółty rozkładany wózek szpitalny.

- Późno, co Imran? - odezwał się ochroniarz po angielsku. - Zdaje się, że ten pójdzie od razu do lodówki.

Sanitariusz pokręcił głową i szepnął do kierowcy w urdu:

- To mi dopiero odkrycie. Nic dziwnego, że wyrzucili tego idiotę ze służb.

Imran odparł:

- Skąd wiesz, że służby go wyrzuciły? Skąd wiesz, że wciąż dla nich nie pracuje? Skąd wiesz, czy oni nie pracują dla niego? Raz wejdiesz do ISI, już nie wychodzisz.

- Słyszałem, że wyleciał na kopach.

- Czyżby? Nie wierz we wszystko, co słyszysz, bracie. Będziesz dłużej żył.

Wielkie szklane drzwi do izby przyjęć otworzyły się z sykiem i załoga karetki przewiozła szybko wózek obok recepcji, obok rzędu

wind i w końcu przez podwójne drzwi ze stali nierdzewnej opatrzone szyldem „Kostnica. Wstęp wzbroniony”.

Kostnica. Woń śmierci i rozkładu. Niezliczone, nienazwane związki chemiczne towarzyszące sekcjom zwłok. Przejechali przez pustą kostnicę, w której - jak można się było spodziewać - o tej porze nie prowadzono żadnej sekcji.

Na końcu sali, za lodówkami na zwłoki, stołami do sekcji, szafkami ze sprzętem i odczynnikami dla patomorfologów, znajdowały się prawie niewidoczne płaskie drzwi z czarnego szkła. Obok widać było czytnik kart.

Imran przesunął kartę i drzwi z ramą ze stali nierdzewnej otworzyły się szeroko. Kiedy wózek znalazł się w środku, przesunął ponownie kartę. Tym razem elektroniczny czytnik uruchamiał zjeżdżającą w dół windę.

Wielka kabina Otis przebyła gładko co najmniej trzy lub cztery podziemne poziomy, a może i więcej. Jechała tak szybko, cicho i gładko, że naprawdę trudno było ocenić, jak nisko się zjeżdża. To było jak podróż do wnętrza Ziemi.

Zatrzymała się delikatnie.

- Ta winda łąduje jak motyl, którego bolą stopy - zauważył sanitariusz. Kierowca położył rękę pośrodku drzwi. Skaner odczytał jego odciski palców i szklane drzwi zniknęły po cichu w podłozę, a kiedy przeszli, znów się podniosły.

Kiedy drzwi otworzyły się z cichym elektronicznym brzęknięciem, przepchnęli wózek do mdło oświetlonego pomieszczenia. Było to coś w rodzaju recepcji, pustej, jeśli nie liczyć jednego człowieka na wpół ukrytego w cieniu.

- Wszystko w porządku? - zapytał sanitariusz. Mężczyzna siedzący przy biurku z nogami na blacie palił papierosa. Zaparkowali wózek około trzech metrów od współczesnego biurka, które wyglądało jak wyrzeźbione z bloku stali. Pokój oświetlała jedynie lampa na biurku. W przydymionym niewielkim kręgu światła, jakie dawała, nie było widać twarzy mężczyzny.

- Doskonale.

- Czy to już wszystko na dzisiaj, sir?

- Zdajecie sobie sprawę, że siedzę tu już dwie godziny?

- Przepraszam, sir. Punkt kontrolny na rondzie Rwalpindi. Zrobił się korek na ponad siedem kilometrów.

- Jasne. Dobranoc. Dziękuję.

Wyszli bez słowa.

Mężczyzna przy biurku patrzył przez kilka sekund w milczeniu na worek ze zwłokami, bezwiednie paląc papierosa, jakby nigdzie mu się nie spieszyło. Pochylił się i otworzył szufladę. Wyjął za szyjkę litrową butelkę niebieskiego johnniego walkera, odkręcił i postawił na biurku wraz z kryształową szklanką Baccarat. Kiedy zamykał szufladę, mignął mu fosforyzujący błysk błękitnej stali. Automatyczny pistolet kaliber 45 nosił przy sobie zawsze, nawet w najbardziej niewinnych okolicznościach.

Usłyszał odgłos zamka błyskawicznego i obrócił głowę.

Patrzył na worek na zwłoki i zobaczył, że szeroki nylonowy suwak otwiera się od strony głowy, przez okolice pasa aż do kolan.

Zmarły usiadł i popatrzył na niego.

Mężczyzna przy biurku odwzajemnił spojrzenie, uśmiechnął się i powiedział:

- Wyglądasz, jakbyś wstał z martwych.
- Kurwa, dwie godziny - odezwał się po angielsku do niedawna zmarły. - Mówiłem temu idiocie Malikowi, żeby poprowadził kierowcę bocznymi drogami.
- Wiedziałeś o blokadzie?
- Przecież sam ją kazałem ustawić, do cholery! Oczywiście, że wiedziałem.
- Szkockiej?
- A co masz?
- Niebieskiego johnniego.
- Ile mi przywiozłeś?
- Nie zmieścisz w ciężarówce.

Abu al-Rashad, z kolanami jeszcze w zapiętym worku na zwłoki, był najpotężniejszym człowiekiem w Pakistanie. I tak właśnie wyglądał, mimo groteskowej pozy. W każdym calu wojownik. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, skórę szorstką i ogorzałą od dziesięcioleci spędzonych w siodle i na słońcu. Mimo czterdziestki na karku włosy miał wciąż kruczoczarne. Olśniewająco biały uśmiech zaskakiwał na tej szorstkiej, ale przystojnej twarzy. Należał do ludzi, którzy potrafią przy jednym uścisku ręki zderzyć skórę z dłoni.

Odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

- Miło cię widzieć z prezentami, bracie. To znak, że planujesz coś poważnego. Tak?

- Chodźmy do twojego gabinetu i napijmy się. Opowiem ci o moich planach.

- A potem oprowadzę cię po moim nowym bunkrze. Oprócz tego piętra mam jeszcze dwa inne. Centrum łączności, bojowe centrum dowodzenia, apartament sypialny z odpowiednio nieśmiałą francuską pokojówką i najwyższej klasy kuchnia z szefem także z Paryża. Mam nawet salę kinową.

- A wszystko pod szpitalem, więc Amerykanie go nie zbombardują i nie wyślą cię do raju. - Smith się uśmiechnął. - Izraelczycy też nie.

- Taka mała sztuczka, której nauczyłem się od Hamasu.

- Niesamowite. Izraelczycy wiedzieli, że Hamas ma główną kwaterę pod szpitalem w Gazie, ale jej nie zbombardowali. Ja bym to zrobił.

- Obaj byśmy to zrobili, bracie. Bum-bum.

- Cóż, widzę, że na razie żyjesz sobie tak, jak zapragnąłeś.

- Tak. Tyle że za moją głowę wyznaczono pięćdziesiąt milionów dolarów nagrody, i muszę podróżować po własnym kraju w pieprzonym plastikowym worku na zwłoki.

Szejk al-Rashad spojrział na Smitha. Czarne oczy Araba błyszczały w świetle ukrytych w suficie reflektorków. Gabinet ukryty głęboko w bunkrze pod cywilnym szpitalem wyłożony był hebanową boazerią. Biurko z misternie rzeźbionej kości słoniowej pokazywało życie proroka. Oparł się wygodnie w głębokim skórzanym fotelu i założył ręce za głowę. Usłyszawszy właśnie, co Smith zamierza zrobić, al-Rashad odpowiedział:

- Ukochany bracie, jesteś niezłe pieprznięty.

Smith rzekł:

- Ten fakt wyraźnie ustaliliśmy już wiele lat temu, przyjacielu. Mam do ciebie jedynie pytanie: czy zechcesz, czy nie zechcesz pomóc mi w tej najnowszej, przyznając, szalonej, ale potencjalnie brzemiennie w skutkach operacji?

- Mam tylko jedno pytanie - powiedział shejk i pokręcił głową w znajomy afgański sposób. Smith uśmiechnął się, widząc, jak al-Rashad odgrywa stary rytuał.

Uśmiechnął się enigmatycznie jak doświadczony przez życie, ale mądry watażka. Ten uśmiech mógł oznaczać „tak”. Ale mógł też oznaczać wyrok na ciebie. Albo zupełnie nic. Odwzajemnił się cierpkim uśmiechem i obaj przez chwilę milczeli, popijając szkocką. Butelka na pięknie rzeźbionym biurku szejka była już w połowie pusta.

- Co to za pytanie?

- Ten twój pomysł jest bardzo ryzykowny. Możesz zginąć albo zostać schwytany przez Brytyjczyków. Taka katastrofa zagroziłaby wszystkim twoim planom. Zwłaszcza gdyby cię pojmano i torturowano.

- Owszem.

- Zatem zastanawiam się. Dlaczego w ogóle chcesz w tym uczestniczyć osobiście? Zespół na pewno poradzi sobie i bez ciebie.

- Może tak, może nie. Muszę tam być. Pociągnąłbym za spust, gdybym miał takie umiejętności. Zrozumiesz, kiedy powiem ci, że cel ma dla mnie ogromne znaczenie symboliczne. To nie jest zwykła operacja. To coś bardzo osobistego.

- Teraz rozumiem. Zgadzam się. Musisz jechać. A jeśli coś pójdzie nie tak, oczywiście znikniesz.

- Oczywiście. Cyjanek to mój stały towarzysz.

Szejk skierował wzrok ku sufitowi, złożył dłonie w koszyczek i wyraźnie zastanawiał się nad wszystkim. Myślał jak szachista. To dlatego doszedł do władzy w pustce, jaka powstała pod nieobecność Osamy bin Ladena. Zawsze obmyślał przynajmniej cztery ruchy do przodu.

- Naturalnie to by nam dało dobry rozgłos - przyznał szejk al-Rashad. - Niezwykłe uderzenie prosto w serce wroga relacjonowane na okrągło przez międzynarodowe media.

- Sam bym lepiej tego nie ujął. Masz całkowitą rację.

- Nic dziwnego, że to ty wymyśliłeś to zabójstwo. Zawsze podążasz za swoimi naturalnymi skłonnościami.

- Naturalnie. To mój jedyny cel i sens życia. Ale powiem ci, żadna bomba na ziemi nie będzie miała tak niszczycielskiego wpływu na naszych wrogów jak to.

- Nawet cenny arsenał jądrowy w Islamabadzie, który wkrótce przejmujemy?

- Nim skończymy, cała ta broń będzie w rękach Miecza Allacha, bracie. To tylko kwestia czasu.

- Zdaje się, że z magazynu jądrowego w Islamabadzie zniknęła niezwykle silna głowica nuklearna.

Po raz pierwszy na twarzy Smitha pojawiła się ekscytacja.

- Świetnie, doskonale. Mam nadzieję, że bez problemów?

- Strażników w magazynie przy lotnisku umieścili przed laty moi przyjaciele z ISI. Rodziny wszystkich przetrzymywane są w moich bazach w górach i stale grozi im śmierć. Nikt nigdy nie dowie się, jak wynosimy głowice.

- Jesteśmy już tak blisko, bracie, tak bardzo blisko - rzekł Smith.

- A tak swoją drogą, ile chłopak ma już lat? - zapytał al-Rashad, popijając ze szklanki.

- Właśnie skończył dwadzieścia trzy lata.

- Dość, by walczyć, dość, by umrzeć.

- Tak. Dość.

- Wiem doskonale, dlaczego my, moi wspaniali bojownicy, będziemy cieszyć się ze śmierci tego konkretnego najeźdźcy. Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego akurat ty chcesz go zabić. Jest takie dobre angielskie słowo, które to oddaje. Jak ono brzmi? Chyba trochę jak *suk*?

- Dziwaczne?

- Tak, właśnie. Dziwaczne.

- Tak jak mówiłem, mam swoje prywatne powody. Mocno osobiste. Dla mnie nie są one w najmniejszym stopniu dziwaczne. To dzieło mojego życia. I na tym poprzestańmy.

- Twoje cenne powody. Niezwykle tajemnicze. I zawsze płacisz za nie złotem. Jak rozumiem, tym razem też już jest w moim banku w Bazylei?

- Oczywiście. Tydzień temu byłem w Szwajcarii. Dziwię się, że nie dostałeś potwierdzenia.

- Ostatnie kilka tygodni spędziłem pod gwiazdami. Tam nie ma żadnych potwierdzeń, tylko obecność Allacha.

- Potwierdzam, że milion funtów szterlingów w złocie spoczywa sobie w twoim skarbcu w La Rouche et Cie w Zurychu.

- To twoje złoto, złoto. Mój przyjacielu, muszę ci coś powiedzieć o złocie. Nie przekonuje już tak skutecznie jak kiedyś. W ciągu tych

wszystkich lat wy i wszyscy inni: Amerykanie, Rosjanie, Chińczycy, wszyscy wzbogaciliście się pond wszelkie wyobrażenia. Może to był błąd. Myślę teraz, że może nie należało tak karmić tygrysa.

- Bracie, nasze sprawy nie mają nic wspólnego ze złotem.

- Nie. Oczywiście, że nie. Dziś chodzi o... jak wy to mówicie po angielsku... o twoją vendette.

- Czyż to nie szczęście, że od lat przy tylu okazjach moje osobiste powody i twoje tak doskonale się uzupełniają?

Obaj roześmieli się głośno, przypomniawszy sobie, że od dawna łączy ich pewne poczucie ironii, wspólna nić humoru, o którą nie tak łatwo między tymi dwiema kulturami. To dlatego Smith wciąż żył po tylu latach. Wszechmocnemu szejkowi al-Rashadowi wydawał się zabawny.

- Opowiedz mi więcej. Gdzie jest teraz chłopak?

- W Afganistanie. Stacjonuje w daleko wysuniętej brytyjskiej bazie w prowincji Helmand.

- Skąd o tym wiesz?

- Na tym polega moja praca, żeby wiedzieć wszystko.

- To niemożliwe. Moje oddziały i moi wywiadowcy wiedzieliby, że zjawił się w strefie wojny.

- To oczywiście pilnie strzeżona tajemnica. Wszystko jest zaaranżowane z brytyjską prasą i mediami elektronicznymi, które zrozumiały, że nie należy nadawać temu rozgłosu. Ale on tu jest, służy na froncie, zapewniam cię.

- Nie w Iraku? Tak wmawiały światu zachodnie media.

- Nie. W ostatniej chwili uznano, że Irak jest zbyt niebezpieczny. Brytyjska armia się temu sprzeciwiła. Ale chciał walczyć za wszelką cenę. Więc potajemnie wysłano go do Afganistanu, pod warunkiem, że nikt nie dowie się, gdzie jest.

- Ale ty wiesz - uśmiechnął się al-Rashad.

- Wiem. Gdyby rozniosło się, że jest w Iraku, z pewnością wzięliby go na cel talibowie. Sam chłopak powiedział: „Nie chciałbym narażać niczyjego życia, nie chciałbym, żeby żołnierze siadali obok mnie jako magnesu ściągającego kule”.

- Magnes ściągający kule? - roześmiał się szejk al-Rashad. - Wyborne! I ten szalony Magnes sądzi, że w Afganistanie jest anonimowy?

- Nikt nie wie, że Magnes tu jest. Poza mną, oczywiście. No i teraz tobą. Z twoją pomocą go zabiję. Osiągnę w ten sposób maksymalny efekt polityczny, zapewniam cię.

- Smith, nie widziałem nikogo dziwniejszego od ciebie. Wiesz o tym?

- Jestem nie tylko dziwniejszy, niż sądzisz, jestem dziwniejszy, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

- Mów, czego potrzebujesz, przyjacielu, a dostaniesz wszystko - powiedział szejk.

- Przede wszystkim potrzebuję snajpera Khalida. Gdzie jest teraz?

- W głównej bazie szkoleniowej w górach Hindukusz, z której właśnie wróciłem.

- Kiedyś mówiłeś mi, że Khalid to najlepszy talibski snajper w Afganistanie.

- Nikt nie jest bardziej skuteczny, uwierz mi.

- Czy ma nową broń, którą wysłałem mu dwa miesiące temu?

- Nie spuszcza jej z oka.

Smith załatwił, by słynny snajper Khalid Hassan dostał z Kandaharu najnowszy brytyjski karabinek snajperski L115A3, zwany przez brytyjskich snajperów po prostu „karabinem długiego zasięgu”. Dysponowały nim wszystkie brytyjskie jednostki bojowe w Afganistanie. Mógł zabijać z niezwykłą dokładnością na niesłychane odległości rzędu nawet półtora kilometra. Nowy wizjer optyczny dawał dwukrotnie lepsze powiększenie niż w starym modelu. Potrafił przeniknąć także żar bijący od ziemi na pustyni.

- Cieszę się, że go dostał do rąk.

- Do rąk? Facet się z nim nie rozstaje. Mam wrażenie, że się z nim pieprzy co noc. Zabiera go nawet do łóżka. Między nami, moim zdaniem strzela z niego w dzień, a w nocy się z nim pieprzy.

Smith się roześmiał.

- W każdym razie dobrze mu z nim idzie?

- O, tak. Co za broń! To koszmar dla morale wroga, kiedy nagle niemal w tej samej chwili pada iluś ich ludzi i nawet nie wiadomo, skąd dochodzą strzały. Zwykle szybko wycofują się wtedy na swoje pozycje. Potrzeba nam więcej takich karabinów, o wiele więcej.

- Dopilnuję, żebyście je dostali.

- Czego konkretnie ode mnie chcesz?
- Potrzebuję zapasów dostarczonych na południe Afganistanu, w pobliżu miasta Sangin w prowincji Helmand: prowiant, woda i zapas amunicji na tydzień. Konie i muły. Telefon satelitarny Furaya i akumulator samochodowy w juku, żebym miał go czym zasilać. Mój cel znajduje się pod obserwacją. Codziennie uczestniczy w patrolu. Wychodzi na te patrole z małej brytyjskiej bazy na przedmieściach Sangin. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, misja nie potrwa dłużej niż pięć do siedmiu dni. Wszystko zależy od pogody. Może nas opóźnić mocny wiatr. Ale jestem przekonany, że nam się uda.
- Inshallah.
- Inshallah.
- Twoja prośba zostanie spełniona. Porozmawiam z generałem Mahsudem. Wszystko będzie gotowe, kiedy dotrzesz do mojej wielkiej bazy w południowym Waziristanie. Nie mogę się doczekać twojego triumfu, mój przyjacielu i towarzyszu broni. I nie mogę się doczekać śmierci tego... tego niewiernego księżątka... Magnesu na kule, jak sam się nazywa. Niech Khalid Hassan wbije mu prosto w serce swoje ołowiane przesłanie.

45.

Prowincja Helmand, południowy Afganistan

Jedli pod poszarpanym namiotem rozbitym pod potężną czarną kopułą wysadzaną ostrymi, zimnymi jak lód gwiazdami. Dwaj mężczyźni siedzieli naprzeciw siebie na poplamionym dywaniku Bokhara. Gorącą herbatą z kardamonem i dodatkiem wódki popijali gotowaną baraninę z rodzynkami, cebulą, marchewką i ryżem. Snajper położył na Bokharze karabin i jadł w całkowitej ciszy.

Smithowi to nie przeszkadzało. Mężczyzna miał strzelać, nie mówić, więc dobrze to wróżyło całej misji.

W znoszonej afgańskiej mufti, czyli anonimowej tunice narzuconej na bezkształtne bawełniane spodnie, i tradycyjnym pako na głowie

Smith czuł się zaskakująco dobrze w małej glinianej chacie, przed którą stały przywiązane muły i konie. Ale też miał we krwi dużo z nomady i chętnie jeździł po świecie, tam gdzie go rzucał los.

Za grubymi ścianami z gliny krajobraz przypominał ciemną stronę księżycy. Amerykańskie bombowce dalekiego zasięgu B-52 i działka AC-130 Spectre całymi dniami ostrzeliwały te wapienne góry, sięjąc z góry śmierć wśród talibskich wojowników, niszcząc ich wojskowe bunkry i umocnienia. Nie była to może najbezpieczniejsza okolica, ale na polu walki rzadko kiedy było bezpiecznie. Pole to słowo zupełnie nieprzystające do wojennego kontekstu, pomyślał Smith. Pole kojarzyło mu się z hektarami zielonej koniczyny albo jaskrawoczerwonych maków.

Sangin, dokąd zmierzał, było niewielkim afgańskim miasteczkiem zamieszkałym przez niespełna piętnaście tysięcy osób. Mieszkańcami byli Pasztuni, wszyscy gorąco popierający talibów. Sangin słynęło też jako ośrodek handlu opium w południowym Afganistanie. Od lata 2006 roku brytyjskie, amerykańskie i kanadyjskie wojska prowadziły tu zacięte walki z talibskimi powstańcami i sprzymierzonymi przemytnikami opium.

Po obu stronach zginęło wielu ludzi. Niedawno duża grupa bojowników talibskich zaatakowała konwój ONZ jadący pod górę wąską przełęczą. Konwój jakoś zdołał zawrócić na wąskiej krętej drodze, uciekł i został uratowany przez asystujących mu brytyjskich i kanadyjskich żołnierzy. Sfrustrowani talibowie próbowali uciekać przez rzekę Helmand. Wezwano wsparcie lotnicze. Wszyscy zginęli od jednej tonowej bomby zrzuconej przez amerykański bombowiec B-52 stacjonujący w Arabii Saudyjskiej, który zaskoczył ich całkowicie, zrzucając bombę z ogromnej wysokości.

Bombowiec został wezwany przez młodego brytyjskiego żołnierza pełniącego funkcję koordynatora lotniczego. Do jego zadań należało wzywanie wsparcia myśliwców i ataków bombowych na cele, w których mogli znajdować się talibowie. Mógł także wprowadzać współrzędne GPS do bezałogowych samolotów i atakować pozycje wroga. Funkcja koordynatora lotniczego była niezmiernie ważna, zwłaszcza na polu walki, gdzie siły brytyjskie były zwykle mniej liczne od wroga.

Czterdzieści osiem godzin po pożegnaniu z szejkiem al-Rashadem w kryjówce pod szpitalem w Islamabadzie, Smith i jego talibski snajper Khalid jechali konno u stóp gór na południu. Do rzeki Helmand dotarli, kiedy zapadła noc. Pokonali ją, a potem cicho w ciemną noc zaczęli jechać ponownie w górę. Ich wierzchowce pewnym krokiem kopyt wspinały się w stronę pokrytych śniegiem szczytów.

Jechali do jaskini z widokiem na małą wioskę Sangin daleko w dole.

W górach znajdowały się niezliczone jaskinie, głębokie i dobrze umocnione przez talibów przez całe dziesięciolecia. Najpierw chronili się w nich przed Sowietami, a teraz przed Amerykanami i ich brytyjskimi sojusznikami.

Podczas wcześniejszej samotnej wyprawy Smith odkrył, że z jednej z jaskiń widać bezpośrednio mocno strzeżoną bramę wjazdową obozu brytyjskiej armii. Przez dwa lata czatował w tym miejscu i obserwował przez lornetkę, jak wjeżdżają i wyjeżdżają patrole koordynatorów lotniczych. Zapisywał każdą informację, jaka będzie mu potrzebna, by misja się powiodła.

Trzy godziny po sforsowaniu rzeki, wjechawszy na wysokości dziewięciuset metrów, obaj mężczyźni dotarli do tej właśnie jaskini.

Widać z niej było wyraźnie brytyjską bazę na przedmieściach Sangin. W dole migotały światła miasta i zbudowanego przy nim obozu wojskowego. Jaskinia znajdująca się ponad kilometr od bazy byłaby ostatnim miejscem, w jakim brytyjscy zwiadowcy spodziewaliby się stanowiska talibskiego snajpera. Typowi snajperzy talibów używali AK-47, które z takiej odległości nie byłyby w ogóle celne. Ale Khalid nie był typowym talibskim snajperem i nie posługiwał się AK-47.

W jaskini obaj zjedli łąpczywie, nakarmili zwierzęta i wyczerpani ułożyli się na kilka godzin do snu.

Smith i Khalid Hassan wstali godzinę przed świtem, by ustawić się na właściwych pozycjach, zanim wzejdzie słońce. Wcisnęli się między skały otaczające jaskinię. Płaski kamień na dnie wąskiej szczeliny okazał się idealną podpórką dla długiej broni Khalida.

Zabójstwo miało nastąpić z takiej odległości, o jakiej inny snajper talibów czy Al-Kaidy nie mógł nawet pomarzyć. I nigdy nie pomarzą.

Nikomiu nie będzie mógł o tym powiedzieć. Prawie półtora kilometra! Na samym początku szkolenia Khalid dowiedział się, że jeśli powie komukolwiek o swojej najtajniejszej akcji, zostanie ścięty.

Słońce wstało, barwiąc wszystko wokół w intensywne odcienie czerwieni i złota. Snajper zaczął długi proces kalibrowania broni. Brał poprawki na odległość, wysokość nad poziomem morza, wiatr, wilgotność i zanieczyszczenia powietrza. Karabin był cudowny i Khalid nie miał wątpliwości, że z bożą pomocą zdoła wykonać zadanie.

Smith przycupnął obok niego, tuż po prawej, ukryty za potężną skałą. Na szyi miał lornetkę. Każdy z nich miał zafoliowane kolorowe zdjęcie celu przyklejone do lewego rękawa futrzanej kurtki, tak żeby szybko można było na nie spojrzeć. Khalid wyraźnie czuł, że mężczyzna obok niego chciałby sam strzelić. Cieszył się, że na dnie szczeliny o przekroju litery V było miejsce tylko dla jednego z nich. Inaczej towarzysz co chwila chciałby patrzeć przez lunetę.

Khalid zaczął regulować oddech. Był spokojny. Pewien siebie. Gotów. Czekał już tylko na cel.

W brytyjskiej armii cel Khalida funkcjonował pod nazwą „Kornet Walii”. Księżę Harry, przystojny rudowłosy członek rodziny królewskiej, którego zawadiacko uśmiechnięta twarz zdobiła wiele okładek magazynów i tabloidów na całym świecie, był najmłodszym synem księcia i zmarłej księżnej Walii. Był trzeci w kolejce do odziedziczenia angielskiego tronu. Niedawno dostał awans na podporucznika, co poczytywał sobie za zaszczyt.

Khalid nie znalazł prawdziwej tożsamości celu, nie chciał nawet znać.

Musiał tylko wiedzieć dokładnie, jak wygląda cel. A jego twarz uśmiechała się do niego z lewego rękawa.

W ciągu ostatniego miesiąca przejrzał wiele zbliżeń tej twarzy, zapamiętał każdy jej rys. Na szczęście cel, dzięki rumianej cerze miał dość charakterystyczną twarz, co znacznie ułatwiało mu zadanie. Potężne powiększenie nowej lunety dawało mu pewność, że nie powinien mieć żadnego problemu z rozpoznaniem celu, kiedy tylko wyjdzie zza worków piasku rozstawionych wokół bazy.

- Żołnierze wychodzą z bazy - powiedział cicho Khalid do swego towarzysza trzymającego lornetkę przy oczach.

Godzinę po wschodzie słońca sześciu brytyjskich żołnierzy nagle wyszło z bazy. Poruszali się powoli i rozproszyli się ostrożnie. Jeden z kolegów w poprzednim tygodniu stracił dwie kończyny, kiedy nadeptał na podłożoną przez talibów minę. Choć okolice bazy przeczesywano niemal stale, zwykle najwięcej szkody wyrządzały Brytyjczykom stare miny jeszcze z czasów sowieckiej okupacji.

Khalid wycelował lunetę w jednego z żołnierzy, przestał oddychać w tej naturalnej przerwie między wdechem i wydechem. Wydłużył przerwę oddechową ze zwyczajowych trzech do dziesięciu sekund. Teraz otworzyło się dla niego szeroko okienko. Zaczął przesuwając lunetę mikroskopijnymi ruchami między twarzami żołnierzy, szukając przystojnego rumianego chłopaka.

Nie. Nie. Nie.

Tak.

Cel namierzony. Odprężył się, z lufą przy policzku w swoim odliczaniu zbliżał się prawie do dziesięciu. Delikatnie nacisnął na spust i starannie umieścił twarz celu pośrodku skrzyżowanych linii... powoli zaczął naciskać...

Doskonale wyszkolony palec Khalida nie skończył naciskać spustu. Jego głowa eksplodowała do drobnej mgiełki krwi, mózgowia i kości. Ciało uderzyło gwałtownie o skałę za jego plecami.

Smith obryzgany krwią snajpera obejrzał się z przerażeniem na jego szczątki. Co jest? Podniósł lornetkę i spojrzał w dolinę. Nie ma strzelców, nikt nie patrzy w jego kierunku. Więc skąd padł strzał? Co jest, do cholery? Wielki Boże! Musiał stąd uciekać, i to już! Na czworakach przeszedł po półce za skałą aż do otworu jaskini.

Wewnątrz jaskini cierpliwie czekały dwa konie.

Wsiadł na szybszego, pięknego araba, którego szejc polecił mu dać, ścisnął boki zwierzęcia i truchtem ruszył w głąb jaskini.

Jaskinia, którą tak starannie wybrał, nie była w ogóle jaskinią. Choć z zewnątrz była obita drewnianymi belkami, jak wiele podobnych kryjówek w tych górach, to w istocie jaskinia była tunelem.

Wybudowali go talibowie na takie właśnie chwile, kiedy trzeba szybko uciekać przed nagłym atakiem wroga. Tunel budowano przez ponad rok. Prowadził daleko w głąb góry. Na drugim końcu miał

wygląd kolejnej anonimowej jaskini wychodzącej na zupełnie inną dolinę.

Wiedział, że Brytyjczycy wzywają już wsparcie lotnicze. Amerykańskie F-15E na pewno za chwilę będą krążyć po dolinie, szukając taliba uciekającego po nieudanej próbie zamachu na księcia Harry'ego. A brytyjscy żołnierze będą pędzić pod górę, szukając martwego snajpera i innych uciekających bojowników wroga.

W końcu na pewno znajdą zwłoki przed jaskinią, gdzie został koń Khalida, czekając na powrót pana. Ale nie znajdą tego wejścia do tunelu, starannie ukrywanego przez dziesięciolecia na samiułkim końcu tej głębokiej jaskini. Dotarł do niego, ściągnął uzdę i zsiadł z konia.

Smith przeklinał sam siebie, odsuwając niewielkie kamienie, by otworzyć wlot tunelu na tyle, żeby zmieścili się koń i jeździec. Wsiadł z powrotem na wierzchowca i przejechał przez powstałą dziurę. Znalazł się w półmroku. Otwór jaskini po drugiej stronie majaczył daleko jako małe drżące kółko słonecznego światła.

Popenił dwa bardzo głupie błędy. Nie wziął pod uwagę zwiadowców wroga i snajperów monitorujących okoliczne góry za pomocą takiej samej silnej lunety i broni, jakich używał Khalid!

Niewybaczalny błąd.

Po drugie, w pośpiechu zostawił tę właśnie najnowszą angielską broń obok ciała martwego snajpera. Taki karabin był praktycznie nie do zdobycia dla kogoś spoza brytyjskiej armii. A mimo to martwy talibski bojownik wszedł w jego posiadanie i zapewne wiedział, jak go używać.

Angielski karabin. Niezwykle rzadka i niecodzienna broń, którą mógł dostarczyć tylko ktoś z angielskimi koneksjami. Oczywiście nigdy nie dotrą w ten sposób do niego. W jaki niby sposób? Mimo to wykazał się poważną lekkomyślnością.

Po raz pierwszy po tylu latach bezbłędnych sukcesów zostawił za sobą krwawy ślad. Wiedział o śladach dość, by niepokoić się, że może to być ślad, który będzie mieć bardzo poważne konsekwencje. Zwłaszcza kiedy staną przeciw niemu sprzymierzone siły obu służb wywiadowczych.

Wjechał w ostre światło. Spiął konia i popędził w stronę bezpiecznego schronienia w obozie mułły Muhammada. Zaledwie cztery

dni temu wyszli stamtąd z Khalidem w góry, niezwykle pewni siebie i pewni sukcesu.

Galopując w dół i przez wąską dolinę, ocenił swoje położenie. Zawsze myślał o sobie, jeśli w ogóle o sobie myślał, jako o magiku. Albo jeszcze lepiej o kompozytorze. Tak, właśnie jak o kompozytorze. Dyrygencie kierującym wykonaniem własnej kompozycji, skomplikowanego utworu kreowanego od dzieciństwa, z mrocznymi motywami i potężnymi symbolami. Prowadzenie wszystkich tych niezliczonych wątków jego życia wymagało prawdziwej wirtuozerii.

Ten błąd, ten zerwany wątek zagrażał wszystkiemu, wszystkim misternym planom. Trzeba go spruć, nim rozwinie się całkowicie. Musiał się cofnąć i przyjrzeć poważnie tkaninie swego życia. Wcisnąć guzik „reset”. Dopilnować, żeby nie zdarzyły się już żadne inne błędy w ciągu najbliższych kilku tygodni prowadzących do celu ostatecznego. Nie mógł sobie pozwolić nawet na ten jeden błąd, który właśnie popełnił.

No, może tylko na ten jeden, ale żaden więcej.

46.

Londyn

Hawke i Sahira, opóźnieni przez korki, wpadli do pokoju pielęgniarek nieco po siódmej wieczorem. Godziny odwiedzin kończyły się o ósmej, mieli więc jeszcze dość czasu.

- Do lorda Malmsey'a - poprosił Hawke.

- Jedną chwileczkę - odezwała się pielęgniarka w wykrochmalonym fartuchu, spoglądając na niego znad okularów w srebrnych oprawkach. Chyba przeszedł tę wstępną lustrację, bo na ekranie komputera zaczęła sprawdzać listę nazwisk dopuszczonych gości. - Państwa nazwiska?

Podali je.

Tuż przed wizytą w szpitalu oboje jedli razem wczesną kolację w ulubionej hinduskiej restauracji Hawke'a - Tamarind w Mayfair.

Sahira miała na sobie czarną jedwabną garsonkę i białe perły na szyi. Po południu brała udział w trzech pogrzebach. W przyciemnionym świetle patrzył, jak wraz z pierwszą szklanką szkockiej spada jej z barków brzemień żalu.

Nie brakowało im tematów do rozmowy. Sahira opowiedziała Hawke'owi ze szczegółami o ataku na MI-5 od strony rzeki, zaś Hawke zrelacjonował minuta po minucie szturm na bezpieczny dom IRA w Irlandii Północnej, czyli Gospodę pod Szczekającym Psem. Starał się mówić krótko. Bardziej interesowała go relacja naocznego świadka z zuchwałego ataku na londyńską centralę MI-5. Terrorysty wysłali dziś jasny sygnał: nie cofniemy się przed niczym.

- Dzięki Bogu, że nic ci nie jest, droga Sahiro - powiedział Hawke, kiedy skończyła opowiadać, i przykrył jej dłoń swoją dłonią. Na twarzy mignął mu wyraz prawdziwego niepokoju. Przez tę krótką chwilę wiedziała, że wbrew wszystkiemu, co najmniej mu na niej zależy.

Spojrzała na jego wielką dłoń na swojej, uśmiechnęła się, widząc ten prosty gest ochronny, i powiedziała:

- Alex, najbardziej wkurza mnie zuchwałość tego ataku. Tak jakby ci ludzie obudzili się, spojrzeli po sobie i powiedzieli: „To co, chłopaki, nie mamy dziś nic specjalnego do roboty, popłynemy i postrzelajmy sobie w MI-5”. Alex, taktyka terrorystów działa. Londyńczycy są przerażeni. Że do czegoś takiego może dojść w biały dzień, że można porwać się na bastion brytyjskiego...

- Niewielu żyjących pamięta jeszcze drugą wojnę - odezwał się łagodnie Hawke.

- Masz rację.

- Obawiam się, że będzie jeszcze gorzej - stwierdził Hawke - sądząc po tym, co wasi analitycy odszyfrowali z tych komputerów, które znaleźliśmy w Irlandii Północnej.

- Tak, o wiele gorzej. - Zamyśliła się na chwilę i dodała: - Zdziwiający, że nie zginęło więcej naszych. W Thames House pracuje dwa tysiące osób. Zginęło siedmioro ludzi, trzydzieści dwie osoby są ranne. To dziwne, jak się czasami los plecie. Zaledwie dziesięć minut przed zamachem lord Malmsey poprosił, żebym przyszła do jego gabinetu.

- Tak?

- Nigdy tego nie robił. Zawsze wzywa mnie na spotkanie jakaś anonimowa sekretarka do równie anonimowej sali konferencyjnej. Tak czy siak, poprosił mnie o najnowsze informacje ze śledztwa w sprawie IRA. Przekazałam mu, co miałam, choć przed twoimi niezwykłymi odkryciami w Irlandii było tego właściwie niewiele. Stał przy oknie plecami do mnie, pewnie patrzył na rzekę. Chwilę z nim porozmawiałam i wróciłam windą na swoje piętro. Gdybym pobyła w jego gabinecie jeszcze pięć minut, pewnie to ja leżałabym teraz w szpitalu, nie on.

- Albo leżelibyście oboje.

- Pewnie masz rację. Ma szczęście, że żyje. Ostry kawałek szkła z szyby rozciął mu szyję z boku, od ucha do podbródka. Drasnął aortę. Gdyby nie pierwsza pomoc sanitariuszy z Piątki, pewnie wykrwa-
wiłby się we własnym gabinecie.

- Lord Malmsey leży w tym długim korytarzu po lewej - powiedziała pielęgniarka przełożona. - Na końcu. Przed drzwiami do sali zobaczycie państwo dwóch detektywów. Wiedzą, że idziecie.

- Jak się czuje jego lordowska mość? - zapytała Sahira.

- Dość dobrze, zważywszy na okoliczności. Mamy wielu innych rannych w tym zamachu, którzy czują się o wiele gorzej. No i tych biedaków, którzy...

- Dziękuję - przerwał jej Hawke i wzięwszy Sahirę pod ramię, ruszył korytarzem.

Kiedy weszli do sali lorda Malmsey'a zastali Montague'a Thorne'a przy jego łóżku. Obaj pochłonięci byli rozmową przy mdłym świetle nocnej lampki. Dojrzawszy Hawke'a i Sahirę, Thorne odwrócił się, żeby się przywitać.

- Dobry wieczór - odezwał się Thorne z ciepłym uśmiechem. - Właśnie zęgnąłem się z naszym bohaterem. Muszę już lecieć.

Hawke uściśnął jego dłoń i powiedział:

- Monty, zostań, proszę, jeśli możesz. Przyszliśmy, żeby opowiedzieć lordowi Malmsey'owi, co znaleźliśmy w tych laptopach z bezpiecznego domu.

- Kiedy wróciłeś, Alex? - zapytał Thorne.

- Jakieś dwanaście godzin temu. Chciałem być obecny przy przesłuchaniu arabskich terrorystów i kilku gości z IRA, których wzięliśmy żywcem w czasie szturm na bezpieczny dom.

Uśmiech zamarł Thorne'owi na twarzy.

- Powiedziałeś „arabskich terrorystów”? W Irlandii Północnej?

- Tak.

- Ale, na Boga, przecież to po prostu nie ma sensu.

- Te ugrupowania terrorystyczne tworzą przeciw nam tak zaskakujące międzynarodowe sojusze, że aż się zdziwiłem, że nie trafiło nam się paru Koreańczyków z Północy albo Wenezuelczyków

- Racja. Tak czy siak, doskonała robota. Jak sądzę, na ślad tajemniczego pana Smitha nie trafiliście?

- Zdaje się, że minęliśmy się o włos.

- A to pech.

Sahira podeszła do stóp łóżka Malmsey'a.

- Lordzie Malmsey, jak się pan czuje? Musi pan być okropnie zmęczony. Może przyjdziemy jutro?

Lord Malmsey, który miał grubo obandażowaną całą szyję, prychnął:

- Po tym, co Alex powiedział właśnie Monty'emu? Nie sądzę. Przysuńcie sobie wszyscy krzesła i usiądźcie bliżej. Alex, czy możesz poprosić dwóch dzentelmenów przed drzwiami, żeby je zamknęli i nie wpuszczali teraz nikogo, nawet lekarzy i pielęgniarek?

- Oczywiście, sir - odpowiedział Hawke i wyszedł na chwilę na korytarz, by porozmawiać z dwoma detektywami.

- Al-Kaida? W Irlandii Północnej? - dziwił się Malmsey. - To się w głowie nie mieści.

- Niezwykłe - przyznał Thorne, kiedy Hawke wrócił i przysunął sobie krzesło jak ostatnio. - To wszystko zaczyna przyjmować koszarne proporcje. Alex, czy w tych odszyfrowanych danych znalazła się jakaś wzmianka o tym draniu Smicie? Bo zdaje się, że to on stoi za pogrózkami wobec mojego starego przyjaciela Karola i jego dwóch synów?

- Tak, Monty. Miałem nadzieję, że go tam znajdę. I owszem, znaleźliśmy go, ale w zarekwirowanych komputerach.

- Alex, musimy powstrzymać tego człowieka. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci w tym pomóc.

- Dziękuję, Monty, przyda nam się teraz wszelka pomoc.

- Alex - odezwał się Malmsey - z ostatniego raportu wynikało, że obserwujecie dom. Podjeżdżały ciężarówki z dostawami, prawdopodobnie broni. Co było dalej?

Hawke opowiedział mu wszystko, nie oszczędzając istotnych szczegółów, poza snieniem z majorem Mastermanem i jego późniejszym zniknięciem. Kiedy skończył, Malmsey powiedział:

- Skład broni. Zdołaliście określić jej pochodzenie?

- Tak, grzebiąc w tym, co zostało po wybuchu. Większość broni pochodziła z Syrii i Iranu, sir. Znaleźliśmy też stare rakiety Stinger podarowane talibom przez Amerykanów w czasie sowieckiej okupacji.

- Wielki Boże - zdumiał się Malmsey. - A ci islamscy terroryści, których złapaliście? Co oni tu robią, na Boga?

- Przyplłynęli przez port w Belfaście, sir. Przeszmyglowani na pokładach statków handlowych, kutrów i tak dalej. Wszyscy młodzi, pełni świeżości i zapału, dopiero co opuścili obozy w północnym Pakistanie. Przybyli, żeby pomóc wrogom Anglii w walce o sprawiedliwość.

- Al-Kaida? Talibowie? Którzy z nich? - zapytał Thorne.

- Jedni i drudzy.

- Walczą ramię w ramię z IRA? To niepojęte.

- W rzeczy samej. Jedna z najbardziej zdumiewających rzeczy, jakiej dowiedzieliśmy się z przechwyconych laptopów, to fakt, że powstała, jakby to określić, międzynarodówka terrorystyczna, którą łączy chęć walki ze wspólnym wrogiem. Nie zdziwiłbym się, gdyby Chavez, bracia Castro albo dowolny inny wróg Zachodu też wysyłali tam swoich bojowników. Uważają nas za słabych, zmęczonych wojną i sądzą, że nadszedł czas, by uderzyć.

- Mają jakąś nazwę?

- Miecz Allacha. Zapewne pamięta pan, że po raz pierwszy usłyszeliśmy tę nazwę, kiedy wzięli odpowiedzialność za zamach na terminal czwarty nieco ponad rok temu. Po latach wewnętrznych walk watażkowie w Afganistanie i Pakistanie zjednoczyli się pod wspólnym dowództwem, na razie nie wiemy czyim. Ale możliwe, że to ktoś, kto uzurpuje sobie władzę po nieszkodliwym dziś Osamie bin Ladenie.

- Ale po co? Czy dało się to wyczytać z tych przejętych komputerów? - zapytał Montague, patrząc na Hawke'a.

- Tak, Monty, ekipie z Piątki udało się odszyfrować całą wymianę korespondencji. Ci ludzie dążą do ummah, światowego kalifatu. Globalnej dominacji islamu. I przygotowują duże zamachy tu i w Stanach Zjednoczonych. Części już doświadczyliśmy - zamach na Heathrow, teraz na MI-5. W Stanach Zjednoczonych przyznają się do zamachu na szpital w Miami, a niedawno do wysadzenia w powietrze szkolnego autobusu z czterdziestką dzieci gdzieś w Delaware. Zamachowiec-samobójca za kierownicą.

- Obrzydliwość - stwierdził Montague Thorne.

- Znaleźliśmy film, sir, którego jeszcze nie opublikowano. MI-5 próbuje właśnie ustalić, kiedy i gdzie został nagrany.

- Co na nim jest?

- Zakapturzony terrorysta. Czterej inni stoją za nim z AK-47. Przykłada miecz do szyi jednej z brytyjskich turystek, które pół roku temu omyłkowo wjechały do Iranu. Niewinne nauczycielki z Dorset, które sądzono i skazano za szpiegostwo.

- Co mówi ten terrorysta?

- Początkowo nic. Po prostu ścina głowę biednej kobiecie. Zwłoki zostają odciągnięte i miejsce zajmuje druga kobieta, oczywiście w stanie hysterii. Zmuszają ją, żeby klęknęła. Przystawia jej nóż do gardła i wygłasza krótką mowę w urdu, którą dopiero co przetłumaczyliśmy. Mówi mniej więcej, że to los, jaki czeka wszystkich niewiernych z rąk Miecza Allacha. Zabójstwa będą trwały nadal, póki ostatni żołnierz nie opuści ostatniego skrawka świętej arabskiej ziemi. Potem patrzy w kamerę, unosi miecz nad głową kobiety i mówi: „Czekamy. Ale nasza cierpliwość kiedyś się skończy”.

- A potem ją zabija - dodała Sahira.

- Cholerni barbarzyńcy - powiedział Montague Thorne, kręcąc głową.

- To nie koniec, sir - ciągnęła Sahira. - Udało nam się zidentyfikować organizatorów zamachu na Thames House.

- Doskonała robota. Jak wam się to udało tak szybko?

- Sami terroryści pomogli nam w śledztwie. Moździerz i ładunek wybuchowy na barce zostały dostarczone wynajętą ciężarówką. Kierowca zwrócił ją do wypożyczalni, żeby odebrać kaucję. Przyszło nam do głowy, że może się okazać na tyle głupi, więc policja czekała, aż się pojawi.

- Zapewne ktoś z IRA?
- Nie, sir. Miecz Allacha. Wszyscy wychowani w Wielkiej Brytanii. Pakistańczycy. Każdy z nich miał za sobą jakiś epizod w więzieniu. Za drobne kradzieże, włamania do mieszkań. W więzieniu przeszli na radykalny islam, sir. To wręcz jakaś epidemia. I u nas, i w Ameryce.

- Jeszcze jedno i zostawimy pana w spokoju, sir - wtrącił Hawke.
- W komunikacji internetowej wciąż pojawiały się dwa nazwiska. Pierwsze na pewno pamięta pan z naszego spotkania w Highgrove.

- Mów.

- Smith.

Thorne wybuchnął:

- Smith? Wielki Boże. Ten, którego Congreve podejrzewa o zamordowanie Mountbattena.

- Ten sam.

- I który grozi księciu Walii - dodał Thorne.

- Tak. „Pionek”, jak sam się określa - rzekł Hawke. - Miałem nadzieję, że go znajdę w tym bezpiecznym domu. I w pewnym sensie go znalazłem. Zaszyfrowanego na dyskach tych laptopów. Kimkolwiek jest, prowadzi rozgrywkę na najwyższych szczeblach. Pojawiła się nawet gniewna wymiana korespondencji między Smithem i jakimś dowódcą IRA na temat nieudanej próby zamordowania inspektora Congreve'a i mnie w drodze do Highgrove.

- Chyba żartujesz - rzekł Thorne z niedowierzaniem.

- Zdumiewające - przyznał Malmsey.

- Oględnie mówiąc - rzekł Hawke. - Ale zapewniam pana, sir, że dopadnę tego człowieka i albo ja zabiję jego, zanim zdoła wyrządzić szkodę rodzinie królewskiej, albo on będzie musiał zabić mnie.

W sali zapadła cisza.

- A to drugie nazwisko, Alex? Bułat?

- Rzecz jasna, to pseudonim. Nie mamy na razie pojęcia czyj, ale się dowiemy. Obiecuję, sir.

- Dziękuję wam za wizytę - odezwał się Malmsey zmęczonym głosem. - Muszę przyznać, że mimo ogromu wyzwania, przed jakimi stanęliśmy, robimy spore postępy.

- Ale czas nas goni - stwierdził Thorne. - Oddaję siebie i moje wszelkie środki w MI-6 do pańskiej dyspozycji, lordzie Malmsey. Ściśle współpracując, możemy szybciej rozwiązać tę sprawę.

- Monty, dziękuję za tę ofertę i oczywiście z chęcią z niej skorzystam.

- Dobranoc, sir. Proszę wracać szybko do zdrowia - powiedział Hawke i wstał.

Thorne i Sahira wyszli za nim na korytarz, zostawiając dyrektora MI-5 sam na sam z niewesołymi myślami. Ten stołek zawsze był gorący. Musiał znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

Starannie poukładany świat lorda Malmsey'a zaczynał rozłazić się w szwach. Wymykał się spod kontroli i nie sposób było temu w jakikolwiek sposób zaradzić. Sięgnął do stolika i wcisnął przycisk wzywający pielęgniarkę. Powiedział siostrze dyżurnej, że chce z samego rana porozmawiać z lekarzem. Musiał stąd wyjść i to natychmiast.

47.

Wody międzynarodowe

Stokely Jones powiedział Harry'emu Brockowi, że natychmiast potrzebuje przerwy. Harry w milczeniu skinął głową i obaj wyszli na zewnątrz, żeby podyskutować. Mały człowieczek siedzący w głównej kajucie i tak nigdzie się nie ruszy. Był przywiązany do krzesła, z rękoma spętanymi za plecami za pomocą nici dentystycznej. Tej bolesnej sztuczki nauczył się dawno temu w Wietnamie.

Teraz mały Yoda na dole modlił się pewnie o bilet w jedną stronę do raj. Ale Stoke nie miał zamiaru puszczać tego cholernego mordercy dzieci na gorącą randkę z siedemdziesięcioma dwiema dziećmi.

- Możesz zapomnieć o męczeństwie - powiedział mu na samym początku. - Tu jest Ameryka, dupku. W przeciwieństwie do was my nie zabijamy cywili. Resztę swojego nędznego życia spędzisz w

takim pierdłu, że Abu Ghraib i Gitmo będą ci się wydawać sielanką.

Kiedy Stoke wyszedł na pokład, w oczy zaszczypało go chłodne słone powietrze przesycone jodem. Dobrze było odetchnąć pełną piersią po zaduchu potu i dymu papierosowego w małej kabynie na dole. Zaczął się zastanawiać, jak długo tam siedzą, i spojrzał na zegarek. Cholera, trzy godziny.

Zmęczyło go przesłuchiwanie aroganckiego mężczyzny, który wysadził szpital pełen lekarzy, pielęgniarek i chorych, a ostatnio doprowadził do śmierci blisko dwustu niewinnych uczniów i nie okazywał nawet śladu wyrzutów sumienia. Wolał umrzeć, niż zdradzić swoją religię śmierci.

Ci odrażający ludzie byli jednak stuknięci, nie miał co do tego wątpliwości. Mnożyli się szybciej niż ktokolwiek inny na ziemi, a potem uczyli dzieci nienawiści. I zabijania każdego, kto ma inne zdanie.

Super, co?

Przyszłość jest tak świetlana, że trzeba włożyć ciemne okulary.

- Harry, ta zabawa w dobrego i złego policjanta nie działa - powiedział w końcu Stoke, kładąc ręce na wypolerowanym tekowym relingu. Chciał się odprężyć, wpatrywać się w falujący błękitny Atlantyk ze spienionymi grzywami fal uciekającymi w stronę horyzontu. Łódź, na której byli, „Dziewiczy rejs”, czyli osiemnastometrowy viking do sportowego połowu ryb, doświadczony już przez pogodę i obrośnięty pąklami, CIA wynajęła anonimowo w firmie Cracker Boy Marine z maryny na Grove Key.

Stoke zarzucił cztery wędkę, dwie z burt i dwie z rufy. Płynęli powoli na południe, ustawiwszy autopilota. Nikt ich nie będzie niepokoił.

Wcześniej Stoke wyprowadził „Dziewiczy rejs” przez kanał Government Cut na Atlantyk i wypłynął do wpisanego wcześniej w GPS punktu poza amerykańskimi wodami terytorialnymi. Z premedytacją ustawił cel ponad pięć kilometrów za dwudziestokilometrowym pasem wód przybrzeżnych Stanów Zjednoczonych, tak na wszelki wypadek. Teraz znajdował się na wodach międzynarodowych, gdzie mógł prowadzić nieprzyjemne rozmowy, takie jak ta z imamem z więzienia Glades.

Przywódca terrorystów naprawdę nazywał się Azir al-Wazar. To pewnie po arabsku Czarodziej z Oz, myślał Stoke i zaczął mówić na Araba Ozzie, po to, żeby go wkurzyć.

- Masz lepszy pomysł? - zapytał Harry, zapalając świeżego camela bez filtra. Ostatniego zdusił w lewym uchu małego Araba. Harry palił jedynie przy bardzo szczególnych okazjach. Takich jak przesłuchania.

- Tak, Harry, mam. Zły policjant i zły policjant.

- To mi się podoba.

- Ozziemu pewnie mniej.

- Chrzanić Ozziego. Morduje dzieci w gimbusach, pamiętasz? Trzy autobusy w trzech stanach w ciągu ostatnich trzech tygodni. Ile dzieciaków ma jeszcze zginąć, żebyśmy zaczęli naprawdę torturować tego kutasa?

- Naprawdę mnie wkurza, że podtapianie nie jest już mile widziane - powiedział Stoke. - Tęsknię za tą metodą.

- Daj spokój z tą nostalgią, stary, tracisz tylko energię. Słuchaj, w szafce na rufie widziałem takie zardzewiałe obcegi. Może mu wyrwiemy jęzor, co ty na to? Wbijemy mu wielki haczyk na ryby, a potem szarpniemy...

- Harry, wtedy nie będzie mógł mówić.

- Słuszna uwaga.

- Bez języka nic nie powie.

- Tak, tak. Nieważne.

Stoke zobaczył małego delfina, który wyskoczył nad wodę jakies dwa metry od łodzi, a potem zanurkował pod dziobem. Wyraźnie się z nimi bawił - wyskoczył z drugiej strony i znów zanurkował.

- Chyba mam pomysł - powiedział Stoke i uśmiechnął się do Harry'ego po raz pierwszy tego popołudnia.

- No dawaj. Sądząc po twojej minie, musi być naprawdę dobry.

- Stara marynarska tradycja. Naprawdę stara. Istnieje mniej więcej od 1560 roku. Ale od wieków nie opisywano jej w żadnych księgach, więc wątpię, żeby któryś z naszych lalusiowatych kongresmanów wymyślił jakiś zakaz.

- Tak? A co to takiego?

- Do roboty - powiedział Stoke i poszedł na rufę, gdzie stał wielki chromowany fotel wędkarski i sprzęt do łowienia ryb. Szybko liczył w

myślach: długość łodzi, prąd. - Chodź, pokażę ci, jak to działa.

Harry wyrzucił papierosa za burtę i poszedł za Stoke'em na rufę. Patrzył, jak Stoke'y otwierał pokrywy schowków w szerokiej rufie, póki nie znalazł schowka z linami. Wyjął dwa duże zwoje grubej białej nylonowej linki, każdy po dziewięć metrów, jak ocenił na oko Harry. Stoke szybko je związał, a sprawność, z jaką to zrobił, zdradzała wcześniejszą praktykę morską.

- Zwiążemy go tym? - dopytywał się Harry. - Czad. No dobra, świetny pomysł.

- Nie będziemy go wiązać, Harry.

- To co zrobimy?

- Przeprowadź go tutaj. Pokażę ci.

Harry wrócił na rufę z Yodą po pięciu minutach. Łodzią kołysało dość solidnie i Czarodziej zrobił się zielony na twarzy. Drżał. Jaka szkoda, że skończył się aviomarin.

- To co, będziesz mówił, Ozzie? - zapytał Stoke, pochylając się nad nim tak, że prawie stykali się nosami.

- Jak to się mówi po angielsku „pieprz się”? - odparł Arab z drwiącym uśmiechem. - A, już pamiętam. Pieprz się.

- Łatwizna. Powiedz to jeszcze raz, a będziesz musiał spróbować, jak się to wymawia bez zębów.

- Nie ma boga nad Allacha - prychnął imam i powtórzył swoją mantrę po raz bodajże setny. W ten sposób się im przedstawiał. Ten mały fiut zaczął już naprawdę działać Stoke'owi na nerwy. Zamordował albo przyczynił się do zamordowania blisko dwustu niewinnych amerykańskich uczniów. I nikt nie mógł legalnie mu nic zrobić.

- Nie to miałem na myśli, mistrzu. - Walnął faceta wierzchem dłoni w twarz tak, że aż zagrzechotały mu zęby.

- Straszny z niego nudziarz - stwierdził Harry, kręcąc głową z udawanym niesmakiem.

- Rozwiąż mu ręce - powiedział zde gustowany Stoke.

- Rozwiązać? Naprawdę? Czemu?

- Rozwiąż. Będą mu potrzebne.

- Rozwiąż, Harry - powiedział Ozzie, małpując akcent Stoke'a i podnosząc ręce.

Harry wykonał polecenie. Kiedy się odwracał, mały szalony Arab zamachnął się na niego. Harry parsknął śmiechem i odepchnął jego pięść, jakby odganiał się od natrętnej muchy.

- Koleś, posłuchaj - ostrzegł go Brock. - Jak zaczniesz przebiegać przed ciężarówką, to ciężarówka może cię rozwalić.

- Tak jak... w World Trade Center?

Harry szybko odwrócił się plecami do imama, nie chcąc dać mu satysfakcji z powodu błysku wściekłości w oczach. Najspokojniej, jak mógł, odezwał się do Stoke'a:

- A może pokroimy go na kawałki i nakarmimy rekiny?

Stoke patrzył na Brocka tak wściekły, że bał się w ogóle odzywać.

W efekcie żaden z nich nie zobaczył, jak terrorysta kradnie nóż do ryb ze schowka, podnosi go do pomarańczowego więziennego kombinezonu i wsuwa sobie w elastyczny pas.

- I co teraz? - odezwał się Brock po dłuższej chwili.

- Obwiążemy go liną w pasie. Owiń ją kilka razy. Dobrze, właśnie tak. A teraz zaciśnij mocno. Jego dajemy pośrodku, z każdej strony zostaw po jakies sześć metrów liny.

- Co to...

- Zaufaj mi. Wiąż. Dobrze. Chwileczkę, jeszcze jedno.

Stoke otworzył szafkę ze sprzętem do nurkowania i zaczął w niej grzebać, aż w końcu wyjął pas nurkowy z obciążnikami. Zaciśnął go porządnie wokół brzucha Araba i związał końce prostym węzłem.

- Doskonale. A teraz prowadzimy go na dziób. Ozzie? Wszystko w porządku? Super.

Harry chwycił koniec liny i poszedł na dziób. Stoke trzymał drugi koniec liny i zamykał pochód. Yoda szedł pośrodku, bo nie miał innego wyjścia.

- I co teraz? - zapytał Harry, kiedy stanęli na dziobie przy kabestanie. Stoke chwycił małego Araba za szyję i podniósł wysoko nad swoją głowę. A potem postawił go na kabestanie.

- Dobra, teraz zaczyna się zabawa. Pobujam nim trochę, o, tak, a potem wrzucę go do oceanu, tuż przed dziobem... O, tak!

- Ale jazda! - krzyknął Harry, patrząc, jak Arab wpada z pluskiem do wody, znika i wypływa, machając rękoma, żeby utrzymać się na

powierzchni. Harry'emu zaczęło się to coraz bardziej podobać.

- Pociągnij za swój koniec. I idź w stronę rufy z liną. Ja popuszczę swój koniec, żebyś miał dość luzu. Nie pozwól mu utonąć.

- Dlaczego nie?

Stoke poszedł na drugą stronę łodzi, powoli luzując linę. Biała linka zniknęła pod łodzią, a Stoke przeciągnął ją pod kilem wielkiego wikinga.

- Bo tak się tego nie robi, Harry. Niech pływa po twojej stronie, póki ja się tu nie zainstaluję. Dobra, tu może być. - Stoke zatrzymał się tuż przed sterówką.

- I co, do cholery, teraz?

- Przeciagniemy mu dupsko pod kilem. Jak za starych dobrych czasów. Założę się, że nikt tego nie robił od dwustu lat. A może i dłużej.

- Jak to działa?

- Zaczekaj, przywiążę swój koniec do relingu.

Stoke przywiązał linę i podszedł do Harry'ego. Wychylił się przez prawą burtę i zobaczył Ozziego unoszącego się na wodzie tylko dzięki linie Harry'ego.

- Ozzie, zadam ci pytanie - zawołał do niego Stoke. - Jak odpowiesz, zastanowię się, czy cię nie wyciągnąć. Gotów?

- Gotów - odparł terrorysta, kiwając gorączkowo głową. To dobry znak. Niektórzy ludzie niezbyt dobrze się czuli na otwartym morzu bez kamizelki ratunkowej.

- W twoim komputerze znalazłem pewne nazwisko. Bardzo często się pojawiało. To ktoś, kto nazywa się Smith. Kim, do diabła, jest ten Smith? Masz dziesięć sekund.

Arab pokręcił głową.

- Utop go - powiedział Stoke. Harry popuścił linę i mały człowieczek poszedł w wodę jak kamień. Obaj przez minutę patrzyli na bąbelki w miejscu, gdzie zniknął.

- Dobra, wyciągnij go.

Wypłynął na powierzchnię, plując wodą.

- Drugie pytanie - powiedział Stoke, wychylając się nad relingiem. - Gotów? Świetnie. W twojej korespondencji elektronicznej znalazłem też innego częstego nadawcę. Jakiś ważniak z Miecza

Allacha o pseudonimie Bułat. Powiedz mi, kto to jest, to cię wyciągnę na pokład.

- Nie ma boga nad Allacha.
- Zła odpowiedź. Tym razem będzie trochę trudniej, Ozzie.
- Co teraz? - zapytał Harry.

Stoke wrócił na przeciwną burtę i odwiązał swój koniec liny.

- Przeciagniemy go pod kilem i tyle. Są dwa sposoby: zły i naprawdę zły.

- Tak mi mów.
- Przeciagnę go do końca pod kilem moim końcem liny. Powoli. Popuścisz mi linę na tyle, żeby miał trochę luzu pod dnem łodzi.

- A ten naprawdę zły sposób?

- Nie popuszczasz liny. Wtedy, kiedy pociągnę, koleś obija i ociera sobie dupsko o jakieś trzy czy cztery metry naprawdę cholernie ostrych skorupiaków.

- Brzmi raczej niemiło.

- Właśnie. Nie próbuj tego sam. Przeciagniemy tak parę razy Ozziego i obierzemy go ze skóry. Najpierw popuścimy mu linę. Zobaczymy, co się stanie.

Stoke pociągnął za swój koniec. Imam poszedł pod wodę i zniknął od strony Harry'ego. Brock popuszczał linę. Stoke niespiesznie ciągnął Araba pod kilem, patrząc na leniwą wskazówkę zegarka i czekając, aż mały sukinsyn pojawi się w wodzie tuż pod nim.

Wyciągnął prychającego i klnącego Araba.

- Zaczekam, aż wykaszlesz całą wodę i znów zadam ci pytanie. Nie chcę cię niepokoić, ale ta szamotanina dość dobrze przyciąga rekiny. Gotów? Nazwisko i pseudonim. Smith. I Bułat.

- Nie ma boga nad... - Zniknął pod falami, nim zdążył dokończyć zdanie.

- Przeciagnij go pod spodem, Harry. Tym razem bez luzu.
- Szybko czy powoli?
- A jak ci się wydaje?

Brock zaczął ciągnąć linę, podśpiewując szantę *Barnacle Bill*.

48.

Wciągnęli go na pokład i położyli na tekowych deskach. Skorupiaki nieźle go pokiereszowały. Kiedy Stoke wciągał go na pokład, imam przeżył też dreszczyk emocji podczas spotkania z wygłodniałymi rekinami, które omal nie capnęły go za pięty, zwabione krwią w wodzie. Cały czas krążyły wokół łodzi, szukając świeżego mięsa.

Stoke wziął wąż ze słodką wodą i trochę obmył Araba. Potem zabrał go na rufę i posadził w wielkim chromowanym fotelu wędkarskim. Imam siedział jak oszołomiony i zakrwawiony Neptun na tronie, wpatrywał się przed siebie wybałuszonymi z przerażenia oczyma.

Dotarło do niego, że te dwa bydlaki są zdolne do wszystkiego. Nie była to do końca prawda, myślał Stoke, ale w tych okolicznościach było to zdecydowanie właściwe wrażenie.

Stoke otworzył zimną colę light wyjętą z wielkiej lodówki pełnej lodu i rzucił Harry'emu oszronioną puszkę budweisera. Obaj usiedli na burcie i popijali, z zadowoleniem obserwując igraszki delfinów. Dali imamowi czas do namysłu, nim znów się nim zajmą. Jakies dziesięć minut później, gruntownie przemyślawszy swoje położenie, Ozzie zaczął śpiewać jak kanarek w klatce.

- Smith - zaskrzeczał z podbródkiem opartym na piersi.
- Co z nim? - zapytał Stoke, podnosząc wzrok.
- To Anglik. W Afganistanie.
- Dobra, kumam. Co ten Anglik robi w Afganistanie?
- Zabójstwo.

Stoke wstał i wyjął z kieszeni koszuli swój notes w skórzanej okładce oraz ołówek, a następnie podszedł i podniósł głowę imama do góry, trzymając go za brodę.

- Czyje zabójstwo?
- Harry'ego.
- Harry'ego nie ma w Afganistanie. Harry jest tutaj.
- Nie. Księcia Harry'ego. Syna księcia Karola.

Stoke spojrział na Harry'ego Brocka, który bezgłośnie powiedział: „O kurwa!”

- Harry to ten syn, który służy w brytyjskiej armii, tak? - zapytał Brock więźnia.

- Tak.

- Wydawało mi się, że jest w Iraku.

- Nie. Teraz w Afganistanie.

- Kiedy ma dojść do tego zamachu? - zapytał Stoke.

- Jak najszybciej.

- Nie ściemniasz? Bo jeśli tak, to wracasz zaraz pod wodę. Tyle razy, ile będzie trzeba.

- To prawda. Boża prawda.

- Harry, na wypadek gdyby ten mały sukinsyn rzeczywiście mówił prawdę, weź może radio i zgłoś to w Langley, może w Pentagonie? Trzeba natychmiast przekazać te informacje dowódcy brytyjskich wojsk w Afganistanie.

- Masz rację - odparł Harry, zrywając się na równe nogi. Zniknął w sterówce.

- No dobra, mały - powiedział Stoke z ołówkiem gotowym do notowania. - Jeszcze jedno. Kto to jest ten Bułat, który się tyle razy powtarzał?

- W moim kraju znany jest jako Lew Pendżabu. Nazywa się szejek Abu al-Rashad.

- Szejek Abu al-Rashad. Grzeczny chłopiec. Gdzieś już słyszałem to nazwisko. Jak wysoko siedzi w hierarchii Miecza Allacha?

- Najwyżej.

- Najwyżej jak się da? Wyżej niż bin Laden?

- Tak.

- Gdzie znajdę tego potężnego i wysoko postawionego szejka?

- W Pakistanie. Czasami w Afganistanie. Jest ciągle w ruchu.

- Nomada, co?

- Właśnie. Przenosi się z miejsca na miejsce. Od jaskini do jaskini, od obozu do obozu.

- A teraz gdzie jest?

- Chyba w Islamabadzie.

- Gdzie w Islamabadzie?

- W szpitalu.

- Chory? Ranny? W którym szpitalu?

- Nie wiem. Naprawdę, przysięgam.

Stoke chwycił go za brodę i podniósł mu głowę do góry, tak żeby spojrział prosto w śmiertelnie poważne oczy Stoke'a. Nic.

- Dobrze, jak chcesz. Złaz z fotela. Znowu sobie ponurkujesz. Widzisz te rekiny wokół łodzi? Nie mogą się doczekać na twoje zakrwawione cielsko.

- Nie! Nie!

- W porządku. W takim razie zaczynamy jeszcze raz od początku. Jak. Nazywa. Się. Ten. Szpital?

- Międzynarodowy Szpital Quaid-e-Azam.

- Przeliteruj. Wyraźnie i powoli - powiedział Smith i spisał nazwę litera po literze.

- Jesteś całkowicie pewien, że to ten szpital? Mogę go zaraz znaleźć na laptopie na mapach Google'a.

- Mówię prawdę.

- To się jeszcze okaże. Gdzie ten koleś zwykle przebywa, kiedy nie leży w szpitalu?

- W górach.

- Jakich górach? W Pakistanie trochę tych szczytów macie, co? Dobrze pamiętam, że K2 leży u was? Druga najwyższa góra świata.

- Przebywa głównie w górach w pobliżu Chitral. Północno-zachodnie prowincje graniczne. Okręg Makaland. Tam walczyliśmy z Winstonem Churchillem w 1885 roku.

- Jakaś konkretna góra?

- Tak.

- Ma jakąś nazwę?

- Wazizabad.

- Waz-iz-a-bad. Zgadza się?

- Tak.

Stoke włożył mu do rąk notes i ołówek.

- Narysuj mi mapę. Tak z grubsza. Zaznacz krzyżykiem miejsce, gdzie leży Wazizabad. Rozumiesz?

Imam zaczął rysować. Kiedy już się za to zabrał, okazało się, że ma niezły talent.

Harry Brock wystawił głowę ze sterówki.

- Hej, Stoke, musisz tu podejść.

- Jestem zajęty.
- Dobilem się do dyrektora w Langley i przekazałem mu wieści. Mam teraz na linii Alexa Hawke'a, połączyli go przez naszego szefa placówki w Miami. Mówi, że to pilne.

- Hawke? - Stoke nie mógł uwierzyć własnym uszom.
- Przecież powiedziałem.
- Ozzie, nie ruszaj się, stary. Zaraz wracam. To fascynująca rozmowa, więc nie bierz tego do siebie. Szef dzwoni, sam wiesz, jak jest. Harry, popilnujesz go chwilę?

- Cześć, szefie - powiedział Stoke, założywszy słuchawki i wcisnąwszy klawisz nadajnika. - Wróciłeś! Stary, ależ to radocha znów cię słyszeć! Świetnie brzmisz.

- Bo i dobrze się czuję, Stoke. Ale jak zwykle potrzebuję twojej pomocy.

- Wystarczy, że powiesz słowo. Gdzie jesteś?

- Po prawej mam działa, po lewej też. A ja gdzieś pośrodku. Jestem w Londynie, ale zaraz wylatuję do Pakistanu. Na gwałt. Mam tam pilną robotę. Konkretnie w Islamabadzie.

- Co mogę zrobić?

- Przygotuj się do drogi razem ze mną. I to natychmiast. Potrzebuję cię tam. Sprawy mogą się zaraz mocno pokomplikować. „C” chce, żebym przypilnował pakistańskich głowic jądrowych. Jak sam wiesz, tamtejszy rząd nie jest zadowolony, kiedy wężymy mu po jego własnym podwórku. Nie muszę dodawać, że musimy działać bardzo po cichu.

- Szefie, byłem tam pół roku temu. Taka mała robótka dla Brocka. Organizowałem transport paliwa lotniczego F34 do jakiejś supertajnej amerykańskiej bazy lotniczej. F34 to to, na czym latają te bezzałogowe Predatory. Poznałem trochę miasto i paru miejscowych. Nauczyłem się jednego: nie można wierzyć w ani jedno słowo pakistańskich generałów. Połowa z nich kumpluje się z talibami. A druga połowa się waha.

- Bez dwóch zdań, proste to nie będzie. Twoje miejscowe znajomości bardzo nam pomogą, Stoke. Czy Brock jest z tobą na tej łodzi?

- Tak.

- Wiesz, jaki mam do niego stosunek. Zawsze jestem gotów podać mu pomocną dłoń, żeby mógł się wspinać szczebel wyżej w karierze.

- Zgadzam się w całej rozciągłości. Można by rzec, że płyniemy na tej samej łódce.

- Czasami wydaje mi się, że trochę lubi zdryfować. Ale myślę, że przydałby się nam. Nieźle się sprawdza w strzelaninach. Jak sądzisz? Decyzja należy do ciebie.

- Tak, przydałby się nam. Dobrze przynajmniej, że jak staję za tobą, to po to, żeby cię chronić, a nie po to, żeby ci wbić nóż w plecy.

- Racja. Panowie, kiedy tylko ustalę datę wylotu, skontaktuję się z wami. Bądźcie gotowi do drogi w każdej chwili. Dzieje się coś ciekawego na tej łodzi rybackiej?

- Tak. Przesłuchujemy jednego kolesia, którego poznałem w kinu. Ma sporo informacji, podobnie jak jego laptop. Część z nich może być nawet prawdziwa. Sporo gadania o zamachu na Heathrow, o ataku na centralę MI-5 i tak dalej. Słyszałeś może takie nazwisko Smith?

Po stronie Hawke'a zapadła długa cisza.

- Smith? Tak. Zdecydowanie słyszałem. Co o nim masz?

- Ten nasz kolesi twierdzi, że Smith jest teraz w Afganistanie. Zamierza zabić dziedzica angielskiego tronu. Harry'ego, syna księcia Karola. Wierzysz w to?

- Teraz tak. Dostałem właśnie informację o próbie zamachu na życie księcia Harry'ego dziś rano. Nieudanej. Snajper został zabity, a jego współnik uciekł. Dzięki tobie wiem teraz, kim był ten współnik. Nasz przyjaciel pan Smith. Teraz rozumiem, dlaczego snajper używał ściśle tajnego brytyjskiego karabinu snajperskiego o długim zasięgu.

- Szeffie, zdaje się, że macie u siebie dziurę jak lej po bombie, skoro takie rzeczy się u was dzieją.

- Ano mamy. Te informacje są bezcenne, Stoke, dziękuję. Ten Smith musi mieć chody na samym szczycie brytyjskiego rządu. I ma ściśle kontakty z Mieczem Allacha. Trzeba go dopaść, to jedno z naszych najpilniejszych zadań.

- Miecz Allacha. Ta sama grupa, która wysadziła szpital Jackson Memorial tu, w Miami. I to Miecz Allacha wysadza gimbusy w całej

Ameryce. Wiesz, czego jeszcze się dowiedzieliśmy? Około dwudziestu domorosłych radykałów z południowego meczetu w Chicago miało zająć liceum New Trier - z AK 47 w rękach i samobójczymi bombami przy pasach. Prawie pięć tysięcy dzieciaków z tej szkoły mogło zginąć. Uwierzyłbyś? FBI zgarnęło tych sukinsynów dwa dni przed planowanym zamachem.

- Wstrząsające. Mamy do czynienia z pierwszą na świecie wysoce zorganizowaną megagrupą terrorystyczną, Stoke. Rekrutują i szkolą ludzi w więzieniach. Tworzą sojusze z IRA, komunistycznymi rządami na Kubie i w Wenezueli. Być może także z Koreą Północną i Bóg wie kim jeszcze. Musimy odnaleźć i odciąć łeb temu potworowi, żeby reszta obumarła.

- Mam coś jeszcze na ich temat, szefie. Mój ptaszek śpiewa, że najwyżej w tym Mieczu Allacha stoi ktoś o nazwisku Abu al-Rashad. W internetowej korespondencji ma ksywkę Bułat. Może nawet wiem, gdzie teraz jest. W szpitalu Quaid-e-Azam w Islamabadzie, chory albo ranny, tyle wiem.

- Miał rację co do próby zamachu na księcia Harry'ego w Afganistanie. Wystraszyłeś go na tyle, że zaczął mówić prawdę. Dobra robota. Zobacz, co jeszcze da się z niego wyciągnąć. Za wszelką cenę.

- Jasne.

- Tylko powiedz mi, Stoke, że go nie podtapiacie. Niech was ręka boska broni. Wiesz, że to politycznie niepoprawne w Waszyngtonie, nawet kiedy zależą od tego losy całej planety.

- Podtapiać? Ja? Szefie, znasz mnie przecież, nie zniżyłbym się do czegoś takiego.

- Stoke, oddzwonię do ciebie za godzinę. Muszę przekazać wszystko, co mi powiedziałeś, słowo w słowo, dyrektorom MI-5 i MI-6. Nie odchodź od radia.

Klik.

I wtedy usłyszał, jak Harry Brock klnie i krzyczy z bólu.

Kiedy Stoke wyszedł na palące słońce, zobaczył, jak Harry Brock przyciska ręce do brzucha, a spomiędzy palców cieknie mu na pokład krew.

- On ma nóż! - krzyknął Harry, nie spuszczając oka z małego Araba, który się cofał. - Skurwysyn próbował mnie zabić.

- Nic ci nie jest? - zapytał Stoke.
- Nie jest dobrze.
- Wygląda mi to na draśnięcie.
- Ale kurewsko boli, wierz mi.
- Harry. Skup się. Masz tę mapę, którą narysował?
- Tak, mam. Dziabnął mnie właśnie wtedy, kiedy mi ją podawał.

Mózg terrorystów stał plecami do rufy. Nie miał gdzie się cofnąć. Wymachiwał zardzewiałym nożem do ryb, jakby wyzywał Stokely'ego, żeby mu go zabrał. Stoke kazał mu się uspokoić. A potem podniósł obie ręce i zaczął powoli podchodzić, sprawiając wrażenie, że nie chce mu zrobić krzywdy.

- Ozzie, stary, posłuchaj. To zupełnie nie twoja kategoria waga. Ci z koguciej nie powinni wychodzić na ring z tymi od ciężkiej, nawet dziecko to wie. Wystarczy popytać.

Warknął coś nieprzyzwoitego w farsi czy czymś w tym guście.

- Mówię ci, rzuć nóż i nikomu nie stanie się krzywda - mówił Stoke. - Rzuć go na pokład i...

Wykrzykując znany wszędzie islamski okrzyk bojowy „Allahu Akbar!” terrorysta rzucił się na Stokely'ego z zakrwawionym nożem nad głową. Stoke spokojnie poczekał na atak, po czym ręką wielką jak bochen chleba złapał al-Wazara za prawy nadgarstek i ścisnął w chwili, kiedy ręka z nożem zaczęła opadać. Wykręcił ją i szarpnął za ramię tak mocno, że zwichnął mu bark.

Jednym płynnym ruchem Stoke wykonał pełny obrót, wciąż trzymając Araba za nadgarstek, i wyrzucił Azira al-Wazara wysoko w powietrze. Przeleciawszy jakieś dwadzieścia metrów za rufę „Dziwiczego rejsu”, Czarodziej spadł w spienioną wodę, w której roiło się od spragnionych krwi rekinów.

- Hej, Stoke - odezwał się Harry, siadając w pierwszym rzędzie, na pojemniku na przynętę. Pięścią mocno ścisnął ranę, by powstrzymać krwawienie, i z pewnym zainteresowaniem przyglądał się błyskającym trójkątnym płetwom, które krążyły coraz bliżej wrzeszczącego i jęczącego terrorysty. Machał rękoma jak ciężarna pelikana desperacko próbująca wzbic się do lotu.

- Co?

- Zdaje się, że zapomniałeś odczytać naszemu małemu przyjacielowi przysługujące mu prawa.

- Naprawdę? Cholera, chyba masz rację, Harry.

Stoke wszedł na szeroką rufę, złożył dłonie wokół ust i krzyknął do mężczyzny pływającego w wodzie spienionej od jego własnej krwi, do mężczyzny, który dopiero co próbował zabić jego i jego kumpla Harry'ego:

- Masz prawo zachować milczenie. Wszystko, co powiesz lub zrobisz, może być użyte przeciwko tobie w sądzie. Masz prawo do adwokata. Jeśli nie stać cię na adwokata, zostanie ci on przydzielony z urzędu. Czy rozumiesz prawa, które ci odczytałem?

Stoke usłyszał jedynie charczenie.

- Co powiedział? - zapytał Brock.

- Trudno wyczuć. Gdybym miał zgadywać, to powiedziałbym, że zamierza skorzystać z prawa do zachowania milczenia.

49.

Buckinghamshire

Brixden House, rodzinny dom lady Diany Mars i niezliczonych jej przodków, zarówno tych znamienitych, jak i tych nikczemnych i cieszących się złą sławą, znajdował się przy Taplow Common Road. Hawke zwolnił przed ogromną bramą wjazdową z kutego żelaza między marmurowymi Kolumnami ozdobionymi licznymi rzeźbami orłów, które ząb czasu nadgryzł już na tyle mocno, że nie rzucały się przesadnie w oczy.

Hawke zatrzymał swego błyszczącego czarnego forda thunderbird z 1956 roku przed bramą i czekał, aż detektyw w cywilu wyjdzie z małej budki wartowniczej. Mężczyzna sprawdzał, czy Hawke jest na liście gości, a Alex z zadowoleniem siedział i wsłuchiwał się w słodki warkot silnika.

Samochód okazał się godnym zmiennikiem starej pokiereszowanej w walce Lokomotywy. Bentley wciąż przechodził poważny remont po strzelaninie, w której omal nie zginęli z Congreve'em. T-Bird, jak czule nazywał forda, miał składany dach, który Alex zostawił w

domu, żeby mogli się z Sahirą nacieszyć sierpniowym słońcem.

Było słonecznie i stosunkowo chłodno jak na tę porę roku. Przedwieczne słońce niczym sztabki złota ścieliło się po zielonych wzgórzach i dolinach.

Lubił ten stary amerykański wóz ze względu na oszczędne piękno linii, groźny pysk i pojedyncze nozdrze wlotu powietrza na masce. Seryjny silnik fordą wymienił na niskoobrotowy motor Mercury V-8 o pięciolitrowej pojemności. W efekcie uzyskał doskonałe osiągi. T-Bird zdecydowanie nie był tak precyzyjnym instrumentem jak dobry angielski wóz sportowy, ale to akurat poczytywał mu za zaletę.

- Doktor Karim, komandorze Hawke, witamy w Brixden House - powiedział funkcjonariusz Scotland Yardu i uśmiechnął się, po czym odhaczył ich nazwiska na liście i otworzył wielką żelazną bramę. - Mam nadzieję, że wieczór będzie udany.

- Z całą pewnością - odparł Hawke, odwzajemniając zawodowy uśmiech. Wrzucił bieg, dodał gazu i zwrócił się do Sahiry: - Witamy w słynnym gnieździe szpiegów. Poczujesz się jak u siebie.

Hawke jechał powoli długim krętym podjazdem. Sahira zdawała się rozkoszować widokiem wielohektarowego parku, na terenie którego pojawiały się tu i ówdzie klasyczne rzeźby, pokryte trawą wzgórze, jeziora i jedna czy dwie greckie świątynie.

- Przepraszam, czy naprawdę powiedziałeś „gniazdo szpiegów”? - zapytała po kilku chwilach.

- Tak. Będzie ich tu dzisiaj mnóstwo, ale nie to miałem na myśli. Brixden House zyskał sobie bardzo podejrzaną reputację. Słyszałaś o „Ekipie z Brixden”?

- Nie, chyba nie.

- Przed wojną wokół prababki Diany, wiceksiężnej, powstał pewien krąg. Brixden House stał się de facto salonem grupy prawicowej arystokracji o dużych wpływach politycznych. Wiceksiężna organizowała wspaniałe przyjęcia dla przyjaciół, na które zapraszano najrozmaitszych Niemców, z których część bez wątplenia była szpiegami. Ta germanofilska grupa opowiadała się nie tylko za tolerowaniem Adolfa Hitlera, lecz także za przyjaznymi stosunkami z nazi-stowskimi Niemcami.

- Fascynujące - powiedziała, nie odrywając wzroku od cudownego pałacu w stylu włoskim, zbudowanego na wapiennych klifach z widokiem na łagodny zakręt spokojnie płynącej Tamizy. Zbliżał się zmierzch i prawie wszystkie okna, duże i małe, były rozświetlone.

- Ale najlepsze dopiero usłyszysz. W szalonych latach sześćdziesiątych ów dom przeżył kolejny skandal. Zdaje się, że miały tu miejsce mocno dekadentkie seks-impresy. Na jednej z nich minister John Profumo poznał i poszedł do łóżka z Christine Keeler. Kobieta, która akurat równocześnie sypiała z sowieckim agentem. Kariera Profumo legła w gruzach, podobnie jak cały rząd Harolda Macmillana.

Sahira się uśmiechnęła.

- Dostarczyłeś mi właśnie kopalnię informacji do rozmów przy stole.

- Diana się nie obrazi, zapewniam cię. To wspaniała dziewczyna, mocno stąpająca po ziemi. Ta kobieta nie pozwala, by ktokolwiek czy cokolwiek sprawiało jej kłopot. Ambrose ma naprawdę ogromne szczęście, że ją poznał.

- Szczęściarz, prawda, Alex? Ogromny szczęściarz - powiedziała Sahira z nagłym smutkiem w oczach. Pomyślał, że ten smutek oboje ich łączy.

W każdej sali świeciły się żyrandole, paliły świece, błyszcząły diamenty i kryształowe kieliszki pełne bąbelków różowego szampana. Wszędzie słychać było krzątających się kelnerów, śmiech i muzykę. Wszyscy szczerze cieszyli się szczęściem dwojga ludzi. W odległym końcu sali orkiestra przygrywała melodie Gershwina mieszające się z gwarem przyjęcia i dymem tytoniu.

Hawke i Sahira przecisnęli się przez zatłoczony wielki hol z ogromnym kominkiem, wysokim sufitem i słynnym portretem prababki Diany pędzla Johna Singera Sargenta. Obraz wisiał po lewej od szerokiego wejścia.

Ręce w biżuterii spotykały się nad i pod nakrytymi na białe stolami. W rytm muzyki kołysały się wytworne suknie i wykrochmalone białe koszule. Taneczne wibracje czuć było w półmroku oświetlonej świecami sali balowej. Biernymi obserwatorami tego, co działo się na parkiecie, były manekiny w błyszczących zbrojach podpierające

ściany wyklejone wyblakłymi tapetami i obwieszone dużymi portretami czyichś zapomnianych królewskich przodków w ozdobnych ramach.

Niezliczone badawcze spojrzenia natychmiast spoczęły na eleganckiej Hindusce idącej pod ramię z Hawkiem. Sahira wyglądała olśniewająco w prostym jaskrawokarmazynowym sari ze złotymi haftami. Hawke po raz pierwszy widział ją z włosami upiętymi do góry za pomocą dwóch złotych grzebieni. Musiał przyznać, że wyglądała w tej fryzurze jeszcze piękniej.

- Gotowa? - zapytał Hawke, wypatrując jakiejś luki w tłumie. Zobaczył, że Diana i Ambrose witają gości po drugiej stronie sali, przy kominku. Porwał dwa kieliszki szampana od kelnera w liberii i ruszył w stronę gospodarzy.

- Oślaniaj mnie, wchodzę - rzekł Hawke.

- Do dzieła, mistrzu - odparła Sahira, parsknąwszy śmiechem.

Hawke przywdział wypróbowany i szczery uśmiech pod tytułem „Cudownie cię widzieć!” i wmieszał się w tłum, a Sahira podążyła jego śladem. Przepraszając słowem i uśmiechem, przedzierał się przez żywą masę wielkich naszyjników i klejnotów zwisających z łabędzich szyi koloru białych lilii. Mijał dystyngowanych dżentelmenów w białych muszkach i frakach. Na twarzach zwykle uprzejmie zdystansowanej londyńskiej socjety widział chwilami absolutne zdumienie. Czemu, u licha? I wtedy sobie przypomniał.

Na ponad rok zaginął bez wieści. Większość tych ludzi, widząc jego twarz, musiała pomyśleć, że widzi ducha.

W tłumie nawet nie zauważył sir Davida Trulove'a. Dostrzegł go dopiero, kiedy „C” położył mu dłoń na ramieniu. Trulove pochylił się do ucha Hawke'a i powiedział:

- Dobry wieczór. Musimy porozmawiać. Obawiam się, że to dość pilne. Możesz się wymknąć i spotkać ze mną za jakieś dwadzieścia minut? Będę czekał na końcu południowego tarasu z widokiem na parter i rzekę.

- Doskonały pomysł, sir - odparł Hawke normalnym głosem. - Będę zachwycony. Chcemy tylko z Sahira szybko przywitać się z gospodarzami.

- Świetnie - odparł „C” i odwrócił się do niezwykle pięknej żony amerykańskiego ambasadora przy królewskim dworze.

Do Ambrose'a i Diany dobrnęli po dobrych dziesięciu minutach.

- Muszę przyznać, że promieniejesz jak księżyc w pełni - powitał Hawke Congreve'a i uściśnął dłoń przyjaciela. Ambrose przedstawił Sahirę lady Mars i obie kobiety z miejsca wdały się w radosną rozmowę o fundacjach dobroczynnych czy czymś podobnym.

- Istotnie, zaliczam się do najszcześniejszych ludzi na ziemi - odparł Congreve z uśmiechem. Mówił wyniosłym tonem, którego nabierał, kiedy napił się trochę bąbelków.

- I bardzo dobrze, stary druhu - powiedział Hawke, klepiąc przyjaciela po plecach. - I bardzo dobrze.

- Żałuj, że nie widziałeś jej miny, kiedy w końcu wyjąłem ten słynny kamień, Alex. Myślę, że zaczynała już wątpić w czystość moich zamiarów.

- Ile to już minęło, od kiedy po raz pierwszy padłeś na kolana i prosiłeś ją o rękę? Chyba kilka lat.

- Zbyt długo. Wiele bym dał, żeby poznać ją jako trzydziestolatkę, a nie po pięćdziesiątce.

- Uważaj, czego pragniesz - powiedział Hawke i szybko odwrócił wzrok.

- Alex, przepraszam. Wybacz mi.

Hawke rozchmurzył się i powiedział:

- Nic się nie stało. To będzie cudowny wieczór i wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie. Chcę tylko, żebyś wiedział... na wypadek gdyby... cokolwiek się stało... że przez całe moje życie, od chłopięcych lat, zrobiłeś dla mnie o wiele więcej, niż można oczekiwać od przyjaciela. I będę cię za to kochał do grobowej deski.

- Alex, nie wiem, co powiedzieć. Żałuję...

- Nic nie mów. Chcę tylko, żebyś o tym wiedział. Na wypadek gdyby cokolwiek się stało.

Po tych słowach Hawke wziął Sahirę za rękę i oboje rozplłynęli się w eleganckim tłumie.

Hawke znalazł „C” stojącego samotnie przy kamiennej balustradzie, wyglądającego na wypielęgnowane ogrody skąpane w ostatnich promieniach słońca. Srebrzysta Tamiza poniżej, wijąca się między zalesionymi wzgórzami, stanowiła niezapomniany widok.

- Pięknie, prawda? - zagaił Hawke, podchodząc do niego.

- Pięknie. Wiesz, Alex, rozmyślałem właśnie nad wydarzeniami ostatnich kilku miesięcy. Nigdy nie byliśmy szczególnie blisko. Obaj bywamy porywczy i dlatego trzymamy się trochę na dystans. Ale muszę przyznać, że nie mogę wyjść z podziwu, patrząc na twoje... twoje, jak to nazwać, twoje zmartwychwstanie. I doszedłem do wniosku, że jesteś jednym z naprawdę niewielu ludzi na ziemi, w których będę zawsze do końca i bezgranicznie wierzył.

- Sir, to niezwykle miłe...

- Nie, nie, nie o to mi chodzi. W służbie, dzięki Bogu, mamy mnóstwo błyskotliwych, utalentowanych i odważnych mężczyzn i kobiet, którzy wykonują swoje niebezpieczne obowiązki na najwyższym możliwym poziomie.

- W takim razie jak mam to rozumieć, sir?

- Zaufanie. Mam wrażenie, że przy każdym spotkaniu, każdym wydanym rozkazie, powierzonej tajemnicy, zadanyemu pytaniu, zastanawiam się: czy to on? Czy to jest właśnie zdrajca spośród nas?

- Rozumiem pana doskonale. Ale trzeba też spojrzeć szerzej. Poza Szóstkę i Piątkę. MI-5 podlega ministrowi spraw wewnętrznych lordowi Hume, jak sam pan wie. Może zdradził ktoś z personelu ministra, znający każdą jego tajemnicę. Albo ktoś z Downing Street 10. Ktokolwiek z rządu.

- Tak, tak, oczywiście masz rację. Ale to nie dlatego cię tu poprosiłem. Obawiam się, że mam bardzo złe wieści z Pakistanu. Odebrałem telefon w drodze tutaj.

- Przewrót fundamentalistów?

- Nie. Jeszcze gorzej. Jak wiesz, pakistański prezydent Asif Ali Zadari niedawno powierzył „narodową władzę wykonawczą” nad pakistańskim arsenałem jądrowym premierowi Gilaniemu, który też nad tym nie panuje. Prawdziwą kontrolę nad głowicami ma armia. Generał Kayani i jego najwyżsi generałowie. Jak wiesz, „zabezpieczenie przez wojsko” nie oznacza wcale pełnego bezpieczeństwa. Wszyscy w rządzie jej królewskiej mości obawiają się o bezpieczeństwo arsenału jądrowego, gdyby mułlowie przejęli władzę w kraju. Mnie zaś o wiele bardziej niepokoją wszyscy wysocy oficerowie w pakistańskiej armii, którzy są zwolennikami kalifatu. Ludzie na szczycie pakistańskich struktur wojskowych, którzy wierzą w

fundamentalistyczne ogólnoisłamskie państwo. I teraz moje najgorsze obawy się zmaterializowały.

- Proszę opowiedzieć.

- W drodze tutaj zadzwonił do mnie szef placówki CIA w Islamabadzie. Z pakistańskiego arsenału jądrowego zginęła co najmniej jedna silna głowica jądrowa.

- Mój Boże. W jaki sposób?

- CIA, jak mówił w moim gabinecie Abdul Dakkon, od dawna podejrzewa, że część strażników w podziemnych magazynach w Islamabadzie jest opłacana przez jednego lub dwóch najpotężniejszych talibskich watażków. Albo też owi watażkowie trzymają pod kluczem ich rodziny, grożąc im śmiercią, jeśli strażnicy nie posłuchają ich żądań, kiedy nadejdzie czas przejmowania kontroli nad arsenałem.

- A teraz watażkowie postanowili działać bezkarnie, bo nie boją się już zemsty ze strony pakistańskiej armii.

- Właśnie. Sprawdzają nas, czekają na naszą reakcję. Musimy natychmiast zareagować z całą siłą. Dzwoniłem do prezydenta McCloskeya i poinformowałem go, że MI-6 zamierza wysłać zespół do Islamabadu. W pełni poparł ten pomysł i zaproponował współpracę amerykańskiego lotnictwa i stacjonujących w pobliżu jednostek marines.

- Sir, jestem gotów jechać choćby dzisiaj, jeśli będzie trzeba.

- Wiedziałem, że to powiesz. Rezerwuję transport wojskowy dla ciebie, Sahiry Karim i Abdula Dakkona. Wylądujecie w Shamsi, supertajnej amerykańskiej bazie lotniczej w Pakistanie, pięćdziesiąt kilometrów od granicy z Afganistanem. Wykorzystywana jest głównie do startów bezałogowych predatorów, które obserwują i atakują bojowników Al-Kaidy i talibów po pakistańskiej stronie granicy z Afganistanem. W południowym Waziristanie. Ta operacja będzie miała centralę w bazie w Shamsi, przy pełnej współpracy amerykańskiego lotnictwa i CIA.

- Nie miałem pojęcia, że jankesi mają jakąś bazę w Pakistanie.

- Nikt nie wiedział. Dlatego całą tę operację należy przeprowadzić w całkowitej tajemnicy do samego końca. Informacja, że

Waszyngton czy Londyn prowadzą wojskowe operacje - tajne czy nie - na terytorium Pakistanu, byłyby... dość drażliwą sprawą w tym muzułmańskim kraju. Zarówno rząd USA, jak i Pakistanu zaprzeczają samemu istnieniu Shamsi.

- Rozumiem, sir.

- Jutro otrzymasz pełny raport. Najważniejsze w tej misji będzie określenie tożsamości i miejsca pobytu watażki, w którego ręce wpadła ta broń. Wyjeżdżacie do Pakistanu w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Czy ekipa ci odpowiada?

- Chciałbym dołączyć do niej dwóch ludzi, obaj byłiby nieocenieni w tej misji.

- O kogo chodzi?

- Obaj to Amerykanie. Stokely Jones, były komandos SEAL, i niejaki Harry Brock, agent terenowy CIA.

- Widziałem oba te nazwiska w twoich aktach. Zgadzam się bez zastrzeżeń. Masz ich sprowadzić i masz do dyspozycji wszystko, czego potrzebujesz, żeby znaleźć tę broń, zneutralizować ją i dowiedzieć się, kto odpowiada za takie luki w systemie bezpieczeństwa.

- Zrobię co w mojej mocy.

- Wiem, Alex. I taka odpowiedź zawsze mi wystarczyła.

50.

Baza lotnicza Shamsi, Pakistan

Gigantyczny transportowy Hercules C-130 dotknął pasa o 3.15 nad ranem miejscowego czasu. Cztery potężne silniki wyły po włączeniu wstecznego ciągu. Pilot zahamował na tyle mocno, że dymiące opony zapiszczały jak ranne strzygi. C-130 zwykle potrzebuje pasa o długości tysiąca pięciuset metrów. Krótki pas w Shamsi, wykorzystywany głównie do wysyłania i przyjmowania bezałogowych Predatorów, nawet nie zbliżał się do tej długości. Amerykański pilot kapitan Alex Hufty aż napiął pasy bezpieczeństwa, widząc zbliżający się koniec pasa.

Hufty musiał jeszcze zmagać się z bocznym wiatrem wiejącym czterdzieści kilometrów na godzinę, co z całą pewnością podnosiło poziom adrenaliny w kokpicie. Błyskawicznie kończył mu się pas startowy.

- Kurwa - mruknął Hufty w uniwersalnym języku pilotów, używanym w sytuacji, kiedy brakuje im wysokości i szczęścia zarazem.

- Następny przystanek, piasek - usłyszał mruknięcie drugiego pilota. Robił, co mógł, żeby powstrzymać wielką maszynę, bo do końca betonowego pasa zostało mu jakieś piętnaście metrów. Samolot gwałtownie stanął, podskoczył raz czy dwa, zakołysał się, zadrzał i w końcu znieruchomiał.

W chłodnym brzuchu bestii Alex Hawke wstał, przeciągnął się i zebrał sprzęt, patrząc, jak kłapa ładowni opada na beton pasa. Tuż po starcie wziął dwie pigułki nasenne i, ku jego zaskoczeniu, zadziałały. Był zaskoczony, bo na dziesięciu tysiącach metrów tylko cienka piankowa karimata dzieliła go od lodowato zimnej aluminiowej podłogi.

- Panie i panowie - odezwał się Hawke, patrząc na twarze swojego zespołu - witamy w Pakistanie. Proszę ostrożnie wyjmować bagaż z pojemników nad głową, bowiem mógł się przesunąć w czasie lotu.

- Nieźle lądowanie - gderał Harry Brock, wstając. - Milusio.

Hawke spojrział na niego i zmusił się do uśmiechu.

- Harry, jeśli to lądowanie to najgorsza rzecz, jaka się nam zdarzy w tym zapomnianym przez Boga kraju, to osobiście pocałuję cię w tyłek w oknie wystawowym dowolnie wybranego domu handlowego.

- No co, kurwa, Alex? Tak tylko sobie mówię.

- Jeszcze jedno, Harry. Wiem, że twoje uwielbienie dla bardzo mocno nadużywanego słowa na „k” nie zna granic. Ale umówmy się. Nie będziesz go używał w obecności tej damy, dobrze? Na czas tej misji znajdź sobie jakieś inne słowo-przecinek.

- Na przykład jakie?

- Ot choćby „kurczę”. Też krótkie i też oznacza przekleństwo.

- Kurczę?

- Tak. Na przykład „Co jest, kurczę” - wyjaśnił Hawke.

- Albo „Kurczę mać, skurczysynu” - wtrącił się Stoke ze śmiechem.

- Właśnie. Spróbuj, dobrze, Harry? - zakończył Hawke.

Harry doskonale znał temperament Alexa Hawke'a, więc rozsądnie postanowił trzymać język za zębami po tej krótkiej dyskusji. Zamiast się kłócić, pomógł Sahirze podnieść sprzęt, a potem zarzucił sobie na ramię własny plecak. Brock i Sahira jako pierwsi zeszli po szerokiej klapie załadunkowej. Za nimi ruszyli Stokely Jones, Abdul Dakkon i sam Hawke.

Na pustyni było przenikliwie zimno, a białe gwiazdy w czerni nad górami wyglądały tak ostro, że można się było o nie skaleczyć. Cekał na nich konwój sześciu pakistańskich wozów wojskowych, w tym trzy ciężarówki pełne żołnierzy i transporter opancerzony. Wszystkie statyw szyku trzydzieści metrów dalej. Mocno uzbrojeni żołnierze pakistańskiej armii zdążyli już otoczyć C-130. Inni strzegli konwoju.

Terytorium Indian, pomyślał Hawke, patrząc na odległy łańcuch górski.

Zwalisty amerykański oficer w stopniu pułkownika i inny oficer, Pakistańczyk, szli przez pas ze strony wieży kontrolnej stojącej przy wielkim hangarze. W jasno oświetlonym wnętrzu Hawke dostrzegł dwa zgrabne myśliwce F-16. Piloci nazywali je „Żmijami”, bo przypominały te gady. Ale nie tylko - także na cześć kosmicznych myśliwców z serialu „Battlestar Galactica”. Technicy montowali pod skrzydłami myśliwców rozmaite rakiety, bomby i inne urządzenia. Kolejna ekipa przygotowywała do startu bezzałogowego predatora.

- Komandor Hawke? - odezwał się pytająco amerykański oficer.

- Ja jestem Hawke - powiedział Alex i podszedł do Amerykanina.

- Witam, komandorze. Jestem pułkownik Kevin Balfe, amerykańskie siły powietrzne. Jestem nieistniejącym dowódcą tej nieistniejącej bazy lotniczej. Ten dżentelmen obok to kapitan Mahmood Shah z pakistańskiej armii, który ma za zadanie przetransportować bezpiecznie pański zespół do kwatery w Islamabadzie przygotowanej przez pana Dakkona.

- Z największą przyjemnością, sir - odezwał się Shah. Hawke uściśnął dłonie obu oficerom.

- Sądząc po środkach transportu, kapitanie Shah, chyba nic nam nie grozi - powiedział Hawke, patrząc na konwój. Spodziewał się dwóch terenowych toyot land cruiser albo czegoś podobnego. Ale widać uznano inaczej.

- Zrobimy wszystko, żeby dostarczyć państwa bezpiecznie do celu, komandorze. Cały sprzęt komunikacyjny, prowiant, woda i broń zamówione przez MI-6 znajdują się w ostatniej ciężarówce. Ja i moi ludzie cieszymy się, że państwa tu widzimy. Zważywszy na okoliczności, oczywiście.

- Oczywiście.

- Jak wkrótce się pan przekona, komandorze Hawke, nie mamy już do czynienia z walką o chwiejne ideały. Teraz bez wątplenia toczy się walka o duszę Pakistanu. Rozumie pan?

- Rozumiem całkowicie, kapitanie - odparł Hawke.

- Będzie pan podróżował przez terytorium plemienia Zazi, komandorze - odezwał się pułkownik Balfe. - Ci ludzie odpowiadają za osiemdziesiąt procent ataków terrorystycznych w tym regionie. Pustynne oddziały Zazi atakują, od kiedy pod koniec lata zlikwidowaliśmy z predatora ich przywódcę, watażkę o imieniu Baitullah Mehsud.

Hawke zwrócił się do kapitana Shaha:

- Kapitanie, kiedy Baitullah Mehsud zginął, kto przejął zwierzchnictwo nad jego armiami i działalnością? Czy przypadkiem nie szejk Abu al-Rashad?

Shah był zdumiony.

- Skąd pan zna to nazwisko?

- Nieważne. Ale muszę znać odpowiedź na swoje pytanie.

- Szejk Abu al-Rashad jest dziś chyba najpotężniejszym człowiekiem w Pakistanie. Każdy przywódca talibów i Al-Ka-idy w naszym kraju podlega jego dowództwu. Jeśli upadnie rząd i kraj, to prosto w jego ręce.

- To wszystko, co chciałem wiedzieć. Dziękuję. - Hawke brał udział w walkach z terrorystami od tak dawna, że wiedział, iż przede wszystkim trzeba wiedzieć, kim jest wróg.

Kilka godzin później konwój toczył się przez bezkresną pustynię. Nagle opancerzony transporter, w którym jechali Hawke i jego ekipa,

zatrzymał się gwałtownie. Hawke siedział tuż poniżej poziomu dowódcy maszyny i za nim.

- Zdaje się, że usłyszałem wybuch. Co się stało? - zapytał Hawke.
- Chwileczkę - odpowiedział kierowca - mam już łączność w słuchawkach. To chyba brzmiało jak mina-pułapka.
- Kurczę - odezwał się Harry Brock.

Dwie albo trzy minuty później kierowca meldował:

- Komandorze, pierwszy pojazd z żołnierzami wpadł na minę. Dwaj nasi zginęli, czterech jest rannych. Mogło być o wiele gorzej. Kapitan Shah informuje mnie, że usunięto wrak, a żołnierze rozproszyli się w poszukiwaniu zamachowców z Zazi. Mamy jechać do celu, kiedy tylko da nam znać, że jest czysto.

- Czuję się jak w CNN - mruknął Harry.
- Chciałbyś - powiedział Stoke.

Przez kilka długich minut wszyscy milczeli, w końcu kierowca transportera powiedział:

- Nasi ludzie zlokalizowali na pustyni samochód, którym miał uciekać zamachowiec, i zgłosili jego położenie do bazy w Shamsi. Właśnie startuje stamtąd bezzałogowy samolot.

Sekundę czy dwie później transporter znów ruszył. Trzy godziny później wstało słońce. Jechali przez sam środek Islamabadu do hotelu, gdzie Abdul Dakkon zarezerwował dla każdego z nich pokój. Hawke zaczął uważać go za jednorękiego magika. W zasadzie nie było rzeczy, której by nie potrafił osiągnąć, nie było szczegółu, którego by nie rozważył, a na każde pytanie odpowiadał z wielkim uśmiechem: „Absolutnie, sir!”

- Co możesz mi powiedzieć o naszym hotelu? - zapytał Hawke Abdula.

- Pałac Pendżabu? Przede wszystkim, sir, nie jest to pałac.
- Nie? A co w takim razie?
- Holiday Inn, sir. Odnowiony w zeszłym roku, z nowym szyldem. Przepraszam, ale nie jestem w stanie zaproponować Marriotta, sir. To był jedyny czterogwiazdkowy hotel w Islamabadzie, ale został całkowicie zniszczony w wybuchu bomby podłożonej w ciężarówce.
- Pamiętam. W MI-6 pomyśleliśmy, że zamachowiec zamierzał wysadzić rezydencję prezydenta Asifa Ali Zadariego przecnicę

dalej, ale wystraszyły go kordony ochroniarzy, więc zamiast tego wjechał w Marriotta.

- I to słuszne wnioski, sir. Ale Pałac Pendżabu powoli przyciąga tę samą klientelę, nabiera tej samej atmosfery. Nie wiem, czy pamięta pan kafejkę Ricka w „Casablance”, sir. To mniej więcej tak wygląda. Neutralny teren dla mediów, amerykańskich dyplomatów, watażków, handlarzy narkotyków, sprzedawców broni jądrowej, technologii i pewnie paru osób, które pasują do wszystkich tych kategorii. W Pałacu Pendżabu głównym towarem jest informacja, sir. W Pakistanie informacja to władza. A władza to codzienna walka na śmierć i życie.

- Zdaje się, że powinniśmy trochę posiedzieć w barze - zauważył Harry.

- To nie taki zły pomysł, sir - odparł Abdul, wyglądając przez otwór na karabin. - Nie ma tu barów, ale są kafejki i restauracja. Można tu dostać na czarnym rynku whiskey w brązowych torbach. Zdaje się, że stajemy i przesiądziemy się do wynajętych samochodów. Jesteśmy już niedaleko Pałacu Pendżabu, jeszcze tylko kawalek. Jeśli nie będzie korków, to jakieś dziesięć minut.

Pałac Pendżabu był betonowym klockiem z lat siedemdziesiątych i z całą pewnością nie przypominał pałacu, myślał Hawke, wysiadając z samochodu przed wyjściem. Nie odbiegał od niezliczonych anonimowych hoteli „biznesowych” w każdej części świata. Jediną różnicą było to, że tu głównym biznesem był handel bronią i terroryzmem. Przed hotelem ustawiono blokady, ale prawdopodobnie nie byłyby one w stanie powstrzymać nawet nastolatka z ciężarówką pełną materiałów wybuchowych i samobójczymi zamiarami.

Zespół Hawke'a wyglądał dokładnie tak, jak powinien - garstka zmęczonych podróżą zachodnich dziennikarzy. Każdy miał na szyi zalaminowaną kartę z napisem „Press”. Każda z logo innego medium. CIA postarała się o wszystko: paszporty, prawa jazdy, gotówkę, a nawet ubrania, które mieli na sobie. Z dwóch wynajętych samochodów wyjęli cztery duże czarne nylonowe torby pełne broni i sprzętu dla każdego z nich.

Hotelowy portier, ewidentnie opłacany przez Abdula, natychmiast włożył torby na wózek. Następnie wraz z Abdulem zawieźli torby do tylnego wejścia. Dakkon wyjaśnił Hawke'owi, że chodzi o to, by

ominąć wykrywacz metali w obrotowych drzwiach do holu. Amerykanin miał osobiście dostarczyć „bagaż” do ich pokojów, korzystając ze służbowej windy przy kuchni.

- Strażnik przy tylnym wejściu to mój przyjaciel - powiedział Abdul z uśmiechem.

- Abdul Dakkon, mały przyjaciel całego świata - rzekł Hawke. Dakkon pojaśniał:

- *Kim* Rudyarda Kiplinga! Moja ulubiona książka!

- Moja też - powiedział Hawke, klepiąc nowego przyjaciela po plecach.

Kiedy wszyscy się zameldowali, Hawke zaproponował, żeby zejść się do pokojów, przespać, wziąć ciepły prysznic i spotkać się w restauracji o siódmej wieczorem. Brockowi powiedział, że chciałby jeszcze dogadać z nim kilka szczegółów i zaproponował szybkie śniadanie w kawiarni. Hawke instynktownie usiadł twarzą do wejścia do hotelu, by mieć na oku każdego, kto przejdzie przez drzwi.

W takich krajach trzeba się pilnować, zwłaszcza kiedy istnieje podejrzenie, że ktoś w macierzystej instytucji może sypać. Po kilku minutach przysiadł się do nich Abdul Dakkon, pokazując Hawke'owi uniesiony kiuk.

- Słuchaj, Harry - odezwał się Hawke, kiedy wszyscy zamówili kawę. - Nie wyglądasz najlepiej.

- Naprawdę?

- Wyglądasz anemicznie.

- Co to, kurczę, znaczy anemicznie?

- No cherlawo. Wyglądasz na chorego. Pokaż mi tę ranę od noża. Podnieś koszulę.

- Jezu - jęknął Harry, szarpiąc gwałtownie do góry swoją kolorową hawajską koszulę. Rana była wciąż opuchnięta i zaczerwieniona. Hawke naliczył jakieś dwadzieścia szwów gojących się normalnie.

- Harry, myślę, że wdało się zakażenie. Mogłeś się zakazić gronkowcem w izbie przyjęć, takie rzeczy się zdarzają.

- Gronkowiec? To chyba niedobrze?

- Ano nie. Można zejść, o ile nie dostanie się na czas silnych antybiotyków. Myślę, że powinniśmy cię jak najszybciej zawieźć na

izbę przyjęć. Abdul, gdzie jest najbliższy szpital? Byłem tam jakiś czas temu.

- Quaid-e-Azam? Szpital międzynarodowy?
- Tak, właśnie ten. Masz pod ręką swój samochód?
- Tak, sir. Stoi na hotelowym parkingu. Bak pełen, olej wlany i...
- Jedźmy - powiedział Hawke, rzucając na stolik pieniądze.

Był w połowie drogi przez hol, kiedy frontowymi drzwiami wszedł jakiś pakistański „gracz” z ważną świtą uzbrojonych po zęby ludzi. Wszyscy po prostu zignorowali głośne piszczenie wykrywacza metalu. Hawke się uśmiechnął. W Claridge's takich rzeczy się po prostu nie widuje.

- Jak spod igły, sir - opowiadał Abdul, zajeżdżając toyotą pod wejście do szpitala. - Najnowocześniejszy szpital w kraju. Jesteśmy z niego bardzo dumni.

- Teraz rozumiem dlaczego - przyznał Hawke.
- Przepraszam, sir, ale parking naziemny jest pełen. Skorzystamy z podziemnego garażu.

Abdul wyjechał z parkingu i objechał cały budynek, szukając wjazdu pod ziemię.

- Nie mogę znaleźć wjazdu, sir. Gdzieś tu musi być. - Był wyraźnie speszony.

- No pewnie - odezwał się Harry Brock z tylnego siedzenia. Hawke stwierdził:

- Abdul, może tu nie ma podziemnego garażu.
- Ależ nie, sir. Budowa miała ogromne opóźnienie. Czytałem o tym w gazetach. Chodziło właśnie o konstrukcję podziemnego garażu. O ściany nośne. Pamiętam dokładnie.

- W porządku, dostarczymy pana Brocka na izbę przyjęć, a potem znajdziemy jakieś miejsce. Harry, może tak być? Możemy cię wysadzić? Zaraz do ciebie przyjdziemy.

- Jasne, nie ma sprawy. Zaczynam się czuć naprawdę chory.

51.

Na jednym z najwyższych pięter głównego budynku znajduje się oddział dla VIP-ów - powiedział Abdul Dakkon. - Jeśli szejk Abu al-Rashad naprawdę jest tu pacjentem, to najpewniej znajdziemy go właśnie tam, sir.

- Dobrze. Tam zaczniemy. Podjedź, proszę, do głównego wejścia. Muszę zamienić kilka słów w recepcji, nim rozejrzemy się tu dokładniej. Zaczekaj tutaj, myślę, że nie zajmie mi to wiele czasu.

- Jasne, sir. Oczywiście. Nie ma problemu.

Hawke minął dwóch uzbrojonych ochroniarzy i wszedł przez obrotowe drzwi. W holu znajdował się kiosk i Alex kupił świeże wydanie „The International News”, podszedł do recepcji, pokazał swoją legitymację i zapytał o piętro dla VIP-ów. Recepcjonistka starannie obejrzała jego legitymację, podała mu numer piętra i skierowała do pojedynczej windy, przed którą stał kolejny uzbrojony strażnik.

Na górze drzwi otworzyły się do niewielkiej, ale niezwykle luksusowo urządzonej poczekalni. Nie było w niej praktycznie żywej duszy. Za półokrągłym biurkiem z czarnego granitu siedziała bardzo oficjalnie wyglądająca kobieta w średnim wieku. Ponura recepcjonistka o niezdrowej cerze nie wyglądała obiecująco. Czarne włosy miała ściągnięte mocno do tyłu w lekko przekrzywiony koński ogon. Groźna, myślał Hawke, próbując rozbroić ją uśmiechem.

- Słucham? - odezwała się, nim zdążył otworzyć usta i ją oczarować.

- Dzień dobry pani. Nazywam się lord Alexander Hawke. Przyjechałem na urlop z Londynu i chciałem wpaść i zamienić słówko ze starym znajomym. Zdaje się, że jest waszym pacjentem.

Bez słowa obróciła się do klawiatury komputera.

- Nazwisko pacjenta?

- Szejk Abu al-Rashad.

Wpisała nazwisko.

- Przykro mi, nie ma tu nikogo o takim nazwisku.

- Przepraszam, ale wydawało mi się, że prawie na pewno leży tu na piętrze dla VIP-ów - powiedział Hawke, zerkając na kamerę

monitoringu zamontowaną bez krępacji w rogu z kątem obrotu rzędu dziewięćdziesięciu stopni. Będzie musiał dostosować do niej swoje ruchy.

- Z pewnością by tak było gdyby był pacjentem tego szpitala. Ale nie jest.

- A więc go tu nie ma? Wie pani, jestem szczerze wstrząśnięty. A czy w ogóle był tu ostatnio? Jako pacjent oczywiście. Powiedziano mi, że jest mocno chory.

- Może pan powtórzyć swoje nazwisko?

- Hawke. Lord Hawke.

- Nazwisko „Hawke”, imię „Lord”? - Przeszła do kolejnego ekranu, żeby je wpisać.

- Zgadza się - odparł Hawke, nie próbując nawet jej poprawiać.

- Człowieka, o którego pan pyta, znają tu wszyscy, panie Lordzie Hawke. Dzięki jego wspaniałomyślnej szczodrości powstał budynek, w którym się pan znajduje. To wspaniały dar dla naszego narodu i jego ukochanego rodzinnego miasta.

- Naprawdę? Zbudował szpital? A to ci dopiero. Nigdy mi o tym nie wspominał, ale przecież skromność to jego drugie imię. Cóż, dziękuję za poświęcony czas, proszę pani. Muszę lecieć.

Nawet nie spojrzała na Hawke'a, kiedy zbierał się do wyjścia.

- Aha - odezwał się i przystanął, by na nią spojrzeć. - Jeszcze jedno. Nie mogę znaleźć podziemnego parkingu. Może mi pani powiedzieć gdzie to?

- Zamknięty, remont.

- No tak, rozumiem. A może mi pani przynajmniej powiedzieć, gdzie jest wejście? Nawet tego nie mogłem znaleźć.

- Też zamknięte z powodu remontu.

Hawke odwrócił się i wrócił do biurka.

- Wie pani, jakoś trudno mi uwierzyć w pani słowa. Widziałem plany, których używali architekci szejka podczas budowy. I było na nich wejście do podziemnego pomieszczenia. Jeśli zajrzy pani do gazety, to może porozmawiamy bardziej szczerze.

Położył jej na biurku złożony egzemplarz „The News”. Spojrzała na niego podejrzliwie i zapytała:

- Co jest w środku?

- Proszę zajrzeć, nie ugryzie.

Wzięła gazetę, otworzyła ją, a na biurko wypadła szara koperta wielkości zwykłego listu.

- Co to jest? - zapytała, podnosząc ją za róg i potrząsając.

Z radością zauważył, że ciekawość zdecydowanie wzięła górę.

- To, moja droga pani, jest pięćdziesiąt tysięcy dolarów w banknotach o niskich nominałach, wszystko w amerykańskiej walucie.

Rozejrzała się, czy są sami, i rozdarła kopertę. Gruby zwitek stu-dolarowych banknotów owinięty był szeroką czerwoną gumką. Rozglądając się nerwowo, przesunęła po nim palcem. Z niedowierzania oczy zrobiły jej się jak spodki. Z pewnością w życiu nie widziała takich pieniędzy. Mało kto widział. Ludzie zawsze dobrze na taki widok reagowali. W ciemnych oczach mimowolnie błysnęła chciwość. Więcej Hawke'owi nie było trzeba.

Bez ostrzeżenia błyskawicznie wyciągnął rękę nad biurkiem. Wyrwał jej gotówkę tak szybko, że aż odskoczyła do tyłu na fotelu z zaskoczenia.

- Wróćmy do tego tajemniczego podziemnego parkingu - powiedział i wsunął rulonik do kieszeni swojej wiatrówki.

- Tak? O co konkretnie chodzi?

- Chcę go zobaczyć. Chcę, żeby powiedziała mi pani, jak się tam dostać. A jeśli pani to zrobi i zobaczę go na własne oczy, wrócę tu i dam pani te pieniądze. Oczywiście jeśli przekonam się, że mnie pani okłamała albo zawiadomiła kogoś o moich pytaniach, nigdy pani nie zobaczy ani mnie, ani pieniędzy. Rozumiemy się?

- Tak.

- Proszę wziąć do ręki ołówek i naszkicować, gdzie jest wejście. Szybko, nim ktoś przyjdzie.

Rysując, opowiedziała mu nerwowym szeptem dość szczegółowo, gdzie mieści się wejście. Złożyła mapę w mały kwadracik i położyła na blacie.

- Będzie panu potrzebne także to - powiedziała, kładąc na biurku srebrną kartę do czytników elektronicznych. - Dalej stoją strażnicy. Będzie pan zdany na siebie.

- Bardzo dziękuję - odparł Hawke, odwrócił się i ruszył żwawo przez wyłożoną marmurem podłogę. Znów zatrzymał się w pół kroku i obejrzał się na nią. - Jeszcze coś, niech pani nawet nie myśli, żeby gdzieś dzwonić. Jeśli odezwie się pani do kogoś albo jeśli napotkam jakieś nieprzewidziane problemy, nigdy więcej nie zobaczy pani ani

pieniędzy, ani rodziny. Bo zginie pani. Jeśli nie ja, to moi ludzie na pewno odnajdą pani rodzinę. Za to jeśli będzie pani milczała, a wskazówki okażą się pomocne, dorzucę jeszcze dziesięć tysięcy dolarów. Rozumiemy się bez zastrzeżeń, szanowna pani? Wystarczy proste tak lub nie. Słucham.

- Tak.

Hawke przyglądał jej się uważnie. Mówiła prawdę.

- Dobrze. Miejmy nadzieję, że tak będzie. Dla pani własnego dobra.

Kiedy Hawke zjeżdżał windą, trybiki w mózgu szybko zaczęły się kręcić. Szejk stosował tę samą uświęconą tradycję, jaką Rada Wojskowa Hamasu przyjęła w czasie konfliktu z Izraelem w Gazie.

Dowódcy Hamasu wykorzystywali piwnice szpitala Shifa jako ośrodek łączności, centrum dowodzenia, miejsce wypłat pensji i dyskusji o strategiach wojennych. Szpital, największy w Gazie, wybrano po to, żeby nie wzięło ich na cel izraelskie wojsko, które wiedziało o tej kryjówce. Nie sposób było jednak jej zlikwidować bez bombardowania. Albo potężnego szturm z ziemi.

- Chodźmy po Harry'ego - powiedział Hawke, wsiadając do samochodu. - Ruszamy dzisiaj.

- Dowiedziałeś się, gdzie ukrywa się szejk?

- Tak. Zdaje się, że jest w kostnicy.

52.

Zespół uderzył tej samej nocy, dwie godziny przed świtem. Unieszkodliwili dwóch ochroniarzy stojących przed wejściem. Hawke postawił na zewnątrz Abdula Dakkona ze słuchawką i mikrofonem, jakie nosili strażnicy. Miał ich ostrzec, gdyby coś niepokojącego działo się przed wejściem do szpitala. Ubrany w taki sam mundur jak szpitalni ochroniarze stanął na warcie z karabinem Pak G3 w rękę. Brock doradził mu, żeby ustawił ogień na „full auto” i Dakkon tak właśnie zrobił. Dwaj nieprzytomni strażnicy, mocno związani i zakneblowani, leżeli w krzakach tuż za nim, cichutko jak trusie.

Hawke, Stokely, Sahira i Brock wchodzili do całkowicie pustego szpitalnego holu w różnych odstępach. Trzej mężczyźni mieli na sobie lekarskie fartuchy z prawdziwymi plakietkami z nazwiskiem i stetoskopy na szyjach. Pod tradycyjnym pakistańskim fartuchem szpitalnym każdy był uzbrojony po zęby: w broń automatyczną, granaty hukowe i dymne oraz dodatkowe magazynki z amunicją.

Hawke modlił się, żeby byli odpowiednio przygotowani. Ten atak i tak trudno było zaplanować, bo nikt nie miał najlepszego pojęcia, czego się spodziewać.

Sahira, ubrana skromnie jako muzułmańska pielęgniarka, siedziała teraz przy biurku w recepcji i miała tam pozostać przez czas całej operacji. O ile Hawke nie wyda jej nowego polecenia przez słuchawkę. Kod „Bum!” oznaczał, że zespół odkrył zaginiony ładunek jądrowy w podziemnym bunkrze i potrzebuje jej natychmiastowej oceny zagrożenia. Prawdziwa recepcjonistka została potraktowana tak samo jak ochroniarze na zewnątrz i leżała teraz grzecznie pod biurkiem u stóp Sahiry.

Sahira trzymała prawą rękę pod blatem.

Na jej kolanach leżał bardzo groźny pistolet. Harry Brock wręczył go jej w hotelu. Tak zwany „Sędzia” to rewolwer Taurus mogący strzelać albo z pocisków kaliber czterdzieści pięć albo z nabojów do strzelb kaliber czterysta dziesięć. Jej rewolwer był naładowany kulami ze śrutem. W niewielkich pomieszczeniach nie było groźniejszej broni od „Sędziego”.

Dając jej naładowaną broń, Brock powiedział:

- Pamiętaj, Sahiro, według islamskich bojowników miejsce muzułmańskiej kobiety jest tylko w domu męża. Albo w grobie. Nie wahaj się.

Dobra wiadomość była taka, że w Islamabadzie po dziesiątej wieczorem zwijano chodniki i zwykle o tej porze pod szpitalem nie było żywej duszy. Na razie szczęście im sprzyjało.

Hawke poprowadził swój zespół obok czterech błyszczących wind. Skręcił w prawo i wszedł w długi korytarz. Na końcu znajdowały się uchylne drzwi z nierdzewnej stali. Napis na górze głosił: „Kostnica. / Wstęp wzbroniony”.

Drażniący smród w wyłożonej zielonymi kafelkami kostnicy od razu dał się im we znaki. Kombinacja niezliczonych anonimowych

związków chemicznych z ciał, które się tu przewijały, prawie uniemożliwiała oddychanie. Hawke przypomniał sobie starą sztuczkę, by wetrzeć sobie pod nos maść mentolową Vapo-Rub, ale było na to już za późno. Przynajmniej w kostnicy było pusto, tak jak się spodziewał Hawke.

Szybko minęli rzędy lodówek ze stali nierdzewnej i przeszli na zaplecze, gdzie trzymano wszelkie odczynniki i narzędzia dla patomorfologów. Hawke szybko odnalazł czarną stalową płytę w ścianie, którą opisała mu recepcjonistka. Obok znajdował się czytnik kart. Przesunął srebrną kartę, którą mu dała, i drzwi się otworzyły.

W windzie zamiast przycisków znajdował się identyczny czytnik. Hawke ponownie przesunął kartę i poczuł, jakby wyskakiwał z butów - winda zaczęła szybko, ale łagodnie opadać. Jechała długo i Hawke wyczuł, że zjechali głęboko pod ziemię. Na tyle głęboko, że nie sposób byłoby tu wyrządzić szkody nawet bombami do wyburzania bunkrów.

Hawke wyjął z kabury na udzie swój pistolet SIG P226 Tactical i wprowadził kulę do komory. Pozostała dwójka zrobiła to samo. Wszyscy trzej mieli broń z trzycalowymi lufami, do których przykręcone były tłumiki. Wszyscy mężczyźni mieli też pod fartuchami kevlarowe ochraniacze.

Elektroniczne brzdęknięcie ogłosiło koniec podróży. Winda zatrzymała się łagodnie i drzwi otworzyły się do niewielkiego pomieszczenia z czterema ścianami z matowego białego szkła. Pod jedną ze ścian stało drewniane krzesło. Siedział w nim szczupły brodaty mężczyzna z bronią.

Samotny strażnik, wstrząśnięty ich pojawieniem się, podniósł AK i domagał się wyjaśnień, co robią trzej lekarze w chronionym obszarze.

Brock zalał go potokiem gwałtownych epitetów w urdu i po pasztuńsku. Warczał na strażnika coś bez ładu i składu, ale głośno. To wystarczyło, żeby na chwilę zbić go z tropu.

W tej samej chwili Hawke podniósł błyskawicznie pistolet i cichym strzałem wpakował ochroniarzowi kulę w prawe oko. Mężczyzna przewrócił się z krzesła na podłogę, buchając krwią z rany. Karabin szczęknął o podłogę z białego marmuru, a trzej mężczyźni wysiedli z windy.

- No dobra - odezwał się Harry Brock, dając nonszalancko krok nad martwym ochroniarzem i rozglądając się po pustym pomieszczeniu. - I co teraz? Żadnych drzwi, w ogóle nic. To ma być to? Centrala Imperium Zła?

- Gdzieś tu musi być - odparł Hawke, przesuując ręką po gładkim szkłe za krzesłem. Podszedł do ściany po prawej i powtórzył ruch.
- Stoke, sprawdź ścianę po swojej lewej.

Stoke wykonał polecenie.

- Daj sobie spokój. Tu jest - przerwał mu Hawke.

- Co jest? - zainteresował się Brock.

- Biometryczny skaner. Porównuje zapamiętane próbki z odciskami palców tego, kto chce wejść.

Hawke położył dłoń na ledwo widocznym urządzeniu i uruchomił je. Zielona linia przesunęła się po małym ekranie, skanując jego pięć palców. Urządzenie zamigało trzy razy na czerwono i się wyłączyło.

- Stokely, czy mógłbyś coś dla mnie zrobić? - zapytał Hawke. - Przynieś bliżej tego sztywniaka, dobrze?

- Widzisz? - odezwał się Stoke do Harry'ego, ciągnąc zmarłego strażnika w stronę Hawke'a. - Główka pracuje. Położymy łapę tego kolesia na skanerze. Kapujesz?

Stoke podniósł bezwładnego strażnika z podłogi, a Hawke chwycił go za prawy nadgarstek. Ostrożnie położył dłoń zmarłego płasko na ekranie skanera i przycisnął. Znow pojawił się zielony pasek. I znow pięć rozbłysków na czerwono.

- Cholera - mruknął Stoke i trzech mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Na prawym nadgarstku nosi zegarek - zauważył Hawke. - To mańkut. Założę się.

Hawke położył lewą rękę zmarłego na skanerze. Znow ruszył zielony pasek i nagle cała szklana ściana schowała się w podłodze.

- O to właśnie chodziło - powiedział Stoke, zaglądając w słabo oświetlony korytarz. Zza podwójnych drzwi na jego końcu wydobywało się światło. Hawke podniósł rękę, nakazując ciszę, i odezwał się spokojnym cichym głosem:

- Uwaga. Stajemy przed tymi drzwiami - zakomunikował. - Ja, Stoke, potem Harry. Zakładamy, że są zamknięte. Zakładamy, że

wróg będzie zza nich strzelał. Może są zaminowane. Cholera wie. Strzelę krótką serią w klamkę i otworzę je kopniakiem. Zrozumiano?

Dwaj pozostali pokiwali w milczeniu głowami.

- Kiedy tylko drzwi się otworzą, przyklękam na jedno kolano, a Stoke wrzuca granat hukowy, mocno, żeby nie mogli go odrzucić. Potem, Stoke, wrzuc jeden dymny i dwa odłamkowe. Będę cię osłaniał. Na koniec wycofujesz się pod ścianę. Granaty wybuchają, dają głosem ostrzeżenie „odłamkowy”. Jeśli zobaczą granaty rzucające z ich strony, krzyczę „granaty”. Podnosimy je i odrzucamy. Jasne?

- Jasne - odparł Stoke.

- Jasne - potwierdził Brock.

- Wchodzimy z bronią gotową do strzału. Pełen automat. Za progiem skaczę w lewo i neutralizuję najbliższe otoczenie. Stoke, wchodzisz za mną, stajesz obok i czyścisz sąsiedni sektor. Kiedy skończymy, krzyczę „następny”. Brock idzie na bok i zajmuje się środkowym sektorem. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Wchodzimy - zakomenderował Hawke głosem kipiącym od adrenaliny. - Gotowi, już.

Trzej mężczyźni szybko podbiegli do drzwi i stanęli obok jeden za drugim. Hawke strzelił krótką serią w klamkę, odsunął się i kopniakiem otworzył drzwi na oścież. Przyklękął na jedno kolano. Stoke wyjął zawleczkę granatu ogłuszającego i odbił go tak mocno od marmurowej podłogi, że podskoczył dwa razy, wpadając do pomieszczenia. Następnie wrzucił dwa granaty odłamkowe i jeden dymny. Rozpętało się prawdziwe piekło.

Niewielka grupa talibskich bojowników obsługiwała rząd monitorów wiszących na ścianie naprzeciwko. Hawke błyskawicznie zlustrował salę dowodzenia od prawej do lewej. Dwa granaty odłamkowe zabiły albo poważnie obezwładniły część mężczyzn. Ale Hawke dojrzał sześciu żołnierzy, którzy grali w karty przy stoliku daleko po prawej. Wszyscy byli ogłuszeni, ale szybko się otrząsnęli. Na widok Hawke'a, a potem Stokely'ego i Brocka chwycili broń i przewrócili ciężki drewniany stół, by się schronić. Podnieśli swoje AK i zaczęły strzelać na ślepo.

- Po prawej - powiedział Hawke, widząc, jak dwaj mężczyźni wyskakują zza stołu i szukają schronienia w pobliskiej wnęce. - Daj im popalić, Harry, i schowaj się.

Brock strzelił długą serią i dwaj przeciwnicy w jednej chwili przestali strzelać i cokolwiek czuć. Harry tymczasem wyczuł hałas i ruch za swoimi plecami. Obrócił się i zobaczył, że w pomieszczeniu otwierają się drzwi kolejnej windy. W środku stali trzej mężczyźni w lekarskich fartuchach z bronią automatyczną w rękę.

- Co jest, k...? - odezwał się Harry i zaczął strzelać do kabiny windy, nim drzwi zdążyły się otworzyć do końca. Dwóch z trójki talibów w środku nie miało szansy. Trzeci wyszedł bez szwanku i przygwoździł Harry'ego, który skulił się za bardzo małym drewnianym krzesłem.

- Chodź tu, kurczę twoja mać! - ryknął Stoke do ostatniego mężczyzny w windzie, odwracając jego uwagę od Brocka. - Rzucam fatwę na twoje wstrętne dupsko!

Talib popatrzył rozszerzonymi oczyma na ziejącą czarną lufę broni Stoke'a i był to ostatni widok w jego życiu. Stoke dostrzegł znak Hawke'a i wpadł za nim do pomieszczenia.

Stoke i Hawke ukryli się za wielkim blokiem marmuru, który służył za biurko. Kule wyrywały fragmenty kamienia. Hawke szarpnęła Stoke'a za ramię, zrobił gest wyciągania zawlecзки z granatu i wyjął jeden zza swojego paska. Wyciągnął zawleczkę i pozwolił, by granat odłamkowy „dojrzał” mu w rękę, nim rzuci go za przewrócony stolik.

Stoke skrzywił się, widząc, co zrobił Hawke. „Dojrzewanie” było szalenie niebezpieczne, bo zapalnikom granatów odłamkowych nie można było do końca ufać. Z drugiej strony w ten sposób wróg nie miał już szansy odrzucić granatu.

- Raz... dwa... i... - powiedział, a potem wstał i rzucił granat na drugi koniec pomieszczenia, gdzie upadł tuż za stolikiem. Nim wybuchł, rzucili się na ziemię, zatykając uszy. Hałas i wstrząs od wybuchu były ogłuszające w zamkniętym pomieszczeniu. Hawke spojrział na Stoke'a. - Gotów?

- Chodźmy.

Plecami do siebie wyszli zza bezpiecznego bloku marmuru, omiatając lufami teren po przeciwnych stronach, gotowi zabić wszystko, co

się ruszy. Ale nic się nie ruszało. Za resztkami ciężkiego drewnianego stołu leżały cztery poszatkowane ciała.

- Znajdź kogoś żywego, kto mówi po angielsku - krzyknął Hawke. - Jeśli się da.

- Tutaj - odezwał się Brock.

Hawke i Stoke zbliżyli się do jednego ze strażników. Ranny w pierś. Hawke ukląkł przy nim.

- Nic ci nie będzie. W końcu jesteś w szpitalu. Zaraz ściągniemy tu lekarzy. Muszę się dowiedzieć, gdzie jest Abu al-Rashad. Czy to któryś z obecnych tutaj?

- Neee-e - zaświszczal talib. Z okolic rany leciało mu powietrze.

- Gdzie teraz jest?

- W biurze.

- Gdzie ma biuro?

- Piętro wyżej. Tamtą windą. Proszę, pomóżcie mi. Czy ja umieram?

- Przystaliśmy, żeby zneutralizować dwie głowice, które szejka zabrał z magazynu jądrowego w Islamabadzie. Gdzie one są? Gdzieś tutaj?

- Nie-nie wiem...

- Mogę w każdej chwili wezwać pomoc przez radio. Mam kazać lekarzom się pospieszyć?

- Boże, proszę. Proszę, dajcie lekarza...

- Jest jakieś inne wyjście z tego kompleksu? Jakaś droga ucieczki dla szejka?

- Ukryta winda. Opada z sufitu za jego biurkiem. Jedzie do drzwi w kostnicy.

- Dokąd by uciekł? Jak się porusza?

- W worku na zwłoki. Wszędzie.

- Wielki Boże.

- Proszę, pomóżcie mi. Nie chcę umierać.

- Nikt nie chce - powiedział Hawke i wstał. Spojrzał na Stoke'a i Brocka. - Piętro wyżej. Skorzystamy z windy z tymi trzema sztywnymi pasażerami.

Po dziesięciu minutach przekonali się, że ten kto tam był, uciekł w pośpiechu. Hawke zobaczył na biurku w gabinecie szejka trzy niedojedzone dania i trzy kubki jeszcze ciepłej herbaty.

Spojrzał w sufit i dostrzegł niewyraźny zarys kwadratu wielkości niewielkiej windy.

- Sahiro - odezwał się do mikrofonu. - Czy ktoś wychodził ze szpitala?

- Nie. Ale jakieś dziesięć minut temu przed wejście zajechała karetka Czerwonego Półksiężycy. Dwaj sanitariusze zabrali z kostnicy zwłoki i wrzucili je do samochodu. Znaleźliście głowice?

- Nie. Mamy tu rannego taliba. Zadzwoń na centralę i poproś, żeby do kostnicy przyszedł zespół reanimacyjny. Spotkamy się tam i zaprowadzimy ich do podziemnego bunkra szejka.

- Jasne.

- A potem wyjdź przed szpital i powiedz Abdulowi, żeby zadzwonił do amerykańskiego ambasadora. Niech poda moje nazwisko. Poproś, żeby opisał naszą sytuację. Opisz mu też jak najdokładniej tę karetkę i dwóch sanitariuszy. I powiedz, w którą stronę pojechali.

- Tylko mi nie mów, że...

- Że wyjechał w worku na zwłoki? Tak właśnie zrobił. Czy sanitariusze coś nieśli?

- Nie. Zaraz... Cholera!

- Co?

- Alex, na półce pod wózkiem leżała jedna z takich ONZ-owskich trumien z falistego aluminium. Pomyślałam nawet, że to trochę dziwne, ale...

- Sahiro, w tej karetce jest broń jądrowa. Oczywiście nie głowica raketowa, bo nie zmieściliby jej do takiej trumny. To musi być coś walizkowego. Powiedz Abdulowi, żeby jego znajomy z CIA rozstawił punkty kontrolne, a Pakistańczycy niech ruszą wojskowe śmigłowce. Musimy znaleźć tę karetkę, nim wyjedzie z miasta.

- Już się robi - powiedziała Sahira i wypadła przed szpital.

Hawke spojrzał na Brocka, a Harry zobaczył czerwone błyskawice gniewu w zwykle lodowato błękitnych oczach.

- Harry, powiedz coś na „k”. I to już. To twoja jedyna szansa.

Harry zaklął.

Tak głośno, że wystarczyło za trzech.

53.

Muhammad Imran ruszył ostro ambulansiem Czerwonego Półksiężycy spod szpitala. Personel i pacjenci nie mieli pojęcia, jaki krwawy dramat rozegrał się właśnie głęboko w podziemiach budynku. Skręcił w pierwszy wjazd do największego w mieście parku. W gęsto zalesionym terenie, przed świtem, nic nie będzie jeździć, nie będzie też na pewno żadnych spacerowiczów.

Z powodu niekończących się wyłączeń prądu większość miasta tonęła w ciemnościach. O ile ktoś nie mieszkał w dzielnicy, gdzie miał za sąsiada jakiegoś ważnego ministra albo emerytowanego generała, musiał się liczyć z wyłączeniem prądu co najmniej dwa razy dziennie. Imran uważał, że założyciel Pakistanu, ukochany Jinnah, przewraca się pewnie w grobie, widząc, co się dzieje w jego państwie. Wrzenie, by określić to łagodnie. Ale jego pracodawca, al-Rashad, wkrótce naprawi wszelkie krzywdy, co do tego nie miał wątpliwości.

Prowadził wielką białą karetkę z ogromną szybkością wijącą się drogą w stronę starożytnej kamiennej bramy po drugiej stronie miasta. Ten łuk był kiedyś wjazdem do „starego miasta”. Tylko tyle pozostało z pierwotnej osady Saidpur.

Uliczki były tu wąskie i kręte, z wieloma ślepyimi zaułkami. Szanse, że ktoś będzie go tu śledził, były nikłe. Bał się tylko policyjnych albo wojskowych śmigłowców ze szperaczami. Ale na razie nie widział niczego na niebie ani we wstecznym lusterku.

Muhammad Imran trochę niepokoił się, wiedząc, że ma w karetkce, oprócz swego potężnego mocodawcy w worku na zwłoki, dwie łatwe do uzbrojenia i zdetonowania bomby atomowe. Ale zawsze był optymistą. Przeznaczenie czekało na niego może tej, a może następnej nocy. Szejk przygarnął go, uwiódł młodego agenta ISI jak imam-hipnotyzer, zauroczył go jak niezliczone tysiące innych mużmańskich dżihadystów.

Od ukończenia budowy szpitala wraz ze swoim stałym towarzyszem Alim stale ćwiczyli starannie zaplanowane i drobiazgowo sprawdzane sposoby ucieczki szejka. Ale po raz pierwszy musieli się

naprawdę ewakuować ze szpitala w Islamabadzie. Wyglądało to praktycznie tak samo, choć poziom zagrożenia wzrósł znacznie, zwłaszcza że na utrzymywany w tajemnicy bunkier przypuszczono zaciekle zbrojny atak.

Wygasił światła i skręcił ostro w prawo, w wąską, zaciemnioną ślepą uliczkę. W zaułku stał sypiący się czteropiętrowy magazyn, pusty od paru dekad, z zaciemnionymi oknami. Nie widział ich, ale wiedział, że na dachu siedzieli snajperzy. Obserwowali go z gotowymi do strzału granatnikami, na wypadek gdyby karetkę Czerwonego Półksiężycy ktoś śledził. Niewidoczne elektryczne oko włączyło podnoszoną bramę do garażu.

Imran wjechał w przepastną przestrzeń, a brama gładko zamknęła się za karetką.

Jarzeniówki włączyły się automatycznie, wydobywając z mroku unikalną kolekcję starych i nowych karetek szejka, nowiutkiego srebrnego rolls-royce'a phantoma i czerwone ferrari Italia. Wszystkimi pojazdami opiekował się zespół doskonałych mechaników. Zawsze miały pełne zbiorniki i były gotowe do drogi w każdej chwili.

Imran i Ali wysiedli z auta, podeszli do tylnych drzwi, otworzyli je i wyciągnęli wózek z leżącym na nim człowiekiem. Ali odsunął zamek w worku, a uśmiechnięty al-Rashad usiadł i roześmiał się donośnie.

- Wyprowadziliśmy drani w pole, prawda, bracia? Amerykanów. Albo Brytyjczyków. Albo jednych i drugich. Jak, na Allacha, nas znaleźli?

- Ktoś pana zdradził - Ali wyraził na głos swoje przekonanie.

Imran się uśmiechnął.

- Ale faktycznie, wyprowadziliśmy ich w pole. Którym wozem mamy jechać dalej na północ, w góry pod Chitral, panie?

- Wozem bojowym.

- Niewykluczone, że dziś się przyda, panie. Mądry i roztropny wybór.

Wozem bojowym ochrzcił tę mechaniczną bestię przebiegły Anglik znany jako Smith. Kilka lat temu sam jeździł tym wielkim, mocno opancerzonym karawanem Cadillac landau z 1958 roku ważącym prawie trzy tony. Oryginalny silnik V-8 wymieniono na motor V-12 firmy Mercedes-Benz o pojemności pięć i pół litra. Wyposażony w dwie turbosprężarki silnik miał moc pięciuset koni mechanicznych.

Cadillac miał ten sam napęd co współczesne limuzyny maybach i rozwijał prędkość blisko dwieście czterdzieści kilometrów na godzinę. Od zera do setki rozpędzał się w niespełna dwadzieścia sekund. Wyposażono go także w napęd na cztery koła i pneumatyczne zawieszenie range rovera do jazdy po bezdrożach.

Znacznie usprawniono go także pod innymi względami. Uzbrojenie stanowiły podwójne działka maszynowe kaliber 50 zamontowane za fałszywym chromowanym grillem z plastiku. Do tego dwa otwory dla strzelców po obu bokach i szerokie tylne drzwi, które otwierały się w dół, tworząc niezwykle stabilną platformę bojową.

Na tej platformie można było łatwo zamontować działko Dillon M134 na obrotowym stojaku.

Ten najnowocześniejszy, lekki sześciolufowy obrotowy karabin maszynowy strzelał w tempie trzech tysięcy pocisków na minutę. W mgnieniu oka mógł przeważać losy dowolnej potyczki. Szejk lubił powtarzać bliskim znajomym, że właśnie takie działko zamontowane jest w wieżyczce w specjalnym chevroletcie suburban amerykańskiej Secret Service. „Wiecie, tym, który zawsze snuje się za prezydentką limuzyną jak stażystka w rui” - mawiał.

Działko maszynowe zamontowane w karawanie było ulubioną bronią szejka i nie mógł się doczekać, kiedy ją wypróbuje na prawdziwym wrogu. Być może dziś moje marzenie się spełni, pomyślał, drzemiąc w kombi połykającym kilometry z szumem wielkich opon.

Imran nie jechał zbyt szybko i początkowo nie włączał reflektorów karawanu. Dojechawszy bez żadnej kontroli do głównej drogi na północ, włączył światła i dodał gazu. Jechał szybko, ale nie za szybko, by nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi. Przed sobą miał długą podróż bardzo kiepskimi drogami, pnącymi się setki metrów w górę, z Islamabadu do niezdobytej górskiej fortecy pod Chitral w górach na północy Pakistanu.

Tajna górska kryjówka o nazwie Wazizabad istniała od wieków. Kilometry tuneli i potężne jaskinie skrywające broń i nowoczesny sprzęt telekomunikacyjny mieściły się w miejscu, które było areną jednej z najbardziej dotkliwych porażek w historii brytyjskiej armii.

W 1838 roku armia dwudziestu jeden tysięcy brytyjskich i hinduskich żołnierzy wyruszyła z Pendżabu, by opanować część

Afganistanu. Cztery lata później, wracająca z podkulonym ogonem szesnastotysięczna brytyjska armia została zaskoczona na otwartym, zmarzniętym gruncie i w zdradliwych wąwozach i przełęczach nad rzeką Kabul. W tej rzezi z brytyjskiej armii zostało ledwie czterdziestu mężczyzn. Dobijali ich wojownicy z plemienia Ghilzai. Ocalał jeden Brytyjczyk - puścili go wolno tylko z jednego powodu: by opowiedział, co się dzieje, gdy obca armia próbuje podbić Afganistan.

Wazizabad znajdował się na jednym z najwyższych szczytów w całym Pakistanie, ale dokładnego miejsca fortecy szejka nikt nie znał, choć wielu jego wrogów próbowało do niej dotrzeć.

Tymczasem ten wielki człowiek leżał bezpiecznie w swoim ocieplanym worku, w którym miał też co nieco do jedzenia i dużą butelkę wody z długą rurką, by się nie odwoźnić w miarę wjeżdżania w coraz wyższe partie gór. Nawet nie pisnął z tyłu karawanu. Imran doszedł do wniosku, że wypił jedną ze swych specjalnych mikstur i szybko zasnął, jak to miał w zwyczaju podczas długich podróży. Kto mógł go winić? To, że śpi tuż przy dwóch bombach masowej zagłady, pewnie nawet nie przyszło mu do głowy, a już na pewno nie spędzało mu snu z powiek.

Godzinę później oddalili się od cywilizacji na tyle, że mogli nie martwić się policyjnymi blokadami. Imran obawiał się teraz tylko amerykańskich bezzałogowych samolotów i ich działek oraz śmigłowców wypatrujących niezwyklego pojazdu pędzącego na północny wschód w góry na pograniczu z Afganistanem. Gdyby wóz bojowy zwrócił uwagę Predatora albo C130 Spectre krążącego na wysokości sześciu kilometrów, cała ich trójka zakończyłaby żywot w potężnej kuli ognia.

Pięć minut później wjechał ze sporą szybkością na strome wzgórze. W dole zobaczył barykadę pakistańskiej armii. Wokół betonowej bariery stało około pięćdziesięciu mocno uzbrojonych żołnierzy z wymierzonymi w nich światłami. Wieżyczki uzbrojonych transporterów M-113 z ciężkimi działkami obracały się w ich kierunku.

Imran wcisnął guzik interkomu i poinformował szejka al-Rashada, żeby przygotował się na kontrolę wojska i ewentualne przeszukanie. Zwolnił, dając czas Alemu, by wcisnął się za przedni fotel i czekał w gotowości przy bocznym otworze z półautomatyczną strzelbą. Pod

kocem na siedzeniu obok Imran miał najbardziej śmiertelnością broń szturmową na świecie: automatyczny karabin AA-12 zdolny strzelać pociskami kaliber 12 albo pociskami odłamkowymi w tempie trzystu kul na minutę. Dobrze się z nim czuł w bezpośrednich starciach.

Niecałe sto metrów przed barierką Imran zwolnił karawan tak, że ledwo się toczył. W końcu stanął, zgodnie ze starą zasadą „niech to oni podejda co ciebie”. Dwudziestu żołnierzy z bronią gotową do strzału zbliżyło się do auta.

- Idą. Niecałe pięćdziesiąt metrów - powiedział przez samochodowy interkom. - Gotowi?

- Gotowi - odpowiedzieli dwaj mężczyźni z tyłu niemal jednym głosem.

- Rozdzielają się, po dziesięciu na każdą stronę. Otaczają samochód. Jeden zbliża się od lewej, do okna od strony kierowcy. Ali, osłaniaj mnie od lewej, ja obstawiam prawą stronę.

- Załatwione.

Imran otworzył okno i się uśmiechnął.

- Witam, panie sierżancie - odezwał się. - W czym mogę pomóc?

Mężczyzna wycelował broń prosto w twarz Imrana. Pod lufą miał zamontowaną silną latarkę Surefire, którą oświetlał sobie przedni fotel.

- Opuścić lewe okno - rozkazał sierżant.

- Oczywiście, sir - odparł Imran i wykonał polecenie.

- Ilu was jedzie?

- Tylko ja, sir. I zwłoki z tyłu.

- Dokąd?

- Miasto Takim - odparł Imran, wymieniając swoją rodzinną wioskę. - Pogrzeb o świcie.

Do lewego okna podeszli dwaj żołnierze i zajrzeli do wnętrza z bronią gotową do strzału.

- Przeszukamy ten samochód. Trzymaj ręce tak, żebym je widział, i wysiadaj. Ale już.

- Oczywiście. Proszę nie strzelać. Wysiadam.

Na te słowa Ali otworzył ogień przez boczny otwór. Najpierw skosił sierżanta stojącego przy oknie Imrana. Imran równocześnie podniósł automatyczny karabin i strzelił krótką serią przez lewe okno.

Żołnierze na zewnątrz po prostu zniknęli. Następnie wcisnął gaz do dechy i za pomocą spustu na kierownicy odpalił podwójne karabiny maszynowe kaliber 50 z przodu w stronę żołnierzy blokujących mu drogę.

Żołnierze odpowiedzieli ogniem, ale widok uzbrojonego karawanu zaskoczył wielu z nich i zginęli pod gradem kul. Imran skręcił ostro w prawo i zjechał z drogi. Nie zdejmując nogi z gazu, pędził po piasku, by ominąć blokadę. Dwa opancerzone transportery otworzyły ogień, ale ich karabiny nie były w stanie zagrozić opancerzonemu wozowi bojowemu i jego kuloodpornym szybom. Objechał blokadę, nie przerywając ognia z przednich karabinów, kosząc grupkę żołnierzy stojących mu na drodze do utwardzonej szosy.

Zostawiając za sobą chmurę piasku, wóz bojowy wtoczył się z rykiem z powrotem na drogę.

Po obu jej stronach czekało na niego sześć dwuosobowych ekip na potężnych motocyklach z przyczepami. Imran desperacko dodał gazu, a ci zaczęli go ścigać. Potężne wojskowe motocykle Kawasaki miały dość mocy, by dogonić znacznie cięższego cadillaca.

Żołnierze z przyczep zaczęli strzelać z karabinów maszynowych do uciekającego karawanu. Od uzbrojonej tylnej kłapy odbijały się setki pocisków.

- Teraz zaczną strzelać w opony! - krzyknął Imran. - Sir, opuszczam platformę! Jest pan gotów?

- Już, już, już! - krzyczał al-Rashad i Imran wiedział, że jest gotów jak diabli.

Platforma opuszczała się hydraulicznie, dzięki czemu szejk miał czas, żeby chwycić broń, położyć palce na spuście i wśliznąć się na fotel, który obracał się z całym działkiem. Kiedy tylko platforma otworzyła się do końca, zaczął strzelać z działka. Obrotowe lufy pluły ciągłymi smugami płynnego ognia. Ponieważ wciąż było ciemno, widział dokładnie, gdzie strzela. Robił to metodycznie - najpierw skierował grad ołowiu na motocykl po lewej. Praktycznie zmiotło go z drogi, potoczył się na pustynię i wybuchł. Widząc, co zrobiła ta niezwykła broń z pierwszą maszyną, pozostali motocykliści wcisnęli hamulce i zaczęli zawracać.

Grad kul błyskawicznie dopadł także i ich. Trzy kolejne maszyny potoczyły się na pustynię obok drogi i strzeliły kulami ognia

sięgającymi piętnaście metrów w górę, kiedy wybuchły im zbiorniki z paliwem.

Imran zamknął platformę i wycisnął, co się dało z cadillaca, pnąc się po wąskiej drodze w zimne mroczne góry. Teraz, kiedy ich zidentyfikowano, w każdej chwili wraz ze wschodem słońca można było się spodziewać bezzałogowych samolotów i śmigłowców Cobra z działkami. Przeciw takim wrogom ich broń będzie bezużyteczna. Muhammad Imran wiedział, że teraz muszą ścigać się z czasem. Musiał wygrać ten wyścig i pędził krętą drogą jak szatan.

Czterdzieści minut później nieco poobijany wóz bojowy, nie natkawszy żadnych wrogów z powietrza, wtoczył się do ukrytej jaskini wydrążonej w zboczu góry przez samego szejka ponad trzydzieści lat temu.

W jej wnętrzu czekała niewielka armia doświadczonych bojowników talibskich i z Al-Kaidy, z kałasznikowami na ramionach i wieloma wspaniałymi końmi krwi arabskiej. Szejk, chroniony przez swoich ludzi, miał dokończyć podróż do tajnej fortecy na końskim grzbiecie, a cenny ładunek miały ponieść najzwyczajniejsze muły pociągowe.

Ładunek stanowiła niewielka aluminiowa walizka o rozmiarach sześćdziesiąt na czterdzieści pięć centymetrów zawierająca materiał rozszczepialny. Walizka ważyła dokładnie sto czterdzieści pięć kilogramów. W środku tej miniaturowej bomby atomowej znajdowały się piętnastocentymetrowy detonator i trzy aluminiowe kanistry wielkości puszek do kawy. W każdym z nich leżała krytyczna masa plutonu (albo U-235) o maksymalnej gęstości w normalnych warunkach. Aby go zdetonować, wystarczyło połączyć wszystkie trzy kanistry i włączyć zapalnik czasowy.

Albo skorzystać z detonatora radiowego.

Wybuch tej niewielkiej walizeczki niesionej przez muła byłby w stanie zniszczyć cały londyński West End. Ludzie w bezpośredniej bliskości z pewnością zginęliby od siły samego wybuchu. Ci, którzy by przeżyli, w ciągu kilku następnych tygodni zmarliby od napromieniowania. Ci z dalszych terenów mogliby cierpieć na chorobę popromienną jeszcze przez wiele dni i tygodni. Część z nich mogłaby nawet z niej nie wyjść.

Al-Rashad uśmiechnął się na myśl o ironii - oto patrzył, jak niewiarygodnie wyrafinowana broń jądrowa zostaje wyjęta z aluminiowej trumny i przeniesiona na grzbiet czekającego muła. Wkładając swoje stare pustynne ubranie - wełnianą tunikę na workowate spodnie - nie mógł się nadziwić, jak absurdalne stało się życie w tym nowym wieku. Broń wartą miliony dolarów i tak trzeba było wozić po niedostępnych górach na grzbietach mułów. A zwłoki nagle ożywały i pozbawiały życia żywych.

Włożył na siebie ciężki niedźwiedzi kozuch, podarunek od dawno zmarłego radzieckiego pułkownika, i wskoczył na siodło. Pożegnał się z Muhammadem Imranem i Alim, którzy usiedli z tyłu w białej toyocie hilux, by wrócić do Islamabadu.

Godzinę później jechał w czubie swej karawany brodatych wojowników, witając z radością coraz cieplejsze słońce zwiastujące kolejny dzień w raj. Najlepiej czuł się, kiedy wracał w góry, siedząc wyprostowany w siodle. Na zmęczonej wojną twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Wazizabad.

To był jego dom, jego osławiona forteca, jego azyl. Nim słońce skończy wędrówkę po niebie, zaróżowiając ostatnimi promieniami jego ukochane góry, zdąży wrócić po raz kolejny do miejsca, które od lat było dla niego synonimem prawdziwego świata.

54.

Hawke pochylał się nad ciężko rannym oficerem pakistańskiej armii w ciasnej i zakrwawionej tylnej części wojskowego ambulansu. Oficer wciąż znajdował się na miejscu, gdzie dokonano koszmarnego rzezi wielu jego żołnierzy. Hawke spojrzął na lekarza obok, a ten z grobową miną pokręcił głową. Oficer ewidentnie umierał, ale jego ostatnie słowa miały ogromne znaczenie.

Głos mu się łamał i rwał, kiedy próbował odpowiedzieć na pytania Hawke'a. Kiedy Alex i jego zespół dowiedzieli się o dziwnym ataku karetki na wojskową blokadę, natychmiast zostali zawiezieni na

miejsce nieoznakowanym śmigłowcem Black Hawk należącym do CIA. Nie miał żadnego dowodu, że karetką jechał szejk al-Rashad, ale też nie mógł sobie wyobrazić, by mógł to być ktokolwiek inny.

- A więc, kapitanie, czarny karawan, a nie biała karetka, tak?
- T... tak... czarny... mocno opancerzony.
- I uzbrojony, jak pan mówił. Czego mam się spodziewać?
- Działka kaliber pięćdziesiąt z przodu i... przepraszam, ale nie mogę... jakiś cekaem zamontowany z tyłu... ale... nie musicie się tym martwić.

- A to dlaczego?
- Ta droga na północ. Prowadzi jeszcze... przez jakieś siedemdziesiąt kilometrów. Dalej... pustynia... a potem góry.

- Jak będzie dalej jechał?
- Konno... to jedyny sposób na wąskie górskie szlaki. Potrzebujecie koni, wielbłądów, mułów, komandorze Hawke. Koni zaprawionych w boju... i bojowników. Doświadczonych pustynnych bojowników. Wszędzie wokół oddziały talibów, wrócili po ofensywie armii z 2008 roku.

- Dokąd może jechać?
- Na północny zachód. Do prowincji. Gdzieś w górach, w pobliżu wioski Chitral. Ma... ma tam centrum dowodzenia. Nigdy nie mogliśmy go znaleźć. Tam są niekończące się góry... setki jaskiń i tuneli... wszystkie wyglądają podobnie.

Lekarz położył rękę na ramieniu Hawke'a.

- Przepraszam, ale muszę to zakończyć. Nie wygląda to najlepiej, ale może... nigdy nic nie wiadomo. Kapitan potrzebuje dużo sił.

- Rozumiem to doskonale. Zadam tylko jeszcze jedno pytanie. Dobrze?

- Tak, tylko jedno.

Hawke pochylił się jeszcze niżej nad mężczyzną, przysuwając usta w pobliże resztek lewego ucha.

- Słyszał pan kiedyś o miejscu zwanym Wazizabad, kapitanie?
- T... tak... oczywiście... mityczna nazwa jednej z najwyższych gór... ale nie wiem, czy da pan radę... wejść...

Hawke wolał nie pytać dlaczego. Podziękował lekarzowi i pozwolił mu wrócić do pracy.

- Komandorze - usłyszał szept żołnierza, kiedy wysiadał już z karetki.

- Tak, kapitanie?

- Niech pan znajdzie... porucznika Amira... jeśli jeszcze żyje, pomoże panu. Zna te góry. Może zebrać małą armię twardych bojowników... ludzi, którzy od lat walczą z talibami. Allah z tobą, bracie.

Hawke popędził do czekającego śmigłowca, pochylił głowę i szybko usiadł na pustym miejscu obok pilota. Zapiął pasy, włożył kask i przysunął sobie mikrofon.

- Słyszałeś kiedyś o Wazizabad? - zapytał Hawke młodego amerykańskiego pilota.

- Nie, sir.

- Ja słyszałem - odezwał się Stoke, pochylając się do przodu i ściskając Hawke'a za ramię. - Tak się składa, że mam nawet mapę, szefie.

Organizacja wyprawy do północnych prowincji zajęła Hawke'owi i jego nowemu, niezbędnemu wręcz współpracownikowi Abdulowi Dakkonowi pełne trzy dni. Na każde trudne pytanie logistyczne Abdul odpowiadał niezmiennie „Absolutnie, sir!” albo „Już zrobione, sir!” Mimo to Hawke czuł presję czasu. Wciąż spoglądał na zegarek, wiedząc, że z każdą chwilą coraz bardziej stygnie ślad po zaginionej broni jądrowej.

W pospiesznych przygotowaniach całej operacji pomagał mu także porucznik Amir, niewysoki, przystojny mężczyzna, doświadczony i odznaczany licznymi orderami żołnierz, który został poważnie ranny w ataku z karawanu, ale wydawał się odporny na ból. Wielu jego podwładnych zginęło w strzelaninie na blokadzie i Amir chciał za wszelką cenę odplacić talibskim bojownikom. Pomagał więc Hawke'owi zorganizować zbrojną wyprawę do północnych prowincji.

Po wielu zwykle długich konsultacjach z „C” w Londynie, odbywanych przez telefon satelitarny, zespół Hawke'a wybrał na punkt wypadowy najbardziej wysunięty na północ posterunek pakistańskiej armii, Wanabah - starożytną osadę z kamieni i gliny, mocno strzeżoną przed częstymi atakami talibów. Stamtąd mieli ruszyć dalej konno. Posterunek mieścił się na samym skraju pustyni, którą musieli

pokonać. Dalej czekał ich przejazd przez dolinę i wspinaczka w góry.

„C”, po konsultacjach z brytyjskim wojskiem w sąsiednim Afganistanie i ze swoimi odpowiednikami w CIA i Pentagonie, chciał najpierw zlikwidować cel za pomocą bombowców B-52 i bezzałogowych samolotów startujących z tajnej bazy Shamsi. Był przekonany, że samotna wyprawa Hawke'a i jego niewielkiej grupy bojowników na tereny opanowane przez talibów, gdzie zginęły już tysiące ludzi, jest zbyt niebezpieczna. „Rozbij tę górę w pył, a ty wracaj bezpiecznie do domu, Alex” - mówił sir David Trulove.

Hawke cierpliwie tłumaczył, że nie mają jeszcze konkretnego celu, jedynie niekończące się łańcuchy górskie. W każdej z tych gór mógł się mieścić bunkier dowodzenia Abu al-Rashada, Lwa Pendżabu. Nie sposób po prostu potwierdzić konkretnego i aktualnego miejsca pobytu samego al-Rashada czy skradzionych bomb atomowych, nie robiąc osobiście rekonesansu.

Hawke przypomniał także, że w tych górach mieści się wiele wiosek zamieszkałych przez rolników i pasterzy, którzy nie mają nic wspólnego z talibami. Ich zabicia przez amerykańskie bombowce nie dałoby się obronić z moralnego ani politycznego punktu widzenia, zwłaszcza w napiętym geopolitycznym klimacie wokół tego regionu i tej wojny.

„C” zdołał wydusić z Hawke'a obietnicę, że kiedy tylko potwierdzi obecność al-Rashada i zdobędzie dokładne namiary GPS na twierdzę wroga, wezwie lotnictwo i pozwoli amerykańskim bombowcom dokończyć robotę. Hawke nie miał wyjścia i musiał się zgodzić. W końcu usłyszał rozkaz.

Zbierano sprzęt satelitarny, amunicję, prowiant i wodę, które miały trafić na grzbiety mułów, a jednocześnie uczestnicy wyprawy odbywali błyskawiczne kursy. Harry Brock szkolił bojowników, jak używać amerykańskiego karabinu szturmowego M4 w bezpośredniej walce. Tymczasem Amir i Abdul Dakkon każdą minutę wolnego czasu poświęcali na lekcje jazdy konnej dla uczestników wyprawy.

Sahira, jak się okazało, przez całe życie jeździła konno. Bez trudu panowała nad płochliwymi rumakami, potomkami koni, na jakich Dżyngis-chan ruszył na podbój świata z Mongolii. Ale wielbłądy, jak

się szybko przekonała, wymagały zupełnie innych umiejętności. Najpierw trzeba było nauczyć się znosić te wstrętne, śmierdzące, pierdzące bestie.

Amir, który zrzucił wojskowy mundur i poprosił, by zwracać się do niego pseudonimem Patoo, pomagał Sahirze oswoić się z wielbłędami. Wprawdzie mówiła, że już do nich przywykła, ale w głębi ducha była przekonana, że żaden człowiek nie jest w stanie przywyknąć do wielbłąda i vice versa.

Patoo zauważył jednak, że Sahira nie ma w zwyczaju narzekać. Dzięki temu nieco mniej niepokoiła go perspektywa zabierania kobiety głęboko na terytorium wroga. Rozmawiał o tym z Hawkiem na osobności. Hawke rozumiał jego obawy, ale wyjaśnił, że Sahira będzie niezbędna, kiedy znajdą dwie skradzione bomby jądrowe.

Patoo przyznał mu rację, ale spojrzawszy Hawke'owi prosto w oczy i powiedział bez ogródek, że jeśli Sahira z nimi pojedzie, nie można pod żadnym pozorem pozwolić, by talibowie pojмали ją żywcem.

- Czy rozumie pan, co to może oznaczać, komandorze Hawke? - mówił Patoo. - Jaki ma pan obowiązek, gdyby doszło do najgorszego?

Hawke patrzył długo na niego, zwlekając z odpowiedzią.

- Poruczniku, mało kto z żyjących ludzi rozumie to lepiej ode mnie.

Hawke także miał świadomość, że w najgorszym wypadku będzie musiał własnoręcznie zabić Sahirę, by nie oddać jej żywej w ręce talibów. Patoo miał rację. Niewyobrażalnie okrutna śmierć Sahiry z rąk tych zwierząt była nie do pomyślenia. Wojna. Porzucił to piekło i próbował popełnić samobójstwo z powodu wszechogarniającego bólu. Teraz znów go dopadła i poczuł na sobie jej ciężkie brzemię. Dusilo go tak bardzo, że trzeba było się z niego po prostu otrząsnąć i skupić na zadaniu, które miał do wykonania.

Stokely Jones zdążył ochrzcić ich niewielki oddział zwiadowczy: Rat Patrol. Wyjaśnił Alexowi, że to na cześć jakiegoś cholernego amerykańskiego serialu z lat sześćdziesiątych. Trzech jankesów i jeden brytol z karabinami maszynowymi wałęsali się w dżipach po pustyni, dając popalić słynnym Afrika Korps feldmarszałka Rommla.

Brock podchwycił tę nazwę i szybko zaczęli jej używać wszyscy.

Stokely Jones nigdy w życiu nie siedział na końskim grzbiecie i widać było, że mu się to nie uśmiecha. Hawke patrzył na to z uśmiechem. Myśl, że w końcu spotkał przeciwnika większego i silniejszego od siebie, doprowadzała Stoke'a do białej gorączki.

- Patrz, jak na mnie łypie - mówił do Pato, trzymającego wodze wielkiego czarnego araba, który prychał, szarpał się i uderzał kopytem w piach. - Ten koń mnie nie lubi, a ja też za nim nie przepadam. Pato, myślisz, że w uczciwej walce mógłbym skopać koniowi tyłek?

- Nie.

- No dobra, miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie - westchnął Stoke, wkładając buta w strzemień. - Nie chciałbym być na miejscu tego sukinsyna, jeśli mnie wkurzy.

- Panie Jones, widzi pan te ledwo widoczne góry za pustynią? - zapytał Pato. - Mają kilka tysięcy metrów wysokości. Wieje tam mroźny wiatr, oblodzone półki skalne mają czasem tylko metr szerokości. Chciałbyś tam iść pieszo, bracie?

Stoke dosiadł cholernego konia.

Godzinę później, kiedy gwałtownie się ochłodziło i zachodzące słońce rozświetlało niebo czerwonymi błyskami, Stokely i Harry Brock ścigali się po pustyni, po nawianych przez wiatr wydmach. Przeklinali i śmiali się, galopując na złamanie karku wokół wojskowego posterunku. Hawke podniósł wzrok znad broni, którą czyścił, i dojrzał ich przez otwarte okno. Uśmiechnął się. Drużyna się zgrywała.

Na wieczór siwowłosi pakistańscy bojownicy, którzy mieli im towarzyszyć, przygotowywali wielką ucztę przy ognisku w centrum obozu. Wygląd tych sprawdzonych w boju mężczyzn dodawał Hawke'owi otuchy. Twardo walczyli z talibami już od dawna, bijąc się o każdy dom w strategicznych miastach i wioskach.

Pato i jego koledzy byli weteranami tych okrutnych walk. Pierwszego wieczoru przy kolacji opowiadał Hawke'owi:

- Sir, każda walka uliczna była wtedy jak bójka na pięści w budce telefonicznej.

O świcie niewielka armia pod wodzą Alexa Hawke'a miała wsiąść na wierzchowce, wyjechać przez masywną drewnianą bramę

posterunku i rozpocząć podróż przez pustynię w stronę gór majających na horyzoncie.

- Jedzcie, pijcie i bawcie się, bo jutro ruszamy w dal - powiedział Hawke pod nosem, przypominając sobie stare angielskie powiedzenie, po czym wrócił do czyszczenia swego szturmowego karabinu M4 szczoteczką do zębów.

W tej samej chwili inny Anglik kończył swą podróż jakieś siedemdziesiąt kilometrów na północ od miejsca pobytu Hawke'a. Wraz ze swoim poganiaczem wielbłądów jechali z gór. Jego koń potykał się i ślizgał na skalnych półkach, gdzie jeden błędny ruch mógł oznaczać śmiertelny upadek z kilku tysięcy metrów.

Góra, z której zjechał, znana była pod nazwą Wazizabad na długo, nim wynaleziono pismo.

Smith wracał z tej góry wiele razy i w znacznie gorszych warunkach, więc myśli o śmierci nie zaprzętały mu przesadnie głowy. A konkretnie nie zaprzętały mu jej myśli o własnej śmierci. Za to myśl o śmierci innych rozgrzewała mu zwoje w mózgu do białej gorączki. Żył tylko nią.

Smith, hedonista z krwi i kości, lubił od czasu do czasu poczuć stały grunt pod nogami, ciepło na niższych wysokościach i cudowne promienie zachodzącego słońca na policzkach. Jechał w stronę pustyni przez przełęcz tak wąskie, że trudno się było czasem przez nie przecisnąć. W czasie pierwszej wojny angielsko-afgańskiej w 1838 roku Brytyjczycy przeprowadzili przez te same przełęcz dwudziestojednotysięczną armię na rzeź w Afganistanie.

Czuł na sobie mnóstwo wścibskich oczu podpatrujących go z rozmaitych szczelin i zza skał, szacujących jego ewentualny majątek.

Pocieszał się tym, że z pewnością nikt nie wzięby go za bogatego Anglika. Jeśli już, przypominał współczesnego Lawrence'a z Arabii. Jechał wyprostowany w siodle, odziany od stóp do głów w zwiewne białe szaty i koce. Na głowie miał czerwono-biały szal w kratkę zawinięty w coś w rodzaju turbanu.

Na szczycie był krótko. Odbył w istocie coś w rodzaju szczytu z al-Rashadem i jednym z jego wysokich rangą ludzi. Przejechał najwyższe szczyty Hindukuszu, żeby na własne oczy przekonać się, że wszystko jest gotowe do najważniejszego ataku w jego życiu.

Nadszedł czas, żeby zadać ostateczny, śmiertelny cios w samo serce brytyjskiej monarchii. I na własne oczy musiał zobaczyć ludzi, sprzęt i ostateczne plany oraz poznać człowieka, na którego barkach spocznie odpowiedzialność za akcję, w której nie było miejsca na porażkę.

Pół roku wcześniej zapłacił swemu dawnemu towarzyszowi Lwu Pendzabu niemałą sumę pięciu milionów dolarów. Pieniądze pochodziły z tajnych, nieksięgowanych kont w Banku Anglii, do których miał dostęp. Złote monety przeniesiono do skarbcza małego rodzinnego banku w szwajcarskiej Bazylei. Za te pieniądze pozyskał usługi niejakiego pułkownika Zazi, drugiego najważniejszego watażki w świecie al-Rashada, i jego oddanej drużyny trzydziestu młodych komandosów, których pułkownik szkolił tu w górach przez długie sześć miesięcy. Zazi i jego ludzie mieli być najważniejszym elementem jego kolejnej operacji. Napatrzył się dość, by mieć pewność, że będzie to element niezawodny.

Obejrzał się na wielbłąda niosącego prowiant w sakwach przywiązanych do grzbietu i się uśmiechnął. Choć liczył sobie już trochę lat, jego wciąż młodzieńcza twarz płonęła ogniem, który mógłby przerazić kogoś postronnego. Ogień w jego wnętrzu płonął mocno podsycany czystym złem. Był coraz bliżej realizacji postanowionego dawno temu planu. Wiedział, że czasu ma niewiele, że lont jego mściwego życia szybko się dopala, więc spał swego wierzchowca.

Wysoko nad piaskami pustyni czarne niebo rozświetlały białe gwiazdy. Przyspieszył tempa, popędzając swego wielbłądnika.

Miał spotkanie w Samarze i był już nieco spóźniony.

W oddali majaczył ledwo widoczny nieoznakowany pas startowy na pustyni, na którym z tej odległości widać było czarną sylwetkę z innego świata. W gwiezdny blasku błyszcząca elegancka i złowieszcza maszyna z innej planety. Dwa pomarańczowe owale z tyłu bestii jarzyły się od płomieni buchających z dwóch silników rolls-royce'a BR710. Kiedy podjechał bliżej, zobaczył w całej okazałości znajomą sylwetkę gulfstreama V.

Pomalowany na czarno lśnił w blasku gwiazd. Nie miał żadnych oznaczeń, a okna zaczerniono. Lubił nazywać go samolotem linii Air Incognito. Jeśli ktoś dobrze się wsłuchał, nawet z tej odległości mógł rozpoznać cichy szum dwóch potężnych silników.

Czuł, że podróż jego życia dobiega końca i zbliża się godzina prawdziwej zemsty.

Z kadłuba opadły drzwi-schodki. Anglik jechał konno po czarnym pasie do czekającego samolotu. Po trapie zeszli dwaj mężczyźni w czarnych kombinezonach, uzbrojeni na wypadek ewentualnego ataku. Zajęli pozycje po obu stronach schodków i omiatali lufami teren wokół. Gulfstream V był łakomym kąskiem i trzeba było się mieć na baczności.

Smith zsiadł z konia i oddał wodze wielbłądnikowi. Następnie skierował się w stronę otwartych drzwi samolotu, gdzie w środku czekało dwóch kolejnych ludzi. Smith machnął do nich.

- Panowie, zajmijcie się moim bagażem, proszę.

W końcu Smith wyjął spod pledów, którymi był owinięty, skórzaną sakiewkę z grubym zwitkiem pakistańskich rupii. Wielbłądnik przyjął ten hojny dar, wsiadł na wierzchowca i w mgnieniu oka zniknął w mroku pustyni.

Anglik szybko wsiadł na pokład, a dwaj uzbrojeni mężczyźni poszli za nim. Smith usiadł w ulubionym skórzanym wygodnym fotelu po prawej stronie samolotu i skinieniem głowy powitał śliczną stewardesę, która zapięła mu pasy.

- Czy coś panu przynieść?

- Może poduszkę i koc. Jestem zmęczony - odparł. - Prześpię się.

- Gotów do odlotu, sir?

- Nawet nie masz pojęcia jak bardzo, kochanie.

Kilka minut później dwa silniki na ogonie ryknęły i smukły czarny samolot szarpnął do przodu z pełną mocą, wciskając Anglika głęboko w fotel, by nagle zerwać się w nocne niebo. Wzbijał się ostro w górę, po czym ostro skręcił w lewo.

Leciał na zachód.

Dwadzieścia cztery godziny później Anglik zadzwonił na telefon satelitarny szejka al-Rashada.

- Halo, bracie - odezwał się Smith. - Chcę cię tylko poinformować, że doleciałem bezpiecznie.

- Bracie, dzwonis z bezpiecznej linii?

Smith się roześmiał.

- Tak, z całą pewnością. To chyba najbezpieczniejsza linia w całym świecie.

- To dobrze. Czym jeszcze mogę ci służyć?

- To ja pragnę oddać ci przysługę. Dzwonię z ostrzeżeniem. Po pierwsze, czy nadal masz ten bagaż z Islamabadu?

- Tak. Za kilka dni spodziewam się kuriera. Tak jak rozmawialiśmy, przesmugluje go do brzucha samego Wielkiego Szatana. Bomba zostanie zdetonowana w centrum wybranej amerykańskiej metropolii tak, by osiągnąć jak największy efekt. Myślę, że będzie to wstrząs dla tego śmiesznego narodu niewiernych, tak zadufanego w sobie i tak żałośnie słabego.

Smith się roześmiał.

- Pobudka, że tak powiem.

- Tak, bracie. Ale wspomniałeś o jakimś ostrzeżeniu.

- Tak, dzwonię, żeby ostrzec cię przed człowiekiem, który zmusił cię do pospiesznego opuszczenia szpitala w Islamabadzie. W tej chwili jedzie konno przez północną pustynię z niewielką armią mocno uzbrojonych bojowników w stronę gór. Jest ich około trzydziestu. Jedzie do ciebie.

- Wie, gdzie jestem?

- Obawiam się, że tak.

- Dokładnie?

- Tak.

- W takim razie czym prędzej muszę przygotować komitet powitalny dla tego natrętnego gada. Dopilnujemy, żeby spotkało go gorące przyjęcie w Wazizabad.

- Bracie, posłuchaj mnie uważnie. Nie lekceważ tego człowieka. Nazywa się Alex Hawke, jest z MI-6. To jeden z najskuteczniejszych i najgroźniejszych specjalistów od walki z terroryzmem na Zachodzie. Rosjanie, Chińczycy i Kubańczycy stawali z nim oko w oko i gorzko tego żalowali. Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że to najgroźniejszy człowiek na ziemi. Ci, którzy go nie doceniali, drogo za to zapłacili, większość z nich swoim życiem.

- Rozumiem. A zatem podwoję strażę i zachowam szczególną ostrożność. Mam w rękawie kilka asów. Jestem ci głęboko wdzięczny za to ostrzeżenie, bracie. Pokój z tobą.

- I z tobą.

55.

Rat Patrol wyruszył o świcie. Pustynne powietrze było mroźne, ale orzeźwiająca. Hawke jechał na kasztanowym rumaku na czele swojej armii. Broń miał w skórzanej kaburze po prawej stronie siodła. Z jakiegoś powodu w nocy Pato o ozdobił czoło jego wierzchowca szkarłatnym pomponem, nadając mu bardziej bojowy wygląd. Hawke nazwał konia „Kopenhaga”, na cześć wspaniałego kasztanowego rumaka, który poniósł Wellingtona do zwycięstwa pod Waterloo.

Za Hawkiem jechał jego zaufany adiutant Abdul „Absolutnie!” Dakkon, a dalej Sahira. Za nią pędził Stokely Jones na wielkim białym koniu, którego nazwał „Śnieżka”, choć imię to kiepsko pasowało do zwierzęcia, które stale próbowało gryźć ludzi i inne konie.

Poprzedniej nocy Hawke polecił Sahirze, by przez całą podróż po pustyni trzymała się między nim a Stokelym. Położona wysoko pustynna dolina uważana była wciąż za jedno z najmniejbezpiecznych miejsc na ziemi. Ale amerykańskie samoloty bezzałogowe sprawiły, że była też groźna dla wrogich bojowników talibskich i z Al-Kaidy.

Na to przynajmniej liczyli.

Poza religijnym wzmożeniem powstańcami kierowało jedno: zemsta. Niemal wszyscy talibowie byli etnicznymi Pasztunami, którzy żyją według odwiecznego kodeksu zwanego Pasztunwali. Jedną z jego najsurowszych reguł jest zemsta w myśl zasady oko za oko. Większość talibów straciła w wojnie wielu krewnych. Wielu trafiło do więzień albo zostało upokorzonych przeszukaniem wojsk koalicji w ich domach. Większość szuka teraz zemsty na tych, którzy zadali ból ich rodzinom i je upokorzyli.

- Chcę umrzeć w dżihadzie - usłyszał kiedyś w Iraku Hawke od jednego z bojowników. - A nie jako schorowany starzec okryty w domu pleciem.

Za Stokelym jechała główna grupa około trzydziestu zaprawionych w walce bojowników pod komendą Pato. Dalej galopowały liczne wielbłądy i juczne muły obciążone wielkimi sakwami z bronią,

butelkami wody, amunicją, sprzętem komunikacyjnym, prowiantem i innymi niezbędnymi zapasami.

Karawanę zamykał Harry Brock, który wybrał sobie do towarzysstwa najbardziej wytrawnych pustynnych bojowników. Wszyscy mieli krótkofalówki i dostali polecenie od Hawke'a, by natychmiast zgłaszać każde, choćby trochę niepokojące zdarzenie. Harry, dzięki Bogu, zachowywał się przyzwoicie. Stoke wytłumaczył mu:

- Szefie, proszę poczekać. Prędzej czy później zaczniesz być albo bardzo wkurzony, albo bardzo znudzony. Jedno z dwojga.

Na razie jednak Brock był wzorem obywatelskich cnót, a nawet wzorem żołnierza.

Hawke powierzył Harry'emu i jego piątce ludzi rolę grasantów. To oni mieli odłączać się i odpierać wszelkie ataki niewielkich grup talibów albo bojowników Al-Kaidy, trzymając ich z dala od głównej karawany.

Hawke doskonale wiedział, że na pograniczu Pakistanu i Afganistanu walczy wiele grup pod wodzą rozmaitych watażków. Ciągłe zmieniali strony, ilekroć ich drużyna zdawała się przegrywać. Ale potyczki w tych dolinach były zwykle bratobójcze, między różnymi przywódcami talibów. Przeważnie jednak wróg był zajęty odpieraniem ataków pakistańskiej armii albo zaciekłych bojówek antytalibskich.

Odziana świadomie w łańchmany grupa pod jego wodzą raczej nie powinna wzbudzić nadmiernej ekscytacji u talibów. Ludzie Hawke'a narzucili na kamizelki kuloodporne beduińskie szaty. A przynajmniej liczył, że takie sprawiają wrażenie. Dzięki dowódcy amerykańskiej bazy w Shamsi grupa była potężnie uzbrojona na wypadek ataku. Każdy z ludzi Hawke'a miał karabin szturmowy M4A1, po który mógł łatwo sięgnąć do kabury przy siodle.

Ta nowoczesna broń potrafiła wystrzelić od siedmiuset do dziewięciuset pięćdziesięciu pocisków na minutę. Można ją było wyposażać w granatnik M203, celownik laserowy, celownik kolimatorowy i noktowizor. Ponieważ piasek dostawał się wszędzie, każdy dostał chusteczki dla niemowląt do przecierania amunicji, by nie zaszły brudem, który mógłby zablokować karabin.

Po mniej więcej godzinie jazdy, kiedy długa karawana bez przeszkód dotarła do szerokiej i spienionej rzeki, Pato zaserwował

wszystkim przez radio kawałek spontanicznej poezji. Jak na tak niewielkiego mężczyznę, miał donośny, głęboki i dźwięczny głos:

- Działo po prawej, działo po lewej, działo naprzeciwko. Spadli jak grom, szturmując pod gradem kul, niezłomnie pędzili prosto w Szczęki Śmierci, w Piekielną Górę... było ich sześciuset - zaintonował Patoos.

W eterze zapadła długa cisza.

- Dziękuję, Patoos. Szczęki Śmierci. Tak, to było motywujące i bardzo inspirujące - odezwał się w końcu Brock głosem ociekającym sarkazmem.

- Przestraszyłeś się, Harry? - odparł zaraz Stoke.

- Tylko ciut. Dajcie mi szansę, żeby załatwić paru talibskich palatuchów, którzy na to zasłużą, i od razu poczuję się lepiej.

- To jesteś przestraszony czy tylko tak trochę?

- Kolego, powiem ci tak. Teraz nie wsunąłbyś nawet szpilki przez mój zwieracz.

- No tak, trzęsiesz się jak osika i tyle...

- Od teraz wszyscy twarze na kłódkę - przerwał im Hawke. - Cisza w eterze, chyba że dzieje się coś ważnego. Wydawało mi się, że to jasne.

Jechali w milczeniu, słusznie skarceni.

Pierwszy dzień podróży minął bez istotniejszych wydarzeń. Minęli wiele ruin, glinianych chat i opuszczonych wiosek. Przejeżdżając przez kępki figowców, wystraszyli parę antylop, które szybko czmychnęły i zniknęły z pola widzenia. Ale później pustynia zaskoczyła ich czymś naprawdę dziwnym.

Okolo piątej po południu trafili na niewielki, poorany kulami brytyjski fort, sądząc po wyglądzie z XIX wieku. Zapomniany posterunek pojawił się po prawej stronie. Fort miał kształt gwiazdy, chylił się ku ruinie, ale wciąż jeszcze trwał. O dziwo, ze szczeliny w budynku pośrodku sączyła się smużka szarego dymu.

Hawke podniósł rękę, dając znak, by się zatrzymali, i wziął do ręki krótkofalówkę.

- Stoke, Brock i Patoos. Zsiądźcie z koni. Zajrzyjcie, co tam się dzieje. Abdul, zostań z Sahirą. Strzelaj do każdego, kto wam zagrozi.

Najpierw zobaczyli poobijaną białą toyotę land cruiser zaparkowaną pod dziwnym kątem po drugiej stronie budynku. Nad tylnym kołem samochodu widać było równą linię dziur po kulach. Takimi pojazdami poruszali się po pustyni talibowie. Nie oznaczało to, rzecz jasna, że w środku muszą być talibowie, ale też nie wykluczało ich obecności.

- Panowie, uwaga - odezwał się cicho Hawke. - Obstawiamy wejście. Za mną. Stoke, przygotuj granat rozbłyskowy. Idziemy.

Z bronią gotową do strzału po cichu podeszli do wejścia.

Nie było tu drzwi, tylko łukowate sklepienie. Weszli ostrożnie, przygotowani na wszystko - poza tym, co tam zastali.

Pośrodku głównego pomieszczenia w wiekowym budynku dogasało palenisko, z którego wił się dym aż do sufitu. Na rożnie wisiały zwęglone resztki mięsa, z którego jeszcze kapał tłuszcz.

W każdym rogu leżał wymięty mężczyzna. Wszyscy oddychali, ale spali jak zabici. Każdy tulił w objęciach albo miał na kolanach AK-47. Wszędzie unosił się ostry zapach haszyszku i przypalanej baraniny. Na kamiennej posadzce obok stała pusta litrowa butelka niebieskiego jonniego walkera. Obok niedojezona barania noga i dzbanek z wodą.

- Szefie, nieźłą bibkę sobie tu urządzili ci cnotliwi wojownicy - powiedział Stoke, ostrożnie zbierając broń, tak by ich nie pobudzić.

Hawke się odezwał:

- Obudź tego wielkiego, Patoo. Chluśnij na niego wodą.

Patoo podniósł dzbanek i wylał jego zawartość na twarz największego z czwórki śpiących. Otrząsnął się, zatrzepotał powiekami i popatrzył w zdumieniu na stojącego nad nim człowieka z pustym dzbankiem w ręku. Kiedy sięgnął w miejsce, gdzie leżał jego AK, Patoo wyciągnął z kabury na udzie swój pistolet kaliber 9 milimetrów i przycisnął go mężczyźnie do czoła.

- Uspokój się - powiedział do niego najpierw w urdu, a potem po pendzabsku.

- Zapytaj go, co tu robi - polecił Hawke.

Patoo zadał pytanie, a mężczyzna coś odwarknął.

- Sir, każe mi iść i się masturbować - wyjaśnił Patoo z przeproszącą miną.

- A to co? - zdziwił się Stoke i podniósł zakrwawioną wojskową koszulę ze sterty podobnych ubrań rozrzuconych na kamiennych schodach. - Wygląda jak brytyjskie mundury. Trzy albo cztery. I brytyjska broń.

Hawke wziął od niego koszulę i przyjrzał się naszywce na rękawie.

- Brytyjscy marines, trzecia brygada komandosów - oznajmił. - Działają w prowincji Helmand wzdłuż afgańskiej granicy. To znaczy, że ci tutaj zabili czterech naszych i zabrali im mundury i broń. Sukinsyny.

- Powiedziałbym nawet, że to męczennicy, którzy przedarli się przez pakistańską granicę i planują samobójczy atak na jakiś brytyjski posterunek w Afganistanie - odezwał się Brock, podnosząc wysoko kamizelkę z materiałami wybuchowymi. - Harakiri. Szefie, znalazłem tu torbę pełną fałszywych dokumentów. I jeszcze cztery takie wybuchowe kamizelki. Ci kretyni mieli wrócić do Afganistanu z misją, tak sobie myślę. Chcieli wrócić i wysadzić siebie i paru Brytyjczyków, ale najpierw postanowili się urznąć w trupa.

- Harry, w takim razie spełnij ich życzenie - powiedział Hawke, z niesmakiem patrząc na wykrzywioną w nienawiści twarz wielkiego taliba. Obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

- To znaczy?

- Powiedziałeś, że chcieli urznąć się w trupa, Harry, więc...

- Spoko - odparł Harry Brock, a Hawke wyszedł z fortu w stronę swojego konia.

Cztery krótkie serie z automatu rozbrzmiały echem w forcie. Brock, Jones i Pato z ponurymi minami wyszli na zewnątrz i wsiedli na konie.

- Załatwione - rzucił Brock do Hawke'a, nim usiadł w siodle. Hawke patrzył prosto przed siebie, w dal. Nie pochwalał strzelania do nieuzbrojonych ludzi. Podobnie jak nie pochwalał wysadzania w powietrze niczego niepodejrzewających brytyjskich żołnierzy. To wojna. Nie zabawa.

- Dobrze - odparł Hawke.

Jechali dalej w ciemność. Prosto w Szczęki Śmierci.

Rat Patrol spał tej nocy pod rozgwieżdżonym niebem. Nie zmarzli dzięki trzyczęściowym wojskowym śpiworom chroniącym nawet przed czterdziestostopniowym mrozem. Na nocleg wybrali miejsce za potężną wygiętą w łuk wydumą. Ogromna góra zapewniała ochronę przed wyjąłym wiatrem i kłującym piaskiem, który nie dałby nikomu zasnąć. Chroniła też konie, wielbłądy i muły.

Hawke polecił grasantom Brocka i Patoo otoczyć tymczasowy obóz ochronnym kręgiem. Siedmiu ludzi wykopało płytkie dołki strzeleckie w piachu i ustawiło swoje karabiny na trójnogach. Kiedy byli gotowi, Hawke osobiście dwa razy obszedł teren przed snem. Sprawdził też, czy konie, wielbłądy i muły są bezpiecznie przywiązane w jednym miejscu. Obóz daleki był od doskonałości, ale w tych warunkach nic lepszego nie byli w stanie zrobić.

Alex Hawke leżał na plecach z rękoma pod głową i patrzył na wyraźne gwiazdozbiory. Myślał, co ich czeka, i podświadomie obliczał szanse przeżycia. Wciąż dźwięczały mu słowa „C” o tym, na jakie niebezpieczeństwo się naraża, choćby nie wiem jak mocno starał się je zagłuszyć. Obecność kobiety cywila i na dodatek kobiety, na której mu zależało, wcale nie ułatwiała zadania. Bywał już w opałach, ale tym razem miał przecucie... w ciemności podeszła do niego jakaś postać owinięta w koce.

- Nie mogłam zasnąć.
- Sahiro.
- Chciałam być z tobą, Alex. Gniewasz się?
- Wskakuj do mojego śpiwora, albo zasnę bez ciebie.
- Liczyłam, że to powiesz.

Hawke rozsunął nylonowy zamek śpiwora i zrobił dla niej miejsce. Wsunęła się do środka i zamknęła suwak, by nie wpuszczać mroźnego powietrza.

- Przytulnie - odezwała się, obejmując go i przyciskając do siebie.
- Bardzo.
- Gniewasz się, że to robię?
- Oszalałaś?
- To bardzo nieprofesjonalne z mojej strony.
- Więc daj mi buziaka i nie pisnę ani słowa lordowi Malmsey'owi.

- Och, Alex, tak za tobą tęskniłam...
- Ciii. Mniej słów, więcej całowania.

Przytulił ją mocno. Lubiała czuć na sobie jego dłonie. Objęła go za policzki i pocałowała, ale prowokacyjnie, tak żeby nabrał ochoty na mocny pocałunek, żeby wziął ją natychmiast. Niektóre kobiety lubią tak szorstko i podejrzewał, że Sahira do nich należy. Wpijali się łapczywie we własne usta. Jego dłonie buszowały po jej ciele niczym para złodziei, jedną przyciskał ją mocno, a druga desperacko i niezdarnie szukała wszelkich guzików i miejsc, które mogła otworzyć.

- Myślisz, że możemy to zrobić w spiworze? - szepnęła.
- Zaraz się przekonasz.
- Wyglądasz na bardzo zdeterminowanego.
- Jeszcze jak.

Palce miał już pod jej ubraniem.

- Tak... o, tak.
- Nie ruszaj się przez chwilę - powiedział, a Sahira posłuchała.
- Wyjdziemy z tego cali, prawda, Alex?
- Oczywiście, że tak - szepnął jej do ucha, powoli w nią wchodząc. - Oczywiście, że tak.

Cztery godziny później Harry Brock obudził Alexa Hawke'a. Kłęczał przy nim i ścisnął go za ramię. Hawke otworzył oczy, oślepiony wschodzącym nad pustynią słońcem.

- Harry? Co jest?
- Złe wieści, szefie. Banda jeźdźców pędzi w naszą stronę. Galopem.

- Skąd wiesz?

- Pato. Ten mały przykłada co minutę ucho do ziemi. I tak, kurde, przez całą noc. Tym razem usłyszał jeźdźców. Dużą grupę. Cholera. Pewnie jakiś pastuch nas zauważył i powiedział jakimś bandziorem, że jedziemy.

- Ilu jest tych bandziorów?
- Jego zdaniem bardzo dużo. „Bardzo, bardzo dużo”, powiedział.
- W jakiej odległości?
- Jakieś trzydzieści, może dwadzieścia minut. Damy radę ich wyprzedzić?

- Tylko gdybyśmy zostawili wszystkie wielbłądy, muły, amunicję i prowiant. A na to nie możemy sobie pozwolić.

- No tak. Nie możemy uciec, nie mamy się gdzie schować. Cholera. I co teraz?

- Mam pomysł - powiedział Hawke. - Zawołaj Stoke'a i Patoo. Spotkajmy się u stóp wydmy, tam gdzie przywiązaliśmy wszystkie zwierzęta. Za dwie minuty. Niech Patoo pobudzi i porządnie wystraszy swoich bojowników. Niech wezmą saperki i zaczną budować metrowy wał. Wokół, w promieniu dziesięciu metrów. I powiedz, żeby kopali z dala od tej wydmy, żeby nie mogli do nas strzelać z góry. Przywiążcie bezpiecznie wszystkie konie po drugiej stronie wydmy. Bez nich nigdzie się nie ruszymy.

- Załatwione.

- Wszystko jasne? Do dzieła.

Harry zniknął.

Sahira wyjrzała z zasuniętego śpiwora.

- Jak mogę pomóc, Alex?

- Jak sobie radzisz z M4?

- Rzekłabym, że swobodnie.

- Zabiłaś kiedyś człowieka?

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie przygotuj się, kochanie. Przyda się każda pomoc.

56.

Hawke, Abdul Dakkon i kilku pakistańskich bojowników o poważnych twarzach wprowadzili część zwierząt, bez których potem będą mogli się obejść, do środka okrągłego wału, który wznosili gorączkowo ich bracia. Hawke nigdy nie widział, by ktokolwiek pracował z takim zapalem. Byli jak przerażeni żeglarze wylewający wiadrzem wodę z tonącej łodzi. Wał miał około metra wysokości i prawie dziesięć metrów średnicy. I był prawie gotowy.

Patoo klęczał pośrodku z uchem przy ziemi.

- Patoo - zapytał go Hawke. - Ile jeszcze?

- Dwadzieścia minut, jeśli będziemy mieli szczęście, sir.
- W takim razie nie mamy wyjścia, musimy mieć szczęście - odparł Hawke, dodając mu otuchy uśmiechem.

Następnie polecił mężczyznom, by powiązali wielkie zwierzęta jedno za drugim wokół wału, rozstawiając je mniej więcej co pół metra od siebie. Kiedy to zrobili, wyciągnął pistolet, a pozostali zrobili to samo.

- Teraz najtrudniejsza rzecz - oznajmił Hawke i podszedł do najbliższego wielbłąda. Zdjął z niego skórzane siedło i rzucił na ziemię. Następnie przystawił zwierzęciu pistolet do głowy i pociągnął za spust. Wielbłąd dostał drgawek i padł na wał.

Hawke przerzucił juki tak, by leżały na zwłokach zwierzęcia od zewnętrznej strony. Skórzane torby i sakwy pełne wody i puszek miały zapewnić im nieco większą ochronę.

Odwrócił się i przywołał Patoa.

- Patoa, upewnij się, że każdy z twoich ludzi jest uzbrojony po zęby, ma mnóstwo amunicji. W ciągu pięciu minut mają zebrać się pośrodku tego kręgu. Ruszaj!

- Tak jest, sir!

- Tak to róbcie - powiedział do swoich ludzi. Podszedł do następnego muła, podniósł pistolet do głowy zwierzęcia i zrobił to, co przed chwilą Hawke. W ciągu pięciu minut on, Brock i kilku innych pozabijali wszystkie zwierzęta i stworzyli barykadę z ich zwłok, wysoką na jakieś półtora metra. Na tyle wysoką, by zapewnić osłonę, i na tyle niską, by dało się znad niej strzelać. Nie jest to idealne umocnienie, myślał Hawke, wodząc wzrokiem, ale w tych warunkach nie dało się po prostu nic innego zrobić.

Przynajmniej będzie miał u boku dobrych ludzi.

Wystarczyło spojrzeć na ciemnokich, brodatych bojowników, by mieć pewność, że Patoa starannie ich dobrał. Hawke stale im się przyglądał, oceniając wolę walki.

Kiedy do bitwy było już blisko, zobaczył na ich twarzach to, co chciał. Nigdy jeszcze nie widział takiego wybuchu nienawiści w czyichś oczach. Ci mężczyźni i chłopcy widzieli na własne oczy, jak talibowie dla zabawy kamienują ich siostry i matki, jak obcinają palce każdemu, kogo przyłapali na paleniu. Widzieli, jak talibskie zbiry wyciągają ich ojców i braci z domów na ulice. Jak ich kastrują, ścinają

im głowy, a potem zostawiają ciała, by się rozłożyły. Czasami głowy braci zatykali na kijach przy drodze prowadzącej do wioski.

Nocami talibowie krążyli po ulicach, bawiąc się w grę, którą ze śmiechem nazywali „Tańcem umarłych”.

Stawiali pionowo zwłoki pozbawione głowy i wlewali w otwór w szyi benzynę. Kiedy podpalali benzynę, ciało spazmatycznie machało członkami, by w końcu upaść na ulicę. Cnotliwi talibowie uznawali to bluźnierstwo za niezwykle zabawne.

Bojownicy stojący u boku Hawke'a od dziesięcioleci patrzyli na podobne krzywdy wyrządzane ich rodzinom.

Pięć minut później cała armia Hawke'a stała w gotowości, ramię w ramię, za pospiesznie zbudowaną barykadą ze zwierząt. Dawało się wyczuć napięcie. Hawke wyszedł na środek, czując, że musi powiedzieć parę słów.

- Mamy stosunkowo niezłą ochronę. Mamy ogromną siłę ognia i mnóstwo amunicji. Ci, którzy jadą w naszą stronę, są konno i będą walczyć na śmierć i życie, bo śmierć to dla nich ostateczna nagroda. Niech każdy z was wybierze sobie konkretny cel i strzela do niego, aż zabije, a potem bierze na muszkę następnego. Nie marnujcie strzałów. Jeśli będzie trzeba, strzelajcie w ich konie. Kiedy jeźdźcy wstaną z ziemi, zabijajcie ich szybko, nim zaatakują nas pieszo. To chyba wszystko. Powodzenia, Bóg z wami i niech wam się dobrze strzela.

Potem obszedł w milczeniu cały krąg, ściskając każdemu dłoń i patrząc w oczy. Dodawał im otuchy wzrokiem i uśmiechem. Kiedy dotarł do Sahiry, przytrzymał dłużej jej dłoń i pochylił się do ucha.

- Posłuchaj uważnie. Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze. Ale jeśli dojdzie do najgorszego, wiedz, że pod żadnym pozorem nie pozwolę tym barbarzyńcom porwać cię żywcem. Rozumiesz, co mówię? Co będę musiał zrobić?

- Rozumiem, Alex. I dziękuję za troskę.

- To coś więcej niż troska, Sahiro - powiedział Hawke z delikatnym uśmiechem i poszedł zając miejsce pośród ludzi na barykadzie.

Wielki tuman pyłu zobaczyli na długo, zanim usłyszeli coraz bardziej ogłuszający tętent podkutyh kopyt. Stokely Jones, który stał po prawej ręce Hawke'a, pochylił się do zamontowanej na trójnogu

niezwykle silnej lornetki Zeiss 8X30. Tuż obok miał gotowy do strzału wysłużony snajperski karabin M24 SWS.

Zobaczył wroga, na długo zanim wróg ujrzał niewielką grupkę bojowników desperacko broniących się za żalosną kupką piachu, zwłokami zwierząt i starymi sakwami. Stoke był wyszkolonym snajperem z SEAL i mówiło się, że potrafi odstrzelić musze skrzydła ze stu kroków. Miał zamiar zdejmować jadących na czele, kiedy tylko zobaczy ich w obiektywie. Kiedy przeciwnicy zobaczą, że dowodzący spadają z sodeł, jeszcze zanim zaczęła się bitwa, na pewno nie podniesie im to morale.

- Widać coś? - zapytał Hawke Stoke'a. Rozglądał się po swoich ludziach, którzy sprawdzali broń, po raz dziesiąty poprawiali kevlarowe kamizelki i przygotowywali się psychicznie do bitwy.

Modlili się.

- Tylko chmurę kurzu - stwierdził Stoke. - Wielka cholerna chmura kurzu, która jedzie szybko w naszą stronę.

- Kiedy tylko namierzysz jakiś cel, strzelaj. Zdejmij jak najwięcej tych, którzy wyglądają na dowódców. Kiedy tylko reszta znajdzie się w zasięgu naszej broni, wydam rozkaz, żeby bić w nich, ile wlezie.

Hawke zobaczył, że Abdul stoi przy barykadzie i cicho rozmawia z Sahirą. Wcześniej poprosił swego nowego przyjaciela, żeby za wszelką cenę trzymał się blisko niej w czasie bitwy i chronił ją ze wszystkich sił. Dakkon dowiódł ponad wszelką wątpliwość swojej odwagi i lojalności. Hawke miał pewność, że oddałby życie za każdego z nich.

Harry Brock stał po lewej. Wyjął zniszczone organki z kieszeni kamizelki i cicho pogrywał. Hawke rozpoznał tęskną melodię z amerykańskiej wojny secesyjnej. Przypomnił sobie nawet część słów, które w dzieciństwie śpiewała mu matka, Amerykanka; „Oczy me ujrzały chwałę zbliżającego się Pana...”

- Harry, co to za piosenka? - zapytał Hawke.

- Hymn bojowy Republiki.

- Piękna. Graj dalej.

Harry grał, a potężny tuman wirującego pyłu i piasku był coraz bliżej.

Z pyłu wyłoniły się twarze - zacięte, z błyskającymi spod kapturów czarnymi oczyma i zmierzwionymi czarnymi brodami. Poszarpane

szaty trzepotały mocno na wietrze. Na ramionach lśniły pasy z amunicją. Otwarte usta ziały czernią w pełnych gniewu twarzach, ale nie słychać było ich morderczych okrzyków, bo zagłuszył je tętent podków i nagły wybuch ognia.

Na czele jechał wielki brodaty mężczyzna, za którym powiewały czarne szaty. Dowódca spinał konia, by galopował jeszcze szybciej. Podniósł strzelbę wysoko nad głowę, zachęcając swoich ludzi do walki ognistymi okrzykami bitewnymi.

- Kim jest ten jadący na przedzie, Patoo? - zapytał Hawke.

- To legendarny pułkownik Abu Zazi, sir. To prawa ręka szejka al-Rashada. Błyskotliwy i brutalny człowiek. Urodził się w Wielkiej Brytanii i ukończył z wyróżnieniem Królewską Akademię Wojskową Sandhurst. Odpowiada za najgorsze samobójcze zamachy w Pakistanie i Afganistanie. Przewodzi sojuszowi talibów, bojowników z Pendżabu, Al-Kaidy i byłych bojowników Mehsuda.

- Rzekłbym, że wygląda dość groźnie.

- Za głowę pułkownika Zazi wyznaczono cenę pięciu milionów dolarów, sir - odezwał się Dakkon. - Był wśród zamachowców, którzy zamordowali naszą ukochaną panią premier Benazir Bhutto.

Przez lornetkę Hawke widział wyraźnie twarz wroga. I nie miał cienia wątpliwości, że będzie to walka na śmierć i życie. Na zewnątrz wyglądało, jakby czekał na bitwę w skupieniu i pewien siebie. Takie chwile jak ta wymagały absolutnego spokoju.

- Teraz wiem, jak musiał się czuć generał George Armstrong Custer - powiedział Harry Brock, strzelając najszybciej, jak mógł. Szalona horda dziko galopujących talibów z okrzykami wojennymi na ustach otoczyła ich całkowicie. Musiało ich być co najmniej stu. Krążyli wokół w pełnym galopie, strzelając z AK-47 do o wiele mniejszej grupki stłoczonej za żalonym, wzniesionym pospiesznie umocnieniem.

Barykada może i wygląda żałośnie, ale chyba się sprawdza, myślał Hawke, ładując kolejny magazynek do karabinu przytkniętego do policzka. Błyskawicznie zabijał tyłu, ilu się dało. Kule świsnęły mu nad głową, wbijały się w piaskowy wał, czasami dosięgały jego ludzi. Widział, że już zginęło dwóch nieustraszonych bojowników, a czterech było ciężko rannych.

Ale nawet ciężko ranni bojownicy od Patoa nie ustępowali pola i nie przestawali walczyć. Hawke wiedział, że nie walczą o swoje życie. Walczą o duszę własnego kraju. I za pamięć ojców, matek, sióstr, braci i wszystkich ofiar krwawych talibskich dżihadystów.

Hawke był przekonany, że nie znalazłby lepszych towarzyszy broni.

Stokely zaczął strzelać z granatnika do nacierających koni. Hawke zauważył, że robi to nie tylko po to, żeby powalić same konie, ale by granaty wyrwały wielkie dziury w ziemi. W takie niespodziewane kratery wpadały kolejne konie, potykając się, i zrzucając jeźdźców, którzy wtedy stawali się łatwiejszym celem.

- Stoke, do licha, gdzie się tego nauczyłeś? - krzyknął Hawke ponad ogłuszającym hukiem ognia.

- Nigdzie - odkrzyknął Stoke. - Właśnie to wymyśliłem.

Hawke roześmiał się i zdjął znaczną liczbę bojowników, którzy spadli z koni i szukali gorączkowo swoich karabinów. Część bojowników od Patoa zobaczyło, co robi Stoke, i zaczęło go naśladować. Jeden strzelał granatami, a dwaj towarzysze po bokach strzelali w miejsca, gdzie nieprzyjaciel spadał z konia.

Strzelanina trwała przez dziewięćdziesiąt wyczerpujących minut.

Przerzedzone mocno siły wroga nie zamierzały się wycofywać i wciąż nacierały. Brock miał wrażenie, że to jedna z tych bitew, w której źli bohaterowie wciąż podkręcają potencjometr i robi się coraz głośniejsze. Za barykadą mieli już co najmniej trzech czy czterech zmarłych od kul i wielu rannych, którzy wciąż stali przy swoich stanowiskach. Brock zaczął się zastanawiać, jak długo jeszcze wytrzymają ten niekończący się atak.

Wtedy właśnie zginął dzielny mały człowiek po jego lewej. Kula rozerwała Patoa większość gardła. Upadł na plecy z raną buchającą krwią. Nie miał szans.

Brock zobaczył, że Hawke zauważył śmierć Patoa i zrobił przygnębiającą minę. Ale Hawke mimo kul świszających nad głowami zaczął chodzić wewnątrz barykady i dodawał otuchy ludziom Patoa, by spełnili swój obowiązek i nie dali się pokonać tym draniom. Nie uchylał się przed kulami i Harry nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że żadna go nie drasnęła.

Hawke był bodaj najodważniejszym człowiekiem, jakiego miał okazję obserwować w walce, a widział już mnóstwo odważnych ludzi.

- Harry! - krzyknął Stoke. - Nad tobą!

Brock obrócił się i zobaczył na szczycie wału taliba z mieczem w dłoni i demoniczną miną. Z całą pewnością zamierzał pozbawić Harry'ego głowy. Musiał wczołgać się na wał, kiedy Brock przykłęknął, by przeładować i pocieszyć Pato. Nie było czasu, żeby podnieść karabin, więc wyjął błyskawicznie pistolet z kabury na udzie i wycelował w taliba, kiedy ten wziął śmiertelny zamach mieczem.

Strzelił mu prosto w twarz. Miecz wypadł mu z ręki, a przeciwnik upadł na plecy, na przesiąknięty krwią piasek.

Kiedy Harry wstał z powrotem, zobaczył coś niezwyklego.

Wróg najwyraźniej się wycofywał. Ponieśli poważne straty, zginęła pewnie ponad połowa ich ludzi. Wyglądało na to, że nie są w stanie tego dłużej znieść i się wynoszą. Przynajmniej na razie.

- Strzelaj, póki nie odejdą poza zasięg karabinów - powiedział Hawke do Stokely'ego i wypruł z automatu cały magazynek do wycofujących się talibów. - A potem zobacz, ilu maruderów dasz radę zdjąć karabinkiem snajperskim.

Brock krzyknął między dwoma seriami z automatu:

- Szefie, zdaje się, że wygraliśmy. Jak, do diabła, udało nam się to przeżyć?

Hawke przeładował i odrzekł ponuro:

- Tak, tak. Jeszcze jedno takie zwycięstwo i będziemy pochrapywać dwa metry pod ziemią aż do Sądu Ostatecznego, Harry. W marynarce mawialiśmy, że znajdujemy się właśnie głęboko w...

- I co szef na to? - powiedział Stoke, przeładowując. Zobaczył, że Hawke wyjął radio i próbuje desperacko wywołać kogokolwiek, kto mógłby im pospieszyć na pomoc.

- To cholerstwo nie działa! Nie mamy zasięgu - powiedział i sfrustrowany rzucił radio na ziemię. W końcu jednak się opanował.

- Wróć tu - powiedział Hawke, przeładowując broń. - Opatrz tylko rany i zbiorą się do kolejnego ataku. Chwila na przegrupowanie i uzupełnienie amunicji. Ich dowódca, Zazi, jeśli wciąż żyje, na pewno już obmyśla nową strategię ataku.

- Ale damy radę ich powstrzymać - powiedział Brock, próbując przekonać sam siebie.

- Nie sądzę, Harry. Wciąż mają nad nami znaczną przewagę liczebną. Na miejscu pułkownika Zazi kazalbym swoim ludziom zbici się ciasno, natrzeć na nas masą i po prostu rozjechać naszą barykadę.

- No tak, to by pewnie zadziało.

- Harry, posłuchaj. Nie wiem, ile mamy czasu, nim wrócą. Mam dla ciebie zadanie. Te krótkofalówki są bezużyteczne. Masz tę torbę z telefonem satelitarnym? Tylko mi nie mów, że jest poszatkowana kulami.

- Jest tutaj, wygląda na nietkniętą.

- Zabieraj ją i uciekaj. I to już. Wejdz na szczyt tamtej wydmy, uruchom telefon i spróbuj wezwać pomoc. Może nie uda ci się nikogo wywołać, ale musisz spróbować, to nasza jedyna szansa. B-52 za granicą afgańską ze swojej wysokości nam nie pomogą, ale gdyby udało się podesłać AC130 z działkami, jakoś byśmy przetrwali. Na pewno będą ci wciskać biurokratyczny kit o naruszaniu pakistańskiej przestrzeni powietrznej. Nie słuchaj tego. Podaj im orientacyjną pozycję, liczbę przeciwników i powiedz, jak poważna jest sytuacja. Powiedz im, że nasi tu umierają. Potrzebna nam pomoc, nim nas zaatakują. Jedź, Harry, już. Z Bogiem.

Harry Brock ustawił antenę telefonu satelitarnego w piasku obok. Wyciągnął mapę i rozłożył, przytrzymując ją pajączymi nogami anteny, by nie zwiął jej wiatr. Spojrzał wzdłuż doliny, którą przejechali. Potem spojrział na góry po obu stronach, na ich charakterystyczne grzbiety i zbocza, porównał z miejscem, gdzie zbudowali barykadę. W oddali widział jeszcze stary brytyjski fort. Chłonął to wszystko, tworząc sobie w głowie mapę.

Następnie spojrział na prawdziwą mapę i zaczął nakładać to, co zapamiętał, na poziomicie rozrysowane na papierze. Robił to wiele razy, przenosił wzrok z mapy na dolinę, z doliny na mapę, póki nie zlokalizował, gdzie są. Następnie wyjął mały kołonotatnik i zapisał koordynaty z siatki kartograficznej. Te liczby poda przez telefon temu, kogo uda mu się wywołać i...

Usłyszał szcęk metalu i chwycił broń. Trzech uzbrojonych talibów zaczęło wspinać się na wydmy.

Dwadzieścia minut później Hawke usłyszał grzechot automatycznej broni od strony wydmy, za którą zniknął Harry. Jednocześnie strzelały co najmniej trzy albo cztery karabiny. Hawke uznał, że Harry trafił pewnie na grupę talibów wspinających się na wydmy od drugiej strony. Prawdopodobnie zamierzali strzelać z niej do barykady.

Harry pewnie nie żył.

I nie można liczyć na pomoc.

Muszą bronić się sami.

Dwie godziny później wróg uderzył ponownie, nacierając masą, tak jak przewidział Hawke. Ustawił przy barykadzie wszystkich, którzy jeszcze mogli walczyć, by stawili czoło atakowi. Stoke opatrzył rannych bojowników i ci, Bóg jeden wie jak, znów stali na nogach pod wałem z piasku. Wszyscy zaczęli strzelać z granatników, kiedy tylko jeźdźcy talibów znaleźli się w ich zasięgu, czyli tysiąc sto metrów. Odnieśli pewien sukces, bo sporo koni padło, ale nie udało im się nawet spowolnić natarcia.

- Pełen automat - krzyknął Hawke do wszystkich. - Zalejcie ich ogniem. Dajcie im tyle ołowiu, ile możecie.

Wykonali polecenie, ale wróg nadal nacierał i to z wyraźną intencją. Chciał po prostu rozjechać ich wątłe umocnienie. Potem mieli zawrócić i wybić wszystkich do nogi gradem kul.

Hawke spojrzał na Sahirę, która strzelała z takim zacięciem, o jakie nigdy by jej nie podejrzewał. Abdul Dakkon stał obok niej, wyraźnie wyluskując każdego, kto próbował strzelać w jej kierunku. Hawke krzyknął do niej, a Sahira spojrzała na niego.

Pokręcił głową i szepnął:

- Przepraszam.

Zobaczył łzy płynące jej po policzkach i serce pękało mu z rozpacz. Znów poczuł to ukłucie...

- Patrzcie! Tam na szczycie wydmy! - usłyszał krzyk Stokely'ego. - Jasna cholera, zobaczcie tylko!

Hawke obrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak opancerzony humvee z amerykańskiej armii wylatuje ponad szczyt potężnej

wydmy i zjeżdża z niej na łeb na szyję, wyrzucając spod kół fontanny piachu. Za nim wyjechały drugi, trzeci i czwarty! Cztery pojazdy natychmiast ruszyły w stronę nacierających na nich talibów. Popędziły przez pustynię i stanęły talibskim jeźdźcom na drodze do Hawke'a i jego ekipy.

W każdym humvee otworzyły się włązy i pojawili się w nich żołnierze wyposażeni w karabiny maszynowe M240 kaliber 7.62 wymierzone w przerażonych teraz jeźdźców. Humvee miały też na wyposażeniu granatniki Mk. 19 kalibru 40 mm, zdolne strzelać różnymi rodzajami granatów na odległość ponad dwóch tysięcy metrów. Amerykanie strzelali nimi w stronę napastników w tempie sześćdziesięciu strzałów na minutę.

Talibowie, wstrząśnięci i zdezorientowani, ginęli w czasie jazdy albo zawracali i uciekali. Większość zginęła. Humvee rzuciły się w pościg za uciekającym wrogiem i Hawke wiedział, że los talibów jest przesadzony.

Spojrzał w bezkresne błękitne niebo nad głową i podziękował temu, kto tam jest. Było po wszystkim.

Hawke głęboko poruszony aktem odwagi, jakiego był świadkiem, obszedł całą barykadę ze Stokelym. Stoke, który w Wietnamie zdobył spore doświadczenie w medycynie polowej, opatrywał świeżo rannych, a Hawke obejmował każdego z bojowników i mówił:

- Świetna robota.

Kiedy podszedł do Sahiry, ją też przytulił. I szepnął jej do ucha:

- Mówiłem, że wszystko będzie w porządku.

- Nie wierzyłam ci - odparła.

- Szczerze mówiąc, sam w to nie wierzyłem.

Kiedy Hawke uznał, że zrobił, co mógł dla rannych i zabitych, wyszedł zza barykady w stronę wydmy, żeby przynieść ciało Harry'ego Brocka.

Znalazł go na szczycie wydmy, leżącego na plecach obok telefonu satelitarnego i karabinu. Krew z licznych ran sączyła się w piasek. Poniżej, po drugiej stronie wydmy, leżało pięciu talibów, martwych.

- Hej, szefie - odezwał się Harry, mrugając oczami w ostrym słońcu i uśmiechając się mimo bólu do swego przyjaciela Hawke'a.

Z kącików ust ciekła mu krew. Wyglądało na to, że co chwila traci przytomność od upływu krwi.

- Harry, nic ci nie jest?
- Kilka dziur, to wszystko. Daliśmy łupnia tym draniom?
- Tak, Harry, daliśmy.
- Nie wszczyamy bójek, my je kończymy, co, szefie?
- Zgadza się, Harry.

Hawke przyklęknął w piasku, wsunął dłonie pod Brocka, wstał i zaczął schodzić po szerokiej wydmie z Harrym na rękach. Brock wyraźnie cierpiał z bólu, ale na szczęście znów stracił przytomność.

- Nadjechała kawaleria, Harry - mówił Hawke nieprzytomnemu przyjacielowi. - Spełniłeś swój obowiązek. Mam nadzieję, że z tego wyjdiesz.

57.

Wjeżdżali coraz wyżej w góry. Mniejszą grupą, w mniej koni, z mniejszą ilością zapasów. Nazwali się Rat Patrol. Włosy mieli pozlepiane w strąki, brody zmierzwione i brudne. Ograniczyli się do mycia zębów palcami. Wszyscy zaczęli cuchnąć. Na wąskich oblodzonych szlakach jazda, jeśli można to było tak określić, była koszmarem. Śnieg zwiewany z gór ograniczał widoczność prawie do zera. To, że konie utrzymywały się na ścieżce, samo w sobie było cudem. Ziąb na wysokości trzech kilometrów był paraliżujący. Hawke od wielu godzin nie czuł uzdy, którą trzymał w dłoni.

Cztery humvee zapewniły im eskortę przez dolinę zamieszkałą przez wojownicze plemiona aż do stóp gór, w których ponoć ukrywał się Osama bin Laden. Amerykańska armia w tajemnicy naruszyła pakistańską przestrzeń powietrzną, wysyłając wielki śmigłowiec Chinook, którym zabrano wszystkich zmarłych i rannych w bitwie o piaskową barykadę. Kiedy śmigłowiec lądował w czerwonym świetle pustynnego zmierzchu, Hawke zmówił krótką modlitwę za Patoo i innych zmarłych.

Kiedy zaczęto wnosić na pokład śmigłowca nosze z Harrym Brockiem, ten upierał się, że nadaje się do walki. Ale Hawke przekonywał go, że tak nie jest. Hawke wygrał tę rundę, bo Brock osłabł tak bardzo z upływu krwi, że nie był w stanie kontynuować dyskusji. Wraz ze Stoke'em stali przy Harrym, kiedy wnoszono go na pokład. Obaj uściśniły mu dłoń i podziękowali gorąco za to, że uratował tylu ludzi.

Górę zwaną Wazizabad odnaleźli dzięki odręcznej mapie, którą Stokely wydobył od niewielkiego imama z więzienia. Tego samego, który pozbawił się prawa do obrony na wodach Atlantyku w pobliżu Miami.

Wyrysowane na papierze charakterystyczne kształty mitycznego dotąd szczytu pasowały dokładnie do tego, na co patrzyli. Góra wyglądała majestatycznie, groźnie, jak poszarpana piramida skał drapiących niebo, przyobleczonej w śnieg i lód. Górne partie ginęły w mdłych, szarych chmurach i tumanach śniegu.

Hawke chciał wierzyć, że patrzą na właściwą górę. Ale przecież pakistański imam, którego Stoke przyłapał w więzieniu Glades, nie był głupi. Jeśli spędził tu dużo czasu, mógł równie dobrze narysować kształt góry, którą najlepiej zapamiętał.

Nie poddawał się łatwo, ale wspinali się od świtu i zbliżali się prawie do szczytu. Na razie nie widział niczego, co zdradzałoby labirynt tuneli, jakie miały się znajdować w tej górze.

Godzinę później, kiedy słońce zachodziło, niebo na zachodzie zajarzyło się fioletem i złotem. Ale kiedy zaczęła spadać temperatura, urosła w nich nadzieja. W końcu dotarli do czegoś, co mogło być wejściem do tunelu. W zapadającej ciemności omal go nie przegapili. Wejście sprytnie zamaskowano głazami, ale promień ostrego słońca wyłuskał niewielką szczelinę w skałach i oświetlił coś, co Hawke uznał za wnętrze tunelu.

Hawke podniósł dłoń, dając znak długiej kolumnie ludzi i koni, by się zatrzymała. Zsiadł i przy pomocy Stoke'a i Dakkona zaczął odsuwać ciężkie kamienie na bok. Hawke patrzył, jak Stoke szarpie wielki głaz, i zdał sobie sprawę, że bez jego siły nic by tu nie wskórał. Utworzyli lukę, przez którą mógł się przecisnąć człowiek. Abdul był z nich najszczuplejszy, więc to on miał się zapuścić do środka. Hawke

podał mu latarkę SureFire, a Dakkon wspiał się na kamienie i zniknął.

Chwilę później ujrzeli jego uśmiechniętą twarz spoglądającą z góry. Wyczołgał się i zeskoczył na szlak.

- Tunel, sir! Matka wszystkich tuneli świata!

Hawke polecił kolejnym ludziom, by zsiadli i usunęli kamienie blokujące wejście. Kiedy to zrobili, wszedł do tunelu sam, z bronią w rękę i palcem na spuście. Latarkę przymocował do dolnego uchwyty M4. Wszedł na blisko dwadzieścia metrów w ciemność, wypatrując na ziemi jakichkolwiek śladów - świeżych i starych. Hawke wiedział, że to po prostu pierwszy z wielu takich tuneli, które napotkają na drodze. Mapa wskazywała, że góra jest cała poprzecinana takimi tunelami i pieczarami, zarówno naturalnymi, jak i wydrążonymi przez człowieka.

Ale ten z pewnością będzie się nadawał. Zapadała noc i temperatura błyskawicznie spadała. Mieli za sobą bardzo długi dzień i taka osłona przed wiatrem i chłodem była zdecydowanie lepsza od noclegu na szlaku.

Przemarznięci, obolali od siodła jeźdźcy mieli gdzieś, dokąd może prowadzić ta dziura w skale. Jeśli do samego serca siedziby wroga, to w porządku. Ważne było, że można zsiąść z cholernych koni i skryć się przed mroźnymi podmuchami wiatru, które nie dawały im spokoju na każdym bolesnym kroku wspinaczki.

Wlot tunelu na szczęście był dość szeroki, by pomieścić konie. Hawke kazał kilku ludziom wprowadzić je do środka, powiązać razem, napoić i nakarmić górą siana, którą dźwigali. Hawke dopilnował, by drżące z zimna zwierzęta okryć ciężkimi wełnianymi kocami. Chciał, żeby wypoczęły i nabrały sił, na wypadek gdyby ekipa musiała szybko ewakuować się z góry.

Kiedy tylko zajęto się zwierzętami, wszyscy przycupnęli wokół niewielkiego ogniska i łapczywie pili ciepłą herbatę. Następnie rozwinęli trzyczęściowe śpiwory i przygotowali się do noclegu na twardej skale, licząc na tak upragniony odpoczynek. Przeżyli atak talibów, konną wspinaczkę na trzy tysiące metrów po zmarzniętych skałach i byli już na granicy wycieńczenia.

Stokely i Hawke też byli wycieńczeni, ale nie mogliby zasnąć, nie przeprowadziwszy dokładniejszego rekonesansu w tunelu, by mieć pewność, że ich drużynie nic nie grozi, przynajmniej nocą. Stoke też

założył na karabin silną latarkę SureFire i w ten sposób ostrożnie oświetlali sobie drogę, zapuszczając się coraz bardziej w głąb góry zwanej Wazizabad.

Przeszli blisko półtora kilometra bez problemu i trafili na rozwidlenie. Tunel po lewej prowadził w dół, zaś ten po prawej zmierzał w górę. Uznali, że trzeba wystawić tu czujki na czterogodzinne zmiany. Rano mieli zamiar wrócić tu całą drużyną i zobaczyć, dokąd wiedzie prawy tunel, ten w górę.

- Czuję, że jesteśmy blisko - powiedział Stoke, kiedy wracali do wylotu tunelu. - Ty też, szefie?

- Poczuję to, kiedy stanę przed tym krwawym sukinsynem, mierząc do niego z pistoletu.

- Nie wiem tylko, jak nasz Rat Patrol w ogóle znajdzie tego dzieciobójcę Rashada, szefie. Ta cholerna góra to jeden wielki labirynt. Pamiętasz pewnie, jak ja ze studiów, że kiedy wpuści się szczury do labiryntu, tracą orientację, próbując znaleźć ser. Mam nadzieję, że wiesz, jak się poruszać po tych tunelach, bo ja na pewno nie mam pojęcia.

- Tak. Mam pewien pomysł, Stoke.

- Podzielisz się nim z kumplami?

- Sahira nas do niego doprowadzi, Stoke. Mówię ci.

- Sahira? A ona zna to miejsce lepiej niż my?

- Nie.

- Aha. To wszystko wyjaśnia. Mogę chyba się odprężyć. Rozumiem, że spokojnie znajdziemy igłę w stogu siana.

- Tak, Stoke, to się da zrobić.

Stoke nie widział twarzy Hawke'a w ciemności, ale wiedział, że Alex ma teraz na twarzy wielki uśmiech.

- Stoke, zrób coś dla mnie. Znajdź dwóch dobrych bojowników i postaw ich na straży przy rozwidleniu. Za cztery godziny niech ich zmieni kolejna dwójka. Powiedz im, że będę miał włączone radio przez całą noc, na wypadek gdyby usłyszeli albo zobaczyli coś podejrzanego.

- Tak jest, kapitanie.

Zmęczony rozlewem krwi, wiatrem i pogodą Hawke wpadł do wojskowego śpiwora i zasnął od razu. Pokój na ziemi, przynajmniej do jutra.

Hawke, Sahira i Stokely wstali o świcie. Wschodzące słońce załało wejście do tunelu różowo-złotym światłem. Cała trójka zaczęła rozpakowywać broń i sprzęt wybrane przez bardzo czynnego specjalistę od broni z sił specjalnych, stacjonującego w bazie Shamsi. Najpierw rozpakowali robota Sahiry. Ten zdalnie sterowany łazik, czyli UGV, wielkości i kształtu dziecięcego samochodu na pedały, składał się niemal wyłącznie z broni, kamer i czujników umieszczonych na gąsienicach.

Choć nie była to powszechna wiedza, w Iraku i Afganistanie służyło obecnie ponad sześć tysięcy takich wojskowych robotów. Sahira zażądała modelu, który sama pomagała projektować. To był brytyjski robot wojskowy przystosowany specjalnie do walki w tunelach. Miał czujniki do wykrywania i analizy trujących gazów i broni bakteriologicznej. Potrafił także wykrywać materiały radioaktywne i właśnie dlatego był jej potrzebny w tej misji.

UGV miał także wieżyczkę z dwoma lekkimi karabinami maszynowymi M249 i kilkoma noktowizorami z przodu i z tyłu. W tunelach Ugg, jak go nazwali, miał zaglądać za róg i przysyłać obraz na żywo z miejsc, gdzie przetrzymywano zakładników. Mógł też badać podejrzane przedmioty, w których mogły mieścić się bomby, bez ryzyka dla ludzkiego życia. Był w stanie lokalizować i omijać przeszkody w budynkach, bunkrach i tunelach.

Mógł też zidentyfikować i zneutralizować miny-pułapki. Ugg był w istocie robotem żołnierzem, wyposażonym w takie same karabiny maszynowe jak piechurzy. Podczas walki Hawke usłyszał od jednego z królewskich komandosów, że „robot może sobie pozwolić na to, by strzelać jako drugi”.

UGV potrafił też iść po wyznaczonych koordynatach GPS, samodzielnie pokonywać kanały, wspinać się po schodach i poruszać się po najciaśniejszych pomieszczeniach. Roboty były nieustraszone. Ale UGV nie był samodzielnym zabójcą. Tylko człowiek mógł kazać mu zabić innego człowieka. Jeśli kiedykolwiek roboty zyskają swobodę zabijania, będzie musiało się to odbywać drobnymi krokami. Ale fakt, że UGV był w stanie wytrzymać ostrzał z niewielkiej broni i odpowiedzieć atakiem. Można go było również łatwo naprawić, w przeciwieństwie do komandosa czy zwykłego żołnierza.

Hawke miał teraz dwunastu mężczyzn i jedną kobietę, kierującą bardzo wyrafinowanym robotem, którego zaprojektowała. Siły były minimalne, ale czuł, że wystarczające. Był pewien, że szejka al-Rashad pilnie strzeże swojej kwatery głównej. Wciąż miał jednak nadzieję, że jego zespół będzie miał przewagę dzięki zaskoczeniu. Oprócz Ugga jego bojownicy mieli pełne kevlarowe kamizelki, opuszczane noktowizory na hełmach, by przeniknąć ciemności panujące w tunelach. Będą też wyposażeni w broń znacznie przewyższającą kałasznikowy przeciwnika.

I w przeciwieństwie do znudzonych „cesarskich strażników” szejka oni nie siedzieli beczynn timerami, oglądając filmy na DVD i grając w bezika. Drużyna Hawke'a przeszła chrzest bojowy, zabijała i uciekała przed kulami - a to wyostrza zmysły wojownika.

- W porządku - odezwał się Hawke do zebranej drużyny. - Dzisiaj zdobędziemy tę górę. Każdy wie, co ma robić. Do roboty.

Ludzie ruszyli za Alexem Hawkiem w całkowitą ciemność tunelu.

Hawke czuł się dobrze. Ale gdyby ktoś chciał opisać go w tej chwili określeniem „nadmiernie pewny siebie”, popełniłby nadużycie. Wiedział, że znów naraża tych ludzi na śmiertelne niebezpieczeństwo, które może zająć się za każdym rogiem. Kiedy doszli do pierwszego rozwidlenia tunelu w podziemnej fortecy, Hawke dał znak, by ekipa poszła za nim do prawego tunelu.

Tunel prowadził pod górę, czasami bardzo stromo. Hawke szedł przodem, z Sahirą i Abdulem, Dakkonem za plecami. Bojownicy szli za nim, czując, że nadszedł dzień rozrachunku z najwyższym przywództwem talibów. Byli czujni, opanowani i żądni zemsty oraz walki. Stokely Jones zamykał pochód i stale oglądał się przez ramię, sprawdzając, czy przypadkiem wróg nie zachodzi ich od tyłu.

Sahira powiesiła broń na ramieniu. W rękach trzymała pilota do zdalnego sterowania uzbrojonym UGV. Jeden dźwignik kierował ruchami Ugga - w przód, w tył, w lewo lub w prawo. Maszyna potrafiła też zakreślić piruet wokół własnej osi. Drugi przełącznik sterował wieżyczką i lufami podwójnych karabinów. Pośrodku pilota znajdował się czarno-biały ekran o przekątnej cztery cale, wyświetlający to,

co widzi mały robot pokryty czarnym matowym lakierem.

Ilekcroć tunel zakręcał ostro w którąkolwiek stronę, Hawke zatrzymywał zespół, a Sahira wysyłała Ugga do przodu, by upewnić się, że nie czyhają tam na nich wrody strażnicy, bomby czy miny-pułapki. Nie mówiąc o trujących gazach czy bakteriach.

Brnęli przez niekończącą się ciasną i cuchnącą ciemność, wchodząc tylko w te tunele, które zdawały się prowadzić na szczyt góry. W każdej chwili w wąskim tunelu spodziewali się ognia ze strony wroga. Ale przynajmniej wspinały się do celu, myślał Hawke. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że forteca szejka powinna mieścić się wysoko, nie nisko. Prędzej czy później trafią na opór, był gotów na...

Kontakt.

Ugg coś wypatrzył.

Tuż za zakrętem przed nimi, jakieś światło. Hawke dał sygnał stop. Sahira zatrzymała szybko robota, nim wjechał do wielkiej pieczary zalanej zamglonym czerwonym światłem. Spojrzała uważnie na mały monitor i cyfrowo zbliżyła obraz, włączając robotowi tryb namierzania celu. Następnie bardzo powoli poprowadziła Ugga do przodu, aż wjechał w oświetlony obszar i mógł przeprowadzić zwiad.

Kamera z przodu wykonała pełen obrót. Mieli przed sobą ogromną, naturalną jaskinię. Masywne stalaktyty, zwisające z pogrążonego w mroku sufitu, błyszczały jak czarny obsydian. Z ich ostrych końców wiszących na wysokości dziesięciu metrów stale kapłała woda. Na podobnej wysokości wisiały niewielkie czerwone lampy. Pośród niewielkiego lasu stalagmitów wyrastającego ze skalistego podłoża biegł wartko strumień krystalicznej wody, szeroki na pół metra. Woda płynęła dokładnie na poziomie dna jaskini.

W pieczarze nie było nikogo, jeśli nie liczyć dwóch bardzo czujnych, uzbrojonych i umundurowanych strażników daleko po prawej. Ponieważ Ugg pozostał w półmroku, wysunąwszy jedynie na długim teleskopowym ramieniu małą kamerę, strażnicy nie dostrzegli robota. Stali na baczność po dwóch stronach czegoś, co z tego miejsca wyglądało na okrągły stalowy sejf wbudowany w ścianę z naturalnego kamienia.

Dwaj mężczyźni mieli broń na ramieniu. Ugg wziął ich już na celownik i u góry ekranu wyświetlał migającą ikonkę „Strzał?”. Podwójny karabin robota z łatwością zdjąłby obu strażników, ale Sahira wiedziała, że Hawke nie chce, żeby odgłos strzałów z broni automatycznej poniósł się echem po tunelach.

Hawke wyciągnął z kabury na udzie swojego H & K kaliber 45. Zawsze w takich chwilach miał już jeden nabój w lufie i pełen magazynek. Dokręcił tłumik, wyszedł po cichu do przodu na skraj jaskini, podniósł pistolet i wypalił dwa razy - puk, puk - dwa strzały w głowę.

Strażnicy osunęli się na ziemię, a Hawke dał znak drużynie, by weszła do jaskini.

- Może to kuchenne wyjście szejka - odezwała się Sahira.

- Miejmy nadzieję - odparł Hawke. - Z całą pewnością nie chcemy wchodzić od frontu.

To był sejf. Potężne okrągłe drzwi z tytanu oddzielały ich od tego, co było po drugiej stronie. Hawke ocenił promień drzwi na około cztery i pół metra.

- Taki sam skaner dłoni - zauważył Abdul, patrząc na czytnik po prawej.

- Czy mogę prosić pana o rękę, sir? - powiedział, spoglądając na Hawke'a i biorąc za nadgarstek jednego ze zmarłych strażników.

Hawke się uśmiechnął. Po raz pierwszy w napiętej sytuacji Dakkon zdobył się na wisielczy humor, co znaczyło, że staje się prawdziwym żołnierzem.

Łączyły ich teraz więzy przelanej krwi, wspólne doświadczenia i nie ograniczał żaden protokół. W trudnych sytuacjach Hawke lubił mieć u boku tak zgraną drużynę.

- Ależ proszę - odparł Alex. Abdul podniósł prawą rękę jednego ze strażników i przyłożył ją do ekranu, uruchamiając czytnik. Cyfrowe diody pośrodku okrągłych drzwi zaczęły migać.

Wielkie koło ze stali nierdzewnej natychmiast zaczęło obracać się kilka razy. Sekundę później drzwi nagle uchyliły się z syknięciem na jakieś dziesięć centymetrów.

Kiedy tylko się otworzyły, czujnik promieniowania Uggga zaczął po raz pierwszy cicho piszczeć. Sahira spojrzała uważnie na konsolę sterującą robota i obserwowała analizowane przez niego odczyty.

- Te drzwi mają łożowaną powłokę - powiedziała pod nosem.
- Mów na głos, Sahiro - poprosił Hawke.
- Promienie gamma - powiedziała Sahira. - Jesteśmy na tropie.

Bomby jądrowe muszą być gdzieś w tym sejfie. Chociaż sygnał jest bardzo słaby. Może bomby leżą w osłonie. Albo gdzieś daleko stąd.

Abdul i Stokely otworzyli idealnie wyważone dwutonowe drzwi, by wpuścić robota do środka. Sahira za pomocą dżojstika kazała mu przejechać przez dno okrągłego wejścia do sejfu.

- Brak ciepła ludzkiego ciała, żadnych gazów ani bakterii - oznajmiła. - Ślady promieniowania.

- Co tam jest, Sahiro? - zapytał Hawke.

- Złoto - odparła rzeczowo.

- Idźcie - polecił Hawke swoim ludziom. Odsunął się i czekał, aż wejdą, po czym poszedł za nimi.

Złoto. Góra złota jak z fantazji egipskiego faraona. Niezliczone ilości złota, ułożonego w rzędy sztab i sztabek na niezliczonych metalowych półkach, które ciągnęły się daleko w mrok i w górę aż po sufit na wysokości sześciu metrów. Hawke wykonał szybkie obliczenia i ocenił, że ma na wyciągnięcie ręki kilka miliardów dolarów. Teraz wiedział, jak al-Rashad finansował światowy dżihad, skąd miał pieniądze na wysadzanie lotnisk, szkół i szpitali. Dysponował praktycznie nieograniczonymi środkami.

W noktowizorze widział tylko złoto. Ale na końcu jednego ze złotych korytarzy zauważył niewyraźny prostokąt światła i dał sygnał ludziom, żeby poszli za nim. Prostokąt wyglądał jak wyjście.

Ugg wyszedł z sejfu ze złotem jako pierwszy. Rozejrzał się w obie strony, a czujnik promieniowania zaczął pikać wyraźnie głośniej. Sekundę później Sahira, wypatrująca na ekranie wrogów, zawołała do ludzi ukrytych za drzwiami:

- Czysto! Idźcie!

Pod koniec nowego tunelu natknęli się na przeszkodę. Nie fizyczną, ale stale zmieniającą się pajęczą sieć ruchomych czerwonych promieni laserowych. Nie było możliwości, by człowiek przeniknął przez tę barierę, nie wszczynając alarmu wewnątrz górskiej fortecy.

Sahira dotknęła ramienia Alexa.

- Spójrz na tę siatkę. Promienie pochodzą z jakiegoś urządzenia zamontowanego na ścianie na końcu tunelu. Wystarczy je wyłączyć i przejdziemy.

- Słusznie. Ale nie możemy podejść, żeby je wyłączyć.

- My nie, ale Ugg może.

- Ugg nie przecisnie się pod najniższym promieniem. Ma za wysoko wieżyczki.

- Może nie. Patrz.

Sahira wcisnęła jakiś przełącznik na pilocie i robot natychmiast obniżył się tak, że podwozie miał jakiś centymetr nad ziemią.

- Jak, u diabła...? - zdziwił się Hawke.

- Zawieszenie pneumatyczne. Poduszki, które są w stanie unieść go albo obniżyć o trzydzieści centymetrów.

- Magia.

- Czysta.

- Zobaczymy, co potrafi ten twój mały Ugg.

- Jak pan sobie życzy - odparła i przesunęła dźwistik do przodu. Robot żwawo ruszył i po cichu przejechał pod najniższym z jaskrawoczerwonych promieni, z nieco ponad centymetrowym zapasem. Hawke i Sahira patrzyli na ekran, obserwując wmontowane w ścianę laserowe urządzenie.

- I co teraz? - zapytał Hawke.

- Mamy dwa wyjścia. Mogę jego ramieniem otworzyć tę puszkę i odciąć laserowi dopływ prądu. Albo wystrzelić szybką serię z automatu i całkiem go zniszczyć.

- Poproszę pierwsze rozwiązanie. Im ciszej, tym lepiej.

Hawke patrzył, jak mechaniczne ramię Ugga unosi się, otwiera metalowe wieko, ukazując wnętrze laserowego czujnika. Następnie precyzyjne szczypce ostrożnie rozdzieliły splątane kłębowisko kabli. Robot przeciął kilka z nich szczypcami. Następnie podłączył ponownie kabel w czerwonej koszulce do nowego punktu.

- Co on teraz robi? - dopytywał się Hawke.

- Nie pozwala, żeby czujnik poinformował centralkę alarmową, że odcięto mu prąd. Patrz.

Ugg wyszukał szczypcami kabel zasilający i gładko go odciął. Laserowe promienie zniknęły w mgnieniu oka. Tunel był czysty. I nie rozległ się żaden alarm.

- Świetna robota. Chodźmy - rzekł Hawke i ruszył żywo, żeby dogonić Ugga, który zniknął za kolejnym zakrętem. Sahira nagle chwyciła go za ramię.

- Alex! Stój!

- Co?

- Popatrz. - Podniosła pilota. Na ekranie widać było kolejnego zdalnie sterowanego robota, który szybko zbliżał się do Ugga.

- Wygląda identycznie jak ten, którego zaprojektowałaś! - powiedział Hawke.

- Bo to jest jeden z tych, które zaprojektowałam - rzekła Sahira w bezbrzeżnym zdumieniu.

- Ile ich powstało?

- Dosłownie garstka.

- W takim razie jak to się stało, że ten szejk z Arabii ma w swoim prywatnym arsenale supertajne brytyjskie roboty?

- Nie mam bladego pojęcia. Myślę, że tylko ktoś, kto ma dostęp do najważniejszych...

Przerwał jej głośny terkot ognia z karabinu maszynowego.

- Ten drugi strzela do Ugga! Strzelaj! - powiedział Hawke.

Palce Sahiry fruwały po przyciskach błyskawicznie, a Ugg krążył po całym tunelu i bez przerwy zalewał gradem kul swojego bliźniaka. Robot wroga próbował się wycofać, ale Ugg przyspieszył, ścigając złego bliźniaka. Nie przestawał strzelać z dwóch karabinów, póki nie rozwalił tamtego w drobny mak, tak że zostały tylko gąsienice. Wtedy zatrzymał się, dymiąc z luf i sypiąc iskrami.

Hawke uśmiechnął się, czując coś dziwnego. Nagle miał ochotę wznieść okrzyk na cześć tej choleralnej maszynki!

58.

Uśmiech nie trwał długo. Po godzinnej wspinaczce w ciemności zespół, idąc za rannym, ale zwycięskim Uggiem, dotarł do nowego odcinka tunelu. Robot coraz głośniej ostrzegał przed promieniowaniem, zwłaszcza kiedy mijali wejście do nowego tunelu po lewej.

Sahira bardzo chciała sprawdzić, co się w nim kryje, ale Hawke uparł się, żeby iść dalej, póki nie trafią na wroga.

Wiedział, że jego ludzie są zmęczeni i głodni. Krążyli po tym cholernym tunelu od prawie pięciu godzin bez przerwy. Ale nie wolno było robić sobie przerwy, przekonał się o tym boleśnie kiedyś na Kubie. Zginęli przez to ludzie. Alex nigdy sobie tego nie wybaczył.

To był pierwszy oświetlony fragment tunelu, jaki napotkali, i Hawke szedł niezwykle ostrożnie. Po walce robotów wróg musiał już wiedzieć o ich obecności w górskiej fortecy. Kwestią czasu było, kiedy trafią na jakiś zbrojny opór. Bez żadnych informacji o liczbie i stopniu wyszkolenia żołnierzy strzegących al-Rashada po prostu nie miał pojęcia, jakich sił ma się spodziewać.

Nagle Hawke kątem oka dostrzegł jakiś ruch. U góry po prawej. Podniósł głowę i zobaczył małą kamerę monitoringu obracającą się w tę i w tę. Widział nawet, jak porusza się soczewka, przybliżając obraz i przypatrując się jemu i jego niewielkiej grupie uderzeniowej. Ten odcinek tunelu był oświetlony. Ściany zdawały się płakać wodą, która spływała dwoma rowkami po obu stronach tunelu. Hawke zastanawiał się, skąd płynie ta woda. Pewnie przecieka z topniejącego śniegu, rozgrzewanego przez słońce wysoko na niebie.

Od spotkania z wrogiem, kimkolwiek był, dzieliło ich ledwie kilka minut.

Hawke podniósł dłoń i zatrzymał drużynę, a Sahira wysłała robota, żeby wyrzwał za kolejny ślepy zakręt. Patrzyła wstrząśnięta na mały ekran.

- O Boże, Alex, zobacz.

Na ekranie widać było wielki oddział strażników, „cesarskich strażników”, sądząc po przepychu mundurów. Złote szamerunki i szkarłatne sznury, turbany z jedwabiu w tym samym odcieniu czerwieni. Musiało być ich co najmniej pięćdziesięciu. A może i więcej. Maszerowali zwartą formacją w stronę Hawke'a. Było ich tylu, że wypełniali cały tunel, maszerując ramię w ramię w stronę miejsca, gdzie ludzie Hawke'a czekali na rozkazy.

Hawke odwrócił się do nich, by powiedzieć szybko i wyraźnie:

- Tunelem idą żołnierze przeciwnika. Około pięćdziesięciu. Są od nas o jakieś dwie minuty. Sahiro, ty z Abdulem wróćcie i sprawdźcie

ten tunel, przy którym Ugg tak się podniecił. Ale Ugg musi zostać z nami. Potrzebuję go. Dasz sobie radę bez jego czujników?

- Bez problemu. Wzięłam też ręczny miernik, na wypadek gdyby Ugg uległ zniszczeniu. To jego główny pilot. Dasz sobie radę z jego obsługą?

- Tak. Wracaj do tego tunelu, Sahiro. Natychmiast. Znajdź tę cholerną bombę. Stoke, wiem, że twój wielki Bóg Wojny Sun Tzu by tego nie pochwalił, ale moim zdaniem atakujemy, a nie czekamy i się bronimy. Już wiemy, że jest nas niewiele i nie będą się spodziewać ataku z naszej strony.

- Zgoda.

- Wyślemy najpierw Ugga, zaczniemy strzelać z jego karabinów, żeby ich trochę spowolnić, wywołać panikę i bałagan w pierwszych szeregach. Kiedy skończy mu się amunicja, wyjdę i rzucę trzy granaty dymne w sam środek oddziału. Oślepię ich, wypełniając tunel dymem. Potem wyskakujemy zza zakrętu wszyscy i wchodzimy do środka, nacierając na nich jak najszybciej, po prostu strzelając, gdzie się da, od ściany do ściany. Nigdzie nie uciekną, bo jesteśmy w tunelu. Zrozumiano?

- Co do joty.

- Każdy strzela jednocześnie z pistoletu i karabinu, w ten sposób podwoimy naszą siłę ognia. Strzelamy bez przerwy. Musimy się przez nich przebić, aż do końca ich formacji. Wtedy odwracamy się i ostrzeliwujemy ich, cofając się. No i idziemy dalej szukać naszego właściwego celu. Tak czy nie?

- Tak.

Hawke przełączył się na kontrolę wieżyczki strzelniczej i otworzył ogień z dwóch luf robota. Omiatał korytarz śmiertelnym z tej odległości gradem kul. Kiedy padli pierwsi zabici, żołnierze napierający z tyłu przeszli nad martwymi i rannymi, by samym napotkać śmierć. Żołnierze wroga jęczeli i krzyczeli w zamieszaniu. Hawke wyskoczył zza zakrętu i w sam środek oddziału przeciwnika rzucił trzy odbezpieczone granaty, które natychmiast wypełniły tunel gęstym białym dymem.

- Świetnie - powiedział do swoich ludzi. - Zbijamy się razem, trzymamy blisko siebie i idziemy jak jeden organizm, strzelamy tylko do przodu na wysokości piersi. Zrozumiano?

Wszyscy patrzyli na niego ponuro, ale z determinacją, i pokiwali głowami.

- Doskonale. Przebijmy się przez ten oddział i znajdziemy tego cholernego dzieciobójcę. Po to tu przyszliśmy. Już! Już! Już!

Hawke w zbitej grupce swoich ludzi wyszedł zza zakrętu. Jak jeden mąż zaczęli strzelać w kłębiący się dym ze wszystkiego, co mieli pod ręką. Wiedzieli, że trafia, bo wróg nie miał dokąd uciec ani gdzie się schować.

Tamci odpowiedzieli silnym ogniem i Hawke wyczuł, że ponosi spore straty. Ale wróg był zaskoczony i całkowicie zdezorientowany nagłym i ostrym atakiem. Strzelali na oślep, zabijając więcej swoich niż intruzów. Mimo to bojownicy wokół Hawke'a ginęli. Na każde półtora metra korytarza tracił dwóch ludzi.

Hawke czuł, że ma przed sobą falę ludzkiego bólu. Ścinał wszystko, co się przed nim ruszało, i szedł naprzód, ślizgając się na krwi i ludzkich szczątkach. Miał wrażenie, jakby czas się zatrzymał i ta koszmarna podróż przez tunel śmierci miała nigdy się nie skończyć, ale w końcu przebił się przez wijącą się masę martwych i umierających ciał i wyszedł z kłębow dymu, szczęśliwy, że żyje.

Obejrzał się przez ramię na zadymiony korytarz. Najgorszą rzeczą, jaka może spotkać wodza po bitwie, jest pustka za plecami. Ale nagle zobaczył, że z dymu wyłania się Stoke, który wkłada nowy magazynek, obraca się i strzela do resztek przeciwników, którzy jeszcze trzymają się na nogach. Hawke czekał na kolejnych ludzi ze swojej drużyny, bojąc się, że tylko Stoke przeżył ten grad ognia.

Ale po chwili, wspierając się, wyszli dwaj kolejni. Wyglądali na przerażonych rzezią w zamkniętej przestrzeni. Odczekał jeszcze minutę. Tylko jeden bojownik wyszedł z korytarza pełnego dymu i krwi. Jego drużyna liczyła teraz pięciu ludzi. Obdartych, cuchnących mężczyzn z przekrwionymi od dymu oczami, przesiąkniętych krwią od stóp do głów. Pięciu będzie musiało wystarczyć.

A Stokely Jones? Stoke sam wystarczał co najmniej za trzech, pomyślał Hawke.

Węc razem ze Stoke'em było ich ośmiu.

Ściany tunelu nie były już z szorstkiego kamienia, lecz wyłożone gładkim białym marmurem. Widać było klasyczne filary, pilastry i

frontony. Zobaczyli też mocno zdobione ciężkie drzwi z brązu i nisze w ścianach z wypolerowanego kamienia. W każdej ustawiono jakieś starożytne popiersie. Delikatne ukryte lampki wydobywały słabo widoczne załamania i architektoniczne detale, a ściany gęsto obwieszono perskimi tapiseriami.

Po koszmarze, jaki właśnie przeżyli, wyglądało to jak sen. Jakby z podziemnego świata wejść nagle do królestwa Słońca.

Na samym końcu tego rozświetlonego korytarza widać było podwójne masywne drzwi z brązu z płaskorzeźbą lwa. Za nimi, bez wątpienia, czekał pan tego królestwa przepychu. Lew Pendżabu, szejka Abu al-Rashad.

Hawke trzymał w ręku klucze do tego królestwa - broń zdolną przebić dosłownie każde drzwi. I miał teraz okazję jej użyć. Wyciągnął zza paska pocisk z napędem raketowym i przyczepił go do lufy karabinu M4. W przeciwieństwie do granatów, które miały siał zniszczenie w jak największym promieniu, ten ładunek wybuchowy miał za zadanie wybić trzydziestocentymetrową dziurę w metrowej grubości żelbetonie. O ile mu było wiadomo, nigdy nie użyto go do sforsowania takich drzwi, ale co tam.

- Znacie procedurę - powiedział do swojej czteroosobowej ekipy. Ci ustawili się za nim z bronią gotową do strzału i przygotowali się na to, co czekało na nich za drzwiami. Stoke zerknął na granat na końcu lufy karabinu Hawke'a, przyłożył palec do ust i machnął na wszystkich, żeby się cofnęli.

- Jak powiedział Adam do Ewy: „Odsuń się, mała, bo sam nie wiem, na co mnie stać”.

Hawke parsknął śmiechem. Tylko tego im brakowało. Hawke podniósł broń niecałe dwa metry od wielkich zamków łączących dwie pary drzwi i pociągnął za spust. Powstała fala uderzeniowa rzuciła go do tyłu i omal nie zwała z nóg. Drzwi wpadły do środka z ogromną siłą. Gdyby tyle nie ważyły, z pewnością zostałyby wyrwane z zawiasów.

Tymczasem uderzyły po prostu o ściany po obu stronach wejścia, wywołując, jak dostrzegł Hawke, potężne zniszczenia w wyrafinowanej kolekcji sztuki szejka.

- Picasso? - powiedział Hawke, wchodząc do człowieka, który musiał być szejkiem. Z automatycznego pistoletu kaliber 45 mierzył w sam środek klatki piersiowej al-Rashada. Mężczyzna siedział za biurkiem i rozsądnie trzymał obie ręce na blacie. Pokój urządzone z przepychem. Wysokie białe ściany, beczkowato sklepiony sufit, podłogi wyłożone perskim marmurem inkrustowanym półszlachetnymi kamieniami. Na wielu ścianach wisiały tapiserie przetykane złotą i srebrną nicią.

- Tak naprawdę Dubuffet.

- Trudno, dla mnie wyglądają jednakowo - powiedział Alex, wycierając wierzchem dłoni czyjąś krew z oczu.

- Lord Hawke - powiedział al-Rashad, uśmiechając się zza gigantycznego biurka z hebanu i kości słoniowej. Stoke wpadł do wielkiej sali tuż za Alexem, omiatając bronią prawą i lewą stronę, osłaniając Hawke'a i upewniając się, że w pomieszczeniu nie ma nikogo poza celem. Szejek był sam. Stoke dał sygnał i do środka weszli trzej pozostali bojownicy. Zajęli pozycje przy wejściu, wyjściu i przy samym celu.

- Szejek Abu al-Rashad - odparł Hawke. - Przepraszam, że wpadam tak bez zapowiedzi.

- Ależ przybył pan gorąco zapowiadany, wasza lordowska mość. I muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem pańskiego wielkiego wejścia.

- Doprawdy? A czy mogę zapytać, kto mnie zapowiedział?

- Rzecz jasna, nasz wspólny przyjaciel. Pan Smith.

- Ach, wszędobylski pan Smith. Dziwne, że nigdy się nie spotkaliśmy. Po tylu latach. Szkoda.

- On z pewnością zna pana.

- W takim razie z przykrością muszę stwierdzić, że pan Smith ma nade mną przewagę.

- Owszem, ma.

- To znaczy?

- To znaczy, że wkrótce zmieni bieg brytyjskiej historii. I nie można już nic na to poradzić.

- W takim razie sprawa nie zasługuje na dyskusję, prawda?

- Chyba nie. Szuka pan tu zaginionego urządzenia? Czy chce mnie pan po prostu zabić?

- W zasadzie chodzi mi o jedno i o drugie.

- To dobrze. W takim razie wspólnie założymy złote skrzydła i pofruniemy do bram raju.

- Nie sądzę.

- A ja tak - odparł szejka i podniósł prawą dłoń, w której coś trzymał. Był to błyszczący czarny przedmiot wielkości i kształtu paczki papierosów. - To detonator bomby o sile jednej kilotony. Właśnie wcisnąłem guzik. Teraz jest uzbrojona. Jeśli zechce mnie pan zastrzelić, a jak mniemam, chce pan to zrobić, mój palec z pewnością puści guzik detonatora. Ja z radością powitam męczeńską śmierć. Pan i wszyscy żywi ludzie we wnętrzu tej góry zginiecie na miejscu. Na Allacha, to będzie coś. Cały czubek Wazizabad polecą w niebo. Cudownie.

- A jeśli nie strzelę?

- Będzie pan nadal żył. Będzie pan świadkiem. Stoimy na progu nowego porządku świata, lordzie Hawke. Kalifatu. Świata, w którym wszystkie narody będzie obowiązywało prawo szariat. Nowy złoty wiek islamu. Wierzy pan w Boga, lordzie Hawke?

- Wierzę, że ta chwila w czasie nie jest przypadkiem.

- Szanuję pańską wiarę.

- Stoke? - zapytał Hawke, patrząc w oczy przyjacielowi. - Co o tym sądzisz?

- Ciężki wybór, szefie.

- Właśnie.

- Myślę, że powinniśmy spełnić nasz obowiązek i tyle. Od dawna wiemy, że kiedyś trzeba umrzeć. W ten sposób przynajmniej odejdziemy w blasku chwały, wiedząc, że zrobiliśmy to, co należało.

- Pamiętasz ostatnie słowa admirała lorda Nelsona, kiedy umierał na pokładzie po spektakularnym zwycięstwie nad Francuzami pod Trafalgarem?

- Nie, szefie.

- Dzięki Bogu spełniłem swój obowiązek.

- Tak. O to właśnie chodzi.

- Od dziecka marzyłem, żeby właśnie w ten sposób odejść z tego świata. To piękna śmierć, w poczuciu spełnionego obowiązku.

Hawke podniósł pistolet i wymierzył w głowę szejka.

- Szefie, nie zrozum tego opacznie. Jeszcze jedno. Kocham cię jak brata. Zawsze cię kochałem i zawsze będę kochał.

- Ja ciebie również, Stoke, dziesięciokrotnie bardziej.

Hawke zmówił w milczeniu krótką modlitwę i pociągnął za spust.

Abu al-Rashad, który nie przypuszczał, że Hawke zdecyduje się dobrowolnie na samobójstwo, zmarł z tą właśnie myślą kotłującą się w jego zepsutym mózgu.

Alex Hawke, który ułamek sekundy wcześniej gotów był oddać życie za kraj, ze zdumieniem stwierdził, że nadal żyje. Mózg al-Rashada rozsmarował się po ścianie za jego plecami. Mały czarny pilot wypadł mu z dłoni i pacnął na marmurową podłogę, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Hawke, wciąż oszołomiony, usłyszał za sobą jakiś głos:

- No dobra, moje gołąbeczki. Abdul i ja znaleźliśmy tę cholerną bombę - odezwała się Sahira od drzwi.

- Znaleźliście? - powtórzył Hawke. Miał wrażenie, jakby wysłał ją na poszukiwania w poprzednim życiu.

- Na końcu tego tunelu, w którym Ugg się ożywił. Rozbroiliśmy ją jakieś pięć minut temu.

- Dopiero pięć minut temu? - powiedział z niedowierzaniem Stoke.

- A to jakiś problem?

- No, trochę mógł być.

Hawke i Stoke patrzyli na Sahirę z bezbrzeżnym zdumieniem, jak precyzyjnie udało im się oszukać śmierć. Następnie obaj zaczęli się uśmiechać do niej, a potem rzucili się sobie w ramiona i zaczęli poklepywać po plecach, nie mogąc powstrzymać się od radosnego śmiechu.

Jak powiedział kiedyś Churchill, nie był to jeszcze początek końca, ale przynajmniej koniec początku.

59.

Zamek Balmoral, Szkocja

Samotny mężczyzna szedł przez gęsty szkocki las o zmierzchu. Pod stopami miał miękki sprężynujący mech. Wieczór był wczesny, a

mężczyzna szedł powoli pod wysokimi drzewami o potężnych konarach. Szedł uważnie, nie ukradkiem, ale jakby miał świadomość, że jest obserwowany. Oczywiście tak było, ale był znaną w okolicy postacią i nie stanowił zagrożenia. Wełnianą czapkę naciągnął mocno na czoło, skrywając drapieżny uśmiech i ciemne błyszczące oczy.

Drzewa, pod którymi przechodził, obsiadły niczym ptaki niezliczone maleńkie kamery monitoringu. Wszędzie znajdowały się też niewidoczne czujniki ciepła, dźwięku i ruchu, porozrzucane po całej posiadłości. Serce waliło mu jak młotem, gotowe roztrzaskać żebra, ale był pewien, że nawet najbardziej wyrafinowane czujniki nie są w stanie wykryć bicia serca.

Idąc, podśpiewywał cicho na użytek niewidocznej publiczności piosenkę ukochanego syna Szkocji, Robbiego Burnsa:

„Jeśli ktoś by spotkał kogoś
Idąc poprzez zboże
Jeśli ktoś by pocałował
Krzyczeć ma niebożę?
Chłopcy śmieją się, o Boże,
Kiedy idę poprzez zboże!”

O zmierzchu fioletowy bezruch ogarniał bezkresne lasy, wrzosowiska i spokojne rzeki w posiadłości Balmoral. Szedł między czarnymi pniami wspaniałych drzew, liczących często setki lat. Niektóre sadił pewnie sam książę Albert. Rozkoszował się każdym krokiem tej przechadzki.

Całe życie czekał na tę noc i na tę chwilę. Przewidział to wszystko jako chłopiec. Całe życie, niezależnie od tego, co miała przynieść odległa przyszłość, miał poświęcić czekaniu na ten dzień ostatecznego rozrachunku.

Serce zabiło mu żywiej, kiedy głęboko w lesie dostrzegł niewielkie światło. Zwolnił kroku. Zbliżał się do niewielkiej piętrowej chatki. To stamtąd dochodziło światło. Zbudowano ją z ciosanych z gruba bali, przykrytych dachówką porośniętą mchem. Z dwóch kominów sączyła się smużka dymu. Wyglądała jak dziesiątki podobnych chatek zbudowanych przez wieki na terenie tej posiadłości.

Ale ten konkretny budynek był niepodobny do innych. W tym niepozornym miejscu mieściło się centrum dowodzenia ochrony Balmoral i to tu działał najnowocześniejszy na świecie system wykrywania intruzów naruszających teren posiadłości. Zarządzała nim jednostka SO15, teraz oficjalnie nazywana jednostką antyterrorystyczną. Powstała ona z niedawnego połączenia starej sekcji specjalnej założonej w 1883 roku i znacznie nowszej sekcji antyterrorystycznej. Obie działały w ramach Scotland Yardu.

Detektywi stacjonujący na terenie posiadłości współpracowali ściśle z agentami lorda Malmsey'a, dyrektora generalnego MI-5, i byli odpowiedzialni za bezpieczeństwo Jej Królewskiej Mości i wszystkich członków rodziny królewskiej podczas letnich wakacji w zamku Balmoral.

W tej chacie przez całą dobę dyżuruwała czteroosobowa ekipa. Obsługiwali niezwykle system monitoringu, który pilnował, by nikt nie naruszał strefy bezpieczeństwa wokół królowej i jej rodziny. Było to zadanie na pełen etat. Ale trzeba oddać sprawiedliwość, że do tej pory nie zdarzyło się, by ktokolwiek przedarł się przez ten niezawodny system.

Smith doskonale wiedział, że Balmoral to ulubione miejsce królowej. Podobnie jak jej matki i wcześniej - babki. Zajmowało szczególne miejsce w sercu jej królewskiej mości, bo tylko tutaj czuła się całkowicie bezpieczna. Tu, z dala od świata, mogła jeździć po kilometrach polnych dróg za kierownicą swego poobijanego range rovera, mogła robić to, co chciała, otoczona końmi, ukochanymi owczarkami Corgi i oczywiście rodziną. W poprzedniej dekadzie przetrwali wiele burz, ale teraz wydawało się, że spokój zagościł w rodzinie na dobre.

Pan Smith już dawno temu postanowił, że właśnie w tej oazie spokoju, w tym rajku odziedziczonym po królowej Wiktorii, złoży rodzinie Windsorów ostatnią, przerażającą wizytę.

Jesienią 1842 roku królowa Wiktorii i jej nowy mąż, książę Albert, złożyli pierwszą wizytę w Szkocji. Tak zaskoczyło ich majestatyczne piękno szkockich wyżyn, że postanowili tu wracać częściej. Przez lata Wiktorii i Albert korzystali z uprzejmości przyjaciół, którzy z wdzięcznością otwierali swe zamki i posiadłości przed niezwykle popularną królewską parą.

Tymczasem lekarz królowej, sir James Clark, bywał gościem sir Roberta Gordona w jego niewielkim zamku w Balmoral, leżącym na wschód od gór Grampian, nieopodal rzeki Dee. Królowa Wiktorija nasłuchiwała się wielu entuzjastycznych opowieści od sir Jamesa nie tylko o cudownym krajobrazie, lecz także powietrzu, które lekarz zachwalał jako „niezwykłe suche i czyste”.

W 1848 roku sir Robert Gordon zmarł i posiadłość wystawiono na sprzedaż. Kupiła ją królowa Wiktorija i jesienią tego roku wraz z księciem Albertem przyjechali, by przejąć posiadłość, której nie widzieli na oczy. Nie rozczarowali się. W swoim dzienniku tego pierwszego wieczoru, kiedy cały dom jeszcze nie położył się spać, królowa opisała „śliczny mały zamek w starym szkockim stylu, otoczony pięknymi zalesionymi wzgórzami”.

„Jest tu tak spokojnie i odludnie - pisała - że człowiek odpoczywa, rozglądając się wokół. Zaś czyste górskie powietrze orzeźwia doskonale. Wszystko tu oddycha wolnością i spokojem, pozwalając zapomnieć o świecie i jego smutnej wrzawie. Piękniejszego krajobrazu niż tutaj nigdy nie widziałam. Można iść bez końca pośród dziczy, na odludziu, gdzie wszystko jest tak cudowne, tak odświeżające. A miejscowi ludzie tak dobrzy, tak mili i tak prości”.

Dziś prywatna posiadłość królowej, należąca do Korony, zajmuje nieco ponad dwieście kilometrów kwadratowych, zaś kolejne pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych jest wydzierżawionych. Większość terenu zajmują porośnięte wrzosem granitowe wzgórza. Bardziej żyzna ziemia leży wzdłuż południowego brzegu rzeki Dee. Tu mieszczą się pola i lasy. Teren posiadłości jest mocno zróżnicowany. Miejscami bardzo mocno się wznosi. Nad okolicą góruje masyw Lochnagar o wysokości blisko tysiąca dwustu metrów.

Co roku w sierpniu i wrześniu jej królewska mość Elżbieta II, książę Edynburga, książę Walii, jego żona i dwóch dziedziców tronu - Will i Harry - porzucają Londyn i przenoszą się na miesiąc lub dłużej do zamku Balmoral. Tu rodzina królewska może uciec przed wścibskim okiem społeczeństwa i chodzić na spacerki albo na polowania, tropiąc czternastoletnie jelenie, które pasą się na wrzosowiskach.

Można również pływać łodzią i łowić ryby na Loch Muick, choć nazwy tego akurat jeziora królowa ponoć szczerze nie znosi, bo oznacza ona „świnie”.

Karol obudził się tego ranka z uczuciem oczekiwania. Jego żona, księżna Kornwalii, w Szkocji znana jako księżna Rothesay była nieobecna. Pojechała do Londynu ze swoim synem Tomem, chrześniakiem Karola, który nagle zachorował. Za to obaj synowie księcia Walii byli w domu na urlopie z wojska. Wszyscy czekali na wspaniały dzień na świeżym powietrzu, w gronie najbliższych przyjaciół i rodziny.

Dzisiejszy dzień miał być bardzo szczególny. Dwunastego sierpnia co roku w całym Zjednoczonym Królestwie świętowano początek sezonu strzeleckiego na czerwone kuropatwy. Ponieważ księżę Karol miał wśród przyjaciół wielu zapalonych myśliwych, zwykł zapraszać ich do Balmoral na dzienną wyprawę na wrzosowiska, gdzie strzelali do ptactwa, by potem wieczorem cieszyć się ucztą z dziczyzny w towarzystwie rodziny królewskiej i jej gości. W kuchni czyniono właśnie ostatnie przygotowania przed wielkim wieczornym bankietem.

Smith miał jakieś trzydzieści metrów do chatki, kiedy nagle zatonął się i ścisnął z bólu pierś. Musiał wyciągnąć rękę, żeby przytrzymać się pnia drzewa. Po chwili z trudem dotarł do bocznego wejścia.

Smith wszedł na kamienne schodki i zastukał w zniszczone drewniane drzwi. Z twarzą wykrzywioną w grymasie bólu ścisnął się desperacko za pierś, oddychał ciężko i walił ręką w doskonale zabezpieczone drzwi.

- Słucham, sir? - odezwał się detektyw sekcji specjalnej, patrząc na niego uważnie przez lekko uchylone drzwi. - Wszystko w porządku, sir? Nie wygląda pan, niestety, najlepiej.

- John. Kochany stary John. Słuchaj. Czy... czy możesz mi pomóc, proszę. Ch... chyba mam, cholera, atak serca. Bądź człowiekiem... - Po tych słowach rzucił się na drzwi i mężczyzna w środku musiał złapać go w ramiona. Trzej pozostali oficerowie strzegący kompleksu patrzyli na niego z otwartymi ustami, jak zdejmuje skórzaną torbę, którą miał przewieszoną przez ramię, i upuszcza ją na podłogę.

- Wielki Boże, sir, spokojnie! Trzeba go natychmiast zawieźć do lekarza!

Jęknął z bólu, a człowiek o imieniu John położył go na podłodze i odwrócił się w stronę konsoli i telefonu alarmowego.

- Jeszcze chwileczkę, sir. Lekarz jest na całodobowym dyżurze. W try miga tu przyleci, słowo daję.

- Obawiam się, że to nie będzie konieczne - odezwał się nagle mężczyzna silnym głosem.

Cała czwórka detektywów obróciła się i zobaczyła, że gość stoi na własnych nogach, oddycha normalnie i kieruje w ich stronę długą lufę rewolweru magnum kaliber 357.

- Panowie, ręce w górę, tak żebym je widział. Wstawać z foteli. Już! Stańcie wszyscy razem pośrodku pokoju. Stańcie w rzędzie, twarzą do ściany.

Patrzyli z przerażeniem na wielki pistolet z tłumikiem w rękę tego człowieka. Nie mieli wyboru, musieli spełnić jego polecenie. Nie mieli nawet ułamka sekundy, by wysłać cichy sygnał alarmowy. Robili po prostu, co im kazał.

- Nosem do ściany, ręce na plecy - polecił spokojnie i szybko związał ich plastikowymi opaskami. - Świetnie. A teraz mówcie, ilu jest was teraz na służbie na terenie posiadłości?

- Tylko nasza czwórka - odezwał się John z głosem pełnym wściekłego gniewu. Jak mógł być tak głupi? Przecież szkolono go, żeby nie otwierać drzwi nikomu, w żadnych okolicznościach. - Nigdy ci się nie uda to, o czym myślisz. Nie masz bladego pojęcia, na co się porywasz.

- Czyżby? A skąd ty możesz to wiedzieć? Prawdę mówiąc, wiem dokładnie, na co się porywam. A to oznacza, że nie jesteście mi już do niczego potrzebni. Poza tobą, John. Odsuń się, proszę, i usiądź na podłodze, plecami do ściany.

- O Boże, nie, proszę, nie...

Podchodził po kolei do każdego z trzech stojących mężczyzn i bez słowa strzelał im w potylicę. Spojrzał na zegarek i szybko podszedł do konsoli, przyglądając się monitorom na górze. Natychmiast odszukał ten, o który mu chodziło - wyświetlał pod różnymi kątami obraz sprzed głównego wejścia na teren posiadłości. W tej właśnie chwili do czarnej bramy z kutego żelaza podjechała wielka dostawcza furgonetka.

Nawet tu na szkockich wyżynach furgonetkę rozpoznawali od razu wszyscy. Miała logo Harrod's, najsłynniejszego na świecie domu towarowego mieszczącego się w Knightsbridge. Furgonetki tego imperium handlowego często widywało się na drogach w Aberdeenshire. Na A93 między Braemar i Crathie i na drogach lokalnych. Przyjeżdżały z Londynu, zwykle dostarczając skarby z całego świata do najzaciewniejszych domów w okolicy.

Furgonetka polakierowana na charakterystyczny kolor Harrod's, odcień nazwany „zielenią Harrod's”, któremu najbliższej było do metalicznej zieleni wojskowych pojazdów. Na obu burtach i tylnych drzwiach miała znany wszystkim odręczny napis „Harrod's” wymalowany złotymi literami.

Harrod's, tak się składa, należał do ojca Dodiego al-Fayed, egipskiego playboya, który zalecał się do księżnej Walii, z którą w końcu zginął w wypadku samochodowym w Paryżu. W trakcie słynnego procesu al-Fayed senior publicznie i donośnie oskarżał rodzinę królewską i MI-6 o śmierć swojego syna i Diany.

To, że akurat taka furgonetka stoi właśnie u wrót najukochańszego azylu rodziny królewskiej, stanowiło całkiem sporą dawkę słodkiej ironii. A pan Smith uwielbiał ironię.

Smith odszukał główny włącznik otwierający bramę. Wcisnął oznaczony przycisk i wielkie czarne wrota się rozsunęły. Zielona furgonetka wtoczyła się na teren posiadłości i brama szybko się za nią zamknęła. Zamiast jechać główną drogą w stronę zamku, kierowca skręcił w lewo, w wąską ścieżkę wijącą się przez gęsty las i kończącą się na parkingu przy głównej kwaterze ochrony. Stało tam wiele innych pojazdów, zwykle furgonetek z otwartą paką i napędem na cztery koła, którymi można było poruszać się po terenie posiadłości w każdą pogodę.

Smith czekał z niepokojem na zewnątrz, aż w końcu zobaczył jak furgonetka wyłania się z ciemności i parkuje obok dwóch ochlapanych błotem land roverów defender. Uśmiechnął się na widok anteny satelitarnej stawianej właśnie na dachu furgonetki. W środku znajdowała się cała elektronika niezbędna, by nadawać z tego miejsca obraz na żywo.

Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i wysiadł przez nie jego stary przyjaciel ze szkolnych lat, chudy mężczyzna w uniformie

dostawcy Harrodsa. Nazywał się Hurri Singh. Był jednym z najczęściej odznaczanych bohaterów pakistańskiej armii i jednym z niewielu ludzi na ziemi, którym ufał bez zastrzeżeń. Objęli się ciepło i poklepalili po plecach.

- Jak sądzę, nie mieliście żadnych kłopotów w drodze z Londynu? - zapytał Smith.

- Nawet najmniejszych.

Obaj podeszli do tyłu furgonetki i Singh otworzył kłódki zabezpieczające podwójne drzwi. Kiedy otworzył je szeroko, można było zobaczyć za nimi trzydziestu uzbrojonych po zęby mężczyzn. Dziesięciu było w cywilnych ubraniach, dziesięciu w doskonałych kopiach mundurów ochrony Balmoral, zaś kolejnych dziesięciu w pełnym kamuflażu. Siedzieli na ławeczkach naprzeciwko siebie.

Widać było zapał w ich oczach. To agresywni młodzi ludzie zwerbowani z biedniejszych, bardziej radykalnych dzielnic Londynu, wszyscy prześwietleni pod kątem inteligencji, odwagi i zaangażowania religijnego. Kiedy już ich wybrano, zostali wysłani w góry na północnym zachodzie Pakistanu. Tam, pod egidą szejka Abu al-Rashada, przeszli ciężkie półroczne szkolenie wojskowe i terrorystyczne w obozie mieszczącym się w bunkrze w górze Wazizabad.

Przygotowania tych brytyjskich bojowników do tej operacji nadzorował jeden z najbardziej zaufanych i doświadczonych oficerów Abu al-Rashada, absolwent Sandhurst, który posunął się nawet do zbudowania makiety wnętrza szkockiego zamku. Był to pułkownik Abu Zazi. Zwalisty, brodaty wojownik pustyni wysiadł z ciężarówki i objął Smitha.

To Zazi miał pokierować kluczowym etapem ataku.

Szturmem na zamek Balmoral.

60.

Cała trzydziestka młodych, wychowanych w Wielkiej Brytanii terrorystów zebrała się wokół Smitha przy głównym panelu kontrolnym, pilnie słuchając każdego jego słowa. Nikt nie zwracał

najmniejszej uwagi na trzy zakrwawione ciała rzucone w kąt pod ścianą z tyłu. Młodzi ludzie, niedawno jeszcze nastolatki, byli bardzo skupieni. Dziś mieli wykorzystać wszystko, czego uczyli się przez długie tygodnie w pakistańskich górach. W końcu będą mogli się zemścić za upokorzenie i wykluczenie, jakich doznały ich rodziny, przyjeżdżając kilkadziesiąt lat temu do Wielkiej Brytanii.

To właśnie tym chłopcom, tym gniewnym dzieciom islamu, przypadło w udziale zadanie bezprecedensowo silnego ciosu niewiernym i ich najwyższym władcom.

Dziesięciu młodych bojowników miało na sobie mundury straży zamku w Balmoral odwzorowane z fotograficzną precyzją, co do guzika. To oni mieli jako pierwsi wkroczyć do działania i Smith zwrócił się najpierw do nich:

- Jak doskonale wiecie, waszym pierwszym celem będzie neutralizacja ochrony w Balmoral i systemu monitoringu Raytheona, czyli elektronicznego alarmu i czujników. Tych dziesięciu ludzi rozstawionych jest teraz w lasach wokół zamku. Dziesięć stacji monitorujących nie większych niż mały garaż. Wszystkie mają łączność z tym centrum kontroli. W obozie w Wazizabad dostaliście mapy posiadłości Balmoral z zaznaczonymi wszystkimi posterunkami i ich numerami. Pułkownikowi Zazi, czy wszyscy mają mapy?

- Oczywiście.

- Świetnie. Kiedy dam rozkaz, wasza dziesiątka rozjedzie się na wyznaczone posterunki samochodami, które stoją na parkingu, jasne?

- Jasne, sir - odparli wszyscy po angielsku bez żadnego akcentu.

- Nie zbaczajcie z wyznaczonych szlaków przez las. Każda stacja ma podgląd na żywo z kamer zamontowanych w sektorze pilnowanym przez danego strażnika. Poza tym, jak wiecie, stale pilnują odczytów z rozmaitych czujników, które mają ich ostrzec przed wszelkimi intruzami na terenie posiadłości. Zrozumiano?

Wszyscy jak na komendę kiwnęli głowami.

- Mój drogi przyjaciel John leżący tam na podłodze ułatwi wam podejście do każdego posterunku. John ma tu na terenie posiadłości uroczą rodzinę, niecałe dziesięć kilometrów stąd. Więc John na pewno powiadomi dyżurnych oficerów o waszym przyjeździe. Kiedy podjedziecie na miejsce, macie wyglądać jak elektrycy, których będą

się spodziewać dyżurni. W tamtym worku leżą ciemnozielone kombinizony ekipy elektrycznej z Balmoral i czapki, które musicie nasunąć sobie nisko na twarz.

- Jedno pytanie - wtrącił się Hurri.

- Tak?

- Czy szyby w tych posterunkach są kuloodporne?

- Dobre pytanie. Powinniście przerobić to na szkoleniu. Tak, są kuloodporne. Dyżurny oficer musi was wpuścić. Kiedy będziecie pukać w okno, szeroko się uśmiechajcie. Pamiętajcie, oni też mają broń. Coś jeszcze? Nie? Świetnie. Kiedy tylko John was zapowie, jedźcie. John? Teraz twoja kolej.

Dwóch młodych terrorystów przyciągnęło związanego szefa ochrony do konsoli i usadziło go przed mikrofonem. Następnie zdjęli mu kajdanki.

Smith usiadł na brzegu konsoli i spojrzał na ewidentnie przerażonego szefa ochrony.

- John, rób dokładnie to, co ci powiem. Jeśli choć trochę zmienisz scenariusz, zapewniam cię, że ci dwaj pojadą prosto do twojego domu i zabiją całą twoją rodzinę. Dzieci najpierw. Wiesz przecież, że to zrobię, prawda, John?

Skinął głową ze łzami w oczach, był załamany.

- Po pierwsze, John, masz wyłączyć zasilanie wszelkich czujników ruchu i ciepła wokół posiadłości. Już.

Niczym automat John sięgnął i przesunął w dół trzy jasno-czerwone dźwignie. Wszystkie odczyty z czujników nagle zgasły.

- Bardzo dobrze. Teraz to samo zrób ze wszystkimi kamerami monitoringu. Wyłącz je.

Kiedy szef ochrony to zrobił, Smith położył przed nim ręcznie napisany tekst i przysunął mu mikrofon.

- A teraz wygłosisz ten komunikat. Będziesz mówił z pistoletem przy skroni, więc nie popełnij jakiegoś głupiego błędu.

I masz mówić najbardziej naturalnie, jak się da, zważywszy na okoliczności. Zróbmy próbę, dobrze? Przeczytaj to najpierw bez włączonego mikrofonu.

John przeczytał jedynie z lekkim drżeniem głosu. W głowie miał tylko twarze członków swojej ukochanej rodziny.

- Całkiem nieźle. Ale tym razem postaraj się, żeby zabrzmiało to swobodniej. „To tylko drobna usterka, chłopaki”. Włączamy mikrofon i jedziemy na żywo.

Mężczyzna pochylił się do mikrofonu i powiedział:

- Panowie, uwaga. Jak pewnie zauważyliście, mamy tu małe zamieszanie w elektryce. Jakies spięcie między waszymi posterunkami a główną stacją kontroli. Powiadomiłem ekipę inżynierską i elektrycy już do was jadą, żeby przywrócić zasilanie.

Muszą sprawdzić instalację w waszych posterunkach. Twierdzą, że za kilka minut wszystko powinno wrócić do normy. Bez obaw, chłopaki. Wszyscy mnie słyszą?

Dziesięciu oficerów odpowiedziało przez radio twierdząco.

- A teraz, John, masz wyłączyć łączność między posterunkami. Połączenia komórkowe już im zakłóciliśmy. Nie mogą rozmawiać między sobą. Kiedy tylko chłopcy unieruchomią wasz system, przejdziemy do pułkownika Zazi i etapu drugiego. Za jakąś godzinę. John, jak poinformuje cię generał Singh, masz jeszcze do odegrania pewną rolę. Dlatego jeszcze żyjesz.

- Szlag by to trafił - mruknął John pod nosem.

- Pułkownikowi Zazi, czy pańscy ludzie wszystko już wiedzą i są gotowi?

- Oczywiście. Czekamy na pańskie rozkazy.

- Świetnie. Niech tymczasem sprawdzą jeszcze raz broń.

Od tej chwili Hurri Singh miał przejąć dowodzenie nad centralą ochrony i opanowanymi posterunkami. Ludzie wysłani w teren, by zneutralizować ochronę zamku Balmoral, byli wyszkoleni, by zastąpić strażników na poszczególnych posterunkach. Wszystkie kamery i czujniki miały zostać ponownie włączone. Balmoral miał się znów stać niezdobytą twierdzą.

Congreve był podekscytowany. Znajdował się nie gdzie indziej tylko w zamku Balmoral, stał w kilcie (chyba po raz pierwszy miał na sobie spódnicę) i Jego Książęca Wysokość, książę Edynburga miał właśnie opowiedzieć jemu i jego narzeczonej lady Dianie Mars... dowcip.

- Na pewno tego nie słyszeliście? - upewnił się książę zniżając głos i pochylając się konspiracyjnie.

- Na pewno, Wasza Wysokość - odparła Diana z kamienną miną.
- Proszę mówić.

- No cóż - odparł księżę Filip, ściszej głoś. - Więc jak mówiłem, jeden gość z Chilton wygrał w lotto miliard funtów czy coś koło tego. I jego kumpel pyta: „Kurczę, Harry, masz wróżkę za matkę chrzestną?” A Harry patrzy na niego i mówi: „Matki nie, ale ojca chrzestnego i owszem”.

Congreve, który nie liczył, że będzie się z czego śmiać, parsknął tak mocno, że uronił kroplę czy dwie szampana na gruby dywan. Ukochana Diana wybuchnęła perlistym śmiechem i posłała księciu uśmiech może nie flirtujący, ale na pewno temu bliski.

- Cudownie, że wpadliście do nas do Balmoral, inspektorze i lady Mars - powiedział i oddalił się w poszukiwaniu lepszej zdobyczy. Dostrzegł tego wieczoru kilka uroczych dzierlatek, a bardzo lubił ich towarzystwo.

- Całkiem niezły dowcip zaserwował nam Jego Księżęca Wysokość, nie sądzisz? - powiedziała Diana.

- Tak, tak, kochanie, naprawdę bardzo dobry - odparł Ambrose, rozglądając się po sali. Wypełniali ją obwieszone biżuterią damy w cudownych wieczorowych sukniach i kawalerowie w kiltach i sporranach*, pełen sznyt. Taki strój nazywano szkockim frakiem i nosiło się go z okazji rozpoczęcia sezonu na kuropatwy.

* Sporran - torebka ze skóry lub futra noszona na kilcie.

Congreve taksował wzrokiem towarzystwo, w duchu ciesząc się, że znalazł się w tak szacownym gronie. Wokół widać było same znajome twarze, niektóre bardziej szanowane od innych. Z radością patrzył na królową stojącą w kącie obok fortepianu ze zdjęciami w srebrnych ramkach. Miała na sobie niebieską garsonkę z zapierającą dech w piersiach diamentową broszą na ramieniu. Popijała drinka, który, jak głosiła plotka, zawsze składał się z dżinu i Dubonnet. Co za urocza osoba, pomyślał Ambrose, czy ma pełne blasku, uśmiecha się, rozmawiając z ludźmi wokół, i zawsze pilnie słucha tego, co się do niej mówi. Już za samo to w oczach Congreve'a zasługiwała na najwyższy szacunek.

Kiedy Diana powiedziała mu o zaproszeniu do Szkocji, zaparło mu dech w piersiach. Owszem, miło sobie pogawędzili z księciem Karolem w Highgrove - o ogrodnictwie, daliach i tak dalej. Ale mimo

wszystko, weekend w Balmoral? To mogło zawrócić w głowie.

- Wygląda na to, że przypadliśmy sobie z Karolem do gustu w Highgrove, Diano - nadął się lekko Ambrose.

- To nie Karol nas zaprosił, głuptasie - odparła. - Camilla i ja jesteśmy bliskimi kuzynkami. Nie wspominałam ci?

- Nie, kochanie, chyba nie.

- Spójrz, skarbie! Tam przy kominku siedzi Karol. Wygląda przeuroczo ze swoimi chłopakami. Muszę przyznać, że wygląda na bardzo szczęśliwego. Will i Harry też. Czyż nie są przystojni, kochanie? Nietrudno zrozumieć, dlaczego dziewczyny tak za nimi szaleją, co?

A więc byli w Balmoral. Alex Hawke też miał tu być, ale musiał zostać w północnym Pakistanie jeszcze przez kilka dni. Przesłuchiwał więźniów pojmanych podczas wyprawy, w trakcie której udało mu się odnaleźć i rozbroić bomby atomowe wykradzione z arsenału w Islamabadzie. Teraz leciał do kraju na pokładzie bombowca RAF-u, ale pewnie nie zdąży wpaść tu na weekend.

W istocie Ambrose nie znał tu prawie nikogo. Oceniał, że na kolację zaproszono około trzydziestu gości. Większość stanowili członkowie rodziny królewskiej, których znała Diana, koledzy myśliwi Karola, m.in. Montague Thorne, uroczy człowiek, którego poznał i polubił w Highgrove, także wielu ministrów i parę ważnych osób z Londynu, w tym jego dobry znajomy „C”, czyli sir David Trulove, oraz lord Malmsey z MI-5. Wcześniej Ambrose i Trulove dopadli lorda Malmsey'a i z podkoloryzowanymi szczegółami opowiedzieli mu o swojej śmiałej wyprawie na rastafariańską fortecę na Nonsuch Island na Bermudach.

Dokładnie o ósmej szkocki dudziarz w pełnym rynsztunku pojawił się w sali gościnnej i tęskną melodią dał sygnał, że podano kolację. Ambrose wziął Dianę pod rękę i z pewną dumą zauważył na jej palcu diament swojej matki. Wspólnie przeszli do jadalni.

Miłość królowej do wszystkiego co szkockie widać było na każdym kroku. Długi mahoniowy stół był obficie zastawiony. Goście siedzieli na krzesłach obitych czerwoną skórą, nad głowami mieli klasycznie rzeźbiony sufit, wokół na wysokich oknach draperie w szkocką kratę, a na ścianach i nad kominkiem podziwiali potężne

szkockie pejzaże w grubych złożonych ramach. Jako że wieczór był chłodny, w kominku buzował ogień.

Królowa siedziała na końcu stołu, po prawej stronie Congreve'a. Po lewej, na drugim końcu stołu zabawiali gości książe Filip i jego wnukowie siedzący po prawej i lewej. Dianę posadzono obok księcia Karola, mniej więcej w połowie stołu. Ku swemu zdziwieniu Congreve po prostu nie mógł oderwać wzroku od królowej. Jej królewska mość wydała mu się niezwykle miłą osobą. Udało mu się nawet zamienić z nią kilka słów, kiedy witała gości na początku wieczoru.

- Z tego co słyszałam, jest pan na emeryturze, inspektorze - powiedziała królowa Elżbieta, kiedy ucisnął jej dłoń i pokłonił się uprzejmie.

- Tak, Wasza Królewska Mość - odparł zdumiony, że królowa cokolwiek o nim wie.

- I jak się panu żyje na emeryturze?

- Cóż, Wasza Królewska Mość, wciąż do mnie strzelają.

- Doprawdy? Zatem trzeba zawsze pamiętać, żeby się w porę uchylić, prawda?

Ambrose Congreve miał skosztować pierwszy kęs słynnego haggisa (niemal mitycznej szkockiej potrawy, o niewątpliwie niecodziennym smaku), kiedy tętniąca życiem i radością jadalnia nagle pogrążyła się w kompletnych ciemnościach.

Zgasły wszystkie światła, najwyraźniej nie tylko te w jadalni, ale też w kuchni, przyległym salonie, wszędzie. Tak jakby ktoś wyciągnął wtyczkę całego zamku Balmoral.

- Proszę zachować spokój - odezwał się jakiś zdecydowany męski głos z mocnym akcentem. Wszyscy siedzieli spokojnie na swoich miejscach. Jak zwykle w takich wypadkach wokół rozlegały się ciche rozmowy i od czasu do czasu nerwowy śmiech.

Ambrose usłyszał i poczuł, że w stronę prawego końca stołu biegną jacyś ludzie. Uznał, że to zamkowi detektywi idą strzec Jej Królewskiej Mości.

Światła mignęły raz czy dwa i znów się włączyły. Wyglądało to, jakby zasnęli i obudzili się w zupełnie innym świecie.

Po krótkiej chwili, kiedy goście znów mieli czas przywyknąć do światła, jakaś przerażona kobieta krzyknęła z całej siły.

Przy królowej stał wielki brodaty mężczyzna i mierzył z pistoletu w jej głowę.

Królowa zeszywniała, wyraźnie wstrząśnięta, i patrzyła prosto przed siebie, z rękoma złożonymi swobodnie na kolanach. Congreve bał się, że w tej sytuacji osiemdziesięcioletnia królowa może doznać ataku serca, zwłaszcza że pod koniec długiego życia los nie oszczędził jej przykrych przeżyć.

Wzdłuż całego stołu goście kręcili z niedowierzaniem głową. Rozlegały się kolejne krzyki, jakby to, co się działo, zaczynało do nich docierać z pełną siłą koszmaru.

W każdym wejściu do sali stali uzbrojeni mężczyźni. I z każdą chwilą wchodzili kolejni. Zebrali się wokół stołu i machali w stronę gości lufami ciężkich karabinów maszynowych, krzycząc, by się nie ruszali i siedzieli cicho.

Brodaty mężczyzna mierzący do królowej uderzył wielką pięścią w stół, aż podskoczyły szkło i zastawa. Pękło kilka kieliszków i czerwone wino rozlało się niczym krew po śnieżnobiałym obrusie przed jej królewską mością.

- Cisza! - ryknął wielki brodac. - Cicho wszyscy! Już!

Krzyki ustały, a ich miejsce zajął cichy szloch. Goście spoglądali po sobie i na ukochaną władczynię z prawdziwym przerażeniem. Wiele kobiet zakrywało twarz serwetkami, nie mogąc patrzeć na wstrząsającą scenę, jaka rozgrywała się na ich oczach. Wielu mężów otaczało żony ramionami i szeptało im słowa otuchy.

- Nazywam się pułkownik Zazi - odezwał się wielki mężczyzna z zaskakującym brytyjskim akcentem. - Jestem bojownikiem wielkiej armii dżihadu znanej na całym świecie jako Miecz Allacha. W tej chwili moi ludzie mają już pod kontrolą ten zamek i otaczający teren. Panujemy nad wszystkim. Nikt was nie ocali. Wszyscy nie żyją. Wszyscy...

- Cholerni barbarzyńcy, oszaleliście chyba!

To książę Filip próbował zerwać się z krzesła z twarzą pobladłą z gniewu, ale dwaj napastnicy stojący po jego bokach natychmiast go usadzili. Dwaj wnukowie Will i Harry wściekli się, widząc, jak brutalnie traktowany jest ich dziadek. Zaczęli się zrywać, ale ojciec Karol zawołał ich i pokręcił głową. Kazał im siedzieć spokojnie.

- Wygłoszę oświadczenie - powiedział brodacz, kiedy zrobiło się nieco ciszej. - Wszyscy siedzący przy tym stole są od tej pory politycznymi więźniami Miecza Allacha. I pozostaną nimi, póki nie zostaną spełnione nasze żądania. Co do ludzi z otoczenia, nie mamy wobec was żadnych strategicznych zamiarów. Personel, służba, sekretarze, kucharze - ty, w zielonej kurtce tam przy kominku - jak się nazywasz?

- Higgins, sir.

- Co tu robisz, Higgins?

- Mam zaszczyt być jednym z lokajów jej królewskiej mości, sir.

- Potrafisz gotować?

- Co nieco, sir.

- W takim razie masz teraz zaszczyt pracować dla mnie. Ci ludzie będą potrzebować przez kilka najbliższych dni jedzenia i picia. Zadbaj, żeby je dostali.

- Oczywiście, sir.

- Higgins, masz dokładnie dziesięć minut, żeby poinformować całą służbę, że mogą swobodnie wyjść. Niech jedni informują o tym następnych. Idź już. Powiedz im, że moi ludzie mają rozkaz zastrzelić każdego, kto za dziesięć minut będzie jeszcze w zamku. Rozumiesz?

- Rozumiem, sir, tak.

- Proponuję, żebyś się pospieszył, Higgins. Rusz się, pókim dobry.

Higgins popędził najpierw do kuchni, gdzie przerażony personel wyglądał zza wpół zamkniętych drzwi. Ambrose słyszał, jak lokaj krzyczy na nich i każe im biegać po zamku, znaleźć kogo się da i kazać im się natychmiast wynosić.

- No dobrze - odezwał się Zazi i odsunął pistolet kaliber 9 milimetrów od głowy królowej Elżbiety, po czym schował go z powrotem do czarnej kabury na prawym biodrze. Congreve zauważył, że na drugim biodrze nosi bitewną szablę w pochwie. Nie dodało mu to otuchy. - Teraz zaprowadzimy was w inne miejsce.

Namawiam, żebyście zrobili to w całkowitej ciszy i sprawnie. Jeśli któryś z moich ludzi wyda wam polecenie, natychmiast macie je wypełnić. Zrozumiano? Wstawać. Ustawcie się rzędkiem przy drzwiach po prawej stronie jadalni. Wtedy ruszymy dalej.

Ambrose sięgnął pod stołem po rękę Diany i ścisnął ją delikatnie, by dodać jej otuchy. Pochylił się i pocałował ją w policzek, w miejscu gdzie dostrzegł łzę. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że płacze po cichu, ale uśmiecha się do niego przez łzy. Wiedział, że Diana znajduje w sobie dość sił, by przetrwać ten koszmar.

W tej chwili tylko na to liczył.

61.

Sprawy szły w złym kierunku. Zejście po okrągłych kamiennych schodach do wilgotnej zamkowej piwnicy było co najmniej niepokojące. Mimo lata było tam ciemno i zimno jak w krypcie. Congreve nie mógł przestać myśleć o tym, co spotkało Romanowów, ród panujący w Rosji. O carze Mikołaju, jego żonie Aleksandrze i ich małych dzieciach.

Latem 1918 roku, po wielomiesięcznym areszcie domowym w Jekaterynburgu, zapędzono ich w środku nocy do piwnicy. Weszło tam dwunastu czerwoarmistów ze strzelbami i wymordowali całą rodzinę z zimną krwią. Młodą księżniczkę, której nianie zaszyły w bluzce rodowe klejnoty Rosji, musieli dobijać bagnetami. Kule odbiły się rykoszetem od kamieni szlacheńskich.

W długich korytarzach Balmoral, którymi szli w przerażeniu do piwnicy, leżały bezwładne ciała kilku ochroniarzy i detektywów z sekcji specjalnej. Poderżnięto im gardła od ucha do ucha, nim zdążyli wydać strzał ostrzegawczy. Dżihadyci po prostu wpadli do środka i obezwładnili ich wszystkich.

Congreve zastanawiał się, jak terroryści pokonali wejście do zamku, póki nie zobaczył ciała swego dawnego kolegi ze Scotland Yardu, Johna Iversona, przy wejściu do holu. John od lat był szefem ochrony w Balmoral. Najwyraźniej zmuszono go, by przekonał ludzi z SO15 do otwarcia drzwi.

Terroryści, właściwie jeszcze chłopcy z brodami i bronią w rękę, wciąż pokrzykiwali i dźgali ich lufami, nie zważając na to, jak trudno było utrzymać równowagę na wytartych kamiennych stopniach,

zwłaszcza w półmroku. Ambrose trzymał mocno za ramię Dianę, która schodziła przed nim. Od czasu do czasu kładła dłoń na jego ręce. Obojgu ten gest pomagał.

Był właściwie pewien, że Diana założyła, iż wszyscy umrą. Jego zdaniem większość gości była też o tym przekonana. Ale Congreve wiedział, że póki co, są jedynie zakładnikami, a więc toczą się negocjacje. I że w tej grze o najwyższą stawkę daleko jeszcze do końca.

Z pewnością nie będzie miło. Ale przy odrobinie szczęścia mogą jeszcze wszyscy przeżyć. Brytyjska armia, SAS i całe zastępy antyterrorystów z MI-5 i MI-6 na pewno nie będą patrzeć z założonymi rękami na to, że królowa i cała brytyjska rodzina królewska siedzą w lochu jako zakładnicy.

Rzeczony loch stanowił ogromną sieć pomieszczeń i nisz, w których zgromadzono śmieci z wielu wieków. Głównie meble, ale także dzieła sztuki, rowery i kołyski z innej epoki. Stały tu również niekończące się półki ze starymi książkami, wieże perskich dywanów sięgające sufitu. Wiele z tych rzeczy należało kiedyś do królowej Wiktorii.

Łukowato sklepiony korytarz przechodził w przestronne pomieszczenie, w którym najwyraźniej urzędowały duchy. Stały tu przykryte płótnami wiktoriańskie meble wszelkiego rodzaju: sofy, szezlongi, głębokie fotele i zdobione złotem krzesła. Mdłe światło dawały jedynie gołe żarówki na suficie. Trudno było uznać to za przyjemne miejsce wypoczynku.

Zazi poinformował ich, że to pomieszczenie na najbliższą przyszłość stanie się ich domem, więc mają się rozgościć na wszelkich dostępnych meblach. Pułkownik nieco złagodniał, kiedy już zeszli po krętych schodach trzy kondygnacje pod ziemię do zamkniętego pomieszczenia, gdzie miał nad nimi większą kontrolę. Nie przewidywał żadnych problemów w piwnicy, której miał pilnować sam wraz z dziesiątką uzbrojonych ludzi.

Kiedy już wszyscy pozdejmowali płócienne pokrowce i rozsiedli się na wybranych meblach, dwaj młodzi bojownicy zaczęli rozdawać duże plastikowe butelki z wodą Highlad Springs. Ten gest można było wziąć za optymistyczny zwiastun. Rodzinę królewską usadowiono z dala od gości, w niewielkiej alkwie przylegającej do głównego pomieszczenia. Karol i dwóch jego synów przesunęli odpowiednie

meble, tak by wszystkim było jak najwygodniej w obecnych okolicznościach.

Z miejsca na miękkiej aksamitnej sofie, gdzie usiedli z Dianą, Ambrose widział królową. Siedziała obok księcia Edynburga na dużej kanapie obitej jedwabiem z brokatem. O dziwo, Zazi pozwolił, by towarzyszyły jej ukochane psy rasy Welsh Corgi. Leżały teraz cicho u jej stóp. Jej spokojną twarz i sylwetkę w tej koszarnej chwili można było opisać jedynie jako stoicką, a wręcz pogodną.

Niezwykła zdolność do wznoszenia się ponad bieżące problemy tylko utwierdziła Ambrose'a Congreve'a w przekonaniu, że to opamiętanie, bezinteresowność, osobista odwaga, niezwykła siła charakteru i godność pozwoliły jej tak szlachetnie rządzić krajem przez blisko sześćdziesiąt lat. W istocie stała się brytyjską instytucją i teraz widać to było najdobitniej.

Ambrose wciąż pamiętał z dzieciństwa jej głos w programie BBC „Godzina dla dzieci”. Zwracając się do wszystkich brytyjskich dzieci w najmroczniejszych godzinach drugiej wojny światowej czternaścieletnia księżniczka Elżbieta powiedziała:

„Staramy się, jak możemy, by pomóc naszym wspaniałym żeglarzom, żołnierzom i lotnikom. Staramy się także znieść naszą część zagrożeń i smutku, jaki niesie wojna. I wiemy wszyscy, że wszystko dobrze się skończy”.

- Dasz radę zasnąć, kochanie? - zapytała go Diana ledwie słyszalnym szeptem, jakiś czas później, może nawet po kilku godzinach.

- Nie, ale chcę, żebyś ty się zdrzemnęła - powiedział i położył sobie na kolanach małą aksamitną poduszkę, żeby miała gdzie położyć głowę. Zdjął marynarkę od smokingu i przykrył ją, kiedy się ułożyła. Kilka minut później chrapała cicho, a on delikatnie gładził ją po włosach na skroni.

Rozejrzał się i zobaczył, że wielu gości zdołało jakoś się zdrzemnąć. Przypisywał to jedynie dodającej otuchy obecności królowej. Wystarczył jeden rzut oka na nią, by każdy uznał, że wszystko dobrze się skończy. Po chwili także Ambrose się zdrzemnął, obejmując opiekuńczo ukochaną kobietę.

Następnego dnia rano Ambrose obudził się zaskoczony. Pobliski hałas nie obudził Diany, więc postanowił pozwolić jej spać, jak długo się da. Część ludzi wokół także się pobudziła. Mieli zaczerwienione oczy i wciąż przerażone miny. To, co zobaczyli po przebudzeniu, też nie poprawiło im humoru.

Pułkownik Zazi oczyścił przestrzeń pod jedną ze ścian. Scenografia wydawała się aż nadto znajoma. Na ścianie zawisał biały transparent z arabskimi napisami wokół wielkiego czerwonego miecza ociekającego krwią. Na statywie ustawiono profesjonalną kamerę wideo, od której po podłodze biegło w górę po schodach wiele grubych kabli. Congreve był przekonany, że będą nadawać na żywo do jakiejś brytyjskiej telewizji.

Na wysokich stojakach umieszczono wiele jasnych reflektorów. Przed transparentem ustawiono duże, zdobione i bogato złożone krzesło z karmazynowym siedziskiem.

Pułkownik Zazi właśnie prowadził królową na ten dziwny „plan”. Trzech jego ludzi mierzyło z broni do reszty rodziny królewskiej, która pozostała na swoich miejscach w alkowie. Wszyscy byli wyraźnie rozwścieczeni tym, jak się traktuje władczynię. Kiedy królowa usiadła, Zazi podał jej zapisaną ręcznie kartkę papieru. Włożyła okulary, przeczytała ją w milczeniu i skinęła głową na pułkownika. Dwaj młodzi terroryści z twarzami ukrytymi pod kapturami stanęli po obu stronach krzesła-tronu z karabinami AK w rękach.

Zazi odsunął się na bok i dał znak operatorowi, żeby skierował kamerę tylko na niego. Spojrzał prosto w obiektyw i zaczął mówić głębokim barytonem:

- Nazywam się pułkownik Zazi. Jestem żołnierzem największej armii na ziemi - Miecza Allacha. Przemawiam do was dziś rano z Balmoral w Szkocji. Wczoraj w nocy moi żołnierze i ja przejęliśmy królewską rezydencję - zamek i okoliczne tereny znajdują się teraz całkowicie pod moją kontrolą. Wzięliśmy też zakładników, którzy patrzą teraz i słuchają mnie. Są wśród nich ministrowie, członkowie parlamentu, szefowie MI-5 i MI-6 oraz wielu członków rodziny królewskiej. Sporządziłem listę żądań, które chcę doręczyć premierowi Edwardowi Weedowi. Za chwilę usłyszycie te żądania. Być może zabrzmią znajomo, bo wygłosił je ponad rok temu mój brat-męczennik Abu Mahmood na lotnisku Heathrow. Przelano wiele

krwi, a mimo to nasze sprawiedliwe i słuszne żądania nie zostały spełnione

Tym razem podniosłem więc znacznie stawkę. Panie premierze, jeśli nie posłuchacie naszego wezwania, zacznę zabijać nie tylko najwyższych rangą urzędników państwowych, lecz także członków waszej ukochanej rodziny królewskiej. Egzekucje poprzez ścięcie głowy będą się odbywały w tym pomieszczeniu i będą codziennie transmitowane przez telewizję, póki nie odpowie mi sam premier. Kiedy zgodzi się na nasze żądania i przekona nas, że wycofuje całe brytyjskie wojsko ze świętej arabskiej ziemi, wstrzymam egzekucje i wypuszczę pozostałych zakładników.

Poprosiłem kogoś z rodziny królewskiej, by odczytał pełne oświadczenie i listę żądań. Już dowiedliście, że nas nie słuchacie. Ale może posłuchacie waszej ukochanej władczyni.

Operator obrócił kamerę i zrobił zbliżenie na jej królewską mość. Ambrose był zdumiony, że wyglądała na równie opanowaną jak co roku 25 grudnia, kiedy wygłaszała bożonarodzeniowe życzenia dla narodu.

- Dzień dobry - odezwała się spokojnie, trzymając w ręku kartkę, którą dostała od pułkownika. - Pułkownik Zazi poprosił mnie, bym odczytała państwu niniejsze oświadczenie. Postanowiłam jednak wygłosić własne.

Po tych słowach podarła kartkę na drobne kawałeczki i rzuciła je na podłogę. Ambrose miał ochotę zerwać się na równe nogi i klaskać. Zdawała sobie sprawę, że jej własne życie wisi na włosku, a mimo to gotowa była oddać je za ojczyznę.

- Mam zrobić cięcie, sir? - szepnął kamerzysta do stojącego obok pułkownika Zazi.

- Nie - odszepnął. - Nagrywaj dalej. To się dobrze sprzeda w telewizji.

- Dziś - mówiła dalej królowa - widać wyraźnie, że każdy z nas musi wykazać się szczególnym rodzajem odwagi. Odwagą, by bronić tego, co dobre i prawe. Bronić prawdy i szczerości. Taki rodzaj odwagi pokaże światu, że my, Brytyjczycy, nie boimy się przyszłości... nie boimy się tyranów i religijnych despotów, których ewangelizacja przybiera postać bezkarnego mordowania niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci na całym świecie. Łatwo jest siać nienawiść i

zniszczenie. O wiele trudniej jest budować i się cieszyć.

Zdaję sobie sprawę, że nie jestem w stanie poprowadzić was do boju, jak dawni monarchowie. Mogę wam tylko dać moje serce i szczerą oddanie dla tych starych wysp i całego naszego narodu. Wciąż wierzę w nasze największe zalety i siłę. Nosimy cały czas znamiona i blizny, które nam przypominają, że przetrwaliśmy już najciemniejsze noce i największe burze. I zawsze tak będzie.

W sali zapadła wstrząsająca cisza.

Wszyscy patrzyli na wściekłego Zazi i czekali, co zrobi. Twarz miał fioletową ze złości, drżała mu dłoń zaciśnięta na rękojeści miecza. Świdrował królową wzrokiem, a ona patrzyła na niego z niezłomną odwagą. Po dłuższej chwili tego pojedynku było jasne, kto wygrał pierwszą rundę.

Początkowo słychać było tylko delikatne oklaski z dalekiego kąta sali. Ale z każdą sekundą stawały się one coraz głośniejsze. Dołączali się kolejni ludzie, klaszcząc z całej siły. Oklaski brzmiały donośnym echem. Po chwili ludzie zaczęli wstawać z miejsc, składając królowej hołd, na który w pełni zasłużyła.

- Cisza! Przestać! Cisza!

Wściekły Zazi wszedł przed kamerę i krzykami uciszał zakładników, ale przy burzliwych oklaskach nikt go nie słyszał. Dopiero kiedy jeden z młodych terrorystów wypalił długą serią z AK-47 w sufit, a na głowy zaczął im spadać tynk, oklaski powoli ucichły i zakładnicy wrócili na miejsca. Zazi spojrzął na kamerzystę.

- Nadal się nagrywa? - zapytał.

- Tak, sir.

Zazi cofnął się na „plan” i stanął tuż przed królową.

- Za nieposłuszeństwo trzeba zapłacić - powiedział Zazi do obiektywu, z trudem nad sobą panując. Kiwnął na jednego z terrorystów, wyjął pistolet i wprowadził nabój do komory.

- Ta tam - polecił - Ta w zielonej sukni ze szmaragdami. Przeprowadź ją tu.

Za kamerą słychać było głośną szarpaninę. Chwilę później brodaci zabójcy przyciągnęli za nadgarstki rozhisteryzowaną starszą kobietę, która błagała o życie. Rzucili ją na kamienną podłogę u stóp pułkownika.

- Na kolana, kobieto! - krzyknął do niej.

Szlochając, padła na kolana. Składając dłonie jak do modlitwy, ze łzami na policzkach patrzyła pułkownikowi w oczy, błagając o życie.

Zazi odwrócił się do królowej.

- Tą ceną, Wasza Królewska Mość, jest kula w głowę tej staruszki.

Pociągnął za spust.

Potem spojrział w kamerę i powiedział:

- Cięcie.

Półtora tysiąca kilometrów na wschód, lecąc na maksymalnej wysokości dziesięciu kilometrów, Alex Hawke spał jak zabity w swoim fotelu na pokładzie Herculesa C-130J należącego do RAF-u. Tą transportową maszyną wracali ze Stokelym do Anglii. W wielkim samolocie było zimno jak w psiarni, więc otulili się afgańskimi kocami, które wieźli przy siodłach w drodze w pakistańskie góry.

Sahira wróciła do Islamabadu od razu po wydarzeniach w górze Wazizabad. MI-5 przydzielił ją na miesiąc do wspólnego śledztwa z pakistańskimi władzami, jak bomby jądrowe można było wynieść z pilnie strzeżonego arsenału. I jak temu zapobiec w przyszłości.

Młody pilot pochylił się nad Hawkiem, ścisnął go za ramię i wymienił jego nazwisko. Alex otrząsnął się jakoś z nieludzkiego zmęczenia, otworzył oczy i spojrział zaskoczony na pochyloną nad nim twarz.

- Słucham? - odezwał się, nie do końca wiedząc, gdzie się znajduje.

- Sir, kapitan Davies prosi, żeby przyszedł pan do kokpitu. Ma dla pana pilną wiadomość.

- O co chodzi? - zapytał Hawke, próbując się dobudzić.

- Nie powiedział, sir. Mówi tylko, że natychmiast musi z panem porozmawiać.

- Już idę - odparł Hawke, wstał z fotela i ruszył za pilotem na dziób samolotu. Kiedy wszedł do kokpitu, zobaczył, że pierwszy pilot odwraca do niego twarz oświetloną na czerwono od tablicy rozdzielczej.

- Komandorze, przepraszam, że pana obudziłem, ale wydaje mi się, że sprawa jest szalenie pilna.

- Nic się nie stało. O co chodzi?

- Nie uwierzy pan, sir. Właśnie rozmawiałem z moim dowódcą. Zdaje się, że uzbrojony odłam talibów o nazwie Miecz Allacha wtargnął do zamku Balmoral i wziął wszystkich za zakładników.

- Wszystkich?

- Tak, sir. Wszystkich gości i całą rodzinę królewską. Samą królową, sir. Księcia Filipa, księcia Karola i jego dwóch synów... wszystkich.

Hawke zaniemówił.

- To niemożliwe.

- Obawiam się, że to prawda. Już zabili jednego zakładnika, ulubioną damę dworu jej królewskiej mości, lady Fionę Hicks. Królowa w otoczeniu pakistańskich terrorystów odczytała w BBC ich oświadczenie. Wzięli zakładników i zamierzają zabijać ich codziennie na żywo w telewizji, póki premier nie zgodzi się na ich żądania. Pierwszy termin mija jutro o północy czasu Greenwich.

- Jak zareagowaliśmy?

- Mobilizujemy siły i wysyłamy je w stronę Szkocji, sir.

- Kapitanie, nie mamy czasu do stracenia. Proszę mnie natychmiast połączyć z MI-6, muszę zorganizować ekipę ratunkową. I najważniejsze, muszę obejrzeć to nagranie królowej z BBC. Może uda mi się określić, w której części zamku ją przetrzymują. Muszę porozmawiać z sir Davidem Trulove'em. Opowiedzieć mu dokładnie, co będę musiał...

- Przepraszam, sir. Sir David jest jednym z zakładników. Podobnie jak lord Malmsey z MI-5.

- No cóż - odparł Hawke, myśląc błyskawicznie. - Która baza RAF-u leży najbliżej Balmoral?

- Zdaje się, że Stornoway, sir.

- Możemy tam polecieć?

- W tej sytuacji? Oczywiście. Gdybym mógł, posadziłbym tego olbrzyma tuż przed bramą wjazdową do Balmoral.

- Proszę mnie połączyć z szefem sił specjalnych SAS. Niech mu pan powie, że jest nam niezbędny. I niech przygotują to nagranie z

BBC do wyświetlenia, kiedy tylko wylądujemy. Szef SAS musi natychmiast zacząć zbierać szwadron spadochroniarzy w Stornoway. Za ile tam dolecimy?

- Możemy wylądować za niespełna dwie godziny, komandorze.
- Nie mamy wyjścia. Jeśli ma pan jeszcze jakieś dodatkowe konie zachomikowane pod skrzydłami, to najwyższa pora zagonić je do pracy. Kiedy ktoś grozi bronią królowej, liczy się każda minuta.

62.

Próbował ponownie zasnąć, ale na nic się to zdało. W mdłym świetle piwnicy widział, że większość zakładników śpi albo udaje, że śpi. Spojrzał na zegarek. Trzecia nad ranem. Nerwy miał jak postronki i bardzo potrzebował snu. Położył głowę na poduszce sofy i próbował przywołać obrazy z dzieciństwa, które krążyły po jego rozgorączkowanej głowie. Nie mógł ich powstrzymać, więc się im poddał. Może wtedy przyjdzie sen...

Tabu Babar pędził przez ocieniony drzewami dziedziniec, już pełen rozemocjonowanego tłumu ludzi pracącego naprzód. Dziesięcioletni uczeń dojeżdżał do szkoły w Delhi koleją, a pociągi w jego kraju wечно się spóźniały. Ulice wokół rezydencji wicekróla były zablokowane przez setki tysięcy ludzi, którzy wyszli popatrzeć na najnowszego szlachcica, który przybył z Anglii, by nimi rządzić - lorda Louisa Mountbattena.

Gdyby nie śniada skóra, Tabu można by łatwo wziąć za młodego ucznia z Eton. W głębi duszy tak się właśnie czuł. I z całą pewnością tak się ubierał - w wykrochmaloną białą koszulę, krawat w paski i spodnie podtrzymywane przez dobrane do koloru szelki. Miał lśniące czarne włosy zaczesane do tyłu w fale, grube czarne brwi i długi prosty nos, nad którym widać było parę przenikliwych czarnych oczu.

Szkoła, do której uczęszczał, nazywana była „hinduskim Eton”. Ale nawet w tym wyjątkowym środowisku Tabu był kimś osobliwym. Był żarliwym muzułmaninem z przeważająco muzułmańskiego

miasta Lahore, a mimo to wszelkie maniery, każde słowo i gest zdradzały angielską wrażliwość i to tak przekonującą, że koledzy z klasy wołali na niego „sahib” albo „wasza lordowska mość” czy nawet „wasza miłość”, kłaniając mu się w pas z udawaną uniżonością. Kiedy odchodził, budziło to wybuchy śmiechu.

W uświęconych tradycją murach Mayo, w jej wykładanych drewnianymi panelami bibliotekach, niezwykle bogaty muzułmański chłopiec taki jak Tabu z łatwością mógł snuć anglofilskie fantazje o elżbietańskich zamkach, dawnych rycerzach, gwardii królewskiej, królewskim przepychu i chłopięcych ideałach szlchetnego męskiego arystokraty z Anglii. Wszystkie te idealistyczne wyobrażenia Tabu spodziewał się znaleźć w osobie swojego wielkiego bohatera. Był to człowiek, który na krótką chwilę został nowym wicekrólem Indii - lord Louis Mountbatten, człowiek który miał ocalić jego ukochany kraj przed samym sobą.

Miliony hindusów, sikhów i muzułmanów mieszkających w Indiach znajdowały się o krok od wojny religijnej, przy której zbladłyby wszystkie tego typu konflikty od czasów wypraw krzyżowych. Nawet za wysokimi murami niewielkiej szkoły religijna gorączka trwająca na zewnątrz mogła za chwilę sprawić, że jeden uczeń rzuci się na drugiego.

Pół miliona ludzi stało już w upalnym słońcu. Tabu siedział na latarni i miał doskonały widok z góry na miejsce, do którego wkrótce przybędzie powóz z nowym wicekrólem. Tłum już krzyczał i falował, bliski zamieszkom, ale Tabu siedział bezpiecznie ponad tym wszystkim.

W końcu się pojawił.

Wyglądał jak hollywoodzka gwiazda filmowa w nieskazitelnie białym mundurze marynarki. Pogodny, uśmiechnięty, z kochającą żoną u boku - lord Louis Mountbatten, książę Birmy - podjechał do stóp schodów, by objąć rezydencję wicekróla. Tabu nie mógł oderwać wzroku od człowieka, który w końcu przybył, by ocalić pokój. Miał nie dopuścić, by jego ukochany kraj stał się jednym wrzącym kotłem nienawiści i krwi.

Mountbatten wspiął się po marmurowych schodach i zniknął w pałacu. Ludzie się rozeszli, a Tabu jeszcze długo tkwił na

niebezpiecznym miejscu, przedłużając historyczną chwilę nadziei... Oto w końcu zjawiał się silny człowiek, który ocali Indie. Wielki dyplomata, który przemówi do rozsądku Nehru, Ghandiemu i Jinnahowi. Który zapobiegnie rozpadowi kraju.

Wiele długich miesięcy później, pewnej nocy w Mayo Tabu poczuł szorstką dłoń na swoim ramieniu. Ktoś gwałtownie go budził.

- Co jest? - zapytał, przecierając oczy.

- Musisz stąd uciekać, i to szybko - mówił Sindhu, jego jedyny hinduski przyjaciel. - Tabu, bierz, co możesz, i uciekaj! Uciekaj, jeśli ci życie miłe.

- Co się dzieje?

- Anglicy. Zostawili nas. Od północy Indie są wolne! I wybuchło piekło, uwierz mi.

- Mountbatten nas zostawił? Porzucił Indie? To niemożliwe.

- Tak, twój bohater wymknął się nocą jak złodziej. Wściekły tłum już rozlewa krew na ulicach. Tabu, mamy już otwartą wojnę religijną. Muzułmanie, hindusi, sikhowie - wszyscy przeciw sobie. Religijna rzeź, która rozszarpie cały kraj.

- Sindhu, i nic nie zrobił, żeby to powstrzymać? Mountbatten był naszą ostatnią nadzieją. Skoro wyjechał, to Indie utoną w morzu krwi!

- Tabu, posłuchaj! Nie ma na to czasu. Piętro niżej grupa hindusów z piątej klasy chodzi od sali do sali i szlachtuje mieczami mużulmańskich uczniów. Słyszałem, jak mówili o tobie. Obawiam się, że nie będą dla ciebie mili, mały sahibie.

Tabu wyskoczył z łóżka i zaczął wpychać ulubione książki i trochę ubrań do starej skórzanej torby,

- Sindhu, ile czasu mi zostało?

- Dziesięć minut, jeśli będziesz miał szczęście. Wciąż zabijają chłopców piętro niżej. Musisz wiać przez okno. Z dachu na mur jest jakieś trzy metry, stamtąd na ziemię - półtora. Uważaj, żeby sobie niczego nie złamać przy skoku, drogi przyjacielu, bo wtedy koniec z tobą.

- Sindhu, ale gdzie mam się podziać? Nie mam dokąd iść!

- Do domu! Do swojej nowej ojczyzny zwanej Pakistanem. Idź na dworzec centralny. O północy odjeżdża pociąg do Lahore. Biegasz

najszybciej w szkole. Jeśli pobiegiesz ile sił w nogach może zdążysz, nim zegar wybije dwunastą.

Tabu wyrzucił wypchaną torbę za okno i machając przyjacielowi na pożegnanie, sam wyskoczył za nią. Kiedy dotknął ziemi, zwinął się i przeturlał. Udało mu się nie połamać żadnych kości. Zerwał się na równe nogi i pobiegł, ile sił w nogach. Wokół wszędzie w czarne niebo były słupy ognia. Aż kipiał ze wściekłości. Poczucie zdrady, wstyd i strach mieszały mu się w głowie.

Biegając, Tabu Babar czuł, że całe chłopięce życie, pełne marzeń i nadziei powoli z niego spada, spływa jak brudna woda, ściekająca rynsztokiem i znikająca w kanale.

Tabu wpadł we wrzeszczący tłum, mijał ludzi to z tej, to z drugiej strony. W emocjonalnej gorączce biegł na oślep w stronę dworca, licząc, że jakaś kula albo ostrze zakończy jego ból. Stracił wszelką nadzieję. Chciał odejść z tego świata. Stracił wszystko, więc równie dobrze mógł postradać zmysły.

O dziwo, poczuł coś w rodzaju ulgi. Stracił nadzieję, a jej miejsce zajęła jakaś gorąca żądza.

Gorączkowe marzenie o zemście wbiło mu się głęboko w mózg, a wraz z nim ogarnął go jakiś dziwny spokój mimo całego szaleństwa wokół. Przeżyje. I każe im drogo zapłacić.

Na ulicach rozgrywał się koszmar, ale wielka czarna forteca zwana dworcem centralnym w Nowym Delhi była prawdziwym domem wariatów. Stał, patrząc z niedowierzaniem na to, co działo się na jego oczach. Wszyscy muzułmanie z całego miasta chcieli chyba uciec no nowej ojczyzny - do Pakistanu. Tabu jakoś przedostał się na peron, z którego odjeżdżał pociąg do Lahore, w chwili kiedy wielki dworcowy zegar wybił dwunastą. Pociąg na szczęście wciąż stał, Allahowi niech będą dzięki. Syczał i dyszał, dmuchając kłębami pary spod wielkich żelaznych kół.

Na dworcu zawsze panował nieprawdopodobny hałas. Ale teraz kakofonia dźwięków była naprawdę obezwładniająca. Przepastna ciemna hala z labiryntem żelaznych belek nad głową aż dudniła od wrzawy i wrzasku, w których ginęły okrzyki niezliczonych sprzedawców wody i słodczy, bezskuteczne wezwania policjantów, przenikliwe krzyki kobiet niosących kosze oraz zaganiających dzieci i mężów na zatłoczone perony.

Wszyscy tłoczyli się jeden przez drugiego, żeby wejść do wagonów trzeciej klasy wypchanych już po brzegi. Kobiety i dzieci były po prostu odpychane na bok przez większych i silniejszych uciekinierów. Co chwila wybuchały bójki, którym nieliczni policjanci tylko bezczynnie się przyglądali ze śmiechem. Poddali się i przymykali oko na przemoc między muzułmanami, jaka rozgrywała się w ich obecności.

Tabu spojrział na swoją wypchaną torbę z ukochanymi książkami. Zrozumiał, że nie ma wyjścia i musi ją zostawić. Rzucił ją na lśniące tory pod koła wagonu. W przyływie nagłej wściekłości zerwał szkolną czapkę w stylu angielskim i także rzucił ją na tory. Do diabła z książkami. Do diabła z Mayo. Do diabła z Anglią!

Wagony wypełnione były po brzegi zdesperowanymi ludźmi wystawiającymi głowy za okna, byle tylko odetchnąć dusznym nocnym powietrzem.

Wrócił biegiem na tył pociągu i wspiął się po metalowej drabince na dach ostatniego wagonu. Było tam już wielu innych podróżnych i jakaś uśmiechnięta rodzina zrobiła mu miejsce. Jakimś cudem udało im się wnieść na dach dwie kozy. Zwierzęta beczwały z przerażenia.

Dziadek, głowa rodziny, spojrział na pognieciony szkolny mundur Tabu i zapytał:

- Angielska szkoła?

Tabu przytaknął.

- Lubisz Anglików, chłopcze? Lubisz tego Mountbattena? Tego szlachetnego lorda, który opuścił nas w środku nocy? A przecież przysięgał utrzymać jedność i pokój w naszym biednym kraju. Potraktował nas jak natrętne muchy.

Nawet Tabu był zaskoczony gwałtownością własnej reakcji. Walnął pięścią w dach wagonu tak mocno, że aż go wgiał, i krzyknął wściekły:

- Mountbatten to fałszywy bożek, cholerny kłamca! Zdrajca! Szatan! Wszyscy ci Anglicy to diabły! Niech Allah wszechmogący zabierze ich jak najdalej! Niech nigdy nawet nie pocują raj!

Rodzina lekko się cofnęła, uznawszy go zapewne za szaleńca. I po raz pierwszy dotarło do niego, że chyba naprawdę oszalał.

Daleko z przodu rozległ się tęskny gwizd lokomotywy i stary pociąg szarpnął do przodu, zaczął się toczyć, najpierw powoli, stopniowo coraz szybciej. Rozległ się znajomy stukot kół, ale Tabu usłyszał też dziwny dźwięk odbijający się echem od żelaznego dachu wielkiego dworca.

Głośnie staccato.

Obejrzał się na falujący tłum ludzi stłoczonych na peronie i zrozumiał, co to za dźwięk. Zbiry w czerwonych turbanach z jakiejś zaciętej sekty hindusów strzelały z broni maszynowej do bezbronnych tłumów muzułmańskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Muzułmanie z krzykiem skakali na tory i uciekali, ale wielu z nich zginęło.

Widząc martwych i umierających ludzi za sobą, Tabu poczuł, że płyną mu po policzkach gorzkie łzy. Wraz z nimi umarły jego marzenia, nadzieje na lepsze życie na tej uwielbianej zielonej wyspie zwanej Anglią. Jedyny cenny ideał, który pielęgnował w swoim młodym sercu, sączył się na ziemię wraz z krwią jego zamordowanych braci.

Tabu ledwie zniósł podróż do Lahore. Wzdłuż torów, na drogach wijących się po najżyźniej szych niegdyś ziemiach Indii, w Pendżabie, widział chyba miliony muzułmanów. Większość szła pieszo. Starsi i chorzy jechali na wozach ciągniętych przez woły. Kobiety szły z dziećmi na rękach, niosąc meble na plecach. Wszyscy zmierzali w stronę nowo wydzielonego muzułmańskiego państwa - Pakistanu.

Tabu dowiedział się, że dziesiątki tysięcy tych muzułmańskich imigrantów nie dotarły na miejsce - po drodze wymordowały je krwawe sekty hindusów i sikhów czekające w zasadzkach wzdłuż szlaku na północ. To było dziedzictwo jego wielkiego bohatera lorda Louisa Mountbattena.

W końcu dotarł do domu...

Rodowy dom rodziny Babarów, Putraya, był jednym z charakterystycznych budynków w Lahore. Monumentalny pałac stał pośród ogromnego wypielęgnowanego ogrodu z fontannami i jeziorkami, pełnego kwiatów. Całej posiadłości strzegł wysoki mur. Z jakiegoś powodu przy wejściu nie stał żaden strażnik, a brama nie była zamknięta. Była otwarta na oścież i intuicja podpowiedziała mu, żeby zachować ostrożność.

Kiedy zaczął powoli iść drogą w stronę domu i wyszedł na otwarty teren, nagle wszystko nabrało koszmarnej jasności.

Zobaczył, jak dwóch ludzi w znajomych szatach sekty mahadi ciągnie jego szesnastoletnią siostrę po białych marmurowych schodach przy wejściu. Krzyczała i próbowała się wyrwać, ale mężczyźni byli ogromni i mieli znacznie więcej siły. Tabu wiedział, że wszelka próba ratunku skończyłaby się śmiercią jego i siostry, więc szybko wycofał się między drzewa, nim ktokolwiek zdążył go zauważyć. Pojawili się trzej kolejni mahadi, którzy prowadzili jego matkę i ojca. Oboje byli posiniaczeni i krwawili. Z licznych okien na piętrze zaczął buchać dym. Płonął jego rodzinny dom, płonęło całe dzieciństwo.

Tabu uciekł, nie mogąc patrzeć na ten domowy stos pogrzebowy. Rzucił się w stronę głównej bramy, modląc się, by jakiś mahadi nie strzelił mu w plecy, nim wybiegnie na drogę. Całymi dniami wałęsał się potem bez celu po ulicach Lahore, szukając czegoś do jedzenia, szukając sensu w cudownym niegdyś życiu. Poszedł do domu krewnych, ale zastał tylko wypalone ruiny ze zwęglonymi zwłokami w środku. Nie miał dokąd pójść, był głodny i się bał. Zaczął żyć jak ulicznik.

Pewnego dnia użaliła się nad nim jakaś zasuszona staruszka. Stwierdziła, że ulica to zbyt groźne miejsce dla takiego młodego chłopca. Zabrała go do cudownego sierocińca. Było tam bezpiecznie, biedni chłopcy mogli dostać ciepłą strawę i dach nad głową. Kiedy Tabu zobaczył, że właściciel sierocińca wciska staruszce do ręki pięć brudnych rupii, zrozumiał, że właśnie został sprzedany jak niewolnik.

Owszem, dawali tu pożywienie i dach nad głową. Ale po jakimś czasie, kiedy uznali, że chłopiec jest gotów, przychodzili po niego w nocy, porywali z łóżka i znosili do piwnicy. Tu w oślepiającym świetle przywiązywali go do przesiąkniętego krwią rzeźnickiego stołu. Wtedy robili przerażonemu chłopcu jedną z dwóch rzeczy, a czasami jedną i drugą, jeśli sprawiał kłopoty.

Albo odrąbywali rękę brudnym toporem, wkładając potem krwawiący kikut do gorącej wody, albo ktoś ostrożnie wlewał dzieciakowi łyżeczkę wrzącego kwasu w jedno z oczu. Następnie tą samą rozgrzaną łyżeczką wydłubywał rozpuszczoną tkankę, nie zważając na coraz bardziej ochrypy krzyk.

Oczywiście chodziło wyłącznie o czysty biznes. Ci zbawcy i „obrońcy biednych” przekonali się, że jednoręki albo jednooki młody żebrak był na ulicy bardziej wydajny. Obserwowali uważnie charytatywne zwyczaje europejskich wielmożów i dam i wiedzieli, co na nich działa.

Ci święci z ulicy, wiecznie poszukujący pozbawionych nadziei sierot byli po prostu dobrymi biznesmenami. Szybko zrozumieli, że na takich przygniecionych do ziemi dzieciach można nieźle zarobić. Wystarczyło je odpowiednio dokarmiać i przyciąć jedno skrzydło. To proste.

Jednooki Tabu miał dołączyć do tysięcy na wpół oślepionych hinduskich dzieci krążących po wąskich uliczkach każdego miasta, wystawiających ocalałą rękę po rupię, proszę, sir, jedną rupię, sir, tylko jedną, sir. Proszę.

Jakże błyskawiczny był ten upadek z samej góry, gdzie wiódł życie pełne wiedzy, przywilejów i wygod.

Wystarczył niecały miesiąc.

Tabu Babar, jeszcze wczoraj genialny chłopiec, który wyobrażał sobie błyskotliwą karierę, zapewne jako doskonały bankier w londyńskim City albo znany prawnik, teraz spadł do rynsztoka.

Stał się nietykalnym.

Póki w jakiejś brudnej uliczce Lahore nie zdołał przykuć czyjejś uwagi i nie został dotknięty z miłością przez niezwykle bogatą Angielkę, niejaką lady Braeburn Thorne.

Nie był już nietykalny. O, nie.

Dotykano go raz za razem, bez końca...

Chyba się zdrzemnął, bo ocknął się nagle. Sir David Trulove ścisnął go za ramię tak, że aż bolało. Otworzył oko i zobaczył, że sir David pochyla się do niego z szelmowskim uśmiechem na pooranej zmarszczkami twarzy.

- Zobacz - powiedział „C”.
- Co, u licha?
- Spójrz w dół. Przy stopach.

Spojrzał we wskazanym kierunku i zobaczył jednego z młodych terrorystów na plecach. Wielka czerwona pręga na jego gardle wciąż buchała ciemną krwią.

- Jak to...?

Sir David podniósł długi nóż, który musiał mieć chyba schowany przy sobie. Ociekał krwią. Nonszalancko wytarł go o spodnie i wsunął z powrotem do pochwy na kostce. Stary lis cały czas miał w rękawie asy.

- Zasnął na moich oczach. Chyba zmogły go narkotyki - szepnął „C”. - Ci strażnicy są naszprycowani metamfetaminą, ale wielu z nich z czasem przysypia. Poza naszym szacownym pułkownikiem. Spójrz na niego, naszprycowany aż po dziurki w nosie, zabawia się z jedną z młódek. Sądząc po tym, co robią, musiał jej obiecać księżyc i gwiazdy.

Zazi stał tuż za nagą blondynką. Dziewczyna oparła się o krzesło i wypięła wysoko szeroki biały tyłek. Widać było jedynie muskularne plecy pułkownika lśniące od potu nawet w mdłym piwnicznym świetle. Wsuwał się coraz szybciej w potulną dziewczynę, która jękiem doceniała najgłębsze wyrazy uczucia ze strony swego porywacza.

Trulove sięgnął po AK zmarłego terrorysty i wstał jednym ruchem wysportowanego człowieka. Wymierzył w plecy pułkownika i zaczął naciskać na spust... nagle czyjaś dłoń szarpnęła go za rękę i...

- Nie! Nie rób tego!

- Co? - powiedział „C” i mimo wszystko otworzył ogień. Z tej odległości śmiertelna seria przecięła pułkownika Zazi niemal na pół. Dopiero wtedy sir David odwrócił głowę, by zobaczyć, kto go powstrzymywał, i ze zdumieniem zobaczył, że patrzy prosto w złowrogi wylot lufy pistoletu Markov kaliber 9 milimetrów odległy o jakieś pół metra. Pistolet wypluł dwie kule w jego pierś. Nim „C” upadł na ziemię, krew zdążyła ochlapać twarz napastnika.

- O mój Boże - powiedział Karol, spoglądając na drugi koniec sali na starego i zaufanego przyjaciela, który okazał się zdrajcą i szaleńcem. Potwór, który dopiero teraz ujawnił, kim naprawdę jest, stał w obłoku dymu niczym błękitny duch w świetle kiepskich żarówek. Książę Walii właśnie zobaczył, jak jeden z jego najstarszych przyjaciół morduje z zimną krwią dyrektora MI-6. Widzieli to także chłopcy. To przechodziło wszelkie wyobrażenie. Ale widział to na własne oczy. Wszyscy widzieli.

Montague Thorne z pistoletem w ręku podszedł powoli do księcia Karola, lawirując między labiryntem mebli i przerażonych zakładników, wolną ręką ocierając krew z oczu. W końcu stanął przed Karolem, po którego obu stronach siedzieli dwaj synowie, przed księciem o arystokratycznym nosie i prostackim sercu.

- Monty. O mój Boże, Monty, dlaczego? Kim jesteś? Czym ty jesteś?

Montague Thorne się uśmiechnął. Kiedy mówił, na jego białych zębach widać było plamki krwi:

- Jestem tym, kim zawsze byłem, Karolu. Widziałeś mój podpis. Pionkiem. Tylko małym czarnym pionkiem w grze. Wielkiej grze, jak zwą ją twoi ludzie. Ludzkiej grze w szachy, w którą ty i twoja rodzina gracie od lat w mojej części świata. Macie naszą krew na rękach, tak jak ja mam waszą krew. Przez wszystkie te lata prowadziłem własną małą grę, jak widzisz, poświęciłem jej całe swoje życie. Ruch i kontra na wielkiej szachownicy. Nadszedł czas na ostatni ruch pionka.

- Na Boga, co ty zamierzasz, Monty?

- Pionek bije królową, Karolu. Czy sądziłeś, że ta gra może się skończyć inaczej?

63.

Dobra wiadomość jest taka, że mamy szczęście do pogody, myślał Stoke. Zaczęła się burza. Do tego gęsta mgła i przelotne deszcze. To oznacza, że snajperom wroga będzie trudniej do nich strzelać, kiedy będą skakać na spadochronach. Odgłosy burzy powinny też zagłuszyć szum wirników, kiedy zejdą z obecnej wysokości.

Zła wiadomość jest taka, że przy takiej mgle, nocą, będzie trudniej wyszukać strefę lądowania, stwierdził Stoke. A jeśli ktoś nie trafi w strefę, ciężko mu będzie znaleźć inny dobry punkt na dachu zamku Balmoral i nie połamać nóg albo karku. Stoke nigdy w życiu nie widział domu z tyłoma kominami.

- Jak się czujesz, wielkoludzie? - zapytał siedzący obok Hawke, przekrzykując hałas podwójnego wirnika.

- Czuję, jak robią mi się zmarszczki.
 - Naprawdę? Czemu?
 - Przez to co mi powiedziałeś w hangarze w Stornoway.
 - O które słowa chodzi, Stoke?
 - Dokładnie o te, cytując: „To ważna akcja, Stoke, mistrzostwa świata antyterrorystów, więc się przygotuj. Powrót z misji z martwą królową kiepsko będzie wyglądał w naszych życiorysach”.
 - No tak. Tak powiedziałem, co? Ale przecież to prawda?
 - Jasne, że prawda. Dlatego tak mi się robią te zmarszczki.
- Hawke odparł:

- Jeszcze jedno, Stokely. Nie zastrzel mojego najlepszego przyjaciela Ambrose'a Congreve'a, jeśli tylko się da, dobrze?
- Myślałem, że to ja jestem twoim najlepszym przyjacielem.
- Bo jesteś.
- No to jak to możliwe?
- Jest remis, rozumiesz? Walka na śmierć i życie.
- Może nie gadajmy teraz o śmierci, co?
- Słuchaj, Stoke, uda nam się. Ci goście z SAS to najlepiej wyszkolona jednostka antyterrorystyczna na świecie. Nigdy nie pracowałeś z kimś choćby w przybliżeniu dobrym. Mówię poważnie, Stoke. Napisali nawet książkę.
- A ja nie, kurczę. Mówię ci, stary, amerykańscy komandosi z Navy SEAL są równie dobrzy, lepsi niż ktokolwiek inny na świecie. Może ci tutaj napisali książkę, za to SEAL wystąpili w filmie, a film to coś więcej.
- Masz rację. Jest remis, dobrze?
- W porządku.

Dokładnie o północy wybrany przez Hawke'a czarny matowy śmigłowiec Chinook HC2 w barwach RAF-u dotarł na miejsce zrzutu, dokładnie tysiąc pięćset metrów nad zamkiem Balmoral. Dwuwirnikowy chinook zabiera na pokład do pięćdziesięciu pięciu żołnierzy i dwadzieścia cztery pary noszy na wypadek ewakuacji rannych. Na pokładzie znajdowało się dwóch lekarzy RAF-u zdolnych obsłużyć wszelkie nagłe urazy.

Od samego początku planowania tej akcji w bazie RAF-u w Stornoway Hawke postanowił, że odbędzie się ona w nocy. Kokpit chinooka można było obsługiwać swobodnie w nocy przez noktowizor.

Śmigłowiec był też uzbrojony w dwa sześciolufowe działka M134, po jednym przy każdym z przednich bocznych okien, oraz ciężki karabin maszynowy M60D na tylnej rampie. Była to doskonała maszyna do tajnych nocnych działań na terenie wroga.

Piloci chinooka lecieli teraz wyłącznie na instrumentach, bez zadnych świateł. Niewidoczny potwór o czarnym brzuchu ukrywał się w zupie spowijającej ziemię.

W brzuchu bestii, poza dowódcą misji Alexem Hawkiem i jego kolegą Stokelym Jonesem, siedziało czternastu komandosów SAS z jednostki antyterrorystycznej, zwanej drużyną SP. Stale sprawdzali sprzęt i broń. Siedzieli naprzeciw siebie na płóciennych siedziskach biegnących wzdłuż kadłuba chinooka.

Wszyscy mieli na sobie jednoczęściowe kombinezony bojowe wykonane z niepalnej tkaniny Nomex 3, kuloodporne kamizelki z ceramicznymi płytami ochraniającymi przód, tył i krocze oraz wzmocniony hełm zdolny zatrzymać pocisk kaliber 9 milimetrów wystrzelony z bliska.

Wyposażeni byli między innymi w karabinki maszynowe H & K MP5, pistolety Sig Sauer P226 i strzelby Remington ładowane nabojami „hattan”, które miały za zadanie odstrzelić drzwi zawiasów i nie zagrozić przy tym zakładnikom. Przy pasach wisiały im granaty ogłuszające, hukowo-rozbłyiskowe i dymne.

SAS odbijał zakładników na dwa sposoby: po cichu albo z hukiem. Hawke nalegał, by weszli po cichu, dlatego na broń wszyscy nakręcili tłumiki. Do zespołu dołączyło też dwóch najlepszych snajperów w SAS.

Któryś szczęściarz musiał skoczyć z mocno kłopotliwym „Harveyem Rozbijaką” w objęciach. To urządzenie do rozbijania ścian strzelało plastikowymi pociskami wypełnionymi wodą. Pędzący z wielką szybkością pocisk robił wyrwę w murze. Był to znacznie bezpieczniejszy i cichszy sposób niż ładunek wybuchowy.

Każdy z żołnierzy został też wyposażony w plan atakowanej rezydencji zajętej przez wroga mający rozmiary kartki pocztowej, plastikowe kajdanki i chemiczne latarki - czyli pałeczki wypełnione odpowiednią substancją, które po złamaniu zaczynały świecić. Mieli nimi oznaczać pomieszczenia uznane za „czyste”.

Na ziemi w gotowości czekały już liczne drużyny snajperów SAS. Rozmieszczono ich wokół posiadłości Balmoral, tuż za strefą monitorowaną. Byli gotowi w każdej chwili zdjąć każdego „X-a”, jak nazywano terrorystów. Czekali tylko na szturm i uwolnienie „janke-sów”, jak w języku SAS określało się wszelkich zakładników, także tych z brytyjskiej rodziny królewskiej, z którymi mieli teraz do czynienia. Czyż to nie ironia? - myślał Hawke.

W miejscu, gdzie żołnierze czekali na swoją kolejkę do skoku, przyklejono do kadłuba powiększoną świeżą fotografię lotniczą zamku. Czerwonym kółkiem zaznaczono miejsce na dachu na tyle duże, by wielki chinook mógł na nim usiąść. Była to także strefa lądowania dla spadochroniarzy, licząca około osiemdziesięciu metrów kwadratowych. Żołnierze czekający na skok uważnie przyglądali się fotografii, szukając jakiegoś innego dobrego miejsca, gdyby nie udało im się trafić w wyznaczoną strefę.

Bezpośrednio pod śmigłowcem i zamkiem Balmoral, trzy kondygnacje pod ziemią, Ambrose Congreve karmił łyżką swego przyjaciela sir Davida Trulove gorącą zupą-kremem z pomidorów. Zawdzięczali ją Higginsowi urzędującemu w kuchni. „C”, twardy dżentelmen starej daty, miał szczęście, że żył po dwóch strzałach z bardzo bliska. To dzięki jednej z zakładniczek, lady Beale, która pracowała jako wolontariuszka w szpitalu św. Tomasza w Londynie. Dwie kule przeleciały na wylot, o włos mijając serce. Lady Beale podarła na paski swoją fioletową suknię z jedwabiu i zrobiła z niej tymczasowe bandaże dla dyrektora MI-6.

To był niezwykle długi i trudny dzień.

Zabójstwo pułkownika Zazi miało przewidywalny wpływ na atmosferę w piwnicy. Terrorysty, zobaczywszy, jak ginie ich bohaterski przywódca, zaczęli znacznie ostrzej traktować zakładników. Przed śmiercią pułkownika młodzi zabójcy w zasadzie ignorowali arystokratycznych więźniów. Teraz przy każdej okazji krzyczeli na nich, kopali i obrażali na wszelkie możliwe sposoby.

Jakby tego było mało, ujawnił się też słynny pan Smith.

Ambrose nawet sobie nie wyobrażał, jak musi się czuć książę Karol. Zdruzgotany, to chyba najłagodniejsze określenie. Dowiedzieć

się, że jeden z najbliższych przyjaciół, któremu ufa się bez granic, bez najmniejszego cienia wątpliwości przez całe dziesięciolecia, który awansował na najwyższe stanowiska w służbach wywiadowczych, jest mordercą ukochanego ojca chrzestnego księcia Walii, lorda Mountbattena? I że, co wyznał oszołomionym słuchaczom, zabił też matkę jego dzieci Dianę? To musiało po prostu go załamać. Jego i chłopców.

Potwór ukrywający się pod pseudonimem „pan Smith”, czyli szykowany na nowego szefa MI-6 Montague Thorne, posunął się nawet do tego, że z radością opisywał ze szczegółami, jak wywołał koszmarny pożar w zamku Windsor. A potem z dumą opowiedział księciu Karolowi i jego dwóm synom, jak niewiele go dzieliło od tego, by zabić księcia Harry'ego w Afganistanie zaledwie przed miesiącem!

Harry wściekł się, słysząc to. Zerwał się na równe nogi i warknął:

- Ale to my omal cię nie zabiliśmy, co Thorne? Ty oślizły draniu! Jak się ma twój snajper idiota? Nieco lepiej? - Zarobił za to mocny cios w skroń. Na chwilę wszyscy w piwnicy wstrzymali oddech, patrząc na tego szaleńca Thorne'a. Wiedzieli, że od chaosu i masowego zabójstwa dzieli ich już tylko cienka granica. Ale Monty tylko wybuchnął śmiechem i odszedł.

Ambrose sięgnął do kieszeni marynarki od smokingu i wyczuł pod ręką dodający otuchy kształt noża sir Davida, oblepionego zaschniętą krwią. Udało mu się go schować, nim porywacze zdążyli się zorientować. Teraz, jeśli tylko nadarzy się okazja, użyje go, by...

64.

Koordinator skoków krzyknął:

- Przygotować się!

Stoke i wszyscy inni sprawdzili uprząż spadochronów po raz dziesiąty. Dochodziła północ. Kilka minut później koordinator ryknął: „Powstań!”, a potem „Sprawdzić sprzęt!” i w końcu „Ustawić się

przy drzwiach!” Na ten ostatni rozkaz Hawke i Stoke przeszli na rampę z tyłu śmigłowca. Komandosi SAS stali tuż za nimi.

Wielki ptak zadrżał i szarpnął. Stoke poczuł, że pilot zaczyna schodzić z tysiąca pięciuset na sześćset metrów, z której to wysokości mieli skakać. Schodzenie odbywało się szybko, ocenił że jakieś sto metrów na minutę. W końcu znów zawiśli w powietrzu. Opuszczono rampę i do środka wpadł podmuch wilgotnego powietrza, a pierwsi żołnierze stanęli gotowi do skoku.

Nad głową zaczęło migać zielone światło.

- Już! Już! Już! - krzyczał koordynator skoków i Hawke oraz Stoke rzucili się na skraj rampy, po czym skoczyli w nocne powietrze. Żołnierze SAS błyskawicznie wyskakiwali na rampę i byli w powietrzu kilka sekund po tym jak skoczyli Alex i Stokely.

Stoke natychmiast szarpnął za linkę i czekał, aż poczuje, jak spadochron wysuwa się z plecaka i się rozwija. Sekundę później uprządz szarpnęła nim w górę. Zawsze lubił to przyjemne swojskie uczucie.

Spojrzał w dół między buty. Ziemię spowijały chmury mgły, ale dojrzał dach i rozpoznał strefę, gdzie miał wylądować. Była to wielka płaska część dachu otoczona czterema kominami. Pociągnął lekko za linki sterujące, celując w strefę, i zobaczył, że Alex Hawke, który wyprzedzał go nieco, szykuje się do lądowania.

Cholera!

Na dachu jakieś piętnaście metrów pod stopami Hawke'a stał jeden z „X-ów” - strażnik z AK-47. Czy Hawke też go dostrzegł?

Strażnik wpatrywał się w góry Grampian, zapewne śniąc na jawie. Na szczęście odwrócony był tyłem do Hawke'a. I Stoke'a. Ale w ostatniej chwili coś zwróciło jego uwagę. Całe niebo nad zamkiem wypełniło się spadochronami. Odwrócił się i podniósł broń...

Ku wielkiej uldze Stoke'a, Hawke zdążył już wyjąć SIG-a z tłumikiem. Miał jeszcze jakieś dwanaście metrów do dachu i bujał się pod czaszą spadochronu. Mimo to zdołał namierzyć cel i zdjąć mężczyznę jednym celnym strzałem w głowę, nim zdążył zabić kogośkolwiek ze spadochroniarzy. Chwilę później Hawke dotknął butami dachu. Kiedy Stoke wylądował, Alex już zbierał swój spadochron

i odsunął się, opróżniając strefę lądowania dla innych komandosów, którzy wyrastali jak grzyby po deszczu.

Kilka minut później Stoke i ekipa szturmowa szczęśliwie wylądowali na dachu zamku Balmoral. Nikt nie odniósł żadnej kontuzji, nikt do nich nie strzelał, nikt nie miał pojęcia, że tu są. Hawke kazał wszystkim odliczyć. Kiedy każdy z żołnierzy się odezwał, Alex wysunął mikrofon z hełmu i powiedział do pilota chinooka:

- Grzechotnik Jeden, Grzechotnik Jeden, tu Warlord. Dwudziestu ośmiu wyskoczyło, dwudziestu ośmiu wylądowało. Wszyscy bezpieczni. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, Warlord. Swoją drogą niezły strzał spod spadochronu.

- Miałem szczęście. Wchodzimy.

- Eee, jasne. Warlord, tu Grzechotnik Jeden, zrozumiałem, sir. Czekamy na sześć zero zero, póki nie oczyścicie całkiem strefy lądowania, potem sadzamy ptaszka i czekamy gotowi do opatrywania i ewakuacji rannych jankesów. Będziemy cały czas na chodzie, w razie czego możemy szybko zerwać się do lotu, nie martwcie się. Grzechotnik Jeden czeka, bez odbioru. Z Bogiem, Warlord.

- Zrozumiałem, Grzechotnik Jeden, bez odbioru - powiedział Hawke do mikrofonu, biegnąc szybko po krytym papą dachu w stronę zniszczonych drewnianych drzwi między dwoma kominami. Pamiętał te drzwi z dzieciństwa. Wtedy nigdy ich nie zamykano na klucz. Teraz też nie.

- Skąd wiedziałeś o tych drzwiach? - zapytał Stoke.

- Przez połowę dzieciństwa bawiłem się w tym domu w kowbojów i Indian. Znam tu każdy centymetr kwadratowy.

- Już! Już! Już! - krzyknął Hawke do komandosów, choć nie potrzebowali oni żadnej zachęty.

Zeszli po schodach na strych. Hawke dopiero teraz zaczął doceniać noktowizor. Zespół przemykał się w ciszy przez ciemne pomieszczenia na strychu. Stanowili potężną, śmiercionośną siłę, która, jak sądził, da sobie radę z wszelkimi możliwymi przeszkodami.

Hawke zaprowadził ich na schody wiodące na najwyższe piętro zamku. Podniósł dłoń, dając znak stop, otworzył drzwi, wyszedł na zewnątrz i szybko sprawdził długi korytarz. Tak jak pamiętał, na tym piętrze mieściły się głównie składziki, pralnia, prasownia i pokoje dla służby.

- Czysto - powiedział po powrocie. Złamał jedną z latarek chemicznych i rzucił ją. Drużyna szybko przeszła długim korytarzem do następnej klatki schodowej. Kiedy dotarli na dół do otwartych drzwi, Alex już miał wyjść na korytarz, gdy zobaczył strażnika na szczycie kolejnych schodów. Siedział z AK-47 na kolanach, palił papierosa i wpatrywał się w dal.

Hawke cofnął się i szepnął:

- Strażnik. Biorę go.

Bładozielony dywan pod stopami był bardzo gruby i Hawke zakradł się do strażnika w zupełnej ciszy. Na wszelki wypadek szedł z wyciągniętym pistoletem, ale wołał korzystać z noża, który niósł w drugim ręku. Zaszedł go od tyłu bez żadnych przeszkód, sięgnął i zatkał mu usta dłonią, potem szarpnął głowę do tyłu, by odsłonić gardło pod brodą, i podciął mu je od ucha do ucha.

Odwrócił się i zobaczył w drzwiach twarz Stoke'a. Dał im znać, że mogą iść za nim. Bez żadnych przygód dotarli na parter, przystając w połowie schodów i nasłuchując jakichkolwiek dźwięków. W wielkich starych salach, po których lubił buszować jako chłopiec, panowała niczym niezmacona cisza.

Chłopcy z SAS przeszukali całą kondygnację. Czysto. Zakładników przetrzymywano w piwnicy, tak jak Hawke założył, oglądając nagranie z królową z BBC. Niski łukowaty sufit pokryty białym tynkiem, mdłe nagie żarówki nad głową i do tego pomalowana na biało ceglana ściana, na której wisiał transparent Miecza Allacha.

Był prawie pewien, że terroryści, nie znając dobrze wnętrza zamku, skorzystali z głównego wejścia do piwnicy. Ale były też jeszcze inne schody, o których mało kto wiedział - bardzo wąskie, strome i rzadko używane. Drzwi do tych schodów schowane były za chińskim parawanem w spizarce. Mógł z nich korzystać wyłącznie królewski podczaszy, by przynosić wino z piwniczki królowej. Na

szczęście te schody mieściły się po przeciwnej stronie zamku.

Hawke nieraz ukrywał się w tej piwniczce z winem. Mnóstwo czasu spędził, poznając każdy zakamarek zamku. I znał sposób, jak z piwniczki z winem przejść do głównej piwnicy. To znaczyło, że mogą mieć szczęście i liczyć na element zaskoczenia.

Hawke dał sygnał komandosom, by szli za nim, i skręcił w lewo. Szli w stronę kuchni, skąd mieli przejść do spiżarni i ukrytych schodów. Hawke przystanął przed drzwiami do kuchni. Ktoś tam był, usłyszał szcęk talerzy. Zatrzymał komandosów i popchnął uchylne drzwi lufą swego H & K.

To Higgins.

- Higgins - odezwał się cicho Hawke.

- Pamiętam ten głos - rzekł starszy mężczyzna i odwrócił się z uśmiechem na twarzy. - Mój Boże, wasza lordowska mość, ile to już czasu.

- Ano tak. Później porozmawiamy, Higgins. Przyszliśmy uwolnić zakładników. Liczę, że wiesz, gdzie ich trzymają.

- O, tak, milordzie. Są na samym dole w piwnicy. Dostałem za zadanie ich karmić. Od rana do północy biegam w górę i w dół. Tam na dole jest okropnie. Przez całe życie służę jej królewskiej mości. Zawsze traktowała mnie z szacunkiem i dobrocią. I powiem panu, że to przerażające, haniebne, jak ci ludzie traktują naszą monarchię.

- Chwileczkę, Higgins. Zaraz wracam.

Hawke wybiegł przez drzwi.

- Stoke, mamy szczęście. Jest tu człowiek ze służby. Wie dokładnie, gdzie trzymają jankesów. Idziemy dopaść tych drani.

Kiedy Hawke wrócił do kuchni i znów zobaczył Higginsa, przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Higgins, potrzebuję kartki i długopisu, ołówka, czegokolwiek. Chcę, żebyś narysował mi plan tej części piwnicy, gdzie są przetrzymywani zakładnicy. Zaznacz, proszę, dokładnie, gdzie siedzą poszczególni członkowie rodziny królewskiej. Literą O opisz zakładnika, a X - terrorystę. Postaraj się narysować ich dokładnie w tych miejscach, gdzie widziałeś ich ostatnio.

- Tak, milordzie - powiedział Higgins i wyciągnął z szuflady notatnik i pudełko długopisów. Kiedy szkicował, Hawke zasypywał

go pytaniami. Czy zakładnicy są związani? Czy komuś z rodziny królewskiej stała się jakaś krzywda? Ilu dokładnie terrorystów się nimi zajmuje? Czy któryś z nich ma na sobie kamizelkę samobójczą?

- Proszę, wasza lordowska mość, lepiej nie potrafię. Obawiam się, że nie mam zadatków na artystę.

- Doskonale. Poznają to pomieszczenie. To bardzo duża sala, w której stoją wyłącznie meble. Ta z małymi alkowami w południowej ścianie. Sala znajduje się w pobliżu głównych schodów, zgadza się? Po przeciwnej stronie zamku?

- Właśnie tak, sir - przytaknęła Higgins, zerkając na komandosów SAS. - Ci tutaj wyglądają, jakby potrafili o siebie zadbać.

- Higgins, ci żołnierze mają zadbać o jej królewską mość. O całą rodzinę królewską i biednych niewinnych ludzi z dołu. Higgins, jaki jest ulubiony koktajl królowej? O ile pamiętam, dzin z czymś...

- Dzin z Dubonnetem, sir. Nic innego nie pije.

- Proponuję, Higgins, żebyś jej go przygotował. Myślę, że będzie ci za niego wdzięczna.

- Tak zrobię, sir. Sakramencko dobry pomysł.

- Są jacyś kolejni zmarli albo ranni?

- Obawiam się, że poza lady Beale, zastrzelili pańskiego kolegę sir Davida Trulove'a, milordzie. Nie chciałem, żeby pan był wstrząśnięty, sir.

Hawke, wstrząśnięty do głębi, nie dał po sobie niczego poznać.

- Idziemy po nich - powiedział i ruszył do spiżarni.

Hawke najpierw usłyszał cichy gwar głosów, jeszcze nim cokolwiek zobaczył. Dzięki noktowizorom prześliznęli się bezgłośnie przez większość ciemnej, choć oko wykol, piwnicy. Odwrócił się i dał sygnał dwóm snajperom SAS, żeby podeszli. Wcześniej omówili początek operacji.

Hawke, Stoke i dwaj snajperzy mieli ruszyć jako pierwsi, zbliżyć się na sto metrów do miejsca, gdzie trzymano zakładników. Z rysunku Higginsa Hawke wyczytał, że snajperzy będą mieli dobry widok na alkowę, w której umieszczono rodzinę królewską. Mieli strzelać z karabinów z tłumikami i najpierw unieszkodliwić terrorystów

pilnujących królowej i jej rodziny.

Hawke czuł za sobą obecność drużyny komandosów SAS. Nagromadzona w nich energia była niemal namacalna. Nie mogli się doczekać walki i wkrótce mieli ją odbyć.

W bezpośrednim sąsiedztwie królowej znajdowali się dwaj strażnicy. Stali po obu stronach alkowy, trzymając w ręku AK-47. Dwaj terroryści byli wyraźnie spięci, zapewne naszprycowani mocno metamfetaminą, za pomocą której starali się nie zasypiać. Dwaj snajperzy przykłąkli i namierzyli cele. Obaj skinęli głowami - to znak, że byli gotowi do strzału.

Hawke rozejrzał się po twarzach zebranych wokół niego komandosów. Podniósł trzy palce. Trzy sekundy do ataku. Jednocześnie stuknął lekko w hełmy obu snajperów. Strzelili, kiedy poczuli ten sygnał. Zobaczył ledwo dostrzegalny błysk z lufy, usłyszał dwa ciche puknięcia i po celnych strzałach dwaj terroryści osunęli się na ziemię jak worki z piaskiem.

- Już! Już! Już! - krzyknął Hawke i wbiegł do sali, strzelając po drodze do wybranych wcześniej celów.

Wtargnęli.

Terroryści zaczęli strzelać na oślep, a zakładnicy, krzycząc ze strachu o własne życie, kulili głowy i padali na podłogę. Hawke dostrzegł po prawej Ambrose'a Congreve'a i Dianę Mars i zaczął iść w ich stronę, zdejmując każdego, kto stanął mu na drodze. Congreve zauważył go pośród chaotycznej strzelaniny i krzyknął:

- Alex! Montague to Smith! Uważaj na niego!

Hawke na chwilę zdębiał z niedowierzania.

Montague Thorne to Smith?

Mnóstwo puzzli zaczęło nagle do siebie pasować i Hawke omiatał wzrokiem pomieszczenie, wypatrując Thorne'a. Usłyszał strzały dochodzące od strony alkowy królowej i obrócił się w tym kierunku. Uśmiechnął się, widząc, co zaszło. Książę William i książę Harry natychmiast chwycili broń dwóch zabitych terrorystów i zerwali się na równe nogi, dołączając do bitwy. Książę Karol podszedł do matki i osłonił ją własnym ciałem, gotów chronić ją przed kulami.

Hawke zobaczył też Stoke'a stojącego ramieniem w ramieniu z dwoma młodymi księżętami. Cała trójka stworzyła kordon ochronny śmiertelnego ognia wokół królowej i jej rodziny. To był doskonały pomysł i Hawke przeklinał sam siebie, że na to wcześniej nie wpadł. Ale właśnie dlatego potrzebował u boku Stoke'a, który instynktownie robił takie rzeczy w trakcie walki.

W powietrzu było aż gęsto od ołowiu. Komandosi SAS ze śmiertelną precyzją wykonywali swoje zadanie. Uspokajali zakładników, jednocześnie krótkimi seriami strzelając do terrorystów. Ci niewiarygodnie dzielni ludzie przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku ćwiczyli właśnie tego rodzaju sytuacje i było to widać. Sala wypełniła się duszącym dymem, który ograniczał widoczność. Hawke zdołał jednak dostrzec dwie kobiety w średnim wieku odziane w satynowe suknie - nagle wyrwały się z kryjówki i postanowiły uciec z tego zamieszania.

Prawie im się udało.

Jeden z terrorystów, jeszcze właściwie chłopiec, dojrzał uciekające kobiety, obrócił się i posłał w ich stronę długą serię, która praktycznie przecięła je na pół. Wściekły Hawke rzucił się w jego kierunku i natychmiast brutalnie odplacił mu pięknym za nadobne za pomocą noża. Krew się w nim zagotowała, czuł, że żyje i że robi dokładnie to, do czego się urodził.

Hawke wyczuł ruch za plecami i obrócił się w stronę terrorysty, który podniósł broń i wycelował - nie w niego, lecz w Ambrose i Dianę. Hawke podniósł karabin, by strzelić, ale Congreve go ubiegł. Ambrose po prostu zerwał się z kanapy, rzucił na mężczyznę, odtrącił na bok jego karabin jedną ręką i wbił mu nóż prosto w serce drugą.

Hawke przyklęknął obok Congreve'a.

- Nic wam nie jest?

- Powiem ci, jak to się skończy. Alex, musisz znaleźć Montague'a. To jego dzieło. To on strzelił do sir Davida, na litość boską.

- Dopadnę go.

Hawke wstał i omiół wzrokiem salę, próbując przebić zasłone dymu i wypatrzyć człowieka, który zdradził ich wszystkich. Nadal rozlegały się sporadyczne strzały, ale bitwa dobiegała końca i nie było żadnych wątpliwości, kto wygrał. Wreszcie go dostrzegł, jak nisko

pochylony skrada się coraz bliżej do Stoke'a i dwóch książąt, kryjąc się za meblami. Nie mógł jaśniej wyrazić swoich zamiarów. Jeszcze sekunda lub dwie i miałby całą trójkę na linii strzału.

A potem miałby jak na dłoni królową.

- Montague Thorne! - krzyknął Hawke najgłośniejszym głosem, jak potrafił. Spojrzeli sobie w oczy.

Widząc, że Hawke ma go na muszce, Thorne padł i przeturlał się za ciężką sofę. Hawke ruszył w jego stronę, strzelając w sofę. Zobaczył, że Thorne zerwał się na równe nogi, biegnie w kłębach dymu i znika w ciemności, pędząc w stronę głównych schodów.

Hawke dotarł do stóp schodów, kiedy Thorne zdążył wbiec na szczyt i skręcił w prawo. Na górze Alex zobaczył, że zdrajca szykuje się, by wskoczyć do najbliższego pomieszczenia, królewskiej biblioteki. Hawke strzelił do niego z pistoletu, który trzymał w ręku. Ale chybił i Thorne wpadł do sali. Znalazł się w pułapce, ale o tym nie wiedział. Do biblioteki prowadziły tylko jedne drzwi - te, którymi właśnie wszedł.

Thorne wyjrzał zza drzwi i strzelił krótką serią do Hawke'a. Alex odpowiedział ogniem i się ukrył. Następnie wbiegł do kolejnego pomieszczenia, potem do następnego, aż w końcu znalazł się w małym gabinecie ze ścianami z orzechowej boazerii. To tu królowa często prowadziła korespondencję, pisała listy dziękczynne albo składała kondolencje. Gabinet sąsiadował przez ścianę z biblioteką, gdzie ukrył się Thorne. Krył też mały sekret.

Hawke pędem wbiegł za biurko i nacisnął delikatnie na niemal niewidoczny szeroki drewniany panel pośrodku ściany. Po drugiej stronie znajdowały się półki zastawione książkami od podłogi po sufit. Idealnie wyważony panel bez żadnego dźwięku wychylił się do środka.

Hawke, z pistoletem w ręku, zaglądał do królewskiej biblioteki.

Thorne stał plecami do niego. Wciąż ukrywał się obok drzwi, przez które wszedł. Stał z bronią gotową do strzału, spodziewając się Hawke'a w każdej chwili. Thorne oczywiście nie wiedział, że Alex już się pojawił.

Hawke wszedł po cichu do biblioteki i wycelował pistolet w tył głowy potwora.

- Thorne - odezwał się tak, że ledwie było go słychać.

Montague obrócił się, unosząc broń.

Spojrzeli sobie w oczy.

- Nie żyjesz - powiedział Hawke.

I pociągnął za spust.

Epilog

Hawkesmoor, Gloucestershire

Pewnego okropnego listopadowego wieczoru, kilka miesięcy po wydarzeniach w Balmoral, Alex Hawke odebrał intrygujący telefon. Ponieważ ta rozmowa miała niezwykle wpływ na jego życie, zapamiętał każdy szczegół.

Pamiętał na przykład, że leżał, leniwie drzemiąc na wytartej skórzanej sofie w pogrążonej w półmroku bibliotece. Pamiętał, że cztery ściany ciasno ustawionych oprawionych w skórę tomów niknęły w mroku pod sufitem. I że ogień w kominku dogasał, i trzeba było dorzucić drewno.

Ale było mu zbyt wygodnie i za bardzo zaczytał się w *Kochanku wulkanu*”, powieści o swoim bohaterze lordzie Nelsonie i Emmie Hamilton, by się ruszyć. Czytał kilka stron, zasypiał, budził się i czytał kilka kolejnych. Błogość.

I nagle rozdzwonił się cholerny telefon, stojący na biurku po drugiej stronie pokoju. Dzwonił i dzwonił, a potem znów zadzwonił.

Zamierzał pozwolić mu dzwonić tak długo, aż zepsuje mu się dzwonek.

Nie chciał też niepokoić starego drogiego Pelhama, którego ostatnio widział w służbówce, jak siedział na swoim wiekowym stolku z okularami w złotych oprawkach na czubku nosa i dopieszczał szydełkowane koronki przy akompaniamencie marznącego deszczu bębniącego o szyby.

Chyba jednak musiał zasnąć, bo nagle zobaczył nad sobą Pelhama, który mówił coś o telefonie. Coś bardzo pilnego, rozmówca się nie przedstawił, za to nalegał, by porozmawiać osobiście z lordem Hawkiem.

Wzdychając, Hawke wstał z sofy i podreptał do biurka, by odebrać cholerny telefon. Pelham zniknął z pola widzenia, kiedy Alex powiedział:

- Halo?
- Alex?
- Tak, to ja. A kto mówi?
- Halter.
- Halter! Wielki Boże, minęły wieki.

Stefan Halter był wykładowcą w Cambridge. Pracował też zarówno dla MI-6, jak i dla rosyjskiego KGB. Był najskuteczniejszym i najdłużej działającym podwójnym agentem w historii brytyjskich służb. Był też dobrym, błyskotliwym człowiekiem i raz, na pewnej odległej szwedzkiej wyspie, ocalił życie Alexowi, ryzykując własne. Hawke uznał później, że właściwie wolałby wtedy umrzeć.

- Alex, musimy się spotkać. Mam pewne informacje, którymi chciałbym się z tobą podzielić. Nie chciałbym rozmawiać o tym przez telefon.

- Rozumiem. Może chciałbyś wpaść do Hawkesmoor? Postrzelalibyśmy, wiesz, przyjemne z pożytecznym.

- Na razie nie powinienem się pokazywać w Anglii. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

- Tak. W takim razie przyjadę do ciebie. Gdzie jesteś? Chyba nie w Moskwie?

- Nie. Mam małą chatkę w Szwajcarii. Jeśli dożyję emerytury, to tu osiądę na starość.

- Załatwione. Jak się tam dostać?
- Masz jeszcze ten piękny mały samolocik?
- Nie da się ukryć, wysoki sędzie.
- To dobrze. Najbliższe lotnisko to Lucerna.

Hawke złapał taksówkę na lotnisku i pojechał prosto do przystani promowej nad Jeziorem Czterech Kantonów. Mieściła się naprzeciwko stacji kolejowej. Halter powiedział mu, że łódź o nazwie „Unterwaiden” odpływa dokładnie w południe, a bilety bez kłopotu można kupić w okienku Vierwaldstattersee na samym nabrzeżu.

Halter obiecał mu miłą wycieczkę po najpiękniejszym jeziorze Szwajcarii mieniącym się szmaragdowo i czystym jak dżin. Kiedy Hawke usłyszał charakterystyczny dźwięk parowego gwizdka i zobaczył „Unterwaiden” przybijającą do brzegu, wiedział, dlaczego czeka go miła podróż.

Miał przed sobą wielki parostatek z 1902 roku z kołami łopatkowymi, najwyraźniej pieczołowicie odrestaurowany. Zameldował się na pokładzie jako pierwszy. Wszedł po schodach do jadalni pierwszej klasy, by zjeść obiad. Dostrzegł, że współcześni projektanci obudowali maszynownię i dwa silniki parowe statku przezroczyłą pleksi.

Patrząc w dół do nieskazitelnie czystej maszynowni, można było zobaczyć pulsujące potężne pręty z wypolerowanej stali, które napędzały koła łopatkowe, a nawet mechanika, który przyjmował polecenia przez trzy mosiężne tuby połączone bezpośrednio z mostkiem. Hawke patrzył jak urzeczony na piękno i elegancję wiekowej technologii. Omal nie przegapił przez to obiadu.

Siedział przy stoliku obok wygiętego okna, z którego roztaczał się przepiękny widok na Alpy. Statek krążył po zielonym jeziorze, zatrzymując się w kolejnych wioskach, jakby żywcem wyjętych z bajki. Ośnieżone Alpy i gęste zielone lasy pokryte czapami śniegu wszędzie schodziły niemal do samego jeziora. Chyba po raz pierwszy w życiu Alex poczuł się całkowicie urzeczony. Wyobrażał sobie, że gdzieś na ziemi może istnieć jakieś miejsce poza Anglią, w którym chciałby zamieszkać.

Kiedy przez megafon ogłoszono, że następny przystanek to Vitznau, miejsce gdzie miał wysiąść, poczuł się prawie rozczarowany. Z radością zostałyby jeszcze na pokładzie i popłynąłby na południowy kraniec jeziora.

W Vitznau, zgodnie z instrukcjami Haltéra, wsiadł do małego pociągu, który odjeżdżał regularnie kwadrans po pełnej godzinie. Stacja kolejowa znajdowała się o pięć minut marszu od przystani. Ze zdziwieniem zobaczył, że tory kolejowe pną się pod górę niemal pionowo. Nieco zdenerwowany takim stromym podjazdem zapytał biletera, jak pociąg sobie z tym radzi.

- Sir, to najstarsza na świecie kolej zębata - wyjaśnił mu uprzejmy człowiek nienaganną angielszczyzną. - Wybudowano ją w 1898 roku.

- Aha - odparł Hawke nie do końca przekonany i spoglądał przez okno na stromy podjazd.

- Proszę się nie martwić. - Kasjer się uśmiechnął. - Nasze silniki parowe może i wyglądają staroświecko, bo mają ponad sto lat, ale bezpiecznie dowiozą pana na szczyt, obiecuję.

Podobnie jak statek parowy, także szwajcarski pociąg, który zjawił się na stacji, był prawdziwym cudem. Silnik stękał i buchał parą. Lokomotywa była cudowną kompozycją mosiądzu i ciemnej leśnej zieleni. W podobnych kolorach utrzymane były mundury dwóch maszynistów. Same wagony pomalowano na jaskrawoczerwono, bo zdaje się, był to ulubiony kolor Szwajcarów.

Hawke w rozmarzeniu kupił bilet i wszedł do pociągu, nie mogąc się doczekać tego wjazdu. Podróżowanie w Szwajcarii nie polegało wyłącznie na przemieszczaniu się z miejsca na miejsce, rozmyślał, to była cudowna przygoda. Małeńki pociąg sunął pod górę, mijając ciemnozielone łąki pełne pasących się krów dzwoniących dzwonkami. Każda chatka była prawdziwym cacuszkiem, z jaskrawo pomalowanymi okiennicami, drzwiami i szlaczkiem pod okapem.

Pociąg wspinał się na górę przez prawie godzinę, mijając po drodze jedno z najcudowniejszych widoków na ziemi. Kiedy dotarł do miasteczka Rigi i wysiadł z wagonu, zobaczył, że na peronie macha do niego Halter. Profesora Stefana Haltéra trudno było nie zauważyć w tłumie. Był wysokim, postawnym mężczyzną, prawdziwym niedźwiedziem o bystrych, ciemnych oczach pod krzaczastymi, czarnymi brwiami.

Miał też na sobie najbardziej jaskrawoczerwoną kurtkę narciarską, jaką Hawke w życiu widział, nie mówiąc o wielkiej czarnej kozackiej czapie z futra na głowie. Jak na swoje gabaryty poruszał się zwinnie, biegnąc przez peron w stronę Hawke'a.

- Witaj na szczycie świata - powiedział, wyciągając rękę. Jak na rodowitego moskwianina Halter mówił z doskonałym akcentem z Oxbridge. To efekt młodości spędzonej w Eton i na Cambridge.

Hawke mocno ucisnął mu dłoń i powiedział:

- Ostrzegam cię, Halter, mogę się już stąd nie ruszyć. Tu jest tak cudownie, że nie da się tego opisać.

- Dość ładnie, przyznasz. Popatrz na te dwie najwyższe góry za jeziorem. Ta po lewej to Eiger, a za nią - Jungfrau. Trafiłeś na idealną pogodę. Jest chłodno i nic nie pada. Przez cały miesiąc zasypywał nas śnieg. Idziemy? Nie mów, że to twój cały bagaż?

Hawke zarzucił na ramię czarną nylonową torbę i rzekł:

- Zakładam, że nie nosisz tu wieczorowego stroju do kolacji, co? Bo obawiam się, że nie zabrałem smokingu.

Halter wybuchnął śmiechem.

- Chodźmy, Alex, twój powóz czeka. Boże, jak to dobrze cię znów zobaczyć. Muszę ci powiedzieć, że wyglądasz rewelacyjnie. Słyszałem, że na Bermudach miałeś ciężki okres.

Hawke zignorował to pytanie i powiedział:

- Czy miałbyś coś przeciwko, gdybyśmy po drodze wpadli do jakiegoś biura nieruchomości? Naszła mnie ochota, żeby kupić sobie dom. Najlepiej jeszcze przed zachodem słońca.

- Nie ma sprawy. Masz ze sobą książeczkę czekową?

- Tak się składa, że mam.

Zaczęli iść ulicami bajkowej wioski.

- No i proszę bardzo - powiedział Halter, kiedy wyszli za niewielki pensjonat, gdzie goście jedli na tarasie, podziwiając zapierające dech w piersiach widoki oraz chłonąc słońce i piwo z wielkich szklanek.

- To twoje? - zapytał Hawke, patrząc na urocze czerwone sanie, do których zaprzęgnięto dwa silne szwajcarskie konie pociągowe przypominające kuce Palomino.

- To jedyny sposób, żeby tu się poruszać. Nie mogę się przekonać do tych koszmarnych skuterów śnieżnych i Bogu dziękuję, że tu na szczycie jest ich tak mało.

Hawke wsiadł na sanie i rzucił torbę z tyłu. Halter machnął lejcami i ruszyli. Konie miały piękną uprzęż z małymi srebrnymi dzwoneczkami, które wesoło pobrzękiwały, kiedy jechali przez ośnieżony las.

- Czy twoi towarzysze z Kremla wiedzą o tym miejscu?

- Alex, jesteś pierwszą i jedyną osobą, której kiedykolwiek powiedziałem o tym domu, nie mówiąc o zapraszaniu tu kogokolwiek.

Dwadzieścia minut później Halter przywiązał konie i podszedł do niewielkiej, ale wykwitnie urządzonej szwedzkiej chatki. Miała

jaskrawoczerwone okiennice z ozdobnymi wycięciami w każdym oknie, stromy dach, i mnóstwo szwajcarskich ozdób pod okapem na piętrze.

- Fantastyczne miejsce, Stefan.

- Z całą skromnością muszę przyznać ci rację. Chodźmy do środka, zjemy coś i się napijemy.

W środku, siedząc przy ogniu buzującym w starym kamiennym kominku, Halter pociągnął łyk lagera i spojrzał uważnie na starego przyjaciela.

- Alex, to co ci za chwilę powiem, na pewno tobą wstrząśnie. Sam byłem wstrząśnięty i naprawdę nie jest mi łatwo. Ale chcę, żebyś mnie wysłuchał, zanim zaczniesz coś mówić. Musisz wiedzieć z góry, że to co ci powiem, może się okazać czystą fikcją. Dezinformacją przygotowaną przez KGB z czysto politycznych powodów. Rozumiesz?

- Tak - odparł Hawke, a serce nagle zaczęło mu się tłuc jak oszalałe w piersiach. - Mów.

- Niewykluczone, że Anastazja wciąż żyje.

- Co? - Hawke czuł się, jakby wielki kowalski młot uderzył go prosto w serce.

- Być może nie zginęła w tym wybuchu samolotu w Szwecji.

- Ale to...

- Wiem, niemożliwe. Obaj widzieliśmy, jak wnoszą ją na pokład na noszach kilka minut przed wybuchem. Przynajmniej widzieliśmy, jak kogoś wnoszono na pokład. Ciało leżało okryte skórzanym kocem.

- Tak, ale widzieliśmy, jak wysunęła jej się ręka. Biała gronostajowa kurtka, którą miała na noblowskiej...

- Wiem, wiem. Ale najwyraźniej to mogła nie być ona. Powiedziano mi, że gospodyni z letniego domku, nie wiadomo z jakiego powodu, założyła tę gronostajową kurtkę, okryła się kocem i... Alex? Dobrze się czujesz?

Hawke znieruchomiał i zbladł jak ściana. Zakrył oczy drżącymi rękoma i łamiącym się głosem powiedział:

- Stefan, to nie może być prawda. Po prostu nie! Widziałem to, co widziałem. Widziałem to, co widziałem.

- Przyniosę ci coś. Brandy? Sznapsa?

- Brandy proszę. Nie mogę, po prostu nie mogę tego znieść. Tyle czasu. Tyle żaloby. I ten cholerny ból, który noszę w sobie od... od... I teraz nagle... co? Kim jestem, Stefan?

- Wypij. Nie mówmy nic przez chwilę. Chcesz się przejść po śniegu? Zaczepnąć chłodnego powietrza? To może pomóc.

- Nie. Chcę usłyszeć wszystko. Nic mi nie jest.

- Alex, jesteś w szoku. Może powinniśmy porozmawiać po kolacji i...

- Nie! Chcę usłyszeć wszystko! Natychmiast. Do samego końca.

- KGB pojechało do Szwecji natychmiast po śmierci cara. Poszli do jego domu. Przeszukali go. Twierdzą, że znaleźli ją schowaną w piwnicy. Ledwo żywą. Próbowała się otruć. Trutką na szczury. Ale w porę zawieźli ją do szpitala na łądzie.

- I co wtedy?

- Odesłali ją do Moskwy. Na Łubiankę. Siedziała tam przez rok. Wymusili... wymusili na niej przyznanie się do winy. Zdrada stanu. Stała przed sądem i skazano ją na śmierć przez powieszenie.

- Boże, o mój Boże.

- Pamiętasz generała Kuragina?

- Oczywiście. Małe miasteczko w Szwecji. Odciął sobie lewą rękę, żeby uniknąć podejrzeń. Zdradził Korsakowa. Dał nam kod do maszyny Beta.

- Tak. W ostatniej chwili Kuragin interweniował w jej sprawie. Ocalił jej życie. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że widać w tym rękę Putina.

- Putina?

- Tak. Po śmierci cara był jednym z wielu więźniów politycznych uwolnionych z więzienia Energetiki. Jak dobrze wiesz, odzyskał władzę. Ocalenie życia Anastazji mogło być dla Putina rodzajem zemsty na tych, którzy zdradzili go na rzecz hrabiego Korsakowa. Naprawdę nie znam szczegółów, ale wydano ją pod opiekę generałowi Kuraginowi.

- Gdzie jest teraz?

- KGB przejęło wiejską rezydencję cara. Byłeś tam, w Jasnej Polanie. Urządzili sobie zimowy obóz szkoleniowy, miejsce do spotkań na najwyższym szczyble, gdzie zapraszali dygnitarzy przyjeżdżających z wizytą i tak dalej. Generał Kuragin odszedł na emeryturę.

Mieszka tam teraz i w pewnym sensie zarządza całością. Ona też. Wszystko pod ścisłym nadzorem. Stałą obserwacją. Cała rezydencja stała się uzbrojoną fortecą.

Hawke wstał, podszedł do kominka i położył obie dłonie na półce nad paleniskiem, stojąc tyłem do Haltera. Łzy ciekły mu po policzkach. Oddychał płytko i cały drżał, nie mogąc się uspokoić.

Halter czekał w milczeniu na pytanie, które musiało paść. Dopiero po dłuższym czasie Hawke zapanował nad emocjami wystarczająco, by je zadać.

- A co z... co z moim synem?

- Żyje. Urodził się na Łubiance. Teraz jest z matką w Jasnej Polanie.

- Ma... ile ma lat?

- Prawie dwa, Alex.

Hawke mówił ze ściśniętym gardłem:

- Ostatnie pytanie, Stefan.

- Pytaj, o co chcesz.

- Kto ci o tym wszystkim opowiedział?

- Generał Kuragin.

- Kuragin. Bałem się, że to powiesz.

- Dlaczego?

- Dlatego, Stefan, że ty i ja jako jedyni na świecie wiemy, że generał Kuragin zdradził swego cara i ojczyznę za pięćdziesiąt milionów dolarów w szwajcarskim banku.

- A teraz chce wyeliminować obu świadków swojej zdrady.

- Musimy brać pod uwagę taką ewentualność.

Hawke odwrócił się i spojrzał na przyjaciela.

- Nie... nie wiem, co powiedzieć, Stefan. Nie wiem, czy mam w to wierzyć, czy nie. Przeraza mnie myśl, że mogę w to uwierzyć. I przeraza mnie myśl, że mogę nie uwierzyć.

- Czuję to samo, od kiedy się dowiedziałem. Miałem takie chwile, że wydawało mi się, że nie będę w stanie ci o tym opowiedzieć.

- Zabiłem Korsakowa, ukochanego cara Rosji. Jestem pewien, że na Kremlu wyznaczono cenę za moją głowę. Dziwię się, że nie przyjechali za mną na Bermudy. Każdego dnia spodziewałem się kuli.

- Tak. To może być bardzo wyrafinowany podstęp KGB. Zlecony przez samego Kuragina. Pułapka, z idealną przynętą w postaci twoich żony i dziecka. Sposób, żeby cię tam sprowadzić, grożąc koszmarną emocjonalną karą, a w końcu uciszyć cię na dobre. Z pewnością potrafię wymyślić taki potworny plan zabójstwa.

- Wracam do Rosji. Jeśli Anastazja i mój syn żyją, obiecuję ci, że ich odnajdę i wywożę. Albo zginę szczęśliwy, że mogłem choć spróbować.

- Wiem, Alex. Wiedziałem, że tak zareagujesz. Oczywiście jestem gotów ci pomóc w każdy możliwy sposób, z wnętrza Kremla. A jeśli mi pozwolisz, pojedę nawet z tobą, żeby ich wywieźć, jeśli tylko chcesz.

- I zdradzisz się? Po tylu cudownych latach? Nie możesz tego zrobić. Anglia potrzebuje cię żywego tu, gdzie jesteś.

- Myślę, że to byłby chwalebny koniec kariery. Pomógłbym ci odnaleźć ich oboje. I wszyscy wrócilibyśmy wspólnie.

Hawke nie mógł wydobyć słowa. Oczy znów zasły mu łzami i robił, co mógł, by nie popłynęły.

- Dziękuję ci... Dziękuję ci, Stefan, tylko tyle., tyle mogę powiedzieć. Jeśli pożyczysz mi swoją wesołą czerwoną kurtkę, to przejdę się na bardzo, bardzo długi spacer po twoich pięknych Alpach.

Powiedziawszy to, Hawke ruszył do drzwi, zdjął z wieszaka kurtkę Haltera i bez słowa wyszedł na wyjący wiatr i wirujący śnieg.

Zresztą, co jeszcze mógł powiedzieć?